ANDRZEJ
SAPKOWSKI

PANI JEZIORA

WIEDŹMIN

superNOWA

Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

ANDRZEJ
SAPKOWSKI

PANI JEZIORA

WIEDŹMIN

superNOWA
WARSZAWA

Opracowanie graficzne Tomasz Piorunowski

ISBN 978-83-7578-087-1

Copyright © by Andrzej Sapkowski, Warszawa 2014

Niezależna Oficyna Wydawnicza NOWA sp. z o.o.

Biuro Handlowe
ul. Nowowiejska 10/12
00-653 Warszawa
e-mail: redakcja@supernowa.pl

Redaktor naczelny Mirosław Kowalski

Przygotowanie wersji elektronicznej LogoScript sp z o.o.

We are such stuff
As dreams are made on, and our little life
Is rounded with a sleep.

William Shakespeare

Spis treści

Rozdział 1
Rozdział 2
Rozdział 3
Rozdział 4
Rozdział 5
Rozdział 6
Rozdział 7
Rozdział 8
Rozdział 9
Rozdział 10
Rozdział 11
Rozdział 12

I jechali dalej, aż przybyli nad jezioro o wodach rozlanych szeroko i pięknie. A pośrodku samym onego jeziora zobaczył Artur ramię w biały atłas przyodziane, miecz cudnej roboty dzierżące. Potem zasię ujrzeli pannę, śmiele stąpającą po wód zwierciadle.

– Cóż to za panna tak czarowna? – spytał Artur.

– Zwą ją Panią Jeziora – odrzekł Merlin.

Thomas Malory, *Le Morte Darthur*

Rozdział pierwszy

Jezioro było zaczarowane. Nie było co do tego żadnych wątpliwości.

Po pierwsze, leżało tuż-tuż obok gardzieli zaklętej doliny Cwm Pwcca, doliny tajemniczej, wiecznie otulonej mgłą, słynącej z czarów i zjawisk magicznych.

Po drugie, wystarczyło popatrzeć.

Tafla wody była głęboko, soczyście i niezmącenie niebieska, iście niczym wyszlifowany szafir. Była gładziutka jak zwierciadło, do tego stopnia, że przeglądające się w niej szczyty masywu Y Wyddfa wyglądały piękniej jako odbicie niż w rzeczywistości. Od jeziora wiało zimnym ożywczym powiewem, a dostojnej ciszy nie mąciło nic, nawet plusk ryby czy krzyk wodnego ptaka.

Rycerz otrząsnął się z wrażenia. Ale miast kontynuować jazdę grzbietem wzgórza, skierował konia w dół, ku jezioru. Zupełnie jakby przyciągany magnetyczną mocą czaru drzemiącego tam, w dole, na dnie, w otchłani wód. Koń stąpał płochliwie wśród pokruszonych skał, cichym pochrapywaniem dając znać, że i on wyczuwa magiczną aurę.

Zjechawszy na sam dół, na plażę, rycerz zsiadł. Ciągnąc rumaka za trzęzle, zbliżył się do skraju wody, gdzie drobna fala igrała wśród kolorowych otoczaków.

Klęknął, chrzęszcząc kolczugą. Płosząc narybek, rybki malutkie i żywe jak igiełki, nabrał wody w złączone dłonie. Pił ostrożnie i powoli, lodowato zimna woda drętwiła wargi i język, kłuła zęby.

Gdy zaczerpywał ponownie, doleciał go dźwięk niesiony po powierzchni jeziora. Uniósł głowę. Koń chrapnął, jak gdyby potwierdzając, że i on słyszał.

Nadstawił uszu. Nie, to nie było złudzenie. To, co słyszał, to był śpiew. Śpiewała kobieta. Może raczej dziewczyna.

Rycerz, jak wszyscy rycerze, wychował się na pieśniach bardów i opowieściach rycerskich. W tych zaś w dziewięciu wypadkach na dziesięć dziewczęce pienia lub zawodzenia były przynętą, idący za ich głosem rycerze regularnie wpadali w pułapki. Nierzadko śmiertelne.

Ale ciekawość przemogła. Rycerz, końcem końców, miał dopiero dziewiętnaście lat. Był bardzo odważny i bardzo nierozsądny. Słynął z jednego, znany był z drugiego.

Sprawdził, czy miecz dobrze chodzi w pochwie, po czym pociągnął konia i ruszył plażą w kierunku, z którego dobiegał śpiew. Nie musiał iść daleko.

Brzeg zalegały wielkie głazy narzutowe, ciemne, wyślizgane do połysku, rzekłbyś, zabawki olbrzymów ciśnięte tu niedbale lub zapomniane po skończonej zabawie. Niektóre głazy leżały w wodzie jeziora, czerniały pod przezroczystą taflą. Niektóre wystawały nad powierzchnię, omywane falką wyglądały jak grzbiety lewiatanów. Ale najwięcej głazów leżało na brzegu, od plaży aż po las. Część zagrzebana była w piasku, wystając częściowo tylko, pozostawiając domysłom, jak wielkie są w całości.

Śpiew, który rycerz słyszał, dochodził właśnie zza tych przybrzeżnych. A dziewczyna, która śpiewała, była niewidoczna. Pociągnął konia, trzymając go za munsztuk i chrapy, tak by nie rżał i nie prychał.

Odzienie dziewczyny spoczywało na jednym z głazów leżących w wodzie, płaskim niczym stół. Ona sama, naga, zanurzona do pasa, myła się, pluskając i podśpiewując przy tym. Rycerz nie rozpoznawał słów.

I nie dziwota.

Dziewczyna, głowę stawiłby w zakład, nie była człowiekiem z krwi i kości. Świadczyło o tym szczupłe ciało, dziwny kolor włosów, głos. Był pewien, że gdyby się odwróciła, zobaczyłby wielkie oczy o kształcie migdałów. A gdyby odgarnęła popielate włosy, dostrzegłby jak nic ostre, szpiczasto zakończone małżowiny uszne.

To była mieszkanka Faërie. Wróżka. Jedna z Tylwyth Têg. Jedna z tych, które Piktowie i Irlandczycy nazywali Daoine Sidhe, Ludkiem

Wzgórz. Jedna z tych, które Sasi nazywali elfami.

Dziewczyna przestała na chwilę śpiewać, zanurzyła się po szyję, zaprychała, zaparskała i nad wyraz pospolicie zaklęła. Rycerza to jednak nie zmyliło. Wróżki, jak powszechnie było wiadomo, umiały kląć po ludzku. Niejednokrotnie plugawiej niż stajenni. A bardzo często była klątwa wstępem do jakiegoś złośliwego figla, z zamiłowania do których wróżki słynęły – na przykład zwiększenia komuś nosa do rozmiarów nasiennego ogórka albo zmniejszenia komuś męskości do rozmiarów ziarnka bobu.

Rycerza nie pociągała ni pierwsza, ni druga ewentualność. Już, już sposobił się do dyskretnego odwrotu, gdy nagle zdradził go koń. Nie, nie jego własny wierzchowiec, który trzymany za chrapy był spokojny i cichutki jak myszka. Zdradził go koń wróżki, kara klacz, której rycerz początkowo nie dostrzegł między głazami. Teraz smoliście czarna kobyłka grzebnęła kopytem żwir i zarżała powitalnie. Ogier rycerza targnął łbem i odpowiedział grzecznie. Aż echo poszło po wodzie.

Wróżka wyprysnęła z wody, przez moment prezentując się rycerzowi w całej miłej oku okazałości. Rzuciła się ku skale, na której leżała jej odzież. Ale miast chwycić jakie giezło i okryć się skromnie, elfka porwała miecz i z sykiem wydobyła go z pochwy, obracając żelazem nad podziw zręcznie. Trwało to jeden krótki moment, po którym wróżka ukucnęła lub uklękła, kryjąc się w wodzie aż po nos i wystawiając nad powierzchnię wyprostowaną rękę z mieczem.

Rycerz otrząsnął się z osłupienia, puścił wodze i zgiął kolano, klękając na mokrym piasku. Od razu pojął bowiem, kogóż to ma przed sobą.

– Bądź pozdrowiona – zabełkotał, wyciągając ręce. – Wielki to honor dla mnie... Wielki zaszczyt, o Pani Jeziora. Miecz ten przyjmę...

– Może byś tak wstał z kolan i odwrócił się? – Wróżka wystawiła usta nad wodę. – Może by się tak przestał gapić? I pozwolił mi się ubrać?

Usłuchał.

Słyszał, jak chlupie, wychodząc z wody, jak szeleści odzieniem, jak klnie z cicha, wciągając je na mokre ciało. Przyglądał się karej klaczy o sierści gładkiej i lśniącej jak krecie futerko. Był to niezawodnie koń wielkiej krwi, niezawodnie rączy jak wiatr. Niezawodnie zaczarowany. Niechybnie również mieszkaniec Faërie, jak i jego właścicielka.

– Możesz się odwrócić.

– Pani Jeziora...

– I przedstawić.

– Jestem Galahad z Caer Benic. Rycerz króla Artura, pana zamku Kamelot, władcy Letniego Kraju, a także Dumnonii, Dyfneint, Powys, Dyfed...

– A Temeria? – przerwała. – Redania, Rivia, Aedirn? Nilfgaard? Te nazwy mówią ci coś?

– Nie. Nigdym nie słyszał.

Wzruszyła ramionami. W ręku, oprócz miecza, trzymała buty i koszulę, wypraną i wyżętą.

– Tak myślałam. A jaki dziś mamy dzień roku?

– Jest – otworzył usta, zdziwiony do granic – druga pełnia po Beltane... Pani...

– Ciri – powiedziała machinalnie, kręcąc ramionami, by lepiej ułożyć odzienie na schnącej skórze. Mówiła dziwnie, oczy miała zielone i wielkie...

Odruchowo odgarnęła zmoczone włosy, a rycerz westchnął mimowolnie. Nie tylko dlatego, że jej ucho było zwyczajne, ludzkie, żadną miarą nie elfie. Policzek miała zdeformowany dużą brzydką blizną. Zraniono ją. Ale czy wróżkę można zranić?

Zauważyła spojrzenie, zmrużyła oczy i zmarszczyła nos.

– Szrama, tak jest! – powiedziała ze swym zaskakującym akcentem. – Czemu masz taki wystraszony wzrok? Aż tak dziwna to rzecz dla rycerza, blizna? Czy też aż tak szpetna?

Wolno, oburącz zdjął kaptur kolczy, odgarnął włosy.

– Rzecz iście nie dziwna dla rycerza – rzekł nie bez młodzieńczej dumy, demonstrując własną ledwo zagojoną szramę, biegnącą od skroni po żuchwę. – A szpetne są jeno blizny na honorze. Jestem Galahad, syn Lancelota du Lac i Elaine, córki króla Pellesa, pana na Caer Benic. Ranę tę zadał mi Breunis Bezlitosny, niegodziwy ciemiężyciel panien, nimem go powalił w uczciwym pojedynku. Zaprawdę, godzien jestem z rąk twych przyjąć ten miecz, o Pani Jeziora...

– Słucham?

– Miecz. Jestem gotów go przyjąć.

– To mój miecz. Nie pozwalam go nikomu dotykać.

– Ale...

– Ale co?

– Pani Jeziora zawsze... Zawsze przecie wynurza się z wód i darowuje miecz.

Milczała czas jakiś.

– Rozumiem – powiedziała wreszcie. – Cóż, co kraj, to obyczaj. Przykro mi, Galahadzie, czy jak ci tam, ale najwidoczniej trafiłeś nie na tę Panią, co trzeba. Ja niczego nie rozdaję. I nie pozwalam sobie odebrać. Żeby wszystko było jasne.

– Ale przecie – odważył się – przybywacie z Faërie, Pani, czyż nie tak?

– Przybywam – powiedziała po chwili, a jej zielone oczy, wydawało się, patrzą w otchłań przestrzeni i czasu. – Przybywam z Rivii, z miasta o tej samej nazwie. Znad jeziora Loc Eskalott. Przypłynęłam tu łodzią. Była mgła. Nie widziałam brzegów. Słyszałam tylko rżenie Kelpie... Mojej klaczy, która biegła za mną w ślad.

Rozpostarła mokrą koszulę na kamieniu. A rycerz westchnął znowu. Koszula była wyprana, ale niedokładnie. Wciąż znać było zacieki krwi.

– Przyniósł mnie tu nurt rzeki – podjęła dziewczyna, albo nie widząc, co spostrzegł, albo udając, że nie widzi. – Nurt rzeki i czar jednorożca... Jak się nazywa to jezioro?

– Nie wiem – przyznał. – Tyle tu jezior w Gwynedd...

– W Gwynedd?

– Przecie. Tamte góry to Y Wyddfa. Gdy je mieć po lewej ręce i jechać lasami, po dwóch dniach dotrze się do Dinas Dinlleu, a dalej do Caer Dathal. A rzeka... Najbliższa rzeka to...

– Nieważne, jak się nazywa najbliższa rzeka. Masz może coś do jedzenia, Galahadzie? Umieram wprost z głodu.

•

– Czemu mi się tak przyglądasz? Boisz się, że zniknę? Że ulecę w przestworza razem z twoim sucharem i jałowcową kiełbasą? Nie bój się. W moim własnym świecie nabroiłam nieco i namieszałam w przeznaczeniu, więc chwilowo nie powinnam się tam pokazywać. Pobędę jakiś czas w twoim. W świecie, w którym nocą próżno szukać na niebie Smoka albo Siedmiu Kóz. W którym właśnie jest druga pełnia po Belleteyn, a Belleteyn wymawia się Beltane. Czemu się tak we mnie wpatrujesz, pytam?

– Nie wiedziałem, że wróżki jedzą.

– Wróżki, czarodziejki i elfki. Wszystkie jedzą. Piją. I tak dalej.

– Słucham?

– Nieważne.

Im baczniej się jej przyglądał, tym bardziej zatracała uroczną aurę, tym bardziej robiła się ludzka i zwyczajna, pospolita wręcz. Wiedział jednak, że taka nie jest, nie może być. Nie spotyka się pospolitych dziewczyn u podnóża Y Wyddfa, w okolicach Cwm Pwcca, kąpiących się nago w górskich jeziorach i piorących zakrwawione koszule. Nieważne, jak ta dziewczyna wygląda, istotą ziemską być nie mogła. Mimo tego Galahad już całkiem swobodnie i bez nabożnego lęku patrzył na jej mysie włosy, które teraz, gdy wyschły, ku jego zdumieniu lśniły pasemkami srebrzystobiałej siwizny. Na jej szczupłe ręce, mały nosek i blade usta, na jej męski strój trochę dziwacznego kroju, uszyty z delikatnej tkaniny o niebywale gęstym splocie. Na jej miecz, dziwny w konstrukcji i ornamencie, ale bynajmniej nie wyglądający na paradną ozdóbkę. Na jej bose stopy, oblepione zeschłym piaskiem plaży.

– Dla jasności – odezwała się, trąc stopą o stopę – ja nie jestem elfką. Czarodziejką, to znaczy wróżką, jestem zaś... trochę nietypową. Eee, chyba wcale nie jestem.

– Żałuję, zaprawdę.

– Czego niby żałujesz?

– Mówią... – zaczerwienił się i zająknął. – Mówią, że wróżki, gdy zdarzy im się napotkać młodzieńców, wiodą ich do Elflandu i tam... Pod leszczynowym krzakiem, na kobiercu z mchów każą sobie świadczyć...

– Pojmuję. – Spojrzała na niego szybko, po czym mocno ugryzła kiełbasę.

– Względem Krainy Elfów – powiedziała, przełknąwszy – to jakiś czas temu stamtąd uciekłam i wcale nie spieszy mi się z powrotem. Względem zaś świadczenia na kobiercu z mchów... Doprawdy, Galahadzie, trafiłeś nie na tę Panią, co trzeba. Tym niemniej, pięknie dziękuję za dobre chęci.

– Pani! Nie chciałem obrazić...

– Nie tłumacz się.

– Wszystko przez to – wybąkał – żeście urocznie piękna.

– Dziękuję raz jeszcze. Ale nadal nic z tego.

Milczeli czas jakiś. Było ciepło. Słońce stojące w zenicie przyjemnie nagrzało kamienie. Leciutki wiaterek zmarszczył taflę jeziora.

– Co znaczy... – odezwał się nagle Galahad dziwnie egzaltowanym głosem. – Co znaczy włócznia z krwawiącym ostrzem? Co znaczy i dlaczego cierpi Król z przebitym udem? Co znaczy panna w bieli niosąca graal, półmisek srebrny...

– A poza tym – przerwała mu – dobrze się czujesz?

– Ja jeno pytam.

– A ja nie rozumiem twojego pytania. To jakieś umówione hasło? Sygnał, po którym rozpoznają się wtajemniczeni? Objaśnij łaskawie.

– Kiedy nie zdołam.

– Dlaczego więc pytałeś?

– A bo to... – zacukał się. – No, krótko rzekłszy... Jeden z naszych nie spytał, mając okazję. Zapomniał języka w gębie albo wstydził się... Nie spytał i było z tego powodu siła nieprzyjemności. Więc my teraz pytamy zawsze. Na wszelki wypadek.

•

– Czy w tym świecie są czarodzieje? No wiesz, tacy, co parają się magią. Magowie. Wiedzący.

– Jest Merlin. I Morgana. Ale Morgana jest zła.

– A Merlin?

– Średni.

– Wiesz, gdzie go odnaleźć?

– A jakże! W Kamelocie. Na dworze króla Artura. Ja tam właśnie zmierzam.

– Daleko?

– Stąd do Powys, do rzeki Hafren, potem z biegiem Hafren do Glevum, nad Morze Sabriny, a stamtąd już blisko na równiny Letniego Kraju. Wszystkiego jakieś dziesięć dni jazdy...

– Za daleko.

– Można – zająknął się – skrócić nieco drogę, jadąc przez Cwm Pwcca. Ale to zaklęta dolina. Strasznie tam. Żyją tam Y Dynan Bach Têg, złośliwe karły...

– A ty co, miecz nosisz od parady?

– A co mieczem przeciw czarom wydoli?

– Wydoli, wydoli, nie bój się. Ja jestem wiedźminką. Słyszałeś kiedyś? Ech, jasne, że nie słyszałeś. A twoich karłów się nie lękam. Mam wśród krasnoludów sporo znajomych.

No pewnie, pomyślał.

•

– Pani Jeziora?

– Nazywam się Ciri. Nie nazywaj mnie Panią Jeziora. Źle mi się to kojarzy, nieprzyjemnie i niemile. Tak mnie nazywali oni, w Krainie... Jak ty nazwałeś tę krainę?

– Faërie. Albo, jak mówią druidzi: Annwn. A Sasi powiadają: Elfland.

– Elfland... – Owinęła ramiona otrzymanym od niego kraciastym piktyjskim pledem. – Byłam tam, wiesz? Weszłam do Wieży Jaskółki i bęc, już byłam wśród elfów. A oni właśnie tak mnie nazywali. Panią Jeziora. Nawet mi się to z początku podobało. Pochlebiało mi. Do chwili, gdy zrozumiałam, że w tej krainie, w tej wieży i nad tym jeziorem nie jestem żadną Panią, lecz więźniem.

– Czy to tam – nie wytrzymał – splamiłaś koszulę krwią?

Milczała długo.

– Nie – powiedziała wreszcie, a głos, zdawało mu się, zadrżał jej lekko. – Nie tam. Bystre masz oko. Cóż, przed prawdą nie uciekniesz, głowy w piasek chować nie ma co... Tak, Galahadzie. Plamiłam się często ostatnimi czasy. Krwią nieprzyjaciół, których zabijałam. I krwią bliskich, których usiłowałam ratować... A którzy umierali na moich rękach... Czemu mi się tak przypatrujesz?

– Nie wiem, czyliś jest bóstwem, czy panną śmiertelną... Czy jedną z bogiń... Lecz jeśliś jest mieszkanką ziemskiego padołu...

– Do rzeczy, jeśli łaska.

– Pragnąłbym – oczy Galahada rozgorzały – usłyszeć twą historię. Zechcesz ją opowiedzieć, o Pani?

– Jest długa.

– Mamy czas.

– I niezbyt dobrze się kończy.

– Nie wierzę.

– Dlaczego?

– Śpiewałaś, kąpiąc się w jeziorze.

– Jesteś spostrzegawczy. – Odwróciła głowę, zacisnęła wargi, a jej twarz nagle skurczyła się i zbrzydła. – Tak, jesteś spostrzegawczy. Ale bardzo naiwny.

– Opowiedz mi twą historię. Proszę.

– Cóż – westchnęła. – Dobrze, jeśli chcesz... Opowiem.

Usiadła wygodniej. I on też usiadł wygodniej. Konie chodziły skrajem lasu, poszczypując trawy i zioła.

– Od początku – poprosił Galahad. – Od samego początku...

– Ta historia – powiedziała po chwili, szczelniej owijając się w piktyjski pled – coraz bardziej wygląda mi na taką, która nie ma początku. Nie mam też pewności, czy się aby już skończyła. Strasznie się, musisz wiedzieć, poplątała przeszłość z przyszłością. Pewien elf powiedział mi nawet, że to jest jak z tym wężem, który capnie zębami własny ogon. Wąż ten, wiedz o tym, nazywa się Uroboros. A to, że gryzie swój ogon, znaczy, że koło jest zamknięte. W każdym momencie czasu kryją się przeszłość, teraźniejszość i przyszłość. W każdym momencie czasu kryje się wieczność. Rozumiesz?

– Nie.

– Nie szkodzi.

Zaprawdę powiadam wam, kto wierzy snom, jest jako chcący pojmać wiatr lubo cień uchwycić. Ludzi się obrazem zwodniczym, krzywym zwierciadłem, które kłamie lub prawi niedorzeczności na wzór niewiasty rodzącej. Głupi zaiste, kto marom sennym wiarę daje i drogą złudy kroczy.

Wszelako kto sny letce sobie waży i nie wierzy im nic a nic, ten także bezrozumnie czyni. Bo przecież gdyby sny całkiem znaczenia nie miały, to po cóż by bogowie, tworząc nas, zdolność śnienia nam dawali?

Mądrości proroka Lebiody, 34,1

All we see or seem
Is but a dream within a dream

Allan Edgar Poe

Rozdział drugi

Wiaterek zmarszczył parującą jak kocioł powierzchnię jeziora, popędził po niej strzępki rozwiewanej mgły. Dulki skrzypiały i dudniły rytmicznie, wynurzające się pióra wioseł siały gradem błyszczących kropelek.

Condwiramurs wystawiła rękę za burtę. Łódź płynęła w tempie tak żółwim, że woda tylko minimalnie wzburzyła się i wspięła na jej dłoń.

– Ach, ach – powiedziała, wkładając w głos tyle sarkazmu, ile się tylko dało. – Cóż za szybkość! Mkniemy wręcz po falach. Aż się w głowie kręci!

Wioślarz, niski, krępy i nabity w sobie mężczyzna, odburknął coś gniewnie i niewyraźnie, nawet nie unosząc łba, porośniętego włosem szedziwym i kręconym jak u karakuła. Adeptka miała już serdecznie dość burknięć, charknięć i stęknięć, którymi ten gbur zbywał jej pytania, odkąd wsiadła na łódź.

– Ostrożniej – wycedziła, z trudem zachowując spokój. – Od tak forsownego wiosłowania można się ochwacić.

Tym razem mężczyzna uniósł twarz, ogorzałą, ciemną jak garbowana skóra. Zaburczał, zachrząkał, ruchem pokrytego siwą szczeciną podbródka wskazał na zamocowane na burcie drewniane motowidło i niknącą w wodzie linkę, napiętą ruchem łodzi. Przekonany najwidoczniej, że wyjaśnienie było wyczerpujące, wznowił wiosłowanie. W takim samym rytmie jak poprzednio. Wiosła w górę. Przerwa. Wiosła do pół pióra w wodę. Długa przerwa. Pociągnięcie. Jeszcze dłuższa przerwa.

– Aha – powiedziała swobodnie Condwiramurs, patrząc w niebo. – Rozumiem. Ważny jest ciągnięty za łodzią błyszcz, który musi poruszać się z właściwą prędkością i odpowiednio głęboko. Ważne jest rybołówstwo. Reszta jest nieważna.

Było to tak oczywiste, że mężczyzna nawet nie zadał sobie trudu, by burczeć lub charczeć.

– Cóż kogo może obchodzić – monologowała dalej Condwiramurs – że podróżowałam całą noc? Że jestem głodna? Że zadek mnie boli i swędzi od twardej i mokrej ławki? Że sikać mi się chce? Nie, ważny jest tylko połów ryb na dorożkę. Bezsensowny zresztą. Nic nie weźmie na błyszcz ciągnięty środkiem plosa, w toni o dwudziestosążniowej głębokości.

Mężczyzna podniósł głowę, popatrzył na nią paskudnie i zaburczał bardzo, ale to bardzo burkliwie. Condwiramurs błysnęła ząbkami, rada z siebie. Gbur nadal wiosłował wolno. Był wściekły.

Rozparła się na rufowej ławeczce i założyła nogę na nogę. Tak, by w rozcięciu sukni dużo było widać.

Mężczyzna zaburczał, zacisnął na wiosłach gruzłowate dłonie, udając, że patrzy tylko na linkę dorożki. Tempa wiosłowania, rzecz jasna, ani myślał przyspieszyć. Adeptka westchnęła z rezygnacją i zajęła się obserwacją nieba.

Dulki poskrzypywały, brylantowe kropelki spadały z piór wioseł.

W podnoszącej się szybko mgiełce zamajaczył zarys wyspy. I wznoszący się nad nią ciemny, pękaty obelisk wieży. Gbur, choć siedzący tyłem i nie oglądający się, niewiadomym sposobem poznał, że są już prawie na miejscu. Nie spiesząc się, złożył wiosła na burtach, wstał, zaczął powoli nawijać linkę na motowidło. Condwiramurs, wciąż z nogą na nodze, pogwizdywała, patrząc w niebo.

Mężczyzna zwinął linkę do końca, obejrzał błyszcz, dużą mosiężną łyżkę uzbrojoną w potrójny hak z chwościkiem z czerwonej wełny.

– Jej, jej – powiedziała słodziutko Condwiramurs. – Nic się nie złapało, oj, oj, jaka szkoda. Ciekawe, dlaczego taki niefart? Może łódź płynęła za szybko?

Mężczyzna obrzucił ją spojrzeniem, które mówiło wiele brzydkich rzeczy. Usiadł, zacharczał, splunął za burtę, chwycił wiosła w sękate łapy, wygiął mocno plecy. Wiosła chlupnęły, załomotały w dulkach, łódź pomknęła po jeziorze jak strzała, woda z szumem spieniła się u dziobu, wirami zakotłowała za rufą. Dzielące ich od wyspy ćwierć strzelenia z łuku pokonali w czasie krótszym niż dwa burknięcia, a łódź wyjechała na żwir z takim impetem, że Condwiramurs spadła z ławki.

Mężczyzna zaburczał, zacharczał i splunął. Adeptka wiedziała, że w przekładzie na mowę ludzi cywilizowanych znaczyło to: wynoś się z mojej łodzi, przemądrzała wiedźmo. Wiedziała też, że na wyniesienie na rękach liczyć nie ma co. Zdjęła trzewiczki, prowokująco wysoko podniosła suknię i wysiadła. Przełknęła przekleństwo, bo skorupy muszli boleśnie ukłuły ją w stopy.

– Dzięki – powiedziała przez zaciśnięte zęby – za przejażdżkę.

Nie czekając na odburknięcie i nie oglądając się, boso poszła w kierunku kamiennych schodów. Wszystkie niewygody i dolegliwości przeszły i uleciały bez śladu, wymazane przez rosnące podniecenie. Była oto na wyspie Inis Vitre, na jeziorze Loc Blest. Była w miejscu niemal legendarnym, w którym bywali wyłącznie nieliczni wybrańcy.

Poranna mgła uniosła się zupełnie, przez zmatowione niebo zaczęła mocniej przeświwywać czerwona kula słońca. Wokół machikułów wieży krążyły wrzeszczące mewy, migały jerzyki.

Na szczycie schodów, wiodących z plaży na taras, wsparta o posążek przykucniętej i wyszczerzonej chimery, stała Nimue.

Pani Jeziora.

•

Była drobnej budowy i niska, mierzyła niewiele więcej niż pięć stóp. Condwiramurs słyszała o tym, że za młodu nazywano ją Łokietkiem, teraz widziała, że przezwisko było trafne. Ale była pewna, że przynajmniej od pół wieku nikt nie ośmieliłby się tak nazwać małej czarodziejki.

– Jestem Condwiramurs Tilly – przedstawiła się z ukłonem, zakłopotana nieco, wciąż z trzewiczkami w ręku. – Rada jestem, mogąc gościć na twojej wyspie, Pani Jeziora.

– Nimue – poprawiła swobodnie mała magiczka. – Nimue, nic więcej. Tytuły i epitety możemy sobie darować, panno Tilly.

– W takim razie ja jestem Condwiramurs. Condwiramurs, nic więcej.

– Pozwól więc, Condwiramurs. Porozmawiamy przy śniadaniu. Odgaduję, że zgłodniałaś.

– Nie przeczę.

•

Na śniadanie był twaróg, szczypior, jajka, mleko i razowy chleb, podane przez dwie młodziutkie, cichutkie i pachnące krochmalem służące. Condwiramurs jadła, czując na sobie wzrok małej czarodziejki.

– Wieża – mówiła wolno Nimue, obserwując każdy jej ruch i każdy niemal niesiony do ust kęs – ma sześć kondygnacji, z czego jedną pod ziemią. Twoja kwatera mieści się na drugiej nadziemnej, są tam wszystkie potrzebne do życia wygody. Parter, jak widzisz, jest częścią gospodarczą, mieszczą się tu też komnaty mieszkalne służby. Podziemie, jak również piętro pierwsze i trzecie, to laboratorium, biblioteka i galeria. Do wszystkich wymienionych pięter i znajdujących się na nich pomieszczeń masz wstęp i dostęp nieograniczony, możesz korzystać z nich i z wszystkiego, co zawierają, kiedy zapragniesz i w jaki sposób zechcesz.

– Zrozumiałam. Dziękuję.

– Dwie najwyższe kondygnacje mieszczą moje komnaty prywatne i moją prywatną pracownię. Są to pomieszczenia prywatne absolutnie. Żeby uniknąć nieporozumień: jestem niebywale czuła na te sprawy.

– Uszanuję to.

Nimue odwróciła głowę ku oknu, przez które widać było Burkliwego Pana Wioślarza, który uporał się już z bagażem Condwiramurs, a teraz ładował na łódź wędziska, motowidła, kancerki, podrywki i inne parafernalia rybackiego przemysłu.

– Jestem trochę staromodna – ciągnęła. – Ale z pewnych rzeczy przywykłam korzystać na prawach wyłączności. Szczoteczka do zębów, dajmy na to. Prywatne komnaty, biblioteka, toaleta. I Król Rybak. Nie próbuj, proszę, korzystać z Króla Rybaka.

Condwiramurs omal nie zakrztusiła się mlekiem. Twarz Nimue niczego nie wyrażała.

– A jeśli... – podjęła, zanim dziewczyna odzyskała mowę. – Jeśli on spróbuje korzystać z ciebie, odmów.

Condwiramurs, przełknąwszy wreszcie, prędko pokiwała głową, powstrzymując się od jakiegokolwiek komentarza. Choć miała na końcu języka, że nie gustuje w rybakach, zwłaszcza grubiańskich. I mających łeb oszemłany siwizną bielutką jak twarożek.

– Taaak – powiedziała przeciągle Nimue. – Introdukcję miałybyśmy więc za sobą. Pora przejść do spraw konkretnych. Nie ciekawi cię, co sprawiło, że spośród wszystkich kandydatek wybrałam właśnie ciebie?

Condwiramurs, jeżeli w ogóle zastanawiała się nad odpowiedzią, to tylko dlatego, by nie wyjść na zbyt zadufaną. Szybko doszła jednak do wniosku, że wobec Nimue fałszywa nawet w małym stopniu skromność i tak będzie zbyt raziła fałszem.

– Jestem najlepszą śniączką w akademii – odparła chłodno, rzeczowo i bez chełpliwości. – A na trzecim roku miałam drugą lokatę wśród onejromantek.

– Mogłam wziąć tę, która miała lokatę pierwszą. – Nimue była faktycznie szczera aż do bólu. – Nawiasem mówiąc, proponowano mi właśnie ową prymuskę, z pewnym naciskiem zresztą, bo to podobno ważna córeczka kogoś ważnego. A jeżeli chodzi o śnienie, o onejroskopię, to wszakże wiesz, droga Condwiramurs, że jest to dar dość kapryśny. Fiasko może spotkać nawet najlepszą śniączkę.

Condwiramurs przytrzymała za zębami ripostę, że jej fiaska można policzyć na palcach jednej ręki. W końcu rozmawiała z mistrzynią. Znaj proporcją, mocium panie, jak mawiał jeden z profesorów akademii, erudyta.

Nimue lekkim skinieniem głowy pochwaliła jej milczenie.

– Zasięgnęłam języka w uczelni – powiedziała po chwili. – Stąd wiem, że nie musisz wspomagać śnienia środkami odurzającymi. Cieszy mnie to, albowiem narkotyków nie toleruję.

– Śnię bez żadnych prochów – potwierdziła z lekką dumą Condwiramurs. – Do onejroskopii wystarczy mi, jeśli mam zahaczkę.

– Słucham?

– No, zahaczkę – adeptka kaszlnęła. – Znaczy się, przedmiot jakoś związany z tym, o czym mam śnić. Rzecz jakąś. Albo obraz...

– Obraz?

– Aha. Nieźle śnię na obraz.

– O – uśmiechnęła się Nimue. – O, skoro obraz pomoże, to nie będzie kłopotów. Jeśli uporałaś się już ze śniadaniem, to chodźmy, najlepsza śniączko i druga wśród onejromantek. Dobrze będzie, jeśli bez zwłoki wyjaśnię ci pozostałe powody, dla których to właśnie ciebie wybrałam na asystentkę.

Od kamiennych ścian tchnęło zimnem, którego nie łagodziły ani ciężkie gobeliny, ani pociemniała boazeria. Kamienna podłoga ziębiła stopy przez podeszwy trzewiczków.

– Za tymi drzwiami – wskazała niedbale Nimue – jest laboratorium. Jak się rzekło, możesz korzystać wedle woli. Zalecana jest oczywiście ostrożność. Umiar wskazany jest zwłaszcza przy próbach zmuszania miotły do noszenia wody.

Condwiramurs zachichotała grzecznie, choć żart był leciwy. Wszystkie mentorki raczyły podopieczne dowcipami nawiązującymi do mitycznych tarapatów mitycznego ucznia czarnoksiężnika.

Schody wiły się w górę jak wąż morski, zdając się nie mieć końca. I były strome. Nim dotarły na miejsce, Condwiramurs spociła się i zdyszała setnie. Po Nimue w ogóle nie było znać wysiłku.

– Tędy, proszę. – Otworzyła dębowe drzwi. – Uwaga na próg.

Condwiramurs weszła i westchnęła.

Komnata była galerią. Jej ściany od sufitu do podłogi obwieszone były obrazami. Wisiały tam wielkie, stare, łuszczące się i spękane oleje, miniatury, zżółkłe sztychy i drzeworyty, wyblakłe akwarele i sepie. Wisiały tam też żywe w kolorach modernistyczne gwasze i tempery, czyste w kresce akwatinty i akwaforty, litografie i kontrastowe mezzotinty, przyciągające oczy wyrazistymi plamami czerni.

Nimue zatrzymała się przed wiszącym najbliżej drzwi obrazem przedstawiającym grupę zebraną pod ogromnym drzewem. Spojrzała na płótno, potem na Condwiramurs, a jej milczące spojrzenie było nadzwyczaj wymowne.

– Jaskier – adeptka, z miejsca połapawszy się, w czym rzecz, nie kazała jej czekać – śpiewa ballady pod dębem Bleobherisem.

Nimue uśmiechnęła się, kiwnęła głową. I zrobiła krok, zatrzymując się przed następnym obrazem. Akwarela. Symbolizm. Dwie kobiece

sylwetki, na wzgórzu. Nad nimi krążące mewy, pod nimi, na stokach wzgórza, korowód cieni.

– Ciri i Triss Merigold, prorocza wizja w Kaer Morhen.

Uśmiech, kiwnięcie, krok, następny obraz. Jeździec na koniu w galopie, w szpalerze pokracznych olch, wyciągających ku niemu ramiona konarów. Condwiramurs poczuła, jak przeszywa ją dreszcz.

– Ciri... Hmm... To chyba jej jazda na spotkanie z Geraltem na farmie niziołka Hofmeiera.

Następny obraz, pociemniały olej. Batalistyka.

– Geralt i Cahir bronią mostu na Jarudze.

Potem poszło szybko.

– Yennefer i Ciri, ich pierwsze spotkanie w świątyni Melitele. Jaskier i driada Eithne, w lesie Brokilon. Drużyna Geralta w śnieżycy na przełęczy Malheur...

– Brawo, doskonale – przerwała Nimue. – Znakomita znajomość legendy. Teraz znasz już drugi powód, dla którego znalazłaś się tu ty, a nie ktoś inny.

•

Nad hebanowym stolikiem, przy którym usiadły, dominowało wielkie płótno batalistyczne przedstawiające, jak się zdawało, bitwę pod Brenną, jakiś moment kluczowy batalii, czyli czyjąś kiczowato bohaterską śmierć. Płótno było ponad wszelką wątpliwość dziełem Mikołaja Certosy, można to było poznać po ekspresji, perfekcyjnej dbałości o detal i typowych dla artysty efektach luministycznych.

– Owszem, znam legendę o wiedźminie i wiedźmince – odrzekła Condwiramurs. – Znam ją, nie zawaham się powiedzieć, na wyrywki. Podlotkiem będąc, kochałam tę historię, zaczytywałam się nią. I marzyłam, by być Yennefer. Będę jednak szczera: jeśli nawet i była to miłość od pierwszego wejrzenia, jeśli nawet była wybuchowo namiętna... To nie była wieczna.

Nimue uniosła brwi.

– Poznawałam historię – podjęła Condwiramurs – w popularnych skrótach i wersjach dla młodzieży, brykach okrojonych i uprzyzwoiconych *ad usum delphini*. Potem naturalnie wzięłam się za tak zwane wersje poważne i pełne. Obszerne do granic redundancji, a niekiedy i poza te granice. Wówczas to pasja ustąpiła chłodnej refleksji,

a dzika namiętność czemuś w rodzaju obowiązku małżeńskiego. Jeśli wiesz, co mam na myśli.

Nimue ledwie dostrzegalnym skinieniem głowy potwierdziła, że wie.

– Podsumowując, wolę te legendy, które mocniej trzymają się legendarnej konwencji, nie mieszają klechdy z rzeczywistością, nie próbują integrować prostego i prostolinijnego moralitetu bajki z głęboko niemoralną prawdą historyczną. Wolę legendy, do których nie dopisują posłowi encyklopedyści, archeolodzy i historycy. Takie, których konwencja wolna jest od eksperymentów. Wolę, jeśli książę wspina się na szczyt Szklanej Góry, całuje śpiącą królewnę, ta się budzi i obydwoje żyją potem długo i szczęśliwie. Tak, a nie inaczej, powinna się kończyć legenda... Czyjego pędzla jest ten portret Ciri? Ten *en pied*?

– Nie ma ani jednego portretu Ciri – głos małej czarodziejki był rzeczowy do oschłości. – Ani tu, ani nigdzie na świecie. Nie zachował się ani jeden portret, ani jedna miniatura namalowana przez kogoś, kto mógłby Ciri widzieć, znać lub chociażby pamiętać. Portret *en pied* przedstawia Pavettę, matkę Ciri, a namalował go krasnolud Ruiz Dorrit, nadworny malarz władców Cintry. Wiadomo, że Dorrit sportretował Ciri w wieku lat dziesięciu, również *en pied*, ale płótno, nazywane *Infantką z chartem*, zaginęło, niestety. Wróćmy jednak do legendy i twojego do niej stosunku. I tego, czym w twej opinii legenda winna się kończyć.

– Winna się kończyć dobrze – powiedziała z czupurnym przekonaniem Condwiramurs. – Dobro i prawość mają zatriumfować, zło ma zostać przykładnie ukarane, miłość ma połączyć kochanków po kres ich życia. I nikt z bohaterów pozytywnych nie może, cholera, zginąć! A legenda o Ciri? Jak się kończy?

– Właśnie. Jak?

Condwiramurs zaniemówiła na moment. Nie spodziewała się takiego pytania, wietrzyła test, egzamin, pułapkę. Milczała, nie chcąc dać się złapać.

Jak się kończy legenda o Geralcie i Ciri? Przecież każdy to wie.

Patrzyła na ciemną w tonacji akwarelę przedstawiający niekształtną barkę sunącą po powierzchni zasnutego oparami jeziora, barkę popędzaną długą tyką przez kobietę widoczną tylko jako czarna sylwetka.

Właśnie tak kończy się ta legenda. Właśnie tak.

Nimue czytała w jej myślach.

– To nie jest takie pewne, Condwiramurs. To wcale nie jest takie pewne.

•

– Legendę – zaczęła Nimue – poznałam z ust wędrownego bajarza. Jestem dzieckiem wiejskim, czwartą córką wsiowego stelmacha. Chwile, gdy gościł w naszej wsi bajarz Pogwizd, dziad wagabunda, były najpiękniejszymi chwilami mojego dzieciństwa. Można było odetchnąć od harówki, oczyma duszy zobaczyć te bajeczne dziwy, zobaczyć ten świat daleki... Świat piękny i cudowny... Dalszy i cudowniejszy nawet niż jarmark w miasteczku oddalonym o dziewięć mil...

– Miałam wtedy jakieś sześć, siedem lat. Moja najstarsza siostra miała czternaście. I już była krzywa od garbienia się nad robotą. Babska dola! Do tego przygotowywano u nas dziewczynki od małości! Garbić się! Wiecznie się garbić, garbić i giąć nad robotą, nad dzieckiem, pod ciężarem brzucha, który chłop ci przyprawiał, ledwoś zdążyła wydobrzeć po połogu...

– To te dziadowskie opowieści sprawiły, że zaczęłam pragnąć czegoś więcej niż garb i harówka, marzyć o czymś więcej niż urodzaj, mąż i dzieci. Pierwsza książka, którą kupiłam za utarg ze sprzedaży własnoręcznie zebranych w lesie jeżyn, to była legenda o Ciri. Wersja, jak to ładnie nazwałaś, uprzyzwoicona, dla dzieci, bryk *ad usum delphini*. Była to wersja w sam raz dla mnie. Czytałam słabo. Ale już wtedy wiedziałam, czego chcę. Chciałam być taka jak Filippa Eilhart, jak Sheala de Tancarville, jak Assire var Anahid...

Obie popatrzyły na gwasz przedstawiający pogrążoną w subtelnym *chiaroscuro* salę zamkową, stół i siedzące za tym stołem kobiety. Legendarne kobiety.

– W akademii – podjęła Nimue – do której dostałam się zresztą dopiero za drugim podejściem, zajmowałam się mitem tylko w aspekcie Wielkiej Loży na zajęciach z historii magii. Na czytanie dla przyjemności początkowo zwyczajnie nie miałam czasu, musiałam wkuwać, by... By dotrzymać kroku córeczkom hrabiów i bankierów, którym wszystko przychodziło łatwo, które naśmiewały się z dziewuszki ze wsi...

Zamilkła, z trzaskiem wyłamała palce.

– Wreszcie – podjęła – czas na czytanie znalazłam, ale wówczas stwierdziłam, że perypetie Geralta i Ciri zajmują mnie znacznie mniej

niż w dzieciństwie. Zachodził podobny syndrom, co u ciebie. Jak ty to nazwałaś? Obowiązek małżeński? Tak było do momentu...

Zamilkła, potarła twarz. Condwiramurs ze zdumieniem zauważyła, że ręka Pani Jeziora drży.

– Miałam chyba z osiemnaście lat, gdy... Gdy coś się wydarzyło. Coś, co sprawiło, że legenda o Ciri odżyła we mnie. Że zaczęłam się nią zajmować poważnie i naukowo. Że poświęciłam jej życie.

Adeptka milczała, choć w środku aż wrzała z ciekawości.

– Nie udawaj, że nie wiesz – powiedziała cierpko Nimue. – Wszystkim przecież wiadomo, że Pani Jeziora opanowana jest chorobliwą wręcz obsesją na tle legendy o Ciri. Wszyscy plotkują o tym, jak to niegroźny z początku bzik przerodził się w coś w rodzaju narkotycznego uzależnienia czy wręcz manii. W tych plotkach jest sporo prawdy, droga moja Condwiramurs, sporo prawdy! A ty, skoro ciebie wybrałam na asystentkę, też w manię i uzależnienie popadniesz. Będę bowiem tego wymagała. Przynajmniej na czas praktyki. Rozumiesz?

Adeptka potwierdziła skinieniem głowy.

– Zda ci się, że rozumiesz. – Nimue opanowała się i ochłodła. – Ale ja ci to wyjaśnię. Stopniowo. A gdy nadejdzie czas, wyjaśnię ci wszystko. Na razie...

Urwała, spojrzała w okno, na jezioro, na czarną kreskę łodzi Króla Rybaka, wyraźnie odcinającą się od złoto rozmigotanej powierzchni wód.

– Na razie wypocznij. Obejrzyj galerię. W szafach i gablotach znajdziesz albumy i kartony grafik, wszystkie tematycznie związane z podaniem. W bibliotece są wszystkie wersje i trawestacje legendy, także większość opracowań naukowych. Poświęć im trochę czasu. Pooglądaj, poczytaj, koncentruj się. Chcę, byś miała materiał do snu. Zahaczkę, jak to nazwałaś.

– Zrobię to. Pani Nimue?

– Słucham.

– Te dwa portrety... Te wiszące obok siebie... To również nie jest Ciri?

– Nie istnieje żaden portret Ciri – powtórzyła cierpliwie Nimue. – Późniejsi artyści przedstawiali ją wyłącznie w scenach, każdy wedle własnej fantazji. Co do tych portretów, to ten z lewej też jest raczej wolną wariacją na temat, przedstawia bowiem elfkę Larę Dorren aep Shiadhal, osobę, której malarka nie mogła znać. Malarką była bowiem

znana ci pewnie z legendy Lydia van Bredevoort. Jeden z jej ocalałych olejów wisi jeszcze w akademii.

– Wiem. A ten drugi portret?

Nimue długo patrzyła na obraz. Na wizerunek szczupłej dziewczyny o jasnych włosach i smutnym spojrzeniu. Ubranej w białą sukienkę z zielonymi rękawkami.

– Malował go Robin Anderida – powiedziała, odwracając się i patrząc prosto w oczy Condwiramurs. – A kogo przedstawia... Ty mi to powiedz, śniączko i onejromantko. Wyśnij to. I opowiedz mi twój sen.

•

Mistrz Robin Anderida pierwszy dostrzegł zbliżającego się cesarza, zgiął się w ukłonie. Stella Congreve, hrabina na Liddertalu, wstała i dygnęła, szybkim gestem każąc zrobić to samo siedzącej na rzeźbionym fotelu dziewczynie.

– Witam panie. – Emhyr var Emreis skinął głową. – Witam i ciebie, mistrzu Robinie. Jak postępuje praca?

Mistrz Robin chrząknął zakłopotany i znowu się ukłonił, nerwowo wycierając palce w kitel. Emhyr wiedział, że artysta cierpi na ostrą agorafobię i jest chorobliwie nieśmiały. Ale komu to przeszkadzało. Ważne było, jak malował.

Cesarz, jak zwykle podczas podróży, nosił oficerski uniform gwardyjskiej brygady „Impera" – czarną zbroję i płaszcz z haftem przedstawiającym srebrną salamandrę. Zbliżył się, spojrzał na portret. Najpierw na portret, potem dopiero na modelkę. Szczupłą dziewczynę o jasnych włosach i smutnym spojrzeniu. Ubraną w białą sukienkę z zielonymi rękawkami, z małym dekolcikiem przyozdobionym kolijką z perydotów.

– Znakomicie – powiedział celowo w pustkę, tak by nie wiadomo było, co chwali. – Znakomicie, mistrzu. Proszę kontynuować, nie zwracając uwagi na moją osobę. Zechce pani pozwolić na słowo, hrabino.

Odszedł dalej ku oknu, zmuszając ją, by szła za nim.

– Wyjeżdżam – powiedział cicho. – Sprawy państwowe. Dziękuję za gościnę. I za nią. Za princessę. Naprawdę dobra robota, Stello. Naprawdę należy się pochwała. Tak tobie, jak i jej.

Stella Congreve dygnęła głęboko i z gracją.

– Wasza Cesarska Mość jest dla nas za dobry.

– Nie chwal dnia przed zachodem.

– Ach... – zacisnęła lekko wargi. – To tak?

– To tak.

– Co z nią będzie, Emhyrze?

– Nie wiem – odrzekł. – Za dziesięć dni wznawiam ofensywę na Północy. A zapowiada się trudna, bardzo trudna wojna. Vattier de Rideaux śledzi wymierzone przeciwko mnie spiski i sprzysiężenia. Do różnych, do bardzo różnych rzeczy może mnie zmusić racja stanu.

– To dziecko nie jest niczemu winne.

– Powiedziałem: racja stanu. Racja stanu nie ma nic wspólnego ze sprawiedliwością. Zresztą...

Machnął ręką.

– Chcę z nią porozmawiać. Sam na sam. Pozwól bliżej, księżniczko. Dalej, dalej, żywiej. Cesarz rozkazuje.

Dziewczyna dygnęła głęboko. Emhyr mierzył ją wzrokiem, wracając pamięcią do tamtej brzemiennej w skutki audiencji w Loc Grim. Był pełen uznania, ba, podziwu nawet dla Stelli Congreve, która w ciągu sześciu miesięcy, jakie upłynęły od tamtego czasu, zdołała to niezgrabne kacząt ko przekształcić w małą arystokratkę.

– Zostawcie nas – rozkazał. – Zrób przerwę, mistrzu Robinie, na umycie pędzli, dajmy na to. Ciebie zaś, hrabino, proszę, byś zechciała zaczekać w przedpokojach. A ty, księżniczko, pozwól ze mną na taras.

Mokry śnieg, który spadł w nocy, stopniał w pierwszych promieniach porannego słońca, ale dachy wież i pinakli zamku Darn Rowan wciąż były mokre i świeciły tak, że zdawały się płonąć.

Emhyr podszedł do balustrady tarasu. Dziewczyna – zgodnie z etykietą – trzymała się o krok za nim. Niecierpliwym gestem zmusił ją, by podeszła bliżej.

Cesarz milczał długo, obu dłońmi wsparty na balustradzie, wpatrzony we wzgórza i porastające je wiecznie zielone cisy, wyraźnie odcinające się od wapiennej bieli skalistych uskoków. Błyskała rzeka, wstęgą roztopionego srebra wijąca się dnem kotliny.

W powietrzu czuło się wiosnę.

– Za rzadko tu bywam – odezwał się Emhyr. Dziewczyna milczała.

– Za rzadko tu przyjeżdżam – powtórzył, odwracając się. – A to piękne i tchnące spokojem miejsce. Piękna okolica... Zgadzasz się ze mną?

– Tak, Wasza Cesarska Mość.

– W powietrzu czuje się już wiosnę. Mam rację?

– Tak, Wasza Cesarska Mość.

Z dołu, z podwórca, słychać było śpiew zakłócany brzękiem, szczękiem i dzwonieniem podków. Eskorta, poinformowana, że cesarz rozkazał wyjazd, pospiesznie szykowała się do drogi. Emhyr pamiętał, że wśród gwardzistów był jeden, który śpiewał. Często. I niezależnie od okoliczności.

Pojrzyj na mię miłościwie
Oczęty bławemi
Obdarzże mnie litościwie
Wdziękami swojemi
Wspomnij na mię litościwie
I w tej porze nocnej
Nie odmawiaj miłościwie
Wzajemności mocnej

– Ładna ballada – powiedział w zamyśleniu, dotykając palcami ciężkiego, złotego, cesarskiego alszbandu.

– Ładna, Wasza Cesarska Mość.

Vattier zapewnia mnie, że jest już na tropie Vilgefortza. Że odnalezienie go jest kwestią dni, najwyżej tygodni. Głowy zdrajców spadną, a do Nilfgaardu sprowadzona zostanie prawdziwa Cirilla, królowa Cintry.

A zanim do Nilfgaardu przybędzie autentyczna Ciri, trzeba będzie coś zrobić z sobowtórem.

– Unieś głowę.

Posłuchała.

– Masz jakieś życzenia? – spytał nagle ostro. – Skargi? Prośby?

– Nie, Wasza Cesarska Wysokość. Nie mam.

– Doprawdy? To ciekawe. No, ale przecież nie mogę ci rozkazać, byś miała. Unieś głowę, jak przystoi princessie. Stella chyba nauczyła cię manier?

– Tak, Wasza Cesarska Mość.

W samej rzeczy, dobrze ją wyuczyli, pomyślał. Najpierw Rience, potem Stella. Dobrze wyuczyli roli i kwestii, grożąc zapewne, że za pomyłkę lub błąd zapłaci torturą i śmiercią. Ostrzegli, że będzie musiała

grać przed surowym, nie wybaczającym błędów audytorium. Przed strasznym Emhyrem var Emreisem, cesarzem Nilfgaardu.

– Jak masz na imię? – spytał ostro.

– Cirilla Fiona Elen Riannon.

– Prawdziwe imię.

– Cirilla Fiona...

– Nie nadużywaj mojej cierpliwości. Imię!

– Cirilla... – głos dziewczyny złamał się jak patyczek. – Fiona...

– Dość, na Wielkie Słońce – powiedział przez zaciśnięte zęby. – Dość!

Głośno pociągnęła nosem. Wbrew etykiecie. Usta jej dygotały, ale tego etykieta nie zabraniała.

– Uspokój się – rozkazał, ale głosem cichym i prawie łagodnym. – Czego się lękasz? Wstydzisz się własnego imienia? Boisz się go wyznać? Wiąże się z nim coś, co jest nieprzyjemne? Jeżeli pytam, to tylko dlatego, że chciałbym móc zwrócić się do ciebie twym prawdziwym imieniem. Ale muszę wiedzieć, jak ono brzmi.

– Nijako – odpowiedziała, a wielkie oczy zabłysły jej nagle jak podświetlone płomieniem szmaragdy. – Bo jest to imię nijakie, Wasza Cesarska Mość. Imię w sam raz dla kogoś, kto jest nikim. Tak długo, jak jestem Cirillą Fioną, coś znaczę... Tak długo, jak...

Głos uwiązł jej w krtani tak raptownie, że odruchowo uniosła ręce ku szyi, jak gdyby to, co na niej miała, to nie była kolia, lecz dławiąca garota. Emhyr wciąż mierzył ją wzrokiem, nadal pełen uznania dla Stelli Congreve. Jednocześnie czuł złość. Złość nieuzasadnioną. I przez to tak złą.

Czego ja chcę od tego dzieciaka, pomyślał, czując, jak złość wzbiera w nim, jak wrze, jak pęcznieje pianą niby zupa w kotle. Czego ja chcę od dzieciaka, którego...

– Wiedz, że nie miałem nic wspólnego z twoim uprowadzeniem, dziewczyno – powiedział ostro. – Nie miałem nic wspólnego z twoim porwaniem. Nie wydałem takich rozkazów. Oszukano mnie...

Był wściekły na siebie, świadom, że popełnia błąd. Należało już dawno zakończyć tę rozmowę, zakończyć ją wyniośle, władczo, groźnie, po imperatorsku. Należało zapomnieć o tej dziewczynie i o jej zielonych oczach. Ta dziewczyna nie istniała. Była sobowtórem. Imitacją. Nie miała nawet imienia. Była nikim. A imperator nie rozmawia z kimś, kto

jest nikim. Imperator nie przyznaje się do pomyłek przed kimś, kto jest nikim. Imperator nie prosi o wybaczenie, nie kaja się przed kimś, kto...

– Wybacz mi – powiedział, a słowa były obce, niemile kleiły się do warg. – Popełniłem błąd. Tak, to prawda, jestem winny tego, co cię spotkało. Zawiniłem. Ale daję ci moje słowo, nic ci już nie grozi. Nie spotka cię już nic złego. Żadna krzywda, żadna ujma, żadna przykrość. Nie musisz się bać.

– Nie boję się. – Podniosła głowę i wbrew etykiecie spojrzała mu prosto w oczy. Emhyr drgnął, ugodzony uczciwością i ufnością jej wzroku. Natychmiast wyprostował się, cesarski i wyniosły aż do obrzydzenia.

– Proś mnie, o co chcesz.

Spojrzała na niego znowu, a on mimowolnie przypomniał sobie te niezliczone okazje, gdy w ten właśnie sposób kupował sobie spokój sumienia za wyrządzoną komuś podłość. W skrytości ducha ciesząc się niecnie, że tak tanio płaci.

– Proś mnie, o co chcesz – powtórzył, a przez to, że był już zmęczony, głos jego zyskał nagle na człowieczeństwie. – Spełnię każde twe życzenie.

Niech nie patrzy na mnie, pomyślał. Nie zniosę jej spojrzenia.

Ludzie podobno boją się patrzeć na mnie. A czego ja się boję?

Gdzieś mam Vattiera de Rideaux i jego rację stanu. Jeśli ona poprosi, każę ją zawieźć do domu, tam, skąd ją uprowadzili. Każę ją tam zawieźć w złotej poszóstnej karocy. Wystarczy, że poprosi.

– Proś mnie, o co chcesz – powtórzył.

– Dziękuję Waszej Cesarskiej Mości – powiedziała dziewczyna, spuszczając oczy. – Wasza Cesarska Mość jest bardzo szlachetna i hojna. Jeśli mogę mieć prośbę...

– Mów.

– Chciałabym móc tu zostać. Tu, w Darn Rowan. U pani Stelli.

Nie był zdziwiony. Przeczuwał coś takiego.

Takt powstrzymał go przed pytaniami, które byłyby upokarzające dla obojga.

– Dałem słowo – rzekł zimno. – Niech więc stanie się wedle twej woli.

– Dziękuję Waszej Cesarskiej Mości.

– Dałem słowo – powtórzył, starając się uniknąć jej wzroku – i dotrzymam go. Myślę jednak, że wybrałaś źle. Wyraziłaś nie to życzenie,

co trzeba. Gdybyś zmieniła zdanie...

– Nie zmienię – powiedziała, gdy jasnym się stało, że cesarz nie dokończy. – Po co miałabym zmieniać? Wybrałam panią Stellę, wybrałam rzeczy, których w życiu zaznałam tak mało... Dom, ciepło, dobroć... Serce. Nie można popełnić błędu, wybierając coś takiego.

Biedna, naiwna istotko, pomyślał cesarz Emhyr var Emreis, Deithwen Addan yn Carn aep Morvudd, Biały Płomień Tańczący na Kurhanach Wrogów. Właśnie wybierając coś takiego, popełnia się najstraszliwsze pomyłki.

Ale coś – może dalekie zapomniane wspomnienie – powstrzymało cesarza przed tym, by powiedzieć to na głos.

•

– Interesujące – powiedziała Nimue, wysłuchawszy relacji. – Rzeczywiście interesujący sen. Były jeszcze jakieś inne?

– Ba! – Condwiramurs szybkim i pewnym uderzeniem noża ścięła czubek jajka. – Wciąż jeszcze w głowie mi się kręci po tej rewii! Ale to normalne. Pierwsza noc na nowym miejscu zawsze przynosi szaleńcze sny. Wiesz, Nimue, mówią o nas, śniączkach, że nasz talent nie na tym polega, że śnimy. Jeżeli pominąć wizje w transie czy pod hipnozą, nasze marzenia senne nie różnią się od snów innych ludzi ani intensywnością, ani bogactwem, ani ładunkiem prekognicyjnym. Nas wyróżnia i o naszym talencie przesądza coś zupełnie innego. My pamiętamy sny. Rzadko kiedy zapominamy, co się nam śniło.

– Bo macie nietypową i tylko wam właściwą pracę gruczołów dokrewnych – ucięła Pani Jeziora. – Wasze sny to, trywializując nieco, nic innego jak wydzielone do organizmu endorfiny. Jak większość dzikich talentów magicznych, także i wasz jest prozaicznie organiczny. Ale po co ja mówię o czymś, co sama świetnie wiesz. Słucham cię, jakież to sny jeszcze pamiętasz?

– Młody chłopak – zmarszczyła brwi Condwiramurs – wędrujący wśród pustych pól, z tobołkiem na ramieniu. Pola są puste, wiosenne. Wierzby... Przy drogach i na miedzach. Wierzby, krzywe, dziuplaste, rozczapierzone... Gołe, jeszcze nie zazielenione. Chłopak idzie, rozgląda się. Zapada noc. Na niebie pojawiają się gwiazdy. Jedna z nich jest ruchoma. To kometa. Czerwonawa migotliwa iskra, skosem przecinająca nieboskłon...

– Brawo – uśmiechnęła się Nimue. – Choć pojęcia nie mam, o kim śniłaś, można przynajmniej precyzyjnie określić datę tego zdarzenia. Czerwona kometa była widoczna przez sześć dni, wiosną roku zawarcia pokoju cintryjskiego. Dokładniej, w pierwszych dniach marca. W pozostałych snach też wystąpiły jakieś datowniki?

– Moje sny – prychnęła Condwiramurs, soląc jajko – to nie kalendarz rolniczy! Nie mają tabliczek z datami! Ale, żeby być ścisłą, śniłam sen o bitwie pod Brenną, pewnie napatrzywszy się na płótno Mikołaja Certosy w twojej galerii. A data bitwy pod Brenną też jest znana. To ta sama data, co rok komety. Mylę się?

– Nie mylisz się. Coś szczególnego było w tym śnie o bitwie?

– Nie. Kotłowanina koni, ludzi i broni. Ludzie tłukli się i wrzeszczeli. Ktoś, zapewne nienormalny, wył: „Orły! Orły!"

– Co jeszcze? Mówiłaś, że snów była cała rewia.

– Nie pamiętam... – Condwiramurs urwała. Nimue uśmiechnęła się.

– No, dobra – adeptka hardo zadarła nos, nie pozwalając Pani Jeziora na złośliwy komentarz. – Owszem, czasami zapominam. Nikt nie jest doskonały. Powtarzam, moje sny to wizje, nie fiszki biblioteczne...

– Wiem o tym – ucięła Nimue. – To nie jest egzamin twoich śniących zdolności, to jest analiza legendy. Jej zagadek i białych plam. Idzie nam zresztą całkiem nieźle, już w pierwszych snach rozszyfrowałaś dziewczynę z portretu, owego sobowtóra Ciri, którym Vilgefortz usiłował oszukać cesarza Emhyra...

Przerwały, bo do kuchni wszedł Król Rybak. Ukłoniwszy się i zaburczawszy, wziął z kredensu chleb, dwojaki i płócienne zawiniątko. Wyszedł, nie zapominając ukłonić się i zaburczeć.

– Mocno utyka – rzekła Nimue pozornie od niechcenia. – Był ciężko ranny. Dzik rozpruł mu nogę na polowaniu. Dlatego spędza tyle czasu na łodzi. Przy wiosłach i łowieniu ryb rana mu nie przeszkadza, na łodzi zapomina o kalectwie. To bardzo przyzwoity i dobry człowiek. A ja...

Condwiramurs milczała grzecznie.

– Potrzebuję mężczyzny – wyjaśniła rzeczowo mała czarodziejka.

Ja też, pomyślała adeptka. Cholera, gdy tylko wrócę do akademii, zaraz pozwolę się komuś zbałamucić. Celibat jest dobry, ale nie dłużej niż jeden semestr.

Nimue chrząknęła.

– Jeśli skończyłaś śniadać i marzyć, chodźmy do biblioteki.

•

– Wróćmy do twego snu.

Nimue otworzyła teczkę, przerzuciła kilka wykonanych sepią akwarelek, wyjęła jedną. Condwiramurs rozpoznała od razu.

– Audiencja w Loc Grim?

– Oczywiście. Sobowtór zostaje przedstawiony na cesarskim dworze. Emhyr udaje, że dał się podejść, robi dobrą minę do złej gry. Oto, spójrz, ambasadorzy królestw północnych, dla których ten spektakl się odgrywa. Tu zaś widzimy nilfgaardzkich diuków, których spotkał afront: cesarz odtrącił ich córki, zlekceważył koligacyjne oferty. Żądni zemsty, szepczą, nachyleni ku sobie, knują już spisek i mord. Dziewczyna sobowtór stoi z pochyloną głową, malarz, by podkreślić tajemniczość, ustroił ją nawet w kryjący rysy twarzy facelet.

– I nic więcej – podjęła po chwili czarodziejka – nie wiemy o fałszywej Ciri. Żadna z wersji legendy nie podaje, co się z owym sobowtórem stało później.

– Należy się jednak domyślać – rzekła ze smutkiem Condwiramurs – że los dziewczyny nie był do pozazdroszczenia. Gdy Emhyr zdobył oryginał, a przecież wiemy, że zdobył, pozbył się falsyfikatu. Gdy śniłam, nie wyczułam tragedii, a w zasadzie powinnam coś odczuć, gdyby... Z drugiej strony, to, co widzę w snach, to niekoniecznie jest realna prawda. Jak każdy człowiek, śnię marzenia. Pragnienia. Tęsknoty... I lęki.

– Wiem.

•

Dyskutowały do obiadu, przeglądając teczki i fascykuły grafik. Królowi Rybakowi poszczęścił się widać połów, bo na obiad był łosoś z rusztu. Na kolację też.

W nocy Condwiramurs spała źle. Za bardzo się objadła.

Nie wyśniła nic. Była tym trochę przygnębiona i zawstydzona, ale Nimue nie przejęła się w ogóle. Mamy czas, powiedziała. Przed nami jeszcze wiele nocy.

•

Wieża Inis Vitre miała kilka łazienek, iście luksusowych, jasnych od marmuru i lśniących od mosiądzu, ogrzewanych hypokaustonem

mieszczącym się gdzieś w piwnicach. Condwiramurs nie krępowała się okupować wanny godzinami, ale i tak co jakiś czas spotykała się z Nimue w łaźni, malutkiej drewnianej budce z wychodzącym w jezioro pomostem. Mokre, dyszące parą buchającą z polewanych kamieni, siadywały obie na ławeczkach, chłoszcząc się od niechcenia brzozowymi miotełkami, a słony pot ściekał im do oczu.

– Jeśli dobrze zrozumiałam – Condwiramurs otarła twarz – moja praktyka na Inis Vitre ma polegać na tym, żeby wyśnić wszystkie białe plamy legendy o wiedźminie i wiedźmince?

– Dobrze zrozumiałaś.

– Za dnia, poprzez oglądanie grafik i dyskusje, mam się podładowywać do snu, aby w nocy móc wyśnić prawdziwą, nikomu nie znaną wersję danego zdarzenia?

Tym razem Nimue nawet nie uznała za konieczne, by potwierdzać. Smagnęła się tylko kilka razy miotełką, wstała, chlusnęła wodą na rozpalone kamienie. Para buchnęła, gorąco na moment pozbawiło oddechu.

Nimue wylała na siebie resztę wody z cebrzyka. Condwiramurs podziwiała jej figurę. Choć malutka, czarodziejka była zbudowana nad wyraz proporcjonalnie. Kształtów i jędrnej skóry mogła pozazdrościć jej dwudziestolatka. Condwiramurs, niedaleko szukając, miała lat dwadzieścia cztery. I zazdrościła.

– Jeśli nawet coś wyśnię – podjęła, znowu ocierając spoconą twarz – skąd będziemy miały pewność, że śnię wersje prawdziwe? Doprawdy, nie wiem...

– O tym za chwilę – ucięła Nimue. – Na zewnątrz. Dosyć już mam siedzenia w tym ukropie. Schłódźmy się. A potem pogadamy.

To też należało do rytuału. Wybiegły z łaźni, klaszcząc bosymi stopami po deskach pomostu, potem skoczyły w jezioro, wydając dzikie wrzaski. Popluskawszy się, wyszły na pomost, wykręcały włosy.

Król Rybak, zaalarmowany pluskiem i piskiem, obejrzał się na swojej łodzi, popatrzył, przysłaniając oczy dłonią, ale zaraz odwrócił się i zajął rybackimi akcesoriami. Condwiramurs takie zachowanie uważała za obelżywe i karygodne. Jej opinia o Królu Rybaku bardzo wzrosła, gdy zauważyła, że czas, którego nie spędzał na łowieniu, poświęcał czytaniu. Chodził z książką nawet do klozetu, a było to ni mniej, ni więcej, tylko *Speculum aureum*, dzieło poważne i trudne. Jeżeli więc nawet w

pierwszych dniach pobytu na Inis Vitre Condwiramurs odrobinkę dziwiła się Nimue, to już dawno przestała. Stawało się jasne, że Król Rybak był chamem i gburem jedynie z pozoru. Względnie z bezpiecznej mimikry.

Tym niemniej, pomyślała Condwiramurs, obelgą i niewybaczalnym afrontem jest odwracanie się ku wędkom i błyszczom, gdy po pomoście paradują dwie nagie niewiasty o ciałach godnych nimf, od których oczu nie powinno się móc oderwać.

– Jeżeli coś wyśnię – wróciła do tematu, trąc piersi ręcznikiem – jaka będzie gwarancja, że śniłam wersje prawdziwe? Znam wszystkie wersje literackie legendy, od *Pół wieku poezji* Jaskra po *Panią Jeziora* Andrei Ravixa. Znam wielebnego Jarre'a, znam wszystkie opracowania naukowe, a o edycjach popularnych nawet nie wspominam. Te wszystkie lektury zostawiły ślad, wywarły wpływ, nie jestem w stanie wyeliminować tego z moich snów. Czy jest szansa przedrzeć się przez fikcję i wyśnić prawdę?

– Jest.

– Jak duża?

– Równa tej – Nimue ruchem głowy wskazała łódź na jeziorze – jaką ma Król Rybak. Sama widzisz, bez wytchnienia zarzuca swoje haki. Zaczepia zielsko, korzenie, zatopione karcze, pnie, stare buty, topielców i kaduk wie, co jeszcze. Ale od czasu do czasu coś tam złowi.

– Szczęśliwych łowów zatem – westchnęła Condwiramurs, ubierając się. – Zarzucajmy przynętę i łówmy. Szukajmy prawdziwych wersji legendy, odpruwajmy tapicerkę i podszewkę, opukujmy kufer w poszukiwaniu drugiego dna. A co, jeśli drugiego dna nie ma? Przy całym szacunku, Nimue, nie jesteśmy pierwsze na tym łowisku. Jaka jest szansa, że jakikolwiek szczegół i detal umknął uwadze watah badaczy, którzy łowili przed nami? Że zostawili nam choćby jedną rybkę?

– Zostawili – stwierdziła z przekonaniem Nimue, rozczesując mokre włosy. – To, czego sami nie wiedzieli, zatynkowali konfabulacją i pięknosłowiem. Lub zbyli milczeniem.

– Na przykład?

– Zimowy pobyt wiedźmina w Toussaint, żeby daleko nie szukać. Wszystkie wersje legendy zbywają ten epizod krótkim zdaniem: „Bohaterowie spędzili zimę w Toussaint". Nawet Jaskier, który swoim wyczynom w tym księstwie poświęcił dwa rozdziały, na temat

wiedźmina jest zaskakująco enigmatyczny. Czy nie warto by więc dowiedzieć się, co się wydarzyło tej zimy? Po ucieczce z Belhaven i spotkaniu z elfem Avallac'hem w podziemnym kompleksie Tir ná Béa Arainne? Po potyczce w Caed Myrkvid i przygodzie z druidkami? Co robił wiedźmin w Toussaint od października do stycznia?

– Co robił? Zimował! – parsknęła adeptka. – Nie mógł przed odwilżą sforsować przełęczy, więc zimował i nudził się. Nie dziwota, że późniejsi autorzy załatwiali ten nudny fragment lakonicznym: „Minęła zima". No, ale skoro trzeba, spróbuję coś wyśnić. Mamy jakieś obrazy lub rysunki?

Nimue uśmiechnęła się.

– Mamy nawet jeden rysunek na rysunku.

•

Naskalny fresk przedstawiał scenę myśliwską. Chude, zarysowane niedbałymi ruchami pędzla ludziki z łukami i dzidami ścigały w dzikich podskokach wielkiego i fioletowego bizona. Bizon miał na boku tygrysie pręgi, a nad jego lirowato wygiętymi rogami unosiło się coś, co przypominało ważkę.

– To więc – pokiwał głową Regis – jest owo malowidło. Wymalowane przez elfa Avallac'ha. Elfa, który dużo wiedział.

– Tak – potwierdził sucho Geralt. – To jest właśnie to malowidło.

– Problem polega na tym, że w dokładnie spenetrowanych przez nas jaskiniach nie ma śladu ani elfów, ani innych stworów, o których napomykałeś.

– Byli tu. Teraz pochowali się. Albo wynieśli.

– To fakt bezsporny. Nie zapominaj, posłuchania udzielono ci wyłącznie za wstawiennictwem flaminiki. Widocznie uznano, że jednego posłuchania wystarczy. Po tym, gdy flaminika w sposób dość kategoryczny odmówiła współpracy, naprawdę nie wiem, co jeszcze możesz zrobić. Łazimy po tych jaskiniach cały dzień. Nie mogę oprzeć się wrażeniu, że bezsensownie.

– Ja też – powiedział wiedźmin gorzko – nie mogę oprzeć się takiemu wrażeniu. Nigdy nie zrozumiem elfów. Ale wiem już przynajmniej, dlaczego większość ludzi nie przepada za nimi. Bo trudno oprzeć się wrażeniu, że one z nas drwią. We wszystkim, co robią, co mówią, co myślą, elfy drwią z nas, szydzą. Kpią.

– Przemawia przez ciebie antropomorfizm.

– Może trochę. Ale wrażenie pozostaje.

– Co robimy?

– Wracamy do Caed Myrkvid, do Cahira, któremu już pewnie druidki podleczyły oskalpowaną łepetynę. Potem wsiadamy na konie i korzystamy z zaproszenia księżnej Anny Henrietty. Nie rób min, wampirze. Milva ma połamane żebra, Cahir rozwalony łeb, trochę odpoczynku w Toussaint dobrze zrobi obojgu. Trzeba też wyplątać Jaskra z afery, bo zdaje się, że nieźle się wplątał.

– Cóż – westchnął Regis – niech tak się stanie. Będę musiał trzymać się z daleka od zwierciadeł i psów, uważać na czarodziejów i telepatów... A gdyby mnie mimo to zdemaskowano, liczę na ciebie.

– Możesz liczyć – odrzekł poważnie Geralt. – Nie zostawię cię w potrzebie. Druhu.

Wampir uśmiechnął się, a ponieważ byli sami, pełnym garniturem kłów.

– Druhu?

– Przemawia przeze mnie antropomorfizm. Dalej, wychodzimy z tych pieczar, druhu. Bo tutaj możemy znaleźć wyłącznie reumatyzm.

– Wyłącznie. Chyba, że... Geralt? Tir ná Béa Arainne, elfia nekropolia, zgodnie z tym, co widziałeś, jest za naskalnym malowidłem, dokładnie za tą ścianą... Można by się tam dostać, gdyby... No, wiesz. Gdyby to rozwalić. Nie myślałeś o tym?

– Nie. Nie myślałem.

•

Królowi Rybakowi znowu się powiodło, bo na kolację były wędzone palie. Ryby były tak smaczne, że nauka poszła w las. Condwiramurs objadła się znowu.

•

Condwiramurs odbiło się wędzoną palią. Pora spać, pomyślała, po raz drugi łapiąc się na tym, że stronę książki przewraca machinalnie, wcale nie rejestrując treści. Czas na sen.

Ziewnęła, odłożyła książkę. Rozrzuciła poduszki, zmieniając układ z czytelniczego na rekreacyjny. Zaklęciem zgasiła lampę. Komnata momentalnie utonęła w nieprzebitym i gęstym jak melasa mroku. Ciężkie welurowe kotary były szczelnie zaciągnięte – adeptka dawno już zdążyła wypraktykować, że w ciemnościach śni lepiej. Co wybrać,

pomyślała, przeciągając się i wiercąc na prześcieradle. Iść na onejroidalny żywioł czy spróbować się kotwiczyć?

Wbrew pysznym zapewnieniom, śniączki nie pamiętały nawet połowy swych wieszczych snów, znaczna ich część zostawała w pamięci onejromantek jako galimatias obrazków, zmieniających kolory i kształty niby kalejdoskop, dziecinna zabawka z lusterek i szkiełek. Pół biedy, jeśli obrazki pozbawione były wszelkiego ładu i nawet pozorów znaczenia, można było wówczas spokojnie przejść nad nimi do porządku dziennego. Na zasadzie: nie pamiętam, znaczy, że nie warto pamiętać. W żargonie śniączek takie sny zwały się „kitem".

Gorszą i trochę wstydliwą sprawą były „widma" – sny, z których śniączki zapamiętywały jedynie fragmenty, wyłącznie strzępki znaczeń, sny, po których rano zostawało tylko niejasne odczucie odebranego sygnału. Jeśli „widmo" nadto powtarzało się, można było być pewnym, że miało się do czynienia ze snem o znaczącej wartości onejroidalnej. Wówczas śniączka poprzez skupienie i autosugestię usiłowała zmusić się do ponownego, tym razem dokładnego prześnienia konkretnego „widma". Najlepsze wyniki dawała metoda zmuszania się do nowego snu natychmiast po przebudzeniu – nazywało się to „haczeniem". Jeśli sen nie dawał się „zahaczyć", pozostawała próba powtórnego wywołania danej wizji sennej podczas któregoś z kolejnych seansów, poprzez poprzedzającą zaśnięcie koncentrację i medytację. Takie programowanie śnienia nosiło nazwę „kotwiczenia się".

Po dwunastu spędzonych na wyspie nocach Condwiramurs miała już trzy listy, trzy zestawy snów. Była lista godnych puszenia się sukcesów – lista „widm", które śniączka z powodzeniem „zahaczyła" lub „zakotwiczyła". Do takich należały sny o rebelii na wyspie Thanedd oraz o podróży wiedźmina i jego drużyny przez zamiecie na przełęczy Malheur, przez wiosenne ulewy i rozmiękłe drogi w dolinie Sudduth. Była – do tego adeptka nie przyznawała się Nimue – lista klęsk, snów, które mimo wysiłków nadal pozostawały enigmą. I była lista robocza – lista snów, które czekały na swoją kolejkę.

I był jeden sen, dziwny, ale bardzo przyjemny, który powracał w strzępach i migawkach, w nieuchwytnych dźwiękach i jedwabistym dotyku.

Miły, tkliwy sen.

Dobrze, pomyślała Condwiramurs, zamykając oczy. Niech będzie.

•

– Zdaje się, że wiem, czym zajmował się wiedźmin, zimując w Toussaint.

– Proszę, proszę. – Nimue uniosła wzrok znad okularów i oprawnego w skórę grimoire'u, który wertowała. – Wyśniłaś coś jednak wreszcie?

– A jakże! – powiedziała chełpliwie Condwiramurs. – Wyśniłam! Wiedźmina Geralta i kobietę o krótkich czarnych włosach i zielonych oczach. Nie wiem, kto to mógł być. Może owa księżna, o której pisze w pamiętnikach Jaskier?

– Chyba czytałaś nieuważnie – schłodziła ją nieco czarodziejka. – Jaskier opisuje księżną Anariettę dokładnie, a inne źródła potwierdzają, że włosy miała, cytuję, kasztanowej barwy, lśniące, zaprawdę złotu podobną aureolą.

– A zatem to nie ta – zgodziła się adeptka. – Moja kobieta była czarna. Jako ten, zaprawdę, węgiel. A sen był... Hmmm... Ciekawy.

– Słucham z uwagą.

– Rozmawiali. Ale to nie była zwykła rozmowa.

– Cóż było w niej niezwykłego?

– Większą część czasu ona trzymała nogi na jego ramionach.

•

– Powiedz mi, Geralt, wierzysz w miłość od pierwszego wejrzenia?

– A ty wierzysz?

– Wierzę.

– Teraz już wiem, co nas połączyło. Przyciągające się przeciwieństwa.

– Nie bądź cyniczny.

– Dlaczego? Cynizm podobno dowodzi inteligencji.

– Nieprawda. Cynizm, przy całej swej pseudointeligentnej otoczce, jest obrzydliwie nieszczery. Ja nie znoszę żadnej nieszczerości. Skoro już przy tym jesteśmy... Powiedz mi, wiedźminie, co kochasz we mnie najbardziej?

– To.

– Popadasz z cynizmu w trywialność i banał. Spróbuj jeszcze raz.

– Najbardziej kocham w tobie twój rozum, twoją inteligencję i twoją duchową głębię. Twoją niezależność i swobodę, twoją...

– Nie pojmuję, skąd w tobie tyle sarkazmu.

– To nie był sarkazm, to był żart.

– Nie cierpię takich żartów. Zwłaszcza nie w porę. Wszystko, mój drogi, ma swój czas i jest wyznaczona godzina na wszystkie sprawy pod niebem. Jest czas milczenia i czas mówienia, czas płaczu i czas śmiechu, czas siania i czas rozbierania, przepraszam, zbierania, czas żartów i czas powagi...

– Czas pieszczot cielesnych i czas powstrzymywania się od nich?

– No, nie bierz tego tak dosłownie! Przyjmijmy raczej, że teraz jest czas komplementów. Kochanie się bez komplementów trąci mi fizjologią, a fizjologia jest płaska. Mów mi komplementy!

– Nikt, od Jarugi po Buinę, nie ma tak pięknego tyłka jak ty.

– Masz ci los, teraz dla odmiany przymierzył mnie do jakichś barbarzyńskich północnych rzeczek. Pomijając w ogóle jakość metafory, nie można było powiedzieć: od Alby po Veldę? Albo: od Alby po Sansretour?

– W życiu nie byłem nad Albą. Staram się unikać wyrokowania, gdy nie jest poparte rzetelną eksperiencją.

– Och! Doprawdy? Domniemywam zatem, że tyłków, bo o nich wszak była mowa, widziałeś i doświadczyłeś dość, by móc wyrokować? Co, białowłosy? Ileż to kobiet miałeś przede mną? Hę? Zadałam ci pytanie, wiedźminie! Nie, nie, zostaw, łapy precz, takim sposobem nie wykręcisz się od odpowiedzi. Ile kobiet miałeś przede mną?

– Żadnej. Jesteś moją pierwszą.

– Nareszcie!

•

Nimue od bardzo długiej chwili wpatrywała się w obraz przedstawiający w subtelnym *chiaroscuro* dziesięć siedzących za okrągłym stołem kobiet.

– Szkoda – odezwała się wreszcie – że nie wiemy, jak one naprawdę wyglądały.

– Wielkie mistrzynie? – parsknęła Condwiramurs. – Pełno jest przecież ich portretów! W samej tylko Aretuzie...

– Mówiłam: naprawdę – ucięła Nimue. – Nie szło mi o pochlebione podobizny namalowane na podstawie innych pochlebionych podobizn. Nie zapominaj, był czas niszczenia wizerunków czarodziejek. I samych czarodziejek. A potem był czas propagandy, gdy mistrzynie musiały samym swym wyglądem budzić szacunek, podziw i nabożny lęk. Z tego

czasu pochodzą wszystkie *Zebrania Loży*, *Sprzysiężenia* i *Konwenty*, płótna i grafiki przedstawiające stół, a za nim dziesięć wspaniałych, urzekająco urodziwych kobiet. A prawdziwych, autentycznych portretów nie ma. Poza dwoma wyjątkami. Autentyczny jest portret Margarity Laux-Antille, który wisi w Aretuzie na wyspie Thanedd, a który cudem ocalał z pożaru. Autentyczny jest portret Sheali de Tancarville w Ensenadzie w Lan Exeter.

– A namalowany przez elfy portret Franceski Findabair wiszący w vengerberskiej Pinakotece?

– Falsyfikat. Gdy otwarto Drzwi i elfy odeszły, zabrały ze sobą lub zniszczyły wszystkie dzieła sztuki, nie zostawiły ani jednego obrazu. Nie wiemy, czy Stokrotka z Dolin była rzeczywiście tak piękna, jak głosi podanie. W ogóle nie wiemy, jak wyglądała Ida Emean. A że w Nilfgaardzie wizerunki czarodziejek niszczono bardzo pilnie i starannie, nie mamy pojęcia o prawdziwym wyglądzie Assire var Anahid i Fringilli Vigo.

– Przyjmijmy jednak i umówmy się – westchnęła Condwiramurs – że one wszystkie tak właśnie wyglądały, jak je później portretowano. Dostojne, władcze, dobre i mądre, zapobiegliwe, prawe i szlachetne. I piękne, zniewalająco piękne... Przyjmijmy to. Wtedy jakoś łatwiej żyć.

•

Dzienne zajęcia na Inis Vitre nabrały cech nużącej nieco rutyny. Analiza snów Condwiramurs, zaczynająca się już przy śniadaniu, przeciągała się zwykle aż do południa. Czas między południem a obiadem adeptka trawiła na spacerach – a te również szybko stały się rutynowe i nudnawe. Trudno było się dziwić. W ciągu godziny wyspę można było okrążyć dwukrotnie, napatrzywszy się przy tym na tak zajmujące rzeczy jak granit, karłowata sosna, żwir, szczeżuje, woda i mewy.

Po obiedzie, po długiej sjeście, następowały dyskusje, przeglądanie ksiąg, zwojów i manuskryptów, oglądanie obrazów, grafik i map. I długie, przeciągające się w noc dysputy o wzajemnych relacjach legendy i prawdy...

A potem były noce i sny. Różne sny. Celibat dawał o sobie znać. Zamiast zagadek wiedźmińskiej legendy, Condwiramurs śnił się Król Rybak w najróżniejszych sytuacjach, od krańcowo nieerotycznych po

ekstremalnie erotyczne. We śnie krańcowo nieerotycznym Król Rybak wlókł ją na lince za łodzią. Wiosłował wolno i ospale, więc pogrążała się w jeziorze, tonęła, dusiła się, a do tego targał nią straszliwy strach – czuła, że od dna jeziora odrywa się i płynie ku powierzchni coś okropnego, coś, co chce połknąć ciągniętą za łodzią przynętę, którą była. Już, już to coś miało ją chwycić, gdy Król Rybak mocniej napierał na wiosła, odciągając ją z zasięgu szczęk niewidzialnego drapieżnika. Wleczona, zadławiała się wodą i wtedy się budziła.

We śnie niedwuznacznie erotycznym klęczała na dnie rozchybotanej łodzi, przewieszona przez burtę, a Król Rybak trzymał ją za kark i chędożył entuzjastycznie, burcząc przy tym, charcząc i spluwając. Oprócz fizycznej przyjemności Condwiramurs czuła skręcające trzewia przerażenie – co będzie, gdy Nimue ich przyłapie? Nagle w wodzie jeziora widziała rozchybotane, groźne oblicze małej czarodziejki... i budziła się, zlana potem.

Wstawała wówczas, otwierała okno, zachłystywała się nocnym powietrzem, księżycowym blaskiem, płynącą od jeziora mgłą.

I śniła dalej.

•

Wieża Inis Vitre miała taras, wsparty na kolumnach, zwieszający się nad jeziorem. Z początku Condwiramurs nie poświęcała tej sprawie uwagi, wreszcie jednak zaczęła się zastanawiać. Taras był dziwny, bo absolutnie niedostępny. Z żadnego ze znanych jej pomieszczeń wieży nie można było na ów taras wyjść.

Świadoma, że siedziby czarodziejek nie mogą obyć się bez takich sekretnych anomalii, Condwiramurs nie zadawała pytań. Nawet wówczas, gdy spacerując brzegiem jeziora, widziała Nimue przypatrującą się jej z owego tarasu. Niedostępnego, jak się okazywało, tylko dla niepowołanych i profanów.

Trochę zła, że za profankę się ją uważa, zawzięła się i udawała, że nic się nie stało. Ale nie potrwało długo, a tajemnica się wyjaśniła.

Było to po tym, gdy nawiedziła ją seria snów, wywołanych akwarelami Wilmy Wessely. Zafascynowana widać tym fragmentem legendy, malarka poświęciła wszystkie swoje dzieła Ciri w Wieży Jaskółki.

– Dziwne mam sny po tych obrazkach – poskarżyła się adeptka następnego ranka. – Śnię... obrazki. Wciąż te same obrazki. Nie sytuacje, nie sceny, ale obrazki. Ciri na blankach wieży... Nieruchomy obrazek.

– I nic więcej? Żadnych doznań poza wzrokowymi?

Nimue wiedziała, rzecz jasna, że śniączka tak zdolna jak Condwiramurs śni wszystkimi zmysłami – odbiera sny nie tylko wzrokiem, jak większość ludzi, ale również słuchem, dotykiem, węchem – a nawet smakiem.

– Nic – pokręciła głową Condwiramurs. – Tylko...

– No, no?

– Myśl. Uporczywa myśl. Że nad tym jeziorem, w tej wieży wcale nie jestem panią, lecz więźniem.

– Pozwól ze mną.

Tak, jak Condwiramurs się domyślała, dostęp do tarasu możliwy był tylko z prywatnych komnat czarodziejki, czyściutkich, pedantycznie porządnych, pachnących drzewem sandałowym, mirrą, lawendą i naftaliną. Trzeba było skorzystać z małych sekretnych drzwiczek i kręconych schodów prowadzących w dół. Wówczas wchodziło się tam, gdzie należało.

Komnata, w odróżnieniu od pozostałych, nie miała na ścianach boazerii ani tapiserii, była wyłącznie pobielona, a przez to bardzo jasna. Tym jaśniejsza, że było tu ogromne tryptykowe okno, a raczej szklane drzwi wiodące wprost na zwisający nad jeziorem taras.

Jedynymi meblami w komnacie były dwa fotele, olbrzymie zwierciadło w owalnej mahoniowej ramie oraz rodzaj stojaka z poprzecznym poziomym ramieniem, na którym zawieszono gobelin. Gobelin mierzył jakieś pięć stóp na siedem i sięgał frędzlami podłogi.

Arras przedstawiał skalne urwisko nad górskim jeziorem. Zamek wtopiony w urwisko, zdający się być częścią skalnej ściany. Zamek, który Condwiramurs dobrze znała. Z licznych ilustracji.

– Cytadela Vilgefortza, miejsce uwięzienia Yennefer. Miejsce, w którym zakończyła się legenda.

– Tak jest – przytaknęła pozornie obojętnie Nimue. – Tam zakończyła się legenda, przynajmniej w znanych jej wersjach. Znamy właśnie te wersje, dlatego wydaje się nam, że znamy zakończenie. Ciri uciekła z Wieży Jaskółki, gdzie, jak to wyśniłaś, była więźniem. Gdy zorientowała

się, co chcą jej zrobić, uciekła. Legenda podaje wiele wersji tej ucieczki...

– Mnie – wtrąciła Condwiramurs – najbardziej podoba się ta z rzucanymi za siebie przedmiotami. Grzebieniem, jabłkiem i chustką. Ale...

– Condwiramurs.

– Przepraszam.

– Wersji ucieczki jest, jak mówiłam, wiele. Ale nadal niezbyt jasne jest, w jaki sposób Ciri z Wieży Jaskółki dostała się wprost do zamku Vilgefortza. Nie możesz wyśnić Wieży Jaskółki. Spróbuj wyśnić zamek. Przyjrzyj się uważnie temu gobelinowi... Czy ty mnie słuchasz?

– To zwierciadło... Jest magiczne, prawda?

– Nie. Wyciskam przed nim pryszcze.

– Przepraszam.

– To Zwierciadło Hartmanna – wyjaśniła Nimue, widząc zmarszczony nos i nadąsaną minę adeptki. – Jeśli chcesz, zajrzyj. Ale bądź, proszę, ostrożna.

– Czy to prawda – spytała drżącym z podniecenia głosem Condwiramurs – że z Hartmanna można przejść do innych...

– Światów? Owszem. Ale nie od razu, nie bez przygotowań, medytacji, koncentracji i całego mnóstwa innych rzeczy. Zalecając ci ostrożność, myślałam o czymś innym.

– O czym?

– To działa w dwie strony. Z Hartmanna zawsze może coś wyjść.

•

– Wiesz, Nimue... Gdy patrzę na ten gobelin...

– Śniłaś?

– Śniłam. Ale dziwnie. Z lotu ptaka. Byłam ptakiem... Widziałam ten zamek z zewnątrz. Nie mogłam wejść do środka. Coś broniło dostępu.

– Patrz na gobelin – rozkazała Nimue. – Patrz na cytadelę. Patrz na nią uważnie, skupiaj uwagę na każdym szczególe. Koncentruj się mocno, ostro wyryj ten obraz w pamięci. Chcę, byś się we śnie tam dostała, weszła do środka. Ważne jest, byś tam weszła.

•

Na zewnątrz, za murami zamczyska, musiała hulać iście diabelska zawierucha, w palenisku komina ogień aż huczał, szybko pożerając

polana. Yennefer rozkoszowała się ciepłem. Jej obecne więzienie było, co prawda, o nieba całe cieplejsze od mokrego lochu, w którym spędziła chyba ze dwa miesiące, ale i tak ząb tam na ząb nie trafiał. W lochu zupełnie straciła rachubę czasu, później też nikt nie spieszył się z informowaniem jej o datach, ale była pewna, że jest zima, grudzień, może nawet styczeń.

– Jedz, Yennefer – powiedział Vilgefortz. – Jedz, proszę, nie krępuj się.

Czarodziejka ani myślała się krępować. Jeżeli zaś dość powolnie i nieporadnie sprawiała się z kurczakiem, to wyłącznie dlatego, że jej ledwo zagojone palce wciąż były niezgrabne i sztywne, trudno było utrzymać w nich nóż i widelec. A jeść rękoma nie chciała – pragnęła zademonstrować wyższość Vilgefortzowi i pozostałym biesiadnikom, gościom czarodzieja. Nie znała żadnego z nich.

– Z prawdziwą przykrością muszę cię uwiadomić – powiedział Vilgefortz, pieszcząc palcami nóżkę kielicha – że Ciri, twoja podopieczna, rozstała się z tym światem. Winić za to możesz wyłącznie siebie, Yennefer. I twój bezsensowny upór.

Jeden z gości, niewysoki i ciemnowłosy mężczyzna, kichnął potężnie, wysmarkał się w batystową chusteczkę. Nos miał opuchnięty, zaczerwieniony i ewidentnie na amen zatkany.

– Na zdrowie – powiedziała Yennefer, która złowieszczymi słowami Vilgefortza nie przejęła się w ogóle. – Od czegóż to takie okropne przeziębienie, miły panie? Staliście w przeciągu po kąpieli?

Drugi gość, starszy, wielki, chudy, o paskudnie bladych oczach, zarechotał nagle. Przeziębiony zaś, choć twarz skurczyła mu się od złości, podziękował czarodziejce ukłonem i krótkim zakatarzonym zdaniem. Nie dość krótkim, by nie ułowiła nilfgaardzkiego akcentu.

Vilgefortz odwrócił ku niej twarz. Nie nosił już na głowie złotego rusztowania ani kryształowej soczewki w oczodole, ale wyglądał jeszcze okropniej niż wtedy, latem, gdy zobaczyła go okaleczonego po raz pierwszy. Regenerowana lewa gałka oczna była już sprawna, ale znacznie mniejsza od prawej. Widok zapierał dech.

– Ty, Yennefer – wycedził – mniemasz pewnie, że kłamię, że usidlam cię, próbuję podejść. W jakim celu miałbym to robić? Wieścią o śmierci Ciri przejąłem się tak samo jak ty, co ja mówię, bardziej niż ty. Koniec końców, ja wiązałem z dzieweczką bardzo konkretne nadzieje,

układałem plany mające zadecydować o mojej przyszłości. Teraz dziewczyna nie żyje, a moje plany runęły.

– To dobrze. – Yennefer, z trudem utrzymując nóż w sztywnych palcach, kroiła nadziany śliwkami schab.

– Ciebie zaś – ciągnął czarodziej, nie zwracając uwagi na komentarz – wiązał z Ciri wyłącznie niemądry sentyment, na który w równych częściach składały się żal spowodowany własną niepłodnością i poczucie winy. Tak, tak, Yennefer, poczucie winy! Aktywnie wszak uczestniczyłaś w krzyżowaniu parek, w hodowli, dzięki której mała Ciri przyszła na świat. I przelałaś uczucia na owoc eksperymentu genetycznego, nieudanego zresztą. Eksperymentatorom zabrakło bowiem wiedzy.

Yennefer w milczeniu zasalutowała mu pucharkiem, modląc się w duchu, by nie wypadł jej z palców. Pomału dochodziła do wniosku, że przynajmniej dwa z nich będzie miała sztywne bardzo długo. Może permanentnie.

Vilgefortz żachnął się na jej gest.

– Teraz już za późno, stało się – powiedział przez zaciśnięte zęby. – Wiedz jednak, Yennefer, że ja wiedzę miałem. Gdybym miał i dziewczynę, zrobiłbym z tej wiedzy użytek. Zaiste, żałuj, podbudowałbym twoją okaleczoną namiastkę instynktu macierzyńskiego. Choć sucha przecież i sterylna jak kamień, miałabyś za moją sprawą nie tylko córkę, ale i wnuczkę. Albo chociaż namiastkę wnuczki.

Yennefer parsknęła lekceważąco, choć w środku aż gotowała się z wściekłości.

– Z najwyższą przykrością przyjdzie mi zepsuć twój świetny humor, moja droga – powiedział zimno czarodziej. – Bo chyba zasmuci cię wiadomość, że wiedźmin Geralt z Rivii nie żyje również. Tak, tak, ten sam wiedźmin Geralt, z którym, podobnie jak z Ciri, wiązał cię surogat uczucia, sentyment śmieszny, niemądry i przesłodzony aż do mdłości. Wiedz, Yennefer, że nasz drogi wiedźmin pożegnał się z tym światem prawdziwie ogniście i spektakularnie. Z tej jednak okazji nie musisz czynić sobie żadnych wyrzutów. Śmierci wiedźmina nie jesteś winna w stopniu nawet najmniejszym. Cały zamęt należy się mnie. Skosztuj marynowanych gruszek, są naprawdę wyborne.

We fiołkowych oczach Yennefer zapaliła się zimna nienawiść. Vilgefortz roześmiał się.

– Taką cię wolę – powiedział. – Zaiste, gdyby nie bransoletki z dwimerytu, spaliłabyś mnie na popiół. Ale dwimeryt działa, więc możesz palić mnie wyłącznie spojrzeniem.

Ten zakatarzony kichnął, wysmarkał się i rozkaszlał, aż łzy pociekły mu z oczu. Ten wysoki przypatrywał się czarodziejce swym nieprzyjemnym rybim wzrokiem.

– A gdzież to jest pan Rience? – spytała Yennefer, przeciągając słowa. – Pan Rience, który tyle mi naobiecywał, naopowiadał, cóż to on ze mną zrobi. Gdzież to jest pan Schirrú, który nigdy nie przepuścił okazji, by mnie popchnąć i kopnąć? Dlaczego strażnicy, jeszcze niedawno chamscy i brutalni, zaczęli zachowywać się ze strachliwym szacunkiem? Nie, Vilgefortz, nie musisz odpowiadać. Ja wiem. To, o czym mówiłeś, to jedna wielka lipa. Ciri ci się wymknęła i Geralt ci się wymknął, przy okazji niejako sprawiając twoim zbirom krwawą łaźnię. I co teraz? Plany runęły, zamieniły się w pył, sam to przyznałeś, sny o potędze rozwiały się jak dym. A czarodzieje i Dijkstra namierzają już, namierzają. Nie bez kozery i nie z litości przestałeś mnie torturować i zmuszać do skanowania. A cesarz Emhyr zaciska sieć, a jest zapewne bardzo, bardzo zły. *Ess a tearth, me tiarn? A'pleine a cales, ellea?*

– Mówię wspólnym – powiedział zakatarzony, wytrzymując jej spojrzenie. – A nazywam się Stefan Skellen. I bynajmniej, bynajmniej nie mam pełnych gaci. Ba, wciąż mi się wydaje, że jestem w dużo lepszej sytuacji niż pani, pani Yennefer.

Przemowa zmęczyła go, rozkaszlał się znowu i wysmarkał w przemoczony już batyst. Vilgefortz uderzył dłonią o stół.

– Dość tej zabawy – rzekł, makabrycznie przewracając swym miniaturowym okiem. – Wiedz, Yennefer, że nie jesteś mi już potrzebna. W zasadzie powinienem kazać wsadzić cię do worka i utopić w jeziorze, ale ja z najwyższą niechęcią sięgam po tego rodzaju środki. Do czasu, gdy okoliczności pozwolą mi lub każą podjąć inną decyzję, będziesz przebywała w odosobnieniu. Uprzedzam jednak, że nie pozwolę, byś sprawiała mi kłopoty. Jeśli znowu zdecydujesz się na głodówkę, wiedz, że nie będę, jak w październiku, tracił czasu na karmienie cię przez rurę. Zwyczajnie pozwolę ci się zagłodzić. A w przypadku prób ucieczki

rozkazy strażników są jednoznaczne. A teraz żegnam. Jeśli, naturalnie, zaspokoiłaś już...

– Nie. – Yennefer wstała, z rozmachem cisnęła serwetkę na stół. – Może i jeszcze bym coś zjadła, ale towarzystwo odbiera mi apetyt. Żegnam panów.

Stefan Skellen kichnął i rozkaszlał się. Bladooki mierzył ją złym spojrzeniem i uśmiechał się paskudnie. Vilgefortz patrzył w bok.

Jak zwykle, prowadzona z więzienia lub do więzienia, Yennefer próbowała zorientować się, gdzie jest, zdobyć choćby strzępek informacji, mogący jej pomóc w planowanej ucieczce. I za każdym razem spotykał ją zawód. Zamczysko nie miało żadnych okien, przez które mogłaby zobaczyć otaczający je teren lub choćby słońce i spróbować określić strony świata. Telepatia była niemożliwa, dwie ciężkie bransolety i obroża z dwimerytu skutecznie niwelowały wszelkie próby użycia magii.

Komnata, w której ją więziono, była zimna i surowa jak pustelnicza cela. Yennefer przypominała sobie jednak radosny dzień, kiedy przeniesiono ją tu z lochu. Z piwnicy, na dnie której wiecznie stała kałuża śmierdzącej wody, a na ścianach wykwitały saletra i sól. Z piwnicy, gdzie karmiono ją ochłapami, które szczury bez wysiłku wyrywały jej z okaleczonych palców. Gdy po jakichś dwóch miesiącach rozkuto ją i wyciągnięto stamtąd, pozwolono przebrać się i wykąpać, Yennefer nie posiadała się ze szczęścia. Komnatka, do której ją przeniesiono, wydawała się jej królewską sypialnią, a cienka polewka, jaką jej przynoszono, zupą z jaskółczych gniazd, godną cesarskiego stołu. Jasna rzecz, po jakimś czasie polewka okazała się jednak pomyjowatą lurą, twarde wyrko twardym wyrkiem, a więzienie więzieniem. Zimnym, ciasnym więzieniem, w którym po czterech krokach trafiało się na ścianę.

Yennefer zaklęła, westchnęła, usiadła w karle, będącym oprócz wyrka jedynym meblem, jakim dysponowała.

Wszedł tak cicho, że niemal go nie usłyszała.

– Nazywam się Bonhart – powiedział. – Dobrze, żebyś zapamiętała to nazwisko, wiedźmo. Żebyś dobrze wryła je sobie w pamięć.

– Chędoż się, bucu.

– Jestem – zazgrzytał – łowcą ludzi. Tak, tak, nadstaw uszu, czarownico. We wrześniu, trzy miesiące temu w Ebbing złowiłem

twojego bękarta. Tę całą Ciri, o której tyle tu się gada.

Yennefer nadstawiła uszu. Wrzesień. Ebbing. Złowił. Ale jej nie ma. Może łże?

– Szarowłosa wiedźminka szkolona w Kaer Morhen. Kazałem jej walczyć na arenie, zabijać ludzi pod wrzask publiki. Powoli, powoli zamieniałem ją w bestię. Uczyłem ją do tej roli harapem, pięścią i obcasem. Długo ją uczyłem. Ale uciekła mi, zielonooka żmija.

Yennefer odetchnęła niezauważalnie.

– Uciekła mi w zaświaty. Ale jeszcze kiedyś się spotkamy. Pewien jestem, że kiedyś się spotkamy. Tak, czarownico. A jeśli czegoś żałuję, to tylko tego, że twojego wiedźmińskiego miłośnika, owego Geralta, upiekli w ogniu. Chętnie dałbym mu posmakować mojej klingi, przeklętemu odmieńcowi.

Yennefer parsknęła.

– Posłuchaj no, Bonhart, czy jak ci tam. Nie rozśmieszaj mnie. Wiedźminowi to ty do pięt nie dorastasz. Równać się z nim nie możesz. W żadnej konkurencji. Jesteś, jak przyznałeś, rakarzem i hyclem. Ale dobrym tylko na małe pieski. Na bardzo małe pieski.

– Popatrz no tu, wiedźmo.

Gwałtownym ruchem rozchełstał kubrak i koszulę, wyciągnął, plącząc łańcuszki, trzy srebrne medaliony. Jeden miał kształt głowy kota, drugi orła lub gryfa. Trzeciego nie widziała dokładnie, ale chyba był to wilk.

– Takich rzeczy – parsknęła znowu, udając obojętność – pełno jest na jarmarkach.

– Te nie są z jarmarku.

– Co ty nie powiesz.

– Było raz tak – zasyczał Bonhart – że porządni ludzie bali się wiedźminów bardziej niż potworów. Potwory, bądź co bądź, siedziały w lasach i komyszach, wiedźmini zaś mieli czelność spacerować po ulicach, wchodzić do oberży, kręcić się koło świątyń, urzędów, szkół i placów zabaw. Porządni słusznie uznali to za skandal. Poszukali więc kogoś, kto mógłby zrobić z bezczelnymi wiedźminami porządek. I znaleźli kogoś takiego. Niełacno, nieprędko, nie blisko, ale znaleźli. Jak widzisz, zaliczyłem trzech. Ani jeden odmieniec więcej nie pojawił się w okolicy i nie drażnił poczciwych obywateli swym widokiem. A gdyby się pojawił, to załatwiłbym go tak samo jak poprzednich.

– We śnie? – wykrzywiła się Yennefer. – Z kuszy, zza węgła? Czy może podawszy truciznę?

Bonhart schował medaliony pod koszulę, zrobił dwa kroki w jej stronę.

– Drażnisz mnie, wiedźmo.

– Taki miałam zamiar.

– Ach, tak? To zaraz pokażę ci, suko, że z twoim wiedźmińskim kochankiem mogę konkurować w każdej dziedzinie. Ba, żem nawet i lepszy od niego.

Stojący przed drzwiami strażnicy aż podskoczyli, słysząc z celi łomot, trzask, huk, wycie i skowyt. A gdyby strażnikom zdarzyło się kiedykolwiek wcześniej w życiu słyszeć wrzask złowionej w paść pantery, to przysięgliby, że w celi jest właśnie pantera.

Potem z celi dobiegł strażników straszliwy ryk, wypisz wymaluj, zranionego lwa, którego zresztą strażnicy nigdy nie słyszeli również, a oglądali tylko na tarczach herbowych. Popatrzyli po sobie. Pokiwali głowami. A potem wpadli do środka.

Yennefer siedziała w kącie komnaty wśród resztek wyrka. Włosy miała rozburzone, suknię i koszulę rozdartą od góry do samego dołu, jej małe dziewczęce piersi unosiły się ostro w rytm ciężkich oddechów. Z nosa ciekła jej krew, na twarzy szybko rosła opuchlizna, wzbierały też pręgi od paznokci na prawym ramieniu.

Bonhart siedział w drugim końcu izby wśród złomków zydla, oburącz trzymając się za krocze. I jemu krew ciekła z nosa, barwiąc siwe wąsy na kolor głębokiego karminu. Twarz miał poprzekreślaną krwawymi drapnięciami. Ledwo zagojone palce Yennefer były nędzną bronią, ale kłódki bransolet z dwimerytu miały wspaniale ostre krawędzie.

W puchnącym policzku Bonharta, równiutko w kości jarzmowej, wbity bardzo głęboko obydwoma zębami, tkwił widelec, który Yennefer zwędziła ze stołu podczas wieczerzy.

– Tylko małe pieski, ty hyclu – wydyszała czarodziejka, próbując zasłonić biust resztkami sukni. – A od suczek trzymaj się na odległość. Za słaby jesteś na nie, pętaku.

Nie mogła sobie darować, że nie trafiła tam, gdzie mierzyła – w oko. Ale cóż, cel był ruchomy, a poza tym nikt nie jest doskonały.

Bonhart ryknął, wstał, wyrwał widelec, zawył i aż zatoczył się z bólu. Zaklął ohydnie.

Do celi zajrzało już tymczasem następnych dwóch strażników.

– Hej, wy! – zaryczał Bonhart, ścierając krew z twarzy. – Sami tu! Wyciągnąć mi tę gamratkę na środek podłogi, rozkrzyżować i przytrzymać!

Strażnicy popatrzyli po sobie. A potem na sufit.

– Lepiej idźcie stąd sobie, panie – powiedział jeden. – Nie będzie się tu ani krzyżować, ani trzymać. My tego nie mamy w obowiązkach.

– A kromie tego – mruknął drugi – nie mamy zamiaru skończyć jak Rience albo Schirrú.

•

Condwiramurs odłożyła na plik karton, na którym wyobrażona była cela więzienna. W celi zaś kobieta, siedząca z opuszczoną głową, w kajdanach, przykuta do kamiennej ściany.

– Ją więzili – mruknęła – a wiedźmin swawolił w Toussaint z jakimiś brunetkami.

– Potępiasz go? – spytała ostro Nimue. – Nie wiedząc praktycznie nic?

– Nie. Nie potępiam, ale...

– Nie ma ale. Zamilknij, proszę.

Siedziały czas jakiś w milczeniu, przerzucając kartony grafik i akwareli.

– Wszystkie wersje legendy – Condwiramurs wskazała jedną z grafik – jako miejsce jej zakończenia, finału, ostatecznej walki Dobra ze Złem, Armageddonu wręcz, podają zamczysko Rhys-Rhun. Wszystkie wersje. Oprócz jednej.

– Oprócz jednej – kiwnęła głową Nimue. – Oprócz anonimowej, mało popularnej wersji, znanej jako Czarna Księga z Ellander.

– Czarna Księga podaje, że finał legendy rozegrał się w cytadeli Stygga.

– Owszem. Także i inne, kanoniczne dla legendy sprawy Księga z Ellander podaje w sposób znacznie odbiegający od kanonu.

– Ciekawe – Condwiramurs uniosła głowę – który z tych zamków wyobrażony jest na ilustracjach? Który wytkano na twoim gobelinie? Który wizerunek jest prawdziwy?

– Tego wiedzieć nie będziemy nigdy. Zamek, który oglądał finał legendy, nie istnieje. Został zniszczony, śladu po nim nie pozostało, co do tego zgodne są wszystkie wersje, nawet ta podana przez Księgę z

Ellander. Żadna z podanych w źródłach lokalizacji nie jest przekonująca. Nie wiemy i nie będziemy wiedzieć, jak ten zamek wyglądał i gdzie stał.

– Ale prawda...

– Dla prawdy – przerwała ostro Nimue – nie ma to akurat żadnego znaczenia. Nie zapominaj, nie wiemy, jak naprawdę wyglądała Ciri. Ale tu, o, na tym narysowanym przez Wilmę Wessely kartonie, w gwałtownej rozmowie z elfem Awallac'hem na tle posążków makabrycznych dzieci, to jest przecież ona. Ciri. Co do tego nie ma wszak wątpliwości.

– Ale – zadziornie nie rezygnowała Condwiramurs – twój gobelin...

– Przedstawia zamek, w którym rozegrał się finał legendy.

Milczały długo. Szeleściły przewracane kartony.

– Nie lubię – odezwała się Condwiramurs – wersji legendy z Czarnej Księgi. Jest taka... Taka...

– Brzydko prawdziwa – dokończyła Nimue, kiwając głową.

•

Condwiramurs ziewnęła, odłożyła *Pół wieku poezji*, wydanie uzupełnione i opatrzone posłowiem przez profesora Everetta Denhoffa Juniora. Rozrzuciła poduszki, zamieniając konfigurację do czytania w konfigurację do spania. Ziewnęła, przeciągnęła się i zgasiła lampę. Komnata utonęła w mroku, rozjaśnionym tylko igłami księżycowego blasku, wciskającego się w szpary zasłon. Co wybrać na tę noc, pomyślała adeptka, wiercąc się na prześcieradle. Zdać się na los szczęścia? Czy kotwiczyć?

Po krótkiej chwili zdecydowała się na to drugie.

Był taki niejasny, powracający sen, który nie dawał się dośnić do końca, rozwiewał się, znikał wśród innych snów tak, jak niteczka wątku znika i gubi się wśród desenia kolorowej tkaniny. Sen, który znikał z pamięci, mimo tego uporczywie w niej trwając.

Zasnęła natychmiast, sen spłynął na nią momentalnie. Gdy tylko zamknęła oczy.

Nocne niebo, bezchmurne, jasne od księżyca i gwiazd. Wzgórza, na ich zboczach winnice przyprószone śniegiem. Czarny i kanciasty zarys budowli: muru z blankami, stołbu, samotnego narożnego *beffroi*.

Dwóch jeźdźców. Obaj wjeżdżają na puste międzymurze, obaj zsiadają, obaj wchodzą w portal. Ale w ziejący w posadzce otwór lochu

wchodzi tylko jeden.

Ten, którego włosy są zupełnie białe.

Condwiramurs jęknęła przez sen, rzuciła się na łóżku.

Białowłosy schodzi po schodach, głęboko, głęboko w piwnice. Idzie ciemnymi korytarzami, rozjaśnia je, co jakiś czas zapalając tkwiące w żelaznych uchwytach łuczywa. Blask łuczyw upiornymi cieniami tańczy po ścianach i sklepieniach.

Korytarze, schody, znowu korytarze. Loch, duża krypta, pod ścianami beczki. Gruzowisko, sterty cegieł. Potem korytarz, który się rozwidla. W obu rozwidleniach ciemność. Białowłosy zapala kolejną pochodnię. Wyciąga miecz z pochwy na plecach. Waha się, nie wie, którym rozwidleniem pójść. Wreszcie decyduje się na prawe. Bardzo ciemne, kręte i zagruzowane. Condwiramurs jęczy przez sen, ogarnia ją lęk. Wie, że droga, którą wybrał białowłosy, wiedzie ku niebezpieczeństwu.

Wie zarazem, że białowłosy szuka niebezpieczeństwa.

Bo to jego zawód.

Adeptka rzuca się wśród pościeli, jęczy. Jest śniączką, śni, jest w onejroskopicznym transie, nagle proroczo wie, co się za chwilę stanie. Uważaj, chce krzyknąć, choć wie, że krzyknąć nie zdoła. Uważaj, obejrzyj się!

Strzeż się, wiedźminie!

Potwór zaatakował z ciemności, z zasadzki, cicho i wrednie. Zmaterializował się nagle wśród mroku jak wybuchający płomień. Jak jęzor płomienia.

O świcie, kiedy głuszce na swym toku,
Wiedzione żądzą y cnym obyczaiem,
Skrzydłami pleszczą y z radością w oku
Parzą się chciwie, y hołubią wzaiem,
Dzielić chcę z tobą, pani moia miła,
To, co kochankom iest świętem wesołem;
Wiedz, że to Miłość te igry stworzyła,
Y oto, czemu iesteśmy tu społem.

François Villon

Choć tak się spieszył, tak ponaglał, tak pilił i tak się pieklił, wiedźmin został w Toussaint na całą niemal zimę. Jakie były powody? Nie napiszę o tym. Były i już, nie ma nad czym się rozwodzić. Tym zaś, którzy chcieliby wiedźmina potępić, przypomnę, że miłość niejedno ma imię i nie sądźcie, abyście nie byli sądzeni.

Jaskier, *Pół wieku poezji*

Those were the days of good hunting and good sleeping.

Rudyard Kipling

Rozdział trzeci

Potwór zaatakował z ciemności, z zasadzki, cicho i wrednie. Zmaterializował się nagle wśród mroku jak wybuchający płomień. Jak jęzor płomienia.

Geralt, choć zaskoczony, zareagował instynktownie. Wywinął się w uniku, ocierając o ścianę lochu. Bestia przeleciała obok, odbiła się od klepiska jak piłka, machnęła skrzydłami i skoczyła znowu, sycząc i rozwierając straszliwy dziób. Ale tym razem wiedźmin był przygotowany.

Uderzył z krótkiego zamachu, z łokcia, mierząc w podgardle, pod karminowe korale, wielkie, dwukrotnie większe niż u indyka. Trafił,

poczuł, jak ostrze płata ciało. Impet ciosu zwalił bestię na ziemię, pod mur. Skoffin wrzasnął, a był to wrzask niemal człowieczy. Rzucał się wśród pokruszonych cegieł, tłukł i trzepał skrzydłami, bryzgał krwią, siekł dookoła biczowatym ogonem. Wiedźmin był pewien, że już po walce, ale potwór zaskoczył go niemile. Niespodziewanie runął mu do gardła, skrzecząc straszliwie, wystawiając szpony i kłapiąc dziobem. Geralt uskoczył, odbił się barkiem od muru, ciął na odlew, od dołu, wykorzystując impet odbicia. Trafił, skoffin znowu runął pomiędzy cegły, cuchnąca posoka bryznęła na ścianę lochu i ściekła po niej fantazyjnym deseniem. Strącony w skoku potwór nie miotał się już, dygotał tylko, skrzeczał, wyciągał długą szyję, nadymał podgardle i trząsł koralami. Krew wartko płynęła spomiędzy cegieł, na których leżał.

Geralt bez trudu mógłby dobić go, ale nie chciał nazbyt niszczyć skóry. Czekał spokojnie, aż skoffin się wykrwawi. Odszedł kilka kroków, odwrócił do muru, rozpiął spodnie i wysikał się, pogwizdując tęskną melodyjkę.

Skoffin przestał skrzeczeć, znieruchomiał i ścichł. Wiedźmin podszedł, szturchnął go lekko sztychem miecza. Widząc, że już po wszystkim, chwycił potwora za ogon, uniósł. Trzymany za nasadę ogona na wysokości biodra, skoffin sięgał sępim dziobem ziemi, rozłożone skrzydła miały więcej niż cztery stopy rozpiętości.

– Lekkiś, kuroliszku. – Geralt potrząsnął bestią, która faktycznie nie ważyła wiele więcej niż dobrze utuczony indyk. – Lekkiś. Na szczęście płacą mi od sztuki, nie od funta.

•

– Pierwszy raz. – Reynart de Bois-Fresnes zagwizdał cichutko przez zęby, co, jak Geralt wiedział, wyrażało u niego najwyższy podziw. – Pierwszy raz widzę coś takiego na oczy. Istne dziwadło, na honor, dziwadło nad dziwadłami. Znaczy się, to jest ten osławiony bazyliszek?

– Nie. – Geralt uniósł potwora wyżej, by rycerz mógł się lepiej przyjrzeć. – To nie jest bazyliszek. To jest kuroliszek.

– A jaka to różnica?

– Zasadnicza. Bazyliszek, zwany też regulusem, jest gadem, a kuroliszek, zwany też skoffinem albo kokatryksją, jest ornitoreptylem, to znaczy ni to gadem, ni to ptakiem. To jedyny znany przedstawiciel

rzędu, który uczeni nazwali ornitoreptylami, po długich dysputach stwierdzili bowiem...

– A który z tych dwóch – przerwał Reynart de Bois-Fresnes, nie ciekawy, widać, motywów uczonych – spojrzeniem zabija lub zamienia w kamień?

– Żaden. To wymysł.

– Czemu więc ludzie tak się obu boją? Ten tutaj wcale nie jest aż taki duży. Naprawdę może być groźny?

– Ten tutaj – wiedźmin potrząsnął zdobyczą – atakuje zwykle z tyłu, a mierzy bezbłędnie między kręgi lub pod lewą nerkę, na aortę. Zwykle wystarcza jeden cios dzioba. A jeśli chodzi o bazyliszka, to wszystko jedno, gdzie ukąsi. Jego jad jest najsilniejszą ze znanych neurotoksyn. Zabija w ciągu sekund.

– Brrr... A którego z nich, powiedz, można ukatrupić za pomocą zwierciadła?

– Każdego. Jeśli walnąć prosto w łeb.

Reynart de Bois-Fresnes zarechotał. Geralt nie śmiał się, dowcip o bazyliszku i zwierciadle przestał go bawić jeszcze w Kaer Morhen, nauczyciele nazbyt nim szafowali. Równie mało śmieszne były żarty o dziewicach i jednorożcach. Rekordy głupoty i prymitywizmu biły zaś w Kaer Morhen liczne wersje dowcipu o smoczycy, której młody wiedźmin miał w ramach zakładu uścisnąć prawicę.

Uśmiechnął się. Do wspomnień.

– Wolę cię uśmiechniętego – rzekł Reynart, przypatrując mu się bardzo uważnie. – O stokroć, o niebo całe wolę cię takiego jak teraz. Od takiego, jaki byłeś wówczas, w październiku, po tej drace w Druidzkim Lesie, gdyśmy jechali do Beauclair. Wtedy, daj to sobie powiedzieć, byłeś chmurny, zgorzkniały i obrażony na świat niby oszukany lichwiarz, a do tego drażliwy niczym mężczyzna, któremu przez całą noc nic nie wyszło. Nawet rankiem.

– Naprawdę taki byłem?

– Naprawdę. Nie dziw się, że wolę cię takiego jak teraz. Odmienionego.

– Terapia przez pracę. – Geralt znowu potrząsnął trzymanym za ogon kuroliszkiem. – Zbawienny wpływ aktywności zawodowej na psychikę. A zatem, aby kontynuować kurację, przejdźmy do interesów. Jest możliwość zarobić na skoffinie nieco więcej niż umówiona stawka za

zabicie. Jest mało pokaleczony, jeśli masz klienta na całego, do wypchania czy wypreparowania, to bierz nie mniej niż dwieście. Jeśli trzeba będzie opędzlować go w porcjach, to pamiętaj, że najwartościowsze w nim są pióra z nadogonia, zwłaszcza o, te centralne sterówki. Można je zatemperować o wiele cieniej niż gęsie, piszą ładniej i czyściej, a są trwalsze. Skryba, który się zna, bez wahania da pięć za sztukę.

– Mam klientów na zewłok do wypchania – uśmiechnął się rycerz. – Cech bednarzy. Widzieli w Castel Ravello wypchaną tę paskudę, płesznicę, czy jak jej tam... Wiesz, którą. Tę, coś ją drugiego dnia po Saovine zatłukł w lochach pod ruinami starego zamku...

– Pamiętam.

– No, więc bednarze widzieli wypchaną bestię i prosili mnie o coś równie rarytetnego do dekoracji ich cechowego lokalu. Kuroliszek będzie w sam raz. Bednarze w Toussaint, jak się domyślasz, są cechem nie narzekającym na brak zamówień i dzięki temu zamożnym, dadzą jak nic dwieście dwadzieścia. Może nawet więcej, spróbuję się potargować. A co się tyczy piór... Beczkoroby nie zauważą, jeśli wyrwiemy kuroliszkowi z dupy kilka sztuk i sprzedamy książęcej kancelarii. Kancelaria nie płaci z własnej kieszeni, lecz z kasy książęcej, bez targów zapłaci więc nie pięć, a dziesięć od pióra.

– Chylę czoła przed przebiegłością.

– Nomen omen. – Reynart de Bois-Fresnes uśmiechnął się jeszcze szerzej. – Mama musiała coś przeczuwać, chrzcząc mnie imieniem lisa chytrusa z powszechnie znanego bajecznego cyklu.

– Powinieneś zostać kupcem, nie rycerzem.

– Powinienem – zgodził się rycerz. – Ale cóż, jeśli urodziłeś się synem herbowego pana, to będziesz herbowym panem i umrzesz herbowym panem, napłodziwszy, he, he, he, herbowych panów. Niczego nie zmienisz, choćbyś pękł. Ty zresztą też całkiem nieźle umiesz kalkulować, Geralt, a kupiectwem się przecież nie parasz.

– Nie param. Z podobnych powodów, co ty. Z tą tylko różnicą, że ja niczego nie spłodzę. Wyjdźmy z tych lochów.

Na zewnątrz, pod murami zameczku, owionął ich chłód i wiatr od wzgórz. Noc była jasna, niebo bezchmurne i rozgwieżdżone, światło księżyca skrzyło się na zalegających winnice połaciach nowego, czyściutkiego śnieżku.

Spętane konie powitały ich parskaniem.

– Wypadałoby – rzekł Reynart, patrząc na wiedźmina znacząco – od razu spotkać się z klientem i zainkasować. Ale ty się pewnie spieszysz do Beauclair, co? Do pewnej alkówki?

Geralt nie odpowiedział, albowiem na takie pytania nie odpowiadał pryncypialnie. Przytroczył cielsko skoffina do luzaka, po czym wsiadł na Płotkę.

– Spotkajmy się z klientem – zdecydował, odwracając się w siodle. – Noc jeszcze młoda, a ja jestem głodny. I napiłbym się czegoś chętnie. Jedziemy do miasta. Do „Bażanciarni".

Reynart de Bois-Fresnes zaśmiał się, poprawił wiszącą na łęku tarczę z czerwono-złotą szachownicą, wdrapał się na wysoką kulbakę.

– Wola wasza, kawalerze. Do „Bażanciarni" zatem. Wio, Bucefał.

Pojechali stępa ośnieżonym zboczem, w dół, ku gościńcowi, wyraźnie wytyczonemu rzadkim szpalerem topoli.

– Wiesz co, Reynart – odezwał się nagle Geralt. – Ja też wolę cię takiego, jak teraz. Mówiącego normalnie. Wtedy, w październiku, używałeś denerwującej kretyńskiej maniery.

– Na honor, wiedźminie, jestem błędnym rycerzem – zarechotał Reynart de Bois-Fresnes. – Zapomniałeś? Rycerze zawsze mówią jak kretyni. To taki znak, jak ta tarcza tutaj. Po nim, jak po godle na tarczy, bractwo się rozpoznaje.

•

– Na honor – powiedział Rycerz Szachownicy – niepotrzebnie się turbujecie, panie Geralcie. Wasza drużka już pewnie zdrowa, już pewnikiem o słabości z kretesem zapomniała. Księżna pani tęgich trzyma nadwornych medyków, każdą niemoc wyleczyć zdolnych. Na honor, nie ma się co frasować.

– Też jestem tego zdania – powiedział Regis. – Rozchmurz się, Geralt. Przecież i druidki leczyły Milvę...

– A druidki znają się na leczeniu – wtrącił Cahir. – Czego najlepszym dowodem mój własny rozharatany górniczą siekierą łeb, teraz, proszę tylko spojrzeć, niemalże jak nowy. Milva też pewnie ma się dobrze. Nie ma powodów do zmartwień.

– Oby.

– Zdrowa już – powtórzył rycerz – wasza Milva jak rydz, głowę stawię, że tańcuje już pewnie na balach! Hołubce wycina! Ucztuje! W Beauclair, na dworze księżnej pani Anarietty, cięgiem aby bal albo uczta. Ha, na honor, teraz, gdy spełniłem śluby, ja też...

– Spełniliście śluby?

– Fortuna łaskawą była! Bo trzeba wam wiedzieć, że przysięgę złożyłem, a nie byle jaką, lecz na żurawia. Wiosną. Ślubowałem piętnastu grasantów położyć przed Yule. Poszczęściło, wolnym ninie od ślubów. Pić już mogę i wołowinę jeść. Aha, nie muszę też już kryć imienia. Jestem, pozwólcie, Reynart de Bois-Fresnes.

– Miło nam.

– Względem tych balów – powiedziała Angoulême, popędzając konia, by się z nimi zrównać. – To i nas, mam nadzieję, nie ominie wyżerka i wypitka? A potańcować też chętnie bym potańcowała!

– Na honor, będzie w Beauclair wszystko – zapewnił Reynart de Bois-Fresnes. – Bale, uczty, rauty, biesiady i wieczorki poetyckie. Jesteście przecie przyjaciółmi Jaskra... Chciałem rzec, wicehrabiego Juliana. A ów wielce miły jest księżnej pani.

– A jakże, przechwalał się – powiedziała Angoulême. – Jak to naprawdę było z tą miłością? Znacie tę historię, panie rycerzu? Opowiedzcie!

– Angoulême – odezwał się wiedźmin. – Musisz to wiedzieć?

– Nie muszę. Ale chcę! Nie malkontenć, Geralt. I przestań się burmuszyć, bo na widok twojej gęby przydrożne grzyby same się marynują. A wy, rycerzu, opowiadajcie.

Inni jadący na czele orszaku błędni rycerze śpiewali rycerską pieśń z powtarzającym się refrenem. Słowa pieśni były nieprawdopodobnie wręcz głupie.

– Zdarzyło się to – zaczął rycerz – tak jakoś roków temu sześć... Gościł u nas pan poeta całą zimę i wiosnę, na lutni grał, romance śpiewał, poezje deklamował. Książę Rajmund akuratnie w Cintrze bawił, na zjeździe. Do dom się nie spieszył, nie było sekretem, że w Cintrze miłośnicę miał. A pani Anarietta i pan Jaskier... Ha, Beauclair, dziwne to zaiste miejsce i uroczne, miłosnego czaru pełne... Sami zmiarkujecie. Jako wonczas księżna i pan Jaskier to poznali. Ani się spostrzegli, od wierszyka do wierszyka, od słowa do słowa, od komplementu do

komplementu, kwiatki, spojrzenia, westchnienia... Krótko rzeknę: oboje do bliskiej przyszli konwikcji.

– Bardzo bliskiej? – zachichotała Angoulême.

– Naocznym świadkiem nie zdarzyło się być – rzekł rycerz oschle. – A plotek powtarzać nie wypada. Poza tym, jak waćpanna niezawodnie wiesz, miłość niejedno ma imię i względna wielce to rzecz, czy konwikcja bliska bardzo, czy nie bardzo.

Cahir parsknął z cicha. Angoulême nie miała nic do dodania.

– Schodzili się – podjął Reynart de Bois-Fresnes – księżna z panem Jaskrem tajemnie tak gdzieś koło dwóch miesięcy, od Belleteyn do letniego Solstycjum. Ale ostrożności zaniedbali. Wieść się rozniosła, jęły gadać złe języki. Pan Jaskier, nie mieszkając, na konia wsiadł i odjechał. Jak się pokazało, rozumnie postąpił. Bo gdy tylko książę Rajmund z Cintry powrócił, doniósł mu o wszystkim usłużny jeden pacholik. Księcia, gdy się dowiedział, jaki to go insult spotkał i jakie poroże mu przyprawiono, sroga, jak snadnie przedstawić sobie możecie, ogarnęła cholera. Wazę z barszczem na stół wywrócił, pachoła donosiciela czekanikiem rozszczepił, słowa nieobyczajne mówił. Potem marszałkowi przy świadkach w gębę dał i wielkie kovirskie zwierciadło stłukł. Księżnę zaś w komnatach uwięził i torturami zagroziwszy, wszystko z niej dywulgował. Wnet za panem Jaskrem pogoń wysłał, bez żadnej klemencji ubić go kazał i serce mu wydrzeć z piersi. Wyczytawszy bowiem coś podobnego w starodawnej balladzie, serce to usmażyć zamiarował i księżnę Anariettę przymusić, by na oczach całego dworu zjadła. Brr, tfu, abominacja! Szczęściem, zdołał pan Jaskier ujść.

– Szczęściem. A książę umarł?

– Umarł. Incydent, jakem mówił, do srogiej go przywiódł cholery, od tego tak mu się wtenczas krew zagrzała, że go apopleksja tknęła i paralusz. Leżał pół roku bez mała jak ten pień. Ale wydobrzał. Chodził nawet. Okiem tylko cięgiem mrugał, o tak.

Rycerz odwrócił się w siodle, zmrużył oko i wykrzywił się jak małpa.

– Choć z księcia – podjął po chwili – zawżdy był zawołany jebaka i drygant, od owego mrugania jeszcze większy się z niego zrobił w amorach *pericolosus*, bo się każdej białejgłowie zdawało, że to z afektu ku niej właśnie tak mruga i jej miłośne znaki dawa. A białegłowy wielce na hołdy takowe łase są. Nie imputuję im bynajmniej, że wszystkie one chutliwe i rozwiązłe, co to, to nie, ale książę, jakem mówił, mrugał

wiele, ustawnie niemal, tedy per saldo wychodził na swoje. Miarkę w swawoli przebrał i którejś nocy raziła go wtóra apopleksja. Wyzionął ducha. W łożnicy.

– Na babie? – zarechotała Angoulême.

– Po prawdzie... – Rycerz, do tej pory śmiertelnie poważny, uśmiechnął się pod wąsem. – Po prawdzie to pod nią. Rzecz jednak nie w detalu.

– Ma się rozumieć, że nie – przytaknął poważnie Cahir. – Wielkiej żałoby jednak chyba po księciu Rajmundzie nie było, co? W trakcie opowieści odnosiłem wrażenie...

– Że niewierna żona milsza wam niźli zdradzony mąż – swoim zwyczajem wpadł w słowo wampir. – Czyżby z tego powodu, że teraz ona tu panuje?

– Z tego powodu też – odrzekł rozbrajająco szczerze Reynart de Bois-Fresnes. – Ale nie jedynie. Princ Rajmund otóż, niech mu ziemia będzie lekką, takim był niecnotą, łajdakiem i, uczciwszy uszy, sukinsynem, że samego diabła w pół roku przyprawiłby o wrzody żołądka. A rządził w Toussaint lat siedem. Księżnę Anariettę wszyscy natomiast ubóstwiali i ubóstwiają.

– Mogę więc liczyć – odezwał się cierpko wiedźmin – że książę Rajmund nie pozostawił wielu nie utulonych w żalu przyjaciół, którzy dla uczczenia okrągłej rocznicy śmierci nieboszczyka gotowi zasadzić się na Jaskra ze sztyletami?

– Możecie liczyć. – Rycerz spojrzał na niego, a oczy miał bystre i inteligentne. – I, na honor, nie zawiedzie was rachuba. Mówiłem przecie. Poeta miły jest pani Anarietcie, a za panią Anariettę każdy tu dałby się posiekać.

Wrócił rycerz prawy
Z wojennej zabawy
Miła nie czekała
Wcześniej się wydała
Hej, hola, hola
Rycerska dola!

Z przydrożnych chaszczy, płoszone rycerskim śpiewem, z krakaniem zrywały się wrony.

Wkrótce wyjechali z lasów wprost w dolinę, między wzgórza, na szczytach których bielały wieże zameczków, wyraźne na tle sinego, barwiącego się granatowymi smugami nieba. Łagodne zbocza wzgórz, jak okiem sięgnąć, porastały karne niby wojsko szpalery równiutko przyciętych krzaków. Ziemia wysłana tam była czerwonymi i złotymi liśćmi.

– Co to jest? – spytała Angoulême. – Winorośl?

– Winna latorośl, a jakże – potwierdził Reynart de Bois–Fresnes. – Słynne winnice doliny Sansretour. Najprzedniejsze wina świata tłoczy się z gron, które tu dojrzewają.

– Fakt – przyznał Regis, który jak zwykle znał się na wszystkim. – Rzecz w wulkanicznej glebie i tutejszym mikroklimacie zapewniającym rokrocznie idealną wprost kombinację dni słonecznych i dni z opadem. Jeśli do tego dodamy tradycję, wiedzę i pieczołowitość pracowników winnic, otrzymamy rezultat w postaci produktu najwyższej klasy i marki.

– Dobrzeście to ujęli – uśmiechnął się rycerz. – Marka to jest to. O, spójrzcie choćby tam, na ten stok pod zameczkiem. U nas zameczek daje markę winnicy i piwnicom, które są głęboko pod. Ten tam nazywa się Castel Ravello, z jego winnic pochodzą takie wina jak Erveluce, Fiorano, Pomino i sławne Est Est. Musieliście słyszeć. Za antałek Est Est płacą tyle, co za dziesięć antałków wina z Cidaris czy z nilfgaardzkich winnic nad Albą. A tam, o, popatrzcie, jak okiem sięgnąć inne zameczki i inne winnice, a nazwy też pewnie nie będą wam obce: Vermentino, Toricella, Casteldaccia, Tufo, Sancerre, Nuragus, Coronata, wreszcie Corvo Bianco, po elfiemu Gwyn Cerbin. Tuszę, że nieobce są wam te nazwy?

– Nieobce, phuuu – wykrzywiła się Angoulême. – Zwłaszcza z nauki, by sprawdzać, czy tego któregoś słynnego wypadkiem szelma karczmarz nie nalał zamiast normalnego jabłkowego, bo wtenczas trzeba było nieraz rano konia w szynku zostawić, tyle takie Castel czy Est Est kosztowało. Tfu, tfu, nie pojmuję, to dla wielkich panów chyba takie jakieś markowe, my, zwyczajni ludzie, możemy i tym tańszym nie gorzej się narąbać. A i to wam powiem, bom doświadczyła: rzyga się tak samo po Est Est, jak i po jabcoku.

•

– Za nic sobie mając październikowe dowcipaski Angoulême – Reynart rozparł się za stołem, poluźniwszy pas – dziś napijemy się jakiejś przedniej marki i jakiegoś przedniego rocznika, wiedźminie. Stać nas, zarobiliśmy. Możemy zahulać.

– Jasne. – Geralt skinął na karczmarza. – W końcu, jak mawia Jaskier, być może i są inne motywacje do zarabiania, ale ja ich nie znam. Zjemy zaś to coś, czym tak smacznie z kuchni zalatuje. Nawiasem mówiąc, nader dziś w „Bażanciarni" tłoczno, choć pora dość późna.

– Przecie to wigilia Yule – wyjaśnił oberżysta, usłyszawszy jego słowa. – Świętują ludziska. Bawią się. Wróżby stawiają. Tradycja każe, a tradycja u nas...

– Wiem – przerwał wiedźmin. – A w kuchni, co dziś tradycja kazała?

– Ozór z chrzanem na zimno. Bulion z kapłona z pulpecikami z móżdżku. Zraziki wołowe zawijane, do tego kluski kopytka i kapustka...

– Podawaj, jak leci, dobry człeku. Do tego... Co do tego, Reynart?

– Jeśli wołowina – rzekł po chwili namysłu rycerz – tedy czerwone Côte-de-Blessure. Rocznik, w którym wyciągnęła nogi stara księżna Karoberta.

– Trafny wybór – kiwnął głową oberżysta. – Służę waszmościom.

Jemiołowy wianek, niezręcznie rzucony za siebie przez dziewczynę z sąsiedniego stołu, upadł niemal na kolana Geralta. Kompania dziewczyny zaniosła się śmiechem. Dziewczyna spłoniła się uroczo.

– Nic z tego! – Rycerz podniósł wianek i odrzucił go. – Nie będzie to wasz przyszły. On już zajęty, mościa panno. On już w niewoli pewnych ócz zielonych...

– Zamilcz, Reynart.

Oberżysta przyniósł, co należało. Jedli, pili, milczeli, przysłuchując się radości bawiących się ludzi.

– Yule – powiedział Geralt, odstawiając kubek. – Midinvaerne. Przesilenie zimowe. Dwa miesiące tu tkwię. Dwa stracone miesiące!

– Miesiąc – poprawił chłodno i trzeźwo Reynart. – Jeżeli coś straciłeś, to tylko miesiąc. Potem śniegi zawaliły przełęcze w górach i nie wyjechałbyś z Toussaint, choćbyś się skichał. Żeś tu doczekał Yule, a i wiosny pewnie też tu doczekasz, jest to więc siła wyższa, próżne tedy żale i smętki. Co się zaś żalu tyczy, to nie przesadzaj z udawaniem. I tak nie uwierzę, że aż tak ci żal.

– Ach, co ty wiesz, Reynart? Co ty wiesz?

– Niewiele – zgodził się rycerz, nalewając. – Niewiele ponad to, co widzę. A widziałem wasze pierwsze spotkanie, twoje i jej. W Beauclair. Pamiętasz Święto Kadzi? Białe majteczki?

Geralt nie odpowiedział. Pamiętał.

– Uroczne to miejsce, pałac Beauclair, miłosnego czaru pełne – zamruczał Reynart, rozkoszując się bukietem wina. – Sam widok potrafi oczarować. Pamiętam, jak was wszystkich zatkało, gdyście je ujrzeli, wtedy, w październiku. Cahir, niech wspomnę, jakiego to on wówczas użył wyrażenia?

•

– Foremny zameczek – rzekł z podziwem Cahir. – Niech mnie, w samej rzeczy foremny i cieszący oko zameczek.

– Dobrze księżna mieszka – powiedział wampir. – Przyznać trzeba.

– Wcale ładny, kurwa, domek – dodała Angoulême.

– Pałac Beauclair – powtórzył nie bez dumy Reynart de Bois-Fresnes. – Elfia budowla, leciutko jeno przerobiona. Ponoć przez samego Faramonda.

– Nie ponoć – zaprzeczył Regis. – Ale ponad wszelką wątpliwość. Styl Faramonda widoczny jest przecież na pierwszy rzut oka. Wystarczy spojrzeć na te wieżyczki.

Zwieńczone czerwienią dachówek wieże, o których mówił wampir, strzelały w niebo smukłymi białymi obeliskami, wyrastając z filigranowej, rozszerzającej się ku dołowi konstrukcji samego zamku. Widok nieodparcie kojarzył się z ze świecami, z których festony wosku spłynęły na misternie rzeźbioną podstawę lichtarza.

– U stóp Beauclair – wyjaśnił rycerz Reynart – rozpościera się miasto. Mur, ma się rozumieć, dobudowano później, wiecie wszak, że elfy nie otaczały miast murami. Popędźcie konie, waszmościowie. Droga przed nami daleka. Beauclair tylko wydaje się bliskie, góry paczą perspektywę.

– Jedźmy.

Jechali szparko, wyprzedzając wędrowców i wagantów, wozy i dwukółki wyładowane ciemnym, jakby omszałym gronem. Potem były gwarne i pachnące fermentującym moszczem uliczki miasta, potem mroczny park pełen topoli, cisów, berberysów i bukszpanów. Potem były klomby róż, głównie odmian multiflora i centifolia. Potem były

rzeźbione kolumny, portale i archiwolty pałacu, byli pachołkowie i lokaje w liberiach.

Tym, kto ich powitał, był Jaskier, ufryzowany i wystrojony jak princ.

•

– Gdzie Milva?

– Zdrowa, nie bój się. Siedzi w komnatach, które dla was przygotowano. Nie chce stamtąd wyjść.

– Dlaczego?

– O tym później. Teraz chodź. Księżna czeka.

– Prosto z drogi?

– Takie było jej życzenie.

Sala, do której weszli, pełna była ludzi, kolorowych jak rajskie ptaki. Geralt nie miał czasu się przyglądać. Jaskier pchnął go ku marmurowym schodom, przy których w asyście paziów i dworaków stały dwie mocno wyróżniające się z tłumu kobiety.

Było cicho, ale zrobiło się jeszcze ciszej.

Pierwsza z kobiet miała ostry i zadarty nos, a jej niebieskie oczy były przenikliwe i jakby lekko zgorączkowane. Kasztanowate włosy miała upięte w misterną, iście artystyczną, podbudowaną aksamitnymi wstążkami koafiurę, dopracowaną w najmniejszych niuansach, wliczając w to bezbłędnie geometryczny półksiężycowaty loczek na czole. Góra wydekoltowanej sukni mieniła się tysiącem błękitnych i liliowych prążków na czarnym tle, dół był czarny, gęsto usiany regularnym deseniem maleńkich złotych chryzantemek. Szyję i dekolt – niby skomplikowane rusztowanie albo klatka – więził kunsztownymi esami i floresami naszyjnik z laki, obsydianu, szmaragdów i lapis lazuli, zakończony jadeitowym krzyżem, wpadającym niemalże między małe, podparte obcisłym stanem piersi. Karo dekoltu było duże i głębokie, odsłonięte drobne ramiona kobiety zdawały się nie gwarantować dostatecznego oparcia – Geralt w każdej chwili oczekiwał, że suknia zsunie się z biustu. Ale nie zsuwała się, utrzymywana we właściwej pozycji przez tajemne arkana krawiectwa i bufory bufiastych rękawków.

Druga kobieta dorównywała pierwszej wzrostem. Miała na wargach identycznego koloru pomadkę. I tu podobieństwa kończyły się. Ta druga na krótko obciętych czarnych włosach nosiła siatkową czapeczkę, z przodu przechodzącą w sięgającą czubka małego noska

woalkę. Kwietny motyw woalki nie maskował pięknych, błyszczących, mocno podkreślonych zielonym cieniem oczu. Taki sam kwietny woal przykrywał skromniutki dekolt czarnej sukni z długimi rękawami, w kilku pozornie tylko przypadkowych miejscach usianej rozpryśniętym rzucikiem szafirków, akwamarynów, kryształów górskich i złotych ażurowych gwiazd.

– Jaśnie Oświecona Xiężna Anna Henrietta – półgłosem odezwał się ktoś za plecami Geralta. – Przyklęknijcie, panie.

Ciekawe, która to z tych dwu, pomyślał Geralt, z wysiłkiem zginając obolałe kolano w ceremonialnym ukłonie. Obie, żeby mnie tak szlag trafił, wyglądają równie książęco. Ba, królewsko.

– Wstańcie, panie Geralcie – rozwiała jego wątpliwości ta z misterną kasztanową koafiurą i ostrym nosem. – Witamy was i waszych przyjaciół w Księstwie Toussaint, w pałacu Beauclair. Radzi jesteśmy, mogąc gościć osoby będące w tak szlachetnej misji. Nadto pozostające w przyjaźni z miłym naszemu sercu wicehrabią Julianem.

Jaskier skłonił się głęboko i zamaszyście.

– Wicehrabia – podjęła księżna – wyjawił nam wasze imiona, zdradził charakter i cel waszej wyprawy, powiedział, co przywiodło was do Toussaint. Opowieść ta wzruszyła nasze serce. Radzibyśmy pomówić z wami na prywatnej audiencji, panie Geralcie. Rzecz ta odwlec się musi jednak nieco, albowiem ciążą na nas obowiązki państwowe. Zakończono winobranie, tradycja nakazuje nasz udział w Święcie Kadzi.

Druga kobieta, ta w woalce, nachyliła się ku księżnej i szepnęła coś szybko. Anna Henrietta spojrzała na wiedźmina, uśmiechnęła się, oblizała wargi.

– Wolą naszą jest – podniosła głos – by u boku wicehrabiego Juliana przy Kadzi usłużył nam pan Geralt z Rivii.

Przez grupkę dworzan i rycerzy przeleciał szmer, coś niby szelest uderzonych wiatrem sosen. Księżna Anarietta podarowała wiedźminowi kolejne powłóczyste spojrzenie i wyszła z sali wraz ze swoją towarzyszką i orszakiem paziów.

– Do pioruna – szepnął Rycerz Szachownicy. – A to dopiero! Nielichy spotkał was zaszczyt, panie wiedźmin.

– Nie bardzo pojąłem, w czym rzecz – przyznał się Geralt. – W jakiż to sposób mam usłużyć jej wysokości?

– Jej miłości – poprawił, podchodząc, zażywny jegomość o aparycji cukiernika. – Darujcie, panie, że koryguję, ale w danych cyrkumstancjach muszę to uczynić. My tu, w Toussaint, wielce tradycję i protokół szanujemy. Jestem Sebastian Le Goff, szambelan i marszałek dworu.

– Miło mi.

– Oficjalnym i protokolarnym tytułem pani Anny Henrietty – szambelan nie tylko wyglądał jak cukiernik, ale nawet pachniał lukrem – jest: „Jaśnie Oświecona". Nieoficjalnym: „Jej Miłość". Familiarnym, poza dworem: „Xiężna Pani". Ale zwracać należy się zawsze per „Wasza Miłość".

– Dziękuję, zapamiętam. A ta druga niewiasta? Jak ją mam tytułować?

– Jej oficjalny tytuł brzmi: „Czcigodna" – pouczył poważnie szambelan. – Ale zwracanie się per „Pani" jest dopuszczalne. Jest to familiantka księżnej, a zwie się Fringilla Vigo. Zgodnie z wolą Jej Miłości jej to właśnie, pani Fringilli, przyjdzie wam usłużyć przy Kadzi.

– A na czym ma polegać ta usługa?

– Nic trudnego. Wnet wam wyjaśnię. Widzicie, my już od lat używamy mechanicznych tłoczni, wszelako tradycja...

•

Dziedziniec rozbrzmiewał gwarem i frenetycznym piskiem piszczałek, dziką muzyką fletni, zajadłym brzękiem tamburynków. Dookoła ustawionej na podwyższeniu kadzi pląsali i fikali kozły wystrojeni w wieńce skomorochowie i akrobaci. Dziedziniec i krużganki pełne były ludzi – rycerzy, dam, dworaków, bogato odzianych mieszczan.

Szambelan Sebastian Le Goff wzniósł w górę przybraną winoroślą laskę, trzykrotnie stuknął nią o podest.

– Ho, ho! – krzyknął. – Szlachetne panie, panowie i rycerze!

– Ho, ho! – odpowiedział tłum.

– Ho, ho! Oto prastary obyczaj! Niech się darzy winne grono! Ho, ho! Niech dojrzewa w słońcu!

– Ho, ho! Niechaj dojrzewa!

– Ho, ho! Niechaj zgniecione fermentuje! Niechaj nabiera mocy i smaku w beczkach! Niechaj smacznie płynie do pucharów i idzie do głów, na chwałę majestatu, pięknych pań, szlachetnych rycerzy i robotników winnic!

– Ho, ho! Niechaj fermentuje!

– Niechaj wystąpią Piękne!

Z adamaszkowych namiotów po przeciwległych stronach dziedzińca wyłoniły się dwie kobiety – księżna Anna Henrietta i jej czarnowłosa towarzyszka. Obie były szczelnie owinięte w szkarłatne płaszcze.

– Ho, ho! – Szambelan uderzył laską. – Niechaj wystąpią Młodzi!

„Młodzi" byli pouczeni, wiedzieli, co mają czynić. Jaskier podszedł do księżnej, Geralt do czarnowłosej. Którą, jak już wiedział, zwano czcigodną Fringillą Vigo.

Obie kobiety jednocześnie odrzuciły płaszcze, a tłum zahuczał gromką owacją. Geralt przełknął ślinę.

Kobiety miały na sobie białe, cieniutkie jak pajęczynka, nie sięgające nawet bioder koszulki na ramiączkach. I ciasno opięte majtki z falbankami. I nic więcej. Nawet biżuterii. Były również bose.

Geralt wziął Fringillę na ręce, a ona dość ochoczo objęła go za szyję. Pachniała nieuchwytnie ambrą i różami. I kobiecością. Była ciepła, a ciepło to przenikało jak grot. Była miękka, a miękkość ta parzyła i drażniła palce.

Donieśli je do kadzi, Geralt Fringillę, Jaskier księżną, pomogli im wejść na uginające się i tryskające sokiem winne grona. Tłum ryknął.

– Ho, ho!

Księżna i Fringilla położyły sobie dłonie na ramionach, dzięki wzajemnemu oparciu łatwiej utrzymując równowagę na gronach, w które zapadły się aż po kolana. Moszcz strzykał i pryskał. Kobiety, obracając się, deptały winne kiście, chichocząc jak podlotki. Fringilla całkiem nieprotokolarnie puściła do wiedźmina oko.

– Ho, ho! – krzyczał tłum. – Ho, ho! Niechaj fermentuje!

Miażdżone grona bryzgały sokiem, mętny moszcz bulgotał i pienił się obficie wokół kolan deptaczek.

Szambelan uderzył laską o deski podestu. Geralt i Jaskier przystąpili, pomogli kobietom wyjść z kadzi. Geralt widział, jak brana na ręce Anarietta ukąsiła Jaskra w ucho, a oczy błyszczały jej niebezpiecznie. Jemu samemu zdawało się, że wargi Fringilli musnęły mu policzek, ale głowy by nie dał, z rozmysłem czy przypadkiem. Moszcz winny pachniał silnie, uderzał do głowy.

Postawił Fringillę na podeście, owinął szkarłatnym płaszczem. Fringilla szybko i mocno uścisnęła jego dłoń.

– Te starodawne tradycje – szepnęła – potrafią być podniecające. Prawda?

– Prawda.

– Dziękuję ci, wiedźminie.

– Cała przyjemność po mojej stronie.

– Nie cała. Zapewniam cię, nie cała.

•

– Nalej, Reynart.

Przy sąsiednim stole odprawiano kolejną zimową wróżbę, polegającą na rzucaniu skrojoną w długą spiralną wstęgę skórką jabłka i odgadywaniu inicjału imienia przyszłego partnera z kształtu, w jaki skórka się ułoży. Skórka za każdym razem układała się w „S". Mimo to wesołości nie było końca.

Rycerz nalał.

– Milva, okazało się – rzekł wiedźmin, zamyślony – była zdrowa, choć wciąż jeszcze nosiła bandaż na żebrach. Siedziała jednak w komnacie i odmawiała wyjścia, za cholerę nie chcąc założyć sprezentowanej sukni. Zanosiło się na protokolarny skandal, ale sytuację spacyfikował wszystkowiedzący Regis. Zacytowawszy z tuzin precedensów zmusił szambelana, by przyniesiono łuczniczce strój męski. Angoulême dla odmiany z radością pozbyła się spodni, jeździeckich butów i onuc, a sukienka, mydło i grzebień zrobiły z niej wcale ładną dziewuszkę. Wszystkim nam, co tu dużo gadać, poprawiły humor łaźnia i czyste ubrania. Nawet mnie. W całkiem niezłym nastroju szliśmy wszyscy na tę audiencję...

– Przerwij na chwilę – wskazał ruchem głowy Reynart. – Zmierzają ku nam interesy. Ho, ho, i to nie jedna, lecz dwie winnice! Malatesta, nasz klient, prowadzi konfratra... I konkurenta. Dziw nad dziwy!

– Ten drugi to kto?

– Winnica Pomerol. Ich wino, Côte-de-Blessure, właśnie pijemy.

Malatesta, rządca winnicy Vermentino, dostrzegł ich, pomachał ręką, zbliżył się, prowadząc towarzysza, osobnika z czarnymi wąsiskami i bujną czarną brodą, przystającą bardziej zbójcy niż urzędnikowi.

– Panowie pozwolą – przedstawił brodacza Malatesta – pan Alcides Fierabras, rządca winnicy Pomerol.

– Prosim siadać.

– My jeno na chwilę. Do pana wiedźmina względem bestyi z naszych loszków. Z tego, iż waszmościowie tutaj, wnoszę, że już potworzysko ubite?

– Na śmierć.

– Umówiona kwota – zapewnił Malatesta – wpłynie na wasze konto u Cianfanellich najdalej pojutrze. Oj, dzięki wam, panie wiedźminie. Dzięki stokrotne. Tyli loszek, piękny, wysklepiony, ku północy zorientowany, ani za suchy, ani za mokry, rychtyk taki, jak trzeba dla wina, a przez to monstrum plugawe nie dało się korzystać. Widzieliście sami, musielim tamtą całą część piwnic zamurować, ale umiała się i tak bestyja przedostawać... Tfu, tfu, skąd się wzięła, nie zgadnąć... Z piekła chyba samego...

– Jaskinie wypłukane w wulkanicznych tufach zawsze obfitują w potwory – pouczył z mądrą miną Reynart de Bois-Fresnes. Partnerował wiedźminowi już ponad miesiąc, a będąc dobrym słuchaczem zdążył się wiele nauczyć. – Sprawa jasna, gdzie tuf, tam potwora tylko patrz.

– Ano, może i tuf. – Malatesta pokosił na niego oczy. – Kimkolwiek on by był, ten tuf. Ale ludzie gadają, że to dlatego, że nasze piwnice z głębokimi pieczarami się pono łączą, z samym środkiem ziemi. Wiele u nas takich lochów i jaskiń..

– Choćby pod naszymi piwnicami, żeby daleko nie szukać – odezwała się czarnobroda winnica Pomerol. – Milami się te lochy ciągną, jak i dokąd, nikt nie wie. Ci, co rzecz ową chcieli wyświetlić, nie wrócili. A i potwora straszliwego też tam widziano. Jakoby. Owóż tedy zaproponować chciałbym...

– Domyślam się – rzekł sucho wiedźmin – co chcecie mi zaproponować. I przystaję na propozycję. Spenetruję wasze piwnice. Zapłatę ustalimy wedle tego, na co tam natrafię.

– Nie będzie wam krzywda – zapewnił brodacz. – Hem, hem... Jeszcze jedna rzecz...

– Mówcie, słucham.

– Ów sukkub, co nocami mężów nawiedza i dręczy... Co to go wam jaśnie oświecona księżna pani ubić zleciła... Tuszę, zabijać go nie ma wcale musu. Przecie zmora nikomu nie wadzi, tak po prawdzie... Ot, nawiedzi czasem... Podręczy krzynę...

– Ale jeno pełnoletnich – wtrącił szybko Malatesta.

– Z ust żeście mi, kumie, wyjęli. Tak być, nikomu sukkub nie szkodzi. A ostatnimi czasy to w ogóle słuch jakby o nim przepadł. Wierę, jakby się was, panie wiedźmin, zląkł. Jakiż tedy sens, by go prześladować? Przecie wam, panie, na gotowiźnie nie zbywa. A jeśli wam czego brakuje...

– Na moje konto u Cianfanellich – rzekł z kamienną twarzą Geralt – mogłoby coś wpłynąć. Na wiedźmiński fundusz emerytalny.

– Tak się stanie.

– A sukkubowi włos z blond główki nie spadnie.

– Tedy bywajcie. – Obie winnice wstały. – Ucztujcie w spokoju, nie będziem przeszkadzać. Święto dziś. Tradycja. A u nas, w Toussaint, tradycja...

– Wiem – powiedział Geralt. – Rzecz święta.

•

Towarzystwo przy sąsiednim stole hałasowało przy kolejnej wróżbie Yule, odprawianej za pomocą kulek ukręconych z miękiszu kołacza i ości ze zjedzonego karpia. Pito przy tym tęgo. Oberżysta i dziewki uwijały się jak w ukropie, biegając z dzbankami.

– Słynny sukkub – zauważył Reynart, dokładając sobie jeszcze kapusty – zapoczątkował wiekopomną serię wiedźmińskich kontraktów, które przyjąłeś w Toussaint. Potem już poszło szybko, a ty opędzić się nie mogłeś od klientów. Ciekawe tylko, że nie pamiętam, która z winnic pierwsza dała ci zlecenie...

– Nie było cię przy tym. To zdarzyło się nazajutrz po audiencji u księżnej. Na której nie było cię zresztą również.

– Nie dziwota. To była prywatna audiencja.

– Ładnie mi prywatna – parsknął Geralt. – Uczestniczyło w niej ze dwadzieścia osób, przy czym nie liczę nieruchomych jak statuy lokajów, małoletnich paziów i znudzonego trefnisia. Wśród tych policzonych był Le Goff, szambelan o aparycji i zapachu cukiernika, było kilku zginających się pod ciężarem złotych łańcuchów wielmożów. Było kilku typków w czerni, rajców, a może sędziów. Był poznany w Caed Myrkvid baron herbu Bycza Głowa. Była, jasna rzecz, Fringilla Vigo, osoba ewidentnie bardzo księżnej bliska.

– I byliśmy my, cała nasza gromadka, wliczając Milvę w stroju męskim. Ha, źle się wyraziłem, mówiąc o całej drużynie. Nie było z nami Jaskra. Jaskier, czy też raczej wicehrabia Jakiś Tam, siedział rozparty w

karle po prawicy Jej Ostronosej Miłości Anarietty i puszył się jak paw. Jak prawdziwy faworyt.

– Anarietta, Fringilla i Jaskier były jedynymi osobami, które siedziały. Nikomu więcej usiąść nie pozwolono. A ja i tak byłem zadowolony, że nie kazano klęczeć.

– Księżna wysłuchała mojej opowieści, rzadko przerywając, na szczęście. Gdy zaś pokrótce zrelacjonowałem wyniki rozmów z druidkami, załamała ręce gestem sugerującym zmartwienie równie szczere, co przesadne. Wiem, że brzmi to jak jakiś cholerny oksymoron, a wierz mi, Reynart, w jej przypadku tak właśnie było.

•

– Ach, ach – powiedziała księżna Anna Henrietta, załamawszy ręce. – Srodze nas zmartwiliście, panie Geralcie. Zaprawdę powiadamy wam, żal przepełnia nasze serce.

Pociągnęła ostrym nosem, wyciągnęła dłoń, a Jaskier natychmiast włożył do tej dłoni batystową chusteczkę z monogramem. Księżna musnęła chusteczką oba policzki, tak by nie zetrzeć pudru.

– Ach, ach – powtórzyła. – Zatem druidzi nie wiedzieli nic o Ciri? Nie byli zdolni udzielić wam pomocy? Czyżby zatem cały wasz wysiłek poszedł na marne i nadaremną była wasza droga?

– Nadaremną na pewno nie – odpowiedział z przekonaniem. – Przyznam, że liczyłem na to, że od druidów zdobędę jakieś konkretne informacje lub wskazówki mogące choćby w najogólniejszy sposób wyjaśnić przynajmniej to, czemu Ciri jest obiektem tak zawziętego polowania. Druidzi nie mogli jednak lub nie chcieli mi pomóc, w tym względzie faktycznie nic nie zyskałem. Ale...

Zawiesił na chwilę głos. Nie dla dramatyzmu. Zastanawiał się, na ile może być szczery wobec tego całego audytorium.

– Wiem, że Ciri żyje – powiedział wreszcie sucho. – Prawdopodobnie była ranna. Jest wciąż w niebezpieczeństwie. Ale żyje.

Anna Henrietta westchnęła, znowu użyła chusteczki i uścisnęła ramię Jaskra.

– Przyrzekamy wam – powiedziała – naszą pomoc i poparcie. Gościnę w Toussaint, jak długo zechcecie. Trzeba wam bowiem wiedzieć, że bywaliśmy w Cintrze, znaliśmy i darzyliśmy przyjaźnią Pavettę, znaliśmy i lubiliśmy malutką Ciri. Całym sercem jesteśmy z wami, panie Geralcie.

Jeśli trzeba, będziecie mieli asystencję naszych uczonych i astrologów. Otworem stoją przed wami nasze biblioteki i księgozbiory. Musicie, wierzymy w to głęboko, znaleźć jakiś ślad, jakąś wskazówkę czy poszlakę, która wskaże wam właściwą drogę. Nie działajcie pochopnie. Nie musicie się spieszyć. Możecie tu zostać wedle waszej woli, miłym nam jesteście gościem.

– Dziękuję waszej miłości – skłonił się Geralt – za życzliwość i łaskę. Ruszymy jednak w drogę, gdy tylko trochę odpoczniemy. Ciri wciąż jest w niebezpieczeństwie. I my też jesteśmy w niebezpieczeństwie. Gdy za długo siedzimy w jednym miejscu, niebezpieczeństwo nie tylko rośnie, ale i zaczyna zagrażać ludziom nam życzliwym. I zwykłym postronnym. Do tego za nic nie chciałbym dopuścić.

Księżna milczała czas jakiś, miarowymi ruchami, jak kota, głaszcząc przedramię Jaskra.

– Szlachetne i prawe są wasze słowa – powiedziała wreszcie. – Ale lękać się nie macie czego. Goniących za wami hultajów nasi rycerze pogromili tak, że świadek klęski nie uszedł, opowiedział nam o tym wicehrabia Julian. Każdego, kto się poważy was niepokoić, spotka taki sam los. Jesteście pod naszą opieką i ochroną.

– Umiem to sobie cenić. – Geralt skłonił się znowu, klnąc w duchu bolące kolano, ale nie tylko. – Nie wolno mi jednak przemilczeć tego, o czym pan wicehrabia Jaskier zapomniał waszej miłości opowiedzieć. Hultaje, którzy ścigali mnie od Belhaven, a których dzielne rycerstwo waszej miłości pobiło w Caed Myrkvid, byli i owszem, hultajami pierwszej hultajskiej gildii, ale nosili nilfgaardzką barwę.

– I cóż z tego?

A to, miał na końcu języka, że jeśli Nilfgaardczycy zajęli Aedirn w ciągu dwudziestu dni, to na twoje ksiąstewko wystarczy im dwadzieścia minut.

– Trwa wojna – powiedział zamiast tego. – To, co stało się w Belhaven i Caed Myrkvid, może być poczytane jako dywersja na tyłach. To zwykle powoduje represje. W czasach wojennych...

– Wojna – przerwała mu księżna, unosząc szpiczasty nos – z pewnością już się skończyła. Pisaliśmy w tej sprawie do naszego kuzyna, Emhyra var Emreisa. Skierowaliśmy do niego memorandum, w którym zażądaliśmy, by niezwłocznie położył kres bezsensownemu przelewowi krwi. Z pewnością już jest po wojnie, z pewnością zawarto pokój.

– Nie bardzo – odparł zimno Geralt. – Za Jarugą hula miecz i ogień, leje się krew. Nic nie wskazuje, by to zmierzało ku końcowi. Powiedziałbym, że wręcz przeciwnie.

Momentalnie pożałował tego, co powiedział.

– Jak to? – Nos księżnej, zdawałoby się, wyostrzył się jeszcze bardziej, a w jej głosie zabrzmiała paskudna, zgrzytliwie warkliwa nuta. – Czy ja dobrze słyszę? Wojna nadal trwa? Dlaczego nas o tym nie poinformowano? Panie ministrze Tremblay?

– Wasza miłość, ja... – wybełkotał, przyklękając, jeden z nosicieli złotych łańcuchów. – Ja nie chciałem... Martwić... Niepokoić... Wasza miłość...

– Straż! – zawyła jej miłość. – Do wieży z nim! Jesteście w niełasce, panie Tremblay! W niełasce! Panie szambelanie! Panie sekretarzu!

– Na rozkaz, Jaśnie Oświecona...

– Niech nasza kancelaria natychmiast wystosuje ostrą notę do naszego kuzyna, cesarza Nilfgaardu. Domagamy się, by natychmiast, ale to natychmiast zaniechał wojowania i zawarł pokój. Bowiem wojna i niezgoda to rzeczy złe! Niezgoda rujnuje, a zgoda buduje!

– Wasza miłość – wybełkotał szambelan-cukiernik, biały jak cukier puder – ma ze wszech miar rację.

– Co panowie tu jeszcze robią? Wydaliśmy rozkazy! Dalejże, na jednej nodze!

Geralt rozejrzał się dyskretnie. Dworacy mieli twarze jak z kamienia, z czego należało wnioskować, że podobne incydenty nie są na tym dworze niczym nowym. Mocno sobie postanowił od tej pory wyłącznie potakiwać księżnej pani.

Anarietta musnęła chusteczką czubek nosa, po czym uśmiechnęła się do Geralta.

– Jak widzicie – powiedziała – wasze obawy były płonne. Nie macie się czego lękać i możecie gościć u nas, jak długo zechcecie.

– Tak jest, wasza miłość.

W ciszy słychać było wyraźnie tykanie kornika w którymś z zabytkowych mebli. I klątwy, którymi masztalerz obrzucał konia na odległym dziedzińcu.

– Mielibyśmy też – przerwała ciszę Anarietta – prośbę do was, panie Geralcie. Jako do wiedźmina.

– Tak jest, wasza miłość.

– Jest to prośba wielu szlachetnych dam Toussaint i nasza zarazem. Potwór nocny nęka tutejsze domostwa. Diabeł, upiór, sukkub w postaci niewieściej, ale tak bezwstydnej, że opisać się nie odważymy, dręczy cnotliwych i wiernych małżonków. Nawiedza nocą alkowy, dopuszcza się wszetecznych zberezeństw i wstrętnych perwersji, o których mówić skromność nam nie pozwala. Wy, jako znawca, wiecie pewnie, w czym rzecz.

– Tak jest, wasza miłość.

– Panie z Toussaint proszą was, byście kres tej ohydzie położyli. A my się do tej prośby dołączamy. I o naszej hojności zapewniamy.

– Tak jest, wasza miłość.

•

Angoulême odnalazła wiedźmina i wampira w pałacowym parku, gdzie obaj zażywali spaceru i dyskretnej rozmowy.

– Nie uwierzycie mi – wysapała. – Nie uwierzycie, gdy wam powiem... Ale to czysta prawda...

– Mówże.

– Reynart de Bois-Fresnes, błędny Rycerz Szachownicy, stoi wraz z innymi błędnymi rycerzami w ogonku do książęcego kamerariusa. A wiecie, po co? Po miesięczną wypłatę! Ogonek, powiadam wam, jest długi na pół strzelenia z łuku, a od herbów aż się w oczach mieni. Spytałam Reynarta, jak to jest, a on na to, że błędny też bywa głodny.

– Gdzie tu sensacja?

– Żartujesz chyba! Błędni rycerze błądzą ze szlachetnego powołania! Nie za miesięczną pensję!

– Jedno – rzekł bardzo poważnie wampir Regis – nie wyklucza drugiego. Naprawdę. Wierz mi, Angoulême.

– Wierz mu, Angoulême – potwierdził sucho Geralt. – Przestań biegać po pałacu w poszukiwaniu sensacji, idź dotrzymać towarzystwa Milvie. Jest w fatalnym nastroju, nie powinna być sama.

– Prawda. Ciotka chyba ma period, bo zła jest niczym osa. Ja myślę...

– Angoulême!

– Idę już, idę.

Geralt i Regis zatrzymali się przy klombie zmarniałych już lekko róż centifolii. Ale dłużej porozmawiać nie zdążyli. Zza oranżerii wyłonił się chudziutki mężczyzna w eleganckim płaszczu koloru umbry.

– Dobry dzień. – Skłonił się, otrzepał kolana kunim kołpakiem. – Czy wolno spytać, który z waszmościów, z łaski swojej, jest wiedźminem, Geraltem zwanym, sławnym swym rzemiosłem?

– Ja nim jestem.

– Jam jest Jean Catillon, rządca winnic Castel Toricella. Sprawa ma się oto tak, że nam w winnicy wiedźmin bardzo by się przygodził. Upewnić się chciałem, czy z łaski swojej nie zechcielibyście...

– A w czym rzecz?

– To jest tak – zaczął rządca Catillon. – Przez tę wojnę, żeby ją dunder świsnął, kupcy rzadziej przyjeżdżają, zapasy rosną, miejsc na beczki zaczyna brakować. Myśleliśmy, mały problem, przecie pod zamkami mile całe lochów się ciągną, coraz to głębiej i głębiej, do środka ziemi chyba te lochy sięgają. Pod Toricellą też taki loszek wynaleźlim, piękny, z łaski swojej, krągło wysklepiony, ani za suchy, ani za mokry, akuratny, by się w nim wino dobrze miało....

– I co? – nie wytrzymał wiedźmin.

– Pokazało się, że tam w lochach grasuje jakiś potwór, z łaski swojej, pewnie z głębin ziemi przylazły. Dwóch ludzi poparzył, do kości im ciało wyżegł, a jednego oślepił, bo on, panie, potwór znaczy, pluje i rzyga jakimsiś żrącym ługiem...

– Solpuga – stwierdził krótko Geralt. – Zwana też jadnicą.

– No proszę – uśmiechnął się Regis. – Widzicie sami, panie Catillon, że macie do czynienia z fachowcem. Fachowiec, można powiedzieć, z nieba wam spada. A do słynnych tutejszych błędnych rycerzy zwracaliście się już w tej sprawie? Księżna ma ich cały regiment, a takie misje to przecież ich specjalność, racja ich bytu.

– Żadna racja – pokręcił głową rządca Catillon. – Ich racja to gościńce chronić, trakty, przełęcze, bo jeśli kupce tu nie dotrą, to wszyscy z torbami pójdziemy. Nadto, rycerze chrobrzy są i bitni, ale z konia jeno. Pod ziemię taki nie polezie! Nadto zaś, oni dro...

Urwał i umilkł. Miał minę człowieka, który – nie mając brody – nie ma sobie w co napluć. I bardzo tego żałuje.

– Oni drogo biorą – dokończył Geralt, nawet bez specjalnej zjadliwości. – Wiedz otóż, dobry człowieku, że ja biorę drożej. Wolny rynek. I wolna konkurencja. Bo ja, jeśli klepniemy kontrakt, zsiądę z konia i polezę pod ziemię. Przemyślcie to, ale nie zastanawiajcie się długo, bo ja długo w Toussaint nie zabawię.

– Zaskakujesz mnie – powiedział Regis, gdy tylko rządca odszedł. – Nagle odżył w tobie wiedźmin? Przyjmujesz kontrakty? Bierzesz się za potwory?

– Sam jestem zaskoczony – odparł szczerze Geralt. – Zareagowałem odruchowo, tknięty niewytłumaczalnym impulsem. Wykręcę się z tego. Każdą proponowaną kwotę mogę uznać za zbyt niską. Zawsze. Wróćmy do naszej rozmowy...

– Wstrzymajmy się – wampir wskazał wzrokiem. – Coś mi mówi, że masz kolejnych interesantów.

Geralt zaklął pod nosem. Wytyczoną cyprysami alejką szło ku nim dwóch rycerzy. Pierwszego poznał od razu, wielkiej byczej głowy na śnieżnobiałej jace nie można było pomylić z innym godłem. Drugi rycerz, wysoki, szpakowaty, o fizjonomii szlachetnie kanciastej, jakby wyłupanej z granitu, miał na błękitnej tunice półtrzecią złotego liliowanego krzyża.

Zatrzymawszy się w przepisowej odległości dwóch kroków, rycerze ukłonili się. Geralt i Regis odwzajemnili ukłony, po czym cała czwórka wytrzymała nakazane obyczajem rycerskim milczenie mające trwać dziesięć uderzeń serca.

– Panowie pozwolą – przedstawił Bycza Głowa – baron Palmerin de Launfal. Mnie, jak panowie może pamiętają, zwą...

– Baron de Peyrac-Peyran. Jakże byśmy mogli nie pamiętać.

– Mamy sprawę do pana wiedźmina – przeszedł do rzeczy Peyrac-Peyran. – Względem, że się tak wyrażę, profesjonalnych dzieł.

– Słucham.

– Na osobności.

– Nie mam sekretów przed panem Regisem.

– Ale szlachetni panowie mają je niezawodnie – uśmiechnął się wampir. – Dlatego, za panów pozwoleniem, pójdę obejrzeć tamten uroczy pawilonik, pewnie świątynię dumania. Panie de Peyrac-Peyran... Panie de Launfal...

Wymieniono ukłony.

– Zamieniam się w słuch – przerwał milczenie Geralt, ani myśląc czekać, aż przebrzmi dziesiąte uderzenie serca.

– Rzecz – Peyrac-Peyran zniżył głos i rozejrzał się płochliwie – w tym sukkubie... No, w tej zmorze nocnej, co nawiedza. Którą wam księżna i damy unicestwić zleciły. Wieleż to wam za zabicie upiorzycy obiecano?

– Przepraszam, ale to tajemnica zawodowa.

– Rzecz to oczywista – odezwał się Palmerin de Launfal, rycerz z liliowanym krzyżem. – Prawdziwie godną jest wasza postawa. Iście, lękam się mocno, że znieważę propozycją, ale mimo tego propozycję złożę. Wyrzeczcie się tego kontraktu, panie wiedźminie. Nie dybcie na sukkuba, ostawcie go w spokoju. Nic paniom ni księżnej nie mówiąc. A na honor, my, panowie z Toussaint, przebijemy ofertę pań. Zadziwiając was naszą hojnością.

– Propozycja – rzekł zimno wiedźmin – w istocie niezbyt daleka od zniewagi.

– Panie Geralt. – Palmerin de Launfal miał twarz twardą i poważną. – Powiem wam, co nas do propozycji ośmieliło. Owóż była to fama o was, głosząca, że zabijacie wyłącznie te potwory, które są zagrożeniem. Zagrożeniem realnym. Nie imaginowanym, z niewiedzy albo uprzedzeń się biorącym. Pozwólcie sobie tedy rzec, że sukkub nie zagraża ani nie szkodzi nikomu. Ot, nawiedza w snach... Od czasu do czasu... I trochę dręczy...

– Ale wyłącznie pełnoletnich – dodał szybko Peyrac-Peyran.

– Damy z Toussaint – rzekł Geralt, rozglądając się – nie byłyby rade, dowiedziawszy się o tej rozmowie. Podobnie księżna.

– Absolutnie się z wami zgadzamy – mruknął Palmerin de Launfal. – Dyskrecja jest ze wszech miar zalecana. Nie należy budzić śpiących bigotek.

– Otwórzcie mi konto w którymś z tutejszych krasnoludzkich banków – powiedział wolno i cicho Geralt. – I zadziwcie mnie hojnością. Uprzedzam, że niełatwo mnie zadziwić.

– A jednak się postaramy – obiecał dumnie Peyrac-Peyran.

Wymieniono pożegnalne ukłony.

Wrócił Regis, który oczywiście wszystko słyszał swym wampirzym słuchem.

– Teraz – rzekł bez uśmiechu – też możesz oczywiście twierdzić, że to był mimowolny odruch i niewytłumaczalny impuls. Ale z otwartego bankowego konta trudno ci będzie się wykręcić.

Geralt patrzył gdzieś wysoko, hen, ponad wierzchołki cyprysów.

– Kto wie – powiedział – może jednak spędzimy tu parę dni. Zważywszy na żebra Milvy, może być to nawet więcej niż parę dni. Może

parę tygodni? Nie zaszkodzi więc, jeśli na ten czas zdobędziemy niezależność finansową.

•

– A więc to stąd konto u Cianfanellich – pokiwał głową Reynart de Bois-Fresnes. – No, no. Gdyby księżna dowiedziała się o tym, byłyby jak nic zmiany na stanowiskach, byłby nowy rozdział patentów. Ha, może i ja bym awansował? Słowo daję, aż żal, że człowiek nie ma zadatków na donosiciela. Opowiedz teraz o słynnej biesiadzie, na którą tak się cieszyłem. Tak pragnąłem być na tej uczcie, pojeść i popić! A posłali mnie na granicę, na strażnicę, w chłód i psią szarugę. Ech, hola, hola, rycerska dola...

– Wielką i szumnie zapowiadaną ucztę – zaczął Geralt – poprzedziły poważne przygotowania. Trzeba było odnaleźć Milvę, która ukryła się w stajniach, trzeba było przekonać ją, że od jej udziału w bankiecie zależy los Ciri i bez mała całego świata. Trzeba było siłą niemal ubrać ją w suknię. Potem trzeba było wymóc na Angoulême przysięgę, że będzie zachowywać się jak dama, w szczególności, że unikać będzie mówienia: „kurwa" i „dupa". Gdyśmy wreszcie wszystko to osiągnęli i mieli zamiar odpocząć przy winie, zjawił się szambelan Le Goff, pachnący lukrem i nadęty jak świński pęcherz.

•

– W danych cyrkumstancjach zaznaczyć muszę – zaczął nosowo szambelan Le Goff – że za stołem Jej Miłości nie ma miejsc poślednich, nikt miejscem za stołem mu przyznanym urażon czuć się nie ma prawa. Jednak my tu, w Toussaint, dawnym tradycjom i zwyczajom pilnej dochowujemy obserwancji, a wedle tychże zwyczajów...

– Przejdźcie, panie, do rzeczy.

– Uczta jutro. Rozsadzić mi trzeba stół wedle honoru i rangi.

– Jasne – powiedział poważnie wiedźmin. – Już mówię, co i jak. Najgodniejszym wśród nas, tak rangą, jak i honorem, jest Jaskier.

– Pan wicehrabia Julian – rzekł szambelan, zadzierając nos – gościem jest ekstraordynaryjnie honorowym. Jako taki po prawicy Jej Miłości zasiędzie.

– Jasne – powtórzył wiedźmin, poważny jak sama śmierć. – A względem nas nie wyjawił, kto jaką ma rangę, tytuł i honory?

– Wyjawił – szambelan chrząknął – tyle jeno, że waszmościowie i waćpanny incognito w misji są rycerskiej, a detalów tejże, jako i prawdziwych imion, herbów i tytułów zdradzić wam nie lza, bo śluby bronią.

– Tak właśnie jest. W czym więc problem?

– Wżdy ja rozsadzić muszę! Gośćmi jesteście, nadto pana wicehrabiego komilitonami, więc was i tak bliżej głowy stołu posadzę... Między barony. Ale przecie tak być nie może, byście wszyscy byli równi, waszmościowie i waćpanny, bo tak nigdy nie bywa, żeby wszyscy równi byli. Jeśli kto z was rangą albo urodzeniem wyższy, winien przy górnym stole, przy księżnej...

– On – wiedźmin bez wahania wskazał wampira, który opodal w skupieniu podziwiał zajmujący całą niemal ścianę gobelin – jest hrabią. Ale o tym sza. To tajemnica.

– Pojmuję – szambelan o mało nie zachłysnął się z wrażenia. – W danych cyrkumstancjach... Usadzę go po prawicy hrabiny Notturny, szlachetnie urodzonej wujenki księżnej pani.

– Nie pożałujecie, ani wy, ani wujenka. – Geralt miał twarz jak z kamienia. – Nie ma ci on równych ni w obyczaju, ni w sztuce konwersacji.

– Rad jestem to słyszeć. Wy zaś, panie z Rivii, usiądziecie obok czcigodnej pani Fringilli. Tak każe tradycja. Nieśliście ją do Kadzi, jesteście... hmmm... jej rycerzem, tak jakby...

– Pojąłem.

– To dobrze. Ach, panie hrabio...

– Słucham? – zdziwił się wampir, który właśnie odszedł od arrasu, przedstawiającego walkę olbrzymów z cyklopami.

– Nic, nic – uśmiechnął się Geralt. – Tak sobie gawędzimy.

– Aha – kiwnął głową Regis. – Nie wiem, czy panowie zauważyli... Ale ten cyklop na gobelinie, o, ten z maczugą... Spójrzcie na palce jego stóp. On, nie bójmy się tego powiedzieć, ma dwie lewe nogi.

– Faktycznie – potwierdził bez cienia zdziwienia szambelan Le Goff. – Takich gobelinów jest w Beauclair więcej. Mistrz, który je tkał, to był prawdziwy mistrz. Ale strasznie dużo pił. Jak to artysta.

•

– Czas już na nas – przemówił wiedźmin, unikając wzroku podochoconych winem dziewczyn zerkających ku niemu od stołu, przy którym bawiono się we wróżby. – Zbierajmy się, Reynart. Płaćmy, wsiadajmy na konie i jedźmy do Beauclair.

– Wiem, dokąd ci tak spieszno – wyszczerzył zęby rycerz. – Nie bój się, czeka twoja zielonooczka. Ledwo co biła północ. Opowiedz o uczcie.

– Opowiem i jedziemy.

– I jedziemy.

•

Widok ustawionego w gigantyczną podkowę stołu przypominał dobitnie, że jesień przemija i ma się ku zimie. Wśród piętrzących się na misach i półmiskach dań dominowała dziczyzna we wszystkich możliwych wersjach i odmianach. Były tam wielkie ćwiartki dzików, udźce i combry jeleni, rozmaite pasztety, auszpiki i różowe plastry mięs, jesiennie przybrane grzybami, żurawiną, śliwkowymi powidłami i sosem głogowym. Było jesienne ptactwo – cietrzewie, głuszce i bażanty, dekoracyjnie podane ze skrzydłami i ogonami, były pieczone pantarki, przepiórki i kuropatwy, cyranki, bekasy, jarząbki i paszkoty. Były tam i prawdziwe delikatesy, jak kwiczoły, pieczone w całości, bez patroszenia, albowiem jagody jałowca, którymi wypchane są wnętrzności tych maleńkich ptaszków, stanowią naturalną przyprawę. Były tam i łososiopstrągi z górskich jezior, były sandacze, były miętusie i szczupacze wątróbki. Zielony akcent dawała roszponka, późnojesienna sałata, którą, jeśli zaszłaby taka konieczność, można było wygrzebać nawet spod śniegu.

Kwiaty zastępowała jemioła.

Pośrodku stanowiącego szczyt podkowy stołu honorowego, za którym zasiadała księżna Anarietta i goście najzacniejsi, na wielkiej srebrnej tacy umieszczono dekorację wieczoru. Wśród trufli, wyciętych z marchwi kwiatków, przepołowionych cytryn i karczochowych serc spoczywał ogromny sterlet, a na jego grzbiecie stała na jednej nodze upieczona w całości czapla trzymająca w uniesionym dziobie złoty pierścień.

– Przysięgam na czaplę – zakrzyknął, wstając i wznosząc puchar Peyrac-Peyran, dobrze znany wiedźminowi baron z byczą głową w

herbie. – Na czaplę przysięgam bronić czci rycerskiej i honoru dam i ślubuję nigdy, przenigdy nie ustąpić nikomu pola!

Ślub nagrodzono gromką owacją. I wzięto się za jedzenie.

– Przysięgam na czaplę! – wrzasnął drugi rycerz, z miotlastym i zadzierzyście zadartym ku górze wąsem. – Do krwi ostatniej kropli z żył przysięgam bronić granic i Jej Miłości Anny Henrietty! A żeby dowieść mej wierności, ślubuję na tarczy wymalować czaplę i przez rok walczyć incognito, imię i herb tając, zwąc się Rycerzem Białej Czapli! Zdrowie wznoszę jej książęcej miłości!

– Zdrowia! Szczęścia! Wiwat! Niech żyje jej miłość!

Anarietta podziękowała lekkim kiwnięciem udekorowanej diamentowym diademem głowy. Diamentów miała na sobie tyle, że samym przejściem mogłaby rysować szkło. Obok niej siedział Jaskier, uśmiechając się głupio. Trochę dalej, między dwiema matronami, zasiadał Emiel Regis. Ubrany był w czarny samitowy kaftan, w którym wyglądał jak wampir. Usługiwał matronom i bawił je konwersacją, a one słuchały zafascynowane.

Geralt chwycił półmisek z przybranymi pietruszką dzwonkami sandacza, usłużył siedzącej po jego lewicy Fringilli Vigo wystrojonej w suknię z fioletowego atłasu i arcypiękną kolię z ametystów, ładnie układającą się na dekolcie. Fringilla, obserwując go spod czarnych rzęs, wzniosła pucharek i uśmiechnęła się zagadkowo.

– Twoje zdrowie, Geralt. Cieszę się, że posadzono nas razem.

– Nie chwal dnia przed zachodem – odwzajemnił uśmiech, bo był w sumie w niezłym humorze. – Uczta ledwo się zaczęła.

– Przeciwnie. Trwa już dostatecznie długo, byś mnie skomplementował. Jak długo mam czekać?

– Jesteś urzekająco piękna.

– Powoli, powoli, powściągliwiej! – zaśmiała się, a on przysiągłby, że całkiem szczerze. – W tym tempie strach pomyśleć, dokąd możemy zajść przed końcem biesiady. Zacznij od... Hmm... Powiedz, że mam gustowną suknię i że twarzowo mi w fioletach.

– Twarzowo ci w fioletach. Choć mnie, przyznam, najbardziej podobałaś się w bieli.

Zobaczył w jej szmaragdowych oczach wyzwanie. Bał się podjąć. W aż tak dobrym humorze nie był.

Naprzeciw posadzono Cahira i Milvę. Cahir siedział pomiędzy dwiema młodziutkimi i bezustannie szczebioczącymi szlachciankami, bodajże baronównami. Łuczniczce natomiast towarzyszył starszy, ponury i milczący jak głaz rycerz z twarzą bardzo zeszpeconą śladami po ospie.

Nieco dalej siedziała zaś Angoulême, wiodąc rej – i rejwach – wśród młodych błędnych rycerzy.

– Co to jest? – wrzeszczała, unosząc srebrny nóż z zaokrąglonym końcem. – Bez szpicu? Boją się, że zaczniemy się wzajem żgać, czy co?

– Takie noże – wyjaśniła Fringilla – są w Beauclair w użyciu od czasów księżnej Karoliny Roberty, babki Anny Henrietty. Karobertę doprowadzało do szału, gdy w czasie biesiad goście dłubali sobie nożami w zębach. A nożem z zaokrąglonym końcem dłubać nie sposób.

– Nie sposób – zgodziła się Angoulême, wykrzywiając się szelmowsko. – Na szczęście dali jeszcze widelce!

Udała, że wkłada widelec do ust, pod groźnym spojrzeniem Geralta zaprzestała. Siedzący po jej prawicy młody rycerzyk zaśmiał się rżącym falsetem. Geralt wziął półmisek z kaczką w auszpiku, usłużył Fringilli. Widział, jak Cahir dwoi się i troi, spełniając zachcianki baronówien, te zaś patrzą w niego jak w tęczę. Widział, jak młodzi rycerze uwijają się przy Angoulême, na wyprzódki podając jej potrawy i rżąc z jej niemądrych dowcipów.

Widział, jak Milva kruszy chleb, patrząc w obrus.

Fringilla zdawała się czytać w jego myślach.

– Marnie trafiła – szepnęła, nachylając się ku niemu – twoja małomówna kompanionka. Cóż, takie rzeczy zdarzają się przy układaniu stołu. Baron de Trastamara nie grzeszy dwornością. Ani elokwencją.

– Może to i lepiej – odrzekł cicho Geralt. – Obśliniony uprzejmością dworak byłby gorszy. Ja znam Milvę.

– Jesteś pewien? – Spojrzała na niego szybko. – A nie mierzysz jej aby twoją własną miarką? Nawiasem mówiąc, dość okrutną?

Nie odpowiedział, miast tego usłużył jej, nalewając wina. I uznał, że najwyższy czas wyjaśnić pewne kwestie.

– Jesteś czarodziejką, prawda?

– Prawda – przyznała, całkiem zręcznie maskując zdziwienie. – Po czym poznałeś?

– Wyczuwam aurę – nie wdał się w szczegóły. – I mam wprawę.

– Żeby wszystko było jasne – powiedziała po chwili – nie było moim zamiarem kogokolwiek zwodzić. Nie mam jednak obowiązku obnosić się z moją profesją ani nakładać szpiczastego kapelusza i czarnej opończy. Po co mają straszyć mną dzieci? Mam prawo do incognito.

– Niezaprzeczalne.

– Jestem w Beauclair, bo tu mieści się jeśli nie największa, to najbogatsza biblioteka znanego świata. Poza uniwersyteckimi, ma się rozumieć. Ale uniwersytety są zazdrosne o dostęp do swych półek, a tutaj ja jestem krewną i przyjaciółką Anarietty i wolno mi wszystko.

– Pozazdrościć.

– Podczas audiencji Anarietta sugerowała, że księgozbiory mogą kryć pożyteczną dla ciebie wskazówkę. Nie zrażaj się jej teatralną egzaltacją. Ona już taka jest. A to, że coś w księgach znajdziesz, jest rzeczywiście niewykluczone, ba, całkiem prawdopodobne. Wystarczy wiedzieć, czego i gdzie szukać.

– Rzeczywiście. Nic więcej.

– Entuzjazm twoich odpowiedzi iście podnosi na duchu i zachęca do konwersacji – zmrużyła lekko oczy. – Domyślam się powodu. Nie ufasz mi, prawda?

– Może jeszcze jarząbka?

– Przysięgam na czaplę! – młody rycerz z końca podkowy wstał i przewiązał sobie oko szarfą otrzymaną od sąsiadki za stołem. – Ślubuję nie zdejmować tej szarfy dopóty, dopóki do nogi nie wytępieni zostaną grasanci z przełęczy Cervantesa!

Księżna wyraziła uznanie wielkopańskim skinieniem skrzącego się od brylantów diademu.

Geralt liczył, że Fringilla nie podejmie tematu. Był w błędzie.

– Nie wierzysz mi i nie ufasz – powiedziała. – Zadałeś mi cios podwójnie bolesny. Nie tylko wątpisz, że szczerze chcę pomóc, ale do tego nie wierzysz, że mogę. Och, Geralt! Do żywego uraziłeś moją dumę i wyniosłą ambicję.

– Posłuchaj...

– Nie! – uniosła nóż i widelec, jak gdyby grożąc mu nimi. – Nie tłumacz się. Nie znoszę mężczyzn, którzy się tłumaczą.

– A jakich mężczyzn znosisz?

Zmrużyła oczy, a sztućce wciąż trzymała jak gotowe do ciosu puginały.

– Lista jest długa – powiedziała wolno – i nie chcę zanudzać cię detalami. Wspomnę jedynie, że dość wysokie miejsce na niej zajmują tacy mężczyźni, którzy dla kochanej osoby gotowi są iść na koniec świata, nieulękle, gardząc ryzykiem i niebezpieczeństwem. I nie rezygnują, choćby wyglądało, że szans na sukces nie ma.

– A pozostałe pozycje listy? – nie wytrzymał. – Inni mężczyźni twojego gustu? Również szaleńcy?

– A czymże jest prawdziwa męskość – figlarnie przekrzywiła głowę – jeśli nie wymieszanymi we właściwych proporcjach klasą i szaleństwem?

– Panie i panowie, baronowie i rycerze! – krzyknął gromko szambelan Le Goff, wstając i oburącz wznosząc gigantyczny puchar. – W danych cyrkumstancjach pozwolę sobie wznieść toast: zdrowie Jaśnie Oświeconej Xiężnej Anny Henrietty!

– Zdrowie i szczęście!

– Hurra!

– Niech żyje! Wiwat!

– A teraz, panie i panowie – szambelan odstawił kielich, uroczystym gestem skinął na lokajów. – Teraz... Magna Bestia!

Na półmisku, który czterech pachołków musiało nieść na czymś w rodzaju lektyki, wjechała na salę olbrzymia pieczeń, napełniając salę cudnym aromatem.

– Magna Bestia! – huknęli chórem biesiadnicy. – Hurra! Magna Bestia!

– Jaka znowu, cholera, bestia? – głośno zaniepokoiła się Angoulême. – Nie będę jadła, póki nie dowiem się, co to jest.

– To jest łoś – wyjaśnił Geralt. – Pieczeń z łosia.

– Nie byle jakiego – odezwała się Milva, odkaszlnąwszy. – Byk miał ze siedem cetnarów.

– Badylarz. Siedem cetnarów i czterdzieści pięć funtów – powiedział chrapliwie siedzący obok niej rabogęby baron. Były to pierwsze słowa, które uronił od początku biesiady.

Może i byłby to początek konwersacji, ale łuczniczka zaczerwieniła się, utkwiła oczy w obrusie i wznowiła kruszenie chleba.

Ale Geralt wziął sobie do serca słowa Fringilli.

– Czyżby to pan, baronie – spytał – położył tego kapitalnego byka?

– Nie ja – zaprzeczył rabogęby. – Mój synowiec. Wyborny strzelec. Ale to męski temat, że tak rzekę... Proszę wybaczenia. Nie ma co nudzić

dam...

– A z jakiego łuku? – spytała Milva, wciąż wpatrzona w obrus. – Pewnikiem nie ze słabszego jak siedemdziesiątka.

– Laminat. Warstwami cis, akacja, jesion, klejone ścięgnami – odrzekł wolno baron, zdziwiony zauważalnie. – Podwójnie gięty zefar. Siedemdziesiąt pięć funtów mocy.

– A naciąg?

– Dwadzieścia dziewięć cali – baron mówił coraz wolniej, zdawało się, że wypluwa poszczególne słowa.

– Iście machina – powiedziała spokojnie Milva. – Z takiej położy jelonka ze stu kroków nawet. Jeśli strzelec prawdziwie dobry.

– Ja – chrapnął baron, jakby trochę urażony – z ćwierć setki kroków trafiam, że tak rzekę, bażanta.

– Z ćwierć setki – Milva uniosła głowę – to ja trafiam wiewióra.

Baron zachrząkał, speszony, szybko usłużył łuczniczce jadłem i napojem.

– Dobry łuk – wymamrotał – to połowa sukcesu. Ale nie mniej ważna jest jakość, że tak rzekę, strzał. Owóż uważasz, waćpanna, według mnie strzała...

– Zdrowie jej miłości Anny Henrietty! Zdrowie wicehrabiego Juliana de Lettenhove!

– Zdrowie! *Vivant!*

– ...a ona dała mu dupy – dokończyła kolejną niemądrą anegdotę Angoulême. Młodzi rycerze zanieśli się rżącym śmiechem.

Baronówny, zwące się Queline i Nique, słuchały opowieści Cahira z otwartymi ustami, błyszczącymi oczyma i wypiekami na policzkach. Przy górnym stole wywodów Regisa słuchała cała wyższa arystokracja. Do Geralta – nawet przy jego wiedźmińskim słuchu – docierały przez gwar pojedyncze słowa, orientował się jednak, że mowa jest o upiorach, strzygach, sukkubach i wampirach. Regis gestykulował srebrnym widelcem i dowodził, że najlepsze remedium na wampiry to srebro, kruszec, którego najlżejszy dotyk jest dla wampira absolutnie zabójczy. A czosnek, pytały damy? Czosnek też jest skuteczny, przyznawał Regis, ale kłopotliwy towarzysko, albowiem strasznie śmierdzi.

Cicho przygrywała na gęślach i fujarkach kapela z galeryjki, popisywali się swym kunsztem akrobaci, żonglerzy i połykacze ognia. Trefniś usiłował rozśmieszać, ale gdzie mu tam było do Angoulême.

Potem zjawił się niedźwiednik z niedźwiedziem, a niedźwiedź ku ogólnej uciesze zrobił kupę na podłogę. Angoulême posmutniała i przygasła – z czymś takim trudno było konkurować.

Ostronosa księżna znienacka wpadła w furię, za jakieś niebaczne słowo któryś z baronów wypadł z łaski i pod eskortą powędrował do wieży. Mało kto – poza bezpośrednio zaangażowanym – przejął się tą sprawą.

– Tak szybko to ty stąd nie wyjedziesz, niedowiarku – odezwała się Fringilla Vigo, kołysząc kielichem. – Choć najchętniej wyjechałbyś zaraz, nic z tego nie będzie.

– Nie czytaj, proszę, w moich myślach.

– Przepraszam. Były tak silne, że odczytałam mimo woli.

– Sama nie wiesz, ile razy ja już to słyszałem.

– Sam nie wiesz, ile ja wiem. Proszę, zjedz karczochów, są zdrowe, dobrze robią na serce. Serce to ważny organ u mężczyzny. Drugi w kolejności, jeśli idzie o ważność.

– Myślałem, że najważniejsze są klasa i szaleństwo.

– Przymioty ducha winny iść w parze z walorami ciała. To daje doskonałość.

– Nikt nie jest doskonały.

– To nie jest argument. Trzeba się starać. Wiesz co? Chyba poproszę o te jarząbki.

Rozkroiła ptaszka na talerzu tak szybko i gwałtownie, że wiedźmin aż drgnął.

– Nie wyjedziesz stąd tak szybko – powiedziała. – Po pierwsze, wcale nie musisz. Nic ci nie grozi...

– Nic a nic, w samej rzeczy – nie wytrzymał, wpadł w słowo. – Nilfgaardczycy zlękną się ostrej noty wystosowanej przez książęcą kancelarię. A gdyby nawet zaryzykowali, przepędzą ich stąd ślubujący na czaplę błędni rycerze z przepaskami na oczach.

– Nic ci nie grozi – powtórzyła, nie zwracając uwagi na sarkazm. – Toussaint powszechnie uważane jest za ksiąstewko z bajki, śmieszne i nierealne, będące nadto, z racji winnej produkcji, w stanie permanentnego rauszu i niezmiennej bachicznej radości. Jako takie przez nikogo nie jest traktowane poważnie, ale cieszy się przywilejami. W końcu dostarcza win, a bez wina życia, jak powszechnie wiadomo, nie ma. Dlatego w Toussaint nie działają żadni agenci, szpiedzy ani tajne

służby. I nie potrzeba armii, wystarczą błędni rycerze z zasłoniętym okiem. Nikt nie zaatakuje Toussaint. Z twojej miny widzę, że nie do końca cię przekonałam?

– Nie do samego.

– A szkoda. – Fringilla zmrużyła oczy. – Lubię docierać do końca. Nie znoszę niespełnień ani półśrodków. Ani niedopowiedzeń. A zatem dopowiadam: Fulko Artevelde, prefekt z Riedbrune, sądzi, że nie żyjesz, zbiegowie donieśli mu, że druidki wszystkich was spaliły żywcem. Fulko robi, co może, by zatuszować całą sprawę, noszącą znamiona skandalu. Ma w tym zresztą interes, a na uwadze własną karierę. Nawet gdy dotrze do niego, że żyjesz, będzie już za późno. Wersja, którą podał w raportach, będzie już obowiązującą.

– Dużo wiesz.

– Nigdy tego nie kryłam. Tak więc, argument o nilfgaardzkim pościgu odpada. A innych, które przemawiałyby za szybkim wyjazdem, po prostu brak.

– Interesujące.

– Ale prawdziwe. Z Toussaint można wyjechać czterema przełęczami, wiodącymi w cztery strony świata. Którą przełęcz wybierzesz? Druidki nie powiedziały ci nic i odmówiły współpracy. Elf z gór zniknął...

– Naprawdę dużo wiesz.

– To już ustaliliśmy.

– I pragniesz mi pomóc.

– A ty tę pomoc odrzucasz. Nie wierzysz w szczerość moich intencji. Nie ufasz mi.

– Posłuchaj, ja...

– Nie tłumacz się. Zjedz jeszcze karczochów.

Ktoś tam znowu ślubował na czaplę. Cahir prawił komplementy baronównom. Angoulême, podchmieloną, słychać było na cały stół. Rabogęby baron, ożywiony dyskursem o łukach i strzałach, zaczął wręcz nadskakiwać Milvie.

– Proszę, skosztuj waćpanna szyneczki z dziczka. Ech, że tak rzekę... Są w mych włościach czarne pola, gdzie buchtują całe ich, że tak rzekę, watahy.

– O.

– Trafiają się tam ładne pojedynki, sztuki trzycetnarowe... Sezon w pełni... Jeśli waćpanna wyrazisz życzenie... Możem, że tak rzekę, na łów

pospołu...

– My tu przecie tak długo nie zabawim. – Milva dziwnie prosząco spojrzała na Geralta. – Bo ważniejsze, z przeproszeniem mości pana, mamy dzieła niźli polowaczka.

– Chociaż – dodała szybko, widząc, że baron się chmurzy – wielce chętnie bym z waszą mością na czarnego zwierza poszła.

Baron rozpromienił się natychmiast.

– Jeśli nie na łowy – oświadczył ochoczo – tedy choćby do siebie zapraszam. Do rezydencji. Pokażę mą kolekcję rosochów, poroży, że tak rzekę, fajek i szabli...

Milva utkwiła wzrok w obrusie.

Baron chwycił tacę z kwiczołami, usłużył jej, potem nalał puchar wina.

– Wybaczcie. – Powiedział. – Jam nie dworak. Zabawiać nie umiem. Z dworską gadką nietęgo u mnie.

– Ja – odkaszlnęła Milva – w lesie wychowana jestem. Ciszę cenić sobie umiem.

Fringilla znalazła pod stołem dłoń Geralta i uścisnęła ją mocno. Geralt spojrzał w jej oczy. Nie mógł odgadnąć, co się w nich kryje.

– Ufam ci – powiedział. – Wierzę w szczerość twoich intencji.

– Nie kłamiesz?

– Przysięgam na czaplę.

•

Miejski strażnik musiał z okazji Yule zdrowo sobie podchmielić, chodził bowiem chwiejnie, tłukł halabardą o szyldy i gromko, acz bełkotliwie obwieszczał, że już dziesiąta na zegarze, choć w rzeczywistości było dobrze po północy.

– Jedź do Beauclair sam – powiedział niespodziewanie Reynart de Bois-Fresnes zaraz po tym, jak wyszli z oberży. – Ja zostanę w mieście. Do jutra. Bywaj, wiedźminie.

Geralt wiedział, że rycerz ma w mieście zaprzyjaźnioną niewiastę, mąż której dużo podróżował w interesach. Nie rozmawiali o tym nigdy, albowiem o takich sprawach mężczyźni nie rozmawiają.

– Bywaj, Reynart. Zadbaj o skoffina. Żeby się nie zaśmierdział.

– Jest mróz.

Był mróz. Uliczki były puste i mroczne. Światło księżyca oświetlało dachy, brylantowo lśniło na zwisających z okapów sopelkach, ale nie docierało w głąb zaułków. Podkowy Płotki dzwoniły na bruku.

Płotka, pomyślał wiedźmin, kierując się w stronę pałacu Beauclair. Zgrabna cisawa kobyłka, prezent od Anny Henrietty. I Jaskra.

Ponaglił konia. Spieszył się.

•

Po uczcie wszyscy spotkali się na śniadaniu, na które przyzwyczaili się chodzić do kompleksu zamkowej kuchni. Zawsze ich tam mile widziano, nie wiedzieć czemu. Zawsze znalazło się tam dla nich coś ciepłego, prosto z garnka, patelni lub rożna, zawsze znalazł się chleb, smalec, boczek, ser i kiszone rydze. Nigdy nie zabrakło dzbanka lub dwóch jakiegoś białego lub czerwonego produktu słynnych lokalnych winnic.

Zawsze tam chodzili. Od dwóch spędzonych w Beauclair tygodni. Geralt, Regis, Cahir, Angoulême i Milva. Tylko Jaskier śniadał gdzie indziej.

– Jemu – komentowała Angoulême, smarując chleb – smalec ze skwarkami przynoszą do łóżka! I nisko się kłaniają!

Geralt był skłonny wierzyć, że właśnie tak było. A właśnie dziś postanowił to sprawdzić.

•

Znalazł Jaskra w sali rycerskiej. Poeta miał na głowie karminowy beret, wielki jak bochen pytlowego chleba, a na sobie utrzymany w tonacji dublet bogato haftowany złotą nicią. Siedział w karle z lutnią na kolanie i niedbałymi kiwnięciami głowy reagował na komplementy otaczających go dam i dworaków.

Anny Henrietty, na szczęście, na horyzoncie widać nie było. Geralt bez wahania złamał więc protokół i śmiało wkroczył do akcji. Jaskier dostrzegł go natychmiast.

– Waszmościowie – nadął się i iście po królewsku machnął ręką – zechcą zostawić nas samych. Służba niechaj również się oddali!

Zaklaskał w dłonie, a nim echo klaskania przebrzmiało, byli już w sali rycerskiej sam na sam ze zbrojami, malowidłami, panopliami i silnym zapachem pudru, jaki pozostał po damach.

– Fajna zabawa – ocenił bez przesadnej złośliwości Geralt – tak ich przeganiać, co? To musi być miłe uczucie, wydawać rozkazy jednym władczym gestem, jednym klaśnięciem, jednym monarszym zmarszczeniem brwi. Patrzeć, jak wycofują się tyłem jak raki, gnąc się przed tobą w ukłonach. Fajna zabawa. Co? Panie faworycie?

Jaskier skrzywił się.

– Idzie ci o coś konkretnego? – spytał kwaśno. – Czy tylko o samo gadanie?

– Chodzi mi o coś bardzo konkretnego. Tak bardzo, że bardziej nie można.

– Mów więc, słucham.

– Potrzebujemy trzech koni. Dla mnie, Cahira i Angoulême. I dwóch luzaków. Łącznie trzy dobre wierzchowe plus dwa podjezdki. Podjezdki, no, może w ostateczności muły, załadowane prowiantem i paszą. Na tyle twoja księżna chyba cię ceni, co? Zasłużyłeś u niej na tyle, mam nadzieję?

– Nie będzie z tym żadnego problemu. – Jaskier, nie patrząc na Geralta, wziął się za strojenie lutni. – Dziwi mnie tylko twój pośpiech. Powiedziałbym, że dziwi mnie on w równym stopniu co twój głupawy sarkazm.

– Pośpiech cię dziwi?

– A żebyś wiedział. Październik się kończy, a pogoda psuje się zauważalnie. Lada dzień na przełęczach spadną śniegi.

– A ciebie dziwi pośpiech – pokiwał głową wiedźmin. – Ale dobrze, że mi przypomniałeś. Załatw nam jeszcze ciepłe odzienie. Futra.

– Myślałem – rzekł wolno Jaskier – że przeczekamy tu zimę. Że zostaniemy tu...

– Chcesz – palnął Geralt bez zastanowienia – to zostań.

– Chcę. – Jaskier wstał nagle, odłożył lutnię. – I zostaję.

Wiedźmin słyszalnie wciągnął powietrze. Milczał. Patrzył na gobelin, na którym wyobrażona była walka tytana ze smokiem. Tytan, pewnie stojąc na dwóch lewych nogach, usiłował wyłamać smokowi żuchwę, a smok nie wyglądał na zachwyconego.

– Zostaję – powtórzył Jaskier. – Kocham Anariettę. A ona kocha mnie.

Geralt milczał nadal.

– Będziecie mieli wasze konie – podjął poeta. – Dla ciebie każę wyszykować rasową kobyłkę o imieniu Płotka, ma się rozumieć.

Będziecie wyekwipowani, oprowiantowani i ciepło odziani. Ale ja szczerze radzę, by zaczekać do wiosny. Anarietta...

– Czy ja dobrze słyszę? – wiedźmin odzyskał wreszcie głos. – Czy mnie słuch nie myli?

– Rozum – warknął trubadur – masz przytępiony niezawodnie. Co do innych zmysłów, nie wiem. Powtarzam: kochamy się, Anarietta i ja. Zostaję w Toussaint. Z nią.

– Jako kto? Miłośnik? Faworyt? A może książę małżonek?

– Status formalnoprawny jest mi w zasadzie obojętny – przyznał szczerze Jaskier. – Ale niczego wykluczyć nie można. Małżeństwa też nie.

Geralt znowu pomilczał, kontemplując walkę tytana ze smokiem.

– Jaskier – powiedział wreszcie. – Jeśli piłeś, to wytrzeźwiej. Jeśli nie piłeś, to się napij. Wtedy pogadamy.

– Nie bardzo rozumiem – zmarszczył brwi Jaskier – dlaczego tak mówisz.

– Pomyśl chwilę.

– Że niby co? Mój związek z Anariettą tak cię zbulwersował? Chciałbyś, być może, apelować do mego rozsądku? Daruj sobie. Ja sprawę przemyślałem. Anarietta mnie kocha...

– A znasz ty – przerwał Geralt – takie porzekadło: łaska księżnych na pstrym koniu jeździ? Nawet jeśli ta twoja Anarietta nie jest płocha, a na płochą mi ona, wybacz szczerość, wygląda, to...

– To co?

– Tylko w bajkach księżne wiążą się z grajkami.

– Po pierwsze – nadął się Jaskier – nawet taki prostak jak ty musiał słyszeć o małżeństwach morganatycznych. Mam ci przytoczyć przykłady z historii dawniejszej i najnowszej? Po drugie, pewnie cię to zdziwi, ja wcale nie jestem z ostatnich. Mój ród, de Lettenhove, wywodzi się od...

– Słucham cię – przerwał znowu Geralt, robiąc się zły – i ogarnia mnie zdumienie. Czy to w istocie mój przyjaciel Jaskier prawi takie farmazony? Czy to naprawdę mój przyjaciel Jaskier zatracił ze szczętem rozum? Czy to Jaskier, którego znałem jako realistę, teraz ni z tego, ni z owego zaczyna żyć w sferze iluzji? Otwórzże ty oczy, kretynie.

– Aha – powiedział wolno Jaskier, zaciskając wargi. – Cóż za ciekawe odwrócenie ról. Ja jestem ślepcem, ty zaś nagle stałeś się uważnym i

bystrym obserwatorem. Zwykle bywało odwrotnie. A czegóż to, ciekawość, z rzeczy tobie widzialnych ja nie dostrzegam? Hę? Na co mam, według ciebie, otworzyć oczy?

– Choćby na to – wycedził wiedźmin – że twoja księżna to zepsute dziecko, z którego wyrosła zepsuta arogantka i bufonka. Na to, że użyczyła ci wdzięków zafascynowana nowością i puści cię w trąbę natychmiast, gdy zjawi się nowy grajek z nowszym i bardziej fascynującym repertuarem.

– Bardzo niskie i wulgarne jest to, co mówisz. Masz tego świadomość, mam nadzieję?

– Mam świadomość twojego braku świadomości. Jesteś szaleńcem, Jaskier.

Poeta milczał, gładząc gryf lutni. Trochę potrwało, zanim przemówił.

– Wyruszyliśmy z Brokilonu – zaczął wolno – w obłąkańczej misji. Podejmując wariackie ryzyko, rzuciliśmy się w szaleńczy i pozbawiony najmniejszej szansy na sukces pościg za mirażem. Za majakiem, senną zjawą, za szaleńczym marzeniem, za absolutnie nieziszczalnym ideałem. Ruszyliśmy w pościg jak głupcy, jak wariaci. Ale ja, Geralt, nie powiedziałem ani słowa skargi. Nie nazwałem cię szaleńcem, nie wyśmiewałem. Bo były w tobie nadzieja i miłość. One kierowały tobą w tej szaleńczej misji. Mną zresztą też. Ale ja już dogoniłem miraż, a miałem na tyle szczęścia, że sen się ziścił, a marzenie spełniło. Moja misja skończyła się. Znalazłem to, co tak trudno znaleźć. I mam zamiar to zachować. To ma być szaleństwo? Szaleństwem byłoby, gdybym to porzucił i wypuścił z rąk.

Geralt milczał równie długo, co Jaskier przedtem.

– Czysta poezja – powiedział wreszcie. – A w tej trudno ci sprostać. Nie powiem już ani słowa. Wybiłeś mi argumenty. Za pomocą, przyznaję, całkiem celnych argumentów. Bywaj, Jaskier.

– Bywaj, Geralt.

•

Pałacowa biblioteka była rzeczywiście olbrzymia. Sala, w której się mieściła, przewyższała rozmiarami co najmniej dwukrotnie salę rycerską. I miała szklany dach. Dzięki temu było jasno. Geralt podejrzewał jednak, że latem bywało tu przez to cholernie gorąco.

Przejścia między półkami i regałami były wąziutkie i ciasne, szedł ostrożnie, by nie postrącać ksiąg. Musiał też przestępować tomy ułożone na podłodze.

– Tutaj jestem – usłyszał.

Środek biblioteki ginął w księgach, ułożonych w stosy i słupki. Sporo leżało całkiem bezładnie, pojedynczo lub w malowniczych kupach.

– Tutaj, Geralt.

Zapuścił się w międzyksiążkowe kaniony i wąwozy. I znalazł ją.

Klęczała pośród porozrzucanych inkunabułów, wertując je i segregując. Miała na sobie skromną szarą sukienkę, dla wygody podciągniętą nieco. Geralt stwierdził, że widok jest niezwykle atrakcyjny.

– Nie przerażaj się tym bałaganem – powiedziała, ocierając czoło przedramieniem, bo na dłoniach miała cienkie, brudne od kurzu jedwabne rękawiczki. – Trwa tu właśnie inwentaryzacja i katalogowanie. Ale na moje życzenie przerwano prace, bym mogła być w bibliotece sama. Gdy pracuję, nie znoszę obcego wzroku na karku.

– Przepraszam. Mam odejść?

– Ty nie jesteś obcy – lekko zmrużyła zielone oczy. – Twój wzrok... sprawia mi przyjemność. Nie stój tak. Siadaj tu, na księgach.

Usiadł na *Opisaniu świata*, wydanym *in folio*.

– Ten galimatias – Fringilla zamaszystym gestem wskazała wokół – nieoczekiwanie ułatwił mi pracę. Mogłam dostać się do tomów, które normalnie leżą gdzieś na dnie, pod niemożliwą do ruszenia opoką. Książęcy bibliotekarze tytanicznym wysiłkiem poruszyli zwały, dzięki czemu światło dzienne ujrzały niektóre klejnoty piśmiennictwa, prawdziwe białe kruki. Spójrz. Widziałeś kiedyś coś takiego?

– *Speculum aureum*? Widziałem.

– Zapomniałam, przepraszam. Ty wiele widziałeś. To miał być komplement, nie sarkazm. A rzuć okiem na to, o. To są *Gesta Regum*. Od tego zaczniemy, byś zrozumiał, kim naprawdę jest twoja Ciri, czyja krew płynie w jej żyłach... Minę masz jeszcze bardziej kwaśną niż zwykle, wiesz? Co jest powodem?

– Jaskier.

– Opowiedz.

Opowiedział. Fringilla wysłuchała, siedząc na stosie ksiąg z nogą założoną na nogę.

– Cóż – westchnęła, gdy skończył. – Przyznam, że spodziewałam się czegoś w tym stylu. Anarietta, dawno to zauważyłam, zdradza objawy zakochania.

– Zakochania? – parsknął. – Czy wielkopańskiej fanaberii?

– Ty – spojrzała na niego przenikliwie – nie wierzysz, zdaje się, w miłość szczerą i czystą?

– Moja wiara – uciął – nie jest akurat przedmiotem debaty i nie ma nic do rzeczy. Chodzi o Jaskra i jego głupie...

Urwał, tracąc nagle pewność.

– Z miłością – powiedziała wolno Fringilla – jest jak z kolką nerkową. Dopóki nie chwyci cię atak, nawet sobie nie wyobrażasz, co to takiego. A gdy ci o tym opowiadają, nie wierzysz.

– Coś w tym jest – zgodził się wiedźmin. – Ale są i różnice. Przed kolką nerkową rozsądek nie chroni. Ani jej nie leczy.

– Miłość kpi sobie z rozsądku. I w tym jej urok i piękno.

– Głupota raczej.

Wstała, podeszła do niego, zdejmując rękawiczki. Jej oczy były ciemne i głębokie pod zasłoną rzęs. Pachniała ambrą, różami, bibliotecznym kurzem, zetlałym papierem, minią i farbą drukarską, galasowym inkaustem, strychniną, którą usiłowano truć biblioteczne myszy. Zapach ten mało miał wspólnego z afrodyzjakiem. Tym dziwniejsze więc było, że działał.

– Nie wierzysz – powiedziała zmienionym głosem – w nagły impuls? W gwałtowne przyciąganie? W zderzenie lecących po kolizyjnych trajektoriach bolidów? W kataklizm?

Wyciągnęła ręce, dotknęła jego ramion. On dotknął jej ramion. Twarze zbliżali jeszcze z ociąganiem, czujnie i w napięciu, usta złączyli też ostrożnie i delikatnie, jak gdyby bojąc się spłoszyć jakąś bardzo, ale to bardzo płochliwą istotkę.

A potem bolidy zderzyły się i doszło do kataklizmu.

Upadli na stos foliałów, które rozjechały się pod ich ciężarem we wsze strony. Geralt wpakował nos w dekolt Fringilli, objął ją silnie i chwycił za kolano. W podciągnięciu jej sukni powyżej talii przeszkadzały mu różne księgi, w tym pełne misternych inicjałów i iluminacji *Żywoty proroków* oraz *De haemorrhoidibus*, ciekawy, acz kontrowersyjny traktat medyczny. Wiedźmin odepchnął woluminy na bok, niecierpliwie szarpnął suknię. Fringilla ochoczo uniosła biodra.

Coś uwierało ją w ramię. Obróciła głowę. *Nauka sztuki położnej dla niewiast*. Prędko, by nie kusić licha, spojrzała w stronę przeciwną. *O wodach gorących siarczanych*. Faktycznie, robiło się coraz bardziej gorąco. Kątem oka widziała frontyspis otwartej księgi, na której spoczywała jej głowa. *Uwagi o śmierci niechybnej*. Jeszcze lepiej, pomyślała.

Wiedźmin mocował się z jej majtkami. Uniosła biodra, ale tym razem lekko, tak by wyglądało to na ruch przypadkowy, a nie na wyzywającą pomoc. Nie znała go, nie wiedziała, jak reaguje na kobiety. Czy nad takie, które wiedzą, czego chcą, nie przedkłada przypadkiem takich, które udają, że nie wiedzą. I czy nie zniechęca go, jeśli majtki ściągają się opornie.

Wiedźmin nie zdradzał jednak żadnych symptomów zniechęcenia. Można było powiedzieć, że wręcz przeciwnie. Widząc, że czas najwyższy, Fringilla entuzjastycznie i z impetem rozłożyła nogi, przewracając stos ułożonych w słupek ksiąg i fascykułów, które zsunęły się na nich niczym lawina. Oprawne w tłoczoną skórę *Prawo hipoteczne* oparło się o jej pośladek, a zdobiony mosiężnymi okuciami *Codex diplomaticus* o nadgarstek Geralta. Geralt w mig ocenił i wykorzystał sytuację: ulokował opasłe tomisko tam, gdzie należało. Fringilla pisnęła, bo okucia były zimne. Ale tylko przez moment.

Westchnęła głośno, puściła włosy wiedźmina, rozrzuciła ręce i oburącz uchwyciła się ksiąg, lewą ręką dzierżąc *Geometrię wykreślną*, prawą *Rys o gadach i płazach*. Trzymający ją za biodra Geralt mimowolnym kopnięciem obalił kolejną kupę tomów, był jednak zbyt zajęty, by przejmować się osuwającymi się na niego foliałami. Fringilla, jęcząc spazmatycznie, zatoczyła głową po stronicach *Uwag o śmierci*...

Księgi osuwały się z szelestem, wiercił w nosie ostry zapach starego kurzu.

Fringilla krzyknęła. Wiedźmin nie słyszał tego, bo zwarła uda na jego uszach. Zrzucił z siebie przeszkadzające mu *Historię wojen* i *Magazyn wszystkich nauk do szczęśliwego życia potrzebnych*. Niecierpliwie walcząc z guziczkami i haftkami góry sukni, wędrował z południa na północ, mimowolnie czytając napisy na okładkach, grzbietach, frontyspisach i stronach tytułowych. Pod talią Fringilli: *Rolnik doskonały*. Pod jej pachą, niedaleko małej, uroczej, zawadiacko zadartej piersi: *O sołtysach nieużytecznych i krnąbrnych*. Pod łokciem: *Ekonomia*

albo proste wyłuszczenie, jak się tworzą, rozdzielają i spożywają bogactwa.

Uwagi o śmierci niechybnej przeczytał już z ustami na jej szyi, a dłońmi w pobliżu *Sołtysów*.... Fringilla wydała z siebie trudny do sklasyfikowania odgłos: ni to krzyk, ni to jęk, ni to westchnienie.

Regały zadrżały, stosiki ksiąg zadygotały i runęły, składając się niczym skały ostańce podczas gwałtownego trzęsienia ziemi. Fringilla krzyknęła. Z hukiem spadł z półki biały kruk, pierwsze wydanie *De larvis scenicis et figuris comicis*, za nim runął *Zbiór komend ogólnych dla jazdy*, pociągając za sobą ozdobioną pięknymi rycinami *Heraldykę* Jana z Attre. Wiedźmin jęknął, kopnięciem wyprężanej nogi zwalając dalsze tomiszcza. Fringilla krzyknęła raz jeszcze, głośno i przeciągle, strąciła obcasem *Rozmyślania albo medytacje na dni wszystkie całego roku*, interesujące anonimowe dzieło, które nie wiadomo jakim sposobem znalazło się na plecach Geralta. Geralt drżał i czytał nad jej ramieniem, dowiadując się chcąc nie chcąc, że *Uwagi*... napisał doktor Albertus Rivus, wydała je Academia Cintrensis, a wydrukował mistrz typograf Johann Froben Junior w drugim roku panowania JM króla Corbetta.

Trwała cisza przerywana tylko szelestem zsuwających się ksiąg i przewracających się stron.

Co robić, myślała Fringilla, leniwymi ruchami dłoni dotykając boku Geralta i twardego rogu *Rozważań o naturze rzeczy*. Zaproponować? Czy czekać, aż on zaproponuje? Żeby tylko nie wziął mnie za płochą i nieskromną...

Co jednak będzie, jeśli on nie zaproponuje?

– Chodźmy i znajdźmy gdzieś jakieś łóżko – zaproponował nieco chrapliwie wiedźmin. – Nie godzi się tak traktować książek.

•

Znaleźliśmy wtedy łóżko, myślał Geralt, puszczając Płotkę w galop parkową aleją. Znaleźliśmy łóżko w jej komnatach, w jej alkowie. Kochaliśmy się jak szaleńcy, zachłannie, chciwie, łapczywie, jakby po latach celibatu, jakby na zapas, jak gdyby celibat znowu nam groził.

Mówiliśmy sobie wiele rzeczy. Mówiliśmy sobie bardzo trywialne prawdy. Mówiliśmy sobie bardzo piękne kłamstwa. Ale te kłamstwa, choć były kłamstwami, nie były obliczone na to, by zwodzić.

Podniecony galopem, skierował Płotkę wprost na przysypany śniegiem klomb róż i zmusił klacz do skoku.

Kochaliśmy się. I mówiliśmy. A nasze kłamstwa były coraz piękniejsze. I coraz bardziej kłamliwe.

Dwa miesiące. Od października do Yule.

Dwa miesiące wściekłej, zachłannej, gwałtownej miłości.

Podkowy Płotki załomotały po płytach dziedzińca pałacu Beauclair.

•

Szybko i bezszelestnie przeszedł korytarzami. Nikt go nie widział ani nie słyszał. Ani straż z halabardami, zabijająca nudę warty gadką i plotką, ani drzemiący lokaje i paziowie. Nie drgnęły nawet płomyki świec, gdy przechodził obok kandelabrów.

Był blisko pałacowej kuchni. Ale nie wszedł do środka, nie przyłączył się do kompanii, która wewnątrz rozprawiała się z antałkiem i czymś smażonym. Postał w cieniu, posłuchał.

Mówiła Angoulême.

– To jakieś, kurwa, zauroczone miejsce, to całe Toussaint. Jakiś urok wisi nad całą tą doliną. A już nad tym pałacem szczególnie. Dziwiłam się Jaskrowi, dziwiłam się wiedźminowi, ale teraz samej mi się jakoś mgło robi i w dołku mnie ściska... Tfu, przyłapałam się na tym, że... A, co ja wam będę gadać. Mówię wam, wyjeżdżajmy stąd. Wyjeżdżajmy stąd co rychlej.

– Rzeknij to Geraltowi – odezwała się Milva. – Jemu to rzeknij.

– Tak, porozmawiaj z nim – rzekł Cahir dość sarkastycznie. – W jednej z tych krótkich chwil, gdy bywa uchwytny. Pomiędzy łożem czarodziejki a polowaniem na potwory. Pomiędzy oboma zajęciami, jakie od dwóch miesięcy wykonuje, by zapomnieć.

– Ty sam – parsknęła Angoulême – jesteś uchwytny głównie w parku, gdzie grywasz w serso z pannami baronównami. Ech, nie ma co, zauroczone to miejsce, to całe Toussaint. Regis nocami gdzieś znika, ciotka ma rabogębego barona...

– Zatknij się, smarkulo jedna! I nie zwij mnie ciotką!

– No, no! – wtrącił się Regis, pojednawczo. – Dziewczęta, dajcie pokój. Milva, Angoulême. Niechaj będzie zgoda. Zgoda buduje, niezgoda rujnuje. Jak mawia jej miłość księżna Jaskrowa, pani tego kraju, pałacu, chleba, smalcu i ogórków. Komu jeszcze nalać?

Milva westchnęła ciężko.

– Za długo my tu już siedzimy! Za długo, mówię wam, siedzimy tu w gnuśności. Durniejemy przez to.

– Dobrze powiedziane – rzekł Cahir. – Bardzo dobrze powiedziane.

Geralt wycofał się ostrożnie. Bezszelestnie. Jak nietoperz.

•

Szybko i bezszelestnie przeszedł korytarzami. Nikt go nie widział ani nie słyszał. Ani straż, ani lokaje, ani paziowie. Nie drgnęły nawet płomyki świec, gdy przechodził obok kandelabrów. Szczury słyszały, unosiły wąsate pyszczki, stawały słupka. Ale nie płoszyły się. Znały go.

Chodził tędy często.

W alkówce pachniało urokiem i czarem, ambrą, różami i kobiecym snem. Ale Fringilla nie spała.

Usiadła na łożu, odrzuciła kołdrę, widokiem zauroczając go i biorąc we władanie.

– Nareszcie jesteś – powiedziała, przeciągając się. – Ty mnie okropnie zaniedbujesz, wiedźminie. Rozbieraj się i chodź tu prędko. Bardzo, ale to bardzo prędko.

•

Szybko i bezszelestnie przeszła korytarzami. Nikt jej nie widział ani nie słyszał. Ani straż, leniwie plotkująca na warcie, ani drzemiący lokaje, ani paziowie. Nie drgnęły nawet płomyki świec, gdy przechodziła obok kandelabrów. Szczury słyszały, unosiły wąsate pyszczki, stawały słupka, śledziły ją czarnymi paciorkami oczu. Nie płoszyły się. Znały ją.

Chodziła tędy często.

•

Był w pałacu Beauclair korytarz, a w jego końcu komnata, o których istnieniu nie wiedział nikt. Ani aktualna pani zamku, księżna Anarietta, ani pierwsza pani zamku, jej prapraprababka, księżna Ademarta. Ani gruntownie przerabiający budowlę architekt, słynny Piotr Faramond, ani pracujący wedle projektów i wskazówek Faramonda mistrzowie murarscy. Ba, nie wiedział o istnieniu korytarza i komnaty nawet szambelan Le Goff, o którym sądzono, że wie o Beauclair wszystko.

Korytarz i komnata, zamaskowane silną iluzją, znane były wyłącznie pierwotnym konstruktorom pałacu, elfom. A później, gdy elfów już nie

było, a Toussaint zostało księstwem – nielicznej grupie czarodziejów związanych z domem książęcym. Między innymi Artoriusowi Vigo, mistrzowi arkanów magicznych, dużemu specjaliście od iluzji. I jego młodej bratanicy, Fringilli, mającej do iluzji szczególny talent.

Szybko i bezszelestnie przeszedłszy korytarzami pałacu Beauclair, Fringilla Vigo zatrzymała się przed fragmentem ściany pomiędzy dwiema kolumnami zdobionymi liściastym akantem. Cicho wypowiedziane zaklęcie i szybki gest sprawiły, że ściana – będąca iluzją – znikła, odsłaniając korytarz, pozornie ślepy. W końcu korytarza były jednak zamaskowane iluzją drzwi. A za owymi drzwiami ciemna komnata.

Wewnątrz, nie tracąc czasu, Fringilla uruchomiła telekomunikator. Owalne zwierciadło zmętniało, a potem rozbłysło, rozjaśniając pomieszczenie, wydobywając z mroku starożytne, ciężkie od kurzu gobeliny na ścianach. W zwierciadle zjawiła się wielka, zatopiona w subtelnym *chiaroscuro* sala, okrągły stół i siedzące za tym stołem kobiety. Dziewięć kobiet.

– Słuchamy, panno Vigo – powiedziała Filippa Eilhart. – Co nowego?

– Niestety – odrzekła Fringilla, odchrząknąwszy. – Nic. Od czasu ostatniej telekomunikacji, nic. Ani jednej próby skanowania.

– To źle – powiedziała Filippa. – Nie ukrywam, liczyłyśmy, że coś pani wykryje. Proszę nam przynajmniej powiedzieć... Czy wiedźmin już się uspokoił? Czy zdoła go pani utrzymać w Toussaint przynajmniej do maja?

Fringilla Vigo milczała przez chwilę. Nie miała najmniejszego zamiaru wspominać loży o tym, że tylko w ciągu ostatniego tygodnia wiedźmin dwukrotnie nazwał ją imieniem Yennefer i to w momencie, w którym miała ze wszech miar prawo oczekiwać własnego imienia. Ale loża miała z kolei prawo oczekiwać od niej prawdy. Szczerości. I słusznego wniosku.

– Nie – odpowiedziała wreszcie. – Do maja chyba nie. Ale zrobię, co w mojej mocy, by zatrzymać go jak najdłużej.

***Korred**, potwór z licznej rodziny Strigiformes (ob.), wedle okolicy zwany takoż korrigan, rutterkin, rumpelsztylc, kręcik a. mesmer. Jedno o niem się da powiedzieć – wredny jest niemożebnie. Taki czarci z niego pomiot i plugawiec, taki chwost suczy, że ani o wyglądzie jego, ani o obyczajach pisać nie będziemy, albowiem zaprawdę powiadam wam: słów szkoda tracić na kurwiego syna.*

Physiologus

Rozdział czwarty

W sali kolumnowej zamku Montecalvo unosił się zapach będący mieszaniną woni drewna starej boazerii, topiących się świec i dziesięciu rodzajów perfum. Dziesięciu specjalnie dobieranych mieszanek zapachowych używanych przez dziesięć kobiet zasiadających za okrągłym dębowym stołem w fotelach o poręczach rzeźbionych w kształt głów sfinksów.

Naprzeciw siebie Fringilla Vigo widziała Triss Merigold w jasnobłękitnej, zapiętej wysoko pod szyją sukni. Obok Triss, trzymając się cienia, siedziała Keira Metz. Jej wielkie kolczyki z wielofasetkowych cytrynów co i rusz rozbłyskiwały tysiącem refleksów, przyciągały wzrok.

– Proszę kontynuować, panno Vigo – ponagliła Filippa Eilhart. – Spieszno nam poznać zakończenie historii. I podjąć pilne kroki.

Filippa – wyjątkowo – nie nosiła żadnej biżuterii oprócz przypiętej do cynobrowej sukni dużej sardonyksowej kamei. Fringilla zdążyła już poznać plotkę, wiedziała już, czyim darem jest kamea i czyj profil wyobraża.

Siedząca obok Filippy Sheala de Tancarville była cała w czerni, lekko tylko skrzącej się od brylantów. Margarita Laux-Antille nosiła na bordowych atłasach grube złoto bez kamieni, Sabrina Glevissig natomiast w kolii, kolczykach i pierścieniach miała swe ulubione, zgrane z kolorem oczu i stroju onyksy.

Najbliżej Fringilli siedziały obie elfki – Francesca Findabair i Ida Emean aep Sivney. Stokrotka z Dolin była jak zwykle królewska, choć ani jej fryzura, ani karminowa suknia dziś wyjątkowo nie imponowały przepychem, a w diademiku i kolii czerwieniły się nie rubiny, lecz skromne, acz gustowne granaty. Ida Emean natomiast ustrojona była w utrzymane w jesiennej tonacji muśliny i tiule, tak delikatne i zwiewne, że nawet w ledwie wyczuwalnych przeciągach wywołanych ruchem centralnie ogrzewanego powietrza poruszały się i falowały niczym anemony.

Assire var Anahid, jak zwykle ostatnio, budziła podziw skromną, lecz dystyngowaną elegancją. Na niewielkim dekolcie obcisłej ciemnozielonej sukni nilfgaardzka czarodziejka nosiła na złotym łańcuszku i w złotej oprawie pojedynczy szmaragd kaboszon. Zadbane paznokcie, polakierowane na kolor bardzo ciemnej zieleni, dodawały kompozycji smaczku iście czarodziejskiej ekstrawagancji.

– Czekamy, panno Vigo – przypomniała Sheala de Tancarville. – Czas bieży.

Fringilla odchrząknęła.

– Przyszedł grudzień – podjęła opowieść. – Przyszło Yule, potem Nowy Rok. Wiedźmin uspokoił się już na tyle, by imię Ciri nie wypływało przy każdej rozmowie. Wyprawy na potwory, które podejmował regularnie, zdawały się pochłaniać go bez reszty. No, może nie całkiem bez reszty...

Zawiesiła głos. Zdawało się jej, że w lazurowych oczach Triss Merigold dostrzegła błysk nienawiści. Ale mógł być to tylko odblask chybotliwych płomieni świec. Filippa parsknęła, bawiąc się kameą.

– Proszę bez aż takiej skromności, panno Vigo. Jesteśmy we własnym gronie. W gronie kobiet, które wiedzą, do czego, oprócz przyjemności, służy seks. Wszystkie używamy tego narzędzia, gdy trzeba. Proszę kontynuować.

– Jeśli nawet w dzień zachowywał pozory skrytości, wyniosłości i dumy – podjęła Fringilla – to nocami był całkowicie w mojej mocy. Mówił mi wszystko. Składał hołdy mojej kobiecości, jak na jego wiek, nader hojne, przyznać trzeba. A potem zasypiał. W moich ramionach, z ustami na mojej piersi. Szukając surogatu matczynej miłości, której nigdy nie zaznał.

Tym razem, była tego pewna, to nie był odblask światła świec. Dobrze, proszę, zazdrośćcie, pomyślała. Zazdrośćcie mi. Jest czego.

– Był – powtórzyła – całkowicie w mojej mocy.

•

– Wracaj do łóżka, Geralt. Przecież jest jeszcze szaro, do diabła!

– Jestem umówiony. Muszę jechać do Pomerol.

– Nie chcę, byś jeździł do Pomerol.

– Umówiłem się. Dałem słowo. Rządca winnicy będzie czekał na mnie przy bramie.

– Te twoje polowania na potwory są głupie i bezsensowne. Co ty chcesz udowodnić, zabijając kolejną maszkarę z pieczar? Swoją męskość? Znam lepsze sposoby. Dalej, wracaj do łóżka. Nie pojedziesz do żadnego Pomerol. Przynajmniej nie tak szybko. Rządca może poczekać, w końcu, kto to jest jakiś rządca? Ja chcę się z tobą kochać.

– Wybacz. Nie mam na to czasu. Dałem słowo.

– Chcę się z tobą kochać!

– Jeśli chcesz towarzyszyć mi przy śniadaniu, zacznij się ubierać.

– Ty mnie już chyba nie kochasz, Geralt. Nie kochasz mnie już? Odpowiedz!

– Włóż tę szaroperłową suknię, tę z aplikacjami z norek. Bardzo ci w niej do twarzy.

•

– Był całkowicie pod moim urokiem, spełniał każde me życzenie – powtórzyła Fringilla. – Robił wszystko, czego od niego zażądałam. Tak było.

– Ależ wierzymy – powiedziała nad wyraz sucho Sheala de Tancarville. – Prosimy dalej.

Fringilla kaszlnęła w pięść.

– Problem – podjęła – stanowiła ta jego kompania. Ta dziwna szajka, którą nazywał drużyną. Cahir Mawr Dyffryn aep Ceallach, który przyglądał mi się i aż czerwienił z wysiłku, by sobie przypomnieć. Ale nie mógł sobie przypomnieć, bo w Darn Dyffra, rodowym zamku jego dziadów, bywałam, gdy miał lat sześć czy siedem. Milva, dziewczyna z pozoru zawadiacka i harda, a którą dwa razy zdarzyło mi się przydybać, jak popłakiwała, skrywszy się w kątku stajni. Angoulême, płochy dzieciak. I Regis Terzieff-Godefroy. Typ, którego rozgryźć nie umiałam.

Oni, cała ta banda, mieli na niego wpływ, którego wyeliminować nie mogłam.

Dobrze, dobrze, pomyślała, nie podnoście tak wysoko brwi, nie krzywcie ust. Poczekajcie. To jeszcze nie koniec opowieści. Jeszcze posłuchacie o moim triumfie.

– Co rano – podjęła – całe to towarzystwo spotykało się w kuchni, mieszczącej się w suterenie pałacu Beauclair. Kuchmistrz lubił ich, nie wiedzieć zresztą czemu. Zawsze coś dla nich przyszykowywał, na tyle obficie i na tyle smacznie, że śniadanie trwało zwykle dwie, czasem nawet trzy godziny. Wielokrotnie jadłam z nimi, wraz z Geraltem. Stąd wiem, jakie absurdalne zwykli wieść rozmowy.

•

Po kuchni, stąpając płochliwie na pazurzastych łapach, chodziły dwie kury, jedna czarna, a druga jarzębiata. Łypiąc na śniadającą kompanię, kury dziobały z podłogi okruszki.

Kompania, jak co rano, zebrała się w pałacowej kuchni. Kuchmistrz lubił ich, nie wiedzieć czemu, zawsze miał dla nich coś smacznego. Dziś była to jajecznica, żurek, duszone bakłażany, pasztet z królika, półgęski i biała kiełbasa z ćwikłą, do tego zaś spory krąg koziego sera. Wszyscy jedli żwawo i milczkiem. Oprócz Angoulême, która plotła.

– A ja wam mówię, załóżmy tu bordel. Gdy już załatwimy, co mamy do załatwienia, wróćmy tu i załóżmy dom rozpusty. Rozejrzałam się w mieście. Tu jest wszystko. Samych balwierni naliczyłam dziewięć, a aptek osiem. A zamtuz jest tylko jeden i to obskurny, sracz, powiadam, nie zamtuz. Żadna konkurencja. My założymy bajzel luksusowy. Kupimy piętrowy dom z ogródkiem...

– Angoulême, zlituj się.

– ...wyłącznie dla szacownej klienteli. Ja będę bajzelmamą. Powiadam wam, zrobimy wielką forsę i będziemy żyli jak jakieś paniska. W końcu kiedyś wybiorą mnie na rajczynię, a wtedy to ja już wam na pewno nie dam zginąć, bo jak mnie wybiorą, to ja wybiorę was i ani się obejrzycie...

– Angoulême, prosiliśmy. Masz, zjedz chlebka z pasztetem.

Przez chwilę było cicho.

– Na co dzisiaj polujesz, Geralt? Trudna robota?

– Naoczni świadkowie – wiedźmin uniósł głowę znad talerza – podają sprzeczne opisy. A więc albo pryskirnik, czyli robota dość trudna, albo delichon, czyli średnio trudna, albo narzępik, czyli średnio łatwa. Może być i tak, że robota nader łatwa, bo ostatnio widziano potwora przed Lammas ubiegłego roku. Mógł wynieść się z Pomerol za siedem gór.

– Czego mu życzę – powiedziała Fringilla, ogryzając gęsią kostkę.

– A co tam – spytał nagle wiedźmin – u Jaskra? Nie widziałem go od czasu tak długiego, że całą wiedzę o nim czerpię ze śpiewanych na mieście paszkwili.

– Nie jesteśmy w lepszej sytuacji – uśmiechnął się zaciśniętymi wargami Regis. – Wiemy tylko, że nasz poeta jest już z księżną panią Anariettą w stosunkach na tyle zażyłych, że pozwala sobie wobec niej, nawet przy świadkach, na dość poufały *cognomen*. Nazywa ją Łasiczką.

– Utrafia z tym! – powiedziała z pełnymi ustami Angoulême. – Ta pani księżna ma faktycznie taki jakiś łasiczy nos. Nie wspominając o zębach.

– Nikt nie jest doskonały – zmrużyła oczy Fringilla.

– Święta prawda.

Kury, czarna i jarzębiata, rozzuchwaliły się na tyle, by zacząć dziobać buty Milvy. Łuczniczka przegoniła je zamaszystym kopniakiem, zaklęła.

Geralt już od dawna się jej przypatrywał. Teraz zdecydował się.

– Mario – powiedział poważnie, wręcz surowo. – Ja wiem, że nasze konwersacje trudno zaliczyć do poważnych, a żarty do wyszukanych. Ale nie musisz demonstrować nam aż tak kwaśnej miny. Czy coś się stało?

– No pewnie, że się stało – powiedziała Angoulême. Geralt uciszył ją ostrym spojrzeniem. Za późno.

– A co wy wiecie? – Milva wstała gwałtownie, o mało nie wywalając krzesła. – A co wy wiecie, hę? Niech was bies porwie i cholera! W rzyć mnie pocałujta, wszyscy, wszyscy, rozumiecie?

Chwyciła ze stołu kubek, wypiła do dna, potem bez zastanowienia cisnęła nim o podłogę. I wybiegła, trzaskając drzwiami.

– Sprawa jest poważna... – zaczęła po chwili Angoulême, ale tym razem to wampir ją uciszył.

– Sprawa jest bardzo poważna – potwierdził. – Nie spodziewałem się jednak aż tak ekstremalnej reakcji ze strony naszej łuczniczki. Zwykle tak się reaguje, gdy się dostaje kosza, nie wówczas, gdy się go daje.

– O czym wy, psiakrew, mówicie? – zdenerwował się Geralt. – Hę? Może któreś wreszcie zdradzi, o co tutaj chodzi?

– O barona Amadisa de Trastamara.

– Tego rabogębego myśliwca?

– O niego samego. Oświadczył się Milvie. Trzy dni temu na polowaniu. On ją od miesiąca zaprasza na polowania...

– Jedno polowanie – Angoulême bezczelnie błysnęła ząbkami – było dwudniowe. Z noclegiem w myśliwskim zameczku, rozumiecie? Głowę dam...

– Zamilknij, dziewczyno. Mów, Regis.

– Formalnie i uroczyście poprosił ją o rękę. Milva odmówiła, zdaje się, że w dość ostrej formie. Baron, choć wyglądał na rozsądnego, przejął się rekuzą jak młodzik, nadąsał i natychmiast wyjechał z Beauclair. A Milva od tamtej pory chodzi jak struta.

– Za długo my tu już siedzimy – mruknął wiedźmin. – Za długo.

– I kto to mówi? – powiedział milczący do tej pory Cahir. – Kto to mówi?

– Wybaczcie – wiedźmin wstał. – Pogadamy o tym, gdy wrócę. Rządca winnicy Pomerol czeka na mnie. A punktualność jest grzecznością wiedźminów.

•

Po gwałtownym wyjściu Milvy i odejściu wiedźmina reszta kompanii śniadała w milczeniu. Po kuchni, stąpając płochliwie na pazurzastych łapach, chodziły dwie kury, jedna czarna, a druga jarzębiata.

– Mam – odezwała się wreszcie Angoulême, podnosząc na Fringillę oczy znad wycieranego skórką chleba talerza – taki jeden problem...

– Rozumiem – kiwnęła głową czarodziejka. – To nic strasznego. Jak dawno temu była ostatnia miesiączka?

– Co też ty? – Angoulême poderwała się gwałtownie, płosząc kury. – Nic w tej podobie! Całkiem o co innego idzie!

– Słucham więc.

– Geralt chce mnie tu zostawić, gdy będzie wyruszał w dalszą drogę.

– Och.

– Mówi – prychnęła Angoulême – że nie wolno mu mnie narażać i temu podobne głupoty. A ja chcę z nim iść...

– Och.

– Nie przerywaj mi, dobrze? Ja chcę z nim iść, z Geraltem, bo tylko z nim się nie boję, że mnie Jednooki Fulko znowuż capnie, a tu, w Toussaint...

– Angoulême – przerwał jej Regis. – Mówisz nadaremnie. Pani Vigo słucha, ale nie słyszy. Zbulwersowana jest tylko jednym: wyjazdem wiedźmina.

– Och – powtórzyła Fringilla, odwracając ku niemu głowę i mrużąc oczy. – O czym to pan raczył napomknąć, panie Terzieff-Godefroy? Wyjazd wiedźmina? A kiedyż to on wyrusza? Jeśli można wiedzieć?

– Może nie dziś, może nie jutro – odparł łagodnym głosem wampir. – Ale któregoś dnia na pewno. Nie urażając nikogo.

– Nie czuję się urażona – odparła Fringilla zimno. – Oczywiście, jeśli to mnie miał pan na myśli. Wracając zaś do ciebie, Angoulême, to zapewniam, że sprawę wyjazdu z Toussaint omówię z Geraltem. Gwarantuję ci, wiedźmin pozna moje zdanie w tej kwestii.

– No, oczywiście – parsknął Cahir. – Skąd ja wiedziałem, że tak właśnie pani odpowie, pani Fringillo.

Czarodziejka patrzyła na niego długo.

– Wiedźmin – powiedziała wreszcie – nie powinien wyjeżdżać z Toussaint. Nikt, kto dobrze mu życzy, nie powinien go do tego nakłaniać. Gdzie będzie mu tak dobrze, jak tutaj? Opływa w luksusy. Ma swoje potwory, na które poluje, zarabiając na tym całkiem nieźle. Jego druh i komiliton jest faworytem panującej tu księżnej, sama księżna też jest mu łaskawa. Głównie z tytułu tego sukkuba, który nawiedzał alkowy. Tak, tak, panowie. Anarietta, jak i wszystkie urodzone panie z Toussaint, są niezmiernie rade z wiedźmina. Sukkub bowiem przestał nawiedzać, jakby nożem uciął. Panie z Toussaint złożyły się więc na specjalną premię, którą lada dzień wpłacą na konto wiedźmina w banku Cianfanellich. Pomnażając fortunkę, którą wiedźmin już tam uskładał.

– Ładny gest ze strony pań. – Regis nie spuścił oczu. – A premia zasłużona. Nie jest łatwo sprawić, by sukkub przestał nawiedzać. Może mi pani wierzyć, pani Fringillo.

– I wierzę. A tak przy okazji, jeden z pałacowych strażników, jak twierdzi, widział sukkuba. Nocą, na blankach Wieży Karoberty. W towarzystwie drugiego upiora. Jakby wampira. Oba demony przechadzały się, przysięgał strażnik, a wyglądały na zaprzyjaźnione. Wiecie coś może o tym, panie Regisie? Potraficie wytłumaczyć?

– Nie. – Regisowi nie drgnęła nawet powieka. – Nie potrafimy. Są rzeczy na niebie i ziemi, o których nie śniło się filozofom.

– Bez wątpienia są takie rzeczy – kiwnęła czarną główką Fringilla. – Względem zaś tego, jakoby wiedźmin sposobił się do wyruszenia w drogę, wiadomo wam coś więcej? Mnie bowiem, widzicie, nic o takim zamiarze nie wspominał, a zwykł mówić mi o wszystkim.

– No jasne – burknął Cahir. Fringilla zlekceważyła go.

– Panie Regisie?

– Nie – powiedział po chwili milczenia wampir. – Nie, pani Fringillo, proszę być spokojną. Wiedźmin nie darzy nas wcale większym afektem ani konfidencją niż pani. Nie szepcze nam do uszek żadnych sekretów, które kryłby przed panią.

– Skąd tedy – Fringilla była spokojna jak granit – te rewelacje o wyruszeniu?

– A bo to – wampirowi i tym razem nie drgnęła powieka – jest tak, jak w tym pełnym młodzieńczego czaru powiedzonku naszej kochanej Angoulême: przychodzi kiedyś taki czas, gdy trzeba albo srać, albo oswobodzić wychodek. Innymi słowy...

– Darujcie sobie – przerwała ostro Fringilla – inne słowa. Tych jakoby pełnych czaru było dość.

Przez dłuższą chwilę panowało milczenie. Obie kury, czarna i jarzębiata, chodziły i dziobały, co popadło. Angoulême wycierała rękawem umorusany ćwikłą nos. Wampir w zamyśleniu bawił się kołkiem od kiełbasy.

– Dzięki mnie – przerwała wreszcie ciszę Fringilla – Geralt poznał rodowód Ciri, znane tylko nielicznym osobom zawiłości i sekrety jej genealogii. Dzięki mnie wie to, o czym jeszcze rok temu nie miał pojęcia. Dzięki mnie dysponuje informacją, a informacja to oręż. Dzięki mnie i mojej magicznej ochronie jest zabezpieczony przed wrogim skanowaniem, a więc i przed skrytobójcami. Dzięki mnie i mojej magii kolano nie boli go już i może je zginać. Na szyi nosi wykonany moją sztuką medalion, może nie tak dobry jak oryginalny wiedźmiński, ale zawsze. Dzięki mnie, i tylko mnie, wiosną lub latem, poinformowany, zabezpieczony, zdrowy, przygotowany i uzbrojony będzie mógł stanąć do walki z wrogami. Jeśli ktokolwiek z tu obecnych zrobił dla Geralta więcej, dał mu więcej, niechaj to ogłosi. Chętnie oddam mu cześć.

Nikt się nie odezwał. Kury dziobały buty Cahira, ale młody Nilfgaardczyk nie zwracał na nie uwagi.

– Zaprawdę – powiedział z przekąsem – nikt z nas nie dał Geraltowi więcej niż wy, pani.

– Skąd wiedziałam, że właśnie to powiesz?

– Nie w tym rzecz, pani Fringillo – zaczął wampir. Czarodziejka nie dała mu dokończyć.

– W czym tedy? – spytała zaczepnie. – W tym, że jest ze mną? Że łączy nas uczucie? W tym, że ja nie chcę, by stąd teraz wyjeżdżał? Że nie chcę, by zniszczyło go poczucie winy? To samo poczucie winy, ta pokuta, które pchają w drogę was?

Regis milczał. Cahir też nie zabrał głosu. Angoulême przyglądała się, ewidentnie niezbyt wiele rozumiejąc.

– Jeżeli to, że Geralt odzyska Ciri – powiedziała po chwili czarodziejka – jest zapisane w zwojach przeznaczenia, to tak się stanie. Niezależnie od tego, czy wiedźmin ruszy w góry, czy będzie siedział w Toussaint. Przeznaczenie dościga ludzi. Nie odwrotnie. Rozumiecie to? Czy pan to rozumie, panie Regisie Terzieff-Godefroy?

– Lepiej, niż pani myśli, pani Vigo. – Wampir obrócił w palcach kołek od kiełbasy. – Ale dla mnie, raczy pani wybaczyć, przeznaczenie to nie zwoje, zapisane ręką Wielkiego Demiurga, ani wola nieba, ani nieodwołalne wyroki jakiejś tam opatrzności, lecz wynik wielu pozornie nie związanych ze sobą faktów, wydarzeń i działań. Skłonny byłbym się z panią zgodzić co do tego, że przeznaczenie dościga ludzi... i nie tylko ludzi. Nie bardzo jednak przemawia do mnie pogląd, że odwrotnie być nie może. Bo taki pogląd to wygodny fatalizm, to pean chwalący otępienie i gnuśność, puch pierzyny i urzekające ciepło damskiego łona. Krótko mówiąc, życie w śnie. A życie, pani Vigo, może i jest snem, może i kończy się snem... Ale jest to sen, który trzeba prześnić aktywnie. Dlatego, pani Vigo, na nas czeka szlak.

– Wolna droga. – Fringilla wstała niemal tak gwałtownie, jak niedawno Milva. – Proszę bardzo! Na przełęczach czekają na was śnieżyca, mróz i przeznaczenie. I jakże bardzo potrzebna wam ekspiacja. Wolna droga! Ale wiedźmin zostanie tu. W Toussaint! Ze mną!

– Sądzę – odparł spokojnie wampir – że jest pani w błędzie, pani Vigo. Sen, który wiedźmin śni, jest, przyznaję to z ukłonem, snem czarownym

i pięknym. Ale każdy sen, zbyt długo śniony, zamienia się w koszmar. A z takowego budzimy się z krzykiem.

•

Dziewięć kobiet, siedzących za wielkim okrągłym stołem zamku Montecalvo, wpijało oczy we Fringillę Vigo. We Fringillę, która nagle zaczęła się jąkać.

– Geralt wyjechał do winnicy Pomerol ósmego stycznia rano. A wrócił... Chyba ósmego w nocy... Albo dziewiątego przed południem... Nie wiem tego... Nie mam pewności...

– Składniej – poprosiła łagodnie Sheala de Tancarville. – Prosimy składniej, panno Vigo. A jeśli jakiś fragment opowieści peszy panią, prosimy go zwyczajnie pominąć.

•

Po kuchni, stąpając ostrożnie na pazurzastych łapach, chodziła jarzębiata kura. Pachniało rosołem.

Drzwi otworzyły się z trzaskiem. Do kuchni wpadł Geralt. Na zaczerwienionej od wiatru twarzy miał siniak i fioletowoczarny strup zakrzepłej krwi.

– Dalej, drużyna, pakować się – ogłosił bez zbędnych wstępów. – Wyjeżdżamy! Za godzinę, ani chwili później, chcę widzieć was wszystkich na wzgórku za miastem, tam, gdzie stoi słup. Spakowanych, w siodłach, gotowych do dalekiej i trudnej drogi.

Wystarczyło. Jak gdyby czekali na tę wieść od dawna, jak gdyby od dawna byli w gotowości.

– Ja migiem! – krzyknęła, zrywając się, Milva. – Ja i w pół godziny gotowa będę!

– Ja też. – Cahir wstał, rzucił łyżkę, spojrzał na wiedźmina bacznie. – Ale chciałbym wiedzieć, co to jest. Kaprys? Kłótnia kochanków? Czy też naprawdę szlak?

– Naprawdę szlak. Angoulême, czemu robisz miny?

– Geralt, ja...

– Nie bój się, nie zostawię cię. Zmieniłem zdanie. Ciebie trzeba pilnować, smarkulo, nie można spuszczać cię z oka. Jazda, mówiłem, pakować się, troczyć juki. I pojedynczo, żeby pozoru nie dawać, za miasto, pod słup na wzgórek. Za godzinę się tam spotkamy.

– Niezawodnie, Geralt! – krzyknęła Angoulême. – Kurwa, nareszcie!

W mgnieniu oka w kuchni zostali tylko Geralt i jarzębiata kura. I wampir, spokojnie kontynuujący siorbanie rosołu z lanymi kluseczkami.

– Czekasz na specjalne zaproszenie? – spytał chłodno wiedźmin. – Czemu jeszcze siedzisz? Zamiast juczyć muła Draakula? I żegnać się z sukkubem?

– Geralt – powiedział spokojnie Regis, zaczerpując dolewkę z wazy. – Na pożegnanie z sukkubem wystarczy mi tyle samo czasu, co tobie ma pożegnanie z twoją czarnulką. Założywszy, że ty z twoją czarnulką w ogóle masz zamiar się żegnać. A tak między nami: młodzików mogłeś posłać do pakowania krzykiem, gwałtem i rabanem. Mnie należy się coś więcej, choćby z racji wieku. Poproszę o kilka słów wyjaśnienia.

– Regis...

– Wyjaśnienie, Geralt. Im szybciej zaczniesz, tym lepiej. Pomogę ci. Wczoraj rano, zgodnie z umową, spotkałeś się u bramy z rządcą winnicy Pomerol...

•

Alcides Fierabras, czarnobrody rządca winnicy Pomerol poznany w „Bażanciarni" w wigilię Yule, czekał na wiedźmina przy bramie, z mułem, sam zaś odziany był i wyposażony, jakby mieli w planach podróżować gdzieś hen, hen, daleko, na kraj świata, aż za Bramę Solveigi i przełęcz Elskerdeg.

– Blisko to i w samej rzeczy nie jest – odrzekł na kwaśną uwagę Geralta. – Wyście, panie, przybysz z szerokiego świata, to się wam nasze małe Toussaint widzi zadupiem, myślicie, że tu od granicy do granicy czapką dorzucić zdoła, i to suchą czapką nawet. Otóż w błędzie jesteście. Do winnicy Pomerol, tam bowiem zmierzamy, niezły jest drogi kawał, jeśli na południe tam staniemy, to sukces będzie.

– Błąd zatem – rzekł sucho wiedźmin – że tak późno wyruszamy.

– Ano, może i błąd. – Alcides Fierabras łypnął na niego i dmuchnął w wąsy. – Alem nie wiedział, żeście z takich, co o świtaniu wstać skorzy. Bo to u wielkich panów nieczęste.

– Nie jestem wielkim panem. W drogę, panie rządco, nie traćmy czasu na próżne gadki.

– Z ust żeście mi wyjęli.

Pojechali przez miasto, aby skrócić drogę. Geralt początkowo chciał protestować, lękał się utknięcia w znanych mu, zatłoczonych zaułkach.

Rządca Fierabras jednak, jak się okazało, znał lepiej i miasto, i pory, w których na ulicach nie było tłoku. Jechali bezproblemowo i szybko.

Wjechali na rynek, minęli szafot. I szubienicę z wisielcem.

– Niebezpieczna to rzecz – wskazał ruchem głowy rządca – rymy składać i piosenki śpiewać. Osobliwie publicznie.

– Surowe tu sądy. – Geralt w mig połapał się, w czym rzecz. – Gdzie indziej za paszkwil najwyżej pręgierz.

– Zależy, na kogo paszkwil – ocenił trzeźwo Alcides Fierabras. – I jak rymowany. Nasza księżna pani dobra jest i kochana, ale jak się zdrzaźni...

– Pieśni, jak mawia pewien mój znajomy, nie można zadławić.

– Pieśni nie. Ale pieśniarza i owszem, proszę.

Przecięli miasto, wyjechali Bednarską Bramą wprost w dolinę Blessure, żwawo pluszczącej i pieniącej się na bystrzach. Śnieg na polach leżał tylko w bruzdach i zagłębieniach, ale było dość zimno.

Minął ich poczet rycerski, zmierzający zapewne ku Przełęczy Cervantesa, na graniczną strażnicę Vedette. Zakolorowiło się od wymalowanych na tarczach i wyhaftowanych na płaszczach i kropierzach gryfów, lwów, serc, lilii, gwiazd, krzyży, krokwi i innych heraldycznych dupereli. Zadudniły kopyta, zafurkotały proporce, rozbrzmiała śpiewana mocnymi głosy kretyńska pieśń o rycerskiej doli i o miłej, która, miast czekać, wcześniej się wydała.

Geralt odprowadził poczet wzrokiem. Widok błędnych rycerzy przywiódł mu na myśl Reynarta de Bois-Fresnesa, który dopiero co powrócił był ze służby i regenerował siły w ramionach swej mieszczki, której mąż, handlowiec, nie wracał ranki i wieczory, zapewne zatrzymany gdzieś w drodze przez wezbrane rzeki, bory pełne zwierza i inne szaleństwa żywiołów. Wiedźmin ani myślał wyrywać Reynarta z objęć kochanki, ale prawdziwie żałował, że nie przełożył kontraktu z winnicą Pomerol na jakiś późniejszy termin. Polubił rycerza, brakowało mu jego towarzystwa.

– Jedźmy, panie wiedźmin.

– Jedźmy, panie Fierabras.

Pojechali gościńcem w górę rzeczki. Blessure wiła się i meandrowała, ale była obfitość mostków, nie musieli więc nadkładać drogi.

Z nozdrzy Płotki i muła buchała para.

– Jak myślicie, panie Fierabras, długo zima potrzyma?

– W Saovine mróz był. A powiada przysłowie: „Gdy w Saovine mróz, ciepłe gacie włóż”.

– Rozumiem. A wasza winorośl? Nie zaszkodzi jej zimno?

– Zimniej bywało.

Jechali w milczeniu.

– Owo baczcie – odezwał się Fierabras, wskazując. – Tam, w kotlinie, leży wioska Lisie Doły. Na tamtejszych polach, dziw nad dziwy, garnki rosną.

– Słucham?

– Garnki. Rodzą się w ziemi łonie, same z siebie, wyłącznie sztuką przyrody, bez jakiegokolwiek dopomagania ludzkiego. Jak gdzie indziej ziemniaki albo rzepa, w Lisich Dołach rosną garnki. Wszelkiego rodzaju i różnych kształtów.

– Doprawdy?

– Żebym tak zdrów był. Po temu nawiązują Lisie Doły partnerskie kontakty z wsią Dudno w Maecht. Tam bowiem, jak wieść niesie, ziemia rodzi pokrywki do garnków.

– Wszelkiego rodzaju i różnych kształtów?

– Utrafiliście, panie wiedźmin, w sedno.

Jechali dalej. W milczeniu. Blessure szumiała i pieniła się na kamieniach.

•

– A owóż tam, baczcie, panie wiedźmin, ruiny starodawnego burgu Dun Tynne. Strasznych scen, jeśli wierzyć bajce, był ci ów burg świadkiem. Walgerius, co go wołali Wdałym, ubił tam krwawo i wśród mąk okrutnych żonę niewierną, miłośnika tejże, matkę tejże, siostrę tejże i brata tejże. A potem siadł i zapłakał, nie odgadnąć czemu...

– Słyszałem o tym.

– Toście tu bywali?

– Nie.

– Ha. Znaczy, daleko baśń bieży.

– Utrafiliście, panie rządco, w sedno.

•

– A tamta – wskazał wiedźmin – zgrabna wieżyczka, tam, za owym strasznym burgiem? Co to takiego?

– Tam? To świątynia.

– Jakiego bóstwa?
– A któż by to pamiętał.
– Fakt. Któż by.

•

Około południa ujrzeli winnice, łagodnie opadające ku Blessure stoki wzgórz, zjeżone szczecinką równo przyciętej winorośli, teraz pokracznej i żałośnie gołej. Na szczycie najwyższego wzgórza, smagane wiatrem, biły w niebo wieże, gruby donżon i barbakan zamku Pomerol.

Geralta zainteresowało, że wiodąca ku zamkowi droga była wyjeżdżona, poraniona kopytami i obręczami kół nie mniej niż główny gościniec, widać było wyraźnie, że właśnie ku zamkowi Pomerol często ktoś z z gościńca skręcał. Wstrzymał się z pytaniami aż do momentu, gdy pod zamkiem spostrzegł kilkanaście wyprzężonych, okrytych płachtami wozów, solidnych i mocnych wehikułów używanych do dalekiego transportu.

– Kupcy – wyjaśnił spytany rządca. – Handlarze winni.

– Kupcy? – zdziwił się Geralt. – Jak to? Myślałem, że górskie przełęcze są zasypane śniegiem, a Toussaint jest odcięte od świata. Jakim sposobem przybyli tu zatem kupcy?

– Dla kupców – rzekł poważnie rządca Fierabras – nie ma złych dróg, przynajmniej dla takich, co serio swój traktują proceder. U nich, panie wiedźminie, taka jest zasada: skoro cel przyświeca, sposób musi się znaleźć.

– Zaiste – powiedział wolno Geralt – zasada to celna i godna naśladowania. W każdej sytuacji.

– Bez ochyby. Ale tak po prawdzie, to niektórzy z handlarzy tkwią tu od jesieni, wyjechać nie mogąc. Ale duchem nie padają, mówią, pry, co tam, za to wiesną pierwsi będziemy, nim konkurencja się zjawi. U nich to się nazywa: dumać pozytywnie.

– I tej zasadzie – kiwnął głową Geralt – trudno coś zarzucić. Jedna rzecz mnie jeszcze ciekawi, panie rządco. Dlaczego ci kupcy siedzą tu, na odludziu, a nie w Beauclair? Księżna nie kwapi się, by udzielać im gościny? Może gardzi kupcami?

– Bynajmniej – odrzekł Fierabras. – Księżna pani zaprasza ich zawżdy, oni wszak odmawiają grzecznie. I mieszkają przy winnicach.

– Dlaczego?

– Beauclair, powiadają, to nic jeno uczty, bale, hulanki, pijatyki i miłostki. Człek, powiadają, jeno gnuśnieje, durnieje i czas traci, miast myśleć o handlu. A myśleć trza o tym, co naprawdę ważne. O celu, co przyświeca. Nieustannie. Nie rozpraszając myśli na jakieś tam faramuszki. Wtedy, i tylko wtedy, cel zamierzony się osiąga.

– Zaiste, panie Fierabras – powiedział wolno wiedźmin. – Rad jestem z naszej wspólnej podróży. Wiele skorzystałem z naszych rozmów. Naprawdę wiele.

•

Wbrew oczekiwaniom wiedźmina, nie pojechali do zamku Pomerol, lecz nieco dalej, na garb za kotliną, na którym wznosił się kolejny zameczek, trochę mniejszy i dużo bardziej zaniedbany. Kasztel zwał się Zurbarràn. Geralt uradował się perspektywą bliskiej roboty, ciemny i zębaty pokruszonymi krenelażami Zurbarràn wyglądał bowiem wypisz, wymaluj jak zaklęta ruina, niezawodnie rojąca się od czarów, dziwów i potworów.

Wewnątrz, na dziedzińcu, miast dziwów i potworów, zobaczył kilkunastu ludzi pochłoniętych zajęciami tak czarownymi jak turlanie beczek, heblowanie desek i zbijanie tychże za pomocą gwoździ. Woniało świeżym drewnem, świeżym wapnem, nieświeżym kotem, skwaśniałym winem i grochówką. Grochówkę wkrótce podano.

Wygłodzeni drogą, wiatrem i chłodem, jedli żwawo i milczkiem. Towarzyszył im podwładny rządcy Fierabrasa, przedstawiony Geraltowi jako Szymon Gilka. Usługiwały dwie jasnowłose dziewki o długich na dobre dwa łokcie warkoczach. Obie słały wiedźminowi spojrzenia tak wymowne, że postanowił co rychlej zająć się pracą.

Szymon Gilka potwora nie widział. Wygląd jego znał wyłącznie z drugiej ręki.

– Czarny był, pry, jak smoła, ale gdy po ścianie pełzł, cegłę przez niego było widać. Jak ta galareta był, rozumiecie, panie wiedźmin, albo jakby, z przeproszeniem, glut jakowyś. A łapska miał długaśne i cienkie, i siła tych łapsków miał, ośm albo i więcej nawet. A Yontek tak se stał, stał i patrzał, aż wreszcie oświeciło go i w głos zakrzyknął: „Zgiń, przepadnij!” i jeszcze egzorcyzm dołożył: „A bodajeś zdechł, obkurwieńcu!” Wonczas potworzysko hyc, hyc, hyc! Hycnęło i tyle jego było widać. Ucieknęło w pieczar czeluście. Tedy chłopy rzekły tak: jak potwór, to dajcie, pry,

podwyżkę za robotę w warunkach dla zdrowia szkodliwych, a jak nie, to my do cechu pójdziem ze skargą. Wasz cech, ja im na to, może mi skoczyć...

– Kiedy – przerwał Geralt – widziano potwora po raz ostatni?

– A dyć trzy niedziele temu. Tak jakoś trochę przed Yule.

– Mówiliście – wiedźmin spojrzał na rządcę – że przed Lammas.

Alcides Fierabras pokraśniał na miejscach nie zasłoniętych brodą. Gilka parsknął.

– Ano, ano, panie rządco, jak się chce rządcować, trzeba częściej do nas, nie jeno w Beauclair w kantorku rzycią zydel polerować. Tak sobie myślę...

– Nie ciekawim – przerwał Fierabras – waszych myśli. O potworze gadajcie.

– A dyć jużem wygadał. Wszystko, co było.

– Nie było ofiar? Nikt nie został zaatakowany?

– Nie. Ale łońskiego roku przepadł jeden parobek bez wieści. Niektórzy mówili, że to potwór jego w otchłanie zawlókł i zgładził. Inni zasię, że to nie potwór nijaki, jeno ten parob z własnego konceptu fugas chrustas, a to przez długi i elementy. Bo on, uważacie, w kości grywał ostro, nadto zaś nadmuchał brzuch młynarzównie, a owa młynarzówna do sądów pobieżała, sądy zaś parobowi elementy płacić nakazały...

– Na nikogo więcej – obcesowo przerwał wywód Geralt – potwór nie napadł? Nikt inny go nie widział?

– Nie.

Jedna z dziewek, dolewając Geraltowi lokalnego wina, przejechała mu piersią po uchu, po czym mrugnęła zachęcająco.

– Chodźmy – powiedział Geralt szybko. – Nie ma co mitrężyć i gadać. Zaprowadźcie mnie do piwnic.

•

Amulet Fringilli, przykro było to stwierdzić, nie spełniał pokładanych w nim nadziei. W to, że oprawny w srebro wyszlifowany chryzopraz zastąpi jego wiedźmiński medalion z wilkiem, Geralt nie wierzył nawet przez moment. Fringilla zresztą wcale tego nie przyrzekała. Zapewniała jednak – z wielkim przekonaniem – że po zgraniu się z psychiką noszącego amulet zdolny będzie czynić różne rzeczy, w tym ostrzegać przed niebezpieczeństwem.

Albo jednak czary Fringilli się nie udały, albo Geralt i amulet różnili się w kwestii tego, co jest niebezpieczeństwem, a co nim nie jest. Chryzopraz ledwie wyczuwalnie zadrgał, gdy idąc do piwnic przecięli szlak wielkiemu rudemu kotu defilującemu przez podwórzec z zadartym ogonem. Kot zresztą musiał odebrać jakiś sygnał od amuletu, bo zemknął, miaucząc przeraźliwie.

Gdy zaś wiedźmin zszedł do piwnic, medalion co i rusz denerwująco wibrował, i to w loszkach suchych, porządnych i czystych, w których jedyną groźbę stanowiło wino w wielkich beczkach. Komuś, kto wyzbywszy się samokontroli, zaległby z otwartą gębą pod szpuntem, groziło tu ciężkie przepicie. I nic więcej.

Medalion nie drgnął natomiast, gdy Geralt porzucił użytkowaną część lochów i zszedł niżej ciągiem schodów i sztolni. Wiedźmin już dawno zorientował się, że pod większością winnic Toussaint były starożytne kopalnie. Niechybnie było tak, że gdy posadzona winorośl zaczęła rodzić i zapewniać lepsze zyski, wydobycia kopalin zaprzestano, a kopalnie porzucono, częściowo adaptując korytarze i chodniki na winne sklepy i piwniczki. Zamki Pomerol i Zurbarràn stały nad dawną kopalnią łupku. Roiło się tu od sztolni i dziur, wystarczyła chwila nieuwagi, by spocząć na dnie którejś ze skomplikowanym złamaniem. Część dziur pokrywały zbutwiałe deski, które przysypane łupkowym pyłem niemal nie różniły się od podłoża. Nieostrożne stąpnięcie na coś takiego było niebezpieczne – a więc medalion winien ostrzegać. Nie ostrzegał.

Nie ostrzegł też, gdy z łupkowego rumowiska jakieś dziesięć kroków przed Geraltem wyprysnął szary niewyraźny kształt, który zadrapał pazurami spąg, wyciął dzikiego hołubca, zawył przeszywająco, po czym z wizgiem i chichotem pognał korytarzem i dał nura w jedną z ziejących w ścianie nisz.

Wiedźmin zaklął. Magiczna sztuczka reagowała na rude koty, a nie reagowała na gremliny. Trzeba będzie porozmawiać o tym z Fringillą, pomyślał, podchodząc do dziury, w której zniknął stworek.

Amulet zadrgał silnie.

Rychło w czas, pomyślał. Ale zaraz zastanowił się głębiej. Medalion mógł w końcu nie być taki głupi. Standardowa i ulubiona taktyka gremlinów polegała na ucieczce i zasadzce, z której cięło się

ścigającego zaskakującym uderzeniem ostrych jak sierpy szponów. Gremlin mógł czekać tam, w ciemności, a medalion to sygnalizował.

Czekał długo, wstrzymując oddech, pilnie wytężając słuch. Amulet spokojnie i martwo leżał na jego piersi. Z dziury niosło stęchłym, nieprzyjemnym smrodem. Ale panowała martwa cisza. A żaden gremlin nie wytrzymałby tak długo w ciszy.

Nie zastanawiając się, wlazł do dziury i ruszył na czworakach, szorując plecami o chropawą skałę. Długo nie szedł.

Coś chrupnęło i zaszeleściło, podłoże puściło, a wiedźmin pojechał w dół wraz z kilkoma cetnarami piachu i żwiru. Na szczęście trwało to krótko, a pod nim nie było bezdennej przepaści, lecz zwyczajny loch. Wyleciał jak gówno z rury kanalizacyjnej i runął z chrupotem na stertę zbutwiałego drewna. Wytrząsnął z włosów i wypluł piasek, zaklął bardzo paskudnie. Amulet drgał bez ustanku, trzepał mu się na piersi jak wsadzony za pazuchę wróbel. Wiedźmin powstrzymał się przed zerwaniem go i ciśnięciem w diabły. Po pierwsze, Fringilla byłaby wściekła. Po drugie, chryzopraz miał jakoby jeszcze inne czarodziejskie zdolności. Geralt miał nadzieję, że w tych innych będzie mniej zawodny.

Gdy spróbował wstać, namacał okrągłą czaszkę. I pojął, że to, na czym leży, wcale nie jest drewnem.

Wstał, szybko zlustrował kupę kości. Wszystkie należały do ludzi. Wszyscy ci ludzie byli w chwili śmierci zakuci w kajdany i najprawdopodobniej nadzy. Kości były pokruszone i pogryzione. Gdy ich gryziono, ludzie mogli już nie żyć. Ale to nie było pewne.

Ze sztolni wyprowadził go korytarz, długi, idący prosto jak strzała. Łupkowa ściana była obrobiona dość gładko, nie wyglądało to już na kopalnię.

Wyszedł nagle do ogromnej kawerny, której sufit tonął w ciemnościach. Środek kawerny zajmowała olbrzymia, czarna i bezdenna dziura, nad którą wisiał kamienny, niebezpiecznie filigranowo wyglądający mostek.

Woda kapała ze ścian, dzwoniła echem. Z przepaści wiało chłodem i smrodem. Amulet zachowywał się spokojnie. Geralt wszedł na mostek, uważny i skupiony, starając trzymać się z daleka od rozsypujących się balustradek.

Za mostkiem był znowu korytarz. W gładko obrobionych ścianach zauważył przerdzewiałe uchwyty do pochodni. Były tu też nisze, w

niektórych stały posążki z piaskowca, jednak kapiąca latami woda wyługowała je i rozmyła na niekształtne bałwany. W ściany wprawiono też płyty z płaskorzeźbami. Te, wykonane z odporniejszego materiału, były bardziej czytelne. Geralt rozpoznał kobietę z księżycowymi rogami, wieżę, jaskółkę, dzika, delfina, jednorożca.

Usłyszał głos.

Stanął, wstrzymując oddech.

Amulet drgnął.

Nie. To nie było złudzenie, to nie był szmer osuwającego się łupku ani echo kapiącej wody. To był ludzki głos. Geralt zamknął oczy, wytężył słuch. Lokalizował.

Głos, wiedźmin dałby się posiekać, dochodził z kolejnej niszy, zza kolejnego posążka, rozmytego, ale nie na tyle, by stracił okrąglutkie kobiece kształty. Tym razem medalion stanął na wysokości zadania. Błysnęło, a Geralt dostrzegł nagle w ścianie refleks metalu. Chwycił rozmytą kobietę w mocne objęcia, skręcił silnie. Zazgrzytało, cała nisza obróciła się na stalowych zawiasach, odsłaniając kręcone schody.

Z góry schodów znowu dobiegł głos. Geralt nie zastanawiał się długo.

Na górze znalazł drzwi, które otworzyły się bez oporu i nawet bez zgrzytania. Za drzwiami było malutkie sklepione pomieszczenie. Ze ścian sterczały cztery ogromne mosiężne rury, na końcach rozszerzone jak trąby. Pośrodku, pomiędzy wylotami trąb, stał fotel, a na fotelu siedział kościotrup. Na czerepie, opadnięte aż po zęby, miał resztki biretu, na sobie strzępy bogatej niegdyś odzieży, na szyi złoty łańcuch, a na stopach mocno pogryzione przez szczury kurdybanowe buty z zadartymi noskami.

Z jednej z trąb rozległo się kichnięcie, tak głośne i niespodziewane, że wiedźmin aż podskoczył. Potem ktoś wysmarkał się, a zwielokrotniony przez mosiężną rurę odgłos był wręcz piekielny.

– Na zdrowie – rozległo się z rury. – Ależ smarczecie, Skellen.

Geralt zepchnął kościotrupa z fotela, nie zapominając o zdjęciu i schowaniu do kieszeni złotego łańcucha. Potem sam rozsiadł się na podsłuchowym miejscu. U wylotu trąby.

•

Jeden z podsłuchiwanych miał głos basowy, głęboki i dudniący. Gdy mówił, mosiężna rura aż wibrowała.

– Ależ smarczecie, Skellen. Gdzieście to się tak przeziębili? I kiedy?

– Szkoda gadać o tym – odrzekł zakatarzony. – Przeklęte choróbsko, przyczepiło się i trzyma, co odpuści, to znowu wraca. Nawet magia nie pomaga.

– Może więc wartałoby zmienić magika? – odezwał się kolejny głos, zgrzytliwy niczym stary zardzewiały zawias. – Ten Vilgefortz, jak na razie, niewieloma może poszczycić się sukcesami, ot co. Po mojemu...

– Zostawmy to – wtrącił się ktoś mówiący z charakterystycznym przeciąganiem sylab. – Nie po to organizowaliśmy zjazd, tu, w Toussaint. Na krańcu świata.

– Na zatraconym krańcu świata!

– Ten kraniec świata – powiedział zakatarzony – to jedyny znany mi kraj nie posiadający własnej służby bezpieczeństwa. Jedyny zakątek Cesarstwa, który nie jest naszpikowany agentami Vattiera de Rideaux. To wiecznie rozbawione i podpite księstwo wszyscy mają za komediowe i nikt nie traktuje go poważnie.

– Takie kraiki – powiedział przeciągający sylaby – zawsze były rajem dla szpiegów i ulubionym miejscem ich spotkań. Dlatego przyciągały również kontrwywiady i szpicli, różnych zawodowych podpatrywaczy i podsłuchiwaczy.

– Może tak było dawniej. Ale nie za babskich rządów, trwających w Toussaint blisko sto lat. Powtarzam, jesteśmy tu bezpieczni. Tutaj nikt nas nie wytropi ani nie podsłucha. Możemy, udając kupców, spokojnie omówić kwestie jakże żywotne zwłaszcza dla waszych książęcych miłości. Dla waszych prywatnych fortun i latyfundiów.

– Gardzę prywatą, ot co! – zaperzył się zgrzytliwy. – I nie dla prywaty tu jestem! Idzie mi tylko i wyłącznie o dobro Cesarstwa. A dobro Cesarstwa, panowie, to mocna dynastia! Szkodą natomiast i wielkim złem dla Cesarstwa będzie, jeśli na tronie zasiądzie jakiś skundlony, zepsuty owoc złej krwi, potomek chorych fizycznie i moralnie północnych królików. Nie, panowie! Na rzecz taką ja, de Wett z de Wettów, na Wielkie Słońce, nie będę patrzył bezczynnie! Tym bardziej, że moja córka już niemal miała obiecane...

– Twoja córka, de Wett? – zaryczał ten basowy, dudniący. – A co ja mam powiedzieć? Ja, którym poparł tego szczeniaka Emhyra wtedy, w walce przeciw uzurpatorowi? Wszak to z mojej rezydencji kadeci ruszyli szturmować pałac! A wcześniej to co? Wszak to u mnie się ukrywał!

Wtenczas, mały krętacz, łaskawie patrzył na moją Eilan, uśmiechał się, komplementy prawił, a i za kotarą, wiem to, cycki jej ściskał. A teraz co... Inna cesarzowa? Taki afront? Taka obelga? Cesarz Wiecznego Imperium, który nad córki starych rodów przedkłada przybłędę z Cintry! Co? Siedzi na tronie z mojej łaski, a moją Eilan śmie znieważać? Nie, nie zniosę tego!

– Ani ja! – krzyknął kolejny głos, wysoki i egzaltowany. – Mnie też wyrządził zniewagę! Dla tej cintryjskiej przybłędy porzucił moją żonę!

– Szczęśliwym trafem – odezwał się ten przeciągający sylaby – przybłędę wyprawiono na tamten świat. Jak wynika z relacji pana Skellena.

– Słuchałem tej relacji uważnie – powiedział zgrzytliwy – i doszedłem do wniosku, że nie wynika z niej nic oprócz tego, że przybłęda znikła. Jeśli zaś znikła, to może się objawić ponownie. Od zeszłego lata to ona znikała i objawiała się kilka razy! Zaiste, panie Skellen, rozczarowaliście nas wielce, ot co. Wy i ten wasz czarodziej, Vilgefortz!

– Nie czas teraz o tym, Joachimie! Nie czas oskarżać się wzajemnie i obwiniać, wbijać kliny w naszą jedność. Musimy być silni jednością. I zdecydowaniem. Nieważne jest albowiem, czy Cintryjka żyje czy nie. Cesarz, który raz bezkarnie zelżył stare rody, będzie to robił dalej! Nie ma Cintryjki? To za parę miesięcy gotów przedstawić nam cesarzową z Zerrikanii albo Zangwebaru! Nie, na Wielkie Słońce, do tego nie dopuścimy!

– Nie dopuścimy, ot co! Słusznie prawisz, Ardalu! Ród Emreisów zawiódł oczekiwania, każda chwila, gdy Emhyr siedzi na tronie, szkodzi Cesarstwu, ot co. A jest kogo na tronie posadzić. Młody Voorhis...

Rozległo się głośne kichnięcie, po nim trąbiące smarkanie.

– Monarchia konstytucyjna – powiedział kichacz. – Najwyższy czas na monarchię konstytucyjną, na ustrój postępowy. A potem demokracja... Władza ludu...

– Imperator Voorhis – powtórzył z naciskiem głęboki głos. – Imperator Voorhis, Stefanie Skellen. Który będzie ożeniony z moją Eilan lub z którąś z córek Joachima. A wtedy ja jako wielki kanclerz koronny, de Wett jako marszałek polny. Wy zaś, Stefanie, jako hrabia i minister spraw wewnętrznych. Chyba, że jako zwolennik jakiegoś tam ludu czy dudu deklarujecie rezygnację z tytułu i stanowiska. Co?

– Zostawmy w spokoju procesy historyczne – rzekł pojednawczo zakatarzony. – Tych i tak nic nie powstrzyma. Na dziś zaś, wasza łaskawość wielki kanclerzu aep Dahy, jeśli mam jakieś zastrzeżenia przeciw osobie princa Voorhisa, to głównie dlatego, że jest to człek żelaznego charakteru, dumny i nieugięty, na którego niełatwo wpłynąć.

– Jeśli można coś podpowiedzieć – odezwał się przeciągający sylaby. – Princ Voorhis ma syna, malutkiego Morvrana. Ten jest znacznie lepszym kandydatem. Po pierwsze, ma mocniejsze prawa do tronu, tak po mieczu, jak i po kądzieli. Po drugie, to dzieciak, za którego rządzić będzie rada regencyjna. Czyli my.

– Głupstwa! Damy sobie radę i z ojcem! Znajdziemy sposób!

– Podetkamy mu – zaproponował ten egzaltowany – moją żonę!

– Cichajcie, hrabio Broinne. Nie czas teraz o tym. Panowie, o czym innym wypada radzić, ot co. Chciałem bowiem spostrzec, że Emhyr var Emreis jeszcze panuje.

– A jakże – zgodził się zakatarzony, trąbiąc w chustkę. – Panuje i żyje, ma się dobrze, tak na ciele, jak i na umyśle. Zwłaszcza tego drugiego nie sposób kwestionować po tym, jak pozbył się obu waszych łaskawości z Nilfgaardu wraz z tymi wojskami, które mogłyby być wam wierne. Jak pan chce tedy dokonać przewrotu, mości książę Ardalu, gdy lada moment przyjdzie panu iść do boju na czele Grupy Armii „Wschód”? A książę Joachim też już chyba powinien być przy swoich wojskach, przy Specjalnej Grupie Operacyjnej „Verden”.

– Daruj sobie uszczypliwości, Stefanie Skellen. I nie rób min, które tylko w twoim mniemaniu upodabniają cię do twego nowego pryncypała, czarodzieja Vilgefortza. A wiedz i to, Puszczyku, że skoro i Emhyr coś podejrzewa, to winę właśnie ponosicie wy, ty i Vilgefortz. Przyznaj się, chcieliście pojmać Cintryjkę i kupczyć nią, wkupywać się w łaski Emhyra? Teraz, gdy dziewczyna nie żyje, kupczyć nie ma czym, prawda? Emhyr rozerwie was końmi, ot co. Nie uniesiecie głów, ani ty, ani czarownik, z którym związałeś się wbrew nam!

– Nikt z nas nie uniesie głowy, Joachimie – wtrącił bas. – Trzeba spojrzeć prawdzie w oczy. Wcale nie jesteśmy w lepszej sytuacji niż Skellen. Okoliczności sprawiły, że wszyscy jedziemy na jednym wózku.

– Ale to Puszczyk wsadził nas na ten wózek! Mieliśmy działać skrycie, a teraz co? Emhyr wie wszystko! Agenci Vattiera de Rideaux tropią

Puszczyka po całym imperium! A nas, by się nas pozbyć, wysłano na wojnę, ot co!

– Z tego akurat – powiedział ten przeciągający sylaby – radowałbym się, to bym wykorzystał. Wojny, która trwa, zapewniam panów, wszyscy mają już dość. Wojsko, prosty lud, a nade wszystko kupcy i przedsiębiorcy. Sam fakt zakończenia wojny powitany będzie w całym Cesarstwie z wielką radością, niezależnie od tego, jak wojna się skończy. A przecież panowie, jako dowodzący armiami, mają na wynik wojny wpływ, że się tak wyrażę, stale w zasięgu ręki. Cóż prostszego, jak w wypadku kończącego konflikt zbrojny zwycięstwa ustroić się w laur? A w przypadku porażki wystąpić jako mężowie opatrznościowi, rzecznicy rokowań, kładący kres przelewowi krwi?

– Prawda – powiedział po chwili zgrzytliwy. – Na Wielkie Słońce, to prawda. Słusznie prawicie, panie Leuvaarden.

– Emhyr – powiedział bas – założył sobie stryczek na szyję, wysyłając nas na front.

– Emhyr – powiedział egzaltowany – żyje jeszcze, mości książę. Żyje i ma się dobrze. Nie dzielmy skóry na niedźwiedziu.

– Nie – powiedział bas. – Wcześniej zabijmy niedźwiedzia.

Milczenie trwało długo.

– A więc zamach. Śmierć.

– Śmierć.

– Śmierć!

– Śmierć. To jedyne rozwiązanie. Emhyr ma zwolenników, dopóki żyje. Gdy Emhyr umrze, poprą nas wszyscy. Stanie po naszej stronie arystokracja, bo arystokracja to my, a siłą arystokracji jest jej solidarność. Stanie po naszej stronie znaczna część wojska, zwłaszcza ta część korpusu oficerskiego, która pamięta Emhyrowi czystki po klęsce soddeńskiej. I stanie po naszej stronie lud...

– Bo lud jest ciemny, głupi i łatwo nim manipulować – dokończył, wysmarkawszy się, Skellen. – Wystarczy krzyknąć: „Hurra!", wygłosić mowę ze stopni senatu, otworzyć więzienia i obniżyć podatki.

– Macie absolutną rację, hrabio – powiedział ten przeciągający sylaby. – Teraz wiem, czemu tak gardłujecie za demokracją.

– Uprzedzam – zazgrzytał ten nazywany Joachimem – że tak gładziutko nam nie pójdzie, panowie. Cały nasz plan opiera się na tym, że Emhyr umrze. A nie wolno zamykać oczu na fakt, że Emhyr ma wielu

poplecznikó w, ma korpusy wojsk wewnętrznych, ma fanatyczną gwardię. Nie będzie łatwo przerąbać się przez brygadę „Impera", a ta, nie łudźcie się, będzie walczyć do ostatniego.

– I tutaj – oświadczył Stefan Skellen – oferuje nam swoją pomoc Vilgefortz. Nie będziemy musieli oblegać pałacu ani przebijać się przez „Imperę". Sprawę załatwi jeden zamachowiec mający magiczną protekcję. Tak, jak to się stało w Tretogorze, tuż przed rebelią magików na Thanedd.

– Król Radowid Redański.

– Tak jest.

– Vilgefortz ma takiego zamachowca?

– Ma. Żeby dowieść wam naszego zaufania, panowie, powiemy wam, kto to jest. Czarodziejka Yennefer, którą trzymamy w więzieniu.

– W więzieniu? Słyszałem, że Yennefer jest wspólniczką Vilgefortza.

– Jest jego więźniem. Zauroczona i zahipnotyzowana, zaprogramowana jak golem dokona zamachu. Po czym popełni samobójstwo.

– Niezbyt pasuje mi jakaś zauroczona wiedźma – rzekł przeciągający sylaby, a niechęć sprawiła, że przeciągał jeszcze bardziej. – Lepszy byłby bohater, płomienny ideowiec, mściciel...

– Mścicielka – przerwał Skellen. – Pasuje jak ulał, panie Leuvaarden. Yennefer będzie mścić krzywdy wyrządzone jej przez tyrana. Emhyr prześladował i przyprawił o śmierć jej wychowanicę, niewinne dziecko. Ten okrutny jedynowładca, ten zboczeniec, miast dbać o Cesarstwo i lud, prześladował i katował dzieci. Dosięgła go za to mściwa ręka...

– Dla mnie – oświadczył basem Ardal aep Dahy – bardzo dobre.

– Dla mnie też – zazgrzytał Joachim de Wett.

– Świetne! – krzyknął egzaltowanie hrabia Broinne. – Za gwałcenie cudzych żon tyrana i zboczeńca dosięgnie mściwa ręka. Świetne!

– Jedna rzecz – przeciągnął sylaby Leuvaarden. – Aby dowieść zaufania, panie hrabio Skellen, proszę nam zdradzić aktualne miejsce pobytu pana Vilgefortza.

– Panowie, ja... Nie wolno mi...

– To będzie gwarancja. Rękojmia szczerości i oddania sprawie.

– Nie lękaj się zdrady, Stefanie – dodał aep Dahy. – Nikt z tu obecnych nie zdradzi. To paradoks. W innych warunkach może wśród nas i znalazłby się taki, kto chciałby kupić życie, zdradzając pozostałych. Ale

wszyscy z nas wiedzą aż nadto dobrze, że przeniewierstwem nie kupiliby nic. Emhyr var Emreis nie wybacza. Nie potrafi wybaczać. On ma zamiast serca kawał lodu. I dlatego umrze.

Stefan Skellen nie wahał się dłużej.

– A więc dobrze – powiedział. – Niechaj to będzie rękojmia szczerości. Vilgefortz ukrywa się w...

•

Wiedźmin, siedzący u wylotu trąb, aż do bólu zacisnął pięści. Wytężył słuch. I pamięć.

•

Wątpliwości wiedźmina względem amuletu Fringilli były niesłuszne i rozwiały się w mgnieniu oka. Gdy wszedł do dużej kawerny i zbliżał się do kamiennego mostku nad czarną otchłanią, medalion zaszarpał mu się i zatrzepał na szyi, już nie jak wróbel, ale jak spory i silny ptak. Gawron, dajmy na to.

Geralt zamarł. Uspokoił amulet. Nie wykonywał najmniejszego ruchu, by jego uszu nie mylił ani szelest, ani nawet głośniejszy oddech. Czekał. Wiedział, że po drugiej stronie przepaści, za mostkiem, coś było, coś czaiło się w ciemnościach. Nie wykluczał, że coś mogło się kryć również za jego plecami, a most miał być pułapką. Nie miał zamiaru dać się w nią schwytać. Czekał. I doczekał się.

– Witaj, wiedźminie – usłyszał. – Czekaliśmy tu na ciebie.

Głos dobiegający z mroku brzmiał dziwnie. Ale Geralt słyszał już takie głosy, znał je. Głosy istot nie przyzwyczajonych do porozumiewania się za pomocą mowy. Umiejąc korzystać z aparatury płuc, przepony, tchawicy i krtani, stworzenia te nie do końca panowały nad aparatem artykulacyjnym, nawet wtedy, gdy ich wargi, podniebienie i język miały budowę całkiem podobną do ludzkiej. Wypowiadane przez takie istoty słowa, oprócz tego, że dziwacznie akcentowane i intonowane, pełne były dźwięków niemiłych dla ludzkiego ucha – od twardych i brzydko szczekliwych po syczące i ośliźle miękkie.

– Czekaliśmy tu na ciebie – powtórzył głos. – Wiedzieliśmy, że przyjdziesz, gdy cię zwabić plotkami. Że wleziesz tu, pod ziemię, by tropić, ścigać, prześladować i mordować. Już stąd nie wyjdziesz. Nie zobaczysz już tego słońca, któreś tak ukochał.

– Pokaż się.

W ciemności za mostkiem coś się poruszyło. Mrok w jednym miejscu jakby zgęstniał i przybrał ludzki z grubsza kształt. Stwór, zdawało się, ani przez chwilkę nie zostawał w tej samej pozycji i miejscu, zmieniał je za pomocą szybkich, nerwowych, rozmigotanych ruchów. Wiedźmin widywał już takie istoty.

– Korred – stwierdził zimno. – Mogłem spodziewać się tu kogoś takiego jak ty. Aż dziw, że wcześniej się na ciebie nie natknąłem.

– Proszę, proszę – w głosie ruchliwego stwora zabrzmiało szyderstwo. – W ciemności, a poznał. A tego poznajesz? I tego? I tego?

Z mroku, bezszelestnie jak duchy, wyłoniły się trzy kolejne stwory. Jeden, czający się za plecami korreda, z kształtu i ogólnego pozoru też był humanoidem, ale niższym, bardziej zgarbionym i bardziej małpim. Geralt wiedział, że to kilmulis.

Dwa dalsze potwory, jak słusznie podejrzewał, kryły się przed mostkiem, gotowe odciąć mu odwrót, gdyby na mostek wszedł. Pierwszy, po lewej, zachrobotał pazurami jak ogromny pająk, zamarł, przebierając licznymi odnóżami. Był to pryskirnik. Ostatni stwór, z grubsza przypominający kandelabr, wychynął, zdawałoby się, wprost ze spękanej łupkowej ściany. Geralt nie mógł odgadnąć, co to jest. W żadnej z wiedźmińskich ksiąg takie monstrum nie figurowało.

– Nie chcę zwady – powiedział, licząc trochę na fakt, że stwory zaczęły od rozmowy, miast zwyczajnie skoczyć mu z ciemności na kark. – Nie chcę z wami zwady. Ale jak przyjdzie co do czego, będę się bronił.

– Mamy to wkalkulowane – oznajmił sykliwie korred. – Dlatego jesteśmy we czwórkę. Dlatego cię tu zwabiliśmy. Zatrułeś nam życie, łajdacki wiedźminie. Najpiękniejsze dziury w tej świata stronie, cudowne miejsce do zimowania, my tu zimujemy od zarania dziejów niemalże. A teraz tyś tu przylazł polować, niecnoto. Ścigać nas, tropić, zabijać dla pieniędzy. Koniec z tym. I z tobą też.

– Posłuchaj, korredzie...

– Grzeczniej – warknął stwór. – Nie ścierpię chamstwa.

– Jak więc mam się do ciebie...

– Panie Schweitzer.

– A zatem, panie Schweitzer – podjął Geralt, na pozór posłusznie i pokornie – sprawa ma się tak. Wszedłem tu, nie ukrywam, jako wiedźmin, z wiedźmińskim zadaniem. Proponuję pominąć rzecz milczeniem. Wydarzyło się jednak w tych podziemiach coś, co sytuację

zmieniło diametralnie. Dowiedziałem się czegoś niezwykle dla mnie ważnego. Czegoś, co może odmienić całe moje życie.

– I co z tego czegoś ma wynikać?

– Muszę – Geralt był wzorem spokoju i cierpliwości – natychmiast wyjść na powierzchnię, natychmiast, bez chwili zwłoki, wyruszyć w daleką drogę. Drogę, która może się okazać drogą bez powrotu. Wątpię, bym kiedykolwiek wrócił w te strony...

– W ten sposób chcesz sobie kupić życie, wiedźminie? – zasyczał pan Schweitzer. – Nic z tego. Próżne są twoje błagania. Mamy cię w matni i nie wypuścimy z niej. Zabijemy cię z myślą nie tylko o sobie, ale i o innych naszych pobratymcach. Za, że się tak wyrażę, wolność naszą i waszą.

– Nie tylko nie wrócę w te strony – podjął cierpliwie Geralt – ale w ogóle zaprzestanę działalności jako wiedźmin. Nigdy już nie zabiję żadnego z was...

– Łżesz! Łżesz ze strachu!

– Ale – Geralt i tym razem nie dał sobie przerwać – muszę, jak się rzekło, pilnie stąd wyjść. Macie tedy do wyboru dwie alternatywy. Pierwsza: uwierzycie w moją szczerość, a ja stąd wyjdę. Druga: wyjdę stąd po waszych trupach.

– Trzecia – charknął korred – sam będziesz trupem.

Wiedźmin z sykiem wydobył miecz z pochwy na plecach.

– Nie jedynym – powiedział beznamiętnie. – Z pewnością nie jedynym, panie Schweitzer.

Korred milczał przez czas jakiś. Trzymający się za jego plecami kilmulis kołysał się i pocharkiwał. Pryskirnik zginał i prostował odnóża. Kandelabr zmieniał kształty. Teraz wyglądał jak koślawa choinka z dwojgiem wielkich fosforyzujących oczu.

– Daj dowód – rzekł wreszcie korred – twojej szczerości i dobrej woli.

– Jaki?

– Twój miecz. Twierdzisz, że przestaniesz być wiedźminem. Wiedźmin to jego miecz. Wrzuć go do przepaści. Albo złam. Wtedy pozwolimy ci wyjść.

Geralt przez chwilę stał bez ruchu, w ciszy, w której słychać było kapanie wody ze stropu i ścian. Potem wolno, nie spiesząc się, pionowo i głęboko wetknął miecz w rozpadlinę skalną. I złamał klingę silnym

uderzeniem buta. Brzeszczot pękł z jękiem, który echem odezwał się w pieczarach.

Woda kapała ze ścian, ściekała po nich niby łzy.

– Nie mogę uwierzyć – rzekł powoli korred. – Nie mogę uwierzyć, że ktoś może być aż tak głupi.

Rzucili się na niego wszyscy, momentalnie, bez krzyku, hasła czy komendy. Pierwszy sadził przez mostek pan Schweitzer, z wysuniętymi pazurami i wyszczerzonymi kłami, których nie powstydziłby się wilk.

Geralt pozwolił mu się zbliżyć, po czym wykręcił się w biodrach i ciął, rozwalając dolną szczękę i gardło. W następnej chwili już był na mostku, uderzeniem na odlew rozpłatał kilmulisa. Skurczył się i przypadł do ziemi, w samą porę, a skaczący na niego kandelabr przeleciał górą, ledwie zadrapawszy mu kurtkę szponami. Wiedźmin uskoczył przez pryskirnikiem, przed jego cienkimi łapami migającymi jak śmigi wiatraka. Cios jednej z łap trafił go w bok głowy, Geralt zatańczył, robiąc zwód i otaczając się szerokim cięciem. Pryskirnik skoczył znowu, ale chybił. Uderzył o barierkę i rozwalił ją, runął w przepaść wraz z gradem kamieni. Do tej pory nie wydał najmniejszego dźwięku, teraz, lecąc w przepaść, zawył. Wycie cichło długo.

Zaatakowali go z dwóch stron – z jednej kandelabr, z drugiej broczący krwią kilmulis, który, choć ranny, zdołał wstać. Wiedźmin wskoczył na balustradkę mostku, czuł, jak trą o siebie usuwające się kamienie, a cały mostek drży. Balansując, wymknął się z zasięgu szponiastych łapsk kandelabra i znalazł za plecami kilmulisa. Kilmulis nie miał szyi, więc Geralt ciął go w skroń. Ale czerep potwora był jak z żelaza, musiał rąbnąć po raz drugi. Stracił na to odrobinę za dużo czasu.

Dostał w głowę, ból błysnął mu w czaszce i oczach. Zawirował, otaczając się szeroką paradą, czując wartko cieknącą spod włosów krew, starał się zrozumieć, co się stało. Unikając cudem drugiego ciosu szponów, zrozumiał. Kandelabr zmieniał kształty – teraz atakował nieprawdopodobnie wręcz wydłużonymi łapami.

Miało to wadę. W postaci zakłóconego środka ciężkości i równowagi. Wiedźmin zanurkował pod łapami, skracając dystans. Kandelabr, widząc, co się święci, jak kot upadł na grzbiet, wystawiając tylne łapy, równie szponiaste jak przednie. Geralt przeskoczył nad nim, rąbiąc w skoku. Czuł, jak klinga tnie ciało. Zwinął się, odwrócił, ciął jeszcze raz, przypadając na kolano. Stwór zakrzyczał i gwałtownie wyrzucił do

przodu głowę, dziko kłapnął zębiskami tuż przed piersią wiedźmina. Jego wielkie oczy świeciły w ciemności. Geralt odepchnął go mocnym uderzeniem głowicy miecza, ciął z bliska, znosząc mu połowę czaszki. Nawet bez tej połowy ten dziwny, nie figurujący w żadnej z wiedźmińskich ksiąg stwór kłapał zębami jeszcze przez dobre kilkanaście sekund. Potem umarł, ze strasznym, niemal ludzkim westchnieniem.

Leżący w kałuży krwi korred drgał konwulsyjnie.

Wiedźmin stanął nad nim.

– Nie mogę uwierzyć – powiedział – że ktoś mógł być tak głupi, by dać się nabrać na tak prostą iluzję, jak ta z łamaniem miecza.

Nie był pewien, czy korred jest na tyle przytomny, by rozumieć. Ale w sumie było mu to obojętne.

– Ostrzegałem – powiedział, ocierając krew, która lała mu się po policzku. – Uprzedzałem, że muszę stąd wyjść.

Pan Schweitzer zadygotał mocno, zacharczał, zaświszczał i zazgrzytał. Potem ścichł i znieruchomiał.

Woda kapała ze stropu i ścian.

•

– Jesteś usatysfakcjonowany, Regis?
– Teraz tak.
– A zatem – wiedźmin wstał – dalejże, biegnij i pakuj się. A żywo.
– Nie zajmie mi to wiele czasu. *Omnia mea mecum porto*.
– Co?
– Mam niewielki bagaż.
– Tym lepiej. Za pół godziny, za miastem.
– Będę tam.

•

Nie docenił jej. Przydybała go. Sam był sobie winien. Zamiast się spieszyć, mógł pojechać na tyły pałacu i zostawić Płotkę w większej stajni, tej dla błędnego rycerstwa, personelu i służby, w której trzymała też konie jego drużyna. Nie zrobił tego, z pośpiechu i z przyzwyczajenia skorzystał ze stajni książęcej. A mógł się domyślić, że w książęcej stajni musi być ktoś, kto donosi.

Chodziła od przegrody do przegrody, kopiąc słomę. Miała na sobie krótkie futerko z rysia, białą atłasową bluzkę, czarną spódnicę do

konnej jazdy i wysokie buty. Konie parskały, wyczuwając emanującą od niej złość.

– Proszę, proszę – powiedziała na jego widok, wyginając trzymaną w ręku szpicrutę. – Uciekamy! Bez pożegnania. Bo list, który pewnie leży na stole, to nie jest pożegnanie. Nie po tym, co nas łączyło. Jak się domyślam, twoje postępowanie wyjaśniają i usprawiedliwiają niezwykle ważkie argumenty.

– Wyjaśniają i usprawiedliwiają. Przepraszam, Fringillo.

– Przepraszam, Fringillo – powtórzyła, wściekle krzywiąc usta. – Jakżeż krótko, jakżeż oszczędnie, jakżeż bezpretensjonalnie, z jakąż dbałością o styl. List, który dla mnie zostawiłeś, głowę dam, jest pewnie zredagowany równie wykwintnie. Bez nadmiernej rozrzutności, jeśli idzie o atrament.

– Muszę jechać – wykrztusił. – Domyślasz się, dlaczego. I dla kogo. Wybacz mi, proszę. Miałem zamiar umknąć chyłkiem i cichaczem, bo... Nie chciałem, byś próbowała jechać z nami.

– Próżny był to lęk – wycedziła, zginając szpicrutę w pałąk. – Nie pojechałabym z tobą, nawet gdybyś prosił, leżąc u mych stóp. O nie, wiedźminie. Jedź sam, sam zgiń, sam zamarznij na przełęczach. Ja nie mam wobec Ciri żadnych zobowiązań. A wobec ciebie? Czy ty wiesz, ilu błagało o to, co ty miałeś? A co teraz z pogardą odrzucasz, ciskasz w kąt?

– Nigdy cię nie zapomnę.

– Och – syknęła. – Sam nie wiesz, jaką mam ochotę sprawić, by tak naprawdę było. Jeśli nawet nie za pomocą magii, to za pomocą tego pejcza!

– Nie zrobisz tego.

– Masz rację, nie zrobię. Nie potrafiłabym. Zachowam się, jak przystało na wzgardzoną i porzuconą kochankę. Klasycznie. Odejdę z podniesioną głową. Z godnością i dumą. Łykając łzy. Potem będę ryczeć w poduszkę. A potem puszczę się z innym!

Pod koniec niemal krzyczała.

Nic nie powiedział. Ona też milczała.

– Geralt – powiedziała wreszcie, zupełnie innym głosem. – Zostań ze mną.

– Wydaje mi się, że cię kocham – powiedziała, widząc, że zwleka z odpowiedzią. – Zostań ze mną. Proszę cię o to. Nigdy nikogo nie

prosiłam i nie sądzę, bym poprosiła. Ciebie proszę.

– Fringillo – odrzekł po chwili. – Jesteś kobietą, o której mężczyzna może tylko marzyć. Moją, tylko moją winą jest, że nie mam natury marzyciela.

– Jesteś – powiedziała po chwili, zagryzając wargi – jak rybacki hak, który, raz wbity, wyrwać można tylko z krwią i mięsem. Cóż, sama sobie jestem winna, wiedziałam, co robię, igrając z niebezpieczną zabawką. Na szczęście, wiem też, jak sobie radzić ze skutkami. Mam w tym względzie przewagę nad resztą kobiecego plemienia.

Nie skomentował.

– Zresztą – dodała – złamane serce, choć boli dużo, dużo bardziej niż złamana ręka, zrasta się dużo, dużo szybciej.

Nie skomentował i tym razem. Fringilla przyjrzała się siniakowi na jego policzku.

– Jak mój amulet? Dobrze działa?

– Jest po prostu świetny. Dziękuję ci.

Kiwnęła głową.

– Dokąd jedziesz? – spytała zupełnie innym głosem i tonem. – Czego się dowiedziałeś? Znasz miejsce, w którym ukrywa się Vilgefortz, prawda?

– Prawda. Nie proś mnie, bym ci powiedział, gdzie to jest. Nie powiem.

– Kupię tę informację. Coś za coś.

– Ach, tak?

– Mam wiadomość – powtórzyła – która jest cenna. A dla ciebie po prostu bezcenna. Sprzedam ci ją w zamian za...

– Za spokój sumienia – dokończył, patrząc jej w oczy. – Za zaufanie, którym cię obdarzyłem. Przed chwilą była tu mowa o miłości. A teraz zaczynamy mówić o handlu?

Milczała długo. Potem gwałtownie, ostro uderzyła się szpicrutą po cholewie.

– Yennefer – wyrecytowała szybko – ta, której imieniem kilka razy zwróciłeś się do mnie w nocy, w chwilach ekstazy, nigdy nie zdradziła ani ciebie, ani Ciri. Nigdy nie była wspólniczką Vilgefortza. By ratować Cirillę, nieustraszenie poszła na niesłychane ryzyko. Poniosła porażkę, wpadła Vilgefortzowi w łapy. Do prób skanowania, jakie miały miejsce

jesienią ubiegłego roku, z pewnością zmuszono ją torturami. Czy żyje, nie wiadomo. Więcej nie wiem. Przysięgam.

– Dziękuję ci, Fringillo.

– Odejdź.

– Ufam ci – powiedział, nie odchodząc. – I nigdy nie zapomnę tego, co było między nami. Ufam ci, Fringillo. Nie zostanę z tobą, ale chyba też cię kochałem... Na swój sposób. Proszę, abyś to, czego się za chwilę dowiesz, zachowała w najgłębszej tajemnicy. Kryjówka Vilgefortza znajduje się w...

– Zaczekaj – przerwała. – Powiesz mi to później, później mi to zdradzisz. Teraz, przed odejściem, pożegnaj się ze mną. Tak, jak powinieneś się pożegnać. Nie liścikami, nie wybąkiwanymi przeprosinami. Pożegnaj się ze mną tak, jak tego pragnę.

Zdjęła rysie futro, rzuciła je na stertę słomy. Gwałtownym ruchem rozdarła bluzkę, pod którą nie miała nic. Upadła na futro, ciągnąc go za sobą, na siebie. Geralt chwycił ją za kark, podciągnął suknię, nagle zorientował się, że na zdjęcie rękawic nie będzie już czasu. Fringilla na szczęście nie nosiła rękawic. Ani majtek. Na jeszcze większe szczęście nie nosiła też ostróg, bo za małą chwilę obcasy jej jeździeckich butów były dosłownie wszędzie, gdyby nosiła ostrogi, strach pomyśleć, co by się mogło stać.

Gdy krzyknęła, pocałował ją. Zdusił krzyk.

Konie, wietrząc ich wściekłą namiętność, rżały, tupały, tłukły się o przegrody, tak że aż pył i siano sypały się ze stropu.

•

– Cytadela Rhys-Rhun, w Nazairze, nad jeziorem Muredach – dokończyła triumfalnie Fringilla Vigo. – Tam jest kryjówka Vilgefortza. Wyciągnęłam to z wiedźmina, nim odjechał. Mamy dość czasu, by go wyprzedzić. On w żaden sposób nie zdoła dotrzeć tam przed kwietniem.

Dziewięć kobiet, zebranych w sali kolumnowej zamczyska Montecalvo, pokiwało głowami, obdarzyło Fringillę spojrzeniami pełnymi uznania.

– Rhys-Rhun – powtórzyła Filippa Eilhart, odsłaniając zęby w drapieżnym uśmiechu i bawiąc się przypiętą do sukni sardonyksową kameą. – Rhys-Rhun w Nazairze. No, to do rychłego zobaczenia, panie Vilgefortz... Do rychłego zobaczenia!

– Gdy wiedźmin tam dotrze – zasyczała Keira Metz – znajdzie gruzy, które nawet już nie będą śmierdzieć spalenizną.

– Ani trupem – uśmiechnęła się uroczo Sabrina Glevissig.

– Brawo, panno Vigo – skinęła głową Sheala de Tancarville, w geście, którego Fringilla nigdy nie spodziewałaby się od sławnej czarodziejki. – Doskonała robota.

Fringilla skłoniła głowę.

– Brawo – powtórzyła Sheala. – Ponad trzy miesiące w Toussaint... Ale chyba warto było.

Fringilla Vigo powiodła spojrzeniem po siedzących za stołem czarodziejkach. Po Sheali, Filippie, Sabrinie Glevissig. Po Keirze Metz, Margaricie Laux-Antille i Triss Merigold. Po Francesce Findabair i Idzie Emean, których obramowane intensywnym elfim makijażem oczy absolutnie niczego nie wyrażały. Po Assire var Anahid, której oczy wyrażały niepokój i troskę.

– Warto było – przyznała.

Absolutnie szczerze.

•

Niebo z ciemnoniebieskiego powoli robiło się czarne. Lodowaty wicher duł wśród winnic. Geralt zapiął wilczurę i owinął szyję wełnianym szalem. Czuł się świetnie. Spełniona miłość, jak zwykle, wzniosła go na szczyt sił fizycznych, psychicznych i moralnych, starła ślad wszelkich wątpliwości, a myśl uczyniła jasną i żywą. Żałował tylko, że na dłuższy czas będzie pozbawiony tego cudownego panaceum.

Głos Reynarta de Bois-Fresnes wyrwał go z zadumy.

– Idzie zła pogoda – powiedział błędny rycerz, patrząc na wschód, tam, skąd nadlatywała wichura. – Spieszcie się. Jeżeli z tym wiatrem przyjdzie śnieg, jeśli schwyci was na przełęczy Malheur, znajdziecie się w pułapce. A wówczas do wszystkich bogów, jakich czcicie, jakich znacie i o jakich słyszeliście, módlcie się o odwilż.

– Rozumiemy.

– Przez pierwsze dni wiodła was będzie Sansretour, trzymajcie się rzeki. Miniecie faktorię traperską, dotrzecie do miejsca, w którym do Sansretour wpada prawy dopływ. Nie zapomnijcie: prawy. Jego bieg wskaże wam drogę na przełęcz Malheur. Gdy zaś z wolą boską pokonacie Malheur, nie cieszcie się tak bardzo, będziecie mieli jeszcze

przed sobą przełęcze Sansmerci i Mortblanc. Gdy pokonacie obydwie, zjedziecie w dolinę Sudduth. Sudduth ma ciepły mikroklimat, niemalże jak Toussaint. Gdyby nie nędzna gleba, sadziliby tam winorośl...

Urwał zawstydzony pod karcącymi spojrzeniami.

– Jasne – chrząknął. – Do rzeczy. U wylotu Sudduth leży miasteczko Caravista. Mieszka tam mój kuzyn, Guy de Bois-Fresnes. Odwiedźcie go i powołajcie się na mnie. Gdyby okazało się, że kuzyn umarł lub skretyniał, pamiętajcie, kierunek waszej dalszej drogi to równina Mag Deira, dolina rzeki Sylte. Dalej, Geralt, to już wedle map, które odrysowałeś sobie u miejskiego kartografa. Skoro już jesteśmy przy kartografie, nie bardzo pojmuję, dlaczego wypytywałeś go o jakieś zamki...

– O tym zapomnij, Reynart. Nic takiego nie miało miejsca. Nic nie słyszałeś, nic nie widziałeś. Choćby cię na męki brali. Rozumiesz?

– Rozumiem.

– Jeździec – ostrzegł Cahir, opanowując brykającego ogiera. – Jeździec wali ku nam cwałem od strony pałacu.

– Jeśli jeden – wyszczerzyła się Angoulême, głaszcząc wiszący u siodła toporek – to mały problem.

Jeźdźcem okazał się Jaskier, gnający co koń wyskoczy. O dziwo, koniem był Pegaz, wałach poety, który skakać nie lubił i nie zwykł.

– No – powiedział trubadur, zdyszany tak, jakby to on niósł wałacha, a nie wałach jego. – No, udało się. Bałem się, że was nie złapię.

– Tylko nie mów, że jednak jedziesz z nami.

– Nie, Geralt – Jaskier spuścił głowę – nie jadę. Zostaję tu, w Toussaint, z Łasiczką. To znaczy, z Anariettą. Ale nie mogłem się przecież z wami nie pożegnać. Życzyć szczęśliwej drogi.

– Podziękuj za wszystko księżnej. I usprawiedliw nas, że tak nagle i bez pożegnania. Wytłumacz jakoś.

– Uczyniliście rycerski ślub i tyle. Każdy w Toussaint, wliczając Łasiczkę, zrozumie coś takiego. A tutaj... Macie. Niech to będzie mój wkład.

– Jaskier. – Geralt wziął od poety ciężką sakiewkę. – Na brak pieniędzy nie cierpimy. Niepotrzebnie...

– Niech to będzie mój wkład – powtórzył trubadur. – Forsa zawsze się przyda. A poza tym nie jest moja, wziąłem te dukaty z prywatnej szkatuły Łasiczki. Co tak patrzycie? Kobietom pieniądze potrzebne nie

są. Bo i po co? Nie piją, w kości nie grają, a kobietami, psiakrew, są przecież same. No, bywajcie! Jedźcie, bo się rozpłaczę. A po wszystkim macie zawadzić o Toussaint, wracając, wszystko mi opowiedzieć. I chcę uścisnąć Ciri. Obiecujesz, Geralt?

– Obiecuję.

– No, to bywajcie.

– Zaczekaj. – Geralt obrócił konia, podjechał blisko do Pegaza, skrycie wyciągnął zza pazuchy list. – Postaraj się, aby to pismo dotarło...

– Do Fringilli Vigo?

– Nie. Do Dijkstry.

– Co też ty, Geralt? A jak ja mam to zrobić według ciebie?

– Znajdź sposób. Wiem, że potrafisz. A teraz bywaj. Daj pyska, stary durniu.

– Daj pyska, druhu. Będę was wyglądał.

Patrzyli mu w ślad, widzieli, jak jedzie kłusem w kierunku Beauclair.

Niebo ciemniało.

– Reynart – wiedźmin odwrócił się w siodle. – Jedź z nami.

– Nie, Geralt – odrzekł po chwili Reynart de Bois-Fresnes. – Ja jestem błędny. Ale nie szalony.

•

W wielkiej sali kolumnowej zamku Montecalvo panowało niezwykłe podniecenie. Dominujący tu zwykle subtelny światłocień kandelabrów dziś zastępowała mleczna jasność wielkiego magicznego ekranu. Obraz na ekranie drgał, migotał, zanikał, potęgując podniecenie i napięcie. I zdenerwowanie.

– Ha – powiedziała Filippa Eilhart, uśmiechając się drapieżnie. – Szkoda, że nie mogę tam być. Dobrze zrobiłoby mi trochę akcji. I trochę adrenaliny.

Sheala de Tancarville spojrzała na nią cierpko, nic nie powiedziała. Francesca Findabair i Ida Emean zaklęciami stabilizowały obraz, powiększały go tak, że zajmował całą ścianę. Widziały wyraźnie czarne szczyty gór na tle granatowego nieba, gwiazdy odbijające się na powierzchni jeziora, ciemną i graniastą bryłę zamczyska.

– Wciąż nie mam pewności – odezwała się Sheala – czy nie było błędem powierzać dowództwo grupy uderzeniowej Sabrinie i młodej Metz. Keirze połamano na Thanedd żebra, może chcieć się mścić. A

Sabrina... Cóż, ta trochę zbyt bardzo kocha akcję i adrenalinę. Nieprawdaż, Filippo?

– Rozmawiałyśmy już o tym – ucięła Filippa, a głos miała kwaśny niczym marynata ze śliwek. – Ustaliłyśmy, co było do ustalenia. Nikt nie zostanie zabity bez koniecznej potrzeby. Grupa Sabriny i Keiry wejdzie do Rhys-Rhun cicho jak myszki, na paluszkach, cyt-cyt. Vilgefortza wezmą żywcem, bez jednego zadrapania, bez jednego siniaczka. Ustaliłyśmy to. Chociaż ja nadal uważam, że należałoby dać przykład. Żeby ci nieliczni, tam, w zamku, którzy przeżyją tę noc, do końca życia budzili się z krzykiem, gdy im się ta noc przyśni.

– Zemsta – rzekła sucho czarodziejka z Koviru – jest rozkoszą umysłów miernych, słabych i małostkowych.

– Być może – zgodziła się z pozornie obojętnym uśmiechem Filippa. – Ale jednak rozkoszą być nie przestaje.

– Zostawmy to. – Margarita Laux-Antille uniosła puchar musującego wina. – Proponuję wypić zdrowie pani Fringilli Vigo, dzięki staraniom której kryjówka Vilgefortza została odkryta. Zaiste, pani Fringillo, dobra, wzorowa robota.

Fringilla ukłoniła się, odpowiadając na saluty. W czarnych oczach Filippy dostrzegła coś na kształt drwiny, w lazurowym spojrzeniu Triss Merigold była niechęć. Uśmiechów Franceski i Sheali nie mogła rozszyfrować.

– Zaczynają – powiedziała Assire var Anahid, wskazując na wyczarowaną wizję.

Usiadły wygodniej. By lepiej widzieć, Filippa zaklęciem przyćmiła światła.

Widziały, jak od skał odrywają się szybkie czarne kształty, bezszelestne i zwinne niby nietoperze. Jak koszącym lotem spadają na blanki i machikuły zamku Rhys-Rhun.

– Wiek chyba – mruknęła Filippa – nie miałam miotły między nogami. Niedługo zapomnę, jak się lata.

Sheala, wpatrzona w wizję, uciszyła ją niecierpliwym syknięciem.

W oknach czarnego kompleksu zamczyska krótko błysnął ogień. Raz, drugi, trzeci. Wiedziały, co to było. Zaryglowane drzwi i wrzeciądze rozlatywały się w drzazgi pod uderzeniami piorunów kulistych.

– Są w środku – odezwała się cicho Assire var Anahid, jedyna, która nie obserwowała wizji na ścianie, lecz wpatrzona była w leżącą na stole

kryształową kulę. – Grupa uderzeniowa jest w środku. Ale coś jest nie tak. Nie tak, jak powinno być...

Fringilla poczuła, jak krew z serca odpływa jej do podbrzusza. Ona już wiedziała, co jest nie tak, jak powinno być.

– Pani Glevissig – zaraportowała znowu Assire – otwiera bezpośredni komunikator.

Przestrzeń pomiędzy kolumnami sali rozbłysła nagle, w materializującym się owalu zobaczyły Sabrinę Glevissig w męskim stroju, z włosami przewiązanymi na czole szyfonową szarfą, z twarzą uczernioną pręgami maskującej barwiczki. Za plecami czarodziejki widać było brudne kamienne ściany, na nich strzępy szmat, niegdyś arrasów.

Sabrina wyciągnęła w ich stronę urękawiczoną rękę, z której zwisały długie frędzle pajęczyn.

– Tylko tego – powiedziała, gestykulując gwałtownie – jest tu pod dostatkiem! Tylko tego! Jasna cholera, co za głupota... Co za kompromitacja...

– Składniej, Sabrino!

– Co, składniej? – wrzasnęła kaedweńska magiczka. – Co tu można składniej? Nie widzicie? To jest zamek Rhys-Rhun! Jest pusty! Pusty i brudny! To cholerna pusta ruina! Nie ma tu nic! Nic!

Zza ramienia Sabriny wyłoniła się Keira Metz, z maskującym malunkiem na twarzy wyglądająca jak czart z piekła rodem.

– W tym zamku – potwierdziła spokojnie – nie ma i nie było nikogo. Od jakichś pięćdziesięciu lat. Od jakichś pięćdziesięciu lat nie było tu żywej duszy, nie licząc pająków, szczurów i nietoperzy. Dokonałyśmy desantu na całkiem niewłaściwe miejsce.

– Badałyście, czy to nie iluzja?

– Masz nas za dzieci, Filippa?

– Słuchajcie obie. – Filippa Eilhart nerwowo przeczesała włosy palcami. – Najemniczkom i adeptkom powiedzcie, że to były ćwiczenia. Zapłaćcie im i wracajcie. Wracajcie natychmiast. I dobra mina, słyszycie? Róbcie dobrą minę!

Owal komunikatora zgasł. Został tylko obraz na ściennym ekranie. Zamek Rhys-Rhun na tle czarnego, migoczącego od gwiazd nieba. I jezioro, w którym gwiazdy się odbijały.

Fringilla Vigo patrzyła w blat stołu. Czuła, że pulsująca krew za chwilę rozsadzi jej policzki.

– Ja... naprawdę – powiedziała wreszcie, nie mogąc już znieść milczenia panującego w sali kolumnowej zamku Montecalvo. – Ja... Naprawdę nie rozumiem...

– A ja tak – powiedziała Triss Merigold.

– Ten zamek... – powiedziała Filippa pogrążona w myślach, w ogóle nie zwracająca uwagi na konfraterki. – Ten zamek... Rhys-Rhun... Trzeba będzie zniszczyć. Dokładnie zrujnować. A gdy o całej tej aferze zacznie się układać legendy i podania, trzeba będzie poddawać je skrupulatnej cenzurze. Czy panie rozumieją, co mam na myśli?

– Bardzo dobrze – kiwnęła głową milcząca do tej pory Francesca Findabair. Ida Emean, również milcząca, pozwoliła sobie na dość wieloznaczne prychnięcie.

– Ja... – Fringilla Vigo wciąż była jak ogłuszona. – Ja naprawdę nie pojmuję... Jak to się mogło stać...

– Och – powiedziała po bardzo długim milczeniu Sheala de Tancarville. – To nic takiego, panno Vigo. Nikt nie jest doskonały.

Filippa parsknęła z cicha. Assire var Anahid westchnęła i wzniosła oczy ku plafonowi.

– Koniec końców – dodała Sheala, wydymając wargi – każdą z nas już kiedyś to spotkało. Każdą z nas, jak tu siedzimy, kiedyś jakiś mężczyzna oszukał, wykorzystał i wystawił na pośmiewisko.

„Ich liebe dich, mich reizt deine schöne Gestalt;
Und bist du nicht willig, so brauch' ich Gewalt!”
„Mein Vater, mein Vater, jetzt fasst er mich an,
Erlkönig hat mir ein Leids getan!”

Johann Wolfgang Goethe

Wszystko już kiedyś było, wszystko już się kiedyś wydarzyło. I wszystko już zostało kiedyś opisane.

Vysogota z Corvo

Rozdział piąty

Południe spłynęło na las skwarem i duchotą, a ciemna jeszcze do niedawna jak jadeit gładź jeziora zapłonęła złoto, rozbłysła refleksami. Ciri musiała przysłonić oczy dłonią, odbity od wody blask oślepiał, odzywał się bólem w źrenicach i skroniach.

Przejechała przez nadbrzeżne zarośla, wparła Kelpie w jezioro, tak głęboko, by woda sięgnęła ponad kolana klaczy. Woda była tak przejrzysta, że w rzucanym przez konia cieniu nawet z wysokości siodła Ciri mogła widzieć kolorową mozaikę dna, szczeżuje i falujące, pierzaste wodorosty. Widziała małego raka, dostojnie kroczącego wśród kamyków.

Kelpie zarżała. Ciri szarpnęła wodze, wyjechała na płyciznę, ale nie na sam brzeg, bo ten był piaszczysty i usłany kamieniami, a to wykluczało szybką jazdę. Poprowadziła klacz samym skrajem wody tak, by mogła iść po twardym żwirze dna. I od razu niemal poszła w kłus, w którym Kelpie była rącza niczym prawdziwa kłusaczka, ćwiczona nie do siodła, lecz bryczki czy landa. Ale szybko stwierdziła, że jednak kłus to za wolno. Uderzeniem pięty i krzykiem zmusiła klacz do cwału. Gnały wśród lecących dookoła bryzgów wody, błyskających w słońcu jak krople roztopionego srebra.

Nie zwolniła nawet wtedy, gdy ujrzała wieżę. Leciała ostro, tak ostro, że zwykły koń padłby chyba. Ale w oddechu Kelpie nie odezwało się nawet najmniejsze chrapnięcie, a jej galop był wciąż lekki i niewymuszony.

Wpadła na dziedziniec w pełnym pędzie, z hukiem kopyt, wryła klacz tak, że przez moment podkowy ślizgały się po płytach z przeciągłym zgrzytem. Zatrzymała się tuż–tuż przed czekającymi pod wieżą elfkami. Przed samymi ich nosami. Doznała satysfakcji, bo dwie z nich, zwykle nieporuszone i beznamiętne, teraz cofnęły się mimowolnie.

– Nie ma strachu – parsknęła. – Nie najadę! Chyba żebym chciała.

Elfki opanowały się szybko, ich twarze znowu wygładził spokój, do oczu powróciła obojętna nonszalancja.

Ciri zeskoczyła, a raczej sfrunęła z siodła. W oczach miała wyzwanie.

– Brawo – powiedział jasnowłosy elf o trójkątnej twarzy, wyłaniając się z cienia pod arkadą. – Ładne przedstawienie, Loc'hlaith.

Wtedy powitał ją tak samo. Gdy weszła do Wieży Jaskółki i znalazła się wśród kwitnącej wiosny. Ale to było dawno i na Ciri takie rzeczy całkiem przestały już robić wrażenie.

– Nie jestem żadną Panią Jeziora – szczeknęła. – Jestem tu więźniem! A wy jesteście dozorcami! I nie ma co tego owijać w bawełnę!

– Proszę! – rzuciła jednej z elfek wodze. – Konia trzeba wytrzeć. Napoić, gdy ostygnie. I w ogóle zadbać!

Jasnowłosy elf uśmiechnął się leciutko.

– W samej rzeczy – powiedział, patrząc, jak elfki bez słowa odprowadzają klacz do stajni. – Jesteś tu krzywdzonym więźniem, a one srogimi dozorczyniami. To nawet widać.

– Piękne za nadobne! – wzięła się pod boki, zadarła nos, śmiało spojrzała mu w oczy, które miał bladobłękitne jak akwamaryny i dość łagodne. – Traktuję je tak samo, jak one mnie! A więzienie jest więzieniem!

– Zadziwiasz mnie, Loc'hlaith.

– A ty traktujesz mnie jak głupią. I nawet się nie przedstawisz.

– Przepraszam. Jestem Crevan Espane aep Caomhan Macha. Jestem, jeśli wiesz, co to znaczy, Aen Saevherne.

– Wiem – spojrzała z podziwem, którego nie zdołała w porę ukryć. – Wiedzący. Elfi czarodziej.

– Można to i tak nazwać. Dla wygody używam aliasu Avallac'h i tak możesz się do mnie zwracać.

– Kto ci powiedział – naburmuszyła się – że w ogóle mam ochotę się do ciebie zwracać? Wiedzący czy nie, jesteś dozorcą, a ja...

– Więźniem – dokończył sarkastycznie. – Wspominałaś. W dodatku więźniem źle traktowanym. Do przejażdżek po okolicy jesteś zapewne zmuszana, miecz na plecach nosisz za karę, podobnie jak to eleganckie i dość bogate odzienie, o ileż gustowniejsze i czyściejsze od tego, w którym się tu zjawiłaś. Ale mimo tych strasznych warunków nie poddajesz się. Rewanżujesz się za doznawane krzywdy opryskliwością. Z wielką odwagą i zapałem tłuczesz też zwierciadła będące dziełami sztuki.

Zaczerwieniła się. Bardzo zła na siebie.

– Och – powiedział szybko. – Tłuc możesz, ile dusza zapragnie, w końcu to tylko przedmioty, co z tego, że wykonane siedemset lat temu. Czy zechcesz przespacerować się ze mną brzegiem jeziora?

Wiatr, który się zerwał, złagodził nieco upał. Nadto wielkie drzewa i wieża dawały cień. Woda zatoki miała kolor mętnej zieleni, gęsto przybrana liśćmi grążela i usypana żółtymi gałkami kwiatów wyglądała niemal jak łąka. Kurki wodne, pokrekując i kiwając czerwonymi dziobami, żywo krążyły wśród liści.

– Tamto lustro... – wybąkała Ciri, wiercąc obcasem mokry żwir. – Przepraszam za nie. Zezłościłam się. I tyle.

– Ach.

– One mnie lekceważą. Te elfki. Gdy mówię do nich, udają, że nie rozumieją. A gdy mówią do mnie, to celowo tak, bym ja nie rozumiała. Upokarzają mnie.

– Mówisz naszym językiem doskonale – wyjaśnił spokojnie. – Ale to jednak dla ciebie język obcy. Poza tym ty używasz *hen llinge*, a one *ellylon*. Różnice nie są wielkie, ale są.

– Ciebie rozumiem. Każde słowo.

– Ja w rozmowie z tobą używam *hen llinge*. Języka elfów twojego świata.

– A ty? – odwróciła się. – Z którego jesteś świata? Ja dzieckiem nie jestem. W nocy wystarczy popatrzeć w górę. Nie ma ani jednego gwiazdozbioru z tych, które znam. Ten świat nie jest moim. To nie jest

moje miejsce. Weszłam tu przez przypadek... I chcę stąd wyjść. Odjechać.

Schyliła się, podniosła kamień, uczyniła ruch, jakby chciała bezmyślnie cisnąć nim w jezioro, w stronę pływających kurek, pod jego spojrzeniem zaniechała zamiaru.

– Nim ujadę stajanie – powiedziała, nie kryjąc rozgoryczenia – jestem nad jeziorem. I widzę tę wieżę. Bez różnicy, w którą stronę jadę, jak się obracam, zawsze jest jezioro i ta wieża. Zawsze. Nie ma sposobu, by się od niej oddalić. A więc to jest więzienie. Gorsze niż loch, niż ciemnica, gorsze niż komnata z zakratowanym oknem. Wiesz, czemu? Bo bardziej upokarza. Ellylon czy nie, złości mnie, gdy szydzi się ze mnie i okazuje lekceważenie. Tak, tak, nie ma co robić oczu. Ty mnie też zlekceważyłeś, też ze mnie drwisz. I dziwisz się, że jestem wściekła?

– Dziwię się w rzeczy samej – szeroko otworzył oczy. – Niezmiernie.

Westchnęła, wzruszyła ramionami.

– Weszłam do wieży ponad tydzień temu – powiedziała, siląc się na spokój. – Trafiłam do innego świata. Ty czekałeś na mnie, siedząc i grając na fletni. Zdziwiłeś się nawet, że tak długo zwlekałam z przyjściem. Zwróciłeś się do mnie moim imieniem, dopiero później zacząłeś te wygłupy z Panią Jeziora. Potem zniknąłeś bez słowa wyjaśnienia. Zostawiając mnie w więzieniu. Nazywaj to, jak chcesz. Ja to nazywam szyderczym i złośliwym lekceważeniem.

– Zireael, to tylko osiem dni.

– Ach – wykrzywiła się. – Znaczy, mam szczęście? Bo to mogło być osiem tygodni? Albo osiem miesięcy? Albo osiem...

Zamilkła.

– Daleko – powiedział cicho – odeszłaś od Lary Dorren. Zagubiłaś swoje dziedzictwo, straciłaś więź ze swoją krwią. Nic dziwnego, że kobiety nie rozumiały ciebie, a ty ich. Ty nie tylko mówisz, ty myślisz inaczej. Zupełnie innymi kategoriami. Czym jest osiem dni albo osiem tygodni? Czas nie ma znaczenia.

– Dobrze! – krzyknęła ze złością. – Zgoda, nie jestem mądrą elfką, jestem głupim człowiekiem. Dla mnie czas ma znaczenie, ja liczę dni, liczę nawet godziny. I wyliczyłam, że minęło wiele, jednych i drugich. Nie chcę już od was nic, obejdę się bez wyjaśnień, nie obchodzi mnie, dlaczego tu jest wiosna, dlaczego tu są jednorożce, a nocą na niebie widać inne gwiazdozbiory. Zupełnie nie interesuje mnie, skąd znasz

moje imię i jakim sposobem wiedziałeś, że tu się zjawię. Chcę tylko jednego. Wrócić do siebie. Do mojego świata. Do ludzi! Takich, którzy myślą tak jak ja! Tymi samymi kategoriami!

– Wrócisz do nich. Po jakimś czasie.

– Chcę zaraz! – wrzasnęła. – Nie po jakimś czasie! Bo tutaj ten czas to wieczność! Jakim prawem mnie tu więzicie? Dlaczego nie mogę stąd odejść? Ja weszłam tu sama! Z własnej woli! Nie macie do mnie żadnych praw!

– Weszłaś tu sama – potwierdził spokojnie. – Ale nie z własnej woli. Przywiodło cię tu przeznaczenie, trochę przez nas wspomagane. Długo bowiem na ciebie tu czekano. Bardzo długo. Nawet jak na naszą rachubę.

– Nic z tego nie rozumiem.

– Czekaliśmy długo – nie zwrócił na nią uwagi. – Bojąc się tylko jednego: czy zdołasz tu wejść. Zdołałaś. Potwierdziłaś swoją krew, twój rodowód. A to znaczy, że tutaj, nie wśród Dh'oine, jest twoje miejsce. Jesteś córką Lary Dorren aep Shiadhal.

– Jestem córką Pavetty! Nie wiem nawet, kim jest ta twoja Lara!

Żachnął się, ale bardzo lekko, niezauważalnie niemal.

– W takim razie – powiedział – najlepiej będzie, jeśli ci wyjaśnię, kim jest ta moja Lara. Ponieważ czas nagli, najchętniej zabrałbym się do wyjaśnień w drodze. Ale cóż, dla niemądrej demonstracji niemal zajeździłaś klacz...

– Zajeździłam? Ha! Ty jeszcze nie wiesz, ile ta klacz może wytrzymać. A dokąd mamy jechać?

– To, jeśli pozwolisz, również wyjaśnię ci w drodze.

•

Ciri wstrzymała chrapiącą Kelpie, widząc, że szaleńczy galop jest bez sensu i nie zda się na nic.

Avallac'h nie kłamał. Tu, na otwartym terenie, na łąkach i wrzosowiskach, z których sterczały menhiry, działała ta sama siła, co pod Tor Zireael. Można było próbować jechać na złamanie karku w obojętnym kierunku, po mniej więcej stajaniu jakaś niewidzialna siła sprawiała, że jechało się po okręgu.

Ciri poklepała chrapiącą Kelpie po szyi, patrząc na spokojnie jadącą grupkę elfów. Przed chwilą, gdy Avallac'h powiedział jej wreszcie, czego

od niej chcą, runęła w cwał, by uciec od nich, zostawić ich za sobą jak najdalej, ich i to ich bezczelne, nie mieszczące się w głowie żądanie.

Teraz zaś miała ich znowu przed sobą. W odległości mniej więcej stajania.

Avallac'h nie kłamał. Nie było ucieczki.

Jedyne, co galop przyniósł dobrego, to to, że ochłodził głowę, zziębił wściekłość. Była już znacznie spokojniejsza. A jednak wciąż cała trzęsła się ze złości.

Ale się urządziłam, pomyślała. Po co ja wlazłam do tej Wieży?

Wzdrygnęła się, przypominając sobie. Przypominając sobie Bonharta jadącego ku niej po lodzie na spienionym siwku.

Wzdrygnęła się jeszcze silniej. I uspokoiła.

Żyję, pomyślała, rozglądając się. To jeszcze nie koniec walki. Walkę kończy śmierć, każda inna rzecz walkę jedynie przerywa. Nauczyli mnie tego w Kaer Morhen.

Ponagliła Kelpie do stępa, potem widząc, że klacz dzielnie unosi głowę, do kłusa. Jechała szpalerem menhirów. Trawy i wrzosy sięgały strzemion.

Dość szybko dogoniła Avallac'ha i trzy elfki. Wiedzący, uśmiechnięty lekko, zwrócił na nią pytająco swe akwamarynowe oczy.

– Proszę, Avallac'h – chrząknęła. – Powiedz mi, że to był ponury żart.

Przez jego twarz przebiegło coś jakby cień.

– Nie zwykłem tak żartować – powiedział. – A skoro uznałaś to za żart, pozwolę sobie powtórzyć z pełną powagą: chcemy mieć twoje dziecko, Jaskółko, córko Lary Dorren. Dopiero gdy je urodzisz, pozwolimy ci stąd odejść, wrócić do twojego świata. Wybór, rzecz jasna, należy do ciebie. Zakładam, że twoja szaleńcza kawalkada pomogła ci podjąć decyzję. Jak brzmi twoja odpowiedź?

– Brzmi: nie – odpowiedziała twardo. – Kategorycznie i absolutnie nie. Nie zgadzam się. I tyle.

– Trudno – wzruszył ramionami. – Przyznam, jestem rozczarowany. Ale cóż, to twój wybór.

– Jak można w ogóle wymagać czegoś takiego? – wykrzyczała trzęsącym się głosem. – Jak ty w ogóle śmiesz? Jakim prawem?

Popatrzył na nią spokojnie. Ciri czuła na sobie również spojrzenia elfek.

– Wydaje mi się – rzekł – że historię twego rodu opowiedziałem ci w detalach. Zdawałaś się rozumieć. Twoje pytanie zdumiewa zatem. Mamy prawo i możemy wymagać, Jaskółko. Twój ojciec, Cregennan, zabrał nam dziecko. Ty je nam oddasz. Spłacisz dług. Wydaje mi się to logiczne i sprawiedliwe.

– Mój ojciec... Ja nie pamiętam mojego ojca, ale on nazywał się Duny. Nie Cregennan. Już ci to mówiłam!

– A ja już odpowiadałem, że te kilka śmiesznych ludzkich pokoleń jest dla nas bez znaczenia.

– Ale ja nie chcę! – wrzasnęła Ciri tak, że klacz aż zapląsała pod nią. – Ja nie chcę, rozumiesz? Nie chcęęę! Mierzi mnie myśl, że wszczepi mi się jakiegoś cholernego pasożyta, mdli mnie, gdy pomyślę, że ten pasożyt będzie we mnie rósł, że...

Urwała, widząc twarze elfek. Dwie wyrażały bezbrzeżne zdumienie. Trzecia bezbrzeżną nienawiść. Avallac'h odkaszlnął znacząco.

– Pojedźmy – rzekł chłodno – nieco do przodu i rozmawiajmy w cztery oczy. Twoje poglądy, Jaskółko, są nieco zbyt radykalne, by głosić je przy świadkach.

Posłuchała. Długo jechali w milczeniu.

– Ucieknę wam – Ciri odezwała się pierwsza. – Nie zatrzymacie mnie tu wbrew mojej woli. Uciekłam z wyspy Thanedd, uciekłam łapaczom i Nilfgaardczykom, uciekłam Bonhartowi i Puszczykowi. Ucieknę i wam. Znajdę sposób i na wasze czary.

– Myślałem – odrzekł po chwili – że bardziej ci zależy na przyjaciołach. Na Yennefer. Na Geralcie.

– Ty o tym wiesz? – westchnęła zdumiona. – No tak. Prawda. Jesteś wiedzący! Zatem powinieneś wiedzieć, że myślę właśnie o nich. Tam, w moim świecie, oni są w niebezpieczeństwie teraz, w tej chwili. A wy mnie przecież chcecie więzić tu... No, co najmniej dziewięć miesięcy. Sam widzisz, że nie mam wyboru. Rozumiem, że to dla was ważne, to dziecko, ta Starsza Krew, ale ja nie mogę. Po prostu nie mogę.

Elf milczał przez chwilę. Jechał tak blisko, że dotykał jej kolanem.

– Wybór, jak rzekłem, należy do ciebie. Powinnaś jednak wiedzieć o czymś, byłoby nieuczciwe ukrywać to przed tobą. Stąd nie można uciec, Jaskółko. Jeżeli więc odmówisz współpracy, zostaniesz tu na zawsze, twoich przyjaciół i twojego świata nie zobaczysz już nigdy.

– To jest wstrętny szantaż!

– Jeśli natomiast – nie przejął się krzykiem – zgodzisz się na to, o co prosimy, udowodnimy ci, że czas nie ma znaczenia.

– Nie rozumiem.

– Czas płynie tutaj inaczej niż tam. Jeśli oddasz nam przysługę, zrewanżujemy się. Sprawimy, że odzyskasz chwile, które stracisz tutaj wśród nas. Wśród Ludu Olch.

Milczała z oczami wbitymi w czarną grzywę Kelpie. Grać na zwłokę, pomyślała. Jak mówił Vesemir w Kaer Morhen: gdy cię mają wieszać, poproś o szklankę wody. Nigdy nie wiadomo, co się wydarzy, zanim przyniosą...

Jedna z elfek krzyknęła nagle, gwizdnęła.

Koń Avallac'ha zarżał, zadrobił nogami w miejscu. Elf opanował go, krzyknął coś do elfek. Ciri zobaczyła, jak jedna wyciąga łuk z zawieszonego przy siodle skórzanego futerału. Stanęła w strzemionach, osłoniła oczy dłonią.

– Zachowaj spokój – powiedział ostro Avallac'h. Ciri westchnęła.

O jakieś dwieście kroków od nich przez wrzosowisko galopowały jednorożce. Cały tabun, co najmniej trzydzieści sztuk.

Ciri widywała jednorożce już poprzednio, niekiedy, zwłaszcza o świcie, podchodziły do jeziora pod Wieżą Jaskółki. Nigdy jednak nie pozwalały jej się zbliżyć. Znikały jak duchy.

Przywódcą tabunu był wielki ogier o dziwnej czerwonawej maści. Nagle zatrzymał się, zarżał przeszywająco, stanął dęba. W sposób absolutnie niewykonalny dla żadnego konia dreptał na tylnych nogach, przebierając w powietrzu przednimi.

Ciri ze zdumieniem skonstatowała, że Avallac'h i trzy elfki mruczą, że nucą chórem jakąś dziwną, monotonną melodię.

Kim ty jesteś?

Potrząsnęła głową.

Kim ty jesteś, pytanie ponownie rozbrzmiało jej w czaszce, zakołatało w skroniach. Zaśpiew elfów wzniósł się nagle o ton w górę. Ryży jednorożec zarżał, cały tabun odpowiedział rżeniem. Ziemia zadrżała, gdy odbiegały.

Pieśń Avallac'ha i elfek urwała się. Ciri zobaczyła, jak wiedzący ukradkiem ociera pot z brwi. Elf kątem oka spojrzał na nią, zrozumiał, że widziała.

– Nie wszystko jest tu tak ładne, jak wygląda – powiedział sucho. – Nie wszystko.

– Boicie się jednorożców? Przecież one są mądre i przyjazne.

Nie odpowiedział.

– Słyszałam – nie rezygnowała – że elfy i jednorożce kochają się nawzajem.

Odwrócił głowę.

– Przyjmij więc – powiedział zimno – że to, co widziałaś, to kłótnia kochanków.

Nie zadawała więcej pytań.

Miała dość własnych zmartwień.

•

Szczyty wzgórków zdobiły kromlechy i dolmeny. Ich widok przypomniał Ciri kamień spod Ellander, ten, przy którym Yennefer uczyła ją, czym jest magia. Ależ to było dawno, pomyślała. Wieki całe temu...

Jedna z elfek krzyknęła znowu. Ciri spojrzała w kierunku, który wskazała. Nim jeszcze zdążyła skonstatować, że wiedziony przez ryżego ogiera tabun powrócił, krzyknęła druga z elfek. Ciri stanęła w strzemionach.

Z przeciwnej strony, zza pagórka, wyłonił się drugi tabun. Wiodący go jednorożec był sinawy i jabłkowity.

Avallac'h powiedział szybko kilka słów. Był to ów trudny dla Ciri język *ellylon*, ale pojęła, tym bardziej, że elfki jak na komendę sięgnęły po łuki. Avallac'h odwrócił twarz ku Ciri, a ona poczuła, jak w głowie zaczyna jej szumieć. Był to szum całkiem podobny do tego, jaki wydaje przytknięta do ucha morska koncha. Ale znacznie silniejszy.

Nie opieraj się – usłyszała głos. – *Nie broń się. Muszę skoczyć, muszę cię przenieść w inne miejsce. Grozi ci śmiertelne niebezpieczeństwo.*

Z oddali dobiegł ich gwizd, przeciągły krzyk. A po chwili ziemia drgnęła pod podkutymi kopytami.

Zza wzgórza wychynęli jeźdźcy. Cały oddział.

Konie nosiły kropierze, jeźdźcy grzebieniaste hełmy, wokół ramion powiewały im w galopie płaszcze, których cynobrowo-amarantowo-karmazynowa barwa przywodziła na myśl łunę pożaru na niebie podświetlonym blaskiem zachodzącego słońca.

Gwizd, okrzyk. Jeźdźcy gnali ku nim ławą.

Nim dobiegli na pół stajania, jednorożców już nie było. Znikły w stepie, zostawiając za sobą obłok kurzu.

•

Przywódca jeźdźców, czarnowłosy elf, siedział na wielkim jak smok skarogniadym ogierze ustrojonym, jak wszystkie konie oddziału, w kropierz haftowany w smocze łuski, do tego noszącym na łbie prawdziwie demoniczny rogaty bukranion. Jak wszystkie pozostałe elfy, czarnowłosy miał pod cynobrowo-karmazynowym płaszczem kolczugę wykonaną z kółeczek o nieprawdopodobnie małej średnicy, dzięki czemu układała się na ciele miękko niczym wełniana dzianina.

– Avallac'h – powiedział, salutując.

– Eredin.

– Jesteś mi winien przysługę. Spłacisz, gdy zażądam.

– Spłacę, gdy zażądasz.

Czarnowłosy zsiadł. Avallac'h zsiadł również, gestem kazał Ciri zrobić to samo. Weszli na pagórek między białe skałki o cudacznych kształtach obrośnięte trzmieliną i karłowatymi krzewinkami kwitnącego mirtu.

Ciri patrzyła na nich. Byli jednakowego wzrostu, to znaczy obaj niezwykle wysocy. Ale twarz Avallac'ha była łagodna, a twarz czarnowłosego przywodziła na myśl drapieżnego ptaka. Jasny i czarny, pomyślała. Dobry i zły. Światło i mrok...

– Pozwól, Zireael, że ci przedstawię: Eredin Bréacc Glas.

– Miło mi – elf ukłonił się, Ciri odkłoniła. Niezbyt zgrabnie.

– Skąd wiedziałeś – spytał Avallac'h – że coś nam grozi?

– Wcale nie wiedziałem. – Elf bacznie przypatrywał się Ciri. – Patrolujemy równinę, bo wieść się rozeszła, że jednorogi zrobiły się niespokojne i zaczepne. Nie wiedzieć dlaczego. To znaczy, teraz już wiadomo. To przez nią, rzecz jasna.

Avallac'h nie potwierdził ani nie zaprzeczył. Ciri zaś hardym wzrokiem skontrowała spojrzenie czarnowłosego elfa. Przez chwilę patrzyli na siebie oboje, a żadne nie chciało pierwsze spuścić oczu.

– To więc ma być Starsza Krew – skonstatował elf. – Aen Hen Ichaer. Dziedzictwo Shiadhal i Lary Dorren? Niezbyt chce się wierzyć. To przecież zwyczajna mała Dh'oine. Ludzka samiczka.

Avallac'h nie odezwał się. Twarz miał nieruchomą i obojętną.

– Zakładam – podjął czarnowłosy – że się nie pomyliłeś. Ba, przyjmuję to za pewnik, ty przecież, jak głosi plotka, nie mylisz się nigdy. W tym stworzeniu, głęboko ukryty, tkwi gen Lary. Tak, gdy się dokładniej przyjrzeć, można dostrzec pewne cechy świadczące o rodowodzie tej małej. Ma faktycznie w oczach coś, co przywołuje na pamięć Larę Dorren. Nieprawdaż, Avallac'h? Kto, jeśli nie ty, bardziej uprawniony jest do oceny?

Avallac'h i tym razem nie odezwał się. Ale Ciri dostrzegła na jego bladej twarzy cień rumieńca. Zdziwiła się bardzo. I zamyśliła.

– Reasumując – skrzywił usta czarnowłosy – jest w tej małej Dh'oine coś wartościowego, coś pięknego. Dostrzegam to. I mam wrażenie, jakbym widział złoty samorodek w kupie kompostu.

Oczy Ciri rozbłysły wściekłością. Avallac'h powoli odwrócił głowę.

– Mówisz – powiedział wolno – zupełnie jak człowiek, Eredin.

Eredin Bréacc Glas pokazał zęby w uśmiechu. Ciri widziała już takie uzębienie, bardzo białe, bardzo drobne i bardzo nieludzkie, równe jak spod strychulca, pozbawione kłów. Widziała takie zęby u zabitych elfów leżących szeregiem na podwórzu strażnicy w Kaedwen. Napatrzyła się na takie zęby u Iskry. Ale w uśmiechu Iskry takie zęby wyglądały ładnie, u Eredina natomiast upiornie.

– Czy ta dzieweczka – powiedział – właśnie usiłująca zabić mnie spojrzeniem, zna już powód, dla którego tu jest?

– Owszem.

– I gotowa jest kooperować?

– Jeszcze nie całkiem.

– Nie całkiem – powtórzył. – Ha, to niedobrze. Albowiem charakter kooperacji wymaga, by to było całkiem. Inaczej jak całkiem po prostu się nie da. A ponieważ od Tir ná Lia dzieli nas wszystkiego pół dnia jazdy, warto by wiedzieć, na czym stoimy.

– Po co się niecierpliwić? – Avallac'h wydął lekko wargi. – Co możemy zyskać na pośpiechu?

– Wieczność. – Eredin Bréacc Glas spoważniał, w jego zielonych oczach coś krótko zabłysło. – Ale to twoja specjalność, Avallac'h. Twoja specjalność i twoja odpowiedzialność.

– Tyś powiedział.

– Jam powiedział. A teraz wybaczcie, ale obowiązki wzywają. Zostawiam wam eskortę, dla bezpieczeństwa. Przenocować radzę tu, na

tym wzgórzu, gdy wyruszycie jutro o brzasku, będziecie w Tir ná Lia o właściwym czasie. *Va faill*. Aha, jeszcze jedno.

Schylił się, odłamał i zerwał ukwieconą gałązkę mirtu. Zbliżył ją do twarzy, potem z ukłonem wręczył Ciri.

– To przeprosiny – rzekł krótko. – Za nie przemyślane słowo. *Va faill, luned*.

Odszedł szybko, za chwilę ziemia drgnęła pod kopytami, gdy odjeżdżał z częścią oddziału

– Nie mów mi tylko – zaburczała – że to z nim musiałabym... Że to on... Jeśli to on, to nigdy w życiu.

– Nie – zaprzeczył powoli Avallac'h. – To nie on. Bądź spokojna.

Ciri zbliżyła mirt do twarzy. By nie dostrzegł podniecenia i fascynacji, które ją ogarnęły.

– Jestem spokojna.

•

Suche bodiaki i wrzosy stepu ustąpiły bujnej zielonej trawie, wilgotnym paprociom, podmokły teren zażółcił się jaskrami, zafioletowił łubinem. Wkrótce zobaczyli rzekę, leniwie płynącą w szpalerze topoli. Woda w rzece, choć krystalicznie przejrzysta, miała brunatne zabarwienie. Pachniało torfem.

Avallac'h wygrywał na swej fletni różne skoczne melodyjki. Ciri, zasępiona, myślała intensywnie.

– Kto – odezwała się wreszcie – ma być ojcem tego dziecka, na którym wam tak zależy? A może to nie ma znaczenia?

– To ma znaczenie. Czy mam rozumieć, że podjęłaś decyzję?

– Nie, nie masz rozumieć. Po prostu wyjaśniam pewne sprawy.

– Służę pomocą. Co chcesz wiedzieć?

– Dobrze wiesz, co.

Chwilę jechali w milczeniu. Ciri widziała łabędzie dostojnie żeglujące po rzece.

– Ojcem dziecka – rzekł spokojnie i rzeczowo Avallac'h – będzie Auberon Muircetach. Auberon Muircetach jest naszym... Jak to wy mówicie... Najwyższym przywódcą?

– Królem? Królem wszystkich Aen Seidhe?

– Aen Seidhe, Lud Wzgórz, to elfy twojego świata. My jesteśmy Aen Elle, Lud Olch. A Auberon Muircetach, owszem, jest naszym królem.

– Królem Olch?

– Można to tak nazwać.

Jechali w milczeniu. Było bardzo ciepło.

– Avallac'h.

– Słucham.

– Jeśli się zdecyduję, to potem... Później... Będę wolna?

– Będziesz wolna i odejdziesz, dokąd zechcesz. O ile nie postanowisz zostać. Z dzieckiem.

Prychnęła lekceważąco, ale nic nie powiedziała.

– Zdecydowałaś więc? – spytał.

– Zdecyduję, gdy będziemy na miejscu.

– Już jesteśmy na miejscu.

Zza gałęzi wierzb płaczących, spływających ku wodzie niczym zielone kurtyny, Ciri zobaczyła pałace. Nigdy w życiu nie widziała niczego podobnego. Pałace, choć wykonane z marmuru i alabastru, były ażurowe jak altany, wydawały się tak delikatne, ulotne i zwiewne, jakby to nie były budynki, ale zjawy budynków. Ciri w każdej chwili oczekiwała, że powieje wiatr, a pałacyki znikną razem z unoszącym się z rzeki oparem. Ale gdy wiatr powiał, gdy opar znikł, gdy poruszyły się gałązki wierzb i zmarszczyła rzeka, pałacyki nie znikły i znikać nie myślały. Zyskiwały tylko na urodzie.

Ciri z zachwytem patrzyła na tarasiki, na podobne kwiatom nenufaru sterczące z wody wieżyczki, na mostki wiszące na rzeką jak festony bluszczu, na schody, schodki, balustradki, na arkady i krużganki, na perystyle, na kolumny i kolumienki, na kopuły i kopułki, na smukłe, przypominające szparagi pinakle i wieże.

– Tir ná Lia – powiedział cicho Avallac'h.

Im byli bliżej, tym piękno tego miejsca silniej chwytało za serce, mocniej ściskało gardło, sprawiało, że łzy gromadziły się w kącikach oczu. Ciri patrzyła na fontanny, na mozaiki i terakoty, na rzeźby i pomniki. Na ażurowe konstrukcje, których przeznaczenia nie pojmowała. I na takie, co do których była pewna, że nie służyły niczemu. Prócz estetyki i harmonii.

– Tir ná Lia – powtórzył Avallac'h. – Widziałaś kiedyś coś takiego?

– Owszem – pokonała ścisk gardła. – Widziałam kiedyś resztki czegoś takiego. W Shaerrawedd.

Teraz na elfa wypadła kolej długo milczeć.

•

Przejechali na drugi brzeg rzeki po łukowatym ażurowym moście, który sprawiał wrażenie tak kruchego, że Kelpie długo boczyła się i chrapała, nim odważyła się nań wstąpić.

Choć podenerwowana i spięta, Ciri rozglądała się pilnie, nie chcąc przegapić niczego, żadnego widoku, który oferowało bajeczne miasto Tir ná Lia. Po pierwsze, ciekawość wręcz ją paliła, po drugie, nie przestawała myśleć o ucieczce i pilnie wypatrywała okazji.

Na mostach i tarasach, w alejkach i perystylach, na balkonach i krużgankach widziała przechadzających się długowłosych elfów w obcisłych kubrakach i krótkich płaszczach, haftowanych w fantazyjne liściaste motywy. Widziała ufryzowane i ostro wymalowane elfki w zwiewnych sukniach lub strojach przypominających męskie.

Przed portykiem jednego z pałaców powitał ich Eredin Bréacc Glas. Na jego krótki rozkaz dookoła zaroiło się od małych, szaro odzianych elfeczek, które szybko i w ciszy zajęły się końmi. Ciri przypatrywała się zdumiona nieco. Avallac'h, Eredin i wszystkie inne spotkane dotychczas elfy były niezwykle wysokiego wzrostu, by spojrzeć im w oczy, musiała zadzierać głowę. Szare elfeczki były dużo niższe od niej. Inna rasa, pomyślała. Rasa sług. Nawet tu, w bajkowym świecie, musi być ktoś, kto haruje na próżniaków.

Weszli do pałacu. Ciri westchnęła. Była infantką królewskiej krwi, w pałacach się wychowała. Ale takich marmurów i malachitów, takich stiuków, posadzek, mozaik, luster i kandelabrów nie widziała nigdy. Poczuła się w tym olśniewającym wnętrzu źle, niezręcznie, nie na miejscu, zakurzona, spocona i nieświeża po podróży.

Avallac'h, wręcz przeciwnie, nie przejmował się w ogóle. Otrzepał rękawicą spodnie i cholewki, lekceważąc fakt, że kurz osiada na zwierciadle. Potem wielkopańsko rzucił rękawice schylonej w ukłonie elfeczce.

– Auberon? – zapytał krótko. – Czeka?

Eredin uśmiechnął się.

– Czeka. Bardzo mu pilno. Domagał się, aby Jaskółka przyszła do niego natychmiast, bez chwili zwłoki. Wyperswadowałem mu to.

Avallac'h uniósł brwi.

– Zireael – wyjaśnił bardzo spokojnie Eredin – powinna iść do króla bez stresu, bez presji, wypoczęta, spokojna i w dobrym nastroju. Dobry

nastrój zapewnią jej kąpiel, nowy strój, nowa fryzura i makijaż. Tak długo Auberon chyba jeszcze wytrzyma, jak mniemam.

Ciri odetchnęła głęboko i spojrzała na elfa. Aż się zdumiała, jak sympatyczny jej się wydał. Eredin zademonstrował w uśmiechu swe równe, pozbawione kłów uzębienie.

– Jedna tylko rzecz budzi moje zastrzeżenia – oznajmił. – A jest nią sokoli błysk w oczach naszej Jaskółki. Nasza Jaskółka strzela oczami w lewo i prawo, wypisz wymaluj, gronostaj, wypatrujący dziury w klatce. Jaskółka, widzę to, daleka jest jeszcze od bezwarunkowej kapitulacji.

Avallac'h nie skomentował. Ciri, ma się rozumieć, też nie.

– Nie dziwię się – ciągnął Eredin. – Nie może być inaczej, skoro to krew Shiadhal i Lary Dorren. Posłuchaj mnie jednak bardzo uważnie, Zireael. Stąd ucieczki nie ma. Nie istnieje możliwość przełamania Geas Garadh, Czaru Bariery.

Wzrok Ciri mówił wyraźnie, że nie uwierzy, dopóki nie sprawdzi.

– Gdybyś nawet jakimś cudem sforsowała Barierę – Eredin nie spuszczał z niej oczu – to wiedz, że oznaczać to będzie twoją zgubę. Ten świat tylko wygląda ładnie. Ale niesie śmierć, zwłaszcza nie obytym. Rany od rogu jednoroga nie leczy nawet magia.

– Wiedz również – podjął, nie doczekawszy się komentarza – że nic ci nie pomoże twój dziki talent. Nie dokonasz skoku, nawet nie próbuj. A gdyby nawet ci się udało, wiedz, że moi *Dearg Ruadhri*, Czerwoni Jeźdźcy, zdołają doścignąć cię nawet w otchłani czasów i miejsc.

Nie bardzo zrozumiała, o co mu szło. Ale zastanowiło ją, że Avallac'h nachmurzył się nagle i zmarszczył, najwyraźniej niezadowolony z przemowy Eredina. Tak, jakby Eredin powiedział za dużo.

– Chodźmy – powiedział. – Pozwól, Zireael. Oddamy cię teraz w ręce pań. Trzeba, byś wyglądała pięknie. Pierwsze wrażenie jest najważniejsze.

•

Serce łomotało jej w piersi, krew szumiała w skroniach, ręce trzęsły się odrobinę. Opanowała je, zaciskając pięści. Uspokoiła się za pomocą wolnych wdechów i wydechów. Rozluźniła ramiona, poruszyła zesztywniałym ze zdenerwowania karkiem.

Jeszcze raz przejrzała się w wielkim zwierciadle. Widok raczej zadowalał. Wilgotne jeszcze po kąpieli włosy miała przystrzyżone i

sczesane tak, by choć trochę zakrywały bliznę. Makijaż ładnie podkreślał jej oczy i usta, nieźle prezentowały się też rozcięta do pół uda srebrnoszara spódnica, czarna kamizelka i cieniuteńka bluzka z perłowej krepy. Całość interesująco akcentował jedwabny fular na szyi.

Ciri poprawiła i wyrównała fular, po czym sięgnęła między uda, poprawiając i tam, co należało. A miała pod spódnicą rzeczy iście zdumiewające – majteczki delikatne jak pajęczynka i prawie sięgające majteczek pończoszki, w sposób niewiarygodny trzymające się ud bez podwiązek.

Sięgnęła do klamki. Z wahaniem, jak gdyby nie była to klamka, lecz śpiąca kobra.

Pest, pomyślała odruchowo po elfiemu, stawiałam czoło mężczyznom z mieczami. Stawię jednemu z...

Zamknęła oczy, westchnęła. I weszła do komnaty.

W środku nie było nikogo. Na malachitowym stole leżała księga, stała karafka. Na ścianach były dziwne reliefy i płaskorzeźby, udrapowane kotary, kwietne arrasy. W kącie stał posąg.

A w drugim kącie łoże z baldachimem. Serce znowu zaczęło jej walić. Przełknęła ślinę.

Kątem oka dostrzegła ruch. Nie w komnacie. Na tarasie.

Siedział tam, odwrócony do niej półprofilem.

Choć już trochę nauczona, że wśród elfów nic nie wygląda tak, jak przywykła myśleć, Ciri przeżyła lekki szok. Przez cały czas, gdy mowa była o królu, nie wiedzieć czemu miała przed oczami Ervylla z Verden, którego synową o mały włos kiedyś nie została. Myśląc o królu, widziała unieruchomionego przez zwały tłuszczu, zionącego cebulą i piwem grubasa z czerwonym nosem i przekrwionymi oczyma widocznymi znad niechlujnej brody. Dzierżącego berło i jabłko w opuchniętych i upstrzonych brunatnymi plamami dłoniach.

A przy balustradzie tarasu siedział zupełnie inny król.

Był bardzo szczupły, a widać też było, że jest bardzo wysoki. Miał włosy popielate jak jej własne, mocno przetykane bielutkimi pasmami, długie, opadające na ramiona i plecy. Ustrojony był w czarny aksamitny kubrak. Nosił typowe elfie buty, z licznymi klamerkami na całej długości cholewki. Dłonie miał wąskie, białe, o długich palcach.

Zajęty był puszczaniem baniek. Trzymał miseczkę z mydłem i słomkę, w którą co i rusz dmuchał, a opalizujące tęczowo bańki płynęły w dół ku

rzece.

Chrząknęła cicho.

Król Olch odwrócił głowę. Ciri nie opanowała westchnienia. Jego oczy były niesamowite. Jasne jak roztopiony ołów, bezdenne. I pełne niewyobrażalnego smutku.

– Jaskółka – powiedział. – Zireael. Dziękuję, że zechciałaś przyjść.

Przełknęła ślinę, zupełnie nie wiedząc, co powiedzieć. Auberon Muircetach przyłożył słomkę do ust i posłał w przestworza kolejną bańkę.

By opanować drżenie rąk, splotła je, wyłamała palce. Potem nerwowo przeczesała włosy. Elf pozornie poświęcał uwagę wyłącznie bańkom.

– Jesteś zdenerwowana?

– Nie – skłamała butnie. – Nie jestem.

– Spieszysz się dokądś?

– A i owszem.

Chyba włożyła w głos nieco zbyt dużo nonszalancji, czuła, że balansuje na krawędzi grzeczności. Elf nie zwrócił jednak uwagi. Utworzył na końcu słomki ogromną bańkę, kołysaniem nadał jej kształt ogórka. Przez dłuższą chwilę podziwiał dzieło.

– Nie okażę się natrętem, jeśli spytam, dokąd ci tak pilno?

– Do domu! – prychnęła, ale zaraz się poprawiła, dodając spokojnym tonem. – Do mojego świata!

– Do czego?

– Do mojego świata!

– Ach. Wybacz. Przysiągłbym, że powiedziałaś: „Do mojego dziwactwa". I bardzo się zdumiałem, zaiste. Mówisz naszym językiem znakomicie, ale nad wymową i akcentem godzi się jeszcze popracować.

– Czy to ważne, jak akcentuję? Nie do konwersacji jestem ci wszak potrzebna.

– Nic nie powinno przeszkadzać w dążeniu do doskonałości.

Na końcu słomki wyrosła kolejna bańka, oderwana poszybowała, pękła w zetknięciu z gałęzią wierzby. Ciri westchnęła.

– Pilno ci zatem do twojego świata – przemówił po chwili król Auberon Muircetach. – Twojego! Doprawdy, wy, ludzie, nie grzeszycie przesadnie skromnością.

Pobełtał słomką w czareczce, beztroskim z pozoru dmuchnięciem cały otoczył się rojem tęczowych banieczek.

– Człowiek – powiedział. – Twój włochaty przodek po mieczu pojawił się na świecie dużo później niż kura. A nigdy nie słyszałem, by jakakolwiek kura rościła sobie pretensje do świata... Dlaczego wiercisz się i drepczesz w miejscu jak małpeczka? To, co mówię, powinno cię interesować. Wszak to historia. Ach, pozwól, niech zgadnę: ciebie ta historia nie obchodzi i nudzi.

Wielka opalizująca bańka pofrunęła w stronę rzeki. Ciri milczała, gryząc wargi.

– Twój włochaty przodek – podjął elf, mieszając słomką w miseczce – szybko się nauczył, jak wykorzystywać przeciwstawny kciuk i szczątkową inteligencję. Robił za ich pomocą różne rzeczy, z reguły równie śmieszne, co straszne. To znaczy, chciałem powiedzieć, że gdyby robione przez twego przodka rzeczy nie były straszne, to byłyby śmieszne.

Kolejna bańka, zaraz po niej druga i trzecia.

– Nas, Aen Elle, mało w gruncie rzeczy obchodziło, co wyczynia twój przodek, myśmy, w przeciwieństwie do Aen Seidhe, naszych kuzynów, z tamtego świata odeszli już dawno. Wybraliśmy sobie inne, ciekawsze uniwersum. Podówczas bowiem, zdziwisz się tym, co powiem, można się było między światami dość swobodnie przemieszczać. Przy odrobinie talentu i wprawy, rzecz jasna. Ponad wszelką wątpliwość rozumiesz, co mam na myśli.

Ciri gotowała się z ciekawości, ale milczała uparcie, świadoma, że elf trochę z niej podrwiwa. Nie chciała ułatwiać mu zadania.

Auberon Muircetach uśmiechnął się. Odwrócił. Na szyi miał złoty alszband, oznakę władzy noszącą w Starszej Mowie nazwę *torc'h*.

– *Mire, luned.*

Dmuchnął lekko, poruszając słomką zwinnymi ruchami. U wylotu, zamiast, jak poprzednio, jednej wielkiej bańki, zawisło ich kilka.

– Banieczka przy banieczce, przy banieczce banieczka – zanucił. – Ech, tak było, tak było... Mówiliśmy sobie, co za różnica, pobędziemy sobie trochę tu, a trochę tam, co z tego, że Dh'oine uparli się, by swój świat unicestwić wraz z sobą? Pójdziemy sobie dokądś indziej... Do innej banieczki...

Pod jego palącym spojrzeniem Ciri kiwnęła głową, oblizała wargi. Elf uśmiechnął się znowu, strząsnął bańki, dmuchnął raz jeszcze, tym

razem tak, że u wylotu słomki utworzyło się całe wielkie grono, całe mnóstwo małych, posczepianych ze sobą banieczek.

– Przyszła Koniunkcja – elf uniósł obwieszoną bańkami słomkę. – Światów zrobiło się nawet więcej. Ale drzwi są zamknięte. Są zamknięte dla wszystkich oprócz garstki wybranych. A czas bieży. Drzwi trzeba otworzyć. Pilnie. To jest imperatyw. Czy rozumiesz to słowo?

– Nie jestem głupia.

– Nie, nie jesteś – odwrócił głowę. – Nie możesz być. Jesteś przecież Aen Hen Ichaer, Starszą Krwią. Podejdź bliżej.

Gdy wyciągnął ku niej rękę, mimowolnie zacisnęła zęby. Ale dotknął tylko jej przedramienia, a potem dłoni. Poczuła przyjemne mrowienie. Odważyła się spojrzeć w jego niesamowite oczy.

– Nie wierzyłem, gdy mówili – szepnął. – Ale to prawda. Masz oczy Shiadhal. Oczy Lary.

Spuściła wzrok. Czuła się niepewnie i głupio.

Król Olch wsparł łokieć na balustradzie, a podbródek na dłoni. Przez długą chwilę zdawał się interesować wyłącznie pływającymi po rzece łabędziami.

– Dziękuję ci, że przyszłaś – powiedział wreszcie, nie odwracając głowy. – A teraz idź sobie i zostaw mnie samego.

•

Znalazła Avallac'ha na tarasie nad rzeką, w momencie, gdy właśnie wsiadał do łodzi w towarzystwie przepięknej elfki o włosach koloru słomy. Elfka miała na wargach pomadkę o barwie pistacji, a na powiekach i skroniach złote brokatowe drobinki.

Ciri miała zamiar odwrócić się i odejść, gdy Avallac'h powstrzymał ją gestem. A drugim zaprosił do łodzi. Zawahała się. Nie chciała rozmawiać przy świadkach. Avallac'h powiedział coś szybko do elfki i przesłał jej dłonią całusa. Elfka wzruszyła ramionami i odeszła. Raz tylko się odwróciła, by oczami pokazać Ciri, co o niej mniema.

– Jeśli możesz, powstrzymaj się od komentarzy – rzekł Avallac'h, gdy usiadła na bliższej dziobu ławeczce. Sam też usiadł, wyjął swoją fletnię, zagrał, łodzią w ogóle się nie przejmując. Ciri obejrzała się z niepokojem, ale łódź płynęła idealnie środkiem nurtu, nie zbaczając nawet na cal w stronę wchodzących w wodę schodów, filarów i kolumn. Była to dziwna łódź, Ciri nigdy takiej nie widziała, nawet na

Skellige, gdzie napatrzyła się na wszystko, co było zdolne unosić się na wodzie. Miała bardzo wysokie, smukłe, wyrzeźbione w kształt kluczy dziobnice, była bardzo długa, bardzo wąska i bardzo chybotliwa. Zaiste, tylko elf mógł siedzieć w czymś takim i piskać na fujarce, zamiast trzymać się steru i wiosła.

Avallac'h przestał piskać.

– Co ci leży na sercu?

Wysłuchał, przyglądając się jej z dziwnym uśmiechem.

– Jesteś zawiedziona – stwierdził, nie zapytał. – Zawiedziona, rozczarowana, a nade wszystko oburzona.

– Wcale nie! Nie jestem!

– I nie powinnaś być – elf spoważniał. – Auberon potraktował cię z rewerencją, jak rodowitą Aen Elle. Nie zapominaj, my, Lud Olch, nie spieszymy się nigdy. Mamy czas.

– Powiedział mi coś całkiem innego.

– Wiem, co ci powiedział.

– A o co w tym chodzi, też wiesz?

– Owszem.

Nauczyła się już wiele. Nawet westchnieniem, nawet drgnieniem powieki nie zdradziła zniecierpliwienia i złości, gdy znowu przyłożył fletnię do ust i grał. Melodyjnie, tęsknie. Długo.

Łódź płynęła, Ciri liczyła przesuwające się nad ich głowami mosty.

– Mamy – odezwał się zaraz za czwartym mostem – więcej niż poważne podstawy do przypuszczeń, że twojemu światu grozi zagłada. Kataklizm klimatyczny o potężnej skali. Jako erudytka z pewnością zetknęłaś się z Aen Ithlinne Speath, Wróżbą Itliny. We wróżbie jest mowa o Białym Zimnie. Według nas chodzi o potężne zlodowacenie. A ponieważ tak się składa, że dziewięćdziesiąt procent lądu twojego świata to półkula północna, zlodowacenie może zagrozić egzystencji większości żywych istot. Po prostu zginą z zimna. Ci, którzy przetrwają, utoną w barbarzyństwie, wyniszczą się wzajem w bezlitosnych walkach o pożywienie, staną się łupem oszalałych z głodu drapieżników. Przypomnij sobie tekst przepowiedni: Czas Pogardy, Czas Topora, Czas Wilczej Zamieci.

Ciri nie przerywała, bojąc się, by nie zaczął grać.

– Dziecko, na którym nam tak bardzo zależy – podjął Avallac'h, bawiąc się fletnią – potomek i nosiciel genu Lary Dorren, genu, który był przez

nas specjalnie budowany, może uratować mieszkańców tamtego świata. Mamy podstawy mniemać, że potomek Lary i twój, rzecz jasna, będzie posiadał zdolności tysiąckrotnie silniejsze od tych, które posiadamy my, wiedzący. Które w postaci szczątkowej posiadasz ty. Wiesz, o co chodzi, prawda?

Ciri zdążyła już się nauczyć, że w Starszej Mowie takie figury retoryczne, choć z pozoru będące pytaniami, nie tylko nie wymagały, ale wręcz zabraniały odpowiadania.

– Krótko mówiąc – podjął Avallac'h – idzie o możliwość przemieszczania między światami nie tylko siebie, swej własnej niewiele wszak znaczącej osoby. Rzecz w otwarciu Ard Gaeth, wielkich i stałych Wrót, przez które przeszliby wszyscy. Przed Koniunkcją udawało nam się to, chcemy to osiągnąć i teraz. Ewakuujemy z ginącego świata bytujących tam Aen Seidhe. Naszych braci, którym jesteśmy winni pomoc. Nie moglibyśmy żyć z myślą, że czegoś zaniechaliśmy dla ich ratowania. Możesz mi wierzyć, niczego nie zaniechamy. I uratujemy, ewakuujemy z tamtego świata wszystkich zagrożonych. Wszystkich, Zireael. Ludzi także.

– Doprawdy? – nie wytrzymała. – Dh'oine także?

– Także. Sama teraz widzisz, jak jesteś ważna, ile od ciebie zależy. Jak ważną rzeczą jest, byś była cierpliwa. Jak ważną rzeczą jest, byś dziś wieczorem poszła do Auberona i została na całą noc. Wierz mi, jego zachowanie nie było demonstracją niechęci. On wie, że dla ciebie nie jest to sprawa łatwa, wie, że mógłby natrętnym pośpiechem dotknąć cię i zrazić. On bardzo wiele wie, Jaskółko. Nie wątpię, że to zauważyłaś.

– Zauważyłam – prychnęła. – Zauważyłam także i to, że prąd zniósł nas już dość daleko od Tir ná Lia. Pora wziąć się do wioseł. Których tu zresztą nie widzę.

– Bo ich tu nie ma. – Avallac'h uniósł rękę, zakręcił dłonią, strzelił palcami. Łódź zatrzymała się. Chwilę stała w miejscu, a potem zaczęła płynąć pod prąd.

Elf rozsiadł się wygodniej, przyłożył do ust fletnię i bez reszty poświęcił się muzyce.

•

Wieczorem Król Olch podjął ją kolacją. Gdy weszła, szeleszcząc jedwabiem, gestem zaprosił ją do stołu. Służby nie było. Usługiwał jej

sam.

Kolacja składała się z kilkunastu rodzajów warzyw. Były też grzyby, gotowane, pieczone i duszone w sosie. Grzybów takich Ciri również nigdy jeszcze nie jadła. Niektóre były białe i cieniutkie jak listki, w smaku delikatne i łagodne, inne, brązowe i czarne, mięsiste i aromatyczne.

Auberon nie żałował jej też różowego wina. Pozornie lekkie, uderzało do głowy, odprężało, rozwiązywało język. Zanim się obejrzała, opowiedziała mu o rzeczach, o których nigdy nie sądziła, że opowie.

Słuchał. Cierpliwie. A ona nagle przypomniała sobie, po co tu jest, spochmurniała i zamilkła.

– Jak zrozumiałem – dołożył jej całkiem nowych grzybów, zielonkawych i pachnących jak szalotka – mniemasz, że z owym Geraltem wiąże cię przeznaczenie?

– Właśnie tak – uniosła puchar naznaczony już licznymi śladami jej pomadki. – Przeznaczenie. On, to znaczy Geralt, jest przeznaczony mnie, a ja jemu. Nasze losy się wiążą. Lepiej by więc było, bym stąd odeszła. Zaraz. Rozumiesz?

– Przyznam, że nie bardzo.

– Przeznaczenie! – Wypiła łyk. – Siła, której lepiej na drodze nie stawać. Dlatego myślę... Nie, nie, dziękuję, nie nakładaj mi już, proszę, najadłam się tak, że chyba pęknę.

– Wspomniałaś, że myślisz.

– Myślę, że błędem było zwabiać mnie tu. I zmuszać do... No, wiesz, co mam na myśli. Ja muszę stąd odejść, pospieszyć im z pomocą.... Bo moje przeznaczenie...

– Przeznaczenie – przerwał, unosząc kielich. – Predestynacja. Coś, co jest nieuniknione. Mechanizm, który sprawia, że praktycznie nieskończona liczba niemożliwych do przewidzenia wydarzeń musi zakończyć się takim, a nie innym skutkiem. Czy tak?

– Pewnie!

– Niezależnie od okoliczności i warunków, skutek wystąpić musi. Co przeznaczone, musi się stać. Czy tak?

– Tak!

– Dokąd zatem i po co chcesz iść? Pij wino, ciesz się chwilą, raduj życiem. Co ma przyjść, i tak przyjdzie, jeśli to nieuniknione.

– Akurat. Tak dobrze to nie ma.

– Przeczysz więc sama sobie.

– Nieprawda.

– Przeczysz przeczeniu, a to już jest błędne koło.

– Nie! – szarpnęła głową. – Nie może tak być, że się siedzi i nic nie robi! Nic samo nie przychodzi!

– Sofizmat.

– Nie wolno bezmyślnie tracić czasu! Można przegapić właściwy moment... Ten jeden właściwy, niepowtarzalny. Bo czas nie powtarza się nigdy!

– Pozwól – wstał. – Popatrz, o, na to.

Na ścianie, którą wskazał, widniał wypukły relief przedstawiający ogromnego łuskowatego węża. Gad, zwinąwszy się w kształt ósemki, wgryzał się zębiskami we własny ogon. Ciri widziała już coś takiego, ale nie pamiętała gdzie.

– Oto – powiedział elf – pradawny wąż Uroboros. Uroboros symbolizuje nieskończoność i sam jest nieskończonością. Jest wiecznym odchodzeniem i wiecznym powracaniem. Jest czymś, co nie ma ani początku, ani końca.

– Czas jest jak pradawny Uroboros. Czas to upływające chwile, ziarenka piasku przesypujące się w klepsydrze. Czas to momenty i zdarzenia, którymi tak chętnie próbujemy go mierzyć. Ale pradawny Uroboros przypomina nam, że w każdym momencie, w każdej chwili, w każdym zdarzeniu kryją się przeszłość, teraźniejszość i przyszłość. W każdej chwili kryje się wieczność. Każde odejście jest zarazem powrotem, każde pożegnanie powitaniem, każdy powrót rozstaniem. Wszystko jest jednocześnie początkiem i końcem.

– I ty też – powiedział, w ogóle na nią nie patrząc – jesteś zarazem początkiem i końcem. A ponieważ była tu mowa o przeznaczeniu, wiedz, że to właśnie jest twoje przeznaczenie. Być początkiem i końcem. Rozumiesz?

Zawahała się na moment. Ale jego palące oczy zmusiły ją do odpowiedzi.

– Rozumiem.

– Rozbierz się.

Powiedział to tak beztrosko, tak obojętnie, że omal nie wrzasnęła ze złości. Drżącymi rękoma zaczęła rozpinać kamizelkę.

Palce były nieposłuszne, haftki, guziczki i tasiemki nieporęczne i ciasne. Choć Ciri spieszyła się, jak mogła, chcąc jak najszybciej mieć to wszystko za sobą, rozbieranie trwało denerwująco długo. Ale elf nie sprawiał wrażenia kogoś, komu się spieszy. Jak gdyby naprawdę miał do dyspozycji całą wieczność.

Kto wie, pomyślała, może i ma?

Już w zupełnym dezabilu, przestąpiła z nogi na nogę, posadzka ziębiła stopy. Zauważył to, bez słowa wskazał łoże.

Pościel była z norek. Ze zszytych w wielkie błamy norczych futerek. Mięciutkich, ciepłych, przyjemnie łaskoczących.

Położył się obok niej całkiem ubrany, w butach nawet. Gdy jej dotknął, wyprężyła się mimowolnie, trochę zła na siebie, bo była zdecydowana do końca grać hardą i niewzruszoną. Zęby, co tu dużo gadać, cokolwiek jej szczękały. Jego elektryzujący dotyk uspokajał jednak, a palce uczyły i rozkazywały. Wskazywały. W momencie, gdy zaczęła rozumieć wskazówki tak dobrze, że niemal z wyprzedzeniem, zamknęła oczy i wyobraziła sobie, że to Mistle. Ale nie udało jej się. Bo bardzo się od Mistle różnił.

Dłonią pouczył ją, co ma zrobić. Posłuchała. Nawet chętnie. Spiesznie.

On w ogóle się nie spieszył. Sprawił, że pod pieszczotą zmiękła jak jedwabna wstęga. Zmusił ją do jęku. Do przygryzienia warg. Do gwałtownego, wstrząsającego całym ciałem spazmu.

Tego, co zrobił potem, nie spodziewała się zupełnie. Wstał i odszedł. Zostawiając ją rozpaloną, dyszącą i rozdygotaną.

Nawet się nie obejrzał.

Ciri krew uderzyła do twarzy i skroni. Zwinęła się w kłębek na norczych błamach. I załkała. Z wściekłości, wstydu i upokorzenia.

•

Rano znalazła Avallac'ha w perystylu za pałacem, wśród szpaleru posągów. Posągi – rzecz szczególna – przedstawiały elfie dzieci. W różnych, głównie rozbrykanych pozach. Zwłaszcza ten, przy którym stał elf, był ciekawy – przedstawiał malca z wykrzywioną w złości buzią, z zaciśniętymi piąstkami, stojącego na jednej nodze.

Ciri długo nie mogła oderwać wzroku, a w podbrzuszu czuła tępy ból. Dopiero ponaglona przez Avallac'ha opowiedziała o wszystkim. Ogródkowo i jąkając się.

– On – powiedział poważnie Avallac'h, gdy skończyła – więcej niż sześćset pięćdziesiąt razy oglądał dymy Saovine. Wierz mi, Jaskółko, to wiele nawet jak na Lud Olch.

– A co mnie to obchodzi? – warknęła. – Ja się umówiłam! Nauczyliście się chyba od krasnoludów, waszych pobratymców, co to takiego kontrakt? Ja się wywiązuję! Oddaję się! Co mnie obchodzi, że on nie może lub nie chce? Co mnie obchodzi, czy to starcza niemoc, czy też go nie pociągam? Może brzydzi się Dh'oine? Może jak Eredin widzi we mnie tylko samorodek w kupie kompostu?

– Mam nadzieję. – Twarz Avallac'ha, rzecz niebywała, zmieniła się i skurczyła. – Mam nadzieję, że nie powiedziałaś mu czegoś podobnego.

– Nie powiedziałam. Choć miałam ochotę.

– Strzeż się. Nie wiesz, czym ryzykujesz.

– Jest mi wszystko jedno. Ja zawarłam umowę. Wóz więc albo przewóz! Albo się wywiążcie, albo umowę unieważniamy i będę wolna.

– Strzeż się, Zireael – powtórzył, wskazując na statuetkę rozbrykanego bobasa. – Nie bądź taka, jak ten tu. Uważaj na każde słowo. Staraj się rozumieć. A jeśli czegoś nie rozumiesz, pod żadnym pozorem nie działaj pochopnie. Bądź cierpliwa. Pamiętaj, czas nie ma znaczenia.

– Ma znaczenie!

– Nie bądź, prosiłem, krnąbrnym dzieckiem. Jeszcze raz powtarzam: bądź cierpliwa z Auberonem. Bo to twoja jedyna szansa na odzyskanie wolności.

– Doprawdy? – krzyknęła niemal. – Zaczynam mieć wątpliwości! Zaczynam podejrzewać, że oszukałeś mnie! Że wszyscy mnie oszukaliście...

– Obiecałem ci – twarz Avallac'ha była równie martwa jak kamień posągów – że wrócisz do twojego świata. Dałem słowo. Poddawanie słowa w wątpliwość jest dla Aen Elle ciężką obrazą. By cię przed nią ustrzec, proponuję zakończyć tę rozmowę.

Chciał odejść, ale zagrodziła mu drogę. Jego akwamarynowe oczy zwęziły się, a Ciri zrozumiała, że ma do czynienia z elfem bardzo, ale to bardzo niebezpiecznym. Ale było za późno, by się cofać.

– Bardzo to coś po elfiemu – zasyczała jak żmija – samemu obrażać, a potem nie pozwalać na rewanż.

– Strzeż się, Jaskółko.

– Posłuchaj – hardo zadarła głowę. – Wasz Król Olch zadaniu nie podoła, to więcej niż jasne. Nie jest ważne, czy problem stanowi on, czy jestem nim ja. To obojętne i bez znaczenia. Ale ja chcę wywiązać się z umowy. I mieć to za sobą. Niechże więc to dziecko, na którym tak wam zależy, zrobi mi ktoś inny.

– Nie wiesz nawet, o czym mówisz.

– A jeśli to ja jestem problemem – nie zmieniała tonu i miny – to znaczy, że się pomyliłeś, Avallac'h. Zwabiłeś do tego świata nie tę, którą trzeba.

– Nie wiesz, o czym mówisz, Zireael.

– Jeśli zaś – krzyknęła – wszyscy się mną brzydzicie, to zastosujcie metodę hodowców osłomułów! Co, nie wiesz? Ogierowi pokazuje się klacz, a potem zawiązuje oczy i podstawia oślicę!

Nawet nie raczył odpowiedzieć. Minął ją bezceremonialnie i odszedł szpalerem posągów.

– A może ty? – wrzasnęła. – Chcesz, to oddam się tobie! Co? Nie poświęcisz się? Przecież podobno mam oczy Lary!

We dwóch skokach był przy niej, jego ręce strzeliły ku jej szyi jak węże i zacisnęły się jak stalowe cęgi. Zrozumiała, że gdyby chciał, zdławiłby ją jak pisklę.

Puścił ją. Nachylił się i z bliska zajrzał jej w oczy.

– Kim ty jesteś – spytał niezwykle spokojnie – by ośmielać się w taki sposób bezcześcić jej imię? Kim ty jesteś, by ośmielać się lżyć mnie tak nędzną jałmużną? O, ja wiem, ja widzę, kim jesteś. Nie jesteś córką Lary. Jesteś córką Cregennana, jesteś bezmyślną, arogancką, samolubną Dh'oine, okazową wręcz reprezentantką rasy, która niczego nie pojmuje, a wszystko musi zrujnować i zniszczyć, skalać samym tylko dotykiem, zohydzić i splugawić samą tylko myślą. Twój przodek ukradł mi moją miłość, zabrał mi ją, samolubnie i arogancko zabrał mi Larę. Ale tobie, godna jego córko, nie pozwolę odebrać sobie pamięci o niej.

Odwrócił się. Ciri zwalczyła opór ściśniętej krtani.

– Avallac'h.

Spojrzenie.

– Wybacz mi. Zachowałam się bezmyślnie i podle. Przebacz mi. I, jeśli możesz, zapomnij.

Podszedł do niej, objął.

– Już zapomniałem – powiedział ciepło. – Nie wracajmy do tego więcej.

•

Gdy wieczorem weszła do królewskich komnat, wykąpana, wyperfumowana i uczesana, Auberon Muircetach siedział przy stole, schylony nad szachownicą. Bez słowa polecił, by usiadła naprzeciw.

Wygrał w dziewięciu ruchach.

Za drugim razem ona grała białymi, a on wygrał w jedenastu ruchach.

Wtedy dopiero podniósł wzrok, swoje jasne niesamowite oczy.

– Rozbierz się, proszę.

W jednym trzeba było oddać mu honor – był delikatny i w ogóle się nie spieszył.

Gdy – tak jak poprzednio – wstał z łoża i odszedł bez słowa, Ciri przyjęła to ze spokojną rezygnacją. Ale niemal do samego świtu nie mogła zasnąć.

A gdy okna pojaśniały od jutrzenki, a ona wreszcie usnęła, przyśnił jej się bardzo dziwny sen.

•

Vysogota, schylony, opłukuje z rzęsy pułapkę na piżmaki. Szumią poruszane wiatrem trzciny.

Czuję się winny, Jaskółko. To ja podsunąłem ci pomysł tej szaleńczej eskapady. Wskazałem drogę do tej przeklętej Wieży.

– Nie rób sobie wyrzutów, Stary Kruku. Gdyby nie wieża, dopadłby mnie Bonhart. Tutaj przynajmniej jestem bezpieczna.

Nie jesteś tutaj bezpieczna.

Vysogota prostuje się.

Za jego plecami Ciri widzi wzgórze, gołe i obłe, wystające z traw niczym wygięty grzbiet przyczajonego w zasadzce potwora. Na wzgórzu leży olbrzymi głaz. Obok głazu dwie postaci. Kobieta i dziewczyna. Wiatr szarpie i plącze czarne włosy kobiety.

Widnokrąg płonie błyskawicami.

Chaos wyciąga ku tobie ręce, córeczko. Dziecko Starszej Krwi, dziewczyno wpleciona w Ruch i Odmianę, w Zagładę i Odrodzenie. Przeznaczona i będąca przeznaczeniem. Zza zamkniętych drzwi Chaos wyciąga ku tobie swe szpony, nadal nie wiedząc, czy staniesz się jego narzędziem, czy też przeszkodą w jego planach. Nie wiedząc, czy nie

odegrasz przypadkiem roli ziarenka piasku w trybach Zegara Losu. Chaos boi się ciebie, Dziecko Przeznaczenia. A chce sprawić, byś to ty czuła lęk. Dlatego zsyła ci sny.

Vysogota schyla się, czyści pułapkę na piżmaki. On przecież nie żyje, myśli trzeźwo Ciri. Czy to znaczy, że tam, w zaświatach, umarli muszą czyścić pułapki na piżmaki?

Vysogota prostuje się. Za jego plecami niebo płonie łuną pożarów. Równiną cwałują tysiące jeźdźców. Jeźdźców w czerwonych płaszczach.

Dearg Ruadhri.

Posłuchaj mnie uważnie, Jaskółko. Starsza Krew, którą masz w żyłach, daje ci wielką władzę. Jesteś Panią Miejsc i Czasów. Masz potężną Moc. Nie pozwól, by ci ją odebrali i wykorzystali do niecnych celów zbrodniarze i niegodziwcy. Broń się! Umknij z zasięgu ich niegodziwych rąk!

– Łatwo powiedzieć! Osaczyli mnie tu jakąś magiczną barierą czy uwięzią...

Jesteś Panią Miejsc i Czasów. Ciebie nie można uwięzić.

Vysogota prostuje się. Za jego plecami jest płaskowyż, skalista równina, na niej wraki okrętów. Całe dziesiątki wraków. A dalej zamek, czarny, groźny, zębaty blankami, wznoszący się nad górskim jeziorem.

Zginą bez twojej pomocy, Jaskółko. Tylko ty możesz ich uratować.

Usta Yennefer, pocięte i rozbite, poruszają się bezgłośnie, broczą krwią. Fiołkowe oczy błyszczą, palą się w wychudłej, skurczonej, poczerniałej od męki twarzy przysłoniętej burzą zmierzwionych, brudnych, czarnych włosów. We wgłębieniu podłogi śmierdząca kałuża, dookoła śmigają szczury. Przeraźliwe zimno kamiennych ścian. Zimno kajdan na przegubach rąk, na kostkach nóg...

Dłonie i palce Yennefer są masą skrzepłej krwi.

– Mamusiu! Co oni ci zrobili?

Marmurowe schody prowadzące w dół. Schody o trzech podestach.

Va'esse deireadh aep eigean... Coś się kończy... Co?

Schody. W dole ogień płonący w żelaznych koszach. Płonące arrasy.

Idziemy, mówi Geralt. Schodami w dół. Musimy. Tak trzeba. Innej drogi nie ma. Tylko te schody. Chcę zobaczyć niebo.

Jego usta nie poruszają się. Są sine i jest na nich krew. Krew, wszędzie krew... Całe schody we krwi...

Innej drogi nie ma. Nie ma, Gwiazdooka.

– W jaki sposób? – krzyknęła. – W jaki sposób mogę im pomóc? Jestem w innym świecie! Uwięziona! I bezsilna!

Ciebie nie można uwięzić.

Wszystko już zostało opisane, mówi Vysogota. Nawet to. Spójrz pod nogi.

Ciri z przerażeniem widzi, że stoi w morzu kości. Wśród czaszek, piszczeli i żeber.

Tylko ty możesz temu zapobiec, Gwiazdooka.

Vysogota prostuje się. Za jego plecami zima, śnieg, kurniawa. Wicher wyje i gwiżdże.

Przed nią, w zamieci, na koniu, Geralt. Ciri poznaje go, chociaż na głowie ma futrzaną czapę, a twarz owiniętą wełnianym szalem. Za jego plecami majaczą w zamieci inni jeźdźcy, ich sylwetki są niewyraźne, tak grubo okutane, że nie sposób rozeznać, co to za jedni.

Geralt patrzy wprost na nią. Ale jej nie widzi. Śnieg sypie mu w oczy.

– Geralt! To ja! Tutaj!

Nie widzi jej. I nie słyszy wśród wycia wichury.

– Geraaaaalt!

To muflon, mówi Geralt. To tylko muflon. Zawracamy.

Jeźdźcy znikają, rozpływają się wśród zamieci.

– Geraaaalt! Nieeee!

•

Obudziła się.

•

Rano poszła od razu do stajni. Nawet bez śniadania. Nie chciała spotkania z Avallac'hem, nie życzyła sobie rozmowy z nim. Wolała uniknąć natrętnych, ciekawych, pytających, klejących się do niej spojrzeń innych elfów i elfek. Przy każdej innej okazji demonstracyjnie obojętne, w kwestii królewskiej alkowy elfy zdradzały ciekawość, a ściany pałacu, Ciri była tego pewna, miały uszy.

Odszukała w boksie Kelpie, znalazła siodło i uprząż. Nim zdążyła okulbaczyć klacz, już były przy niej służące, te szare elfeczki, małe, o głowę niższe od zwykłych Aen Elle. Wyręczyły ją przy klaczy, kłaniając się i przymilnie uśmiechając.

– Dziękuję – powiedziała. – Dałabym sobie radę sama, ale dziękuję. Jesteście kochane.

Najbliższa elfka uśmiechnęła się szeroko, a Ciri drgnęła.

Bo dzieweczka miała w uzębieniu kły.

Doskoczyła do niej tak szybko, że dziewczyna niemal przysiadła ze strachu. Odgarnęła włosy z ucha. Ucha, które nie było szpiczasto zakończone.

– Ty jesteś człowiekiem!

Dzieweczka – a wraz z nią pozostałe – uklękła na pozamiatanej polepie. Pochyliła głowę. W oczekiwaniu kary.

– Ja... – zaczęła Ciri, miętosząc rzemień wodzy. – Ja...

Nie wiedziała, co powiedzieć. Dziewki klęczały nadal. Konie niespokojnie parskały i tupały w boksach.

Na zewnątrz, w siodle, w kłusie, nadal nie mogła zebrać myśli. Ludzkie dziewczyny. Jako służące, ale to nieistotne. Istotne jest, że w tym świecie są Dh'oine....

Ludzie, poprawiła się. Myślę już jak oni.

Z zadumy wyrwało ją głośne rżenie i podskok Kelpie. Uniosła głowę i zobaczyła Eredina.

Siedział na swym skarogniadym ogierze, teraz pozbawionym demonicznego bukranionu i większości pozostałych bojowych parafernaliów. Sam nosił jednak kolczugę pod mieniącym się wieloma odcieniami czerwieni płaszczem.

Ogier na powitanie zarżał chrapliwie, potrząsnął łbem i wyszczerzył na Kelpie żółte zęby. Kelpie, w myśl zasady, że sprawy załatwia się z panem, a nie ze sługą, sięgnęła zębami do uda elfa. Ciri ostro ściągnęła wodze.

– Uważaj – powiedziała. – Trzymaj dystans. Moja klacz nie lubi obcych. A potrafi ugryźć.

– Takie, które gryzą – zmierzył ją złym wzrokiem – kiełzna się żelaznym kiełznem. Tak, żeby aż krew trysnęła. Świetna metoda na wykorzenianie narowów. Również u koni.

Szarpnął tręzle ogiera tak mocno, że koń zachrapał i postąpił kilka kroków do tyłu, a z pyska ściekła mu piana.

– Po co ta kolczuga? – Teraz Ciri zmierzyła elfa wzrokiem. – Gotujesz się do wojny?

– Wprost przeciwnie. Pragnę pokoju. Twoja klacz, poza tym, że narowista, ma jeszcze jakieś zalety?

– W rodzaju?

– Zmierzysz się w biegu?

– Jeśli chcesz, czemu nie – stanęła w strzemionach. – Tam, w stronę tamtych kromlechów...

– Nie – przerwał. – Tam nie.

– Dlaczego?

– Teren zakazany.

– Dla wszystkich, oczywiście.

– Nie dla wszystkich, oczywiście. Zbyt cenne jest dla nas, Jaskółko, twoje towarzystwo, byśmy mogli ryzykować, że zostaniemy go pozbawieni przez ciebie samą lub kogoś innego.

– Kogoś innego? Nie myślisz chyba o jednorożcach?

– Nie chcę zanudzać cię tym, co myślę. Ani frustrować tym, że nie pojmiesz moich myśli.

– Nie rozumiem.

– Wiem, że nie rozumiesz. Na to, by rozumieć, ewolucja nie wykształciła ci dostatecznie pofałdowanego mózgu. Posłuchaj, jeśli chcesz się ścigać, to proponuję wzdłuż rzeki. Tamtędy. Do Porfirowego Mostu, trzeciego z kolei. Potem przez most na drugi brzeg, dalej brzegiem, z prądem, meta przy wpadającym do rzeki strumyku. Gotowa?

– Zawsze.

Z krzykiem poderwał ogiera, a źrebiec ruszył jak huragan. Zanim Kelpie wystartowała, odsadził się daleko. Szedł, aż ziemia drżała, ale z Kelpie równać się nie mógł. Dogoniła go szybko, jeszcze przed Porfirowym Mostem. Most był wąski. Eredin krzyknął, a ogier, rzecz niewiarygodna, przyspieszył. Ciri momentalnie pojęła, w czym rzecz. Na moście za nic w świecie nie zmieściłyby się dwa konie. Jeden musiał zwolnić.

Ciri zwalniać zamiaru nie miała. Przywarła do grzywy, a Kelpie wyrwała do przodu jak strzała. Otarła się o strzemię elfa i wpadła na most. Eredin wrzasnął, ogier stanął dęba, uderzył bokiem o alabastrową figurę, zwalił ją z cokołu, rozbijając w złomki.

Ciri, chichocząc jak upiór, przegalopowała przez most. Nie oglądając się.

Przy strumyku zsiadła i zaczekała.

Dojechał po chwili, stępa. Uśmiechnięty i spokojny.

– Moje uznanie – rzekł krótko, zsiadając. – Tak dla klaczy, jak i dla amazonki.

Choć dumna była jak paw, prychnęła niedbale.

– Aha! Nie będziesz więc już nas krwawo kiełznał?

– Chyba, że za przyzwoleniem – uśmiechnął się dwuznacznie. – Są klacze, które lubią mocne pieszczoty.

– Całkiem niedawno – spojrzała na niego hardo – przyrównałeś mnie do kompostu. A teraz już mówimy o pieszczotach?

Podszedł do Kelpie, potarł i poklepał szyję klaczy, pokręcił głową, stwierdziwszy, że sucha. Kelpie targnęła łbem i zawizżała przeciągle. Eredin odwrócił się ku Ciri. Jeśli i mnie poklepie, pomyślała, to pożałuje.

– Pozwól za mną.

Wzdłuż wpadającego do rzeki potoku, spływającego ze stromego, gęsto zalesionego zbocza, wiodły w górę schody wykonane ze złomów omszałego piaskowca. Schody były wiekowe, spękane, porozsadzane korzeniami drzew. Zygzakowały w górę, niekiedy przecinając strumień mostkiem. Dookoła był las, dziki las, pełen starych jesionów i grabów, cisów, jaworów i dębów, dołem zmierzwiony gęstwą leszczyn, tamaryszków i porzeczek. Pachniało piołunem, szałwią, pokrzywą, mokrym kamieniem, wiosną i pleśnią.

Ciri szła w milczeniu, nie spiesząc się i kontrolując oddech. Panowała też nad zdenerwowaniem. Pojęcia nie miała, czego Eredin mógł od niej chcieć, ale przeczuć nie miała najlepszych.

Obok kolejnej kaskady, z szumem spadającej z rozpadliny skalnej, był kamienny taras, a na nim, ocieniona krzakiem dzikiego bzu, stała altana, spowita bluszczem i tradeskancją. W dole widać było korony drzew, wstęgę rzeki, dachy, perystyle i tarasy Tir ná Lia.

Stali chwilę, patrząc.

– Nikt mi nie powiedział – Ciri pierwsza przerwała milczenie – jak nazywa się ta rzeka.

– Easnadh.

– Westchnienie? Ładnie. A ten strumień?

– Tuathe.

– Szept. Też ładnie. Dlaczego nikt mi nie powiedział, że w tym świecie żyją ludzie?

– Bo to informacja nieistotna i dla ciebie całkiem bez znaczenia. Wejdźmy do altany.

– Po co?

– Wejdźmy.

Pierwszą rzeczą, którą dostrzegła po wejściu, była drewniana leżanka. Ciri poczuła, jak w skroniach zaczyna jej tętnić. No jasne, pomyślała, to było do przewidzenia. Czytałam przecież w świątyni romans, napisany przez Annę Tiller. O starym królu, młodej królowej i o żądnym władzy księciu pretendencie. Eredin jest bezwzględny, ambitny i zdecydowany. Wie, że ten, kto ma królową, jest prawdziwym królem, prawdziwym władcą. Prawdziwym mężczyzną. Kto posiadł królową, ten posiadł królestwo. Tu, na tej leżance, zacznie się zamach stanu...

Elf usiadł za marmurowym stołem, wskazał Ciri drugie krzesło. Widok z okna zdawał się bardziej go interesować niż ona, a na leżankę nie patrzył w ogóle.

– Zostaniesz tu na zawsze – zaskoczył ją – ty moja amazonko lekka jak motylek. Do końca twego motylego życia.

Milczała, patrząc mu prosto w oczy. W tych oczach nie było nic.

– Nie pozwolą ci stąd odejść – powtórzył. – Nie przyjmą do wiadomości, że wbrew wróżbom i mitom jesteś nikim i niczym, istotą bez znaczenia. Nie uwierzą w to i nie pozwolą ci odejść. Zmamili cię obietnicą, by zapewnić sobie twoją powolność, ale nigdy nie mieli zamiaru tej obietnicy dotrzymać. Nigdy.

– Avallac'h – wychrypiała – dał mi słowo. Podobno wątpić w słowo elfa jest obrazą.

– Avallac'h jest wiedzącym. Wiedzący mają własny kodeks honorowy, w którym co drugie zdanie mowa o celu uświęcającym środki.

– Nie rozumiem, dlaczego mi to wszystko mówisz. Chyba że... Że czegoś ode mnie chcesz. Chyba, że ja mam coś, czego ty pragniesz. I chcesz pohandlować. Co? Eredin? Moja wolność za... Za co?

Patrzył na nią długo. A ona próżno szukała w jego oczach jakiejś wskazówki, jakiegoś sygnału, jakiegoś znaku. Czegokolwiek.

– Z pewnością – zaczął wolno – zdążyłaś już trochę poznać Auberona. Z pewnością już zauważyłaś, że jest niewyobrażalnie wręcz ambitny. Są rzeczy, których on nie zaakceptuje nigdy, których nigdy nie przyjmie do wiadomości. Prędzej umrze.

Ciri milczała, gryząc wargi i zerkając na leżankę.

– Auberon Muircetach – podjął elf – nigdy nie sięgnie po magię ani inne środki mogące zmienić istniejącą sytuację. A takie środki istnieją.

Dobre, mocne, gwarantowane środki. O wiele bardziej skuteczne od atraktantów, którymi służki Avallac'ha nasycają twoje kosmetyki.

Szybko przesunął dłonią nad ciemno żyłkowanym blatem. Gdy cofnął rękę, na blacie został maleńki flakonik z szarozielonego nefrytu.

– Nie – chrypnęła Ciri. – Absolutnie nie. Na to nie zgadzam się.

– Nie dałaś mi dokończyć.

– Nie miej mnie za głupią. Nie podam mu tego, co jest w tym flakoniku. Do takiej rzeczy mnie nie wykorzystasz.

– Wyciągasz bardzo pospieszne wnioski – powiedział wolno, patrząc jej w oczy. – Samą siebie usiłujesz prześcignąć w biegu. A coś takiego zawsze kończy się upadkiem. Bardzo bolesnym upadkiem.

– Powiedziałam: nie.

– Zastanów się dobrze. Niezależnie od tego, co to naczynie zawiera, ty zawsze wygrasz. Zawsze wygrasz, Jaskółko.

– Nie!

Ruchem równie zwinnym jak poprzednio, iście godnym sztukmistrza, elf eskamotował flakonik ze stołu. Potem milczał długo, patrząc na rzekę Easnadh błyskającą wśród drzew.

– Umrzesz tu, motylku – powiedział wreszcie. – Nie pozwolą ci stąd odejść. Ale to twój wybór.

– Ja się umówiłam. Moja wolność za...

– Wolność – parsknął. – Wciąż mówisz o tej wolności. A co zrobiłabyś, gdybyś ją odzyskała? Dokąd byś się udała? Zrozum wreszcie, że od tamtego twojego świata dzielą cię w tej chwili nie tylko miejsca, ale i czas. Czas tutaj płynie inaczej niż tam. Ci, których tam znałaś jako dzieci, są teraz zgrzybiałymi starcami, a ci, którzy byli ci rówolatkami, dawno już umarli.

– Nie wierzę.

– Przypomnij sobie wasze legendy. Legendy o ludziach, którzy tajemniczo znikali i wracali po latach, po to tylko, by popatrzeć na zarośnięte trawą groby bliskich. Myślisz może, że były to fantazje, rzeczy wyssane z palca? Mylisz się. Przez całe stulecia ludzie byli porywani, unoszeni przez jeźdźców, których wy nazywacie Dzikim Gonem. Porywani, wykorzystywani, a potem odrzucani jak skorupka wypitego jajka. Ale ciebie nie spotka nawet to, Zireael. Ty umrzesz tutaj, nie będzie ci dane zobaczyć nawet mogił twoich przyjaciół.

– Nie wierzę w to, co mówisz.

– Twoje wierzenia są twoją prywatną sprawą. A los swój sama wybrałaś. Wracajmy. Mam prośbę, Jaskółko. Czy zechcesz w Tir ná Lia spożyć ze mną lekki posiłek?

Przez kilka uderzeń serca głód i szalona fascynacja walczyły w Ciri ze złością, strachem przed trucizną i ogólną antypatią.

– Z chęcią. – Spuściła wzrok. – Dziękuję za propozycję.

– To ja dziękuję. Chodźmy.

Wychodząc z altany, rzuciła jeszcze okiem na leżankę. I pomyślała, że z Anny Tiller była jednak głupia i egzaltowana grafomanka.

Powoli, w milczeniu, w zapachu mięty, szałwii i pokrzywy, schodzili nad rzekę Westchnienie. Schodami w dół. Brzegiem strumienia, który zwał się Szept.

•

Gdy wieczorem, wyperfumowana, z wilgotnymi jeszcze po aromatycznej kąpieli włosami weszła do królewskich komnat, zastała Auberona na sofie, schylonego nad księgą. Bez słowa, gestem tylko, polecił, by usiadła obok.

Księga była bogato ilustrowana. Prawdę powiedziawszy, nie było w niej nic prócz ilustracji. Ciri, choć starała się grać światową damę, krew uderzyła na policzki. W świątynnej bibliotece w Ellander widziała kilka podobnych dzieł. Ale z księgą Króla Olch tamte nie mogły konkurować, ani bogactwem i rozmaitością pozycji, ani artyzmem ich zobrazowania.

Oglądali długo, w milczeniu.

– Rozbierz się, proszę.

Tym razem on też się rozebrał. Ciało miał szczupłe i chłopięce, chude wręcz jak Giselher, jak Kayleigh, jak Reef, których wielekroć widywała, gdy kąpali się w strumieniach lub górskich jeziorkach. Ale od Giselhera i Szczurów aż biła witalność, aż biło od nich życie, chęć życia płonąca wśród srebrnych kropelek rozpryskiwanej wody.

A od niego, od Króla Olch, biło zimno wieczności.

Był cierpliwy. Kilka razy zdawało się, że już, już. Ale jednak nic z tego nie wyszło. Ciri była na siebie zła, pewna, że to przez jej niewiedzę i paraliżujący brak wprawy. Zauważył to i uspokoił ją. Jak zwykle, bardzo skutecznie. A ona zasnęła. W jego ramionach.

Ale rano nie było go przy niej.

•

Następnego wieczoru Król Olch po raz pierwszy objawił zniecierpliwienie.

Zastała go schylonego nad stołem, na którym leżało oprawne w bursztyn zwierciadło. Zwierciadło zasypane było białym proszkiem.

Zaczyna się, pomyślała.

Auberon małym nożykiem zebrał fisstech i uformował go w dwa wałeczki. Wziął ze stołu srebrną rurkę i wciągnął narkotyk do nosa, najpierw do lewej, potem do prawej dziurki. Jego oczy, zwykle błyszczące, trochę jakby przygasły i zmętniały, załzawiły się. Ciri z miejsca wiedziała, że nie była to pierwsza dawka.

Uformował na szkle dwa nowe wałeczki, zaprosił ją gestem, podając rurkę. A, co tam, pomyślała. Łatwiej będzie.

Narkotyk był niesłychanie silny.

Za małą chwilę siedzieli obydwoje na łóżku, przytuleni, i gapili się na księżyc łzawiącymi oczyma.

Ciri kichnęła.

– Sznurowana noc – powiedziała, ocierając nos rękawem jedwabnej bluzki.

– Czarowna – poprawił, przecierając oko. – *Ensh'eass*, nie *en'leass*. Musisz popracować nad wymową.

– Popracuję.

– Rozbierz się.

Z początku wydawało się, że będzie dobrze, że narkotyk podziałał na niego tak samo podniecająco jak na nią. A na nią podziałał tak, że zrobiła się aktywna i przedsiębiorcza, ba, wyszeptała mu nawet do ucha kilka wielce nieprzyzwoitych – w jej mniemaniu – słów. Wzięło go to chyba trochę, efekt był, hmm, namacalny, w pewnym momencie Ciri pewna była, że to już, już. Ale to nie było już, już. Przynajmniej nie do końca.

I wtedy właśnie się zniecierpliwił. Wstał, narzucił na szczupłe ramiona sobolowe futro. Stał tak, odwrócony, zapatrzony w okno i księżyc. Ciri usiadła, oplotła kolana ramionami. Była rozczarowana i zła, a jednocześnie było jej jakoś dziwnie rzewnie. Było to niezawodnie działanie tego mocnego fisstechu.

– To wszystko moja wina – wymamrotała. – Ta blizna mnie szpeci, wiem. Wiem, co widzisz, gdy na mnie patrzysz. Dużo z elfki nie zostało we mnie. Złoty samorodek w kupie kompostu...

Odwrócił się gwałtownie.

– Jesteś niezwykle skromna – wycedził. – Ja powiedziałbym raczej: perła w świńskim gnoju. Brylant na palcu gnijącego trupa. W ramach ćwiczenia językowego sama opracuj inne jeszcze porównania. Jutro cię z nich przepytam, mała Dh'oine. Ludzka istoto, w której nic, absolutnie nic nie zostało z elfki.

Podszedł do stołu, wziął rurkę, pochylił się nad zwierciadłem. Ciri siedziała jak skamieniała. Czuła się tak, jak gdyby ją opluto.

– Nie przychodzę do ciebie z miłości! – szczeknęła wściekle. – Jestem więziona i szantażowana, dobrze o tym wiesz! Ale ja się godzę, robię to dla...

– Dla kogo? – przerwał zapalczywie, całkiem nie po elfiemu. – Dla mnie? Dla uwięzionych w twoim świecie Aen Seidhe? Ty głupia dziewczyno! Robisz to dla siebie, dla siebie tu przychodzisz i nadaremnie usiłujesz mi się oddać. Bo to jest twoja jedyna nadzieja, jedyna deska ratunku. I powiem ci jeszcze: módl się, żarliwie módl się do twoich ludzkich idoli, bożków czy totemów. Bo albo będę ja, albo będzie Avallac'h i jego laboratorium. Wierz mi, nie chciałabyś trafić do laboratorium i zapoznać się z alternatywą.

– Jest mi wszystko jedno – powiedziała głucho, kurcząc się na łożu. – Godzę się na wszystko, byle tylko odzyskać wolność. By móc się wreszcie od was uwolnić. Odejść. Do mojego świata. Do moich przyjaciół.

– Twoich przyjaciół! – zadrwił. – Masz tu twoich przyjaciół!

Odwrócił się raptownie i rzucił jej zaprószone fisstechem zwierciadło.

– Masz tu twoich przyjaciół – powtórzył. – Popatrz sobie.

Wyszedł, powiewając połami futra.

Z początku w zabrudzonym szkle widziała tylko własne zamazane odbicie. Ale prawie natychmiast zwierciadło pojaśniało mlecznie, wypełniło się dymem. A potem obrazem.

Yennefer wisząca w otchłani, wyprężona, z rękoma wzniesionymi ku górze. Rękawy jej sukni są jak rozpostarte skrzydła ptaka. Jej włosy falują, przemykają między nimi małe rybki. Całe stada migocących ruchliwych rybek. Niektóre skubią już policzki i oczy czarodziejki. Od nóg Yennefer biegnie ku dnu jeziora sznur, na końcu sznura, ugrzęźnięty w mule i moczarce, jest wielki kosz kamieni. W górze, wysoko, świeci i rozbłyskuje powierzchnia wód.

Suknia Yennefer faluje w tym samym rytmie co wodorosty.

Zapapraną fisstechem powierzchnię zwierciadła zasnuwa dym.

Geralt, szklisto blady, z zamkniętymi oczyma, siedzi pod zwisającymi ze skały długimi soplami, nieruchomy, oblodzony i szybko zasypywany nanoszonym przez kurniawę śniegiem. Jego białe włosy są już białymi strąkami lodu, białe sople zwisają mu z brwi, z rzęs, z warg. Śnieg wciąż pada i pada, rośnie zaspa pokrywająca nogi Geralta, rosną puchate czapy na jego barkach. Kurniawa wyje i świszcze...

Ciri zerwała się z łóżka, z impetem wyrżnęła zwierciadłem o ścianę. Pękła bursztynowa ramka, szkło rozprysnęło się na milion okruchów.

Poznawała, znała, pamiętała ten rodzaj wizji. Ze swych dawnych snów.

– To wszystko nieprawda! – wrzasnęła. – Słyszysz, Auberon? Ja w to nie wierzę! To nie jest prawda! To tylko twoja złość, bezsilna jak ty sam! To twoja złość...

Usiadła na posadzce. I rozpłakała się.

•

Podejrzewała, że w pałacu ściany mają uszy. Nazajutrz nie mogła się opędzić od dwuznacznych spojrzeń, wyczuwała za plecami uśmieszki, łowiła szepty.

Avallac'ha nigdzie nie było. Wie, pomyślała, wie, co się wydarzyło i unika mnie. Zawczasu, nim wstałam, popłynął lub pojechał gdzieś daleko ze swoją pozłacaną elfką. Nie chce ze mną rozmawiać, nie chce przyznać, że cały jego plan rozsypał się w gruzy.

Nigdzie nie było też Eredina. Ale to było raczej normalne, on często wyjeżdżał ze swymi *Dearg Ruadhri*, Czerwonymi Jeźdźcami.

Ciri wyprowadziła Kelpie ze stajni i pojechała za rzekę. Cały czas myśląc gorączkowo, nie zauważając niczego wokół siebie.

Uciekać stąd. Nieważne, czy te wszystkie wizje były kłamliwe, czy prawdziwe. Jedno jest pewne – Yennefer i Geralt są tam, w moim świecie i tam jest moje miejsce, przy nich. Muszę stąd uciec, uciec bez zwłoki! Przecież musi być jakiś sposób. Weszłam tu sama, powinnam umieć i sama wyjść. Eredin mówił, że mam dziki talent, to samo podejrzewał Vysogota. Z Tor Zireael, którą spenetrowałam dokładnie, wyjścia nie było. Ale może jest tu gdzieś jeszcze jakaś inna wieża...

Spojrzała w dal, na dalekie wzgórze, na widoczną na nim sylwetkę kromlecha. Teren zakazany, pomyślała. Ha, widzę, że to za daleko. Bariera mnie tam chyba nie dopuści. Szkoda zachodu. Pojadę raczej w górę rzeki. Tam jeszcze nie jeździłam...

Kelpie zarżała, zatargała łbem, bryknęła ostro. Nie dała się obrócić, miast tego ostro pokłusowała w stronę wzgórza. Ciri osłupiała do tego stopnia, że przez moment nie reagowała, pozwalała klaczy biec. Dopiero po chwili wrzasnęła i ściągnęła wodze. Efekt był taki, że Kelpie stanęła dęba, wierzgnęła, miotnęła zadem i pogalopowała. Nadal w tym samym kierunku.

Ciri nie powstrzymywała jej, nie usiłowała kontrolować. Była zdumiona do granic. Ale znała Kelpie zbyt dobrze. Klacz miała narowy, ale nie aż takie. Takie zachowanie musiało coś znaczyć.

Kelpie zwolniła, przeszła w kłus. Biegła jak strzelił w stronę zwieńczonego kromlechem wzgórza.

Mniej więcej stajanie, pomyślała Ciri. Zaraz zadziała Bariera.

Klacz wbiegła w kamienny krąg, między gęsto ustawione, omszałe i poprzekrzywiane monolity wyrastające z gęstwy kolczastych jeżyn, i stanęła jak wryta. Jedyne, czym poruszała, były uszy, którymi pilnie strzygła.

Ciri spróbowała ją obrócić. Potem ruszyć z miejsca. Bez skutku. Gdyby nie żyły tętniące na gorącej szyi, przysięgłaby, że siedzi nie na koniu, lecz na posągu. Nagle coś dotknęło jej pleców. Coś ostrego, coś, co przebiło odzienie i boleśnie ukłuło. Nie zdążyła się obrócić. Zza kamieni wychynął bez najmniejszego szelestu jednorożec ryżej maści i zdecydowanym ruchem wparł jej róg pod pachę. Mocno. Ostro. Poczuła, jak po boku pociekła strużka krwi.

Z drugiej strony wyłonił się jeszcze jeden jednorożec. Ten był całkowicie biały, od czubków uszu po koniec ogona. Chrapy tylko miał różowe, a oczy czarne.

Biały jednorożec zbliżył się. I powoli, powolutku złożył głowę na jej łonie. Podniecenie było tak silne, że Ciri aż jęknęła.

Wyrosłem, rozbrzmiało w jej głowie. *Wyrosłem, Gwiazdooka. Wtedy, na pustyni, nie wiedziałem, jak należy się zachować. Teraz już wiem.*

– Konik? – jęknęła, nadal wisząc niemal na dwóch kłujących ją rogach.

Imię moje Ihuarraquax. Pamiętasz mnie, Gwiazdooka? Pamiętasz, jak mnie leczyłaś? Ratowałaś?

Cofnął się, obrócił. Zobaczyła ślad blizny na jego nodze. Poznała. Pamiętała.

– Konik! To ty! Ale byłeś przecież innej maści...

Wyrosłem.

W głowie nagły zamęt, szepty, głosy, krzyki, rżenia. Rogi cofnęły się. Dostrzegła, że ten drugi jednorożec, ten zza jej pleców, był sinojabłkowity.

Starsi uczą się ciebie, Gwiazdooka. Uczą się ciebie poprzez mnie. Jeszcze chwila, a będą mogli rozmawiać sami. Sami ci powiedzą, czego od ciebie chcą.

Kakofonia w głowie Ciri strzeliła erupcją dzikiego zgiełku. I niemal natychmiast złagodniała, popłynęła strugą myśli zrozumiałych i jasnych.

Chcemy pomóc ci w ucieczce, Gwiazdooka.

Milczała, choć serce mocno zakołatało jej w piersi.

Gdzie szalona radość? Gdzie podziękowania?

– A skąd – spytała zaczepnie – z nagła taka chęć, by mi pomagać? Aż tak mnie kochacie?

W ogóle cię nie kochamy. Ale to nie jest twój świat. To nie miejsce dla ciebie. Nie możesz tu zostać. Nie chcemy, byś została.

Zacisnęła zęby. Choć podniecona perspektywą, przecząco pokręciła głową. Konik – Ihuarraquax – zastrzygł uszami, grzebnął ziemię kopytem, łypnął na nią czarnym okiem. Ryży jednorożec tupnął tak, że aż grunt się zatrząsł, groźnie zakręcił rogiem. Parsknął gniewnie, a Ciri zrozumiała.

Nie ufasz nam.

– Nie ufam – przyznała chłodno. – Każdy gra tu w jakąś swoją grę, a mnie, nieświadomą, próbuje wykorzystać. Dlaczego mam ufać akurat wam? Między wami a elfami najwidoczniej nie ma przyjaźni, sama widziałam tam, w stepie, jak o mało nie doszło do bijatyki. Mogę spokojnie przyjąć, że chcecie się mną posłużyć, by dokuczyć elfom. Ja też za nimi nie przepadam, w końcu uwięzili mnie tu i zmuszają do czegoś, czego wcale nie chcę. Ale wykorzystywać się nie pozwolę.

Ryży potrząsnął głową, jego róg znowu wykonał niebezpieczny ruch. Siny zarżał. W czaszce Ciri zadudniło jak w studni, a myśl, którą wychwyciła, była niełądna.

– Aha! – krzyknęła. – Jesteście tacy sami jak oni! Albo uległość i posłuszeństwo, albo śmierć? Nie boję się! A wykorzystać się nie dam!

Znowu poczuła w głowie zamęt i chaos. Trochę potrwało, nim z chaosu wyłoniła się czytelna myśl.

To dobrze, Gwiazdooka, że nie lubisz być wykorzystywana. Nam właśnie o to chodzi. Właśnie to chcemy zagwarantować tobie. Sobie. I całemu światu. Wszystkim światom.

– Nie rozumiem tego.

Jesteś groźnym orężem, niebezpieczną bronią. Nie możemy pozwolić, by broń ta wpadła w ręce Króla Olch, Lisa i Krogulca.

– Kogo? – zająknęła się. – Ach...

Lis, *crevan*. Avallac'h. A kim jest Krogulec, wiem przecież aż nadto dobrze.

Król Olch jest stary. Ale Lis z Krogulcem nie mogą zdobyć władzy nad Ard Gaeth, Wrotami Światów. Raz już zdobyli. Raz już utracili. Teraz nie mogą nic więcej, jak tylko błąkać się, błądzić wśród światów małymi kroczkami, sami, jak widma, bezsilnie. Lis do Tir ná Béa Arainne, Krogulec i jego jeźdźcy po Spirali. Dalej nie mogą, nie mają sił. Dlatego marzą im się Ard Gaeth i władza. Pokażemy ci, w jaki sposób oni już raz wykorzystali taką władzę. Pokażemy ci to, Gwiazdooka, gdy będziesz stąd odchodzić.

– Nie mogę stąd odejść. Nałożyli na mnie czar. Barierę. Geas Garadh...

Ciebie nie można uwięzić. Jesteś Panią Światów.

– Akurat. Nie mam żadnego dzikiego talentu, nie panuję nad niczym. A Mocy wyrzekłam się tam, na pustyni, rok temu. Konik świadkiem.

Na pustyni wyrzekłaś się kuglarstwa. Mocy, którą ma się we krwi, wyrzec się nie można. Wciąż ją masz. Nauczymy cię, jak z niej skorzystać.

– A nie jest przypadkiem tak – krzyknęła – że tę moc, tę władzę nad światami, którą jakoby mam, chcecie zdobyć wy?

Nie jest tak. My tej mocy zdobywać nie musimy. Albowiem mamy ją od zawsze.

Zaufaj im, poprosił Ihuarraquax. *Zaufaj, Gwiazdooka.*

– Pod jednym warunkiem.

Jednorożce poderwały głowy, rozdęły chrapy, z ich oczu, przysiągłbyś, sypną się skry. Nie lubią, pomyślała Ciri, gdy stawia się im warunki, nie lubią nawet dźwięku tego słowa. Pest, nie wiem, czy dobrze robię... Oby to tylko nie skończyło się tragicznie...

Słuchamy. Co to za warunek?

– Ihuarraquax będzie ze mną.

•

Pod wieczór zachmurzyło się, zrobiło się parno, z rzeki wstał gęsty, lepki opar. A gdy na Tir ná Lia spłynęła ciemność, z oddali głuchym pomrukiem odezwała się burza, co i rusz rozświetlając widnokrąg łuną błyskawicy.

Ciri od dawna była już gotowa. Ubrana w czarny strój, z mieczem na plecach, zdenerwowana i spięta niecierpliwie czekała na zmrok.

Przeszła cicho przez pusty westybul, prześlizgnęła się wzdłuż kolumnady, wyszła na taras. Rzeka Easnadh smoliście błyszczała w ciemności, wierzby szumiały.

Przez niebo przetoczył się daleki grom.

Ciri wyprowadziła Kelpie ze stajni. Klacz wiedziała, co do niej należy. Posłusznie potruchtała w kierunku Porfirowego Mostu. Ciri przez chwilę patrzyła jej w ślad, spojrzała na taras, przy którym stały łodzie.

Nie mogę, pomyślała. Pokażę mu się jeszcze raz. Może uda się opóźnić przez to pogoń? To ryzykowne, ale nie mogę inaczej.

W pierwszym momencie sądziła, że nie ma go, że królewskie komnaty są puste. Bo panowały w nich cisza i martwota.

Dostrzegła go dopiero po chwili. Siedział w kącie, w fotelu, w białej koszuli rozchełstanej na chudej piersi. Koszula wykonana była z tkaniny tak delikatnej, że oblepiała ciało niczym mokra.

Twarz i dłonie Króla Olch były niemal tak samo białe jak koszula.

Podniósł na nią oczy, a w oczach tych była pustka.

– Shiadhal? – szepnął. – Dobrze, że jesteś. Wiesz, mówili, że umarłaś.

Otworzył dłoń, coś upadło na kobierzec. Był to flakonik z szarozielonego nefrytu.

– Laro – Król Olch poruszył głową, dotknął szyi, jak gdyby dusił go złoty królewski *torc'h*. – *Caemm a me, luned*. Chodź do mnie, córko. *Caemm a me, elaine.*

W jego oddechu Ciri czuła śmierć.

– *Elaine blath, feainne wedd...* – zanucił. – *Mire, luned,* rozwiązała ci się wstążeczka... Pozwól mi...

Chciał podnieść rękę, ale nie zdołał. Westchnął głęboko, raptownie uniósł głowę, spojrzał jej w oczy. Przytomnie tym razem.

– Zireael – powiedział. – Loc'hlaith. Faktycznie, jesteś przeznaczeniem, Pani Jeziora. Moim też, jak się okazuje.

– *Va'esse deireadh aep eigean*... – powiedział po chwili, a Ciri z przerażeniem skonstatowała, że jego słowa i ruchy zaczynają koszmarnie powolnieć.

– Ale – dokończył z westchnieniem – dobrze, że jednak coś się również zaczyna.

Zza okna doleciał ich przeciągły grom. Burza była jeszcze daleko. Ale zbliżała się szybko.

– Mimo wszystko – powiedział – strasznie mi się nie chce umierać, Zireael. I strasznie mi przykro, że muszę. Kto by pomyślał. Sądziłem, że nie będę żałował. Żyłem długo, zaznałem wszystkiego. Znudziłem się wszystkim... A jednak teraz czuję żal. I wiesz co jeszcze? Nachyl się. Powiem ci to na ucho. Niech to będzie nasz sekret.

Pochyliła się.

– Boję się – wyszeptał.

– Wiem.

– Jesteś przy mnie?

– Jestem.

– *Va faill, luned.*

– Żegnaj, Królu Olch.

Siedziała przy nim, trzymając go za rękę, póki całkiem nie ucichł i nie zgasł jego delikatny oddech. Nie ocierała łez. Pozwalała im płynąć.

Burza zbliżała się. Widnokrąg płonął błyskawicami.

•

Szybko zbiegła po marmurowych schodach na taras z kolumienkami, przy którym kołysały się łodzie. Odwiązała jedną, skrajną, którą upatrzyła jeszcze z wieczora. Odepchnęła się od tarasu długim mahoniowym drążkiem, który zapobiegliwie wymontowała z karnisza. Wątpiła bowiem, by łódź była jej posłuszna tak samo jak Avallac'howi.

Łódź bezszelestnie sunęła nurtem. Tir ná Lia było ciche i ciemne. Tylko posągi na tarasach odprowadzały ją martwym wzrokiem. Ciri liczyła mosty.

Niebo nad lasem rozjaśniło się łuną błyskawicy. Po jakimś czasie przeciągle zamruczał grom.

Trzeci most.

Coś przemknęło po moście, cicho, zwinnie niczym wielki czarny szczur. Łódź zakołysała się, gdy wskoczył na dziób. Ciri rzuciła drąg, wydobyła miecz.

– A jednak – zasyczał Eredin Bréacc Glas – chcesz pozbawić nas swego towarzystwa?

Też dobył miecza. W krótkim świetle błyskawicy zdołała przyjrzeć się broni. Klinga była jednosieczna, lekko wygięta, szew ostrza lśniący i niezawodnie ostry, rękojeść długa, jelec w postaci okrągłej ażurowej płytki. To, że elf umie posługiwać się tym mieczem, było widać od razu.

Niespodzianie zakołysał łodzią, silnie napierając nogą na burtę. Ciri zabalansowała zręcznie, zrównoważyła łódź mocnym wychyleniem ciała, niemal natychmiast sama spróbowała tej sztuczki, skacząc na burtę obiema nogami. Zachwiał się, ale utrzymał równowagę. I rzucił się ku niej z mieczem. Sparowała cios, zastawiając się instynktownie, bo mało co widziała. Zrewanżowała się szybkim dolnym cięciem. Eredin sparował, uderzył, Ciri odbiła cios. Z kling, jak z krzesiw, leciały snopy iskier.

Jeszcze raz zakolebał łodzią, silnie, omal jej nie wywracając. Ciri zatańczyła, balansując wyciągniętymi rękami. Cofnął się ku dziobowi, opuścił miecz.

– Gdzieś ty się tego nauczyła, Jaskółko?

– Zdziwiłbyś się.

– Wątpię. Na to, że płynąc rzeką można pokonać Barierę, wpadłaś sama, czy ktoś ci to zdradził?

– Nieważne.

– Ważne. I ustalimy to. Są po temu metody. A teraz rzuć miecz i wracamy.

– Akurat.

– Wracamy, Zireael. Auberon czeka. Dziś w nocy, zaręczam, będzie dziarski i pełen wigoru.

– Akurat – powtórzyła. – Przedawkował ten środek na wigor. Ten, który mu dałeś. A może to wcale nie było na wigor?

– O czym ty mówisz?

– On umarł.

Szybko otrząsnął się z zaskoczenia, nagle rzucił się na nią, kołysząc łodzią. Balansując, wymienili kilka wściekłych cięć, woda niosła dźwięczny szczęk stali.

Błyskawica rozświetliła noc. Nad ich głowami przesunął się most. Jeden z ostatnich mostów Tir ná Lia. A może ostatni?

– Z pewnością rozumiesz, Jaskółko – powiedział chrapliwie – że tylko odwlekasz nieuniknione. Ja nie mogę pozwolić, byś stąd odeszła.

– Dlaczego? Auberon umarł. A ja przecież jestem nikim i nic nie znaczę. Sam mi to powiedziałeś.

– Bo to prawda – uniósł miecz. – Nic nie znaczysz. Ot, malutki mól, którego można roztłamsić w palcach na błyszczący pył, ale który może, gdy się mu pozwoli, wyciąć dziurkę w drogocennej tkaninie. Ot, ziarenko pieprzu, nikczemnie małe, ale gdy się je przez nieuwagę rozgryzie, zepsuje najwykwintniejszą strawę, zmusi do splunięcia, gdy chciałoby się smakować. Oto, czym jesteś. Niczym. Dokuczliwym niczym.

Błyskawica. W jej świetle Ciri zobaczyła to, co chciała zobaczyć. Elf uniósł miecz, machnął nim, wskakując na ławeczkę łodzi. Miał przewagę wysokości. Następne starcie musiał wygrać.

– Nie należało dobywać na mnie broni, Zireael. Teraz już jest za późno. Nie wybaczę ci tego. Nie zabiję cię, o nie. Ale parę tygodni w łóżku, w bandażach, z pewnością dobrze ci zrobi.

– Zaczekaj. Najpierw chcę ci coś powiedzieć. Zdradzić pewną tajemnicę.

– A cóż ty mi możesz powiedzieć? – parsknął. – Co, czego nie wiem, możesz mi zdradzić? Jakąż to prawdę możesz mi objawić?

– Taką, że nie zmieścisz się pod mostkiem.

Nie zdążył zareagować, uderzył w most potylicą, poleciał do przodu, kompletnie tracąc równowagę. Ciri mogła zwyczajnie wypchnąć go z łodzi, bała się jednak, że tego nie wystarczy, że nie zaniecha pościgu. Poza tym to on, rozmyślnie lub nie, zabił Króla Olch. A za to należał mu się ból.

Cięła go krótko w udo, tuż pod skraj kolczugi. Nie krzyknął nawet. Wyleciał za burtę, chlupnął w rzekę, woda zamknęła się nad nim.

Obróciła się, patrzyła. Długo trwało, nim wypłynął. Nim wyczołgał się na zstępujące w rzekę marmurowe schody. Leżał nieruchomo, ociekając wodą i krwią.

– Dobrze ci zrobi – mruknęła – parę tygodni w łóżku i w bandażach.

Chwyciła swoją tyczkę, odepchnęła się silnie. Rzeka Easnadh robiła się coraz bardziej wartka, łódź płynęła szybciej. Wkrótce zostały z tyłu

ostatnie budowle Tir ná Lia.

Nie oglądała się za siebie.

Najpierw zrobiło się bardzo ciemno, łódź wpłynęła bowiem w stary las, między drzewa, których konary stykały się nad nurtem rzeki, tworząc sklepienie. Potem pojaśniało, las się skończył, na obu brzegach były olszynowe łęgi, trzciny, oczerety. W czystej dotychczas rzece pojawiły się kępy zielska, wynurzone wodorosty, pnie. Gdy niebo rozbłyskiwało błyskawicą, widziała na wodzie kręgi, gdy hurkotał grom, słyszała pluski spłoszonych ryb. Coś stale chlupało i pluskało, mlaskało i ciamkało. Kilka razy niedaleko od łodzi widziała duże fosforyzujące ślepia, kilka razy łódź drgnęła, zderzywszy się z czymś wielkim i żywym. Nie wszystko jest tu piękne, dla nieobytych ten świat to śmierć, powtarzała w myśli słowa Eredina.

Nurt poszerzył się znacznie, rozlał szeroko. Pojawiły się wyspy i odnogi. Pozwalała łodzi płynąć na los szczęścia, tamtędy, gdzie niósł nurt. Ale zaczęła się bać. Co będzie, jeśli pomyli się i popłynie niewłaściwą odnogą?

Ledwo pomyślała, z brzegu, z szuwarów dobiegło ją rżenie Kelpie i silny mentalny sygnał jednorożca.

– Jesteś, Koniku!

Pospieszmy się, Gwiazdooka. Jedź za mną.

– Do mojego świata?

Wpierw muszę ci coś pokazać. Tak rozkazali mi Starsi.

Jechali, najpierw lasem, potem stepem, gęsto pociętym jarami i wąwozami. Błyskały błyskawice, gruchotały gromy. Burza była coraz bliżej, zrywał się wiatr.

Jednorożec wwiódł Ciri do jednego z wąwozów.

To tu.

– Co jest tu?

Zsiądź i zobacz.

Usłuchała. Grunt był nierówny, potknęła się. Coś chrupnęło i osunęło się pod jej stopą. Łysnęła błyskawica, a Ciri krzyknęła głucho.

Stała wśród morza kości.

Piaszczyste zbocze jaru osunęło się, prawdopodobnie podmyte ulewami. I odsłoniło to, co ukrywało. Cmentarzysko. Trupiarnię. Ogromne zwałowisko kości. Piszczeli, miednic, żeber, femurów. Czaszek.

Uniosła jedną.

Łysnęła błyskawica, a Ciri krzyknęła. Pojęła, czyje resztki tu leżą.

Czaszka, nosząca ślad ciosu brzeszczotem, miała w uzębieniu kły.

Teraz rozumiesz, rozbrzmiało w jej głowie. Teraz wiesz. To zrobili oni, Aen Elle. Król Olch. Lis. Krogulec. Ten świat wcale nie był ich światem. Stał się nim. Gdy go zdobyli. Gdy otworzyli Ard Gaeth, oszukawszy i wykorzystawszy nas wówczas tak, jak teraz próbowali oszukać i wykorzystać ciebie.

Ciri cisnęła czerep.

– Łotry! – krzyknęła w noc. – Mordercy!

Przez niebo z gruchotem przetoczył się grom. Ihuarraquax zarżał głośno, alarmująco. Zrozumiała. Skokiem znalazła się w siodle, krzykiem podnieciła Kelpie do galopu.

Na ich tropie była pogoń.

•

Już kiedyś tak było, pomyślała, łykając w galopie wiatr. Już tak kiedyś było. Taka jazda, dzika, w ciemności, wśród nocy pełnej strachów, widm i zjaw.

– Naprzód, Kelpie!

Wściekły cwał, oczy łzawią od pędu. Niebo na pół rozcina błyskawica, w rozbłysku Ciri widzi olchy po obu stronach drogi. Pokraczne drzewa wyciągają ku niej zewsząd długie gruzłowate ramiona konarów, kłapią czarnymi paszczękami dziupli, ciskają w ślad przekleństwa i groźby. Kelpie rży przenikliwie, mknie tak szybko, że kopyta zdają się tylko muskać ziemię. Ciri kładzie się na szyi klaczy. Nie tylko, by zmniejszyć opór powietrza, także po to, by uniknąć gałęzi olch, które chcą zwalić lub ściągnąć ją z siodła. Gałęzie świszczą, smagają, chłoszczą, usiłują wczepić się w ubranie i włosy. Pokraczne pnie chwieją się, dziuple kłapią i huczą...

Kelpie rży dziko. Jednorożec odpowiada rżeniem. Jest śnieżnobiałą plamą w mroku, wskazuje drogę.

Pędź, Gwiazdooka! Pędź co sił!

Olch jest coraz więcej, coraz trudniej unikać ich konarów. Niedługo zatarasują całą drogę...

Z tyłu krzyk. Głos pogoni.

Ihuarraquax rży. Ciri odbiera jego sygnał. Rozumie znaczenie. Przywiera do szyi Kelpie. Nie musi jej popędzać. Ścigana strachem klacz leci karkołomnym cwałem.

Znowu sygnał od jednorożca, wyraźniejszy, wdzierający się do mózgu. To polecenie, rozkaz wręcz.

Skacz, Gwiazdooka. Musisz skoczyć. W inne miejsce, w inny czas.

Ciri nie rozumie, ale stara się zrozumieć. Bardzo stara się zrozumieć, koncentruje się, koncentruje tak mocno, że krew szumi i tętni w uszach...

Błyskawica. A po niej nagła ciemność, ciemność miękka i czarna, czarna czernią, której nie rozjaśnia nic.

W uszach szum.

•

Na twarzy wiatr. Chłodny wiatr. Kropelki deszczu. W nozdrzach zapach sosny.

Kelpie bryka, parska, tupie. Szyję ma mokrą i gorącą.

Błyskawica. Krótko po niej grom. W świetle Ciri widzi Ihuarraquaxa potrząsającego łbem i rogiem, ostro grzebiącego ziemię kopytem.

– Koniku?

Jestem tutaj, Gwiazdooka.

Niebo jest pełne gwiazd. Pełne konstelacji. Smok. Zimowa Panna. Siedem Kóz. Dzban.

A nad samym niemal horyzontem – Oko.

– Udało się – westchnęła. – Udało się nam, Koniku. To jest mój świat!

Jego sygnał jest tak wyraźny, że Ciri rozumie wszystko.

Nie, Gwiazdooka. Uciekliśmy z tamtego. Ale to wciąż nie to miejsce, nie ten czas. Jeszcze wiele przed nami.

– Nie zostawiaj mnie samej.

Nie zostawię. Mam wobec ciebie dług. Muszę go spłacić. Do końca.

•

Wraz ze zrywającym się wiatrem niebo ciemnieje od zachodu, napływające falami chmury po kolei gaszą konstelacje. Gaśnie Smok, gaśnie Zimowa Panna, Siedem Kóz, Dzban. Gaśnie Oko, świecące najsilniej i najdłużej.

Nieboskłon wzdłuż horyzontu rozbłysnął krótkotrwałą jasnością błyskawicy. Grom przetoczył się z głuchym hurkotem. Wichura

wzmogła się raptownie, sypnęła w oczy kurzem i suchym liściem.

Jednorożec zarżał, wysłał mentalny sygnał.

Nie ma czasu do stracenia. Jedyna nasza nadzieja w szybkiej ucieczce. We właściwe miejsce, właściwy czas. Spieszmy się, Gwiazdooka.

Jestem Panią Światów. Jestem Starszą Krwią.

Jestem z krwi Lary Dorren, córki Shiadhal.

Ihuarraquax zarżał, ponaglił. Kelpie zawtórowała przeciągłym prychnięciem. Ciri naciągnęła rękawice.

– Jestem gotowa – powiedziała.

Szum w uszach. Błysk i jasność. A potem ciemność.

Proces, wyrok i egzekucję Joachima de Wetta większość historyków zwykła przypisywać gwałtownej, okrutnej i tyrańskiej naturze cesarza Emhyra, nie brak też – zwłaszcza u autorów z ciągotami do beletrystyki – aluzyjnych hipotez o zemście i porachunkach najzupełniej prywatnych. Najwyższy czas powiedzieć prawdę – prawdę, która jest dla każdego uważnego badacza bardziej niż oczywista. Diuk de Wett dowodził grupą operacyjną „Verden" w sposób, dla którego określenie „nieudolny" jest wybitnie za delikatne. Mając przeciw sobie dwakroć słabsze siły, ociągał się z ofensywą na północ, a całą aktywność obrócił na walkę z verdeńskimi gerylasami. Grupa „Verden" dopuszczała się wobec ludności niesłychanych okrucieństw. Skutek był łatwy do przewidzenia i nieunikniony: jeżeli w zimie siły insurgentów liczono na niecałe pół tysiąca ludzi, to wiosną powstał cały niemal kraj. Oddanego Cesarstwu króla Ervylla zgładzono, a na czele powstania stanął jego syn, królewicz Kistrin, sympatyzujący z Nordlingami. Mając na flance desanty piratów ze Skellige, od czoła ofensywę Nordlingów z Cidaris, a na tyłach rebelię, de Wett zaplątał się w bezładne walki, ponosząc klęskę za klęską. Tym samym opóźniał ofensywę Grupy Armii „Środek" – miast, jak ustalono, wiązać skrzydło Nordlingów, grupa „Verden" wiązała Menno Coehoorna. Nordlingowie natychmiast wykorzystali sytuację i przeszli do kontruderzenia, rozrywając pierścień wokół Mayeny i Mariboru, niwecząc szanse na szybkie powtórne zdobycie tych ważnych fortec.

Nieudolność i głupota de Wetta miały też znaczenie psychologiczne. Prysł mit o niezwyciężonym Nilfgaardzie. Do armii Nordlingów zaczęli setkami napływać ochotnicy...

Restif de Montholon, *Wojny Północne, mity, kłamstwa i półprawdy*

Rozdział szósty

Jarre, co tu dużo gadać, był bardzo rozczarowany. Wychowanie w świątyni i jego własna otwarta natura sprawiały, że wierzył w ludzi, w ich dobroć, życzliwość i bezinteresowność. Z wiary tej nie zostało wiele.

Przespał już dwie noce na dworze, w resztkach stogów, a teraz zanosiło się na to, że w podobny sposób spędzi noc trzecią. W każdej wsi, w której prosił o nocleg lub kawałek chleba, zza zawartych na głucho wierzei odpowiadało mu albo ciężkie milczenie, albo obelgi i groźby. Nic nie pomagało, gdy mówił, kim jest, dokąd i w jakim celu wędruje.

Bardzo, bardzo rozczarowali go ludzie.

Zmierzchało szybko. Chłopiec raźno i dziarsko maszerował dróżką wśród pól. Wypatrywał stogu, zrezygnowany i przybity perspektywą kolejnej nocy pod gołym niebem. Marzec był, co prawda, wyjątkowo ciepły, ale nocą robiło się naprawdę zimno. I naprawdę straszno.

Jarre spojrzał na niebo, na którym, jak co noc od niemal tygodnia, widać było złotoczerwoną pszczołę komety przemierzającej niebo z zachodu na wschód, ciągnącej za sobą migotliwy warkoczyk ognia. Zastanowił się, cóż też naprawdę może zwiastować to dziwne, wspominane w wielu proroctwach zjawisko.

Podjął marsz. Robiło się coraz ciemniej. Dróżka wiodła w dół, w szpaler gęstych krzaków przybierających w półmroku przerażające kształty. Z dołu, stamtąd, gdzie było jeszcze ciemniej, wiało zimnem, brzydkim zapachem butwiejącego zielska i czymś jeszcze. Czymś bardzo niedobrym.

Jarre zatrzymał się. Próbował wmówić sobie, że to, co pełza mu po grzbiecie i ramionach, to nie strach, lecz chłód. Bez efektu.

Brzegi obrośniętego łoziną i pokracznymi wierzbami kanału, czarnego i błyszczącego jak świeżo wylana smoła, spinał niski mostek. W miejscach, gdzie bale zgniły i zapadły się, mostek ział podłużnymi dziurami, balustrada była złamana, jej drągi zanurzone w wodzie. Za mostkiem wierzby rosły gęściej. Choć daleko było jeszcze do prawdziwej nocy, choć odległe łąki za kanałem wciąż jeszcze jaśniały wiszącym na czubkach traw przędziwem mgieł, wśród wierzb panowała ciemność. W mroku Jarre niewyraźnie widział ruiny jakiegoś budynku – zapewne młyna, śluzy albo węgorzarni.

Muszę przejść przez ten mostek, pomyślał chłopiec. Trudno, darmo! Chociaż przez skórę czuję, że tam, w tym ćmoku, czai się coś niedobrego, muszę przejść na drugą stronę tego kanału. Muszę przekroczyć ten kanał, jak uczynił to ów mityczny wódz czy bohater, o którym czytałem w zetlałych manuskryptach w świątyni Melitele.

Przekroczę kanał i wówczas... Jak to było? Karty będą rozdane? Nie, kości będą rzucone. Za mną zostanie moja przeszłość, przede mną rozpostrze się moja przyszłość...

Wkroczył na mostek i z miejsca wiedział, że przeczucie go nie myliło. Zanim jeszcze ich zobaczył. I usłyszał.

– A co? – charknął jeden z tych, którzy zastąpili mu drogę. – Nie mówiłem? Mówiłem, ino poczekać krzynę, a ktosik nadejdzie.

– Prawie, Okultich – drugi z uzbrojonych w grube pały typów seplenił lekko. – Iście za wróża albo wołchwa ci robić. No, przechodniu miły, samopas idący! Dasz, co tam masz, po dobroci, czy też nie obędzie się bez szarpaniny?

– Ja nic nie mam! – wrzasnął co sił w płucach Jarre, choć niewiele miał nadziei na to, że ktoś usłyszy i przybieży z pomocą. – Jestem ubogim wędrowcem! Nie mam grosza przy duszy! Co mam wam oddać? Ten kij? Odzienie?

– Też – powiedział ten sepleniący, a w głosie jego było coś, co sprawiło, że Jarre zadygotał. – Bo trza ci wiedzieć, ubogi wędrowcze, że tak po prawdzie to my tu, w potrzebie pilnej będący, dziewki jakiejś wyglądalim. No, ale noc już za pasem, nikt już nie przyjdzie, tedy na bezrybiu i rak ryba! Łapaj jego, zuchy!

– Ja mam nóż! – wrzasnął Jarre. – Ostrzegam!

Faktycznie, miał nóż. Gwizdnął go w świątynnej kuchni w przeddzień ucieczki i schował w tobołku. Ale nie sięgał po niego. Paraliżowała go – i przerażała – świadomość, że to bez sensu i że nic mu nie pomoże.

– Mam nóż!

– Proszę, proszę – zadrwił ten sepleniący, zbliżając się. – Ma nóż. Kto by pomyślał.

Jarre nie mógł uciekać. Przerażenie sprawiło, że jego nogi zamieniły się w dwa wbite w ziemię słupy. Adrenalina capnęła go za gardło jak pętla arkanu.

– Hola! – krzyknął nagle trzeci typek, młodym i dziwnie znajomym głosem. – Ja jego chyba znam! Tak, tak, znam go! Ostawcie, mówię, to znajomek! Jarre? Poznajesz mnie? Jestem Melfi! Hej, Jarre? Poznajesz?

– Poz... naję... – Jarre ze wszystkich sił walczył z paskudnym, przemożnym, nieznanym mu do tej pory uczuciem. Dopiero gdy poczuł ból biodra, którym grzmotnął o dyle mostu, zrozumiał, co to było za uczucie.

Uczucie tracenia przytomności.

•

– Oj, a to niespodzianka – powtarzał Melfi. – Ot, traf nad trafy! Ot, swojaka zdarzyło się napotkać! Z Ellander znajomka! Druha! Co, Jarre?

Jarre przełknął kęs twardego i ciągliwego kawała słoniny, którym poczęstowała go jego dziwna kompania, zagryzł pieczoną rzepą. Nie odpowiedział, kiwnął tylko głową w stronę całej otaczającej ognisko szóstki.

– A dokąd to tobie droga, Jarre?

– Do Wyzimy.

– Ha! Tak i nam do Wyzimy! Ot, traf nad trafy! Co, Milton? Pamiętasz Miltona, Jarre?

Jarre nie pamiętał. Nie był pewien, czy w ogóle widział go kiedykolwiek na oczy. Melfi też zresztą lekko przesadzał, zwąc się jego druhem. Był to syn bednarza z Ellander. Gdy razem uczęszczali do przyświątynnej infimy, Melfi zwykł był regularnie i dotkliwie bijać Jarre i nazywać go poczętym w pokrzywach bękartem bez ojca ni matki. Trwało to około roku, po którego upływie bednarz zabrał syna ze szkoły, potwierdziło się bowiem, że latorośl nadaje się wyłącznie do beczek. Tak to Melfi, miast w pocie czoła poznawać arkana czytania i pisania, w pocie czoła strugał klepki w warsztacie ojca. A gdy Jarre ukończył naukę i z rekomendacji świątyni został pomocnikiem pisarza w sądzie grodzkim, bednarczyk – wzorem taty – kłaniał mu się w pas, dawał prezenty i deklarował przyjaźń.

– ...do Wyzimy idziem – kontynuował opowieść Melfi. – Do armii. Wszyscy my tu, jak mąż jeden, do wojska idziem. Owi tu, uważasz, Milton i Ograbek, kmiecy synowie, z łanowej powinności wybrani, wiesz przecie...

– Wiem. – Jarre obrzucił spojrzeniem kmiecych synów, jasnowłosych, podobnych jak bracia, gryzących jakieś nierozpoznawalne opieczone w popiele pożywienie. – Jeden z dziesięciu łanów. Łanowy kontyngens. A ty, Melfi?

– Ze mną – westchnął bednarczyk – to, uważasz, jest tak: za pierwszym razem, gdy cechy miały dać rekruta, to mię ociec wybronili od ciągnięcia gałki. Ale przyszła bieda, trza było losować wtóry raz, bo tak miasto uradziło... Wiesz przecie...

– Wiem – przytaknął znowu Jarre. – Uzupełniające losowanie kontyngensu rada miasta Ellander ustanowiła wilkierzem z dnia szesnastego stycznia. Było to konieczne w obliczu nilfgaardzkiego zagrożenia...

– Posłuchaj ino, Szczupak, jak on gada – wtrącił się charkliwie krępy i ostrzyżony do skóry typ, ten zwany Okultichem, który niedawno pierwszy okrzyknął go na moście. – Paniczyk! Mądrala jakiś!

– Mądruś! – zawtórował przeciągle drugi, wielki parob z wiecznie przylepionym do krągłej gęby głupawym uśmiechem. – Mądraliński!

– Zatknij się, Klaproth – zaseplenił wolno ten nazwany Szczupakiem, najstarszy w kompanii, rosły, z obwisłym wąsem i podgolonym karkiem. – Skoro mądrala, godzi się posłuchać, gdy prawi. Spor może z tego być. Nauka. A nauka nigdy nikomu nie zaszkodziła. No, prawie nigdy. I prawie nikomu.

– Co prawda, to prawda – ogłosił Melfi. – On, Jarre znaczy, faktycznie niegłupi jest, czytaty jest i pisaty... Uczony! Onże przecie w Ellander za pisarczyka sądowego robi, a w chramie Melitele cały księgów zbiór w pieczy ma...

– Cóż tedy, ciekawość – przerwał Szczupak, wpatrzony w Jarre przez dym i iskry – taki sądowo-świątynno-zasrany księgarz na gościńcu ku Wyzimie porabia?

– Jak i wy – powiedział chłopiec – do wojska idę.

– A czego to – oczy Szczupaka błyszczały, odbijały blask jak oczy prawdziwej ryby w świetle łuczywa na dziobie czółna – czego to sądowo-świątynny uczony we wojsku szukać myśli? Bo przecie nie w rekruty idzie? Hę? Toć każdy głupi wie, że świątynie wyjęte są spod kontyngensu, nie mają musu rekruta dostarczać. A i to wie każdy głupi, że każdy jeden sąd swego pisarczyka od służby zdolen jest wybronić i wyreklamować. Jakże to więc jest, panie urzędnik?

– Idę do wojska na ochotnika – oświadczył Jarre. – Zaciągam się sam, z własnej woli, nie z kontyngensu. Częściowo z pobudek osobistych, ale głównie z poczucia patriotycznego obowiązku.

Kompania ryknęła gromkim, dudniącym, chóralnym śmiechem.

– Baczcie, zuchy – przemówił wreszcie Szczupak – jakie to sprzeczności w człeku nieraz siedzą. Natury dwie. Ot, młodzik, zdać by się mogło, kształcony i bywały, do tego niezawodnie z przyrodzenia niegłupi. Wiedzieć powinien, co na wojnie się dzieje, znać, kto kogo bije

i wnet całkiem pobije. A on, jak samiście słyszeli, bez przymusu, z własnej woli, z paterotycznego obowiązku chce się do przegrywającej partyji przyłączyć.

Nikt nie skomentował. Jarre też nie.

– Taki paterotyczny obowiązek – rzekł wreszcie Szczupak – zwykle jeno chorych na umyśle cechujący, cóż, może i nawet przystoi świątynno-sądowym wychowankom. Ale była tu mowa i o jakisi pobudkach osobistych. Groźnie ciekawym, jakież owe osobiste pobudki są?

– Są one na tyle osobiste – uciął Jarre – że nie będę o nich opowiadał. Tym bardziej, że wam, mospanie, o waszych pobudkach też jakoś mówić niespieszno.

– Otóż bacz – rzekł po chwili ciszy Szczupak – że gdyby jaki prostak tak do mnie zagadał, z punktu wziąłby w pysk. No, ale jeśli uczony pisarczyk... Takiemu daruję... na ten raz. I odpowiem: ja też do wojska idę. I też na ochotnika.

– By jak kto chory na umyśle przyłączyć się do przegrywających? – Jarre sam dziwił się, skąd nagle bierze się w nim tyle zuchwałości – Po drodze obdzierając podróżnych na mostach?

– On – zarechotał Melfi, uprzedzając Szczupaka – cięgiem boczy się na nas za zasadzkę na mostku. Odpuśćże, Jarre, toć to tylko figle były! Szutki takie niewinne! Prawda, Szczupak?

– Prawda. – Szczupak ziewnął, kłapnął zębami, aż echo poszło. – Szutki takie niewinne. Życie smutne jest i osowiałe, rychtyk niby cielę, co je do szlachtuza wiodą. Tedy jeno szutką albo figlem można je sobie rozweselić. Nie uważasz tak, pisarczyku?

– Uważam. W zasadzie.

– To dobrze. – Szczupak nie spuszczał z niego błyszczących oczu. – Bo inakszy marny by z ciebie był dla nas kompanion i lepiej by ci było do Wyzimy samopas powędrować. Choćby zaraz.

Jarre zmilczał. Szczupak przeciągnął się.

– Rzekłem, com miał rzec. No, zuchy, tedy my poszucili, pofiglowali, poweselili się, a tera do wczasu pora. Jeśli na odwieczerz mamy w Wyzimie być, to ze słonkiem, trzeba, wyruszymy.

•

Noc była bardzo zimna, Jarre mimo zmęczenia nie mógł zasnąć, zwinięty w kłębek pod opończą, z kolanami niemal dotykającymi podbródka. Gdy wreszcie usnął, spał źle, ustawicznie budziły go sny. Większości nie zapamiętał. Oprócz dwóch. W pierwszym śnie znany mu wiedźmin Geralt z Rivii siedział pod zwisającymi ze skały długimi soplami, nieruchomy, oblodzony i szybko zasypywany walącym śniegiem. W drugim śnie Ciri na karym koniu, przytulona do grzywy, cwałowała szpalerem pokracznych olch usiłujących schwytać ją krzywymi konarami.

Ach, i przed samym świtem przyśniła mu się Triss Merigold. Po ubiegłorocznym pobycie w świątyni czarodziejka śniła się chłopcu kilka razy. Sny te zmuszały Jarre do rzeczy, których potem bardzo się wstydził.

Teraz, ma się rozumieć, do żadnego wstydu nie doszło. Było zwyczajnie za zimno.

•

Rano, faktycznie ledwo słonko wzeszło, cała siódemka ruszyła w drogę. Milton i Ograbek, kmiecy synowie z łanowego kontyngensu, dodawali sobie animuszu wojacką piosenką.

Jadzie, wojak, jadzie, zbrują pobrzękuje
Uciekaj, dziewczyno, nuż cię pocałuje!
A niech pocałuje, kto jemu zabrania,
Wszak on własną piersią ojczyznę zasłania!

Szczupak, Okultich, Klaproth i przyklejony do nich bednarczyk Melfi opowiadali sobie dykteryjki i anegdoty, niesłychanie w ich mniemaniu śmieszne.

– ...a Nilfgaardczyk pyta: „Co tu tak śmierdzi?” A elf na to: „Gówno”. Haaa, haa, haaaa!

– He, he, he, heee!

– Ha, ha, ha, ha! A taki znacie? Idą Nilfgaardczyk, elf i krasnolud. Patrzą: leci mysza...

Im bardziej dzień rósł, tym więcej spotykali na gościńcu innych wędrowców, chłopskich wozów, komorniczych powodów, oddziałków maszerującego wojska. Niektóre wozy były wyładowane dobrem, za tymi banda Szczupaka szła z nosami niemal przy ziemi, niczym wyżły,

zbierając, co spadło – a to marchewkę, a to kartofel, rzepę, czasem nawet cebulę. Część łupu przemyślnie chowano na czarną godzinę, część łapczywie pożerano, nie przerywając opowiadania dowcipów.

– ...a Nilfgaardczyk: pruuuu! I zesrał się po same uszy! Ha, ha, ha, ha, ha, ha!

– Haa, haaa, haa! O bogowie, nie strzymam... Zesrał się... Haaaa, haaa, haaa!

– He, heeee, heee!

Jarre czekał na okazję i pretekst do odłączenia się. Nie podobał mu się Szczupak, nie podobał mu się Okultich. Nie podobały mu się spojrzenia, jakimi Szczupak i Okultich obrzucali mijające ich kupieckie wozy, chłopskie zaprzęgi i siedzące na furmankach kobiety i dziewki. Nie podobał mu się drwiący ton Szczupaka, gdy ów co i rusz zagadywał o celowości zaciągania się na ochotnika w chwili, gdy klęska i zagłada są pewne i oczywiste.

Zapachniało oraną ziemią. Dymem. W dolinie, wśród regularnej szachownicy pól, gajów i lśniących jak zwierciadełka rybników, widzieli dachy zabudowań. Do ich uszu dobiegało czasem dalekie szczekanie psa, ryk wołu, pianie koguta.

– Widać, że zamożne te wioseczki – wyseplenił Szczupak, oblizując wargi. – Nieduże, ale misterne.

– Tu, w dolinie – pospieszył z wyjaśnieniem Okultich – niziołki żywią i gospodarzą. U nich wszystko misterne i ładne. Gospodarny to narodek, one karzełki.

– Nieludzie przeklęte – charknął Klaproth. – Chobołdy jedne! Une tu gospodarzą, a prawdziwemu człeku bieda przez takich a nędza. Takim nawet wojna nie szkodzi.

– Na razie. – Szczupak rozciągnął usta w brzydkim uśmiechu. – Zapamiętajcie, zuchy, tę wioseczkę. Tę skrajną, wśród brzózek, u samego boru. Zapamiętajcie dobrze. Gdybym kiedy zapragnął tamój w gości, nie chciałbym błądzić.

Jarre odwrócił głowę. Udawał, że nie słyszy. Że widzi tylko gościniec przed sobą.

Maszerowali. Milton i Ograbek, kmiecy synowie z łanowego poboru, zaintonowali nową pieśń. Mniej wojacką. Trochę jakby bardziej pesymistyczną. Mogącą – zwłaszcza po wcześniejszych aluzjach Szczupaka – być wręcz uznaną za niedobry omen.

Wszytcy ludzie, posłuchajcie
Okrutność śmirci poznajcie,
Bądź ty stary abo młody
Nie ujść ci śmiertelnej szkody;
Kogo koli śmirć udusi
Każdy jeji ulec musi...

•

– Ten – ocenił ponuro Okultich – musi mieć dudki. Jeślić on nie ma dudków, to niech mnie wymiszą.

Osobnikiem, dla którego Okultich szedł na tak okropny hazard, był dogoniony wędrowny handlarz, idący obok ciągniętej przez osła dwukółki.

– Dudki dudkami – zaseplenił Szczupak – a osiełek też coś wart. Przyspieszcie kroku, zuchy.

– Melfi. – Jarre chwycił bednarczyka za rękaw. – Otwórz no oczy. Nie widzisz, co tu się szykuje?

– Toć to tylko żarty, Jarre – Melfi wyszarpnął się. – Tylko żarty...

Wózek handlarza – z bliska widać to było wyraźnie – był jednocześnie straganem, mógł być na stragan zamieniony i rozłożony w ciągu kilku chwil. Cała ciągnięta przez osła konstrukcja pokryta była jaskrawymi i malowniczo zamaszystymi napisami, w myśl których oferta handlarza obejmowała balsamy i driakwie leczące, talizmany i amulety ochronne, eliksiry, filtry i kataplazmy magiczne, środki piorące, a nadto wykrywacze metali, kruszców i trufli oraz niezawodne przynęty na ryby, kaczki i dziewki.

Handlarz, chudy i mocno przytłamszony brzemieniem wieku jegomość, obejrzał się, zobaczył ich, zaklął i popędził osła. Ale osioł, jak to osioł, ani myślał iść szybciej.

– Zacne rucho na onym – ocenił z cicha Okultich. – I na wózeczku cosik pewno najdziem...

– No, zuchy – skomenderował Szczupak. – Raz, dwa! Uporajmy się ze sprawą, póki mało świadków na gościńcu.

Jarre, sam nie mogąc nadziwić się swemu męstwu, kilkoma szybkimi krokami wysforował się przed kompanię i obrócił, stając między nimi a kupcem.

– Nie – powiedział, z trudem dobywając głosu ze ściśniętego gardła. – Nie pozwolę...

Szczupak powoli rozchylił kapotę i pokazał zatknięty za pas długi nóż, ewidentnie wyostrzony jak brzytwa.

– Nastąp no się, pisarczyku – zaseplenił złowrogo. – Jeśli szyję swą szanujesz. Myślałem, przygodzisz się w naszej kompanii, ale nie, nazbyt ciebie, widzę, twoja świątynia wyświętoszkowała, nazbyt żeś pobożnym kadzidłem prześmiardnął. Tedy nastąp się precz z drogi, bo inaczej...

– A co tu się wyrabia? Hę?

Zza flankujących gościniec pękatych i rosochatych wierzb, najpowszechniejszego elementu krajobrazu doliny Ismeny, wyłoniły się dwie dziwaczne postacie.

Obaj mężczyźni nosili nawoskowane i podkręcone ku górze wąsiska, barwne bufiaste pludry, pikowane, przybrane wstążkami kaftany i wielkie, miękkie, aksamitne berety z pękami piór. Oprócz wiszących przy szerokich pasach tasaków i puginałów obaj mężczyźni nosili na plecach dwuręczne miecze, długie chyba na sążeń, o łokciowej długości rękojeściach i dużych wygiętych jelcach.

Lancknechci, podskakując, dopinali spodnie. Żaden nie uczynił choćby ruchu w stronę rękojeści ich straszliwych mieczy, ale Szczupak i Okultich i tak momentalnie spotulnieli, a wielki Klaproth skurczył się jak mechera, z której uszło powietrze.

– My tu... My tu nic... – zaseplenił Szczupak. – Nic złego...

– Żarty jeno! – kwiknął Melfi.

– Nikomu nie stała się krzywda – odezwał się niespodzianie zgarbiony handlarz. – Nikomu!

– My – wtrącił się szybko Jarre – idziemy do Wyzimy, do wojska się zaciągnąć. Może i wam tamtędy po drodze, panowie wojacy?

– A i owszem. – Lancknecht parsknął, od razu orientując się, o co idzie. – I nam do Wyzimy. Komu wola, może iść z nami. Bezpieczniej będzie.

– Bezpieczniej, jako żywo – dodał znacząco drugi, mierząc Szczupaka długim spojrzeniem. – Godzi się wszakoż dodać, że widzieliśmy tu niedawno w okolicy wyzimskiego bajlifa konny patrol. Wielce są oni do wieszania skorzy, marny los grasanta, którego na licu pochwycą.

– I wielmi dobrze. – Szczupak odzyskał kontenans, wyszczerzył się szczerbato. – Wielmi dobrze, waćpanowie, że jest na łotrzyków prawo i

kara, słuszny to porządek. Ruszajmy tedy w drogę, do Wyzimy, do armii, bo paterotyczny obowiązek wzywa.

Lancknecht patrzył na niego długo i dość pogardliwie, potem wzruszył ramionami, poprawił mieczysko na plecach i pomaszerował drogą. Jego towarzysz, Jarre tudzież handlarz ze swym osłem i wozem ruszyli za nim, a z tyłu, w małym oddaleniu, poczłapała Szczupacza hałastra.

– Dzięki wam – rzekł po jakimś czasie handlarz, popędzając osła witką – panowie żołnierze. A i tobie dzięki, młody paniczu.

– Nic to – machnął ręką lancknecht. – Przywyklim.

– Różni do wojska ciągną. – Jego towarzysz obejrzał się przez ramię. – Przyjdzie na wieś lub miasteczko przymus wybrańca z co dziesiątego łanu dać, to czasem korzystają, by tą modłą najsamprzód co najgorszej swołoczy się pozbyć. I pełne później trakty takich, o, jak ci tam, zawalidrogów. No, ale już tam w armii wyćwiczy ich w posłuchu gefrejterski kij, nauczą się gałgany moresu, gdy raz a drugi pójdą na praszczęta, w uliczkę z rózeg...

– Ja – pospieszył z wyjaśnieniem Jarre – idę zaciągnąć się na ochotnika, nie z przymusu.

– Chwali się, chwali. – Lancknecht spojrzał na niego, podkręcił nawoskowany koniuszek wąsa. – A to i widzę, żeś ty z deczko innej niż tamci ulepiony gliny. Czemuż to z nimi pospołu?

– Los nas zetknął.

– Widziałem już – głos żołnierza był poważny – takie losowe zetknięcia i zbratania, co zbratanych pod jedną wspólną przywiodły szubienicę. Wyciągnij z tego naukę, chłopcze.

– Wyciągnę.

•

Nim przyćmione chmurami słońce stanęło w zenicie, dotarli do traktu. Tu czekała ich wymuszona przerwa w podróży. Podobnie jak spora grupa wędrowców, którzy dotarli tu przed nimi, Jarre i jego kompania musieli się zatrzymać – trakt bowiem szczelnie wypełniony był maszerującym wojskiem.

– Na południe – znacząco skomentował kierunek marszu jeden z lancknechtów. – Na front. Ku Mariborowi i Mayenie.

– Znaki bacz – wskazał głową drugi.

– Redańczycy – powiedział Jarre. – Srebrne orły na karmazynie.

– Dobrześ zgadł – lancknecht poklepał go po ramieniu. – Iście łebski z ciebie młodzik. To jest redańskie wojsko, które królowa Hedwig w pomoc nam przysłała. My teraz jednością mocni, Temeria, Redania, Aedirn, Kaedwen, teraz my wszyscy alianci, jednej sprawy adherenci.

– Rychło w czas – odezwał się zza ich pleców Szczupak z wyraźnym przekąsem. Lancknecht obejrzał się, ale nic nie powiedział.

– Owóż siędźmy – zaproponował Melfi – i wytchnąć dajmy kulasom. Tego wojska końca nie widać, wiele czasu minie, nim się droga oswobodzi.

– Siędźmy – rzekł handlarz – tamój, na górce, stamtąd prospektum lepsze.

Redańska konnica przejechała, za nią, wzbijając pył, maszerowali kusznicy i pawężnicy. Za nimi widać już było kolumnę jadącej stępa pancernej jazdy.

– A tamci – wskazał pancernych Melfi – pod inszym idą znakiem. Czarną mają sztandartę, biało czymsiś upstrzoną.

– Ot, prowincja ciemna – lancknecht spojrzał na niego z pogardą. – Godła własnego króla nie poznają. To są srebrne lilie, tępa głowo...

– Pole czarne srebrnymi liliami usiane – powiedział Jarre i naraz zapragnął udowodnić, że kto jak kto, ale on nie jest ciemną prowincją.

– W dawnym herbie królestwa Temerii – zaczął – widniał lew kroczący. Ale temerscy koronni książęta odmienionego herbu używali, a to mianowicie tym sposobem, że do tarczy dodawali dodatkowe pole, w którym były trzy lilie. Albowiem w symbolice heraldycznej jest kwiat lilii znakiem następcy tronu, królewskiego syna, dziedzica tronu i berła...

– Mądruś zasrany – szczeknął Klaproth.

– Niechaj go i zawrzyj gębę, koński łbie – rzekł groźnie lancknecht. – A ty, chłopcze, praw dalej. Ciekawe to.

– A gdy królewicz Goidemar, syn starego króla Gardika, szedł do boju przeciw insurgentom diablicy Falki, wojsko temerskie właśnie pod jego znakiem, pod godłem lilii walczyło i walne odnosiło przewagi. I gdy Goidemar tron po ojcu odziedziczył, na pamiątkę owych przewag i dla cudownego ocalenia żony i dziatek z rąk wrażych herbem królestwa ustanowił trzy lilie srebrne w polu czarnym. A później król Cedric specjalnym dekretem herb państwowy tym sposobem odmienił, że jest czarna tarcza srebrnymi liliami usiana. I taki jest Temerii herb po dziś

dzień. Co łacno możecie wszyscy naocznie stwierdzić, albowiem traktem właśnie temerscy kopijnicy jadą.

– Bardzoś zgrabnie – rzekł handlarz – nam to wykoncypował, paniczu.

– Nie ja – westchnął Jarre – lecz Jan z Attre, uczony heraldyk.

– I tyś nie gorzej, widno, wyuczony.

– W sam raz – dorzucił półgłosem Szczupak – na rekruta. By dać się utłuc pod tych srebrnych leliji znakiem, za króla i Temerię.

Usłyszeli śpiew. Groźny, wojacki, huczący jak sztormowa fala, jak pomruk zbliżającej się burzy. Śladem za Temerczykami szło równym i zwartym szykiem inne wojsko. Szara, niemal bezbarwna kawaleria, nad którą nie powiewały chorągwie ani proporce. Przed jadącymi na czele kolumny dowódcami niesiono ozdobioną końskimi ogonami tykę z poziomą poprzeczką, do której przybite były trzy ludzkie czaszki.

– Wolna Kompania – wskazał szarych jeźdźców lancknecht. – Kondotierzy. Najemne wojsko.

– Zrazu widać – westchnął Melfi – że bitni. Chłop w chłopa! A równo idą, by na paradzie...

– Wolna Kompania – powtórzył lancknecht. – Przypatrzcie się, kmiotki i gołowąsy, prawdziwemu żołnierzowi. Owi już w boju byli, oni to, kondotierzy właśnie, banderie Adama Pangratta, Molli, Frontina i Abatemarco, one szalę przeważyły pod Mayeną, dzięki nim pękł nilfgaardzki pierścień, im to zawdzięczać, że twierdza oswobodzona.

– Wierę – dodał drugi – waleczny i mężny to naród, owi kondotierzy, w bitwie nieustępliwy jak ta skała. Choć za pieniądze Wolna Kompania służy, jak z ich piosenki łacno wymiarkujesz.

Oddział zbliżał się stępa, śpiew grzmiał mocną i gromką, lecz dziwnie ponurą, złą nutą.

Żadne nas berło ni tron nie pozyszczy
Nigdy z królami nie będziem w aliansach
My u dukata, co jak słońce błyszczy
Na ordynansach!

Niczym są dla nas waszych przysiąg roty
Sztandarów waszych ni rąk nie całujem
My dukatowi, co jak słońce złoty
Wierność ślubujem!

– Ech, u takich służyć – westchnął znowu Melfi. – Z takimi pospołu wojować... Zaznałby człek sławy a łupu...

– Wzrok mnie myli abo jak? – Okultich zmarszczył twarz. – Na czele drugiego hufu... Baba? To oni pod babską wojują komendą, owe najemniki?

– Baba to – potwierdził lancknecht. – Ale nie byle jaka baba. To Julia Abatemarco, co na nią wołają Słodka Trzpiotka. Wojowniczka, że ho, ho! Pod jej to komendą roznieśli kondotierzy zagon Czarnych i elfów pod Mayeną, choć jeno w dwakroć po pięć setek na trzy tysiące uderzyli.

– Owociem słyszał – odezwał się Szczupak dziwnym, obleśnie służalczym, a zarazem złośliwym tonem – że nie na wiele się ta wiktoria zdała, w błoto poszły wydane na najmitów dukaty. Pozbierał się Nilfgaard i znowu zadał naszym bobu, a tęgiego. I Mayenę znów opasał. A może już i dobył twierdzy? A może już tu zmierza? Może lada dzień tutaj będzie? Może już ci przekupni kondotierzy dawno nilfgaardzkim złotem przekupieni? A może...

– A może – przerwał rozsierdzony żołnierz – w mordę chcesz dostać, chamie? Bacz, za szczekanie przeciw naszemu wojsku strykiem karzą! Zawrzyj tedy gębę, pókim dobry!

– Ooo! – Osiłek Klaproth, rozwarłszy szeroko usta, rozładował sytuację. – Ooo, patrzajta! Jakie śmiszne korduple idą!

Drogą, pod głuchy łomot litawrów, zajadłe trąbienie kobz i dziki świst piszczałek, maszerował szyk piechoty uzbrojonej w halabardy, gizarmy, berdysze, cepy i kolczaste wekiery. Odziani w futrzane burki, kolczugi i szpiczaste szyszaki żołnierze byli rzeczywiście niezwykle niscy.

– Krasnoludy z gór – wyjaśnił lancknecht. – Któryś z regimentów Mahakamskiego Ochotniczego Hufu.

– A jażem myślał – rzekł Okultich – że krasnoludy nie z nami, a przeciw nam. Że zdradziły nas one paskudne karły i że z Czarnymi w zmowie...

– Tyś myślał – lancknecht spojrzał na niego z politowaniem. – A czym, ciekawość? Ty, kapcanie, gdybyś w zupie połknął karalucha, to w kiszkach więcej byś miał rozumu aniżeli w głowie. Ci, którzy tam maszerują, to któryś z regimentów krasnoludzkiej piechoty, którą przysłał nam w sukurs Brouver Hoog, starosta z Mahakamu. Oni też w większości już w boju byli, straty mieli duże, tedy ich pod Wyzimę cofnęli na przeformowanie.

– Bitny to naród, krasnoludy – potwierdził Melfi. – Mnie, jak w Ellander w oberży kiedyś jeden w ucho na Saovine dał, to mi w tym uchu dzwoniło do Yule.

– Krasnoludzki regiment jest w kolumnie ostatni – lancknecht osłonił oczy dłonią. – Koniec przemarszu, gościniec zaraz wolny będzie. Zbierajmy się i w drogę, bo już skoro południe.

•

– Tyle wojennego luda na południe maszeruje – powiedział sprzedawca amuletów i driakwi – że niechybnie wielka będzie wojna. Wielkie spadną na ludzi nieszczęścia! Wielkie klęski na armie! Ginął będzie lud tysiącami od miecza i pożogi. Owóż uważcie, panowie, że ów kometa, którego na niebie co noc widać, czerwony ogon ognisty za sobą wlecze. Jeślić u komety ogon siny albo blady, zwiastuje on zimne choroby, febry, pleury, flegmy i katary, a takoż nieszczęścia wodne, jak powodzie, ulewy albo długie słoty. Czerwona zasię barwa wskazuje, że jest to kometa gorączki, krwi i ognia, a takoż żelaza, które z ognia się rodzi. Straszne, straszne klęski spadną na lud! Wielkie pogromy będą i rzezie. Jak to stoi w tym proroctwie: będą trupy leżeć wysoko na łokci dwanaście, na opustoszałej ziemi wyć będą wilcy, a człek ślad stopy drugiego człeka będzie całował... Biada nam!

– Dlaczego nam? – przerwał chłodno lancknecht. – Kometa wysoko leci, z Nilfgaardu też go widać, nie mówiąc o dolinie Iny, skąd, mówią, Menno Coehoorn nadciąga. Czarni też w niebo patrzą i kometę widzą. Czemu tedy nie przyjąć, że on nie nam, ale im klęskę wróży? Że to ich trupy będą w stertę ułożone?

– Tak jest! – warknął drugi lancknecht. – To im biada, Czarnym!

– Zgrabnieście to, panowie, wykoncypowali.

– No pewnie.

•

Minęli otaczające Wyzimę lasy, weszli na łąki i pastwiska. Pasły się tu całe tabuny koni, różnych – kawaleryjskich, zaprzęgowych, pociągowych ciężkich perszeronów. Trawy, jak to w marcu, było na łąkach tyle, co kot napłakał, ale stały tam pełne siana wozy i brogi.

– Widzita? – oblizał wargi Okultich. – Ech, koniki! I nikt nie pilnuje! Tylko brać, wybierać...

– Zawrzyj gębę – syknął Szczupak i służalczo wyszczerzył do lancknechtów szczerbate uzębienie. – On, panowie, w jeździe zamarzył służyć, po temu tak na te rumaki łaso patrzy.

– W jeździe! – parsknął lancknecht. – Ot, co to się chamowi roi! Koniuchem prędzej mu być, gnój spod koni widłami wybierać, taczką wywozić!

– Prawie, panie, mówicie.

Poszli dalej, wnet dotarli na groblę wiodącą wzdłuż stawów i rowów. I nagle nad wierzchołkami olch zobaczyli czerwone dachówki wież górującego nad jeziorem wyzimskiego zamku.

– No, to my prawie na miejscu – rzekł handlarz. – Czujecie?

– U-uu! – wykrzywił się Melfi. – Ależ smród! Co to?

– Pewnie żołnierze, co z głodu zdechli na królewskiej lafie – zamruczał za ich plecami Szczupak, ale tak, by lancknechci nie dosłyszeli.

– Mało nosa nie urwie, he? – zaśmiał się jeden. – Ano, stał tu tysiącami całemi wojenny lud na hibernie, a wojenny lud jeść musi, a jak zje, to fajda. Takim już to kształtem natura sprawiła i nic na to nie poradzisz! A co się nafajdało, to tu, o, do tych rowów wywożą, wywalają, nawet nie przysypując. Zimą, póki mróz gówno mroził, szło jakoś strzymać, ale od wiosny... Tfu!

– A coraz to nowi nadchodzą i na starą kupę ładują – drugi lancknecht też splunął. – A ów wielgi bzyg słyszycie? To muchy. Chmary ich tu są, wczesną wiosną nie widziana rzecz! Owińcie sobie gęby, czym który może, bo do oczu i ust nawłażą, psiejuchy. I żwawo, im prędzej tędy przejdziem, tym lepiej.

•

Minęli rowy, ale nie udało im się zgubić smrodu. Przeciwnie, Jarre dałby głowę, że im bliżej miasta, tym zaduch był gorszy. Tyle że bardziej urozmaicony, bogatszy skalą i odcieniami. Śmierdziały otaczające gród wojskowe obozy i namioty. Śmierdział ogromny lazaret. Śmierdziało tłoczne i ruchliwe podgrodzie, śmierdział wał, śmierdziała brama, śmierdziało podwale, śmierdziały placyki i uliczki, śmierdziały mury wznoszącego się nad miastem zamczyszcza. Szczęściem nozdrza przyzwyczajały się szybko i wkrótce zajedno im było, czy to gnój, czy to padlina, czy to koci mocz, czy to kolejna jadłodajnia.

Muchy były wszędzie. Bzyczały natrętnie, pchały się do oczu, do uszu, do nosa. Nie dawały się odpędzić. Łatwiej było je rozgnieść na twarzy. Lub rozgryźć.

Gdy tylko wyszli z cienia podbramia, w oczy uderzył ich ogromny malunek na ścianie przedstawiający rycerza z wycelowanym w nich palcem. Napis pod malunkiem pytał wielkimi literami: A TY? CZY JUŻ SIĘ? ZACIĄGNĄŁEŚ?

– Już, już – mruknął lancknecht. – Niestety.

Podobnych malunków było dużo, można było rzec – co ściana, to malunek. Przeważał ów rycerz z palcem, częsta była też patetyczna Matka Ojczyzna z rozwianym siwym włosem, mająca w tle płonące wsie i niemowlęta na nilfgaardzkich pikach. Zdarzały się też wizerunki elfów z ociekającymi krwią nożami w zębach.

Jarre nagle obejrzał się i stwierdził, że są sami, on, lancknechci i handlarz. Po Szczupaku, Okultichu, wybranieckich kmiotkach i Melfim nie było śladu.

– Tak, tak – potwierdził jego przypuszczenie lancknecht, przypatrując mu się badawczo. – Zmyli się twoi druhowie przy pierwszej sposobności, za pierwszym węgłem zamietli za sobą chwostami. I wiesz, co ci rzeknę, chłopcze? Dobrze to, że się wasze drogi rozeszły. Nie dąż k'temu, by się znów zeszły.

– Szkoda Melfiego – mruknął Jarre. – To w sumie dobry chłopak.

– Każdy swój los sam wybiera. A ty chodź z nami. Pokażemy, gdzie werbunek.

Wyszli na placyk, pośrodku którego na kamiennym podwyższeniu stał pręgierz. Dookoła pręgierza kupili się żądni uciechy mieszczanie i żołnierze. Zakuty skazaniec, dopiero co trafiony pecyną błota w twarz, pluł i płakał. Tłum ryczał ze śmiechu.

– Ejże! – krzyknął lancknecht. – Patrzajta, kogo to w dyby wzięli! Toż to Fuson! Ciekawość, za co jego tak?

– Za rolnictwo – pospieszył z wyjaśnieniem gruby mieszczanin w wilczym futrze i filcowej czapce.

– Za co?

– Za rolnictwo – powtórzył z naciskiem grubas. – Za to, że siał!

– Ha, tera toście walnęli, z przeproszeniem, kieby wół na klepisko – zaśmiał się lancknecht. – Ja Fusona znam, on szewcem jest, szewca

synem, szewca wnukiem. W życiu on ani orał, ani siał, ani zbierał. Walnęliście, powiadam, z tym sianiem, aże duch poszedł.

– Bajlifa własne słowa! – zaperzył się mieszczanin. – Będzie on pod prangerem stał do zorzy za to, że siał! Siał zaś, złoczyńca, za nilfgaardzkim poduszczeniem i za nilfgaardzkie srebrniki... Dziwne, prawda, zboże jakieś siał, zamorskie bodaj... Niech wspomnę... Aha! Defetyzm!

– Tak, tak! – zawołał sprzedawca amuletów. – Słyszałem, mówiło się o tym! Nilfgaardzcy szpiegarze i elfy mór szerzą, studnie, źródła i ruczaje różnymi jady zatruwają, a to akurat: bieluniem, szalejem, leprą i defetyzmem.

– Ano – kiwnął głową mieszczanin w wilczurze. – Wczora dwóch elfów powiesili. Pewnikiem za to trucie właśnie.

•

– Za rogiem tej uliczki – pokazał lancknecht – jest oberża, w której urzęduje komisyja werbunkowa. Wielka płachta tam jest rozpięta, na niej temerskie lilie, znane ci przecie, chłopcze, trafisz więc bez kłopotu. Bywaj w zdrowiu. Dajcie nam bogowie spotkać się w lepszych czasach. Bywajcie i wy, panie przekupień.

Handlarz zachrząkał głośno.

– Cni panowie – powiedział, kopiąc w kuferkach i puzdrach – pozwólcie, bym za waszą pomoc... W dowód wdzięczności...

– Nie trudźcie się, dobry człeku – rzekł z uśmiechem lancknecht. – Pomogło się i już, nie ma o czym gadać...

– Może cudowna maść przeciw postrzałom? – handlarz wyszperał coś na dnie puzdra. – Może uniwersalny a niezawodny lek na bronchit, podagrę, paraliż, łupież tudzież zołzy? Może balsam żywiczny na użądlenia pszczół, żmij i wampirów? Może talizman do ochrony przed skutkami spojrzenia złego oka?

– A macie może – zagadnął poważnie drugi lancknecht – coś do ochrony przed skutkami złego żarcia?

– Mam! – krzyknął rozpromieniony handlarz. – Oto wielce skuteczna dryjakiew z magicznych korzeni uczyniona, pachnącymi zioły doprawiona. Wystarczą trzy krople po posiłku. Proszę, bierzcie, cni panowie.

– Dzięki. Bywajcie tedy, panie. Bywaj i ty, chłopcze. Powodzenia!

– Uczciwi, polityczni i grzeczni – ocenił handlarz, gdy żołnierze zniknęli w tłumie. – Nie co dnia takich napotkasz. No, aleś i ty udał mi się, paniczu. Cóż tedy tobie dam? Amulet piorunochron? Bezoar? Żółwi kamyk przeciw wiedźmowym urokom skuteczny? Ha, mam i trupi ząb do okadzania, mam i kąsek ususzonego diablego łajna, dobrze jest takie w prawym bucie nosić...

Jarre oderwał wzrok od ludzi zawzięcie zmywających ze ściany domu napis: PRECZ Z ZASRANĄ WOJNĄ.

– Ostawcie – powiedział. – Czas na mnie...

– Ha – wykrzyknął handlarz, wyciągając z puzdra mosiężny medalionik w kształcie serduszka. – To winno ci się przygodzić, młodzieńcze, bo rzecz to w sam raz dla młodych. Jest to wielki rarytas, jeden tylko taki mam. To czarodziejski amulet. Sprawia, że o noszącym jego miła nie zapomni, choćby czas ich rozdzielił i mnogie mile. Otóż spójrz, tu się otwiera, wewnątrz karteluszek z papirusu cienkiego. Na onym karteluszku inkaustem magicznym, czerwonym, który mam, wystarczy imię ukochanej zapisać, a owa nie zapomni, serca nie odmieni, nie zdradzi i nie porzuci. No?

– Hmmm... – Jarre zaczerwienił się lekko. – Czy ja wiem...

– Jakie imię – kupiec zanurzył patyczek w magicznym inkauście – mam zapisać?

– Ciri. To znaczy, Cirilla.

– Gotowe. Bierz.

– Jarre! A ty co tu robisz, do kroćset diabłów?

Jarre odwrócił się gwałtownie. Miałem nadzieję, pomyślał machinalnie, że zostawiam za sobą całą moją przeszłość, że wszystko będzie teraz nowe. A bez przerwy niemal wpadam na starych znajomych.

– Pan Dennis Cranmer...

Krasnolud w ciężkiej szubie, kirysie, żelaznych karwaszach i lisim szłyku z kitą obrzucił bystrym spojrzeniem chłopca, handlarza, potem znowu chłopca.

– Co ty – spytał surowo, strosząc brwi, brodę i wąsy – tutaj robisz, Jarre?

Chłopiec przez moment zastanawiał się, czy nie skłamać, a dla uwiarygodnienia nie wplątać w kłamliwą wersję życzliwego kupca. Ale prawie natychmiast porzucił pomysł. Dennis Cranmer, służący niegdyś

w gwardii księcia Ellander, cieszył się opinią krasnoluda, którego trudno oszukać. I nie warto próbować.

– Chcę zaciągnąć się do wojska.

Wiedział, jakie będzie następne pytanie.

– Nenneke zezwoliła na to?

Nie musiał odpowiadać.

– Zwiałeś – pokiwał brodą Dennis Cranmer. – Zwyczajnie zwiałeś ze świątyni. A Nenneke i kapłanki rwą tam sobie włosy z głowy...

– Zostawiłem list – bąknął Jarre. – Panie Cranmer, ja nie mogłem... Ja musiałem... Nie godziło się siedzieć bezczynnie, gdy nieprzyjaciel w granicach... W groźnej dla ojczyzny chwili... A do tego ona... Ciri... Matka Nenneke za nic nie chciała się zgodzić, chociaż trzy czwarte dziewcząt ze świątyni posłała do armii, mnie nie pozwalała... A ja nie mogłem...

– Więc zwiałeś – srogo zmarszczył brwi krasnolud. – Do krocset sakramenckich demonów, powinienem związać cię w kij i odesłać do Ellander kurierską pocztą! Kazać cię zamknąć w jamie pod zamkiem do czasu, gdy kapłanki zjawią się po odbiór! Powinienem...

Sapnął gniewnie.

– Kiedy ostatnio jadłeś, Jarre? Kiedy ostatnio miałeś w gębie ciepłą strawę?

– Prawdziwie ciepłą? Trzy... Nie, cztery dni temu.

– Chodź.

•

– Jedz wolniej, synku – upomniał Zoltan Chivay, jeden z kamratów Dennisa Cranmera. – To niezdrowo żreć na chybcika, nie żując jak należy. Dokąd ci tak spieszno? Wierz mi, nikt ci tej strawy nie odbierze.

Jarre nie był tego taki pewien. W głównej sali zajazdu „Pod Misiem Kudłaczem” odbywał się właśnie pojedynek na kułaki. Dwóch przysadzistych i szerokich jak piece krasnoludów prało się pięściami, aż dudniło, wśród ryku kamratów z Ochotniczego Hufu i aplauzu miejscowych prostytutek. Trzeszczała podłoga, padały meble i naczynia, a krople rozsiewanej z rozbitych nosów krwi sypały się dookoła jak deszcz. Jarre tylko czekał, kiedy któryś z wojowników runie na ich oficerski stół, zwalając drewniany talerz ze świńskimi golonkami, michę parzonego grochu i gliniane kufle. Przełknął szybko odgryziony kawał tłustości, wychodząc z założenia, że to, co połknięte, to jego.

– Nie bardzo pojąłem, Dennis. – Drugi krasnolud, nazywany Sheldonem Skaggsem, nawet nie odwrócił głowy, choć jeden z walczących omal go nie zawadził, zadając sierpowy. – Skoro ten chłopak to kapłan, to jaką modą jemu się zaciągać? Kapłanom krwi przelewać nie lza.

– On jest wychowankiem świątyni, nie kapłanem.

– Nigdy, psiakrew, nie mogłem zrozumieć tych pokrętnych ludzkich zabobonów. No, ale z cudzych wierzeń nie godzi się drwić... Wynika jednak, że ten tu młodzian, choć w świątyni wychowany, nie ma nic przeciwko rozlewowi krwi. Zwłaszcza nilfgaardzkiej. Co, młodzieńcze?

– Dajże mu w spokoju zjeść, Skaggs.

– Ja z chęcią odpowiem... – Jarre przełknął kęs golonki i wpakował do ust przygarść grochu. – Otóż jest to tak: przelewać krew wolno na wojnie sprawiedliwej. W obronie wyższych racji. Dlatego się zaciągnąłem... Matka ojczyzna wzywa...

– Widzicie sami – Sheldon Skaggs powiódł wzrokiem po towarzyszach – jak wiele jest prawdy w twierdzeniu, że ludzie to rasa bliska nam i pokrewna, że wywodzimy się z jednego korzenia, i my, i oni. Najlepszy dowód, o, siedzi przed nami i ciamka groch. Innymi słowy: multum takich samych głupich zapaleńców spotkacie wśród młodych krasnoludów.

– Zwłaszcza po mayeńskiej potrzebie – zauważył chłodno Zoltan Chivay. – Po wygranej batalii zawsze wzrasta zaciąg ochotniczy. Pęd ustanie, gdy rozejdzie się wieść o idącym w górę Iny wojsku Menno Coehoorna, ziemię i wodę zostawiającym.

– Żeby tylko nie zaczął się wtedy pęd w drugą stronę – mruknął Cranmer. – Nie mam ja jakoś zaufania do ochotników. Ciekawe, że co drugi dezerter to właśnie ochotnik.

– Jak możecie... – Jarre o mało się nie udławił. – Jak możecie sugerować coś podobnego, panie... Ja z pobudek ideowych... Na wojnę sprawiedliwą i słuszną... Matka ojczyzna...

Pod ciosem, który, jak zdawało się chłopcu, wstrząsnął posadami budynku, jeden z walczących krasnoludów runął, kurz ze szpar podłogi wzbił się na pół sążnia w górę. Tym razem jednak obalony, miast zerwać się i grzmotnąć adwersarza, leżał, niezdarnie i niezbornie poruszając kończynami, budząc skojarzenia z wielkim, przewróconym na grzbiet chrabąszczem.

Dennis Cranmer wstał.

– Sprawa rozstrzygnięta! – ogłosił gromko, rozglądając się po karczmie. – Stanowisko dowódcy roty wakujące po bohaterskiej śmierci Elkany Fostera, poległego na polu chwały pod Mayeną, obejmuje... Jak ci, synu? Bom zapomniał?

– Blasco Grant! – zwycięzca w kułacznym boju wypluł na podłogę ząb.

– ...obejmuje Blasco Grant. Czy są jeszcze jakieś kwestie sporne dotyczące awansów? Nie ma? To i dobrze. Gospodarzu! Piwa!

– O czym to myśmy?

– O wojnie sprawiedliwej – zaczął wyliczać Zoltan Chivay, odginając palce. – O ochotnikach. O dezerterach...

– Właśnie – przerwał Dennis. – Wiedziałem, że chciałem do czegoś nawiązać, a rzecz tyczyła dezerterujących i zdradzających ochotników. Przypomnijcie sobie były cintryjski korpus Vissegerda. Skurwysyny, okazuje się, nie zmieniły nawet sztandaru. Wiem to od kondotierów z Wolnej Kompanii, z banderii Julii „Słodkiej Trzpiotki". Pod Mayeną banderia Julii ścięła się z Cintryjczykami. Szli w awangardzie nilfgaardzkiego zagonu, pod tą samą chorągwią z lwami...

– Wezwała ich matka ojczyzna – wtrącił ponuro Skaggs. – I cesarzowa Ciri.

– Ciszej – syknął Dennis.

– Prawda – odezwał się milczący do tej pory czwarty krasnolud, Yarpen Zigrin. – Ciszej, i to ciszej od cichości samej! I nie ze strachu przed szpiclami, a dlatego, że nie gada się o rzeczach, o których nie ma się bladego pojęcia.

– Ty zaś, Zigrin – wypiął brodę Skaggs – owo pojęcie masz, tak?

– Mam. I rzeknę jedno: nikt, czy to Emhyr var Emreis, czy to czarownicy rebelianci z Thanedd, czy nawet sam diabeł, nie zdołaliby do niczego zmusić tej dziewczyny. Nie zdołaliby jej złamać. Ja to wiem. Bo ja ją znam. To mistyfikacja to całe małżeństwo z Emhyrem. Mistyfikacja, na którą dali się złapać różni durnie... Inne, powiadam wam, jest tej dziewki przeznaczenie. Całkiem inne.

– Gadasz – mruknął Skaggs – jakbyś ją naprawdę znał, Zigrin.

– Zostaw – warknął niespodziewanie Zoltan Chivay. – Z tym przeznaczeniem to on ma rację. Ja w to wierzę. Mam po temu powody.

– At – machnął ręką Sheldon Skaggs. – Co tu gadać darmo. Cirilla, Emhyr, przeznaczenie... Odległe to kwestie. Bliższa zasię kwestia,

panowie, to Menno Coehoorn i Grupa Armii „Środek”.

– Ano – westchnął Zoltan Chivay. – Coś mi się widzi, że nie minie nas wielka batalia. Może największa, jaką zna historia.

– Wiele – mruknął Dennis Cranmer. – Zaiste, wiele się rozstrzygnie...

– A jeszcze więcej skończy.

– Wszystko... – Jarre beknął, obyczajnie przysłaniając usta dłonią. – Wszystko się skończy.

Krasnoludy przypatrywały mu się przez chwilę, zachowując milczenie.

– Nie całkiem – odezwał się wreszcie Zoltan Chivay – pojąłem cię, młodzieńcze. Nie zechciałbyś wyjaśnić, co miałeś na myśli?

– W radzie książęcej... – zająknął się Jarre. – W Ellander znaczy, mówiono, że zwycięstwo w tej wielkiej wojnie dlatego jest tak ważne, bo... Bo jest to wielka wojna, która położy kres wszystkim wojnom.

Sheldon Skaggs parsknął i opluł sobie brodę piwem. Zoltan Chivay zaryczał w głos.

– Wy tak nie sądzicie, panowie?

Teraz na Dennisa Cranmera wypadła kolej parsknąć. Yarpen Zigrin zachował powagę, patrzył na chłopca bacznie i jakby z troską.

– Synu – powiedział wreszcie bardzo serio. – Spójrz. Tam przy szynkwasie siedzi Evangelina Parr. Jest ona, trzeba przyznać, pokaźna. Ba, nawet wielka. Ale mimo jej rozmiarów ponad wszelką wątpliwość nie jest to kurwa zdolna położyć kres wszystkim kurwom.

•

Skręciwszy w ciasny i bezludny zaułek, Dennis Cranmer zatrzymał się.

– Trza mi cię pochwalić, Jarre – powiedział. – Wiesz, za co?

– Nie.

– Nie udawaj. Przede mną nie musisz. Warte pochwały jest, żeś ni okiem nie mrugnął, gdy o tej Cirilli gadano. Jeszcze bardziej chwalebne, żeś wówczas gęby nie otwarł... No, no, nie rób głupiej miny. Ja wiedziałem wiele o tym, co się działo u Nenneke za świątynnym murem, możesz mi wierzyć, że wiele. A gdyby tego ci było mało, to wiedz, żem słyszał, jakie imię ci handlarz na medalionie wypisał.

– Trzymaj tak dalej. – Krasnolud taktownie udał, że nie zauważa pąsów, którymi oblał się chłopiec. – Trzymaj tak dalej, Jarre. I nie tylko w sprawie Ciri... Na co ty się gapisz?

Na ścianie widocznego w wylocie uliczki spichlerza widniał koślawy, wymalowany wapnem napis głoszący: RÓB MIŁOŚĆ NIE WOJNĘ. Tuż pod spodem ktoś – znacznie mniejszymi literami – nabazgrał: RÓB KUPĘ CO RANO.

– Ty w inną stronę patrz, durny – szczeknął Dennis Cranmer. – Za samo patrzenie na takie napisy możesz podpaść, a powiesz co nie w porę, oćwiczą u słupa, krwawo skórę z grzbietu złuszczą. Tu chybkie sądy! Wielce chybkie!

– Widziałem – mruknął Jarre – szewca w dybach. Jakoby za sianie defetyzmu.

– Jego sianie – stwierdził poważnie krasnolud, ciągnąc chłopca za rękaw – polegało prawdopodobnie na tym, że odprowadzając syna do oddziału, płakał, miast wznosić patriotyczne okrzyki. Za poważniejszą siejbę inaczej tu karzą. Chodź, pokażęć.

Wyszli na placyk. Jarre cofnął się, zakrywając rękawem usta i nos. Na wielkiej kamiennej szubienicy wisiało kilkanaście trupów. Niektóre – zdradzał to wygląd i zapach – wisiały już długo.

– Ten – wskazał Dennis, oganiając się jednocześnie od much – wypisywał na murach i płotach głupie napisy. Tamten twierdził, że wojna to sprawa panów i że nilfgaardzcy wybranieccy chłopi nie są jego wrogami. Tamten po pijanemu opowiadał następującą anegdotę: „Co to jest dzida? To broń wielmożów, kij, mający biedaka na każdym z końców". A tam, na końcu, widzisz tę babę? To bajzelmama z wojskowego bordelu na kółkach, który ozdobiła napisem: „Ciupciaj, wojaku, dziś! Bo jutro możesz już nie móc".

– I tylko za to...

– Jedna z jej dziewczyn miała nadto, jak się okazało, trypra. A to już paragraf o dywersji i obniżaniu zdolności bojowej.

– Zrozumiałem, panie Cranmer – Jarre wyprężył się w pozycji, którą uważał za żołnierską. – Ale nie obawiajcie się o mnie. Ja nie jestem żadnym defetystą...

– Gówno zrozumiałeś i nie przerywaj mi, bom nie skończył. Ten ostatni wisielec, ten już dobrze zaśmierdziały, zawinił tylko tym, że na gadkę szpicla prowokatora zareagował okrzykiem: „Prawiście, panie, racja wasza, tak jest, nie inaczej, jak dwa a dwa cztery!" Teraz powiedz, żeś zrozumiał.

– Zrozumiałem – Jarre rozejrzał się ukradkiem. – Będę uważał. Ale... Panie Cranmer... Jak to jest naprawdę...

Krasnolud też się rozejrzał.

– Naprawdę – powiedział cicho – to jest tak, że Grupa Armii „Środek" marszałka Menno Coehoorna idzie na północ w sile jakichś stu tysięcy chłopa. Naprawdę, to gdyby nie powstanie w Verden, już by tu byli. Naprawdę, to dobrze by było, gdyby doszło do rokowań. Naprawdę, to Temeria i Redania nie mają sił, by powstrzymać Coehoorna. Naprawdę, nie przed strategiczną rubieżą Pontaru.

– Rzeka Pontar – szepnął Jarre – jest na północ od nas.

– To właśnie chciałem powiedzieć. Ale pamiętaj: o tym gębę na kłódkę.

– Będę się strzegł. Gdy już będę w oddziale, też muszę? Też mogę tam trafić na szpicla?

– W liniowym oddziale? Blisko linii frontu? Raczej nie. Szpicle dlatego są tacy gorliwi za frontem, bo boją się sami trafić na front. Nadto, gdyby wieszano każdego żołnierza, który sarka, narzeka i bluźni, nie byłoby komu wojować. Ale gębę, Jarre, to ty, jak w sprawie owej Ciri, zawżdy trzymaj zamkniętą. Do zamkniętej, miarkuj moje słowa, nigdy nie wleci żadna sralimucha. Ninie pójdź, zaprowadzę do komisyi.

– Powiecie tam za mną słowo? – Jarre z nadzieją spojrzał na krasnoluda. – Co? Panie Cranmer?

– Oj, głupiś ty, pisarczyku. Tu jest armia! Gdybym za tobą mówił i cię protegował, to jakbym ci na plecach złotą nicią „oferma" wyhaftował! Życia byś w oddziale nie miał, chłopczyno.

– A do was... – zamrugał Jarre. – Do waszego oddziału...

– Nawet nie myśl o tym.

– Bo u was – rzekł gorzko chłopiec – tylko dla krasnoludów miejsce, prawda? Nie dla mnie, prawda?

– Prawda.

Nie dla ciebie, pomyślał Dennis Cranmer. Nie dla ciebie, Jarre. Bo ja mam wciąż jeszcze nie spłacone długi u Nenneke. Dlatego chciałbym, byś cało wrócił z tej wojny. A Ochotniczy Huf Mahakamski złożony z krasnoludów, z osobników obcej i gorszej rasy, będą zawsze posyłać z najwredniejszymi zadaniami, na najgorsze odcinki. Tam, skąd się nie wraca. Tam, dokąd nie posłałoby się ludzi.

– Jak zatem sprawić – podjął Jarre zachmurzony – by trafić do dobrego oddziału?

– A który, po twojemu, taki ekstra, by się do niego aż starać?

Jarre odwrócił się, słysząc śpiew, wzbierający jak fala przyboju, rosnący jak grzmoty szybko nadciągającej burzy. Śpiew głośny, butny, mocny, twardy jak stal. Słyszał już taki śpiew.

Uliczką od zamku, zwinąwszy się w trójki, jechał stępa oddział kondotierów. Na czele, na siwym ogierze, pod ozdobioną ludzkimi czaszkami tyką, podążał dowódca, szpakowaty mężczyzna o orlim nosie i włosach splecionych w opadający na zbroję harcap.

– Adam „Adieu" Pangratt – mruknął Dennis Cranmer.

Śpiew kondotierów grzmiał, huczał, hurgotał. Kontrapunktowany dzwonem podków o bruk, wypełniał uliczkę aż po szczyty domów, wzbijał się ponad nie, hen, wysoko, w błękitne niebo nad miastem.

Śloz nie wyleją kochanki ni żony
Gdy ziemię przyjdzie nam obłapić krwawą
Bo my za dukat, jak słońce czerwony
W bój idziem żwawo!

– Pytacie, jaki oddział... – rzekł Jarre, nie mogąc oderwać wzroku od kawalerzystów. – A choćby taki jak ten! W takim chciałoby się...

– U każdego swoja piosenka – przerwał cicho krasnolud. – I każdy po swojemu ziemię skrwawioną obłapi. Tak, jak mu wypadnie. I albo zapłaczą po nim, albo nie. Na wojnie, pisarczyku, tylko śpiewa i maszeruje się równo, w szyku stoi się równo. A potem, w boju, każdemu to, co właśnie jemu pisane. Czy w Wolnej Kompanii „Adieu" Pangratta, czy w piechocie, czy w taborach... Czy w błyszczącej zbroi i z kraśnym pióropuszem, czy w łapciach i zawszonym kożuchu... Czy na rączym dzianecie, czy za pawężą... Każdemu co innego. Jak mu wypadnie! No, ot i komisyja, widzisz szyld nad wejściem? Tam tobie droga, skoroś żołnierzem być zadumał. Idź, Jarre. Bywaj. Uwidzim się, gdy będzie po wszystkim.

Krasnolud odprowadził wzrokiem chłopca aż do chwili, gdy ten znikł w drzwiach oberży zajętej przez komisję rekrutacyjną.

– Albo się i nie uwidzim – dodał cicho. – Nie wiada, co komu pisane. Co komu wypadnie.

•

– Konno jeździsz? Z łuku albo z kuszy szyjesz?

– Nie, panie komisarzu. Ale umiem pisać i kaligrafować, także Starsze Runy... Znam Starszą Mowę...

– Mieczem robisz? Wdrożonyś do kopii?

– ...czytałem *Historię wojen*. Dzieła marszałka Pelligrama... I Rodericka de Novembre...

– A może chociaż zdolisz gotować?

– Nie, nie zdolę... Ale nieźle rachuję...

Komisarz skrzywił się i machnął ręką.

– Oczytany mądrala! Który to już dzisiaj? Wypisać mu papier do be-pe-pe. Będziesz służył w be-pe-pe, młodzieńcze. Jazda z tym kwitem na południowy kraniec miasta, potem zaś za Mariborską Bramę, nad jezioro.

– Ale...

– Trafisz bez ochyby. Następny!

•

– Hej, Jarre! Hej! Poczekaj!

– Melfi?

– A jużci, że ja! – bednarczyk zachwiał się, przytrzymał się muru. – Ja, tutki, he, he!

– Co ci jest?

– Że niby mnie? He, he! Nic! Popilim trochu! Nilfgaardowi na pohybel pilim! Uch, Jarre, rad cię widzę, bom myślał, żeś mi się gdzieś stracił... Mój ty druhu...

Jarre cofnął się, jakby go ktoś uderzył. Od bednarczyka niosło nie tylko podłym piwem i jeszcze podlejszą gorzałą, ale też cebulą, czosnkiem i licho tylko wie, czym jeszcze. Ale strasznie.

– A gdzie – spytał z przekąsem – twoja prześwietna kompania?

– Ty o Szczupaku? – skrzywił się Melfi. – To ja ci rzekę: pies z nim tańcował! Wiesz, Jarre, dumam, że to niedobry był człek.

– Brawo. Szybko go rozszyfrowałeś.

– A ino! – Melfi nadął się, nie zauważając drwiny. – Strzegł się, ale diabła zje, kto mię oszuka! Wiem ci ja, co on zamyślił! Po co tu, do Wyzimy, ściągnął! Myślisz pewnie, Jarre, że on i ci jego obwiesie do wojska szli jako i my? Ha, toś w grubym jest błędzie! Wieszli ty, co on umyślił? Wiary byś nie dał!

– Dałbym.

– Jemu – dokończył triumfalnie Melfi – konie aby potrzebne były a uniformy, chciał ich tu gdzie ukraść. Bo umyślił w żołnierskim przebraniu na zbój iść!

– Niechaj mu kat zaświeci.

– A co rychlej! – Bednarczyk zatoczył się lekko, stanął pod murem i rozpiął portki. – Żal mi ino, że Ograbek i Milton, durne wsiowe łby, dali się omamić, poszli za Szczupakiem, tedy i im kat zaświecić gotów. No, ale srał ich pies, buraków jednych! A jak tam z tobą, Jarre?

– Względem?

– Przydzieliły cię gdziesik komisary? – Melfi puścił strugę na bielony mur. – Pytam, bo ja już zaciągnięty. Trzeba mi za Mariborską Bramę, na południowy kraj grodu. A tobie dokąd trzeba?

– Też na południowy.

– Ha! – Bednarczyk podskoczył kilka razy, potrząsnął, zapiął spodnie. – To może razem będziem wojować?

– Nie sądzę. – Jarre spojrzał na niego z wyższością. – Ja dostałem przydział zgodny z mymi kwalifikacjami. Do be-pe-pe.

– No pewno. – Melfi czknął i zionął na niego swą straszliwą mieszanką. – Tyś uczony! Takich mądralów pewno do jakichsi ważnych sprawów bierą, do nie byle jakich. No, co robić? Ale póki co, trochu jeszcze pospołu powędrujem. Na południowy grodu koniec wżdy razem nam droga.

– Tak wychodzi.

– Tedy chodźmy.

– Chodźmy.

•

– To chyba nie tu – ocenił Jarre, patrząc na otoczony namiotami majdan, na którym wzbijała kurz rota oberwańców z długimi kijami na ramionach. Każdy oberwaniec, jak zauważył chłopiec, miał do prawej nogi przymocowany wiecheć siana, a do lewej pęk słomy.

– Chyba źle trafiliśmy, Melfi.

– Słoma! Siano! – słychać było z majdanu ryki dyrygującego oberwańcami gefrejtra. – Słoma! Siano! Równaj, kurwa wasza mać!

– Nad namiotami sztandarta powiewa – powiedział Melfi. – Pojrzyj sam, Jarre. Te same lelije, coś to o nich na trakcie prawił. Jest

sztandarta? Jest. Jest wojsko? Jest. Znaczy, to tu. Dobrze trafilim.

– Może ty. Ja na pewno nie.

– A ot, tam u płota stoi szarża jakowaś. U onej spytajmy.

Potem już poszło szybko.

– Nowi? – rozdarł się sierżant. – Z werbunku? Dawać papiery! Czego, kurwa, stoisz jeden z drugim? W miejscu marsz! Nie stać, kurwa! W lewo zwrot! Wróć, kurwa, w prawo! Biegiem marsz! Wróć, kurwa! Słuchać i zapamiętać! Najsampierw, kurwa, do prowiantmajstra! Pobrać rustunek! Kolczugę, skórznie, pikę, kurwa, hełm i kord! Potem na musztrę! Być gotowym do apelu, kurwa, o zmierzchu! Maaaaaarsz!

– Zaraz. – Jarre rozejrzał się niepewnie. – Bo ja chyba mam jednak inny przydział...

– Jaaaaaaaaaaaaaak?!?

– Przepraszam, panie oficerze. – Jarre poczerwieniał. – Idzie mi tylko o to, by zapobiec ewentualnej pomyłce... Albowiem pan komisarz wyraźnie... Wyraźnie mówił o przydziale do be-pe-pe, więc ja...

– Jesteś w domu, chłopie – parsknął sierżant, rozbrojony nieco „oficerem". – To jest właśnie twój przydział. Witaj w Biednej Pierdolonej Piechocie.

•

– A dlaczegóż to – powtórzył Rocco Hildebrandt – i jakąż to modą mamy waćpanom daninę płacić? Myśmy wszystko, co należało, już zapłacili.

– O wa, patrzta go, niziołka mądralę – rozparty na kulbace ukradzionego konia Szczupak wyszczerzył się do kamratów. – Już zapłacił! I duma, że wszystko. Istowo, wypisz wymaluj jako ten indyk, co dumał o niedzieli. Ale mu w sobotę łeb ucięli!

Okultich, Klaproth, Milton i Ograbek zgodnie zarechotali. Żart był przecie przedni. A zabawa zapowiadała się jeszcze przedniej.

Rocco dostrzegł wstrętne, kleiste spojrzenia grasantów, obejrzał się. Na progu chałupy stała Incarvilia Hildebrandt, jego żona, oraz Aloë i Yasmin, obie jego córki.

Szczupak i jego kompania patrzyli na hobbitki, uśmiechając się obleśnie. Tak, niechybnie, zabawa zapowiadała się wyśmienita.

Do żywopłotu po drugiej stronie gościńca zbliżyła się siostrzenica Hildebrandta, Impatientia Vanderbeck, pieszczotliwie zwana Impi. Była

to naprawdę ładna dziewczynka. Uśmiechy bandytów stały się jeszcze obleśniejsze i wstrętniejsze.

– No, karzełku – ponaglił Szczupak. – Dawaj królewskiemu wojsku grosz, dawaj żarcie, dawaj konie, wyprowadzaj krowy z obory. Nie będziem tu stać do zachodu. Musim jeszcze parę wsi obskoczyć dzisia.

– Dlaczego mamy płacić i dawać? – Głos Rocco Hildebrandta drżał lekko, ale wciąż dźwięczały w nim zawziętość i upór. – Powiadacie, że to na wojsko, że to na naszą obronę. A przed głodem, zapytuję, kto nas obroni? Myśmy już i hibernę zapłacili, i liwerunek, i pogłówne, i poradlne, i podymne, i ogonowe, i osep, i licho wie, co jeszcze! Mało, toż czterej z tego sioła, w tej liczbie i syn mój własny, zaprzęgi w wojennych taborach wodzą! A nie kto inny, a szurzy mój, Milo Vanderbeck, zwany Rustym, chirurgiem jest polowym, ważną personą w armii. Znaczy się, myśmy z nawiązką nasz łanowy kontyngens wypełnili... Jaką więc modą nam płacić? Za co i na co? I dlaczego?

Szczupak popatrzył przeciągle na żonę niziołka, Incarvilię Hildebrandt z domu Biberveldt. Na jego pucate córki, Aloë i Yasmin. Na śliczniutką jak laleczka, ustrojoną w zieloną sukieneczkę Impi Vanderbeck. Na Sama Hofmeiera i jego dziadka, staruszka Holofernesa. Na babkę Petunię, zawzięcie dziobiącą grządkę motyką. Na pozostałych niziołków z osady, głównie niewiasty i wyrostków, trwożliwie wyglądających z domostw i zza płotów.

– Pytasz, dlaczego? – zasyczał, pochylając się w siodle i zaglądając w przerażone oczy niziołka. – Rzeknę ci, dlaczego. Dlatego, żeś jest niziołek parszywy, obcy, przybłęda, kto ciebie, nieludzia obrzydłego, obdziera, ten bogów raduje. Kto tobie, nieludziowi, dopieka, ten dobry i paterotyczny uczynek spełnia. A takoż dlatego, że mię mdli z ochoty, by to twoje gniazdo nieludzkie z dymem puścić. Dlatego, że mię aż oskoma bierze, by te twoje karliczki wychędożyć. I dlatego, że nas jest pięciu tęgich zuchów, a was jest garść kurduplowatych zafajdańców. Teraz już wiesz, dlaczego?

– Teraz już wiem – powiedział wolno Rocco Hildebrandt. – Idźcie stąd precz, Duzi Ludzie. Idźcie precz, niecnoty. Niczego wam nie damy.

Szczupak wyprostował się, sięgnął po wiszący u siodła kord.

– Bij! – wrzasnął. – Zabij!

Ruchem tak szybkim, że aż umykającym wzrokowi, Rocco Hildebrandt schylił się do taczek, wyciągnął ukrytą pod rogożą kuszę,

podrzucił kolbę do policzka i wpakował Szczupakowi bełt prosto w rozwarte we wrzasku usta. Incarvilia Hildebrandt z domu Biberveldt machnęła ręką na odlew, w powietrzu zakoziołkował sierp, bezbłędnie i z impetem trafiając w gardło Miltona. Kmiecy syn rzygnął krwią i fiknął kozła przez koński zad, komicznie machając nogami. Ograbek, wyjąc, runął pod kopyta konia, w jego brzuchu, wbity po drewniane okładziny uchwytu, tkwił sekator dziadka Holofernesa. Osiłek Klaproth zamierzył się na staruszka maczugą, ale zleciał z siodła, kwicząc nieludzko, trafiony prosto w oko szpikulcem do flancowania ciśniętym przez Impi Vanderbeck. Okultich obrócił konia i chciał uciekać, ale babka Petunia doskoczyła do niego i wycięła zębami motyki w udo. Okultich zaryczał, spadł, noga uwięzła mu w strzemieniu, spłoszony koń powlókł go przez opłotki, przez ostre tyczki. Wleczony zbój ryczał i wył, a w ślad za nim, niczym dwie wilczyce, mknęły babka Petunia z motyką i Impi z krzywym nożem do szczepienia drzewek.

Dziad Holofernes wysmarkał się głośno.

Całe zajście – od okrzyku Szczupaka po smarknięcie dziada Holofernesa – zajęło mniej więcej tyle czasu, co wypowiedzenie zdania: „Niziołki są niesamowicie szybkie i bezbłędnie miotają wszelkiego rodzaju pociski”.

Rocco usiadł na schodkach chałupy. Obok przycupnęła jego żona, Incarvilia Hildebrandt z domu Biberveldt. Ich córki, Aloë i Yasmin, poszły pomóc Samowi Hofmeierowi dorzynać rannych i obdzierać zabitych.

Wróciła Impi, w zielonej sukieneczce z rękawkami skrwawionymi po łokcie. Babka Petunia też wracała, szła wolno, sapiąc, stękając, podpierając się ubroczoną motyką i trzymając za krzyże. Oj, starzeje się nasza babka, starzeje, pomyślał Hildebrandt.

– Gdzie zakopać zbójów, panie Rocco? – spytał Sam Hofmeier.

Rocco Hildebrandt objął plecy żony ramieniem, popatrzył w niebo.

– W brzozowym gaiku – powiedział. – Obok tych poprzednich.

Sensacyjna przygoda pana Malcolma Guthriego z Braemore przebojem wdarła się już na łamy wielu gazet, nawet londyńska „Daily Mail" poświęciła jej kilka wersów w rubryce „Bizarre". Ponieważ jednak daleko nie wszyscy nasi czytelnicy czytają prasę wydawaną na południe od Tweed, a jeśli już, to gazety poważniejsze niż „Daily Mail", przypomnimy, jak to było. W dniu oto 10 marca bieżącego roku pan Malcolm Guthrie udał się z wędką nad Loch Glascarnoch. Tamże pan Guthrie napotkał był wyłaniającą się z mgły i nicości (sic!) młodą dziewczynę z brzydką blizną na twarzy (sic!), jadącą wierzchem na karej klaczy (sic!) w towarzystwie białego jednorożca (sic!). Dziewczyna zagadnęła osłupiałego pana Guthriego w języku, który pan Guthrie łaskaw był określić jako, cytujemy: „francuski chyba albo inny jakiś dialekt z kontynentu". Ponieważ pan Guthrie nie włada francuskim ani żadnym innym dialektem z kontynentu, do konwersacji nie doszło. Dziewczyna i towarzyszący jej zwierzyniec znikły, że znowu zacytujemy pana Guthriego, „jak sen jaki złoty".

Nasz komentarz: sen pana Guthriego był niechybnie równie złoty w kolorze jak whisky single malt, którą pan Guthrie zwykł był, jak się dowiedzieliśmy, pijać często i w ilościach tłumaczących widzenie białych jednorożców, białych myszek i potworów z jezior. A pytanie, które chcemy postawić, brzmi: co pan Guthrie raczył porabiać z wędką nad Loch Glascarnoch na cztery dni przed końcem okresu ochronnego?

„Inverness Weekly", wydanie z 18 marca 1906 roku

Rozdział siódmy

Wraz ze zrywającym się wiatrem niebo ciemniało od zachodu, napływające falami chmury po kolei gasiły konstelacje. Zgasł Smok, zgasła Zimowa Panna, zgasło Siedem Kóz. Zgasło Oko, świecące najsilniej i najdłużej.

Nieboskłon wzdłuż horyzontu rozbłysnął krótkotrwałą jasnością błyskawicy. Grom przetoczył się z głuchym hurkotem. Wichura

wzmogła się raptownie, sypnęła w oczy kurzem i suchym liściem.

Jednorożec zarżał i wysłał mentalny sygnał. Ciri zrozumiała natychmiast, co chciał powiedzieć.

Nie ma czasu do stracenia. Jedyna nasza nadzieja w szybkiej ucieczce. We właściwe miejsce, właściwy czas. Spieszmy się, Gwiazdooka.

Jestem Panią Światów, przypomniała sobie. Jestem Starszą Krwią, mam władzę nad czasem i nad przestrzenią.

Jestem z krwi Lary Dorren.

Ihuarraquax zarżał, ponaglił. Kelpie zawtórowała przeciągłym prychnięciem. Ciri naciągnęła rękawice.

– Jestem gotowa – powiedziała.

Szum w uszach. Błysk i jasność. A potem ciemność.

•

Woda jeziora i przedwieczorna cisza niosły klątwy Króla Rybaka, który na swej łodzi targał i tarmosił linką, próbując uwolnić błyszcz zaczepiony o dno. Głucho huknęło upuszczone wiosło.

Nimue chrząknęła niecierpliwie, Condwiramurs odwróciła się od okna, ponownie schyliła nad akwafortami. Zwłaszcza jeden z kartonów przykuwał wzrok. Dziewczyna z rozwianym włosem, wierzchem na stającej dęba karej klaczy. Obok biały jednorożec, również wspięty, jego grzywa rozwiana podobnie jak włosy dziewczyny.

– Do tego jednego chyba fragmentu legendy – skomentowała adeptka – historycy nigdy nie rościli pretensji, jednogłośnie uznawszy go za wymysł i bajeczny ozdobnik, względnie za deliryczną metaforę. A malarze i graficy, uczonym na złość, upodobali sobie ów epizod. O, proszę: co obrazek, to Ciri i jednorożec. Co tutaj mamy? Ciri i jednorożec na urwisku nad morską plażą. A tutaj, proszę: Ciri i jednorożec w krajobrazie jak z narkotycznego transu, nocą, pod dwoma księżycami.

Nimue milczała.

– Słowem – Condwiramurs odrzuciła kartony na stół – wszędzie Ciri i jednorożec. Ciri i jednorożec w labiryncie światów, Ciri i jednorożec w otchłani czasów...

– Ciri i jednorożec – przerwała Nimue, patrząc w okno, na jezioro, na łódź i miotającego się w niej Króla Rybaka. – Ciri i jednorożec wyłaniają się z nicości jak zjawy, wiszą nad gładzią wód któregoś z jezior... A może

wciąż tego samego jeziora, jeziora, które spina czasy i miejsca jak klamra, wciąż inne, a jednak zawsze takie samo?

– Słucham?

– Zjawy. – Nimue nie patrzyła na nią. – Przybysze z innych wymiarów, innych płaszczyzn, innych miejsc, innych czasów. Widziadła, które odmieniają czyjeś życie. Odmieniają też swoje życie, swój los... Nie wiedząc o tym. Dla nich to po prostu... kolejne miejsce. Nie to miejsce, nie ten czas... Znowu, po raz któryś już z rzędu nie to miejsce, nie ten czas...

– Nimue – przerwała z wymuszonym uśmiechem Condwiramurs. – To ja tu jestem śniączką, przypominam, to ja tu jestem od sennych wizji i onejroskopii. A ty ni z tego, ni z owego zaczynasz wieszczyć. Jakbyś to, o czym mówisz, widziała... we śnie.

Królowi Rybakowi, sądząc po raptownym natężeniu głosu i przekleństw, nie udało się odczepić błyszcza, linka się urwała. Nimue milczała, patrząc na grafikę. Na Ciri i jednorożca.

– To, o czym mówiłam – powiedziała wreszcie, bardzo spokojnie – faktycznie widziałam we śnie. Widziałam to we śnie wiele razy. I raz na jawie.

•

Podróż z Człuchowa do Malborka może w pewnych warunkach, jak wiadomo, zająć nawet pięć dni. A że listy człuchowskiego komtura do Winrycha von Kniprode, wielkiego mistrza zakonu, musiały bezwzględnie dotrzeć do adresata nie później niż w dniu Zielonych Świątek, rycerz Henryk von Schwelborn nie zwlekał i wyruszył nazajutrz po niedzieli *Exaudi Domine*, by móc podróżować spokojnie i bez żadnego ryzyka spóźnienia. *Langsam, aber sicher*. Wielce się owo podejście rycerza podobało jego eskorcie, którą stanowiła szóstka strzelców konnych, dowodzonych przez Hasso Plancka, syna piekarza z Kolonii. Kusznicy i Planck przyzwyczajeni byli raczej do takich pasowanych panów, którzy klęli, wrzeszczeli, popędzali i kazali cwałować na złamanie karku, a później, gdy i tak nie dotarli na czas, całą winę zwalali na biednych knechtów, łżąc w sposób niegodny rycerza, w dodatku rycerza zakonnego.

Było ciepło, choć pochmurno. Od czasu do czasu mżyło, jary zasnuwała mgła. Porośnięte bujną zielenią wzgórza przypominały

rycerzowi Henrykowi jego rodzinną Turyngię, matkę oraz fakt, że od ponad miesiąca nie miał kobiety. Jadący z tyłu kusznicy ospale śpiewali balladę Walthera von der Vogelweide. Hasso Planck drzemał w siodle.

Wer guter Fraue Liebe hat
Der schämt sich aller Missetat...

Podróż przebiegała spokojnie i kto wie, może i do końca byłaby spokojna, gdyby nie to, że około południa rycerz Henryk dostrzegł w dole od gościńca połyskujące ploso jeziora. A ponieważ nazajutrz był piątek i godziło się zawczasu zaopatrzyć w postną strawę, rycerz rozkazał zjechać nad wodę i rozejrzeć się za jakąś rybacką sadybą.

Jezioro było wielkie, była na nim nawet wyspa. Nikt nie znał jego nazwy, ale zapewne nazywało się Święte. W tym pogańskim kraju – jak na drwinę – co drugie jezioro nazywało się Święte.

Podkowy zachrupały na zalegających brzeg muszlach. Nad jeziorem wisiała mgła, ale i tak widać było, że jest tu bezludnie, nie było śladu ni łodzi, ni sieci, ni żywej duszy. Trzeba będzie poszukać gdzie indziej, pomyślał Henryk von Schwelborn. A jeśli nie, to trudno. Zjemy, co mamy w sakwach, choćby to była i wędzonka, a w Malborku wyspowiadamy się, kapelan zada pokutę i będzie po grzechu.

Już miał wydać rozkaz, gdy w głowie pod hełmem coś zaszumiało, a Hasso Planck wrzasnął przeraźliwie. Von Schwelborn spojrzał i zdębiał. I przeżegnał się.

Zobaczył dwa konie – jednego białego i jednego karego. Po chwili zaś z przerażeniem spostrzegł, że biały koń ma na wysklepionym czole spiralnie skręcony róg. Zobaczył też, że na karym siedzi dziewczyna o szarych włosach sczesanych tak, by zasłaniały policzek. Grupowe widziadło zdawało się nie dotykać ni ziemi, ni wody – wyglądało, jakby zawisło nad snującą się po powierzchni jeziora mgłą.

Kary koń zarżał.

– Uuups... – powiedziała całkiem wyraźnie dziewczyna o szarych włosach. – *Ire lokke, ire tedd! Squaess'me.*

– Święta Urszulo, patronko... – wybełkotał Hasso, blady jak śmierć. Kusznicy zamarli z otwartymi gębami, żegnali się znakiem krzyża.

Von Schwelborn też się przeżegnał, po czym drżącą ręką wyciągnął miecz z pochwy przytroczonej pod tybinką.

– *Heilige Maria, Mutter Gottes!* – ryknął. – *Steh mir bei!*

Rycerz Henryk nie przyniósł tego dnia wstydu swym walecznym antenatom, von Schwelbornom, w tym i Dytrykowi von Schwelborn, który dzielnie bił się pod Damiettą i jako jeden z nielicznych nie uciekł, gdy Saraceni wyczarowali i wypuścili na krzyżowców czarnego demona. Uderzywszy konia ostrogami i wspomniawszy nieulękłego przodka, Henryk von Schwelborn runął na zjawę wśród bryzgających spod kopyt szczeżui.

– Zakon i święty Jerzy!

Biały jednorożec iście heraldycznie stanął dęba, czarna klacz zatańczyła, dziewczyna wystraszyła się, widać to było na pierwszy rzut oka. Henryk von Schwelborn szarżował. Kto wie, czym by się to wszystko skończyło, gdyby nagle nie powiała od jeziora mgła, a obraz dziwnej grupy pękł, rozpadł się różnokolorowo niby uderzony kamieniem witraż. I wszystko znikło. Wszystko. Jednorożec, czarny koń, dziwna dziewczyna...

Rumak Henryka von Schwelborna z chlupotem wjechał w jezioro, zatrzymał się, targnął łbem, zawizżał, zazgrzytał zębami na wędzidle.

Z trudem opanowując boczącego się konia, Hasso Planck podjechał do rycerza. Von Schwelborn dyszał i sapał, rzęził niemal, a oczy miał wybałuszone niczym postna ryba.

– Na kości świętej Urszuli, świętej Korduli i wszystkich jedenastu tysięcy kolońskich dziewic męczenniczek... – wydusił z siebie Hasso Planck. – Co to było, *edler Herr Ritter?* Cud? Objawienie?

– *Teufelswerk!* – stęknął von Schwelborn, dopiero teraz blednąc przeraźliwie i dzwoniąc zębami. – *Schwarze Magie! Zauberey!* Przeklęta, pogańska i czartowska sprawa...

– Lepiej jedźmy stąd, panie. Czym prędzej... Do Pelplina niedaleko, byle dostać się w zasięg kościelnych dzwonów...

Pod samym lasem, na wzniesieniu, rycerz Henryk obejrzał się po raz ostatni. Wiatr przepędził mgłę, w miejscach nie osłoniętych ścianą lasu lustrzana powierzchnia jeziora zmatowiła się i zmarszczyła.

Nad wodą krążył wielki orzeł rybołów.

– Bezbożny, pogański kraj – wymamrotał Henryk von Schwelborn. – Wiele, wiele pracy, wiele trudu i znoju nas czeka, nim zakon Szpitala Niemieckiego wypędzi stąd wreszcie diabła.

•

– Koniku – powiedziała Ciri, z wyrzutem i przekąsem zarazem. – Nie chciałabym być natrętna, ale mnie trochę spieszy się do mojego świata. Moi bliscy mnie potrzebują, przecież wiesz. A my najpierw wpadamy nad jakieś jezioro i na jakiegoś śmiesznego prostaka w ubraniu w kratkę, potem na gromadę brudnych i ryczących kudłaczy z maczugami, wreszcie zaś na furiata z czarnym krzyżem na płaszczu. Nie te czasy, nie te miejsca! Bardzo cię proszę, postaraj się lepiej. Bardzo cię proszę.

Ihuarraquax zarżał, kiwnął rogiem i przekazał jej coś, jakąś myśl. Ciri nie do końca zrozumiała. Zastanawiać się nie miała czasu, bowiem wnętrze czaszki znowu zalała jej chłodna jasność, w uszach zaszumiało, a w karku zamrowiło.

I znowu objęła ją czarna i mięciutka nicość.

•

Nimue, śmiejąc się radośnie, pociągnęła mężczyznę za rękę, obydwoje zbiegli nad jezioro, klucząc wśród niskich brzózek i olszynek, wśród karczy i zwalonych pni. Wbiegłszy na piaszczystą plażę, Nimue zrzuciła sandałki, uniosła sukienkę, zachlupotała bosymi stopami w przybrzeżnej wodzie. Mężczyzna też ściągnął buty, ale do wody wejść się nie kwapił. Zdjął płaszcz i rozłożył go na piasku.

Nimue podbiegła, zarzuciła mu ręce na szyję i stanęła na palcach, ale by ją pocałować, mężczyzna i tak musiał mocno się pochylić. Nimue nie bez racji nazywano Łokietkiem – ale teraz, gdy miała już osiemnaście lat i była adeptką sztuk magicznych, przywilej nazywania jej tak przysługiwał wyłącznie najbliższym przyjaciołom. I niektórym mężczyznom.

Mężczyzna, nie odrywając ust od ust Nimue, wsunął dłoń za jej dekolt.

Potem już poszło szybko. Oboje znaleźli się na rozścielonym na piasku płaszczu, sukienka Nimue podwinęła się powyżej talii, jej uda mocno objęły biodra mężczyzny, a dłonie wpiły się w jego plecy. Gdy ją brał, jak zwykle zbyt niecierpliwie, zacisnęła zęby, ale szybko dogoniła go w podnieceniu, zrównała się, dotrzymała kroku. Miała wprawę.

Mężczyzna wydawał śmieszne odgłosy. Ponad jego barkiem Nimue obserwowała wolno płynące po niebie kumulusy o fantastycznych kształtach.

Coś zadzwoniło, tak, jak dzwoni zatopiony na dnie oceanu dzwon. W uszach Nimue gwałtownie zaszumiało. Magia, pomyślała, odwracając

głowę, wyzwalając się spod policzka i ramienia leżącego na niej mężczyzny.

Przy brzegu jeziora – wisząc wręcz nad jego powierzchnią – stał biały jednorożec. Obok niego czarny koń. A w siodle czarnego konia siedziała...

Ależ ja znam tę legendę, przemknęło przez głowę Nimue. Znam tę bajkę! Byłam dzieckiem, małym dzieckiem, gdy słyszałam tę baśń, opowiadał ją dziad Pogwizd, wędrowny bajarz... Wiedźminka Ciri... Z blizną na policzku... Czarna klacz Kelpie... Jednorożce... Kraina elfów...

Ruchy mężczyzny, który zjawiska w ogóle nie zauważył, stały się gwałtowniejsze, wydawane przez niego odgłosy śmieszniejsze.

– Uuups – powiedziała dziewczyna siedząca na karej klaczy. – Znowu pomyłka! Nie to miejsce, nie ten czas. W dodatku, jak widzę, zupełnie nie w porę. Przepraszam.

Obraz zamazał się i pękł, pękł tak, jak pęka malowane szkło, nagle rozleciał się, rozpadł w tęczową migotaninę skrzeń, jarzeń i rozzłoceń. A potem wszystko znikło.

– Nie! – krzyknęła Nimue. – Nie! Nie znikaj! Nie chcę!

Wyprostowała kolana i chciała wyzwolić się spod mężczyzny, ale nie mogła – był od niej potężniejszy i cięższy. Mężczyzna jęknął i stęknął.

– Ooooch, Nimue... Ooooch!

Nimue krzyknęła i wpiła mu zęby w bark.

Leżeli na kożuchu, rozedrgani i gorący. Nimue patrzyła na brzeg jeziora, na czapy ubitej falami piany. Na pochylane wiatrem trzciny. Na bezbarwną, beznadziejną pustkę, pustkę, którą pozostawiła ginąca legenda.

Po nosie adeptki ciekła łza.

– Nimue... Stało się coś?

– Owszem, stało. – Przytuliła się do niego, ale wciąż patrzyła na jezioro. – Nic nie mów. Obejmij mnie i nic nie mów.

Mężczyzna uśmiechnął się z wyższością.

– Wiem, co się stało – rzekł chełpliwie. – Ziemia się poruszyła?

Nimue uśmiechnęła się smutno.

– Nie tylko – odpowiedziała po chwili milczenia. – Nie tylko.

•

Błysk. Ciemność. Następne miejsce.

•

Następne miejsce było miejscem mrocznym, złowrogim i paskudnym.

Ciri odruchowo zgarbiła się w siodle, wstrząśnięta – tak w dosłownym, jak i w przenośnym sensie tego słowa. Podkowy Kelpie łupnęły bowiem z impetem o coś boleśnie twardego, płaskiego i nieustępliwego niczym skała. Po długim czasie szybowania w mięciutkim niebycie wrażenie twardości było do tego stopnia zaskakujące i przykre, że klacz zarżała i gwałtownie rzuciła się w bok, wybijając na podłożu *staccato*, od którego zadzwoniły zęby.

Drugiego wstrząsu, tego metaforycznego, dostarczył węch. Ciri jęknęła i zakryła rękawem usta i nos. Czuła, jak oczy momentalnie wypełniają się łzami.

Wokół unosił się kwaśny, żrący, gęsty i kleisty smród, swąd duszący i okropny, nie dający się określić, nie przypominający niczego, co Ciri kiedykolwiek wąchała. Był to – tego była jednak pewna – smród rozkładu, trupi cuch ostatecznej degradacji i degeneracji, odór rozpadu i niszczenia – przy czym odnosiło się wrażenie, że to, co niszczało, śmierdziało wcale nie piękniej, gdy żyło. Nawet w okresie swego rozkwitu.

Zgięła się w wymiotnym odruchu, nad którym nie była w stanie zapanować. Kelpie parskała i trzęsła łbem, kurcząc chrapy. Jednorożec, który zmaterializował się obok nich, przysiadł na zadzie, podskoczył i wierzgnął. Twarde podłoże odpowiedziało wstrząsem i głośnym echem.

Dookoła była noc, noc ciemna i brudna, okutana lepkim i śmierdzącym gałganem mroku.

Ciri spojrzała w górę, szukając gwiazd, ale w górze nie było nic, tylko otchłań, miejscami podświetlona niewyraźną czerwonawą łuną, jak gdyby odległym pożarem.

– Uuups – powiedziała i wykrzywiła się, czując, jak kwaśnozgniły opar osiada jej na wargach. – Bue-eeee-ech! Nie to miejsce, nie ten czas! Pod żadnym pozorem nie!

Jednorożec prychnął i kiwnął łbem, jego róg opisał krótki i gwałtowny łuk.

Zgrzytające pod kopytami Kelpie podłoże było skałą, ale dziwną, nienaturalnie wręcz równą, wydzielającą intensywny smród spalenizny i brudnego popiołu. Trochę potrwało, zanim Ciri zorientowała się, że to, na co patrzy, to jest droga. Miała dość tej nieprzyjemnej i denerwującej

twardości. Skierowała klacz na pobocze zaznaczone czymś, co niegdyś było drzewami, teraz zaś paskudnymi i gołymi szkieletami. Trupami obwieszonymi strzępami szmat, iście jakby resztkami przegniłych całunów.

Jednorożec ostrzegł ją rżeniem i mentalnym sygnałem. Ale było za późno.

Tuż za dziwną drogą i uschniętymi drzewami zaczynało się osypisko, a dalej, pod nim, ostro biegnąca w dół stromizna, przepaść niemal. Ciri wrzasnęła, kolnęła piętami boki osuwającej się klaczy. Kelpie szarpnęła się, miażdżąc kopytami to, z czego składało się osypisko. A były to odpadki. W większości jakieś dziwne naczynia. Naczynia te nie kruszyły się pod podkowami, nie chrupotały, lecz pękały obrzydliwie miękko, kleiście, niczym wielkie rybie pęcherze. Coś zachlupało i zabulgotało, buchający odór o mało nie zwalił Ciri z siodła. Kelpie, rżąc dziko, tratowała śmieciowisko, rwąc się ku górze, na drogę. Ciri, krztusząc się od smrodu, uchwyciła się szyi klaczy.

Udało się im. Niemiłą twardość dziwnej drogi powitały z radością i ulgą.

Ciri, dygocząc cała, spojrzała w dół, na osypisko kończące się w czarnej tafli jeziora, wypełniającego dno kotła. Powierzchnia jeziora była martwa i błyszcząca, jakby to nie była woda, lecz zastygła smoła. Za jeziorem, za śmietnikami, kopcami popiołu i hałdami żużla, niebo czerwieniało od dalekich łun, czerwień znaczyły smugi dymów.

Jednorożec parsknął. Ciri chciała otrzeć mankietem łzawiące oczy, ale zorientowała się nagle, że cały rękaw pokryty jest pyłem. Łupieżem pyłu pokryte były też jej uda, łęk siodła, grzywa i szyja Kelpie.

Smród dusił.

– Ohyda – zamamrotała. – Obrzydliwość... Zdaje mi się, że cała się lepię. Zabierajmy się stąd... Zabierajmy się stąd co żywo, Koniku.

Jednorożec zastrzygł uszami, chrapnął.

Tylko ty możesz to sprawić. Działaj.

– Ja? Sama? Bez twojej pomocy?

Jednorożec skinął rogiem.

Ciri podrapała się w głowę, westchnęła, zamknęła oczy. Skoncentrowała się.

Z początku były tylko niedowierzanie, rezygnacja, strach. Ale szybko spłynęła na nią chłodna jasność, jasność wiedzy i mocy. Nie miała

pojęcia, skąd bierze się ta wiedza i ta moc, gdzie ma korzenie i źródło. Ale wiedziała, że może. Że zdoła, gdy zechce.

Jeszcze raz obrzuciła wzrokiem stężałe i martwe jezioro, dymiącą hałdę odpadków, szkielety drzew. Niebo podświetlone daleką łuną.

– Dobrze – pochyliła się i splunęła – że to nie jest mój świat. Bardzo dobrze!

Jednorożec zarżał wymownie. Zrozumiała, co chciał powiedzieć.

– Jeżeli nawet i mój – otarła chusteczką oczy, usta i nos – to i zarazem nie mój, bo odległy w czasie. Niezawodnie odległy w czasie. To przeszłość albo...

Urwała.

– Przeszłość – powtórzyła głucho. – Głęboko wierzę, że to przeszłość.

•

Ulewny deszcz, prawdziwe oberwanie chmury, pod które wpadli w następnym miejscu, powitali jak prawdziwe błogosławieństwo. Deszcz był ciepły i aromatyczny, pachniał latem, zielskiem, błotem i kompostem, deszcz zmywał z nich plugastwo, oczyszczał, sprawiał im istne *katharsis*.

Jak każde *katharsis*, na dłuższą metę i to stało się monotonne, przesadne i nie do zniesienia. Woda, która obmywała, po jakimś czasie zaczęła dokuczliwie moczyć, lać się za kołnierz i wrednie ziębić. Wynieśli się więc z tego deszczowego miejsca.

Bo to również nie było to miejsce. Ani nie ten czas.

•

Następne miejsce było bardzo ciepłe, panował tam upał, więc Ciri, Kelpie i jednorożec schli i parowali niby trzy czajniki. Znajdowali się na wyprażonych słońcem wrzosowiskach na skraju lasu. Od razu dało się miarkować, że był to wielki las, puszcza po prostu, gęsty, dziki i nieprzystępny matecznik. W sercu Ciri zakołatała nadzieja – to mógł być Las Brokilon, a więc nareszcie miejsce znane i właściwe.

Pojechali wolno skrajem puszczy. Ciri wypatrywała czegoś, co mogło służyć za wskazówkę. Jednorożec pochrapywał, wysoko unosił głowę i róg, rozglądał się. Był niespokojny.

– Myślisz, Koniku – zapytała – że mogą nas ścigać?

Chrapnięcie, zrozumiałe i jednoznaczne nawet bez telepatii.

– Nie zdołaliśmy jeszcze uciec dostatecznie daleko?

Tego, co w odpowiedzi przekazał jej myślą, nie zrozumiała. Nie istniało daleko i blisko? Spirala? Jaka spirala?

Nie rozumiała, o co mu chodziło. Ale niepokój udzielił się i jej.

Upalne wrzosowiska nie były właściwym miejscem i właściwym czasem.

Połapali się w tym pod wieczór, kiedy upał zelżał, a na niebie nad lasem zamiast jednego księżyca wzeszły dwa. Jeden duży, a drugi mały.

•

Następnym miejscem był brzeg morza, strome urwisko, z którego widzieli grzywacze rozbijające się na skałach o dziwacznych kształtach. Pachniał morski wiatr, wrzeszczały rybitwy, mewy śmieszki i petrele, białą i ruchliwą warstwą pokrywające występy urwiska.

Morze sięgało aż po horyzont wezbrany ciemnymi chmurami.

W dole, na kamienistej plaży, Ciri dostrzegła nagle częściowo zagrzebany w żwirze szkielet gigantycznej ryby o potwornie wielkim łbie. Zębiska, którymi najeżone były pobielałe szczęki, miały co najmniej po trzy piędzi długości, a do paszczy, wydawało się, można by wjechać na koniu i spokojnie, nie zawadzając głową o kręgosłup, przedefilować pod portalami żeber.

Ciri nie była pewna, czy w jej świecie i w jej czasie istniały takie ryby.

Pojechali skrajem urwiska, a mewy i albatrosy nie płoszyły się wcale, niechętnie ustępowały z drogi, ba, usiłowały dziobać i szczypać pęciny Kelpie i Ihuarraquaxa. Ciri z punktu zrozumiała, że te ptaki nigdy nie widziały ani człowieka, ani konia. Ani jednorożca.

Ihuarraquax parskał, trząsł głową i rogiem, był wyraźnie niespokojny. Okazało się, że słusznie.

Coś zatrzeszczało, zupełnie jak darte płótno. Rybitwy poderwały się z wrzaskiem i trzepotem, na moment zakrywając wszystko białą chmurą. Powietrze nad urwiskiem zadrgało nagle, zamazało się jak zlane wodą szkło. I pękło jak szkło. A z pęknięcia wylała się ciemność, z ciemności zaś sypnęli się konni. Wokół ramion powiewały im płaszcze, których cynobrowo-amarantowo-karmazynowa barwa przywodziła na myśl łunę pożaru na niebie podświetlonym blaskiem zachodzącego słońca.

Dearg Ruadhri. Czerwoni Jeźdźcy.

Nim jeszcze przebrzmiał krzyk ptaków i alarmujące rżenie jednorożca, Ciri już obracała klacz i podrywała ją do galopu. Ale

powietrze pękało i z drugiej strony, z pęknięcia, powiewając płaszczami jak skrzydłami, wypadali dalsi konni. Półkole obławy zamykało się, przyciskając ich do przepaści. Ciri krzyknęła, wyszarpując Jaskółkę z pochwy.

Jednorożec przyzwał ją ostrym sygnałem, który wbił się jej w mózg jak szpila. Tym razem zrozumiała natychmiast. Wskazywał jej drogę. Lukę w pierścieniu. Sam zaś stanął dęba, zarżał przeszywająco i runął na elfów z groźnie pochylonym rogiem.

– Koniku!

Ratuj się, Gwiazdooka! Nie pozwól się schwytać!

Przywarła do grzywy.

Dwóch elfów zagrodziło jej drogę. Mieli arkany, pętle na długich trzonkach. Próbowali zarzucić je na szyję Kelpie. Klacz zwinnie umknęła z głową, ani na sekundę nie zwalniając galopu. Ciri ucięła drugą pętlę jednym machnięciem miecza, krzykiem ponagliła Kelpie do szybszego biegu. Klacz szła jak burza.

Ale inni następowali im już na pięty, słyszała ich krzyki, łomotanie kopyt, łopot płaszczy. Co z Konikiem, pomyślała, co z nim zrobili?

Nie było czasu na medytacje. Jednorożec miał słuszność, nie mogła pozwolić, by schwytali ją znowu. Musiała dać nura w przestrzeń, ukryć się, zgubić w labiryncie miejsc i czasów. Skoncentrowała się, czując z przerażeniem, że w głowie ma tylko pustkę i dziwny, dzwoniący, szybko rosnący zgiełk.

Rzucają na mnie zaklęcia, pomyślała. Chcą mnie omamić czarami. Niedoczekanie! Czary mają zasięg. Nie pozwolę im zbliżyć się do mnie.

– Pędź, Kelpie!

Kara klacz wyciągnęła szyję i pomknęła jak wiatr. Ciri położyła się na jej szyi, by do minimum zmniejszyć opór powietrza.

Krzyki zza jej pleców, jeszcze przed chwilą głośne i niebezpiecznie bliskie, ścichły, zagłuszane przez wrzask płoszonych ptaków. Potem zrobiły się zupełnie ciche. Dalekie.

Kelpie szła jak burza. Aż wył w uszach morski wiatr.

W dalekich okrzykach pogoni zadzwoniły nuty wściekłości. Zrozumieli, że nie dadzą rady. Że za nic nie doścignąą tej karej klaczy, biegnącej bez śladu zmęczenia, lekko, miękko i elastycznie niczym gepard.

Ciri nie oglądała się. Ale wiedziała, że ścigali ją długo. Do momentu, gdy ich własne konie zaczęły chrapać i rzęzić, potykać się i do ziemi niemal spuszczać wyszczerzone i spienione pyski. Dopiero wówczas zrezygnowali, posyłając za nią już tylko przekleństwa i bezsilne groźby.

Kelpie szła jak wicher.

•

Miejsce, do którego uciekła, było suche i wietrzne. Ostry, wyjący wiatr szybko suszył łzy na jej policzkach.

Była sama. Znowu sama. Sama jak palec.

Wędrowiec, wieczny tułacz, żeglarz zagubiony na bezkresnych morzach wśród archipelagu miejsc i czasów.

Żeglarz tracący nadzieję.

Wicher świstał i wył, toczył po spękanej ziemi kule zeschłych chwastów.

Wicher suszył łzy.

•

We wnętrzu czaszki chłodna jasność, w uszach szum, jednostajny szum, jak z pokrętnego wnętrza morskiej konchy. Mrowienie w karku. Czarna i mięciutka nicość.

Nowe miejsce. Inne miejsce.

Archipelag miejsc.

•

– Dziś – powiedziała Nimue, otulając się w futro – będzie dobra noc. Czuję to.

Condwiramurs nie skomentowała, choć podobne zapewnienie słyszała już ładnych kilka razy. Bo nie pierwszy wieczór siadały na tarasie, mając przed sobą płonące zachodem jezioro, a za sobą magiczne zwierciadło i magiczny gobelin.

Z jeziora, zwielokrotnione toczącym się po tafli echem, dobiegały ich klątwy Króla Rybaka. Król Rybak często zwykł był słowem żwawszym podkreślać swe niezadowolenie z rybackich niepowodzeń – nieudanych zacięć, podcięć, holów czy innych zaczepów. Tego wieczora, wnosząc z siły i repertuaru bluźnierstw, szło mu jednak wyjątkowo źle.

– Czas – powiedziała Nimue – nie ma początku ani końca. Czas jest jak wąż Uroboros, który chwycił zębami własny ogon. W każdym momencie

kryje się wieczność. A wieczność składa się z chwil, które ją tworzą. Wieczność to archipelag chwil. Da się wśród tego archipelagu żeglować, choć nawigacja jest bardzo trudna, a zbłądzić jest niebezpiecznie. Dobrze jest mieć latarnię morską, której światłem można się kierować. Dobrze jest móc wśród mgły usłyszeć wołanie...

Zamilkła na chwilę.

– Jak kończy się interesująca nas legenda? Zdaje się nam, tobie i mnie, że wiemy, jak ona się kończy. Ale wąż Uroboros trzyma zębami własny ogon. To, jak legenda się skończy, rozstrzyga się teraz. W tej chwili. Zakończenie legendy będzie zależało od tego, czy i kiedy zagubiony wśród archipelagu chwil żeglarz dostrzeże światło latarni. Usłyszy wołanie.

Z jeziora doleciała klątwa, plusk, łomot wioseł w dulkach.

– Dziś będzie dobra noc. Ostatnia przed przesileniem letnim. Księżyc maleje. Słońce z Trzeciego przechodzi w Czwarty Dom, w znak Kozłoryby. Najlepszy czas na dywinację... Najlepszy czas... Skoncentruj się, Condwiramurs.

Condwiramurs, jak wiele razy poprzednio, posłusznie się skoncentrowała, wchodząc pomału w stan bliski autotransu.

– Poszukaj jej – powiedziała Nimue. – Ona jest gdzieś tam wśród gwiazd, wśród księżycowego blasku. Wśród miejsc. Ona tam jest. Sama. Oczekująca pomocy. Pomóżmy jej, Condwiramurs.

•

Koncentracja, pięści przy skroniach. W uszach szum, jakby z wnętrza morskiej konchy. Błysk. I raptownie miękka i czarna nicość.

•

Było miejsce, w którym Ciri widziała płonące stosy. Przykrępowane łańcuchami do pali kobiety dziko i przeraźliwie wyły o litość, a zebrany dookoła tłum ryczał, śmiał się i tańczył. Było miejsce, w którym płonęło wielkie miasto, hucząc ogniem i tryskając płomieniami z zawalających się dachów, a czarny dym zakrywał całe niebo. Było miejsce, w którym ogromne dwunogie jaszczury walczyły, sczepione ze sobą, a jaskrawa krew lała się spod kłów i pazurów.

Było miejsce, w którym setki jednakowych białych wiatraków młóciły niebo smukłymi skrzydłami. Było miejsce, w którym setki węży syczały i wiły się na kamieniach, chrobocząc i szeleszcząc łuską.

Było miejsce, w którym była tylko ciemność, a w ciemności głosy, szepty i trwoga.

Były jeszcze inne miejsca. Ale żadne nie było tym właściwym.

•

Przenoszenie się z miejsca do miejsca szło jej już tak dobrze, że zaczęła eksperymentować. Jednym z niewielu miejsc, których się nie bała, były owe ciepłe wrzosowiska na skraju dzikiego lasu, te, nad którymi wschodziły dwa księżyce. Przywoławszy w pamięci widok tych księżyców i powtarzając sobie w myśli, czego chce, Ciri skoncentrowała się, wytężyła, pogrążyła w nicości.

Udało się jej już za drugim razem.

Rozzuchwalona zdecydowała się na jeszcze śmielszy eksperyment. Było oczywiste, że oprócz miejsc odwiedzała również czasy, mówił o tym Vysogota, mówiły o tym elfy, napomknęły o tym jednorożce. Potrafiła przecież – chociaż nieświadomie – zrobić to już wcześniej! Gdy zraniono ją w twarz, uciekła prześladowcom w czasie, skoczyła cztery dni do przodu, potem Vysogota nie mógł się tych dni doliczyć, nic mu się nie zgadzało...

Może więc to była jej szansa? Skok w czasie?

Postanowiła spróbować. Płonące miasto, dla przykładu, nie płonęło przecież wiecznie. A gdyby tak dostać się tam przed pożarem? Lub po nim?

Wpadła niemal w środek pożaru, osmalając sobie brwi i rzęsy i wzbudzając potworną panikę wśród uchodzących z płonącego miasta pogorzelców.

Uciekła na przyjazne wrzosowiska. Chyba nie warto tak ryzykować, pomyślała, licho wie, czym to się może skończyć. Z miejscami lepiej mi wychodzi, tedy trzymajmy się miejsc. Próbujmy dostać się do miejsc. Znanych miejsc, takich, które dobrze pamiętam. I takich, które mile mi się kojarzą.

Zaczęła od świątyni Melitele, wyobrażając sobie bramę, gmach, park, pracownię, dormitorium adeptek, komnatę, w której mieszkała z Yennefer. Koncentrowała się z pięściami przy skroniach, przywołując w pamięci twarz Nenneke, Eurneid, Katje, Ioli Drugiej.

Nie wyszło z tego nic. Trafiła na jakieś zamglone i rojące się od moskitów moczary, rozbrzmiewające gwizdaniem żółwi i gromkim

rechotem żab.

Spróbowała kolejno – z nie lepszym rezultatem – Kaer Morhen, Wysp Skellige, banku w Gors Velen, w którym pracował Fabio Sachs. Nie odważyła się próbować Cintry, wiedziała, że miasto jest okupowane przez Nilfgaardczyków. Zamiast tego spróbowała Wyzimy, miasta, w którym ona i Yennefer robiły kiedyś zakupy.

•

Aarhenius Krantz, mędrzec, alchemik, astronom i astrolog, wiercił się na twardym stołku z okiem przyciśniętym do okulara teleskopu. Kometa pierwszej wielkości i mocy, którego można było od blisko tygodnia obserwować na niebie, zasługiwał na obserwację i zbadanie. Taki kometa, jak wiedział Aarhenius Krantz, mający ogon ogniście czerwony, zwykł zwiastować wielkie wojny, pożogi i rzezie. Teraz, prawdę rzekłszy, kometa trochę spóźnił się z wieszczbą, bo wojna z Nilfgaardem trwała w najlepsze, a pożogi i rzezie można było przepowiadać w ciemno i bez pudła, albowiem dnia bez nich nie bywało. Obeznany z ruchami sfer niebieskich Aarhenius Krantz miał jednak nadzieję wyliczyć, kiedy to, za ile lat czy też stuleci kometa pojawi się ponownie, obwieszczając kolejną wojnę, do której, kto wie, można by się było przygotować lepiej niż do obecnej.

Astronom wstał, rozmasował tyłek i poszedł ulżyć pęcherzowi. Z tarasu, poprzez balustradkę. Zawsze lał z tarasu wprost na klomb piwonii, za nic sobie mając reprymendy gospodyni. Do wygódki było zwyczajnie za daleko, tracenie czasu na dalekie chodzenie nie licowało z powagą uczonego. Rzucanie pracy i dalekie chodzenie za potrzebą groziło utratą cennych przemyśleń, a na to żaden uczony pozwolić sobie nie mógł.

Stanął przy balustradce, rozpiął portki, patrząc na odbijające się w wodzie jeziora światła Wyzimy. Westchnął z ulgą, wzniósł wzrok ku gwiazdom.

Gwiazdy, pomyślał, i konstelacje. Zimowa Panna, Siedem Kóz, Dzban. Wedle niektórych teorii to nie są żadne mrugające światełka, lecz światy. Inne światy. Światy, od których oddzielają nas czas i kosmos... Głęboko wierzę, pomyślał, że możliwe będą kiedyś podróże do tych innych miejsc, do tych innych czasów i kosmosów. Tak, z pewnością będzie to kiedyś możliwe. Znajdzie się sposób. Ale wymagać to będzie

całkiem nowego myślenia, nowej ożywczej idei, która rozerwie krępujący ją dziś sztywny gorset zwący się racjonalnym poznaniem...

Ach, pomyślał, podskakując, gdybyż tak udało się... Gdyby tak doznać olśnienia, wpaść na trop! Gdybyż tak jedna, niepowtarzalna okazja...

W dole pod tarasem coś błysnęło, ciemność nocy pękła gwiaździście, z rozbłysku wyłonił się koń. Z jeźdźcem na grzbiecie. Jeźdźcem była dziewczyna.

– Dobry wieczór – pozdrowiła grzecznie. – Przepraszam, jeśli nie w porę. Czy można wiedzieć, co to za miejsce? Jaki to czas?

Aarhenius Krantz przełknął ślinę, otworzył usta i zabełkotał.

– Miejsce – powtórzyła cierpliwie i wyraźnie dziewczyna. – Czas.

– Ehe.. Tego... Bee..

Koń zaparskał. Dziewczyna westchnęła.

– Cóż, pewnie znowu źle trafiłam. Złe miejsce, zły czas! Ale odpowiedz mi, człowieku! Chociażby jednym zrozumiałym słówkiem. Bo przecież nie mogłam znaleźć się w świecie, w którym ludzie zapomnieli artykułowanej mowy!

– Eeee...

– Jedno słówko.

– Hee...

– A niech cię jasny szlag trafi, durny capie – powiedziała dziewczyna.

I znikła. Razem z koniem.

Aarhenius Krantz zamknął usta. Postał przez chwilę przy balustradce, wpatrzony w noc, w jezioro i odbijające się w nim dalekie światła Wyzimy. Potem zapiął spodnie i wrócił do swego teleskopu.

Kometa szybko przebiegał niebo. Należało go obserwować, nie spuszczać z pola widzenia szkiełka i oka. Śledzić, póki nie zniknie w otchłaniach kosmosu. To była okazja, a uczonemu nie wolno tracić okazji.

•

A może spróbować z innej strony, pomyślała, wpatrzona w dwa księżyce nad wrzosowiskiem, teraz widoczne jako dwa sierpy, jeden mały, drugi duży i mniej sierpowaty. Może nie wyobrażać sobie miejsc ani twarzy, pomyślała, ale mocno pragnąć... Mocno życzyć sobie, bardzo mocno, tak z samego brzucha...

Co mi szkodzi spróbować?

Geralt. Chcę do Geralta. Bardzo chcę do Geralta.

•

– No, nie! – krzyknęła. – Ładnie trafiłam, żeby to wciurności!

Kelpie potwierdziła rżeniem, że uważa podobnie, buchając parą z nozdrzy i drobiąc zarytymi w śniegu kopytami.

Zawieja gwizdała i wyła, oślepiała, ostre drobinki śniegu cięły policzki i dłonie. Zimno przenikało na wskroś, kąsało stawy jak wilk. Ciri dygotała, kuląc ramiona i kryjąc kark za nędzną i nic nie dającą osłoną postawionego kołnierza.

Po lewej i po prawej wznosiły się majestatycznie groźne wierchy, szare skaliste monumenty, których wierzchołki ginęły gdzieś wysoko, we mgle i zamieci. Dnem doliny rwała bystra, mocno wezbrana rzeka, gęsta od śryżu i brył lodu. Wszędzie dookoła było biało. I zimno.

Tyle z moich zdolności, pomyślała Ciri, czując, jak zamarza jej w nosie. Tyle z mojej mocy. Ładna ze mnie Pani Światów, nie ma co! Chciałam do Geralta, trafiłam w środek jakiejś zatraconej dziczy, zimy i zamieci.

– No, Kelpie, rusz się, bo skostniejesz! – ujęła wodze palcami bezwładniejącymi od mrozu. – Dalej, dalej, kara! Ja wiem, że to nie to miejsce co trzeba, zaraz nas stąd zabiorę, zaraz wrócimy na nasze ciepłe wrzosowisko. Ale muszę się skupić, a to może potrwać. Dlatego ruszaj się! No, jazda!

Kelpie buchnęła parą z nozdrzy.

Wicher dął, śnieg lepił się do twarzy, topniał na rzęsach. Mroźna wieja wyła i gwizdała.

•

– Spójrzcie! – zawołała Angoulême, przekrzykując wichurę. – Spójrzcie tam! Tam są ślady! Ktoś tamtędy jechał!

– Co mówisz? – Geralt odwinął szal, którym okręcił sobie głowę, chroniąc uszy przed odmrożeniem. – Co mówisz, Angoulême?

– Ślady! Ślady konia!

– A skąd tu koń? – Cahir też musiał krzyczeć, zamieć wzmagała się, a rzeka Sansretour, zdawało się, szumiała i huczała coraz głośniej. – Skądby się tu miał wziąć koń?

– Sami zobaczcie!

– Faktycznie – ocenił wampir, który jako jedyny z kompanii nie zdradzał objawów totalnego przemarznięcia, będąc w sposób oczywisty

równie mało wrażliwy na niską, jak i na wysoką temperaturę. – Ślady. Ale czy konia?

– To niemożliwe, żeby to był koń – Cahir ostro pomasował policzki i nos. – Nie na tym odludziu. Te ślady pewnie zostawiło jakieś dzikie zwierzę. Najpewniej muflon.

– Sam jesteś muflon! – wrzasnęła Angoulême. – Jak mówię, że koń, to znaczy koń!

Milva, jak zwykle, przełożyła praktykę nad teorię. Zeskoczyła z siodła, schyliła się, odsuwając na tył głowy lisi kołpak.

– Smarkula ma rację – zawyrokowała po chwili. – To koń. Chyba nawet podkuty, ale trudno rzec, wiuga ślady pozawiewała. Pojechał tam, w tamten wąwóz.

– Ha! – Angoulême z rozmachem zabiła ręce. – Wiedziałam! Ktoś tu mieszka! W okolicy! Jedźmy tym tropem, może trafimy do jakiejś ciepłej chałupy? Może pozwolą się ogrzać? Może ugoszczą?

– Ani chybi – rzekł z przekąsem Cahir. – Najpewniej bełtem z kuszy.

– Rozsądniej będzie trzymać się planu i rzeki – zawyrokował swym wszystkowiedzącym tonem Regis. – Nie grozi nam wówczas, że zabłądzimy. A w dole Sansretour miała być faktoria traperska, tam ugoszczą nas z dużo większym prawdopodobieństwem.

– Geralt? Co ty powiesz?

Wiedźmin milczał, zapatrzony w kotłujące się w zawiei śniegowe płatki.

– Jedziemy za śladami – zdecydował wreszcie.

– Doprawdy... – zaczął wampir, ale Geralt przerwał mu natychmiast.

– Za śladami kopyt! Jazda, w drogę!

Popędzili wierzchowce, ale nie ujechali daleko. Zapuścili się w wąwóz na nie więcej niż ćwierć stajania.

– Koniec – stwierdziła fakt Angoulême, patrząc na gładziutki i dziewiczy śnieg. – Było, nie ma. Jak w elfim cyrku.

– Co teraz, wiedźminie? – Cahir odwrócił się na kulbace. – Ślady się skończyły. Zawiało je.

– Nie zawiało ich – zaprzeczyła Milva. – Tu, w jar, zawieja nie dochodzi.

– Co więc stało się z tym koniem?

Łuczniczka wzruszyła ramionami, skurczyła się w siodle, wciągając głowę w ramiona.

– Gdzie podział się ten koń? – nie rezygnował Cahir. – Zniknął? Uleciał? A może to się nam wszystko zdawało? Geralt? Co ty na to?

Wichura zawyła nad wąwozem, zamiotła, zakurzyła śniegiem.

– Dlaczego – zapytał wampir, przyglądając się wiedźminowi bacznie – kazałeś nam jechać tym śladem, Geralt?

– Nie wiem – przyznał po chwili. – Coś... Coś czułem. Coś mnie tknęło. Nieważne co. Miałeś rację, Regis. Wracajmy nad Sansretour i trzymajmy się rzeki, bez wycieczek i skoków w boki, które mogą źle się skończyć. Zgodnie z tym, co mówił Reynart, prawdziwa zima i złe pogody czekają na nas dopiero na przełęczy Malheur. Gdy tam dotrzemy, musimy być w pełni sił. Nie stójcie tak, zawracamy.

– Nie wyjaśniwszy, co stało się z tym dziwnym koniem?

– A co tu wyjaśniać? – rzucił gorzko wiedźmin. – Ślady zamiotło i tyle. Zresztą, może to naprawdę był muflon?

Milva popatrzyła na niego dziwnie, ale powstrzymała się od komentarza.

Gdy wrócili nad rzekę, tajemniczych śladów nie było już i tam, zaniosło je i zasypało mokrym śniegiem. W cynowoszarym nurcie Sansretour gęsto płynął śryż, wirowały i obracały się kawały kry.

– Coś wam powiem – odezwała się Angoulême. – Ale obiecajcie, że nie będziecie się śmiać.

Odwrócili się. W naciągniętej na uszy wełnianej czapce z pomponem, z zaczerwienionymi od mrozu policzkami i nosem, odziana w niekształtny kożuch dziewczyna wyglądała zabawnie, wypisz, wymaluj mały i pękaty kobold.

– Coś wam powiem względem tych śladów. Jak byłam u Słowika, w hanzie, to mówili, że zimą po przełęczach jeździ na zaklętym siwku Król Gór, władca lodowych demonów. Spotkać go twarzą w twarz, pewna śmierć. Co powiesz, Geralt? Czy to możliwe, żeby...

– Wszystko – przerwał jej. – Wszystko jest możliwe. W drogę, kompania. Przed nami przełęcz Malheur.

Śnieg smagał i siekł, wiatr dął, śród kurniawy świszczały i wyły lodowe demony.

•

W tym, że wrzosowisko, na które trafiła, nie jest jej znajomym wrzosowiskiem, Ciri połapała się od razu. Nie musiała nawet czekać

wieczoru, była pewna, że tu nie zobaczyłaby dwóch księżyców.

Las, którego skrajem pojechała, był równie dziki i nieprzystępny jak tamten, ale różnice dały się widzieć. Tu, dla przykładu, było o wiele więcej brzóz, a o wiele mniej buków. Tam nie słyszało i nie widziało się ptaków, tu było ich mnóstwo. Tam między wrzosami były tylko piach i mech, tutaj dywanami całymi płoził się zielony widłak. Nawet pryskające sprzed kopyt Kelpie koniki polne były tutaj jakieś inne. Swojskie jakby. A potem...

Serce zabiło jej mocniej. Zobaczyła dróżkę, zarośniętą i zaniedbaną. Wiodącą w głąb lasu.

Ciri rozejrzała się dokładnie i upewniła, że dziwna droga nie biegnie dalej, że tu ma swój koniec. Że nie wiedzie do lasu, ale z niego lub przezeń. Nie deliberując długo, szturchnęła bok klaczy obcasem i wjechała między drzewa. Będę jechać do południa, pomyślała, jeśli do południa nie natrafię na nic, zawrócę i pojadę w stronę przeciwną, za wrzosowiska.

Jechała stępa pod baldachimem konarów, rozglądając się uważnie, starając się nie przegapić niczego ważnego. Dzięki temu nie przegapiła staruszka wyglądającego zza pnia dębu.

Staruszek, niziutki, ale bynajmniej nie zgarbiony, ubrany był w lnianą koszulę i portki z takiegoż materiału. Na nogach miał wielkie i prześmiesznie wyglądające łapcie z łyka. W jednym ręku dzierżył sękaty kostur, w drugim wiklinową kobiałkę. Jego twarzy Ciri nie widziała dokładnie, kryło ją obszarpane i zwisające rondo słomianego kapelusza, spod którego wystawał opalony nos i siwa skołtuniona broda.

– Bez lęku – powiedziała. – Nie uczynię ci nic złego.

Siwobrody przestąpił z łapcia na łapeć i zdjął kapelusz. Twarz miał okrągłą, upstrzoną starczymi plamami, ale czerstwą i niewiele pomarszczoną, brwi rzadkie, podbródek mały i bardzo silnie cofnięty. Długie siwe włosy nosił związane na karku w harcap, wierzch głowy miał natomiast zupełnie łysy, błyszczący i żółty jak harbuz.

Widziała, że patrzy na jej miecz, na wystającą ponad ramię rękojeść.

– Nie lękaj się – powtórzyła.

– Hej, hej! – powiedział, mamląc nieco. – Hej, hej, moja panno. Leśny Dziadek się nie lęka. Nie jest z tych lękliwych, o nie.

Uśmiechnął się. Zęby miał duże, bardzo mocno wysunięte do przodu, a to przez zły zgryz i cofniętą żuchwę. To wskutek tego tak mamlał.

– Leśny Dziadek nie boi się wędrowców – powtórzył. – Nawet zbójców. Leśny Dziadek ubogi jest, nieboraczek. Leśny Dziadek spokojny, nie wadzi nikomu. Hej!

Uśmiechnął się znowu. Gdy się uśmiechał, zdawał się składać wyłącznie z przednich zębów.

– A ty, moja panno, nie lękasz się Leśnego Dziadka?

Ciri parsknęła.

– Wyobraź sobie, że nie. Też nie jestem z tych lękliwych.

– Hej, hej, hej! A to ci dopiero!

Zrobił krok w jej stronę, podpierając się kosturem. Kelpie parsknęła. Ciri ściągnęła jej wodze.

– Nie lubi obcych – ostrzegła. – A potrafi ugryźć.

– Hej, hej! Leśny Dziadek wie. Niedobra, niegrzeczna kobyłka! A skąd to, ciekawość, panna jedzie? I dokąd, dajmy na to, zmierza?

– To długa historia. Dokąd prowadzi ta droga?

– Hej, hej! To panna tego nie wie?

– Nie odpowiadaj pytaniami na pytania, jeśli łaska. Dokąd dojadę tą drogą? Co to w ogóle za miejsce? I co to... za czas?

Staruszek znowu wystawił zęby, poruszył nimi jak nutria.

– Hej, hej – zamamlał. – A to ci dopiero. Jaki czas, panna pyta? Oj, z daleka, widać, z daleka, przywędrowała panna do Leśnego Dziadka!

– Z dość daleka, owszem – kiwnęła obojętnie. – Z innych...

– Miejsc i czasów – dokończył. – Dziadek wie. Dziadek się domyślił.

– Czego? – spytała podniecona. – Czego się domyśliłeś? Co wiesz?

– Leśny Dziadek wie dużo.

– Mów!

– Panna głodna pewnie? – wysunął zęby. – Spragniona? Zdrożona? Jeśli zechce, Leśny Dziadek zawiedzie do chaty, nakarmi, napoi. Ugości.

Ciri od dłuższego czasu nie miała czasu i głowy, by myśleć o odpoczynku i jedzeniu. Teraz słowa dziwnego starca sprawiły, że żołądek skurczył się jej, jelita zasupłały w supeł, a język uciekł gdzieś głęboko. Starzec obserwował ją spod ronda kapelusza.

– Leśny Dziadek – zamamlał – w chacie ma jadło. Ma wodę źródlaną. Ma i siano dla kobyłki, złej kobyłki, co chciała poczciwego Dziadka ugryznąć. Hej! Wszystko jest w chacie u Leśnego Dziadka. A i pogadać o miejscach i czasach można będzie... To wcale niedaleko, o nie. Skorzysta

panna wędrowniczka? Nie wzgardzi gościną ubogiego Dziadka nieboraczka?

Ciri przełknęła ślinę.

– Prowadź.

Leśny Dziadek odwrócił się i poczłapał ledwo widoczną ścieżynką wśród gęstwiny, odmierzając drogę energicznymi wymachami kostura. Ciri jechała za nim, schylając głowę pod gałęziami i powstrzymując cuglami Kelpie, która iście zawzięła się, żeby ukąsić staruszka lub przynajmniej zjeść mu kapelusz.

Wbrew zapewnieniom wcale nie było niedaleko. Gdy dotarli na miejsce, na polanę, słońce stało już prawie w zenicie.

Chata Dziadka okazała się malowniczą ruderą na palach, z dachem, który ewidentnie reperowany był często i za pomocą tego, co akurat było pod ręką. Ściany chaty obite były skórami wyglądającymi na świńskie. Przed chatą stała drewniana konstrukcja o kształcie szubienicy, niski stół i pień z wbitą siekierą. Za chatą widać było palenisko z kamieni i gliny, na którym stały wielkie okopcone sagany.

– Oto dom Leśnego Dziadka – staruszek nie bez dumy wskazał kosturem. – Tutaj Leśny Dziadek mieszka. Tutaj sypia. Tutaj jadło gotowi. Jeśli ma co gotowić. Trud, srogi to trud dobyć jadła na puszczy. Panna wędrowniczka lubi kaszkę perłową?

– Lubi. – Ciri znowu przełknęła ślinę. – Wszystko lubi.

– Z mięskiem? Z omastą? Ze skwarkami?

– Mhm.

– A nie widać – Dziadek obrzucił ją taksującym spojrzeniem – żeby panna ostatnio często mięska i skwarków kosztowała, o nie. Chudziutka panna, chudziutka. Skóra i kości! Hej, hej! A to co takiego? Za panny plecami?

Ciri obejrzała się, dając się nabrać na najstarszą i najprymitywniejszą sztuczkę świata.

Straszliwy cios sękatego kostura trafił ją prosto w skroń. Refleksu wystarczyło jej tylko na tyle, by unieść rękę, dłoń częściowo zamortyzowała uderzenie zdolne rozbić czaszkę jak jajo. Ale Ciri i tak znalazła się na ziemi, ogłuszona, oszołomiona i kompletnie zdezorientowana.

Dziadek, wyszczerzywszy zęby, doskoczył do niej i zdzielił kosturem jeszcze raz. Ciri znowu zdołała zasłonić głowę rękami, skutek był taki, że

obie zwisły jej bezwładnie. Lewa była z pewnością przetrącona, kości śródręcza prawdopodobnie strzaskane.

Dziadek, skacząc, dopadł ją z drugiej strony i walnął kijem w brzuch. Krzyknęła, zwijając się w kłębek. Wtedy rzucił się na nią jak jastrząb, przewrócił twarzą do ziemi, przygniótł kolanami. Ciri wyprężyła się, ostro wierzgnęła w tył, chybiając, zadała gwałtowny cios łokciem, trafiając. Dziadek ryknął wściekle i huknął ją pięścią w potylicę z taką mocą, że zaryła twarzą w piach. Chwycił ją za włosy na karku i przytłoczył do ziemi nos i usta. Poczuła, że się dusi. Starzec uklęknął na niej, wciąż cisnąc głowę do ziemi, zerwał jej z pleców miecz i odrzucił go. Potem zaczął gmerać koło spodni, znalazł klamrę, rozpiął. Ciri zawyła, krztusząc się i plując piaskiem. Przydusił ją mocniej, unieruchomił, wkręciwszy włosy w pięść. Mocnym szarpnięciem zdarł jej spodnie.

– Hej, hej – zamamlał, dysząc rzężąco. – A to się dopiero trafiła Dziadkowi ładna dupka. Hu, huuu, dawno, dawno Dziadek takiej nie miał.

Ciri, czując obrzydliwy dotyk jego suchej szponiastej dłoni, wrzasnęła z ustami pełnymi piasku i sosnowych igieł.

– Leż spokojnie, panna. – Słyszała, jak się ślini, miętosząc jej pośladki. – Dziadek nie jest już młody, nie od razu, pomału... Ale nie ma strachu, Dziadek zrobi, co trzeba. Hej, hej! A potem sobie Dziadek podje, hej, podje! Suto sobie...

Urwał, zaryczał i zakwiczał.

Czując, że chwyt zelżał, Ciri wierzgnęła, wyszarpnęła się i zerwała jak sprężyna. I zobaczyła, co się stało.

Kelpie, podkradłszy się cichaczem, chwyciła Leśnego Dziadka zębami za harcap i niemal uniosła w górę. Staruch wył i kwiczał, szarpał się, kopał i fikał nogami, wreszcie zdołał się wydrzeć, zostawiając w zębach klaczy długi siwy kosmyk. Chciał chwycić swój kostur, ale Ciri kopnięciem usunęła mu go z zasięgu rąk. Drugim kopnięciem chciała go poczęstować w to, w co należało, ale ruchy krępowały jej spodnie ściągnięte do połowy ud. Czas, jaki zajęło jej ich podciągnięcie, Dziadek wykorzystał dobrze. Kilkoma susami doskoczył do pieńka, wyrwał z niego siekierę, machnięciem odpędził wciąż zawziętą Kelpie. Zaryczał, wystawił swe straszne zęby i rzucił się na Ciri, wznosząc topór do ciosu.

– Dziadek wydupczy cię, panienko! – zawył dziko. – Choćby cię Dziadek musiał najsamprzód rozkawałkować! Dziadkowi zajedno, cała, czy w porcjach!

Myślała, że poradzi sobie z nim łatwo. W końcu to był stary, zgrzybiały dziadyga. Myliła się bardzo.

Mimo monstrualnych łapci skakał jak cyga, kicał zwinnie jak królik, a toporem o wygiętym stylisku wywijał z wprawą rzeźnika. Gdy ciemne i wyostrzone ostrze kilka razy wręcz otarło się o nią, Ciri zorientowała się, że jedyne, co może ją uratować, to ucieczka.

Ale uratował ją zbieg okoliczności. Cofając się, zawadziła stopą o swój miecz. Podniosła go błyskawicznie.

– Rzuć siekierę – wydyszała, z sykiem wyciągając Jaskółkę z pochwy. – Rzuć siekierę na ziemię, obleśny staruchu. Wtedy, kto wie, może daruję cię zdrowiem. I nie rozkawałkuję.

Zatrzymał się. Sapał i rzęził, a brodę miał obrzydliwie oplutą. Broni jednak nie rzucił. Widziała, jak przebiera palcami po toporzysku. Widziała w jego oczach dziką wściekłość.

– No! – wywinęła mieczem syczącego młyńca. – Uprzyjemnij mi dzień!

Przez chwilę patrzył na nią, jakby nie rozumiejąc, potem wystawił zęby, wybałuszył oczy, zaryczał i rzucił się na nią. Ciri miała dość żartów. Umknęła mu szybkim półobrotem i cięła z dołu przez oba wzniesione ramiona, powyżej łokci. Dziad wypuścił topór z sikających krwią rąk, ale natychmiast skoczył na nią znowu, godząc w oczy rozcapierzonymi palcami. Odskoczyła i krótko chlasnęła go w kark. Bardziej z litości niż z potrzeby; z przeciętymi obiema tętnicami ramiennymi i tak wykrwawiłby się niebawem.

Leżał, niewiarygodnie ciężko rozstając się z życiem, mimo rozrąbanych kręgów nadal wijąc się jak robak. Ciri stanęła nad nim. Resztki piasku wciąż zgrzytały jej w zębach. Wypluła mu je prosto na plecy. Zanim skończyła pluć, umarł.

•

Dziwna konstrukcja przed chatynką, przypominająca szubienicę, była zaopatrzona w żelazne haki i wielokrążek. Stół i pieniek były wyślizgane, lepiły się od tłuszczu, cuchnęły brzydko.

Jakby jatką.

Na kuchni Ciri znalazła sagan z resztkami owej zachwalanej kaszy perłowej, omaszczonej suto, pełnej kawałków mięsa i grzybów. Była bardzo głodna, ale coś ją tknęło, by tego nie jeść. Napiła się tylko wody z cebrzyka, zgryzła małe i pomarszczone jabłko.

Za chatynką znalazła piwniczkę ze schodkami, głęboką i chłodną. W piwniczce stały garnki ze smalcem. U stropu wisiało mięso. Resztka półtuszki.

Wypadła z loszku, potykając się na schodkach, jakby goniły ją diabły. Przewróciła się w pokrzywy, zerwała, chwiejnym krokiem dobiegła do chatynki, oburącz uchwyciła się jednego z podtrzymujących ją pali. Choć w żołądku nie miała prawie nic, wymiotowała bardzo gwałtownie i bardzo długo.

Wisząca w piwniczce resztka półtuszki należała do dziecka.

•

Wiedziona smrodem, znalazła w lesie podeszły wodą dół, do którego zapobiegliwy Leśny Dziadek wrzucał odpadki i to, czego nie dało się zjeść. Patrząc na wystające z mułu czaszki, żebra i miednice, Ciri z przerażeniem zdała sobie sprawę z faktu, że żyje wyłącznie dzięki lubieżności strasznego starca, tylko dzięki temu, że zachciało mu się swawolić. Gdyby głód był silniejszy od wstrętnej chuci, uderzyłby zdradziecko toporem, nie kijem. Powieszoną za nogi na drewnianej szubienicy wypatroszyłby ją i oskórował, sprawił i podzielił na stole, porąbał na pieńku...

Choć chwiała się na nogach od zawrotów głowy, a lewa dłoń, spuchnięta, rwała bólem, zawlokła trupa do dołu w lesie i zepchnęła w śmierdzący szlam, między kości ofiar. Wróciła, zawaliła gałęziami i ściółką wejście do piwniczki, obłożyła chrustem pale chatynki i całą dziadkową chudobę. Potem pieczołowicie podpaliła wszystko z czterech końców.

Odjechała, gdy tylko solidnie się zajęło, gdy ogień rozszalał się i rozhuczał jak należy. Gdy już była pewna, że żaden przelotny deszcz nie przeszkodzi w zatarciu wszelkiego śladu po tym miejscu.

•

Z ręką nie było tak źle. Spuchła, owszem, bolała, a jakże, ale żadna kość chyba nie była złamana.

Gdy zbliżył się wieczór, na niebo faktycznie wszedł jeden księżyc. Ale Ciri dziwnie jakoś nie chciało się uznawać tego świata za swój.

Ani zostawać w nim dłużej niż potrzeba.

•

– Dziś – mruknęła Nimue – będzie dobra noc. Czuję to.

Condwiramurs westchnęła.

Horyzont płonął złotem i czerwienią. Takiej samej barwy pręga kładła się na wodzie jeziora, od horyzontu do wyspy.

Siedziały na tarasie, na fotelach, mając za plecami zwierciadło w hebanowej ramie i gobelin przedstawiający przytulone do skalnej ściany zamczysko przeglądające się w wodzie górskiego jeziora.

Któryż to już wieczór, pomyślała Condwiramurs, któryż to wieczór siedzimy tak, aż do zapadnięcia zmroku i później, w ciemnościach? Bez żadnego efektu? Gadając tylko?

Robiło się chłodno. Czarodziejka i adeptka okryły się futrami. Z jeziora słyszały skrzyp dulek łodzi Króla Rybaka, ale jej nie widziały – była skryta w oślepiającym blasku zachodu.

– Dość często śni mi się – Condwiramurs wróciła do przerwanego gadania – że jestem na lodowej pustyni, na której nie ma nic, tylko biel śniegu i zwały skrzącego się w słońcu lodu. Aż po horyzont, dookoła, nie ma nic, tylko śnieg i lód. I panuje cisza, cisza dzwoniąca w uszach. Cisza nienaturalna. Cisza śmierci.

Nimue kiwnęła głową, jakby dawała znać, że wie, o co chodzi. Ale nie skomentowała.

– Nagle – podjęła adeptka – nagle wydaje mi się, że coś słyszę. Że czuję, jak lód drży pod moimi stopami. Klękam, rozgarniam śnieg. Lód jest przejrzysty jak szkło, jak na niektórych czystych górskich jeziorach, gdy kamienie na dnie i pływające ryby widać przez sążniowej grubości taflę. Ja w moim śnie też widzę, choć tafla ma dziesiątki, a może setki sążni grubości. Nie przeszkadza mi to widzieć... I słyszeć... ludzi wołających o pomoc. Tam w dole, głęboko pod lodem... jest zamarznięty świat.

Nimue nie skomentowała i tym razem.

– Oczywiście wiem – podjęła adeptka – gdzie jest źródło tego snu. Wieszczba Itliny, osławione Białe Zimno, Czas Mrozu i Wilczej Zamieci. Świat, który umiera wśród śniegów i lodów, aby, jak mówi

przepowiednia, po wiekach narodzić się ponownie. Oczyszczony i lepszy.

– W to – powiedziała cicho Nimue – że świat się odrodzi, wierzę głęboko. W to, że lepszy, nie bardzo.

– Słucham?

– Słyszałaś mnie.

– I nie przesłyszałam się? Nimue, Białe Zimno przepowiadano już tysiące razy, co ostrzejsza zima, to mówiono, że oto właśnie nadeszło. W tej chwili nawet dzieci nie wierzą, że jakakolwiek zima zdolna jest zagrozić światu.

– No proszę. Dzieci nie wierzą. A ja, wyobraź sobie, wierzę.

– Opierając się na jakichś przesłankach racjonalnych? – spytała z lekkim przekąsem Condwiramurs. – Czy wyłącznie na mistycznej wierze w nieomylność elfich wróżb?

Nimue milczała długo, skubiąc futro, którym była okryta.

– Ziemia – zaczęła wreszcie mentorskim nieco tonem – ma kształt kulisty i krąży wokół Słońca. Zgadzasz się z tym? Czy też należysz może do którejś z modnych sekt, które dowodzą czegoś zupełnie przeciwnego?

– Nie. Nie należę. Akceptuję heliocentryzm i zgadzam się z teorią o kulistości Ziemi.

– Świetnie. Zgodzisz się więc też zapewne z faktem, że pionowa oś kuli ziemskiej jest nachylona pod kątem, a droga Ziemi wokół Słońca nie ma kształtu regularnego okręgu, lecz jest eliptyczna?

– Uczyłam się o tym. Ale nie jestem astronomem, więc...

– Nie trzeba być astronomem, wystarczy logicznie myśleć. Ziemia obiega Słońce po orbicie o kształcie elipsy, a zatem jest w czasie obiegu już to bliżej, już to się oddala. Im bardziej Ziemia jest oddalona od Słońca, tym, to chyba logiczne, jest na niej zimniej. A im mniej oś świata odbiega od perpendykułu, tym mniej światła dociera na półkulę północną.

– To też logiczne.

– Oba te czynniki, to znaczy eliptyczność orbity i stopień nachylenia osi świata, podlegają zmianom. Jak się uważa, cyklicznym. Elipsa może być bardziej lub mniej eliptyczna, czyli rozciągnięta i wydłużona, oś świata może być mniej lub bardziej nachylona. Warunki ekstremalne, jeśli chodzi o klimat, powoduje jednoczesne wystąpienie obu zjawisk:

maksymalnego wyciągnięcia elipsy i nieznacznie tylko odchylonej od pionu osi. Obiegająca Słońce Ziemia otrzymuje w *aphelium* bardzo mało światła i ciepła, a rejony biegunowe są dodatkowo poszkodowane niekorzystnym kątem nachylenia osi.

– Jasne.

– Mniej światła na półkuli północnej to dłuższe zaleganie śniegu. Biały i lśniący śnieg odbija światło słoneczne, temperatura spada jeszcze bardziej. Śnieg zalega dzięki temu jeszcze dłużej, na coraz większych połaciach nie topnieje w ogóle lub topnieje tylko na krótko. Im więcej śniegu i im dłużej zalegającego, tym większa biała i lśniąca powierzchnia odbijająca...

– Pojęłam.

– Śnieg pada, pada, pada i jest go coraz więcej. Zauważ bowiem, że z prądami morskimi wędrują z południa masy ciepłego powietrza, które skraplają się nad wyziębionym północnym lądem. Ciepłe powietrze skrapla się i opada śniegiem. Im większa różnica temperatur, tym obfitszy opad. Im obfitszy opad, tym więcej białego, długo nie topniejącego śniegu. Tym zimniej. Tym większa różnica temperatur i obfitsze skraplanie się mas powietrza...

– Pojęłam.

– Pokrywa śnieżna robi się na tyle ciężka, by stać się sprasowanym lodem. Lodowcem. Na który, jak już wiemy, wciąż spada śnieg, ugniatając go jeszcze bardziej. Lodowiec rośnie, jest nie tylko coraz grubszy, ale rozrasta się wszerz, pokrywając coraz to większe obszary. Białe obszary...

– Odbijające promienie słoneczne – kiwnęła głową Condwiramurs. – Zimniej, zimniej, jeszcze zimniej. Białe Zimno wyprorokowane przez Itlinę. Ale czy możliwy jest kataklizm? Czy naprawdę grozi nam, że lód, który leży na północy od zawsze, popłynie znienacka na południe, zdruzgocze, sprasuje i zakryje wszystko? W jakim tempie rozrasta się czapa lodowa na biegunie? Kilka cali rocznie?

– Jak pewnie wiesz – powiedziała Nimue wpatrzona w jezioro – jedynym nie zamarzającym portem w Zatoce Praksedy jest Pont Vanis.

– Wiem to.

– Wzbogać wiedzę: sto lat temu nie zamarzał żaden z portów Zatoki. Sto lat temu, są na to liczne przekazy, w Talgarze rosły ogórki i dynie, w Caingorn uprawiano słonecznik i łubin. Obecnie się nie uprawia,

albowiem wegetacja wymienionych warzyw jest niemożliwa, jest tam zwyczajnie za zimno. A czy wiesz o tym, że w Kaedwen były winnice? Wina z tamtejszych winorośli nie były chyba najlepsze, bo z zachowanych dokumentów wynika, że były bardzo tanie. Ale i tak opiewali je miejscowi poeci. Dzisiaj w Kaedwen winorośl nie rośnie w ogóle. Dlatego, że obecne zimy, w odróżnieniu od dawnych, przynoszą silne mrozy, a silny mróz zabija winorośl. Nie tylko hamuje wegetację, ale zwyczajnie zabija. Niszczy.

– Rozumiem.

– Tak – zastanowiła się Nimue. – Co by tu jeszcze dodać? Może to, że śnieg spada w Talgarze w połowie listopada i sunie na południe w tempie ponad pięćdziesięciu mil na dobę? Że na przełomie grudnia i stycznia śnieżyce zdarzają się nad Albą, gdzie jeszcze sto lat temu śnieg był sensacją? A to, że śniegi tają, a jeziora odmarzają u nas w kwietniu, wie przecież każde dziecko! I każde dziecko dziwi się, dlaczego ten miesiąc nazywa się kwiecień. Ciebie to nie dziwiło?

– Nie bardzo – wyznała Condwiramurs. – Zresztą u nas, w Vicovaro, nie mówiło się kwiecień, tylko łżykwiat. Albo po elfiemu: *Birke*. Ale rozumiem, co sugerujesz. Nazwa miesiąca pochodzi z czasów zamierzchłych, gdy w kwietniu faktycznie wszystko kwitło...

– Te zamierzchłe czasy to wszystkiego sto, sto dwadzieścia lat. To nieledwie wczoraj, dziewczyno. Itlina miała absolutną słuszność. Jej przepowiednia się ziści. Świat zginie pod warstwą lodu. Cywilizacja zginie z winy Niszczycielki, która mogła, miała możliwość otworzyć drogę ratunku. Jak wiadomo z legendy, nie uczyniła tego.

– Z powodów, których legenda nie wyjaśnia. Lub wyjaśnia za pomocą mętnego i naiwnego moralitetu.

– To prawda. Ale fakt pozostaje faktem. Faktem jest Białe Zimno. Cywilizacja półkuli północnej skazana jest na zagładę. Zniknie pod lodami rozrastającego się lodowca, pod wieczną zmarzliną i śniegiem. Nie ma jednak co panikować, bo trochę potrwa, zanim to się stanie.

Słońce zaszło zupełnie, z powierzchni jeziora zniknął oślepiający odblask. Teraz na wodzie położyła się smuga bardziej miękkiego, łagodniejszego światła. Nad wieżą Inis Vitre wzeszedł księżyc, jasny jak przerąbany na pół złoty talar.

– Jak długo? – spytała Condwiramurs. – Jak długo to, według ciebie, potrwa? To znaczy, ile mamy czasu?

– Sporo.

– Ile, Nimue?

– Jakieś trzy tysiące lat.

Na jeziorze, na łodzi, Król Rybak huknął wiosłem i zaklął. Condwiramurs westchnęła głośno.

– Trochę mnie uspokoiłaś – powiedziała po chwili. – Ale tylko trochę.

•

Następne miejsce było jednym z paskudniejszych, które Ciri odwiedziła, z pewnością plasowało się w pierwszej dziesiątce i to w czołówce dziesiątki.

Był to port, kanał portowy, widziała łodzie i galery przy kejach i palach, widziała las masztów, widziała żagle, ciężko obwisłe w nieruchomym powietrzu. Dookoła pełzał i unosił się dym, kłęby śmierdzącego dymu.

Dym unosił się też zza krzywych ruder stojących nad kanałem. Słychać było stamtąd głośny, rwący się płacz dziecka.

Kelpie zaprychała, mocno targając łbem, cofnęła się, tłukąc kopytami o bruk. Ciri spojrzała w dół i spostrzegła nieżywe szczury. Leżały wszędzie. Martwe, poskręcane w męczarniach gryzonie z bladymi różowymi łapkami.

Coś tu jest nie tak, pomyślała, czując, jak ogarnia ją przerażenie. Coś tu jest nie tak. Uciekać stąd. Uciekać jak najprędzej!

Pod obwieszonym sieciami i linami słupem siedział mężczyzna w rozchełstanej koszuli, z głową przekrzywioną na ramię. Kilka kroków dalej leżał drugi. Nie wyglądali na śpiących. Nawet nie drgnęli, gdy podkowy Kelpie zastukały o kamienie tuż obok nich. Ciri schyliła głowę, przejeżdżając pod zwisającymi ze sznurów łachmanami wydzielającymi cierpki odór brudu.

Na drzwiach jednej z ruder widniał krzyż wymalowany wapnem lub białą farbą. Zza dachu smużył w niebo czarny dym. Dziecko wciąż płakało, ktoś krzyczał w oddali, ktoś bliższy kasłał i rzęził. Wył pies.

Ciri poczuła swędzenie na dłoni. Spojrzała.

Rękę miała, niby kminkiem, upstrzoną czarnymi przecinkami pcheł.

Wrzasnęła na całe gardło. Trzęsąc się cała z przerażenia i wstrętu, zaczęła otrzepywać się i ogarniać, gwałtownie wymachując rękami. Spłoszona Kelpie runęła w galop, Ciri o mało nie spadła. Ściskając boki

klaczy udami, oburącz przeczesywała i czochrała włosy, otrząsała kurtkę i koszulę. Kelpie cwałem wpadła w zasnutą dymem uliczkę. Ciri krzyknęła ze zgrozy.

Jechała przez piekło, przez inferno, przez najkoszmarniejszy z koszmarów. Wśród domów oznaczonych białymi krzyżami. Wśród tlących się kup szmat. Wśród umarłych, leżących pojedynczo i takich, którzy leżeli w stertach, jeden na drugim. I wśród żywych, obdartych, półnagich upiorów z zapadniętymi od bólu policzkami, czołgających się w gnoju, krzyczących w języku, którego nie rozumiała, wyciągających ku niej wychudłe, pokryte okropnymi, krwawymi krostami ramiona...

Uciekać! Uciekać stąd!

Nawet w czarnej nicości, w niebycie archipelagu miejsc Ciri jeszcze długo czuła w nozdrzach tamten dym i smród.

•

Następne miejsce też było portem. Również była tu keja, był opalowany kanał, na kanale kogi, barkasy, szkuty, łodzie, a nad nimi las masztów. Ale tu, w tym miejscu, nad masztami wesoło pokrzykiwały mewy, a śmierdziało zwyczajnie i swojsko: mokrym drewnem, smołą, morską wodą, a także rybą we wszystkich trzech podstawowych wariantach: świeżą, nieświeżą i smażoną.

Na pokładzie pobliskiej kogi kłócili się dwaj mężczyźni, przekrzykując się podniesionymi głosami. Rozumiała, co mówią. Szło o ceny śledzi.

Nieopodal była tawerna, z jej otwartych drzwi buchał odór stęchlizny i piwa, słychać było głosy, brzęki, śmiechy. Ktoś ryczał plugawą piosenkę, wciąż tę samą zwrotkę.

Luned, v'ard t'elaine arse,
Aen a meath ail aen sparse!

Wiedziała, gdzie była. Zanim jeszcze przeczytała na rufie nazwę jednego z galeasów: „Evall Muire". I port macierzysty: Baccalá. Wiedziała, gdzie była.

W Nilfgaardzie.

Uciekła, zanim ktokolwiek zwrócił na nią baczniejszą uwagę.

Nim jednak zdołała zanurkować w nicość, pchła, ostatnia z tych, które ją oblazły w poprzednim miejscu, która przetrwała podróż w czasie i

przestrzeni przyczajona w fałdzie kurtki, skoczyła długim pchlim skokiem na portową keję.

Jeszcze tego samego wieczora pchła zadomowiła się w wyliniałym futerku szczura, starego samca, weterana wielu szczurzych bitew, o czym świadczyło odgryzione przy samej czaszce ucho. Jeszcze tego samego wieczora pchła i szczur zaokrętowali się. A już następnego ranka wypłynęli w rejs. Na holku, starym, zaniedbanym i bardzo brudnym.

Holk nosił nazwę „Catriona". Nazwa ta miała przejść do historii. Ale wówczas nie wiedział o tym nikt.

•

Następne miejsce – choć naprawdę trudno było w to uwierzyć – zaskoczyło obrazem iście sielankowym. Nad spokojną, leniwą rzeką płynącą wśród schylonych nad wodą wierzb, olch i dębów, tuż obok mostu spinającego brzegi zgrabnym kamiennym łukiem, stała wśród malw kryta trzciną oberża porośnięta dzikim winem, bluszczem i pnącym groszkiem. Nad gankiem kołysał się szyld, były na nim złocone litery. Litery dla Ciri zupełnie obce. Ale na szyldzie widniał też całkiem udatny rysunek kota, założyła więc, że to oberża „Pod Czarnym Kotem".

Płynący od oberży zapach jadła po prostu zniewalał. Ciri nie zastanawiała się długo. Poprawiła miecz na plecach i weszła.

Wewnątrz było pusto, tylko przy jednym ze stołów siedziało trzech mężczyzn o wyglądzie wieśniaków. Nawet na nią nie spojrzeli. Ciri siadła w kącie, plecami do ściany.

Oberżystka, korpulentna kobieta w czyściutkim fartuchu i rogatym czepcu, podeszła i spytała o coś. Jej głos brzmiał brzękliwie, ale melodyjnie. Ciri pokazała palcem na otwarte usta, poklepała się po brzuchu, po czym obcięła jeden ze srebrnych guzów kurtki, położyła na stole. Widząc dziwne spojrzenie, już brała się do obcinania drugiego guza, ale kobieta powstrzymała ją gestem i sykliwym, choć mile dźwięczącym słowem.

Ekwiwalentem guza okazała się miska gęstej warzywnej polewki, gliniany garnek z fasolą i wędzonką, chleb i dzbanek rozcieńczonego wina. Przy pierwszej łyżce Ciri pomyślała, że chyba się rozpłacze. Ale opanowała się. Jadła powoli. Rozkoszowała się.

Oberżystka podeszła, zabrzęczała pytająco, przyłożyła policzek do złożonych dłoni. Czy zostanie na noc?

– Nie wiem – powiedziała Ciri. – Może. W każdym razie dziękuję za ofertę.

Kobieta uśmiechnęła się i odeszła do kuchni.

Ciri rozpięła pas, oparła się plecami o ścianę. Zastanawiała się, co dalej. Miejsce – w porównaniu zwłaszcza do kilku ostatnich – było sympatyczne, zachęcało do dłuższego pobytu. Wiedziała jednak, że zbytnia ufność może być niebezpieczna, a brak czujności zgubny.

Czarny kot, dokładnie taki jak na szyldzie zajazdu, zjawił się nie wiadomo skąd, otarł o jej łydkę, prężąc grzbiet. Pogłaskała go, kot lekko tryknął łebkiem jej dłoń, usiadł i zaczął wylizywać sobie futerko na piersi. Ciri patrzyła.

Widziała Jarre siedzącego przy ognisku w kręgu jakichś nieładnie wyglądających oberwańców. Wszyscy gryźli coś, co przypominało kawałki węgla drzewnego.

– Jarre?

– Tak trzeba – powiedział chłopiec, patrząc w płomienie ogniska. – Czytałem o tym w *Historii wojen*, dziele autorstwa marszałka Pelligrama. Tak trzeba, gdy ojczyzna w potrzebie.

– Co trzeba? Gryźć węgiel?

– Tak. Właśnie tak. Matka ojczyzna wzywa. A częściowo z pobudek osobistych.

– Ciri, nie śpij w siodle – mówi Yennefer. – Dojeżdżamy.

Na domach miasta, do którego dojeżdżają, na wszystkich drzwiach i wrotach widnieją wielkie krzyże namalowane białą farbą lub wapnem. Kłębi się gęsty i smrodliwy dym, dym ze stosów, na których pali się trupy. Yennefer zdaje się tego nie zauważać.

– Muszę się upiększyć.

Przed jej twarzą, nad uszami konia wisi lusterko. Grzebień tańczy w powietrzu, czesze czarne loki. Yennefer używa tylko czarów, w ogóle nie używa rąk, bo..

Bo jej ręce są masą skrzepłej krwi.

– Mamusiu! Co oni ci zrobili?

– Wstań, dziewczyno – mówi Coën. – Opanuj ból, wstań i na grzebień! Inaczej złapiesz lęk. Chcesz do końca życia umierać ze strachu?

Jego żółte oczy świecą nieładnie. Ziewa. Jego kończyste zęby błyskają bielą. To wcale nie Coën. To kot. Czarny kot...

Długa na wiele mil kolumna wojska maszeruje, nad nią chwieje się i faluje las dzid i chorągwi. Jarre też maszeruje, na głowie ma okrągły hełm, na ramieniu pikę, tak długą, że musi ją trzymać kurczowo, oburącz, inaczej by go przeważyła. Warczą bębny, dudni i hurkoce wojacki śpiew. Nad kolumną kraczą wrony. Mnóstwo wron...

Brzeg jeziora, na plaży czapy z ubitej piany, wyrzucone zbutwiałe trzciny. Na jeziorze wyspa. Wieża. Zębaty blankami, zgrubiały narośla mi machikułów stołp. Nad wieżą granatowiejące wieczorne niebo, błyszczy księżyc, jasny niby przerąbany na pół złoty talar. Na tarasie dwie siedzące w fotelach kobiety otulone w futra. Mężczyzna na łodzi...

Zwierciadło i gobelin.

Ciri podrywa głowę. Naprzeciw, za stołem, siedzi Eredin Bréacc Glas.

– Nie możesz nie wiedzieć – mówi, szczerząc w uśmiechu swe równe zęby – że tylko odwlekasz nieuniknione. Należysz do nas i dostaniemy cię.

– Akurat!

– Wrócisz do nas. Powędrujesz trochę po miejscach i czasach, potem trafisz na Spiralę, a na Spirali cię dostaniemy. Do twego świata i czasu nie wrócisz już nigdy. Zresztą, już za późno. Nie masz do kogo wracać. Ludzie, których znałaś, dawno już umarli. Ich mogiły zarosły trawą i zapadły się. Ich imiona zostały zapomniane. Twoje imię również.

– Kłamiesz! Nie wierzę!

– Twoje wierzenia są twoją prywatną sprawą. Powtarzam, wkrótce trafisz na Spiralę, a ja już tam będę czekał. Ty przecież skrycie tego pragniesz, *me elaine luned*.

– Bredzisz chyba!

– My, Aen Elle, wyczuwamy takie rzeczy. Byłaś mną zafascynowana, pragnęłaś mnie i bałaś się tego pragnienia. Pragnęłaś mnie i nadal pragniesz, Zireael. Mnie. Moich rąk. Mojego dotyku...

Dotknięta, poderwała się z impetem, przewracając kubek, na szczęście już pusty. Porwała za miecz, ale uspokoiła się natychmiast. Była w zajeździe „Pod Kotem", musiała zasnąć, zadrzemać nad stołem. Ręka, która dotknęła jej włosów, należała do zażywnej gospodyni. Ciri nie przepadała za tego typu poufałościami, ale od kobiety wręcz promieniowała życzliwość i dobroć, za którą nie wolno było odpłacać

opryskliwością. Pozwoliła głaskać się po głowie, z uśmiechem wysłuchała melodyjnej, brzękliwej mowy. Była zmęczona.

– Muszę jechać – powiedziała wreszcie.

Kobieta uśmiechnęła się, zabrzęczała śpiewnie. Jak to się dzieje, pomyślała Ciri, czemu przypisać, że we wszystkich światach, miejscach i czasach, we wszystkich językach i narzeczach to jedno słowo brzmi zawsze zrozumiale? I zawsze podobnie?

– Tak. Muszę do mamy. Moja mama na mnie czeka.

Karczmarka odprowadziła ją na podwórze. Nim Ciri znalazła się w siodle, objęła ją nagle mocno, przycisnęła do pulchnego biustu.

– Do widzenia. Dziękuję za gościnę. Naprzód, Kelpie.

Pojechała wprost na łukowaty most nad spokojną rzeką. Gdy podkowy klaczy zadzwoniły na kamieniach, obejrzała się. Kobieta wciąż stała przed karczmą.

Koncentracja, pięści przy skroniach. W uszach szum, jakby z wnętrza morskiej konchy. Błysk. I raptownie miękka i czarna nicość.

– *Bonne chance, ma fille!* – krzyknęła jej w ślad Teresa Lapin, karczmarka z oberży „Au chat noir" w Pont-sur-Yonne przy gościńcu wiodącym z Melun do Auxerre. – Powodzenia na szlaku!

•

Koncentracja, pięści przy skroniach. W uszach szum, jakby z wnętrza morskiej konchy. Błysk. I raptownie miękka i czarna nicość.

Miejsce. Jezioro. Wyspa. Wieża. Księżyc niby talar przerąbany na pół, jego blask kładzie się na wodzie świetlistą smugą. W smudze łódź, na niej mężczyzna z wędką...

Na tarasie wieży... Dwie kobiety?

•

Condwiramurs nie wytrzymała, krzyknęła z wrażenia, natychmiast zakryła usta dłonią. Król Rybak z pluskiem upuścił kotwicę, zaklął burkotliwie, potem otworzył gębę i tak zamarł. Nimue nawet nie drgnęła.

Przekreślona smugą księżycowego światła tafla jeziora zadrgała i zmarszczyła się jak pod uderzeniem wichury. Nocne powietrze nad taflą pękło tak, jak pęka rozbity witraż. Z pęknięcia wychynął kary koń. Z jeźdźcem na grzbiecie.

Nimue spokojnie wyciągnęła ręce, wyskandowała zaklęcie. Wiszący na stojaku gobelin zapłonął nagle, rozjarzył się feerią różnobarwnych światełek. Światełka odbiły się w owalu zwierciadła, zatańczyły, zakłębiły w szkle jak kolorowe pszczoły i nagle wypłynęły tęczowym widmem, rozszerzającą się smugą, od której zrobiło się jasno jak w dzień.

Czarna klacz stanęła dęba, zarżała dziko. Nimue gwałtownie rozwarła ręce, krzyknęła formułę. Condwiramurs, widząc tworzący się w powietrzu i rosnący obraz, skoncentrowała się mocno. Obraz natychmiast zyskał na ostrości. Stał się portalem. Bramą, za którą widać było...

Płaskowyż pełen wraków okrętów. Zamek wtopiony w ostre skały urwiska, górujący nad czarnym zwierciadłem górskiego jeziora...

– Tędy! – krzyknęła przenikliwie Nimue. – Oto droga, którą musisz podążyć! Ciri, córko Pavetty! Wjedź w portal, podążaj drogą wiodącą na spotkanie przeznaczenia! Niechaj zamknie się koło czasu! Niechaj wąż Uroboros zatopi zęby we własnym ogonie!

– Nie błądź dłużej! Spiesz się, spiesz na pomoc bliskim! To jest właściwa droga, wiedźminko!

Klacz zarżała znowu, ponownie zamłóciła kopytami powietrze. Dziewczyna w siodle kręciła głową, patrząc już to na nie, już to na obraz wywołany przez gobelin i zwierciadło. Odgarnęła włosy, a Condwiramurs zobaczyła brzydką bliznę na jej policzku.

– Zaufaj mi, Ciri! – krzyknęła Nimue. – Przecież mnie znasz! Już mnie kiedyś widziałaś!

– Pamiętam – usłyszały. – Ufam. Dziękuję.

Widziały, jak popędzona klacz lekkim i tanecznym krokiem wbiega w jasność portalu. Nim obraz zamazał się i rozpłynął, zobaczyły, jak szarowłosa dziewczyna macha ręką, odwrócona ku nim w siodle.

A potem wszystko znikło. Powierzchnia jeziora uspokajała się powoli, wstęga księżycowego światła wygładzała się znowu.

Było tak cicho, że wydawało im się, że słyszą rzężący oddech Króla Rybaka.

Powstrzymując cisnące się do oczu łzy, Condwiramurs mocno objęła Nimue. Czuła, jak mała czarodziejka drży. Trwały tak w uścisku czas jakiś. Bez słowa. Potem obie odwróciły się ku temu miejscu, gdzie zniknęła Brama Światów.

– Powodzenia, wiedźminko! – krzyknęły unisono. – Powodzenia na szlaku!

Opodal owego błonia, miejsca tej srogiej bitwy, w której cała niemal moc Północy starła się z całą niemal potęgą nilfgaardzkiego najeźdźcy, dwie były rybackie wioski: Stare Pupy i Brenna. Ponieważ jednak wówczas Brenna do gruntu była spalona, przyjęło się zrazu mówić o „bitwie pod Starymi Pupami". Dziś wszelako nikt nie mówi inaczej jak tylko „bitwa pod Brenną", a dwie po temu są przyczyny. Primo, odbudowana Brenna wielką dziś i prosperowną jest osadą, a Stare Pupy się przed czasem nie osiedziały i ślad po nich zarósł pokrzywą, perzem i łopuchem. Secundo, nie godziła się jakoś ta nazwa w koneksji z tamtym sławnym, wiekopomnym i tragicznym zarazem bojem. Bo też i jakże to tak: tu batalia, w której trzydzieści z górą tysięcy ludzi życie położyło, a tu nie dość, że Pupy, to jeszcze Stare.

Tak tedy w całym historycznym i wojskowym piśmiennictwie wyłącznie o bitwie pod Brenną pisać się przyjęło – tak u nas, jak i w nilfgaardzkich źródłach, których notabene dużo więcej jest niźli naszych.

Wielebny Jarre z Ellander Starszy, *Annales seu Cronicae Incliti Regni Temeriae*

Rozdział ósmy

– Kadecie Fitz-Oesterlen, ocena niedostateczna. Proszę siadać. Pragnę zwrócić uwagę pana kadeta, że brak wiedzy o słynnych i ważnych bitwach z historii własnej ojczyzny jest kompromitujący dla każdego patrioty i dobrego obywatela, ale w przypadku przyszłego oficera jest to po prostu skandal. Pozwolę sobie na jeszcze jedną małą uwagę, kadecie Fitz-Oesterlen. Od dwudziestu lat, to jest od czasu, gdy jestem wykładowcą w tej szkole, nie przypominam sobie egzaminu cenzusowego, na którym nie padałyby pytania o bitwę pod Brenną. Ignorancja w tym względzie praktycznie przekreśla zatem szanse na karierę w wojsku. No, ale gdy się jest baronem, nie ma musu być oficerem, można próbować sił w polityce. Lub w dyplomacji. Czego

serdecznie panu życzę, kadecie Fitz-Oesterlen. A my wracamy pod Brennę, panowie. Kadet Puttkammer!

– Jestem!

– Proszę do mapy. Proszę kontynuować. Od miejsca, w którym pana barona opuściła swada.

– Rozkaz! Powodem, dla którego marszałek polny Menno Coehoorn zdecydował dokonać manewru i szybkiego marszu na zachód, były raporty zwiadu donoszące, że armia Nordlingów idzie z odsieczą oblężonej twierdzy Mayena. Marszałek postanowił zastąpić Nordlingom drogę i zmusić ich do rozstrzygającej bitwy. W tym celu rozdzielił siły Grupy Armii „Środek". Część sił zostawił pod Mayeną, z resztą sił szybkim marszem ruszył...

– Kadecie Puttkammer! Nie jesteście pisarzem beletrystą. Jesteście przyszłym oficerem! Co to za określenie: „reszta sił"? Proszę podać mi dokładny *ordre de bataille* grupy uderzeniowej marszałka Coehoorna. Używając terminologii wojskowej!

– Tak jest, panie rotmistrzu. Marszałek polny Coehoorn miał pod swą komendą dwie armie: IV Armię Konną, dowodzoną przez generała majora Markusa Braibanta, patrona naszej szkoły...

– Bardzo dobrze, kadecie Puttkammer.

– Zasrany lizus – zasyczał ze swej ławki kadet Fitz-Oesterlen.

– ...oraz III Armię, dowodzoną przez generała lejtnanta Rhetza de Mellis-Stoke. W skład IV Armii Konnej, liczącej dwadzieścia z górą tysięcy żołnierza, wchodziły: dywizja „Venendal", dywizja „Magne", dywizja „Frundsberg", II Brygada Vicovarska, VII Brygada Daerlańska oraz brygady „Nauzicaa" i „Vrihedd". W skład III Armii wchodziły: dywizja „Alba", dywizja „Deithwen" oraz... hmmm... oraz dywizja...

•

– Dywizja „Ard Feainn" – stwierdziła Julia Abatemarco. – Jeśliście, rzecz jasna, czegoś nie poputali. Na pewno mieli na gonfalonie wielkie srebrne słońce?

– Mieli, pułkowniku – stwierdził twardo dowódca zwiadu. – Bez ochyby mieli!

– „Ard Feainn" – mruknęła Słodka Trzpiotka. – Hmm... Ciekawe. To by znaczyło, że w tych trzech kolumnach marszowych, któreście jakoby widzieli, idzie na nas nie tylko cała Konna, ale i część Trzeciej. Ha, nie!

Nic na wiarę! Ja to muszę zobaczyć na własne oczy. Rotmistrzu, na czas mojej nieobecności dowodzicie banderią. Rozkazuję pchnąć łącznika do pułkownika Pangratta...

– Ależ, pułkowniku, czy to rozsądne, by własną osobą...

– Wykonać!

– Tak jest!

– To iście hazard, pułkowniku! – przekrzyczał pęd galopu dowódca zwiadu. – Możemy wpaść na jakiś elfi podjazd...

– Nie gadaj! Prowadź!

Oddziałek ostrym galopem pognał w dół wąwozu, przemknął jak wicher doliną strumienia, wpadł w las. Tu musieli zwolnić. Jazdę utrudniał gąszcz, a nadto faktycznie groziło im, że znienacka wpakują się na podjazdy rekonesansowe lub forpoczty, które Nilfgaardczycy ponad wszelką wątpliwość wysłali. Zwiad kondotierów zachodził co prawda nieprzyjaciela z flanki, nie od czoła, ale flanki z pewnością też były ubezpieczane. Impreza była więc ryzykowna jak diabli. Ale Słodka Trzpiotka lubiła takie imprezy. A nie było w całej Wolnej Kompanii żołnierza, który nie poszedłby za nią. Choćby do piekła.

– To tu – powiedział dowódca zwiadu. – Ta wieża.

Julia Abatemarco pokręciła głową. Wieża była krzywa, zrujnowana, zjeżona połamanymi belkami, ażurowa od dziur, na których dujący z zachodu wiatr grał jak na fujarce. Nie wiadomo było, kto i po co tę wieżę wybudował tu, na pustkowiu. Ale widomym było, że wybudował dawno.

– To się nie zawali?

– Na pewno nie, pułkowniku.

W Wolnej Kompanii, wśród kondotierów, nie używało się „panów". Ani „pań". Tylko szarż.

Julia wspięła się na szczyt wieży szybko, niemal tam wbiegła. Dowódca zwiadu dołączył dopiero po minucie, a sapał jak buhaj kryjący krowę. Wsparta na krzywym parapecie Słodka Trzpiotka lustrowała dolinę za pomocą lunety, wysunąwszy język spomiędzy warg i wypiąwszy zgrabny tyłeczek. Dowódca zwiadu poczuł na ten widok dreszcz podniecenia. Opanował się szybko.

– „Ard Feainn", nie ma wątpliwości – oblizała wargi Julia Abatemarco. – Widzę też Daerlańczyków Elana Trahe, są tam także elfy z brygady „Vrihedd", starzy nasi znajomi spod Mariboru i Mayeny... Aha! Są i

Trupie Główki, słynna brygada „Nauzicaa”... Widzę też płomienie na proporcach dywizji pancernej „Deithwen”... I białą chorągiew z czarnym alerionem, znak dywizji „Alba”...

– Rozpoznajecie ich – odmruknął dowódca zwiadu – iście niczym znajomków... Tak się wyznajecie?

– Skończyłam akademię wojskową – ucięła Słodka Trzpiotka. – Jestem oficerem z cenzusem. Dobra, co chciałam zobaczyć, zobaczyłam. Wracamy do banderii.

•

– Idzie na nas Czwarta Konna i Trzecia – powiedziała Julia Abatemarco. – Powtarzam, cała Czwarta Konna i chyba cała kawaleria Trzeciej. Za chorągwiami, które widziałam, chmura kurzu biła w niebo. Tamtędy, w tych trzech kolumnach, idzie na moje oko czterdzieści tysięcy jazdy. A może więcej. Może...

– Może Coehoorn rozdzielił Grupę Armii „Środek” – dokończył Adam „Adieu” Pangratt, wódz Wolnej Kompanii. – Wziął tylko Czwartą Konną i jazdę z Trzeciej, bez piechoty, by iść szybko... Ha, Julia, gdybym to ja był na miejscu konetabla Natalisa albo króla Foltesta...

– Wiem. – Oczy Słodkiej Trzpiotki błysnęły. – Wiem, co byś zrobił. Pchnąłeś do nich gońców?

– Ma się rozumieć.

– Natalis to stary wyga. Może być, że jutro...

– Może być – nie dał jej dokończyć Adieu. – I nawet myślę, że będzie. Popędź konia, Julia. Chcę ci coś pokazać.

Ujechali kilka staj, szybko, znacznie wysforowując się przed resztę wojska. Słońce dotykało już niemal wzgórz na zachodzie, lasy i łęgi mroczyły dolinę długim cieniem. Ale widać było dość, by Słodka Trzpiotka z miejsca domyśliła się, co chciał jej pokazać „Adieu” Pangratt.

– Tutaj – potwierdził jej domysł Adieu, stając w strzemionach. – Tutaj przyjąłbym jutro bitwę. Gdyby to przy mnie była komenda nad armią.

– Ładny teren – przyznała Julia Abatemarco. – Równo, twardo, gładko... Jest się gdzie uszykować... Hmmm... Od tych górek do tych stawów, tam... Będzie jakieś trzy mile... Tamto wzgórze, o, wymarzone stanowisko dowodzenia...

– Dobrze mówisz. A tam, spójrz, w środku, jeszcze jedno jeziorko czy staw rybny, o, to, co tam błyszczy... Można wykorzystać... Rzeczka też

nadaje się na rubież, bo choć małe to, ale bagniste... Jak ta rzeczka się nazywa, Julia? Przejeżdżaliśmy przecie tamtędy wczoraj. Pamiętasz?

– Zapomniałam. Chochla chyba. Albo jakoś tak.

•

Kto tamte okolice zna, ten snadnie rzecz całą imaginować sobie może, tym zaś, co mniej bywali, odsłonię, że lewe skrzydło wojska królewskiego tego sięgało miejsca, gdzie dziś osada Brenna się znajduje. Czasu bitwy nijakiej osady tam nie było, bo roku łońskiego przez elfy Wiewiórki z dymem puszczona była i do gruntu zgorzała. Otóż tam, na skrzydle lewym właśnie, stał redański królewski korpus, któremu hrabia de Ruyter przewodził. A było w tym korpusie ludzi osiem tysięcy w piechocie i jeździe przedniej.

Środek królewskiego ugrupowania stał wedle wzgórza, które Szubienicznym potem nazwano. Tam, na wzgórzu, stali z pocztem król Foltest i konetabl Jan Natalis, z wysokości na całe bitewne pole prospekt mając. Tu główne siły wojsk naszych zgrupowane były – dwanaście tysięcy dzielnych temerskich i redańskich infanterzystów w cztery wielkie uformowanych czworoboki, dziesięcioma chorągwiami jazdy ochranianych, stojących aż po północny skraj stawu, przez okoliczną ludność Złotym mianowanego. Miało zaś środkowe ugrupowanie w drugiej linii huf rezerwowy – trzy tysiące wyzimskiej i mariborskiej piechoty, nad którą wojewoda Bronibor sprawował komendę.

Od południowego zaś skraju Złotego Stawu aż po ciąg rybników i zakola rzeczki Chotli, na rubieży na milę szerokiej, stało armii naszej skrzydło prawe: złożony z mahakamskich krasnoludów Huf Ochotniczy, osiem chorągwi lekkiej kawalerii i banderie znamienitej Wolnej Kompanii Kondotierskiej. Komendę nad skrzydłem prawym mieli kondotier Adam Pangratt i krasnolud Barclay Els.

Naprzeciw, o milę jakową albo dwie, na polu gołym za lasem, uszykował nilfgaardzkie wojsko marszałek polny Menno Coehoorn. Stał tam lud żelazny jak czarna ściana, pułk przy pułku, rota przy rocie, skwadron przy skwadronie, jak okiem rzucił, końca nie było. A po lesie chorągwi i dzid miarkować się dało, że nie jeno szeroki, ale i głęboki jest ordynek. Bo też i było tego wojska czterdzieści i sześć tysięcy, o czym podówczas mało kto wiedział, i dobrze, bo i tak w niejednym serce na widok tej nilfgaardzkiej potęgi upadło nieco.

A nawet u najśmielszych mocniej serca zaczęły bić pod pancerzami, bić niczym młoty, bo jawnym się stało, że ciężka i krwawa zaraz tu zacznie się potrzeba i że niejeden z tych, co tu w ordynku stoją, zachodu słońca nie zobaczy.

Jarre, podtrzymując zsuwające się z nosa okulary, jeszcze raz przeczytał cały fragment tekstu, westchnął, potarł łysinę, po czym ujął gąbkę, odcisnął ją nieco i wymazał ostatnie zdanie.

Wiatr szumiał w liściach lipy, brzęczały pszczoły. Dzieci, jak to dzieci, usiłowały przekrzyczeć się nawzajem.

O stopę starca oparła się poturlana po murawie piłka. Nim zdążył się schylić, niezgrabny i niezręczny, któreś z jego wnucząt przemknęło obok jak małe wilczątko, porywając piłkę w pełnym biegu. Potrącony stół zakołysał się, Jarre prawą ręką ocalił przed przewróceniem kałamarz, kikutem lewej przytrzymał arkusze papieru.

Pszczoły brzęczały, ciężkie od żółtych kuleczek akacjowego pyłku.

Jarre wznowił pisanie.

Poranek był chmurny, ale słońce przebijało przez obłoki i swą wysokością jawnie o mijających godzinach przypominało. Zerwał się wiatr, zafurkotały i załopotały proporce niby mnogich stada ptaków, co do lotu się podrywają. A Nilfgaard jak stał, tak stał, aż się wszyscy dziwować poczęli, czemuż to marszałek Menno Coehoorn nie daje swoim rozkazu wystąpić...

•

– Kiedy? – Menno Coehoorn podniósł głowę znad map, obrzucił dowódców wzrokiem. – Kiedy, pytacie, rozkażę poczynać?

Nikt się nie odezwał. Menno szybkim spojrzeniem zlustrował swych dowódców. Najbardziej spiętymi i zdenerwowanymi wydawali się ci, którzy mieli zostać w odwodzie – Elan Trahe, dowódca Siódmej Daerlańskiej, i Kees van Lo z brygady „Nauzicaa". Wyraźnie denerwował się też Ouder de Wyngalt, *aide-de-camp* marszałka, który na czynny udział w boju miał najmniej szans.

Ci, którzy mieli uderzać pierwsi, wyglądali na spokojnych, ba, znudzonych nawet. Markus Braibant ziewał. Generał lejtnant Rhetz de Mellis-Stoke dłubał małym palcem w uchu i co rusz oglądał palec, jakby naprawdę spodziewał się znaleźć na nim coś wartego uwagi. Oberszter Ramon Tyrconnel, młody dowódca dywizji „Ard Feainn", pogwizdywał

cicho, utkwiwszy wzrok w sobie tylko wiadomym punkcie horyzontu. Oberszter Liam aep Muir Moss z dywizji „Deithwen” wertował swój nieodłączny tomik poezji. Tibor Eggebracht z ciężkiej kopijniczej dywizji „Alba” drapał się w kark końcem szpicruty.

– Atak rozpoczniemy – powiedział Coehoorn – gdy tylko wrócą patrole. Niepokoją mnie te wzgórza na północy, panowie oficerowie. Nim uderzymy, muszę wiedzieć, co tam jest za tymi wzgórzami.

•

Lamarr Flaut bał się. Bał się potwornie, strach pełzał mu po kiszkach, zdawało mu się, że ma w wątpiach co najmniej dwanaście oślizłych, pokrytych śmierdzącym śluzem węgorzy, zawzięcie poszukujących otworu, przez który mogłyby wydostać się na swobodę. Godzinę temu, gdy patrol odebrał rozkazy i wyruszył, Flaut w cichości ducha liczył na to, że chłód poranka przepędzi trwogę, że lęk zdusi rutyna, wyćwiczony rytuał, twardy i surowy ceremoniał służby. Zawiódł się. Teraz, po upływie godziny i po przebyciu jakichś pięciu mil, daleko, groźnie daleko od swoich, głęboko, niebezpiecznie głęboko na terytorium wroga, blisko, śmiertelnie blisko nieznanego niebezpieczeństwa, strach dopiero pokazywał, co potrafi.

Zatrzymali się na skraju jodłowego lasu, przezornie nie wysuwając się zza porastających skraj wielkich jałowców. Przed nimi, za pasem niskich choinek, rozciągała się szeroka kotlina. Mgła snuła się po wierzchołkach traw.

– Nikogo – ocenił Flaut. – Ni żywego ducha. Wracamy. Jesteśmy już trochę za daleko.

Wachmistrz spojrzał na niego z ukosa. Daleko? Ujechali ledwo milę. Wlokąc się zresztą niby kulawe żółwie.

– Wartałoby – powiedział – zajrzeć jeszcze za tamto wzgórze, panie lejtnant. Stamtąd, widzi mi się, lepszy będzie prospekt. Daleko, na obie doliny. Jeśli kto tamtędy ciągnie, nie możem go nie dostrzec. Jak więc? Skoczymy, panie? To wszystkiego parę staj.

Parę staj, pomyślał Flaut. W otwartym terenie, widoczni jak na patelni. Węgorze wiły się, gwałtownie szukały wyjścia z jego trzewi. Przynajmniej jeden, Flaut czuł to wyraźnie, był na dobrej drodze.

Słyszałem brzęk strzemienia. Parsknięcie konia. Tam, wśród soczystej zieleni młodych sosenek na piaszczystym stoku. Coś się tam poruszyło?

Sylwetka?

Otaczają nas?

Szła po obozie plotka, że kilka dni temu kondotierzy z Wolnej Kompanii, zniósłszy w zasadzce podjazd brygady „Vrihedd", wzięli żywcem jednego elfa. Mówiono, że wykastrowali go, wyrwali mu język, obcięli wszystkie palce u rąk... A na koniec wyłupili oczy. Teraz, szydzili, na żaden sposób nie zabawisz się już z twoją elfią gamratką. I nawet nie będziesz mógł sobie popatrzeć, jak będzie się zabawiała z innymi.

– No, panie? – chrząknął wachmistrz. – Skoczymy na wzgórze?

Lamarr Flaut przełknął ślinę.

– Nie – powiedział. – Nie możemy mitrężyć. Stwierdziliśmy: tutaj nieprzyjaciela nie ma. Musimy zdać z tego raport dowództwu. Zawracamy!

•

Menno Coehoorn wysłuchał meldunku, uniósł głowę znad map.

– Do chorągwi – rozkazał krótko. – Panie Braibant, panie de Mellis-Stoke. Uderzać!

– Niech żyje cesarz! – wrzasnęli Tyrconnel i Eggebracht. Menno popatrzył na nich dziwnie.

– Do chorągwi – powtórzył. – Niech Wielkie Słońce opromieni waszą chwałę.

•

Milo Vanderbeck, niziołek, chirurg polowy, znany jako Rusty, chciwie wciągnął w nozdrza przejmującą mieszankę zapachów jodyny, amoniaku, alkoholu, eteru i eliksirów magicznych wiszącą pod płachtą namiotu. Chciał nasycić się tą wonią teraz, gdy była jeszcze zdrowa, czysta, dziewiczo nie skażona i klinicznie sterylna. Wiedział, że długo taką nie pozostanie.

Spojrzał na stół operacyjny, również dziewiczo biały, i na instrumentarium, na dziesiątki narzędzi budzących respekt i ufność chłodnym i groźnym dostojeństwem zimnej stali, niepokalaną czystością metalicznego połysku, porządkiem i estetyką ułożenia.

Przy instrumentarium krzątał się jego personel – trzy kobiety. Tfu, poprawił się w myśli Rusty. Jedna kobieta i dwie dziewczyny. Tfu. Jedna stara, choć piękna i młodo wyglądająca baba. I dwoje dzieci.

Magiczka i uzdrowicielka, zwąca się Marti Sodergren. I ochotniczki. Shani, studentka z Oxenfurtu. Iola, kapłanka ze świątyni Melitele w Ellander.

Marti Sodergren znam, pomyślał Rusty, pracowałem już z tą pięknisią nie raz. Trochę nimfomanka, ma też skłonności do histerii, ale to nic, tak długo, jak długo działa jej magia. Czary anestezyjne, dezynfekujące i tamujące krwawienie.

Iola. Kapłanka czy raczej adeptka. Dziewczyna o urodzie zgrzebnej i pospolitej jak lniane płótno, o dużych, mocnych wieśniaczych dłoniach. Świątynia zapobiegła, by dłonie te skaziło brzydkie klejmo ciężkiej i brudnej harówki na roli. Ale nie zdołała zamaskować ich rodowodu.

Nie, pomyślał Rusty, o nią w zasadzie się nie boję. Te ręce chłopki to są pewne ręce, ręce godne zaufania. Poza tym dziewczyny ze świątyń rzadko zawodzą, w momentach rozpaczy nie pękają, lecz szukają oparcia w ich religii, w tej ich mistycznej wierze. Interesujące: to pomaga.

Spojrzał na rudowłosą Shani, zręcznie nawlekającą nicią chirurgiczną oczka zakrzywionych igieł.

Shani. Dziecko cuchnących miejskich zaułków, które trafiło na oxenfurcki uniwerek dzięki własnej żądzy wiedzy i dzięki niewyobrażalnym wyrzeczeniom opłacających czesne rodziców. Żaczek. Frant. Wesoły urwis. Co umie? Nawlekać igły? Nakładać opaski uciskowe? Trzymać haki? Ha, pytanie brzmi: kiedy ruda studenteczka zemdleje, puści haki i runie nosem w otwarty brzuch operowanego?

Ludzie są tacy mało odporni, pomyślał. Prosiłem, by dali mi elfkę. Albo kogoś z mojej własnej rasy. Ale nie. Nie mają zaufania.

Do mnie zresztą też nie.

Jestem niziołek. Nieludź.

Obcy.

– Shani!

– Słucham, panie Vanderbeck?

– Rusty. Znaczy się, dla ciebie „panie Rusty”. Co to jest, Shani? I do czego służy?

– Egzaminujecie mnie, panie Rusty?

– Odpowiedz, dziewczyno!

– To jest raspator! Do ściągania okostnej przy amputacji! By okostna nie spękała pod zębami piły, by mieć czyste i gładkie odpiłowanie!

Zadowoleniście? Zdałam?

– Ciszej, dziewczyno, ciszej.

Przeczesał palcami włosy.

Ciekawe, pomyślał. Jest nas tu czwórka lekarzy. I każde rude! Fatum czy jak?

– Pozwólcie – skinął – przed namiot, dziewczyny.

Usłuchały, choć wszystkie trzy prychnęły pod nosem. Każda na swój sposób.

Przed namiotem siedziała gromadka sanitariuszy, ciesząc się ostatnimi minutami słodkiego nieróbstwa. Rusty obrzucił ich surowym spojrzeniem, poniuchał, czy aby już nie nachlani.

Kowal, wielkie chłopisko, krzątał się przy swym przypominającym ławę tortur stole, porządkował narzędzia służące do wyłuskiwania rannych z pancerzy, kolczug i pogiętych przyłbic.

– Tam – zaczął Rusty bez wstępów, wskazując pole – za moment zacznie się rzeź. A za moment plus moment zjawią się pierwsi ranni. Wszyscy wiedzą, co mają robić, każdy zna swoje obowiązki i swoje miejsce. Jeśli każdy będzie przestrzegał, czego powinien przestrzegać, nic nie może pójść źle. Jasne?

Żadna z „dziewczyn” nie skomentowała.

– Tam – podjął Rusty, wskazując ponownie – jakieś sto tysięcy ludzi zacznie za chwilę kaleczyć się wzajemnie. Na bardzo wyszukane sposoby. Nas, wliczając dwa pozostałe szpitale, jest dwanaścioro lekarzy. Za nic w świecie nie zdołamy pomóc wszystkim potrzebującym. Nawet znikomemu procentowi potrzebujących. Nikt nawet tego nie oczekuje.

– Ale my będziemy leczyć. Bo to jest, przepraszam za banał, racja naszego istnienia. Pomagać potrzebującym. Pomożemy więc banalnie tylu, ilu zdołamy pomóc.

Znowu nikt nie skomentował. Rusty odwrócił się.

– Nie damy rady zrobić dużo więcej, niż będziemy w stanie – powiedział ciszej i cieplej. – Ale postarajmy się wszyscy, żeby to nie było dużo mniej.

•

– Ruszyli – stwierdził konetabl Jan Natalis i wytarł spotniałą dłoń o biodro. – Wasza Królewska Mość, Nilfgaard ruszył. Idą na nas!

Król Foltest, opanowując tańczącego konia, siwka w ozdobionym liliami rzędzie, odwrócił ku konetablowi swój piękny, godny bicia na monetach profil.

– Tedy trzeba nam przyjąć ich godnie. Mości konetablu! Panowie oficerowie!

– Śmierć Czarnym! – wrzasnęli jednym głosem kondotier Adam „Adieu" Pangratt i hrabia de Ruyter. Konetabl popatrzył na nich, potem wyprostował się i nabrał tchu w płuca.

– Do chorągwi!!!

Z oddali głucho grzmiały nilfgaardzkie litawry i bębny, buczały krzywuły, olifanty i surmy. Ziemia, uderzona tysiącami kopyt, drgnęła.

•

– To już – odezwał się Andy Biberveldt, niziołek, starszy taboru, odgarniając włosy z małego, szpiczasto zakończonego ucha. – Lada chwila...

Tara Hildebrandt, Didi „Chmielarz" Hofmeier i pozostali zgromadzeni wokół wozacy pokiwali głowami. Oni też słyszeli głuchy, jednostajny łomot kopyt dobiegający zza wzgórza i lasu. Słyszeli rosnący, przypominający buczenie trzmieli wrzask i ryk. Wyczuwali drżenie ziemi.

Ryk wzmógł się raptownie, skoczył o ton wyżej.

– Pierwsza salwa łuczników. – Andy Biberveldt miał doświadczenie, widział, a raczej słyszał, niejedną bitwę. – Będzie jeszcze jedna.

Miał rację.

– Teraz to już się zderzą!

– Lepp... piej www.. wejdźmy ppp... pod wozy – zaproponował William Hardbottom, zwany Momotkiem, kręcąc się niespokojnie. – Mmmm... mówię wam...

Biberveldt i pozostałe niziołki spojrzały na niego z politowaniem. Pod wozy? Po co? Od miejsca bitwy dzieliło ich blisko ćwierć mili. A gdyby nawet zagon jaki wpadł tu, na tyły, na tabory, zbawi to kogo siedzenie pod wozem?

Ryk i łomot narastały.

– Już – ocenił Andy Biberveldt. I znowu miał rację.

Z odległości ćwierć mili, zza wzgórza i lasu, przez ryk i nagły huk walącego o żelazo żelaza, dobiegł taborytów wyraźny, makabryczny,

podnoszący włosy na głowie dźwięk.

Kwik. Straszliwy, rozpaczliwy, dziki kwik i wizg kaleczonych zwierząt.

– Kawaleria... – Biberveldt oblizał wargi. – Kawaleria nadziała się na piki...

– Ttt... tylko – wydukał pobladły Momotek – nie wiem co im kkk... konie zawiniły, sss... kkk.... kurwysynom.

•

Jarre wymazał gąbką nie wiedzieć które już z rzędu napisane zdanie. Przymknął oczy, przypominając sobie tamten dzień. Moment, w którym zderzyły się obie armie. W którym oba wojska, jak zawzięte brytany, skoczyły sobie do gardeł, zwarły się w śmiertelnym uścisku.

Szukał słów, którymi można by było to opisać.

Na próżno.

•

Klin jazdy z impetem wbił się w czworobok. Niczym gigantyczny puginał w sztychu dywizja „Alba" skruszyła wszystko, co broniło dostępu do żywego ciała temerskiej piechoty – piki, oszczepy, halabardy, włócznie, pawęże i tarcze. Niczym puginał dywizja „Alba" wbiła się w żywe ciało i wytoczyła krew. Krew, w której teraz taplały się i ślizgały konie. Ale ostrze puginału, choć wbite głęboko, nie dosięgło serca ani żadnego z żywotnych organów. Klin dywizji „Alba", miast rozgnieść i rozczłonkować temerski czworobok, wbił się i utknął. Uwiązł w elastycznej i gęstej jak smoła hurmie pieszego ludu.

Początkowo nie wyglądało to groźnie. Czoło i boki klina stanowiły elitarne ciężkozbrojne roty, od tarcz i blach pancerzy klingi i żeleźca lancknechtów odskakiwały jak młoty od kowadeł, nie było się też jak dobrać do oladrowanych wierzchowców. I choć co i rusz któryś z pancernych walił się jednak z konia lub razem z koniem, to miecze, topory, czekany i morgensterny kawalerzystów kładły napierających piechocińców prawdziwym pokotem. Uwięźnięty w ciżbie klin drgnął i zaczął wbijać się głębiej.

– „Albaaa"! – Młodszy lejtnant Devlin aep Meara usłyszał krzyk obersztera Eggebrachta, wybijający się ponad szczęk, ryk, wycie i rżenie. – Naprzód, „Alba"! Niech żyje cesarz!

Ruszyli, rąbiąc, tłukąc i tnąc. Spod kopyt kwiczących i wierzgających koni słychać było plusk, chrup, zgrzyt i trzask.

– „Aaalbaaa”!

Klin utknął znowu. Lancknechci, choć przerzedzeni i skrwawieni, nie ustąpili, naparli, ścisnęli jazdę jak cęgami. Aż zatrzeszczało. Pod ciosami halabard, berdyszów i bojowych cepów załamali się i pękli pancerni pierwszej linii. Dźgani partyzanami i spisami, ściągani z siodeł hakami gizarm i rohatyn, bezlitośnie tłuczeni żelaznymi kiścieniami i maczugami kawalerzyści dywizji „Alba” zaczęli umierać. Wbity w czworobok piechoty klin, jeszcze niedawno groźne, kaleczące żelazo w żywym organizmie, teraz był jak sopel lodu w wielkiej chłopskiej pięści.

– Temeriaaaa! Za króla, chłopy! Bij Czarnych!

Ale lancknechtom też nie przychodziło łatwo. „Alba” nie dawała się rozerwać, miecze i topory wznosiły się i spadały, rąbały i cięły, za każdego zwalonego z kulbaki jeźdźca piechota płaciła srogą cenę krwi.

Oberszter Eggebracht, pchnięty w szczelinę pancerza cienkim jak szydło ostrzem spisy, zakrzyczał, zakołysał się w kulbace. Nim zdołano dać mu pomoc, straszliwy cios bojowego cepa zmiótł go na ziemię. Piechota zakłębiła się nad nim.

Sztandar z czarnym alerionem ze złotym *perisonium* na piersi zachwiał się i upadł. Pancerni, wśród nich i młodszy lejtnant Devlin aep Meara, rzucili się w tamtą stronę, rąbiąc, siekąc, tratując, wrzeszcząc.

Chciałbym wiedzieć, pomyślał Devlin aep Meara, wyrywając miecz z rozłupanego kapalina i czaszki temerskiego lancknechta. Chciałbym wiedzieć, pomyślał, szerokim uderzeniem odbijając godzące w niego zębate żeleźce gizarmy.

Chciałbym wiedzieć, po co to wszystko. Dlaczego to wszystko. I przez kogo to wszystko.

•

– Eee... I wtedy zebrał się konwent wielkich mistrzyń... Naszych Czcigodnych Matek... Eee... Których pamięć zawsze żywa będzie wśród nas... Albowiem... Eee... wielkie mistrzynie z Pierwszej Loży... uradziły... Eee... Uradziły...

– Adeptko Abonde. Jesteś nie przygotowana. Ocena niedostateczna. Siadaj.

– Ale ja się uczyłam, naprawdę...

– Siadaj.

– Po licho mamy się uczyć o tych starociach – zamruczała Abonde, siadając. – Kogo to dziś obchodzi... I jaki z tego pożytek...

– Cisza! Adeptka Nimue!

– Obecna, pani mistrzyni.

– To widzę. Czy znasz odpowiedź na pytanie? Jeśli nie znasz, siadaj i nie trwoń mego czasu.

– Umiem.

– Słucham.

– Więc uczą nas kroniki, że konwent mistrzyń zebrał się na zamku Łysa Góra, by uradzić, jakim sposobem zakończyć szkodliwą wojnę, jaką wiedli ze sobą cesarz Południa i władcy Północy. Czcigodna Matka Assire, święta męczenniczka, rzekła, że władcy nie ustaną wojować, póki się porządnie nie wykrwawią. A Czcigodna Matka Filippa, święta męczenniczka, odpowiedziała: „Dajmy im więc wielką i krwawą, straszną i okrutną bitwę. Doprowadźmy do takiej bitwy. Niech armie cesarza i wojska królów spłyną w tej bitwie krwią, a wtedy my, Wielka Loża, zmusimy ich do zawarcia pokoju". I tak się właśnie stało. Czcigodne Matki sprawiły, że doszło do bitwy pod Brenną. A władcy zostali zmuszeni do zawarcia pokoju cintryjskiego.

– Bardzo dobrze, adeptko Nimue. Postawiłabym ci ocenę celującą... Gdyby nie owo „więc" na początku wypowiedzi. Nie zaczyna się zdania od „więc". Siadaj. A teraz o pokoju cintryjskim opowie nam...

Zadzwonił dzwonek na przerwę. Ale adeptki nie zareagowały natychmiastowym wrzaskiem i łomotem pulpitów. Zachowały ciszę i godny, dystyngowany spokój. Nie były już smarkulami z freblówki. Były trzecią klasą! Miały po czternaście lat!

A to zobowiązywało.

•

– No, tutaj wiele do dodania nie ma. – Rusty ocenił stan pierwszego rannego, właśnie kalającego krwią niepokalaną biel stołu. – Kość udowa rozkruszona... Tętnica ocalała, inaczej donieśliby trupa. Wygląda na cios toporem, przy czym twarde skrzydło siodła podziałało jak drwalski pieniek. Proszę popatrzeć...

Shani i Iola schyliły się. Rusty zatarł ręce.

– Jak rzekłem, tutaj nic dodać. Można wyłącznie ująć. Do roboty. Iola! Opaska, mocno. Shani, nóż. Nie ten. Obustronnie tnący. Amputacyjny.

Ranny nie spuszczał rozbieganego wzroku z ich rąk, śledził poczynania oczami przerażonego, schwytanego w sidła zwierzęcia.

– Nieco magii, Marti, jeśli można prosić – skinął niziołek, pochylając się nad pacjentem tak, by zająć mu całe pole widzenia.

– Będę amputował, synku.

– Nieeeee! – rozdarł się ranny, miotając głową, usiłując umknąć przed dłońmi Marti Sodergren. – Nie chcęęę!

– Jeśli nie amputuję, umrzesz.

– Wolę umrzeć... – ranny mówił coraz wolniej pod wpływem magii uzdrowicielki. – Wolę umrzeć, niż być kaleką... Dajcie mi umrzeć... Błagam... Dajcie mi umrzeć!

– Nie mogę. – Rusty podniósł nóż, spojrzał na klingę, na wciąż błyszczącą, niepokalaną stal. – Nie mogę pozwolić ci umrzeć. Tak się bowiem składa, że jestem lekarzem.

Zdecydowanie wbił ostrze i ciął głęboko. Ranny zawył. Jak na człowieka, nieludzko.

•

Goniec wrył konia tak ostro, że aż prysnęła spod kopyt darń. Dwaj adiutanci uczepili się uzdy, osadzili spienionego rumaka. Goniec zeskoczył z siodła.

– Od kogo? – krzyknął Jan Natalis. – Od kogo przybywasz?

– Od pana de Ruytera... – wykrztusił goniec. – Zatrzymaliśmy Czarnych... Ale są duże straty... Pan de Ruyter prosi o wsparcie...

– Nie ma wsparcia – odrzekł po chwili milczenia konetabl. – Musicie wytrzymać. Musicie!

•

– A tu – wskazał Rusty z miną kolekcjonera demonstrującego swą kolekcję – niech panie spojrzą, piękny skutek cięcia w brzuch... Ktoś nieco nas wyręczył, wcześniej dokonując na nieszczęśniku amatorskiej laparotomii... Dobrze, że niesiono go troskliwie, nie pogubiono ważniejszych organów... To znaczy, domniemywam, że nie pogubiono. Jak z tym jest, Shani, według ciebie? Czemu taka mina, dziewczyno? Do tej pory znałaś mężczyzn wyłącznie z zewnątrz?

– Uszkodzone są jelita, panie Rusty...

– Diagnoza tyleż trafna, co oczywista! Tu nawet patrzeć nie trzeba, wystarczy powąchać. Chusta, Iola. Marti, wciąż za dużo tu krwi, bądź

uprzejma, udziel nam jeszcze trochę twej bezcennej magii. Shani, zacisk. Załóż klemę naczyniową, przecież widzisz, że się leje. Iola, nóż.

– Kto zwycięża? – zapytał nagle całkiem przytomnie, choć nieco bełkotliwie operowany, przewracając wybałuszonymi oczami. – Powiedzcie... kto... zwycięża?

– Synku. – Rusty schylił się nad otwartą, krwawą i pulsującą jamą brzucha. – To naprawdę ostatnia rzecz, o którą martwiłbym się, będąc na twoim miejscu.

•

...wszczął się wówczas na skrzydle lewym i w środku linii bój okrutny i krwawy, ale tu, choć wielkie były Nilfgaardu zaciekłość i impet, rozbiła się ich szarża na królewskim wojsku tak, jak morska fala na skale się rozbija. Wyborowy bowiem stał tutaj żołnierz, walne mariborskie, wyzimskie i tretogorskie pancerne chorągwie, a także zawzięty temerski lancknecht, zawodowy jurgieltnik, którego konnicą nie nastraszysz.

I tak tam wojowano, iście jako morze ze skałą lądu, taki trwał bój, w którym nie zgadniesz, kto górę bierze, bo choć fale w skałę bezustannie biją, nie słabną, a ustąpią jeno po to, by znów uderzyć, to skała przecie stoi, jak stała, wciąż ją wśród fal burzliwych widać.

Inaczej złożyła się sprawa na królewskiego wojska skrzydle prawym.

Niczym stary krogulec, który wie, gdzie spaść i na śmierć dziobnąć, tak i marszałek polny Menno Coehoorn wiedział, gdzie cios zadać. Zwarłszy w kułak żelazny swe wyborowe dywizje, kopijniczą „Deithwen" i pancerną „Ard Feainn", uderzył w styk linii powyżej Złotego Stawu, tam, gdzie stały chorągwie z Brugge. Choć Bruggeńczycy bohatersko stawali, okazali się słabiej zbrojni, tako pancerzem, jako i duchem. Nie zdzierżyli nilfgaardzkiego naporu. W skok poszły tam w sukurs dwie banderie Wolnej Kompanii pod starym kondotierem Adamem Pangrattem i Nilfgaard zatrzymały, srogą dając płatę krwi. Ale stojącym na prawej flance krasnoludom z Ochotniczego Hufu zajrzała w oczy straszna groźba okrążenia, a całemu królewskiemu wojsku rozerwanie szyku zagroziło.

Jarre zanurzył pióro w kałamarzu. Wnuczęta w głębi sadu krzyczały piskliwie, ich śmiech dzwonił jak szklane dzwoneczki.

Dostrzegł jednak grożące niebezpieczeństwo baczny niczym żuraw Jan Natalis, w mig zrozumiał, co się święci. I nie mieszkając gońca pchnął do

krasnoludów z rozkazem do pułkownika Elsa...

•

W całej swej siedemnastoletniej naiwności kornet Aubry mniemał, że dotarcie na prawe skrzydło, przekazanie rozkazu i powrót na wzgórze zajmie mu najwyżej dziesięć minut. Absolutnie nie więcej! Nie na Chiquicie, klaczy zgrabnej i rączej niby łania.

Jeszcze zanim dotarł nad Złoty Staw, kornet uświadomił sobie dwie rzeczy: to, że nie wiadomo, kiedy dotrze na prawe skrzydło i nie wiadomo, kiedy uda mu się wrócić. I to, że rączość Chiquity bardzo, ale to bardzo mu się przyda.

Na polu na wschód od Złotego Stawu wrzał bój, Czarni siekli się z bruggeńską jazdą ochraniającą szyk piechoty. Na oczach korneta z bitewnego kłębowiska sypnęły się nagle niby iskry, niby szkiełka rozbitego witraża, sylwetki w zielonych, żółtych i czerwonych płaszczach, bezładnie czmychające ku rzeczce Chotli. Za nimi, jak czarna rzeka, rozlali się Nilfgaardczycy.

Aubry wrył klacz, szarpnął wodze, gotów zawracać i uciekać, zejść z drogi uciekającym i ścigającym. Poczucie obowiązku wzięło górę. Kornet przylgnął do końskiej szyi i poszedł w karkołomny cwał.

Dokoła był wrzask i tętent, kalejdoskopowa migotanina sylwetek, błyski mieczów, szczęk, huk. Niektórzy przyparci do stawu Bruggeńczycy stawili rozpaczliwy opór, zbiwszy się w kupę wokół chorągwi z kotwicowym krzyżem. Na polu Czarni wyrzynali rozproszoną, pozbawioną wsparcia piechotę.

Widok przesłonił mu czarny płaszcz ze znakiem srebrnego słońca.

– *Evgyr, Nordling!*

Aubry wrzasnął, podniecona wrzaskiem Chiquita dała iście jeleniego susa, ratując mu życie, wynosząc z zasięgu nilfgaardzkiego miecza. Nad głową nagle zawyły mu strzały i bełty, w oczach znowu zamigotały sylwetki.

Gdzie ja jestem? Gdzie swój? Gdzie wróg?

– *Evgyr morv, Nordling!*

Łomot, szczęk, rżenie koni, wrzask.

– Stój, gówniarzu! Nie tędy!

Głos kobiety. Kobieta na karym ogierze, w zbroi, z rozwianymi włosami, z twarzą pokrytą cętkami krwi. Obok pancerni jeźdźcy.

– Ktoś ty? – kobieta rozmazała krew pięścią, w której dzierżyła miecz.

– Kornet Aubry... Fligeladiutant konetabla Natalisa... Z rozkazami do pułkowników Pangratta i Elsa...

– Nie masz szans dotrzeć tam, gdzie walczy Adieu. Pojedziemy do krasnoludów. Jestem Julia Abatemarco... W konie, cholera! Otaczają nas! Cwałem!

Nie zdążył zaprotestować. Bo i nie było sensu.

Po chwili wściekłego galopu z kurzu wyłoniła się masa piechoty, czworobok, oskorupiony jak żółw ścianą pawęży, jak poduszka do igieł najeżony żeleźcami. Nad czworobokiem powiewała wielka złota chorągiew ze skrzyżowanymi młotami, a obok niej sterczała tyczka z końskimi ogonami i ludzkimi czaszkami.

Czworobok, dopadając i odskakując jak psy szarpiące wywijającego kijem dziada, atakowali Nilfgaardczycy. Dywizja „Ard Feainn", dzięki wielkim słońcom na płaszczach niemożliwa do pomylenia z żadną inną.

– Bij, Wolna Kompania! – wrzasnęła kobieta, zakręciwszy mieczem młyńca. – Zaróbmy na żołd!

Jeźdźcy – a z nimi kornet Aubry – runęli na Nilfgaardczyków.

Starcie trwało tylko kilka chwil. Ale było straszne. Potem ściana pawęży rozwarła się przed nimi. Znaleźli się wewnątrz czworoboku, w ścisku, wśród krasnoludów w kolczugach, misiurkach i szpiczastych szłomach, wśród redańskiej piechoty, lekkiej jazdy bruggeńskiej i opancerzonych kondotierów.

Julia Abatemarco – Słodka Trzpiotka, kondotierka, Aubry teraz dopiero skojarzył – zaciągnęła go przed pękatego krasnoluda w szyszaku ozdobionym kraśną szkofią, niezgrabnie siedzącego na nilfgaardzkim oladrowanym koniu, w kopijniczym siodle o wielkich łękach, na które się wdrapał, by móc patrzeć ponad głowami piechocińców.

– Pułkownik Barclay Els?

Krasnolud kiwnął szkofią, z wyraźnym uznaniem zauważając krew, którą spryskani byli kornet i jego klacz. Aubry zaczerwienił się mimowolnie. To była krew Nilfgaardczyków, których kondotierzy rąbali tuż obok niego. On sam nie zdążył nawet wyciągnąć miecza.

– Kornet Aubry...

– Syn Anzelma Aubry'ego?

– Najmłodszy.

– Ha! Znam twego ojca! Co masz dla mnie od Natalisa i Foltesta, korneciku?

– W środku ugrupowania grozi nam przełamanie... Pan konetabl rozkazuje, by Hufiec Ochotniczy co rychlej zwinął skrzydło, wycofał się nad Złoty Staw i rzeczkę Chotlę... By wesprzeć...

Słowa zagłuszył ryk, szczęk i kwik koni. Aubry nagle uświadomił sobie, jak bezsensowne przywiózł rozkazy. Jak niewiele znaczą te rozkazy dla Barclaya Elsa, dla Julii Abatemarco, dla tego krasnoludzkiego czworoboku pod złotą chorągwią z młotami powiewającą nad czarnym morzem otaczającego ich, szturmującego ze wszech stron Nilfgaardu.

– Spóźniłem się... – zajęczał. – Przybyłem za późno...

Słodka Trzpiotka prychnęła. Barclay Els wyszczerzył zęby.

– Nie, korneciku – powiedział. – To Nilfgaard przybył za wcześnie.

•

– Gratuluję paniom, i sobie, udanej resekcji jelit cienkiego i grubego, splenektomii i zszycia wątroby. Zwracam uwagę na czas, jaki zajęło nam usunięcie skutków tego, co naszemu pacjentowi zrobiono w bitwie w ciągu ułamka sekundy. Polecam to jako materiał do filozoficznych przemyśleń. Pacjenta zaszyje nam teraz panna Shani.

– Ale ja tego nigdy jeszcze nie robiłam, panie Rusty!

– Kiedyś trzeba zacząć. Czerwone z czerwonym, żółte z żółtym, białe z białym. Tak zszyj, a na pewno będzie dobrze.

•

– Że niby jak? – potargał brodę Barclay Els. – Co ty gadasz, korneciku? Najmłodszy synu Anzelma Aubry'ego? Że niby my tutaj co, próżnujemy? My, kurważ jego mać, nie drgnęliśmy nawet pod naporem! Na krok nie ustąpiliśmy! Nie nasza wina, że ci z Brugge nie zdzierżyli!

– Ale rozkaz...

– W dupie mam rozkaz!

– Jeśli nie zapchamy luki – przekrzyczała rwetes Słodka Trzpiotka – Czarni złamią front! Złamią front! Otwórz mi szyk, Barclay! Uderzę! Przedrę się!

– Wyrżną was, nim dolecicie stawu! Zginiecie bez sensu!

– Co więc proponujesz?

Krasnolud zaklął, zerwał z głowy hełm, grzmotnął nim o ziemię. Oczy miał dzikie, przekrwione, straszne.

Chiquita, płoszona wrzaskami, pląsała pod kornetem, na ile pozwalał ścisk.

– Wołać mi tu Yarpena Zigrina i Dennisa Cranmera! Migiem!

Dwa krasnoludy przybywały z najzaciętszego boju, było to widoczne na pierwszy rzut oka. Oba były zbryzgane posoką. Stalowy naramiennik jednego nosił ślad cięcia, które aż postawiło krańce blach sztorcem. Drugi miał głowę owiązaną szmatą, przez którą sączyła się krew.

– Wszystko w porządku, Zigrin?

– Ciekawe – wydyszał krasnolud – dlaczego wszyscy o to pytają?

Barclay Els odwrócił się, znalazł wzrokiem korneta i wpił w niego oczy.

– Więc jak, najmłodszy synu Anzelma? – charknął. – Król i konetabl rozkazują, byśmy tam do nich przyszli i wsparli ich? No, to otwieraj dobrze oczy, korneciku. Będzie na co popatrzeć.

•

– Cholera! – ryknął Rusty, odskakując od stołu i wymachując skalpelem. – Dlaczego? Psiakrew, dlaczego tak musi być?

Nikt mu nie odpowiedział. Marti Sodergren rozłożyła tylko ręce. Shani pochyliła głowę, Iola pociągnęła nosem.

Pacjent, który właśnie umarł, patrzył w górę, a oczy miał nieruchome i szkliste.

•

– Bij! Zabij! Na pohybel skurwysynom!

– A równo mi! – ryczał Barclay Els. – Równy krok! Dzierż szyk! I kupą! Kupą!

Nie uwierzą mi, pomyślał kornet Aubry. Nigdy mi nie uwierzą, gdy będę o tym opowiadał. Ten czworobok walczy w pełnym okrążeniu... Otoczony ze wszystkich stron kawalerią, szarpany, sieczony, tłuczony i dźgany... I ten czworobok idzie. Idzie, równy, zwarty, pawęż przy pawęży. Idzie, depcząc i przestępując trupy, pcha przed sobą konnicę, pcha przed sobą elitarną dywizję „Ard Feainn”... I idzie.

– Bij!

– Równy krok! Równy krok! – ryczał Barclay Els. – Dzierż szyk! Pieśń, kurważ mać, pieśń! Nasza pieśń! Naprzód, Mahakam!

Z kilku tysięcy krasnoludzkich gardeł wydarła się słynna mahakamska pieśń bojowa.

Hooouuuu! Hooouuu! Hou!
Czekajcie, klienty!
Wnet wam pójdzie w pięty!
Rozleci się ten burdel
Aż po fundamenty!
Hoooouuuu! Hooouuu! Hou!

– Bij! Wolna Kompania! – w gromowy ryk krasnoludów wkłuł się, niczym cienka graniasta klinga mizerykordii, wysoki sopran Julii Abatemarco. Kondotierzy, wydzierając się z szyku, kontruderzali na atakującą czworobok jazdę. Było to posunięcie iście samobójcze, na pozbawionych ochrony krasnoludzkich halabard, pik i pawęży najemników obrócił się cały impet nilfgaardzkiego natarcia. Łomot, wrzask i kwik koni sprawiły, że kornet Aubry odruchowo skulił się na kulbace. Ktoś uderzył go w plecy, poczuł, jak wraz z ugrzęźniętą w ścisku klaczą sunie w kierunku największego zamętu i najstraszliwszej rzezi. Mocno uchwycił rękojeść miecza, która nagle wydała mu się śliska i dziwnie nieporęczna.

Za chwilę, wyniesiony przed linię pawęży, rąbał już wokół siebie jak opętany i darł się jak opętany.

– Jeszcze raz! – usłyszał dziki krzyk Słodkiej Trzpiotki. – Jeszcze jeden wysiłek! Wytrzymajcie, chłopcy! Bij, zabij! Za dukat, co jak słońce złoty! Do mnie, Wolna Kompania!

Nilfgaardzki jeździec bez hełmu, ze srebrnym słońcem na płaszczu, wdarł się w szyk, stanął w strzemionach, strasznym ciosem bojowego topora obalił krasnoluda razem z pawężą, rozwalił głowę drugiemu. Aubry wykręcił się na siodle i ciął na odlew. Z głowy Nilfgaardczyka odleciał spory owłosiony fragment, on sam runął na ziemię. W tym samym momencie kornet też dostał czymś w głowę i spadł z kulbaki. Tłok sprawił, że nie od razu znalazł się na dole, przez kilka sekund wisiał, wrzeszcząc cienko, między niebem, ziemią a bokami dwóch koni. Ale choć po gardło najadł się strachu, bólu zakosztować nie zdążył. Gdy spadł, podkute kopyta prawie natychmiast zmiażdżyły mu czaszkę.

•

Po sześćdziesięciu pięciu latach, pytana o tamten dzień, o brenneńskie pole, o czworobok idący ku Złotemu Stawowi po trupach przyjaciół i wrogów, staruszka uśmiechała się, jeszcze bardziej marszcząc pomarszczoną i ciemną jak suszona śliwka twarz. Zniecierpliwiona – a może tylko udająca zniecierpliwioną – machała drżącą, kościstą, monstrualnie powykręcaną przez artretyzm dłonią.

– W żaden sposób – mamrotała – żadna ze stron nie mogła osiągnąć przewagi. Myśmy byli w środku. W okrążeniu. Oni na zewnątrz. I po prostu zabijaliśmy się nawzajem. Oni nas, my ich... Khe-khe-khh... Oni nas, my ich...

Staruszka z trudem opanowała atak kaszlu. Ci ze słuchaczy, którzy byli bliżej, zobaczyli na jej policzku łzę, z trudem torującą sobie drogę wśród zmarszczek i starych szram.

– Byli równie mężni jak my – mamrotała babuleńka, ta, która niegdyś była Julią Abatemarco, Słodką Trzpiotką z Wolnej Kompanii Kondotierskiej. – Khh-khe... Byliśmy jednakowo mężni. My i oni.

Staruszka zamilkła. Na długo. Słuchacze nie ponaglali jej, widząc, jak uśmiecha się do wspomnień. Do chwały. Do majaczących w mgle niepamięci twarzy tych, którzy chwalebnie polegli. Do twarzy tych, którzy chwalebnie przeżyli. Po to, by później podle zabiły ich wódka, narkotyki i gruźlica.

– Byliśmy jednakowo mężni – dokończyła Julia Abatemarco. – Żadna ze stron nie miała sił, by być mężną bardziej. Ale my... My zdołaliśmy być mężni o minutę dłużej.

•

– Marti, bardzo cię proszę, daj nam jeszcze troszkę tej twojej cudownej magii! Jeszcze troszeczkę, chociaż z dziesięć deka! Mamy w brzuchu tego nieszczęśnika jeden wielki gulasz, w dodatku przyprawiony mnóstwem drucianych kółeczek z kolczugi! Nic nie mogę zrobić, gdy on mi się rzuca jak patroszona ryba! Shani, psiakrew, trzymaj haki! Iola! Śpisz, cholera? Zacisk! Zaaaciiisk!

Iola odetchnęła ciężko, z trudem przełknęła ślinę, której miała pełne usta. Zaraz zemdleję, pomyślała. Nie wytrzymam, nie zniosę tego dłużej, tego smrodu, tej okropnej mieszanki odorów krwi, rzygowin, kału, moczu, treści jelit, potu, strachu i śmierci. Nie zniosę dłużej tego nieustannego krzyku, tego wycia, tych zakrwawionych, oślizłych rąk

czepiających się mnie tak, jakbym naprawdę była ich ratunkiem, ich ucieczką, ich życiem... Nie zniosę bezsensu tego, co my tu robimy. Bo to jest bezsens. Jeden wielki, ogromny, bezsensowny bezsens.

Nie zniosę wysiłku i zmęczenia. Wciąż przynoszą nowych... I nowych...

Nie wytrzymam. Zwymiotuję. Zemdleję. Będzie wstyd...

– Chusta! Tampon! Zacisk jelitowy! Nie ten! Miękki zacisk! Uważaj, co robisz! Jeszcze raz się tak pomylisz, a walnę cię w ten rudy łeb! Słyszysz? Walnę w ten rudy łeb!

Wielka Melitele. Pomóż mi. Pomóż mi, bogini.

– No, proszę! Od razu poprawa! Jeszcze jeden zacisk, kapłanko! Klema na naczynie! Dobrze! Dobrze, Iola, tak trzymaj! Marti, obetrzyj jej oczy i twarz. I mnie też...

•

Skąd ten ból, pomyślał konetabl Jan Natalis. Co mnie tak boli?

Aha.

Zaciśnięte pięści.

•

– Dorżnijmy ich! – krzyknął, zacierając ręce, Kees van Lo. – Dorżnijmy ich, panie marszałku! Linia pęka na styku, uderzmy! Uderzmy nie zwlekając, a na Wielkie Słońce, załamią się! Pójdą w rozsypkę!

Menno Coehoorn nerwowo przygryzł paznokieć, zorientował się, że patrzą, szybko wyjął palec z ust.

– Uderzmy – powtórzył Kees van Lo, spokojniej, już bez emfazy. – „Nauzicaa" jest gotowa...

– „Nauzicaa" ma stać – powiedział ostro Menno. – Daerlańska też ma stać. Panie Faoiltiarna!

Dowódca brygady „Vrihedd", Isengrim Faoiltiarna, zwany Żelaznym Wilkiem, odwrócił ku marszałkowi swą straszną twarz zniekształconą blizną biegnącą przez czoło, brew, nasadę nosa i policzek.

– Uderzajcie – wskazał buławą Menno. – W styk Temerii i Redanii. Tam.

Elf zasalutował. Zeszpecona twarz nie drgnęła mu nawet, wielkie głębokie oczy nie zmieniły wyrazu.

Sojusznicy, pomyślał Menno. Alianci. Walczymy razem. Przeciw wspólnemu wrogowi.

Ale ja ich w ogóle nie rozumiem, tych elfów.

Są tacy inni.

Tacy obcy.

•

– Ciekawe. – Rusty spróbował otrzeć twarz łokciem, ale łokieć też miał we krwi. Iola pospieszyła mu z pomocą.

– Interesujące – powtórzył chirurg, wskazując na pacjenta. – Pchnięty widłami lub jakimś dwuzębnym typem gizarmy... Jeden ząb żeleźca przebił serce, o, proszę spojrzeć. Komora niezawodnie przebita, aorta niemal odseparowana... A on jeszcze przed chwilą oddychał. Tu, na stole. Ugodzony w samo serce, dożył aż do stołu...

– Chcecie rzec – spytał ponuro kawalerzysta z lekkiej jazdy wolentarskiej – że on pomarł? Nadaremno my jego z bitwy nieśli?

– Nigdy nie jest nadaremno – nie spuścił wzroku Rusty. – A gwoli prawdy, to tak, nie żyje, niestety. Exitus. Zabierzcie... Ech, cholera... Rzućcie no okiem, dziewczyny.

Marti Sodergren, Shani i Iola schyliły się nad zwłokami. Rusty odciągnął powiekę trupa.

– Widziałyście kiedyś coś takiego?

Wszystkie trzy drgnęły.

– Tak – powiedziały wszystkie jednocześnie. Spojrzały na siebie, jakby lekko zdumione.

– Ja też widziałem – powiedział Rusty. – To wiedźmin. Mutant. To by tłumaczyło, dlaczego żył tak długo... To był wasz towarzysz broni, ludzie? Czy przynieśliście go przypadkowo?

– Nasz to był druh, panie medyku – potwierdził ponuro drugi wolentarz, dryblas z obandażowaną głową. – Z naszego skwadronu, ochotnik jak my. Ech, majster był do miecza! Zwał się Coën.

– I był wiedźminem?

– Ano. Ale poza tym porządny był chłop.

– Ha – westchnął Rusty, widząc czterech żołnierzy niosących na przesiąkniętym i kapiącym krwią płaszczu kolejnego rannego, bardzo młodego, sądząc po tym, jak cienko wył. – Ha, szkoda... Z chęcią wziąłbym się za sekcję tego poza tym porządnego wiedźmina. I ciekawość pali, i dysertację można by napisać, gdyby mu tak do środka zajrzeć... Ale nie ma czasu! Trupa precz ze stołu! Shani, woda. Marti,

dezynfekcja. Iola, podaj... Hola, dziewczyno, ty znowu ronisz łzy? Co tym razem?

– Nic, panie Rusty. Nic. Już wszystko w porządku.

•

– Czuję się – powtórzyła Triss Merigold – tak, jak gdyby mnie okradziono.

Nenneke długo nie odpowiadała, patrząc z tarasu na świątynny ogród, w którym kapłanki i adeptki uwijały się przy wiosennych pracach.

– Dokonałaś wyboru – powiedziała wreszcie. – Wybrałaś swoją drogę, Triss. Swój własny los. Dobrowolnie. Nie czas na żale.

– Nenneke – czarodziejka spuściła oczy. – Naprawdę nie mogę powiedzieć ci więcej, niż powiedziałam. Uwierz i wybacz mi.

– Kim jestem, by ci wybaczać? I co ci przyjdzie z mojego wybaczenia?

– Przecież widzę – wybuchnęła Triss – jakim wzrokiem patrzysz na mnie! Ty i twoje kapłanki. Widzę, jak zadajecie mi oczami pytanie. Co tutaj robisz, magiczko? Dlaczego nie jesteś tam, gdzie Iola, Eurneid, Katje, Myrrha? Jarre?

– Przesadzasz, Triss.

Czarodziejka patrzyła w dal, na las siniejący za murem świątyni, na dymy dalekich ognisk. Nenneke milczała. Myślami też była daleko. Tam, gdzie wrzała walka i lała się krew. Myślała o dziewczętach, które tam posłała.

– One – odezwała się Triss – wszystkiego mi odmówiły.

Nenneke milczała.

– Odmówiły mi wszystkiego – powtórzyła Triss. – Takie mądre, takie rozsądne, takie logiczne... Jak im nie wierzyć, gdy tłumaczą, że są sprawy ważne i mniej ważne, że z tych mniej ważnych należy rezygnować bez namysłu, poświęcać je dla tych ważnych bez cienia żalu? Że nie ma sensu ratowanie ludzi, których się zna i kocha, bo to są jednostki, a los jednostek jest bez znaczenia dla losów świata. Że nie ma sensu walka w obronie czci, honoru i ideałów, bo to są pojęcia puste? Że prawdziwe pole bitwy o losy świata jest zupełnie gdzie indziej, że gdzie indziej będzie się walczyło? A ja się czuję okradziona. Okradziona z możliwości popełniania szaleństw. Nie mogę szaleńczo pospieszyć na pomoc Ciri, nie mogę jak szalona biec i ratować Geralta ani Yennefer.

Mało tego, w wojnie, która się toczy, w wojnie, na którą ty posłałaś twoje dziewczęta... W wojnie, na którą uciekł Jarre, mnie odmawia się nawet możliwości, by stanąć na Wzgórzu. Jeszcze raz stanąć na Wzgórzu. Tym razem ze świadomością naprawdę słusznej decyzji.

– Każdy ma jakąś swoją decyzję i jakieś swoje Wzgórze, Triss – powiedziała cicho arcykapłanka. – Każdy. Ty przed twoimi nie uciekniesz również.

•

W wejściu do namiotu zakotłowało się. Wniesiono kolejnego rannego, w asyście kilku rycerzy. Jeden, w pełnej płytowej zbroi, pokrzykiwał, komenderował, popędzał.

– Ruszać się, łapiduchy! Żywiej! Dawajcie go tu, tu! Hej, ty, felczer!

– Jestem zajęty. – Rusty nawet nie podniósł wzroku. – Proszę położyć rannego na noszach. Zajmę się nim, gdy tylko skończę...

– Zajmiesz się nim natychmiast, medykusie głupi! Bo to jest sam jaśnie wielmożny pan hrabia Garramone!

– Ten szpital – Rusty podniósł głos, zły, bo utkwiony w trzewiach rannego pęknięty grot bełtu znowu wyślizgnął mu się z kleszczy. – Ten szpital ma bardzo mało wspólnego z demokracją. Tutaj przynoszą głównie od pasowanych wzwyż. Baronów, hrabiów, markizów, różnych innych takich. O niższych urodzeniem rannych jakoś mało kto się troszczy. Ale jakaś równość tu jednak jest. U mnie na stole mianowicie!

– Hę? Że co?

– Nieważne – Rusty ponownie wsunął w ranę zgłębnik i kleszcze – czy ten tu, któremu właśnie wyciągam żelazo z bebechów, to cham, skartabel, stara szlachta czy arystokracja. Leży u mnie na stole. A u mnie, że tak sobie zanucę, książę błazna jest wart.

– Że co?

– Wasz hrabia zaczeka na swoją kolejkę.

– Ty zatracony niziołku!

– Pomóż mi, Shani. Weź drugie kleszcze. Uwaga na arterię! Marti, jeszcze troszkę magii, jeśli mogę prosić, mamy tu potężne krwawienie.

Rycerz postąpił krok do przodu, zgrzytając zbroją i zębami.

– Ja cię każę powiesić! – zaryczał. – Powiesić każę, ty nieludziu!

– Milcz, Papebrock – odezwał się z trudem, gryząc wargi, ranny hrabia. – Milcz. Zostaw mnie tu i wracaj do boju...

– Nie, panie mój! Przenigdy!

– To był rozkaz.

Zza płachty namiotu dobiegały łomot i szczęk żelaza, chrapanie koni i dzikie wrzaski. Ranni w lazarecie wyli na różne głosy.

– Proszę spojrzeć. – Rusty uniósł kleszcze, zademonstrował wyciągnięty wreszcie zadziorzasty grot. – Wyprodukował to cacko rzemieślnik, dzięki tej produkcji utrzymując liczną rodzinę, nadto przyczyniając się do rozwoju drobnej wytwórczości, a więc i ogólnego dobrobytu i powszechnego szczęścia. A sposób, w jaki to cudeńko trzyma się ludzkich trzewi, niechybnie chroniony jest patentem. Niech nam żyje postęp.

Niedbale wrzucił zakrwawione żeleźce do kubła, spojrzał na rannego, który zemdlał w trakcie oracji.

– Zaszyć i zabrać – skinął. – Będzie miał szczęście, to przeżyje. Dawajcie następnego w kolejce. Tego z rozwaloną głową.

– Ten – odezwała się spokojnie Marti Sodergren – zwolnił kolejkę. Przed momentem.

Rusty wciągnął i wypuścił powietrze, bez zbędnych komentarzy odszedł od stołu, stanął nad rannym hrabią. Ręce miał ubroczone, fartuch zbryzgany krwią jak rzeźnik. Daniel Etcheverry, hrabia Garramone, zbladł jeszcze bardziej.

– No – sapnął Rusty. – Kolejka wolna, jaśnie hrabio. Dajcie go na stół. Co tu mamy? Ha, z tego stawu nie zostało już nic, co można by ratować. Kasza! Miazga! Czym wy się tam walicie, panie hrabio, że tak miażdżycie sobie gnaty? No, to trochę poboli, jaśnie panie. Trochę poboli. Ale proszę się nie bać. Będzie zupełnie jak w bitwie. Opaska. Nóż! Amputujemy, wasza miłość!

Daniel Etcheverry, hrabia Garramone, do tej pory nadrabiający miną, zawył jak wilk. Nim zwarł z bólu szczęki, Shani szybkim ruchem wsunęła mu między zęby kołek z lipowego drewna.

•

– Wasza Królewska Mość! Panie konetablu!

– Gadaj, chłopie!

– Huf Ochotniczy i Wolna Kompania trzymają przesmyk koło Złotego Stawu... Krasnoludy i kondotierzy stoją twardo, choć skrwawieni strasznie... Mówią, „Adieu” Pangratt ubity, Frontino ubity, Julia

Abatemarco ubita... Wszyscy, wszyscy ubici! Chorągiew doriańska, co szła im z odsieczą, wycięta...

– Odwód, mości konetablu – powiedział cicho, ale wyraźnie Foltest. – Jeśli chcecie znać moje zdanie, pora na wprowadzenie odwodu. Niech Bronibor pchnie na Czarnych swą piechotę! Zaraz! Natychmiast! Inaczej rozczłonkują nam szyk, a to oznacza koniec.

Jan Natalis nie odpowiedział, z daleka już obserwując następnego łącznika, gnającego ku nim na koniu siejącym płatami piany.

– Złap oddech, chłopie. Złap oddech i gadaj składnie!

– Przerwali... front... elfy z brygady „Vrihedd”... Pan de Ruyter przekazuje waszym wielmożnościom...

– Co przekazuje? Gadaj!

– Że czas ratować życie.

Jan Natalis wzniósł oczy ku niebu.

– Blenckert – powiedział głucho. – Niechaj przyjdzie Blenckert. Lub niech przyjdzie noc.

•

Ziemia wokół namiotu zadygotała pod kopytami, płachta, wydawało się, aż się wzdęła od krzyków i rżenia koni. Do namiotu wpadł żołnierz, tuż za nim dwaj sanitariusze.

– Ludzie, uciekajta! – zaryczał żołnierz. – Ratujta się! Nilfgaard bije naszych! Zagłada! Zagłada! Klęska!

– Klema! – Rusty cofnął twarz przed strumyczkiem krwi, energiczną i żywą fontanną sikającej z tętnicy. – Zacisk! I tampon! Zacisk, Shani! Marti, zrób, jeśli łaska, coś z tym krwotokiem...

Ktoś tuż obok namiotu zawył jak zwierzę, krótko, urwanie. Koń zakwiczał, coś z brzękiem i hukiem rymnęło o ziemię. Bełt z kuszy z trzaskiem przebił płótno, zasyczał, wyleciał z przeciwnej strony, szczęściem zbyt wysoko, by zagrozić leżącym na noszach rannym.

– Nilfgaaaaaard! – krzyknął znowu żołnierz, wysokim, rozdygotanym głosem. – Pany felczery! Nie słyszyta, co gadam? Nilfgaard przerwał królewskie linie, idzie i morduje! Uciekaaaać!

Rusty odebrał od Marti Sodergren igłę, założył pierwszy szew. Operowany od dłuższego czasu nie poruszał się. Ale serce biło. Było to widać.

– Ja nie chcę umieeeraaać! – rozdarł się któryś z przytomnych rannych. Żołnierz zaklął, skoczył do wyjścia, nagle wrzasnął, runął w tył, bryzgając krwią, zwalił się na klepisko. Iola, klęcząca przy noszach, zerwała się na równe nogi, cofnęła.

Nagle zrobiło się cicho.

Źle, pomyślał Rusty, widząc, kto wchodzi do namiotu. Elfy. Srebrne błyskawice. Brygada „Vrihedd". Osławiona brygada „Vrihedd".

– Leczymy tutaj – stwierdził fakt pierwszy z elfów, wysoki, o pociągłej, ładnej, wyrazistej twarzy i wielkich chabrowych oczach. – Leczymy?

Nikt się nie odezwał. Rusty poczuł, że zaczynają drżeć mu ręce. Szybko oddał igłę Marti. Zobaczył, że czoło i nasada nosa Shani robią się białe.

– Jakże to więc? – powiedział elf, złowrogo przeciągając słowa. – To po co my tam, w polu, ranimy? My tam, w bitwie, zadajemy rany po to, by z tych ran umierano. A wy leczycie? Zauważam tu absolutny brak logiki. I zgodności interesów.

Zgarbił się i prawie bez zamachu wbił miecz w pierś rannego na noszach najbliższych wejścia. Inny elf przygwoździł drugiego rannego szpontonem. Trzeci ranny, przytomny, usiłował powstrzymać sztych lewą ręką i grubo obandażowanym kikutem prawej.

Shani krzyknęła. Cienko, świdrująco. Zagłuszając ciężkie, nieludzkie stęknięcie mordowanego kaleki. Iola, rzuciwszy się na nosze, zakryła sobą następnego rannego. Twarz zbielała jej jak płótno bandaża, usta zaczęły mimowolnie drgać. Elf zmrużył oczy.

– *Va vort, beanna!* – szczeknął. – Bo przebiję cię razem z tym Dh'oine!

– Precz stąd! – Rusty w trzech skokach znalazł się przy Ioli, zasłonił ją. – Precz z mojego namiotu, morderco. Wynoś się tam, na pole. Tam twoje miejsce. Wśród innych morderców. Wymordujcie się tam nawzajem, jeśli wola! Ale stąd precz!

Elf spojrzał w dół. Na trzęsącego się ze strachu pękatego niziołka, czubkiem kędzierzawej głowy sięgającego mu trochę tylko powyżej pasa.

– *Bloede Pherian* – zasyczał. – Ludzki sługusie! Zejdź mi z drogi!

– Na pewno nie – zęby niziołka szczękały, ale słowa były wyraźne.

Drugi z elfów przyskoczył, popchnął chirurga drzewcem szpontonu. Rusty upadł na kolana. Wysoki elf brutalnym szarpnięciem zdarł Iolę z rannego, wzniósł miecz.

I zamarł, widząc na czarnym zrolowanym płaszczu pod głową rannego srebrne płomienie dywizji „Deithwen”. I dystynkcje pułkownika.

– Yaevinn! – krzyknęła, wpadając do namiotu, elfka o ciemnych, zaplecionych w warkocze włosach. – *Caemm, veloe! Ess'evgyriad a'Dh’oine a'en va! Ess' tedd!*

Wysoki elf patrzył przez chwilę na rannego pułkownika, potem spojrzał w łzawiące z przerażenia oczy chirurga. Potem odwrócił się na pięcie i wyszedł.

Zza ściany namiotu znowu dobiegły tętent, wrzask i szczęk żelaza.

– Hajże na Czarnych! Morduj! – tysiąc głosów wrzasło. Ktoś zawył po zwierzęcemu, wycie przeszło w makabryczny charkot.

Rusty spróbował wstać, ale nogi go nie słuchały. Ręce też nie bardzo.

Iola, wstrząsana silnymi spazmami wstrzymywanego płaczu, zwinęła się przy noszach rannego Nilfgaardczyka. W pozycję płodu.

Shani płakała, nie próbując kryć łez. Ale haki trzymała. Marti spokojnie szyła, tylko usta poruszały się jej w jakimś niemym, bezgłośnym monologu.

Rusty, wciąż nie mogąc wstać, usiadł. Napotkał wzrokiem oczy skurczonego, wciśniętego w kąt namiotu sanitariusza.

– Daj mi łyk gorzałki – powiedział z wysiłkiem. – Tylko nie mów, że nie masz. Znam was, szelmy. Zawsze macie.

•

Generał Blenheim Blenckert stanął w strzemionach, wyciągnął szyję jak żuraw, nasłuchiwał odgłosów bitwy.

– Rozwijać szyk – rozkazał dowódcom. – A za tym wzgórzem pójdziemy od razu rysią. Z tego, co mówią zwiadowcy, wynika, że wyjdziemy prosto na prawe skrzydło Czarnych.

– I damy im bobu! – krzyknął cienko jeden z poruczników, smarkacz z jedwabistym i bardzo rzadkim wąsikiem. Blenckert spojrzał na niego zezem.

– Poczet z chorągwią na czoło – rozkazał, dobywając miecza. – A w szarży krzyczeć: „Redania!”, krzyczeć, ile mocy w piersiach! Niechaj chłopcy Foltesta i Natalisa wiedzą, że idzie odsiecz.

•

Graf Kobus de Ruyter bił się w różnych bitwach od czterdziestu lat, od szesnastego roku życia. Nadto był żołnierzem od ośmiu pokoleń, bez wątpienia coś miał w genach, coś, co sprawiało, że ryk i zgiełk bitewny, dla każdego innego po prostu przerażający i zagłuszający wszystko harmider, dla Kobusa de Ruytera był jak symfonia, jak koncert na instrumenty. De Ruyter momentalnie usłyszał w koncercie nowe nuty, akordy i tony.

– Hurraaa, chłopcy! – ryknął, wywijając buławą. – Redania! Redania nadciąga! Orły! Orły!

Z północy, zza wzgórz, toczyła się ku bitwie masa konnicy, nad którą furkotały amarantowe proporce i wielki gonfalon ze srebrnym redańskim orłem.

– Odsiecz! – wrzasnął de Ruyter. – Idzie odsiecz! Hurraaa! Bij Czarnych!

Żołnierz od ośmiu pokoleń, momentalnie dostrzegł, że Nilfgaardczycy zwijają skrzydło, próbując zwrócić się ku szarżującej odsieczy karnym, zwartym frontem. Wiedział, że nie należy im na to pozwolić.

– Za mną! – ryknął, wyrywając z rąk chorążego sztandar. – Za mną! Tretogorczycy, za mną!

Uderzyli. Uderzyli samobójczo, strasznie. Ale skutecznie. Nilfgaardczycy z dywizji „Venendal" zmieszali szyk i wtedy wpadły na nich z impetem chorągwie redańskie. W niebo uderzył wielki wrzask.

Kobus de Ruyter nie widział już tego i nie słyszał. Zabłąkany bełt z kuszy trafił go prosto w skroń. Graf obwisł z kulbaki i spadł z konia, chorągiew okryła go jak całun.

Osiem pokoleń poległych w bojach de Ruyterów, śledzących bitwę z zaświatów, z uznaniem kiwało głowami.

•

– Można powiedzieć, panie rotmistrzu, że Nordlingów tego dnia uratował cud. Lub zbieg okoliczności, którego nikt nie był w stanie przewidzieć... Co prawda Restif de Montholon pisze w swej książce, że marszałek Coehoorn popełnił błąd w ocenie sił i zamiarów przeciwnika. Że zbyt duże podjął ryzyko, rozdzielając Grupę Armii „Środek" i ruszając kawaleryjskim zagonem. Że hazardownie przyjął bitwę, nie mając przynajmniej trzykrotnej przewagi. I że zaniedbał rozpoznanie, nie wykrył idącej z odsieczą armii redańskiej...

– Kadecie Puttkammer! Wątpliwej wartości „dzieła” pana de Montholona nie ma w programie tej szkoły! A Jego Cesarska Mość nader krytycznie raczył się o tej książce wyrazić! Kadet zechce więc nie cytować jej tutaj. Zaiste, dziwi mnie to. Do tej pory odpowiedzi bardzo dobre, wręcz celujące, a nagle zaczyna nam tu kadet prawić o cudach i zbiegach okoliczności, na koniec zaś pozwala sobie na krytykowanie umiejętności dowódczych Menno Coehoorna, jednego z większych wodzów, jakich wydało Cesarstwo. Kadet Puttkammer i cała reszta panów kadetów, jeśli poważnie myśli o zdaniu egzaminu cenzusowego, zechce posłuchać i zapamiętać: pod Brenną zadziałały nie żadne cuda ani przypadki, lecz spisek! Wrogie dywersyjne siły, elementy wywrotowe, podli wichrzyciele, kosmopolici, bankruci polityczni, zdrajcy i sprzedawczycy! Wrzód, który później wypalono białym żelazem. Nim jednak do tego doszło, ci podli zdrajcy własnego narodu motali swe pajęcze sieci i pletli sidła knowań! Oni to omotali i zdradzili wówczas marszałka Coehoorna, oszukali go i wprowadzili w błąd! To oni, łotry bez czci i wiary, zwykłe...

•

– Skurwysyny – powtórzył Menno Coehoorn, nie odrywając lunety od oka. – Zwykłe skurwysyny. Ale ja was odnajdę, poczekajcie, ja was nauczę, co to znaczy rekonesans. De Wyngalt! Osobiście odszukasz oficera, który był na patrolu za wzgórzami na północy. Wszystkich, cały patrol, każesz powiesić.

– Tak jest! – strzelił obcasami Ouder de Wyngalt, *aide-de-camp* marszałka. Podówczas nie mógł wiedzieć, że Lamarr Flaut, ów oficer z patrolu, właśnie w tym momencie umiera tratowany przez konie atakującego z flanki sekretnego odwodu Nordlingów, tego, którego nie wykrył. De Wyngalt nie mógł też wiedzieć, że jemu samemu zostały tylko dwie godziny życia.

– Ile tam tego jest, panie Trahe? – Coehoorn nadal nie odrywał lunety od oka. – Waszym zdaniem?

– Co najmniej dziesięć tysięcy – odrzekł sucho dowódca Siódmej Daerlańskiej. – Głównie Redania, ale widzę też krokwie Aedirn... Jest też jednorożec, a więc mamy i Kaedwen... W sile co najmniej chorągwi...

•

Chorągiew szła cwałem, spod kopyt leciał piach i żwir.

– Naprzód, Bura! – ryczał pijany jak zwykle setnik Półgarniec. – Bij, zabij! Kaedweeen! Kaedweeeen!

Cholera, ale mi się chce lać, pomyślał Zyvik. Trzeba było się odlać przed bitwą...

Teraz może nie być kiedy.

– Naprzód, Bura!

Zawsze Bura. Gdzie źle się dzieje, Bura. Kogo się posyła jako korpus ekspedycyjny do Temerii? Burą. Zawsze Burą. A mnie się chce lać.

Doszli. Zyvik wrzasnął, wykręcił się w kulbace i ciął od ucha, rozwalając naramiennik i bark jeźdźca w czarnym płaszczu ze srebrną ośmioramienną gwiazdą.

– Bura! Kaedweeen! Bij, morduj!

Z łomotem, łoskotem i szczękiem, wśród ryku ludzi i kwiku koni Bura Chorągiew zderzyła się z Nilfgaardczykami.

•

– De Mellis-Stoke i Braibant poradzą sobie z tą odsieczą – powiedział spokojnie Elan Trahe, dowódca Siódmej Brygady Daerlańskiej. – Siły są wyrównane, nic złego jeszcze się nie stało. Dywizja Tyrconnela równoważy lewe skrzydło, „Magne" i „Venendal" trzymają się na prawym. A my... My możemy przechylić szalę, panie marszałku...

– Uderzając w styk, poprawiając po elfach – pojął w lot Menno Coehoorn. – Wychodząc na tyły, wzbudzając panikę. Tak jest! Tak uczynimy, na Wielkie Słońce! Do chorągwi, panowie! „Nauzicaa" i Siódma, przyszedł wasz czas!

– Niech żyje cesarz! – wrzasnął Kees van Lo.

– Panie de Wyngalt – marszałek odwrócił się. – Proszę zebrać adiutantów i szwadron ochrony. Dość bezczynności! Idziemy do szarży razem z Siódmą Daerlańską.

Ouder de Wyngalt pobladł lekko, ale natychmiast się opanował.

– Niech żyje cesarz! – krzyknął, a głos prawie mu nie drżał.

•

Rusty kroił, ranny wył i drapał stół. Iola, dzielnie walcząc z zawrotami głowy, pilnowała opaski i zacisków. Od strony wejścia do namiotu słychać było podniesiony głos Shani.

– Dokąd? Czy wyście poszaleli? Tu żywi czekają na ratunek, a wy pchacie się ze zwłokami?

– To jest przecie sam baron Anzelm Aubry, pani felczerko! Dowódca chorągwi!

– To był dowódca chorągwi! Teraz to jest nieboszczyk! Udało się wam przynieść go tu w jednym kawałku tylko dzięki temu, że jego zbroja jest szczelna! Zabierzcie go. Tu jest lazaret, nie kostnica!

– Ależ pani felczerko...

– Nie tarasować wejścia! O, tam niosą takiego, który jeszcze dycha. Zdaje się przynajmniej, że dycha. Bo może to tylko gazy.

Rusty parsknął, ale zaraz zmarszczył brew.

– Shani! Chodź tu natychmiast!

– Zapamiętaj, smarkulo – powiedział przez zaciśnięte zęby, schylony nad rozpłataną nogą – na cynizm chirurg może sobie pozwolić dopiero po dziesięciu latach praktyki. Zapamiętasz?

– Tak, panie Rusty.

– Weź raspator i odciągnij okostną... Cholera, warto by go jeszcze trochę znieczulić... Gdzie jest Marti?

– Rzyga za namiotem – powiedziała bez cienia cynizmu Shani. – Jak kot.

– Czarodzieje – Rusty ujął piłę – zamiast wymyślać liczne zaklęcia straszne i potężne, powinni skupić się raczej na wymyśleniu jednego. Takiego, dzięki któremu mogliby rzucać czary drobne. Na przykład znieczulające. Ale bezproblemowo. I bez porzygiwania się.

Piła zazgrzytała i zachrupała na kości. Ranny wył.

– Mocniej opaskę, Iola!

Kość ustąpiła wreszcie. Rusty opracował ją dłutkiem, otarł czoło.

– Naczynia i nerwy – powiedział machinalnie i niepotrzebnie, bo nim dokończył zdania, dziewczyny już szyły. Zdjął ze stołu odciętą nogę i odrzucił w kąt, na stos innych odciętych kończyn. Ranny od jakiegoś czasu nie ryczał i nie wył.

– Zemdlał czy umarł?

– Zemdlał, panie Rusty.

– Dobrze. Zaszyj kikut, Shani. Dawajcie następnego! Iola, idź i sprawdź, czy Marti już wszystko wyrzygała.

– Ciekawe – powiedziała cichutko Iola, nie podnosząc głowy – ile wy macie lat praktyki, panie Rusty. Sto?

•

Po kilkunastu minutach forsownego, duszącego kurzem marszu wrzaski setników i dziesiętników zatrzymały wreszcie i rozwinęły w linię wyzimskie regimenty. Jarre, dysząc i niby ryba łapiąc powietrze ustami, zobaczył wojewodę Bronibora defilującego przed frontem na swym pięknym rumaku okrytym płytami pancerza. Sam wojewoda też był w pełnej płytowej. Jego zbroja była szmelcowana w błękitne pasy, dzięki czemu Bronibor wyglądał jak ogromna blaszana makrela.

– Jak się macie, ofermy?

Szeregi pikinierów odpowiedziały dudniącym jak daleki grom pomrukiem.

– Wydajecie pierdzące dźwięki – skonstatował wojewoda, obracając opancerzonego konia i prowadząc go stępa przed frontem. – Znaczy, macie się dobrze. Bo gdy macie się źle, to nie pierdzicie półgłosem, ale wyjecie i skowyczycie jak potępieńcy. Po waszych minach widzę, że rwiecie się do boju, że marzycie o walce, że już nie możecie doczekać się Nilfgaardczyków! Co, wyzimscy zbóje? Mam tedy dla was dobrą wiadomość! Wasze marzenie spełni się za małą chwilkę. Za maleńką, tyciunieńką chwilkę.

Pikinierzy znowu zamruczeli. Bronibor, dojechawszy do końca linii, zawrócił, przemawiał dalej, postukując buzdyganem o zdobioną kulę łęku.

– Nażarliście się kurzu, piechota, maszerując za pancernymi! Jak do tej pory, zamiast sławy i łupu wąchaliście końskie bździny. Mało brakowało, a nawet dziś, gdy przyszło do wielkiej potrzeby, nie trafilibyście na pole chwały. Ale udało się wam, gratuluję z całego serca! Tu, pod tą wsią, nazwy której zapomniałem, pokażecie nareszcie, ileście warci jako wojsko. Ta chmura, którą widzicie w polu, to jest nilfgaardzka jazda, która zamierza rozgnieść naszą armię flankowym uderzeniem, zepchnąć nas i potopić w bagnach tej rzeczki, nazwy której zapomniałem również. Wam, sławnym wyzimskim pikinierom, przypadł z łaski króla Foltesta i konetabla Natalisa zaszczyt obrony luki, jaka powstała w naszych szeregach. Zamkniecie tę lukę własnymi, że się tak wyrażę, piersiami, powstrzymacie nilfgaardzką szarżę. Radujecie się, kumotrzy, co? Rozpiera was duma, hę?

Jarre, ściskając drzewce piki, rozejrzał się dookoła. Nic nie wskazywało na to, by żołnierze radowali się perspektywą bliskiego boju, a jeśli rozpierała ich duma z tytułu zaszczytu zamykania luki, to

umiejętnie tę dumę maskowali. Stojący po prawicy chłopca Melfi mamrotał pod nosem modlitwę. Po lewej Deuslax, zawodowy wiarus, pociągał nosem, klął i nerwowo kasłał.

Bronibor obrócił konia, wyprostował się w kulbace.

– Nie słyszę! – ryknął. – Pytałem, czy rozpiera was, kurwa, duma?

Tym razem pikinierzy, nie widząc innego wyjścia, ryknęli jednym wielkim głosem, że ich rozpiera. Jarre też ryczał. Jak wszyscy, to wszyscy.

– Dobrze! – Wojewoda wstrzymał konia przed frontem. – A teraz ustawić mi tu porządny szyk! Setnicy, na co czekacie, taka wasza mać? Formować czworobok! Pierwszy szereg klęka, drugi stoi! Piki osadzić! Nie tym końcem, durniu! Tak, tak, do ciebie mówię, ty zarośnięta pokrako! Wyżej, wyżej żeleźca, dziady! Szlusuj, ścieśnij się, zewrzyj, ramię do ramienia! No, teraz wyglądacie imponująco! Niemalże jak wojsko!

Jarre znalazł się w drugim szeregu. Mocno wparł tylec piki w ziemię, ścisnął drzewce w dłoniach spotniałych ze strachu. Melfi międlił bez ustanku modlitwę za konających. Deuslax warczał niewyraźnie, powtarzał w kółko różne słowa, dotyczące głównie szczegółów intymnego życia Nilfgaardczyków, psów, suk, królów, konetabli, wojewodów i matek ich wszystkich.

Chmura w polu rosła.

– Nie pierdzieć tam, nie szczękać zębami! – ryknął Bronibor. – Pomysł, by spłoszyć tymi dźwiękami nilfgaardzkie konie, jest chybiony! Niechaj nikt się nie łudzi! To, co na was idzie, to brygady „Nauzicaa” i Siódma Daerlańska, znakomite, bitne, świetnie wyszkolone wojsko! Ich się nie da wystraszyć! Ich się nie da pokonać! Ich trzeba pozabijać! Wyżej piki!

Z oddali słychać już było cichy jeszcze, ale rosnący łomot kopyt. Ziemia zaczęła drgać. W chmurze pyłu, niczym iskry, zaczęły błyskać ostrza.

– Na wasze zasrane szczęście, Wyzimczycy – zaryczał znowu wojewoda – regularna pika piechoty nowego zmodernizowanego wzoru ma dwadzieścia jeden stóp długości! A nilfgaardzki miecz jest długi na trzy i pół stopy. Chyba umiecie rachować? Wiedzcie, że oni też umieją. Ale liczą na to, że nie zdzierżycie, że wylezie z was wasza prawdziwa natura, że potwierdzi się i wyda, że jesteście posrańcy, tchórze i parszywi owcojebcy. Czarni liczą na to, że rzucicie wasze

tyczki i zaczniecie uciekać, a oni będą was ścigać po polu i siec po grzbietach, potylicach i karkach, siec komfortowo i bez trudności. Zapamiętajcie, gnojki, że chociaż strach przydaje piętom nadzwyczajnej lotności, przed konnym nie uciekniecie. Kto chce żyć, komu miła sława i zdobycz, ten ma stać! Stać twardo! Stać jak mur! I zwierać szyk!

Jarre obejrzał się. Stojący za linią pikinierów kusznicy już kręcili korbami, wnętrze czworoboku najeżyło się ostrzami gizarm, ranserów, halabard, glewi, kos, runek i wideł. Ziemia dygotała coraz wyraźniej i silniej, w czarnej ścianie walącej na nich konnicy dawało się już rozróżnić sylwetki jeźdźców.

– Mamo, mamuniu – powtarzał drżącymi wargami Melfi. – Mamo, mamuniu...

– ...twoją mać – mruczał Deuslax.

Tętent narastał. Jarre chciał oblizać usta, ale nie zdołał. Język przestał zachowywać się normalnie, zesztywniał obco, a suchy był jak wiór. Tętent narastał.

– Szlusuj! – ryknął Bronibor, dobywając miecza. – Poczuć ramię towarzysza! Pamiętajcie, żaden z was nie walczy sam! A jedynym lekiem na strach, który odczuwacie, jest pika w garści! Gotuj się do boju! Piki na pierś konia! Co będziemy robić, wyzimscy zbóje? Pytałem!

– Stać twardo! – ryknęli jednym głosem pikinierzy. – Stać jak mur! Zwierać szyk!

Jarre też ryczał. Jak wszyscy, to wszyscy. Spod kopyt idącej klinem konnicy pryskały piach, żwir i darń. Szarżujący jeźdźcy wrzeszczeli jak demony, wywijali bronią. Jarre naparł na pikę, wkulił głowę w ramiona i zamknął oczy.

•

Jarre, nie przerywając pisania, gwałtownym ruchem kikuta odpędził krążącą nad kałamarzem osę.

Na niczym spełzł koncept marszałka Coehoorna, jego flankowy zagon zatrzymała bohaterska wyzimska piechota pod wojewodą Broniborem, krwawo swe bohaterstwo okupując. A w czasie, gdy Wyzimczycy opór dawali, na skrzydle lewym poszedł Nilfgaard w rozsypkę – jedni pierzchać jęli, inni kupić się i w kupach bronić, zewsząd otoczeni. To samo wnet stało się na skrzydle prawym, gdzie zawziętość krasnoludów i kondotierów w końcu nad impetem Nilfgaardu przemogła. Na całym

froncie jeden wielki krzyk triumfu się podniósł, a w serca królewskich rycerzy wstąpił nowy duch. A w Nilfgaardczykach duch upadł, ręce im pomdlały, a nasi łuszczyć ich zaczęli jak groch, aż echo szło.

I pojął marszałek polny Coehoorn, że batalia przegrana, zobaczył, jak giną i w rozsypkę idą wokół niego brygady.

I przybieżali natenczas ku niemu oficerowie a rycerze, konia podając świeżego, wołając, by uchodził, by ratował życie. Ale nieustraszone biło serce w piersi nilfgaardzkiego marszałka. „Nie godzi się", zawołał, odpychając wyciągane ku niemu wodze. „Nie godzi się, bym miał jak tchórz umykać z pola, na którym pod moją komendą tylu dobrych mężów padło za cesarza". I dodał mężny Menno Coehoorn...

•

– Nie ma już którędy spierdalać – dodał spokojnie i trzeźwo Menno Coehoorn, rozglądając się po polu. – Opasali nas ze wszech stron.

– Dajcie wasz płaszcz i hełm, panie marszałku. – Rotmistrz Sievers starł z twarzy pot i krew. – Bierzcie moje! Zsiadajcie z rumaka, bierzcie mojego... Nie protestujcie! Wy musicie żyć! Jesteście niezbędni Cesarstwu, niezastąpieni... My, Daerlańczycy, uderzymy na Nordlingów, ściągniemy ich na siebie, wy zaś spróbujcie przebijać się tam, w dole, poniżej rybnika...

– Nie wyjść wam z tego – mruknął Coehoorn, chwytając podawane mu wodze.

– To zaszczyt – wyprostował się w siodle Sievers. – Jestem żołnierzem! Z Siódmej Daerlańskiej! Do mnie, wiara! Do mnie!

– Powodzenia – mruknął Coehoorn, zarzucając na ramiona daerlański płaszcz z czarnym skorpionem na ramieniu. – Sievers?

– Tak, panie marszałku?

– Nic. Powodzenia, chłopcze.

– I wam niech szczęście sprzyja, panie marszałku. W konie, wiara!

Coehoorn patrzył im w ślad. Długo. Do momentu, w którym grupka Sieversa z hukiem, wrzaskiem i łomotem zderzyła się z kondotierami. Z przeważającym liczebnie oddziałem, któremu zresztą w sukurs natychmiast pospieszyły inne. Czarne płaszcze Daerlańczyków zniknęły wśród kondotierskiej szarości, wszystko utonęło w kurzu.

Coehoorna oprzytomniło nerwowe pokasływanie de Wyngalta i adiutantów. Marszałek poprawił puśliska i tybinki. Opanował

niespokojnego rumaka.

– W konie! – skomenderował.

Początkowo wiodło im się. W wylocie wiodącej ku rzeczce dolinki zawzięcie bronił się topniejący, zbity w najeżone ostrzami kolisko oddział niedobitków brygady „Nauzicaa", na którym Nordlingowie chwilowo skoncentrowali cały impet i całą siłę, czyniąc lukę w pierścieniu. Całkiem na sucho, ma się rozumieć, nie uszło im – musieli przerąbać się przez ławę lekkiej wolentarskiej jazdy, sądząc po znakach, bruggeńskiej. Walka była króciutka, ale wściekle zażarta. Coehoorn zatracił i odrzucił już wszelkie resztki i pozory patetycznego bohaterstwa, teraz już chciał tylko przeżyć. Nawet nie oglądając się na siekącą się z Bruggeńczykami eskortę, pognał z adiutantami ku rzeczce, płaszcząc się i tuląc do końskiego karku.

Droga była wolna, za rzeczką, za krzywymi wierzbami rozciągała się pusta równina, na której nie było widać żadnych wrażych wojsk. Cwałujący obok Coehoorna Ouder de Wyngalt też to zobaczył i triumfująco wrzasnął.

Przedwcześnie.

Od powolnego i mętnego nurtu rzeczki oddzielała ich porośnięta jaskrawozielonym rdestem łąka. Gdy wpadli na nią w pełnym galopie, konie raptownie zapadły się w młakę po brzuchy.

Marszałek przeleciał przez głowę wierzchowca i chlupnął w bagno. Dookoła rżały i wierzgały konie, wrzeszczeli ubłoceni i pokryci zieloną rzęsą ludzie. Wśród tego pandemonium Menno usłyszał nagle inny dźwięk. Dźwięk oznaczający śmierć.

Syk lotek.

Rzucił się ku nurtowi rzeczki, brnąc w gęstym bagnie po biodra. Przedzierający się obok niego adiutant runął nagle twarzą w błoto, marszałek zdążył zobaczyć bełt tkwiący w plecach aż po pióra. W tym samym momencie poczuł straszliwe uderzenie w głowę. Zachwiał się, ale nie upadł, zaklinowany w mule i moczarce. Chciał krzyknąć, ale zdołał tylko zacharczeć. Żyję, pomyślał, próbując wyrwać się z objęć kleistego szlamu. Rwący się z młaki koń kopnął w hełm, wgnieciona głęboko blacha rozwaliła mi policzek, wybiła zęby i pokaleczyła język... Krwawię... Łykam krew... Ale żyję...

Znowu szczęk cięciw, syk lotek, łomot i trzask przebijających pancerze grotów, wrzask, rżenie koni, chlupnięcia, bryzgi krwi.

Marszałek obejrzał się i zobaczył na brzegu strzelców, małe, krępe, pękate sylwetki w kolczugach, misiurkach i szpiczastych szłomach. Krasnoludy, pomyślał.

Szczęk cięciw kusz, świst bełtów. Kwik szalejących koni. Wrzask ludzi, dławiony wodą i błockiem.

Obrócony ku strzelcom Ouder de Wyngalt krzyknął, że się poddaje, wysokim, piskliwym głosem prosił o łaskę i zmiłowanie, obiecywał okup, błagał o życie. Świadom, że nikt nie rozumie słów, uniósł nad głową trzymany za klingę miecz. Międzynarodowym, wręcz kosmpolitycznym gestem poddania wyciągnął broń w stronę krasnoludów. Nie został zrozumiany albo został zrozumiany źle, bo dwa bełty walnęły go w pierś z taką siłą, że uderzenie aż wyrwało go z bagna.

Coehoorn zdarł z głowy wgnieciony hełm. Znał dość dobrze język wspólny Nordlingów.

– Jefem małałek Coeoon... – zabełkotał, plując krwią. – Małałek... Coeoon... Pobaę wę... Pałdon... Pałdon...

– Co on gada, Zoltan? – zdziwił się jeden z kuszników.

– Pies trącał jego i jego gadanie! Widzisz haft na jego płaszczu, Munro?

– Srebrny skorpion! Haaaa! Chłopaki, walić w skurwysyna! Za Caleba Strattona!

– Za Caleba Strattona!

Szczęknęły cięciwy. Jeden bełt ugodził Coehoorna prosto w pierś, drugi w biodro, trzeci w obojczyk. Marszałek polny Cesarstwa Nilfgaardu przewrócił się w tył, w rzadką breję, rdest i moczarka ustąpiły pod jego ciężarem. Kim, u ciężkiej cholery, mógł być ten Caleb Stratton, zdążył pomyśleć, w życiu nie słyszałem o żadnym Calebie...

Mętna, gęsta, błotnistokrwawa woda rzeczki Chotli zamknęła się nad jego głową i wdarła do płuc.

•

Wyszła przed namiot, by zaczerpnąć świeżego powietrza. I wtedy go zobaczyła, siedzącego obok ławy kowala.

– Jarre!

Podniósł na nią oczy. W tych oczach była pustka.

– Iola? – spytał, z trudem poruszając spierzchniętymi wargami. – Skąd ty...

– Też pytanie! – przerwała mu natychmiast. – Lepiej powiedz, skąd ty się tu wziąłeś?

– Przynieśliśmy naszego dowódcę... Wojewodę Bronibora... Rannego...

– Ty też jesteś ranny. Pokaż mi tę rękę. Bogini! Przecież ty się wykrwawisz, chłopcze!

Jarre patrzył na nią, a Iola zaczęła nagle wątpić, czy ją widzi.

– Jest bitwa – powiedział chłopiec, poszczękując z lekka zębami. – Trzeba stać jak mur... Twardo w szyku. Lżej ranni mają nosić do lazaretu... ciężej rannych. Rozkaz.

– Pokaż rękę, mówię.

Jarre zawył krótko, zwierane zęby zakłapały w dzikim staccato. Iola zmarszczyła się.

– Jejku, okropnie to wygląda... Oj, Jarre, Jarre... Zobaczysz, matka Nenneke będzie zła... Chodź ze mną.

Widziała, jak zbladł, gdy zobaczył. Gdy poczuł wiszący pod płachtą namiotu smród. Zachwiał się. Podtrzymała go. Widziała, że patrzy na zakrwawiony stół. Na leżącego tam człowieka. Na chirurga, małego niziołka, który nagle podskoczył, zatupał nogami, zaklął obrzydliwie i cisnął na ziemię skalpel.

– Cholera! Kurwa! Dlaczego? Dlaczego tak jest? Dlaczego tak musi być?

Nikt nie odpowiedział na to pytanie.

– Kto to był?

– Wojewoda Bronibor – wyjaśnił słabym głosem Jarre, patrząc wprost przed siebie swym pustym wzrokiem. – Nasz dowódca... Staliśmy twardo w szyku. Rozkaz. Jak mur. A Melfiego zabili...

– Panie Rusty – poprosiła Iola. – Ten chłopak to mój znajomy... Jest ranny...

– Trzyma się na nogach – ocenił zimno chirurg. – A tu jeden niemal dogorywający czeka na trepanację. Tu nie ma miejsca na żadne kumoterstwo...

W tym momencie Jarre z dużym wyczuciem dramatyzmu zemdlał i zwalił się na klepisko. Niziołek parsknął.

– No, dobra, na stół z nim – zakomenderował. – Oho, ładnie załatwiona ręka. Na czym to się, ciekawe, trzyma? Chyba na rękawie?

Opaska, Iola! Mocno! I nie waż mi się płakać! Shani, podaj mi piłę.

Piła z ohydnym chrupnięciem wgryzła się w kość powyżej zmiażdżonego stawu łokciowego. Jarre ocknął się i zaryczał. Okropnie, ale krótko. Bo gdy kość ustąpiła, natychmiast zemdlał znowu.

•

I tak oto potęga Nilfgaardu legła w pyle i prochu na brenneńskich polach, a marszowi Cesarstwa na północ ostatecznie kres położony został. Zabitymi i w plen wziętymi straciło Cesarstwo pod Brenną ludzi czterdzieści i cztery tysiące. Legł kwiat rycerstwa, elitarna kawaleria. Polegli, w niewolę poszli lub bez wieści zaginęli wodzowie tej miary co Menno Coehoorn, Braibant, de Mellis-Stoke, van Lo, Tyrconnel, Eggebracht i inni, których imiona się w naszych archiwach nie zachowały.

Tak to stała się Brenna początkiem końca. Ale godzi się zapisać, że była ta bitwa jeno małym klockiem w budowli i miałka byłaby jej waga, gdyby nie to, że owoce wiktorii mądrze wykorzystane zostały. Godzi się przypomnieć, że miast na laurach lec i z dumy pękać, zaszczytów i hołdów czekać, Jan Natalis bez tchu niemal ruszył na południe. Zagon jazdy pod Adamem Pangrattem i Julią Abatemarco rozbił dwie dywizje Trzeciej Armii, które Menno Coehoornowi szły ze spóźnioną odsieczą, rozgromił je tak, że nec nuntius cladis. Na wieść o tym reszta Grupy Armii „Środek" sromotnie tył podała i za Jarugę w pośpiechu uszła, a że Foltest i Natalis na pięty im następowali, stracili cesarscy całe tabory i wszystkie ich oblężnicze machiny, którymi w pysze swojej myśleli Wyzimę, Gors Velen i Novigrad dobywać.

I jako lawina, z gór się tocząca, coraz to śniegiem obrasta i większą się stawa, tak i Brenna coraz to sroższe dla Nilfgaardu powodowała skutki. Ciasne przyszły termina na Armię „Verden" pod książęciem de Wettem, której kaprowie ze Skellige i król Ethain z Cidaris wielkie w podjazdowej wojnie czynili dyzgusty. Gdy zaś de Wett o Brennie się dowiedział, gdy wieść go doszła, że forsownym marszem idą nań król Foltest i Jan Natalis, natychmiast do odwrotu kazał trąbić i w popłochu za rzekę do Cintry zbieżał, trupami drogę ucieczki ścieląc, bo na wieść o nilfgaardzkich porażkach powstanie w Verden na nowo rozgorzało. Jeno w Nastrogu, Rozrogu i Bodrogu, twierdzach niezdobytych, mocne

zostały załogi, skąd dopiero po pokoju cintryjskim honorowo i ze sztandarami wyszły.

W Aedirn zaś wieść o Brennie ku temu się przyczyniła, że zwaśnieni królowie Demawend i Henselt prawice sobie podali i wespół przeciw Nilfgaardowi wystąpili. Grupa Armii „Wschód", co pod wodzą diuka Ardala aep Dahy ku dolinie Pontaru maszerowała, czoła obu sprzymierzonym królom nie zdołała stawić. Wzmocnieni posiłkami z Redanii i gerylasami królowej Meve, którzy tył Nilfgaardowi okrutnie szarpali, Demawend i Henselt zagnali Ardala aep Dahy aż pod Aldersberg. Diuk Ardal bitwę chciał przyjąć, ale dziwnym losu zrządzeniem zachorował nagle, zjadłszy coś, kolki go chwyciły i biegunka miserere, tak i we dwa dni umarł był wśród boleści wielkich. A Demawend i Henselt nie mieszkając na Nilfgaardczyków uderzyli i tam, pod Aldersbergiem, gwoli, widać, historycznej sprawiedliwości, w walnej bitwie srodze ich rozbili, choć wciąż to przy Nilfgaardzie znaczna przewaga liczebna była. Tak to duch i kunszt nad siłą tępą i brutalną triumfować zwykły.

Godzi się jeszcze o jednej napisać rzeczy: otóż co się pod Brenną z samym Menno Coehoornem stało, tego nikt nie wie. Jedni powiadają: poległ, a ciało nie rozpoznane we wspólnej pochowano mogile. Drudzy mówią: z życiem uszedł, ale cesarskiego się lękając gniewu, do Nilfgaardu nie powrócił, lecz skrył się w Brokilonie, wśród driad, i tam pustelnikiem został, brodę do samej ziemi zapuściwszy. I tam też wnet wśród zgryzot pomarł.

Krąży zaś wśród ludu prostego podanie, jakoby wracał marszałek nocami na brenneńskie pole i chodził wśród kurhanów, zawodząc: „Oddajcie mi moje legiony!", zaś na koniec powiesił się na osice na wzgórzu, Szubienicznym od tego nazwanym. I nocą można zjawę sławnego marszałka wśród innych napotkać upiorów, pobojowisko pospolicie nawiedzających.

– Dziadku Jarre! Dziadku Jarre!

Jarre podniósł głowę znad papierów, poprawił osuwające się po spoconym nosie okulary.

– Dziadku Jarre! – wykrzyczała na górnych rejestrach jego najmłodsza wnuczka, rezolutna i bystra sześciolatka, która, bogom dzięki, wdała się bardziej w matkę, córkę Jarre, niż w rozlazłego zięcia.

– Dziadku Jarre! Babcia Lucienne kazała powiedzieć, że dość na dziś będzie tej próżniaczej bazgraniny i że podwieczorek na stole!

Jarre pieczołowicie złożył zapisane arkusze i zakorkował kałamarz. W kikucie ręki pulsował ból. Zmiana pogody, pomyślał. Przyjdzie deszcz.

– Dziadku Jaaaarreeee!

– Już idę, Ciri. Już idę.

•

Nim uporali się z ostatnim rannym, było już dobrze po północy. Ostatnie operacje przeprowadzali już przy świetle – zwykłym, z lampy, a później także i magicznym. Marti Sodergren doszła do siebie po przebytym kryzysie i choć blada jak śmierć, sztywna i nienaturalna w ruchach jak golem, czarowała sprawnie i efektywnie.

Była czarna noc, gdy wyszli z namiotu, wszyscy czworo, siedli, oparci plecami o płachtę.

Równina pełna była ogni. Różnych ogni – nieruchomych ogni biwaków, ruchliwych ogni łuczyw i pochodni. Noc rozbrzmiewała dalekim śpiewem, skandowaniem, okrzykami, wiwatami.

Noc dookoła nich żyła też urywanymi krzykami i jękami rannych. Błaganiami i westchnieniami umierających. Nie słyszeli już tego. Przyzwyczaili się do odgłosów cierpienia i umierania, dźwięki te były dla nich zwyczajne, naturalne, tak wkomponowane w tę noc jak rechot żab w mokradłach nad rzeczką Chotlą, jak granie cykad w akacjach nad Złotym Stawem.

Marti Sodergren milczała lirycznie, oparta o ramię niziołka. Iola i Shani, objęte, przytulone, parskały od czasu do czasu cichym, zupełnie bezsensownym śmiechem.

Nim siedli pod namiotem, wypili po kubku wódki, a Marti poczęstowała wszystkich swym ostatnim zaklęciem: czarem rozweselającym, używanym zwykle przy wyrywaniu zębów. Rusty czuł się oszukany tym traktamentem – połączony z magią trunek, miast odprężyć, otępił go, miast zniwelować wyczerpanie, wzmógł je. Miast dać zapomnienie, przypominał.

Wygląda, pomyślał, że wyłącznie na Iolę i Shani alkohol i magia podziałały jak należy.

Odwrócił się i w świetle księżyca zobaczył na twarzach obu dziewczyn błyszczące, srebrzyste ślady łez.

– Ciekawe – powiedział, oblizując drętwe, nieczułe wargi – kto zwyciężył w tej bitwie. Czy ktoś to wie?

Marti odwróciła ku niemu twarz, ale nadal milczała lirycznie. Cykady grały wśród akacji, wierzb i olch nad Złotym Stawem, żaby rechotały. Ranni jęczeli, błagali, wzdychali. I umierali. Shani i Iola chichotały przez łzy.

•

Marti Sodergren umarła dwa tygodnie po bitwie. Zadała się z oficerem z Wolnej Kompanii Kondotierskiej. Traktowała tę przygodę lekko. W przeciwieństwie do oficera. Gdy Marti, lubiąca odmiany, zadała się z temerskim rotmistrzem, oszalały z zazdrości kondotier pchnął ją nożem. Powieszono go za to, ale uzdrowicielki nie zdołano odratować.

Rusty i Iola umarli rok po bitwie, w Mariborze, podczas największej eksplozji epidemii gorączki krwotocznej, zarazy zwanej też Czerwoną Śmiercią albo – od nazwy statku, na którym została przywleczona – Plagą Catriony. Uciekli wówczas z Mariboru wszyscy medycy i większość kapłanów. Rusty i Iola zostali, ma się rozumieć. Leczyli, bo byli lekarzami. To, że na Czerwoną Śmierć nie było lekarstwa, nie miało dla nich znaczenia. Zarazili się obydwoje. On umarł na jej rękach, w mocnym, budzącym ufność uścisku jej dużych, brzydkich, wieśniaczych dłoni. Ona umarła cztery dni później. Samotna.

Shani umarła siedemdziesiąt dwa lata po bitwie. Jako słynna i otoczona szacunkiem emerytowana dziekanka katedry medycyny uniwersytetu oxenfurckiego. Pokolenia przyszłych chirurgów powtarzały jej słynny żart: „Zszyj czerwone z czerwonym, żółte z żółtym, białe z białym. Na pewno będzie dobrze".

Mało kto zauważał, jak po wygłoszeniu tej facecji pani dziekan zawsze ukradkiem ociera łzę.

Mało kto.

•

Żaby rechotały, cykady grały wśród wierzb nad Złotym Stawem. Shani i Iola chichotały przez łzy.

– Ciekawe – powtórzył Milo Vanderbeck, niziołek, chirurg polowy, znany jako Rusty. – Ciekawe, kto zwyciężył?

– Rusty – powiedziała lirycznie Marti Sodergren. – Uwierz, jest to ostatnia rzecz, o którą martwiłabym się, będąc na twoim miejscu.

Jedne z płomyczków wysokie były i mocne, świeciły jasno i żywo, inne zaś były malutkie, chwiejne i drgające, a światło ich ciemniało i zamierało. Na samym zaś końcu był jeden płomyczek maleńki i tak słaby, że ledwie się tlił, ledwie pełgał, już to rozbłyskując w wielkim trudzie, już to gasnąc niemalże zupełnie.

– Czyj jest ten gasnący ognik? – zapytał wiedźmin.

– Twój – odrzekła Śmierć.

Flourens Delannoy, *Bajki i klechdy*

Rozdział dziewiąty

Płaskowyż, aż po same niemal dalekie, sine we mgle szczyty gór, był jak prawdziwe kamienne morze, ówdzie sfalowane garbem lub granią, ówdzie najeżone ostrymi zębami raf. Wrażenie potęgowały wraki okrętów. Dziesiątki wraków. Galer, galeasów, kog, karaweli, brygów, holków, drakkarów. Niektóre wyglądały, jakby znalazły się tu niedawno, inne były kupami z trudem tylko rozpoznawalnych desek i wręgów, ewidentnie leżących tu od dziesiątków, jeśli nie setek lat.

Niektóre z okrętów leżały kilami do góry, inne, przewrócone na bok, wyglądały jak wyrzucone przez szatańskie szkwały i sztormy. Jeszcze inne sprawiały wrażenie płynących, żeglujących wśród tego kamiennego oceanu. Stały równo i prosto, z dumnie wypiętymi galionami, z masztami wskazującymi zenit, powiewając resztkami żagli, wantów i sztagów. Miały nawet swe upiorne załogi – zaklinowane w przegniłych deskach i zaplątane w liny kościotrupy, martwych żeglarzy, na wieki zajętych nie kończącą się nawigacją.

Zaalarmowane pojawieniem się jeźdźca, spłoszone stukiem kopyt, z masztów, rej, lin i kościotrupów zerwały się z krakaniem chmary czarnych ptaków. Na moment upstrzyły niebo, zakołowały stadem nad granią przepaści, na dnie której, szare i gładkie jak rtęć, leżało jezioro. Na grani, częściowo górując wieżami nad wrakowiskiem, częściowo zwisając nad jeziorem wtopionymi w pionową skałę bastionami, widniała ciemna i ponura warownia. Kelpie zatańczyła, zaparskała,

strzygąc uszami, boczyła się na wraki, na szkielety, na cały ten pejzaż śmierci. Na kraczące czarne ptactwo, które wracało już, siadało znowu na potrzaskanych masztach i salingach, na wantach i czaszkach. Ptaki pojęły, że samotnego jeźdźca nie trzeba się bać. Że jeśli ktoś tu powinien się bać, to ów jeździec właśnie.

– Spokojnie, Kelpie – powiedziała zmienionym głosem Ciri. – To koniec drogi. To jest właściwe miejsce i właściwy czas.

•

Znalazła się przed bramą nie wiedzieć skąd, wychynęła jak widziadło spomiędzy wraków. Strażnicy spod bramy zauważyli ją pierwsi, zaalarmowani krakaniem gawronów, teraz krzyczeli, gestykulując i pokazując ją palcami, zwołując innych.

Gdy dojechała do wieży bramnej, panował tu już ścisk. I podniecony gwar. Gapili się na nią wszyscy. Ci nieliczni, którzy już ją znali i widzieli wcześniej, jak Boreas Mun i Dacre Silifant. I znacznie liczniejsi ci, którzy o niej tylko słyszeli – nowo zwerbowani ludzie Skellena, najemnicy i zwykli grasanci z Ebbing i okolic, którzy teraz w zdumieniu patrzyli na szarowłosą dziewczynę z blizną na twarzy i z mieczem na plecach. Na piękną karą klacz, wysoko trzymającą głowę, pochrapującą i dzwoniącą podkowami po płytach dziedzińca.

Gwar ścichł. Zrobiło się bardzo cicho. Klacz stąpała, podnosząc nogi jak baletnica, podkowy dzwoniły jak młoty o kowadło. Długo trwało, nim wreszcie zastąpiono jej drogę, krzyżując gizarmy i runki. Ktoś niepewnym i zlęknionym gestem wyciągnął rękę ku uździe. Klacz chrapnęła.

– Prowadźcie mnie – powiedziała dźwięcznie dziewczyna – do pana tego zamku.

Boreas Mun, sam nie wiedząc, dlaczego to robi, podtrzymał jej strzemię i podał rękę. Inni przytrzymali tupiącą i prychającą klacz.

– Poznajesz mnie waćpanna? – spytał cicho Boreas. – Spotkaliśmy się już wszak.

– Gdzie?

– Na lodzie.

Spojrzała mu prosto w oczy.

– Nie patrzyłam wówczas na wasze twarze – powiedziała beznamiętnie.

– Byłaś Panią Jeziora – poważnie pokiwał głową. – Po coś ty tu przyjechała, dziewczyno? Po co?

– Po Yennefer. I po moje przeznaczenie.

– Po śmierć raczej – szepnął. – To jest zamek Stygga. Na twoim miejscu uciekłbym jak najdalej stąd.

Znowu spojrzała. A Boreas momentalnie zrozumiał, co chciała powiedzieć tym spojrzeniem.

Zjawił się Stefan Skellen. Długo przyglądał się dziewczynie, skrzyżowawszy ręce na piersi. Wreszcie energicznym gestem wskazał, że ma iść za nim. Poszła bez słowa, ze wszystkich stron eskortowana przez uzbrojonych ludzi.

– Dziwna dziewka – mruknął Boreas. I wzdrygnął się.

– Szczęściem, nie naszym ona już zmartwieniem – rzekł z przekąsem Dacre Silifant. – A tobie dziwię się, żeś z nią tak gadał. Ona to, wiedźma, ubiła Vargasa i Frippa, a później Olę Harsheima...

– Puszczyk ubił Harsheima – uciął Boreas. – Nie ona. Ona życiem nas darowała, tam na krze, choć mogła nas jak szczenięta wyrżnąć i potopić. Wszystkich. Puszczyka też.

– Jużci. – Dacre splunął na płyty podwórca. – Wynagrodzi on jej ninie tę litość, wespół z czarownikiem i Bonhartem. Obaczysz, Mun, już oni ją oporządzą paradnie. Oni z niej skórę cienkimi paskami złupią.

– Że złupią, skłonnym wierzyć – warknął Boreas. – Bo rakarze są. I my też nie lepsi, skoro u nich służym.

– A wyjście mamy? Nie mamy.

Któryś z najemników Skellena krzyknął nagle cicho, któryś mu zawtórował. Ktoś zaklął, ktoś westchnął. Ktoś w milczeniu wskazał ręką.

Na blankach, na krokształynach, na dachach wieżyczek, na gzymsach, na parapetach i wimpergach, na rynnach, rzygaczach i maszkaronach siedziały, jak okiem sięgnąć, czarne ptaki. Cichcem, bez krakania nadleciały od wrakowiska, teraz siedziały w ciszy i oczekiwaniu.

– Śmierć wietrzą – bąknął któryś z najemników.

– I ścierwo – dodał drugi.

– Nie mamy wyjścia – powtórzył machinalnie Silifant, patrząc na Boreasa. Boreas Mun patrzył na ptaki.

– Może pora – odpowiedział cicho – byśmy mieli?

•

Weszli w górę wielkimi schodami o trzech podestach, przeszli szpalerem posągów ustawionych w niszach wzdłuż długiego korytarza, minęli krużganek okalający westybul. Ciri szła śmiało, nie czuła lęku, nie wzbudzały w niej strachu ani broń, ani zbójeckie facjaty eskorty. Kłamała, mówiąc, że nie pamięta twarzy ludzi z zamarzniętego jeziora. Pamiętała. Pamiętała, jak Stefan Skellen, ten sam, który teraz z ponurą miną prowadził ją w głąb tego strasznego zamczyska, dygotał i dzwonił zębami na lodzie.

Teraz, gdy co i rusz oglądał się i palił ją wzrokiem, czuła, że trochę boi się jej nadal. Odetchnęła głębiej.

Weszli do halli, pod wysokie, wsparte kolumnami, gwiaździsto żebrowane sklepienie, pod wielkie pająkowate żyrandole. Ciri zobaczyła, kto czeka tam na nią. Strach wpił jej w trzewia szponiaste palce, ścisnął pięść, szarpnął i zakręcił.

Bonhart w trzech krokach znalazł się przy niej. Oburącz schwycił ją za kubrak na piersi, uniósł, przyciągając jednocześnie do siebie, zbliżając jej twarz do swych bladych rybich oczu.

– Piekło – wycharczał – musi być naprawdę straszne, skoro jednak wolałaś mnie.

Nie odpowiedziała. W jego oddechu czuła alkohol.

– A może to piekło nie chciało ciebie, mała bestio? Może tamta diabelska wieża wypluła cię ze wstrętem, zasmakowawszy twego jadu?

Przyciągnął ją bliżej. Odwróciła i cofnęła twarz.

– Słusznie – powiedział cicho. – Słusznie się obawiasz. To kres twojego szlaku. Stąd już nie uciekniesz. Tutaj, w tym zamku, wypuszczę ci krew z żył.

– Skończył pan, panie Bonhart?

Z miejsca poznała tego, kto to powiedział. Czarodziej Vilgefortz, który na Thanedd najpierw był zakutym w kajdany więźniem, a potem ścigał ją w Wieży Mewy. Wtedy, na wyspie, był bardzo przystojny. Teraz w jego twarzy coś się zmieniło, coś sprawiło, że stała się brzydka i straszna.

– Pozwoli pan, panie Bonhart – czarodziej nawet nie poruszył się na przypominającym tron fotelu – że to ja, gospodarz, wezmę na siebie miły obowiązek powitania na zamku Stygga naszego gościa, panny Cirilli z Cintry, córki Pavetty, wnuczki Calanthe, potomkini słynnej Lary Dorren aep Shiadhal. Witamy. I prosimy bliżej.

Z ostatnich słów czarodzieja znikło ukryte pod maską uprzejmości szyderstwo. Były w nich już tylko groźba i rozkaz. Ciri od razu poczuła, że temu rozkazowi nie będzie w stanie się przeciwstawić. Poczuła strach. Okropny paraliżujący strach.

– Bliżej – syknął Vilgefortz. Teraz spostrzegła, co było nie tak z jego twarzą. Lewe oko, znacznie mniejsze od prawego, mrugało, latało i kręciło się jak dzikie w pomarszczonym i sinym oczodole. Widok był koszmarny.

– Postawa dzielna, w twarzy śladu lęku – powiedział czarodziej, przekrzywiając głowę. – Moje uznanie. O ile odwaga nie wypływa z głupoty. Od razu rozwieję ewentualne mrzonki. Stąd, jak słusznie zauważył pan Bonhart, nie uciekniesz. Ani teleportem, ani za pomocą twoich własnych szczególnych zdolności.

Wiedziała, że miał rację. Wcześniej wmawiała sobie, że gdyby co, to zawsze, choćby w ostatniej chwili, zdoła uciec i skryć się wśród czasów i miejsc. Teraz wiedziała, że była to nadzieja złudna, mrzonka. Zamek aż wibrował od złej, wrogiej, obcej magii, wroga i obca magia przenikała ją, penetrowała, jak pasożyt pełzała po wnętrznościach, wstrętnie ślimaczyła się po mózgu. Nie mogła na to nic poradzić. Była w mocy wroga. Bezsilna.

Trudno, pomyślała, wiedziałam, co robię. Wiedziałam, po co tu przychodzę. Reszta to faktycznie były mrzonki. Niech więc będzie, co ma być.

– Brawo – powiedział Vilgefortz. – Trafna ocena sytuacji. Będzie, co ma być. Dokładniej: będzie, co ja postanowię. Interesujące, czy też domyślasz się, moja wspaniała, co postanowię?

Chciała odpowiedzieć, ale nim zdołała pokonać opór skurczonego i wyschniętego gardła, znowu ją uprzedził, wysondowawszy myśli.

– Oczywiście, że wiesz. Pani Światów. Pani Czasów i Miejsc. Tak, tak, moja wspaniała, nie zaskoczyła mnie twoja wizyta. Ja zwyczajnie wiem, dokąd uciekłaś z jeziora i jakim sposobem to uczyniłaś. Wiem, z kim i z czym się tam spotkałaś. Wiem, jakim sposobem dostałaś się tutaj. Jedno, czego nie wiem: czy droga była długa? I czy dostarczyła wielu wrażeń?

– Och – uśmiechnął się wrednie, znowu ją uprzedzając. – Nie musisz odpowiadać. Wiem, że było ciekawie i pasjonująco. Widzisz, ja nie mogę doczekać się, by sam spróbować. Bardzo zazdroszczę ci twego talentu. Będziesz musiała się nim ze mną podzielić, moja wspaniała. Tak,

„musiała” to właściwe słowo. Dopóki nie podzielisz się ze mną twoim talentem, po prostu nie wypuszczę cię z rąk. Ani w dzień, ani w nocy nie wypuszczę cię z rąk.

Ciri pojęła wreszcie, że gardło ściskał jej nie tylko strach. Czarodziej kneblował i dławił ją magicznie. Drwił z niej. Poniżał. Na oczach wszystkich.

– Wypuść... Yennefer – wykaszlała, aż garbiąc się z wysiłku. – Wypuść ją... A ze mną możesz zrobić, co zechcesz.

Bonhart ryknął śmiechem, sucho zaśmiał się też Stefan Skellen. Vilgefortz podłubał małym palcem w kąciku swego makabrycznego oka.

– Nie możesz być tak niemądra, by nie wiedzieć, że i tak mogę zrobić z tobą, co zechcę. Twoja oferta jest patetyczna, a więc żałosna i śmieszna.

– Potrzebujesz mnie... – uniosła głowę, choć kosztowało ją to mnóstwo sił. – By mieć ze mną dziecko. Wszyscy tego chcą, ty też. Tak, jestem w twojej mocy, sama tu przyszłam... Ty mnie nie złapałeś, chociaż goniłeś mnie przez pół świata. Przyszłam tu sama i sama ci się oddaję. Za Yennefer. Za jej życie. Dla ciebie to jest śmieszne? To spróbuj ze mną przemocą i na siłę... Zobaczysz, w mig przejdzie ci ochota do śmiechu.

Bonhart przyskoczył do niej, zamachnął się nahajką. Vilgefortz wykonał gest pozornie niedbały, lekki tylko ruch dłonią, ale i tego wystarczyło, by bat wyfrunął z ręki łowcy, a on sam zatoczył się jak potrącony przez wóz z węglem.

– Pan Bonhart – powiedział Vilgefortz, masując palce – wciąż, jak widzę, ma kłopoty ze zrozumieniem obowiązków gościa. Raczy pan zapamiętać: będąc w gościnie, nie niszczy się mebli i dzieł sztuki, nie kradnie drobnych przedmiotów, nie zanieczyszcza dywanów i miejsc trudno dostępnych. Nie gwałci się i nie bije innych gości. To ostatnie przynajmniej dopóty, dopóki nie skończy gwałcić i bić gospodarz, dopóki nie da znaku, że już bić i gwałcić można. Z tego, co właśnie powiedziałem, powinnaś umieć wyciągnąć właściwe wnioski i ty, Ciri. Nie umiesz? Pomogę. Oddajesz mi się sama i pokornie godzisz na wszystko, pozwalasz mi zrobić z sobą wszystko, co zechcę. I mniemasz, że oferta jest wielce wspaniałomyślna. Mylisz się. Sprawa ma się bowiem tak, że robić będę z tobą to, co muszę zrobić, nie zaś to, czego bym pragnął. Przykład: pragnąłbym w ramach rewanżu za Thanedd

wyłupić ci przynajmniej jedno oko, a nie mogę, bo boję się, że nie przeżyjesz.

Ciri pojęła, że albo teraz, albo nigdy. Wywinęła się w półobrocie, wyszarpnęła Jaskółkę z pochwy. Cały zamek zawirował nagle, poczuła, jak pada, boleśnie tłukąc kolana. Zgięła się, niemal dotykając czołem posadzki, walczyła z odruchem wymiotnym. Miecz wysunął jej się ze zdrętwiałych palców. Ktoś go podniósł.

– Taaak – powiedział przeciągle Vilgefortz, opierając podbródek na złożonych jak do modlitwy dłoniach. – Na czym to ja stanąłem? Ach, tak, prawda, na twojej ofercie. Życie i wolność Yennefer w zamian... Za co? Za twoje dobrowolne oddanie, ochoczo, bez gwałtu i przymusu? Przykro mi, Ciri. Do tego, co ci zrobię, gwałt i przymus są po prostu nieodzowne.

– Tak, tak – powtórzył, z zainteresowaniem przyglądając się, jak dziewczyna charcze, wypluwa ślinę i usiłuje wymiotować. – Bez gwałtu i przymusu po prostu się nie obędzie. Na to, co ci zrobię, nigdy nie przystałabyś dobrowolnie, zapewniam. Jak zatem widzisz, twoja oferta, wciąż żałosna i śmieszna, jest nadto bezwartościowa. Odrzucam ją więc. Dalejże, weźcie ją. Od razu do laboratorium.

•

Laboratorium niewiele różniło się od tego, które Ciri znała ze świątyni Melitele w Ellander. Też było jasno oświetlone, czyste, z długimi stołami o blaszanych blatach, blatach pełnych szkła, pełnych słojów, retort, kolb, probówek, rurek, soczewek, syczących i bulgocących alembików i innych przedziwnych przyrządów. Tutaj też, jak tam, w Ellander, ostro śmierdziało eterem, spirytusem, formaliną i czymś jeszcze, czymś, co sprawiało, że czuło się strach. Nawet tam, w przyjaznej świątyni, u boku przyjaznych kapłanek i przyjaznej Yennefer, Ciri czuła w laboratorium strach. A przecież tam, w Ellander, nikt nie wlókł jej do laboratorium przemocą, nikt nie sadzał brutalnie na ławie, nikt nie trzymał za ramiona i ręce w żelaznym uścisku. Tam, w Ellander, nie było pośrodku laboratorium strasznego stalowego fotela, kształt którego był sadystycznie wręcz oczywisty. Nie było tam biało ubranych i ogolonych na łyso typów, nie było tam Bonharta, nie było tam Skellena, podnieconego, zaczerwienionego i nerwowo oblizującego

wargi. I nie było tam Vilgefortza z jednym okiem normalnym, a drugim malutkim i koszmarnie ruchliwym.

Vilgefortz odwrócił się od stołu, na którym przez dłuższą chwilę układał jakieś budzące grozę instrumenty.

– Widzisz, moja wspaniała panno – zaczął, podchodząc – jesteś dla mnie kluczem do potęgi i władzy. Władzy nie tylko nad tym światem, będącym marnością nad marnościami, skazanym zresztą na rychłą zagładę, ale nad wszystkimi światami. Nad pełną gamą miejsc i czasów powstałych po Koniunkcji. Rozumiesz mnie z pewnością, niektóre z tych miejsce i czasów sama już odwiedziłaś.

– Mnie – podjął po chwili, podwijając rękawy – wstyd się przyznać, strasznie pociąga władza. To trywialne, wiem, ale ja chcę być władcą. Władcą, któremu będą bić pokłony, którego ludzie będą błogosławić za to tylko, że raczy być, a oddawać cześć boską, jeśli, dajmy na to, zechce wybawić ich świat od kataklizmu. Choćby wybawił tylko dla kaprysu. Och, Ciri, serce raduje mi myśl o tym, jak wspaniałomyślnie będę nagradzał wiernych, a jak okrutnie karał nieposłusznych i niepokornych. Miodem, słodką patoką dla mojej duszy będą wznoszone przez całe pokolenia modły do mnie i za mnie, o moją miłość i o moją łaskę. Całe pokolenia, Ciri, całe światy. Nadstaw uszu. Słyszysz? Od powietrza, głodu, ognia, wojny i gniewu Vilgefortza...

Poruszył palcami tuż przed jej twarzą, potem gwałtownie chwycił za policzki. Ciri krzyknęła, szarpnęła się, ale trzymano ją mocno. Usta zaczęły jej drżeć. Vilgefortz zobaczył to i zachichotał.

– Dziecko Przeznaczenia – zaśmiał się nerwowo, a w kąciku ust zabielała mu plamka piany. – Aen Hen Ichaer, święta elfia Starsza Krew... Teraz już tylko moja.

Wyprostował się gwałtownie. Wytarł usta.

– Różni głupcy i mistycy – ogłosił już swym zwykłym zimnym tonem – próbowali dopasować cię do bajęd, legend i przepowiedni, śledzili gen, który nosisz, dziedzictwo po przodkach. Myląc niebo z gwiazdami odbitymi na powierzchni stawu, mistycznie założyli, że przesądzający o wielkich możliwościach gen będzie ewoluował dalej, że pełnię potęgi osiągnie w twoim dziecku lub dziecku twego dziecka. I rosła wokół ciebie uroczna aura, snuł się kadzidlany dym. A prawda o ileż jest banalniejsza, o ileż bardziej prozaiczna. Rzekłbym, organicznie

prozaiczna. Ważna jest, moja wspaniała, twoja krew. Ale w absolutnie dosłownym, zgoła niepoetyckim znaczeniu tego słowa.

Podjął ze stołu szklaną szpryckę o długości mniej więcej pół stopy. Szprycka zakończona była cienką, lekko wygiętą kapilarą. Ciri poczuła, jak w ustach robi się jej sucho. Czarodziej obejrzał szpryckę pod światło.

– Za chwilę – oznajmił zimno – zostaniesz rozebrana i posadzona na fotelu, tym właśnie, któremu przyglądasz się z takim zaciekawieniem. Choć w niewygodnej pozycji, ale spędzisz na tym fotelu czas jakiś. Za pomocą zaś tego oto przyrządu, który również cię, jak widzę, fascynuje, zostaniesz zapłodniona. Nie będzie to takie straszne, przez cały niemal czas będziesz półprzytomna od eliksirów, które będę podawał ci dożylnie celem prawidłowego zagnieżdżenia jaja płodowego i wykluczenia ciąży pozamacicznej. Nie musisz się bać, mam wprawę, robiłem to setki razy. Nigdy, co prawda, wybrance losu i przeznaczenia, ale nie sądzę, by macice i jajniki wybranek różniły się aż tak bardzo od macic i jajników zwykłych dzieweczek.

– A teraz rzecz najważniejsza – Vilgefortz nasładzał się tym, co mówi. – Może cię to zmartwi, a może ucieszy, ale wiedz, że dziecka rodzić nie będziesz. Kto wie, może i byłby to wielki wybraniec o niezwykłych zdolnościach, zbawca świata i król narodów. Nikt nie jest jednak w stanie tego zagwarantować, a ja nadto nie mam zamiaru czekać tak długo. Mnie potrzebna jest krew. Dokładniej, krew łożyskowa. Gdy tylko placenta się wykształci, wyjmę ją z ciebie. Reszta moich planów i zamiarów, moja wspaniała, już cię, jak sama pojmujesz, dotyczyć nie będzie, nie ma więc sensu informować cię o nich, byłaby to niepotrzebna frustracja.

Zamilkł, robiąc efekciarską pauzę. Ciri nie mogła opanować rozdygotanych ust.

– A teraz – czarodziej skinął teatralnie – zapraszam na fotel, panno Cirillo.

– Warto by – Bonhart błysnął zębami spod siwych wąsów – żeby ta suka Yennefer na to popatrzyła. Należy jej się to!

– A i owszem – w kąciku uśmiechniętych ust Vilgefortza znowu pojawił się biały kłębuszek piany. – Zapładnianie to wszak rzecz święta, podniosła i uroczysta, to misterium, przy którym winna asystować cała bliższa rodzina. A Yennefer to przecież *quasi*-matka, a taka w

prymitywnych kulturach czynnie niemal uczestniczy w pokładzinach córki. Dalej, przyprowadźcie ją tu!

– Względem zaś tego zapłodnienia. – Bonhart pochylił się nad Ciri, którą ogoleni akolici czarodzieja już zaczynali rozbierać. – Nie można by tak, panie Vilgefortz, tak bardziej zwyczajnie? Po bożemu?

Skellen parsknął, kręcąc głową. Vilgefortz zmarszczył lekko brew.

– Nie – zaprzeczył chłodno. – Nie, panie Bonhart. Nie można by.

Ciri, jakby dopiero teraz zdała sobie sprawę z powagi sytuacji, wrzasnęła przeszywająco. Raz, a potem drugi raz.

– No, no – skrzywił się czarodziej. – Dzielnie, z uniesionym czołem i mieczem weszliśmy do jaskini lwa, a teraz zlękliśmy się małej szklanej rurki? Wstyd, moja panno.

Ciri, za nic sobie mając wstyd, rozdarła się po raz trzeci tak, że aż zadzwoniły laboratoryjne naczynia.

A cały zamek Stygga nagle odpowiedział wrzaskiem i alarmem.

•

– Bieda będzie, synkowie – powtórzył Zadarlik, okutym tylcem runki wydrapując zeschły gnój spomiędzy kamieni dziedzińca. – Oj, uwidzicie, bieda będzie nam, chudziaczkom.

Popatrzył po kamratach, ale żaden z wartowników nie skomentował. Nie zabrał również głosu Boreas Mun, który został ze strażnikami przy bramie. Z własnej woli, nie z rozkazu. Mógł jak Silifant iść za Puszczykiem, mógł na własne oczy przekonać się, co stanie się z Panią Jeziora, jaki los ją spotka. Ale Boreas nie chciał się temu przyglądać. Wolał zostać tu, na podwórcu, pod gołym niebem, daleko od komnat i sal górnego zamku, dokąd zabrano dziewczynę. Tutaj był pewien, że nie dobiegnie go nawet jej krzyk.

– Złe to są znaki owo czarne ptastwo. – Zadarlik wskazał ruchem głowy gawrony, wciąż siedzące na murach i gzymsach. – Zły to omen owa młódka, na karej klaczy przybyła. W złej my tu, powiadam wam, Puszczykowi służymy sprawie. Gadają zaś, że sam Puszczyk już nie koroner ani ważny pan, ale wywołaniec jako i my. Że okrutnie cesarz na niego cięty. Jak nas, synkowie, razem pochwycą, bieda będzie nam, chudziaczkom.

– Aj, aj! – dodał drugi wartownik, wąsacz w kapelusiku udekorowanym piórami hajstry. – Pal blisko! Źle, gdy cesarz zły.

– O, wa – wtrącił trzeci, przybyły do zamku Stygga całkiem niedawno, z ostatnią zwerbowaną przez Skellena partią najemników. – Cesarzowi może na nas nie stanie czasu. Ma pono tera insze turbulencje. Gadają, walna bitwa była gdzieś tam na północy. Pobił Nordling cesarskich, zbił na łeb, na szyję.

– Tedy – rzekł czwarty – może i nie tak źle, że my tu z Puszczykiem? Zawżdy to lepiej przy tym, co górą.

– Pewno – rzekł ten nowy – że lepiej. Puszczyk, widzi mi się, w górę pójdzie. A przy nim i my wypłyniem!

– Oj, synkowie – wsparł się na runce Zadarlik. – Głupiście wy jako chwosty końskie.

Czarne ptaki poderwały się do lotu z ogłuszającym łopotem i krakaniem, zaciemniły niebo, wirując chmarą wokół bastionu.

– Ki diabeł? – jęknął któryś z wartowników.

– Proszę otworzyć bramę.

Boreas Mun poczuł nagle przenikliwy zapach ziół: szałwii, mięty i tymianku. Przełknął ślinę, potrząsnął głową. Zamknął i otworzył oczy. Nie pomogło. Chudy, szpakowaty i przypominający poborcę podatków jegomość, który zjawił się nagle obok nich, ani myślał znikać. Stał i uśmiechał się zaciśniętymi ustami. Włosy Boreasa omal nie podniosły czapki.

– Proszę otworzyć bramę – powtórzył uśmiechnięty jegomość. – Bez zwłoki. Tak naprawdę będzie lepiej.

Zadarlik z brzękiem upuścił runkę, stał sztywno i bezgłośnie poruszał ustami. Oczy miał puste. Pozostali podeszli do bramy, krocząc sztywno i nienaturalnie, jak automaty. Zdjęli belkę. Rozwarli wrzeciądze.

Na dziedziniec z hukiem podków wdarła się czwórka jeźdźców.

Jeden miał włosy białe jak śnieg, miecz w jego ręku migał jak błyskawica. Drugi był jasnowłosą kobietą, w biegu konia napinającą łuk. Trzeci jeździec, całkiem młoda dziewczyna, zamaszystym ciosem krzywej szabli rozsiekła skroń Zadarlika.

Boreas Mun porwał upuszczoną runkę, zasłonił się drzewcem. Czwarty jeździec zagórował nagle nad nim. Do jego hełmu z obu stron przypięte były skrzydła drapieżnego ptaka. Zalśnił wzniesiony miecz.

– Zostaw, Cahir – powiedział ostro białowłosy. – Oszczędzajmy czas i krew. Milva, Regis, tędy...

– Nie – bełkotnął Boreas, sam nie wiedząc, dlaczego to robi. – Nie tędy... Tam jeno ślepe międzymurze. Tamtędy wam droga, tamtymi schodami.... Na górny zamek. Jeśli zratować Panią Jeziora... to trza się wam spieszyć.

– Dzięki – powiedział białowłosy. – Dzięki ci, nieznajomy. Regis, słyszałeś? Prowadź!

Po chwili na dziedzińcu zostały tylko trupy. I Boreas Mun, wciąż wsparty na drzewcu runki. Którego nie mógł puścić, tak bardzo trzęsły mu się nogi.

Gawrony z krakaniem krążyły nad zamkiem Stygga, kirową chmurą spowijając wieże i bastiony.

•

Vilgefortz wysłuchał zdyszanej relacji przybiegłego najemnika ze stoickim spokojem i kamienną twarzą. Ale rozbiegane i mrugające oko zdradzało go.

– Odsiecz w ostatniej chwili – zgrzytnął. – Nie do uwierzenia. Takie rzeczy się po prostu nie zdarzają. Albo zdarzają, ale w kiepskich przedstawieniach jarmarcznych, a to na to samo wychodzi. Zrób mi przyjemność, dobry człowieku, i powiedz, żeś to wszystko zmyślił dla, dajmy na to, krotochwili.

– Nie zmyślam! – oburzył się żołdak. – Prawdę powiadam! Wdarli się tu jacyś... Hassą całą...

– Dobrze, dobrze – przerwał czarodziej. – Żartowałem. Skellen, zajmij się tą sprawą osobiście. Będzie okazja wykazać, ile naprawdę warte jest twoje wojsko wynajęte za moje złoto.

Puszczyk podskoczył, nerwowo zamachał rękami.

– Nie za lekko to sobie traktujesz, Vilgefortz? – krzyknął. – Ty, wygląda, nie zdajesz sobie sprawy z powagi sytuacji! Jeżeli zamek jest atakowany, to przez wojsko Emhyra! A to oznacza...

– To nic nie oznacza – uciął czarodziej. – Ale wiem, o co ci idzie. Dobrze, jeśli fakt, że masz mnie za plecami, poprawi twoje morale, niech ci będzie. Chodźmy. Także i wy, panie Bonhart.

– Co do ciebie – utkwił swe straszne oko w Ciri – to nie miej złudzeń. Ja wiem, kto tu się zjawił z tą godną taniej farsy odsieczą. I zapewniam cię, ja tę tanią farsę przemienię w horror.

– Hej, wy! – Skinął na pachołków i akolitów. – Zakuć dziewczynę w dwimeryt, zamknąć w celi na trzy spusty, krokiem nie ruszać się spod drzwi. Głową za nią odpowiadacie. Zrozumiano?

– Tak jest, panie.

•

Wpadli w korytarz, z korytarza do dużej sali pełnej rzeźb, istnej gliptoteki. Nikt nie zastąpił im drogi. Widzieli tylko kilku pachołków, którzy na ich widok natychmiast uciekli.

Wbiegli po schodach. Cahir kopniakiem rozwalił drzwi, Angoulême wpadła do środka z bojowym wrzaskiem, ciosem szabli strąciła hełm ze stojącej przy drzwiach zbroi, którą wzięła za wartownika. Poznała pomyłkę i zaryczała śmiechem.

– He, he, he! Patrzcie tylko...

– Angoulême! – Geralt przywołał ją do porządku. – Nie stój! Dalej!

Przed nimi otworzyły się drzwi, w głębi zamajaczyły sylwetki. Milva bez namysłu napięła łuk i posłała strzałę. Ktoś wrzasnął. Drzwi zamknięto, Geralt słyszał, jak huknął rygiel.

– Dalej, dalej! – krzyknął. – Nie stać!

– Wiedźminie – powiedział Regis. – Bez sensu jest takie bieganie. Pójdę... Polecę na rekonesans.

– Leć.

Wampir zniknął, jakby go wiatr zdmuchnął. Geralt nie miał czasu się dziwić.

Znowu napatoczyli się na ludzi, tym razem zbrojnych. Cahir i Angoulême z wrzaskiem skoczyli ku nim, a ludzie rzucili się do ucieczki, głównie, jak się zdawało, za sprawą Cahira i jego imponującego hełmu ze skrzydłami.

Wpadli na krużganek, na otaczającą wewnętrzny westybul galerię. Od wiodącego w głąb zamku portyku dzieliło ich może ze dwadzieścia kroków, gdy po przeciwnej stronie krużganka pojawiły się postacie. Zagrzmiały echem krzyki. I zaświszczały strzały.

– Kryj się! – krzyknął wiedźmin.

Strzały leciały prawdziwym gradem. Furczały lotki, groty krzesały iskry z posadzki, obtłukiwały sztukaterię ze ścian, zasypując ich drobnym pyłem.

– Padnij! Za balustradę!

Padli, kryjąc się, jak kto mógł, za spiralnymi słupkami rzeźbionymi w listki. Ale całkiem na sucho im nie uszło. Wiedźmin usłyszał, jak Angoulême wrzasnęła, zobaczył, jak chwyta się za ramię, za momentalnie przesiąkający krwią rękaw.

– Angoulême!

– Nic! Przeszło przez miękkie! – odkrzyknęła dziewczyna lekko tylko dygocącym głosem, potwierdzając to, co wiedział. Gdyby grot rozkawałkował kość, Angoulême zemdlałaby od szoku.

Łucznicy z galerii strzelali bez przerwy, wołali, przyzywając posiłki. Kilku odbiegło w bok, by razić przygwożdżonych z ostrzejszego kąta. Geralt zaklął, ocenił odległość dzielącą ich od arkady. Nie wyglądało to najlepiej. Ale zostać tu, gdzie byli, oznaczało śmierć.

– Skaczemy! – krzyknął. – Uwaga! Cahir, pomóż Angoulême!

– Rozwalą nas!

– Skaczemy! Musimy!

– Nie! – krzyknęła Milva, wstając z łukiem w garści.

Wyprostowała się, stanęła w strzeleckiej pozie, istny posąg, marmurowa amazonka z łukiem. Strzelcy na galerii wrzasnęli.

Milva spuściła cięciwę.

Jeden z łuczników poleciał w tył, łomotnął plecami o ścianę, na ścianie wykwitł krwawy rozbryzg przywodzący na myśl wielką ośmiornicę. Z galerii rozbrzmiał krzyk, ryk gniewu, złości i zgrozy.

– Na Wielkie Słońce... – jęknął Cahir. Geralt ścisnął mu ramię.

– Skaczemy! Pomóż Angoulême!

Strzelcy z galerii skierowali cały ostrzał na Milvę. Łuczniczka nie drgnęła nawet, choć dokoła niej kurzyło się od tynku, leciały odpryski marmuru i drzazgi z roztrzaskujących się brzechw. Spokojnie spuściła cięciwę. Znowu wrzask, drugi strzelec runął jak szmaciana kukła, obryzgując kompanów krwią i mózgiem.

– Teraz! – krzyknął Geralt, widząc, jak strażnicy pierzchają z galerii, jak padają na posadzkę, kryjąc się przed niechybnymi grotami. Strzelało jeszcze tylko trzech najodważniejszych.

Grot łomotnął w filar, zasypując Milvę pudrem tynku. Łuczniczka dmuchnęła w opadające na twarz włosy, napięła łuk.

– Milva! – Geralt, Angoulême i Cahir dopadli arkady. – Zostaw! Uciekaj!

– Jeszcze raziczek – powiedziała łuczniczka z lotką strzały w kąciku ust.

Szczęknęła cięciwa. Jeden z tych trzech odważnych zawył, przechylił się przez balustradę i runął w dół, na płyty dziedzińca. Pozostałych na ten widok natychmiast opuściła odwaga. Padli na posadzkę i wtulili się w nią. Ci, którzy nadbiegli, nie kwapili się wyjść na galerię i wystawić Milvie na strzał.

Z jednym wyjątkiem.

Milva oceniła go od razu. Niewysoki, szczupły, śniady. Z wytartym do połysku ochraniaczem na lewym przedramieniu, z łuczniczą rękawicą na prawej dłoni. Widziała, jak podrzuca kształtny kompozytowy łuk z wyprofilowanym, rzeźbionym majdanem, jak płynnie go napina. Widziała, jak napięta na pełny naciąg cięciwa przekreśla jego śniadą twarz, widziała, jak czerwonopióra lotka dotyka jego policzka. Widziała, że mierzy dobrze.

Podrzuciła łuk, napięła go płynnie, już w czasie napinania celując. Cięciwa dotknęła twarzy, pióro lotki kącika ust.

•

– Mocno, mocno, Maryjko. Aż do buźki. Skręcaj cięciwę palcami, by ci szyp nie spadł z siodełka. Dłoń mocno do policzka. Mierz! Oboje oczu otwarte! Wstrzymaj tera oddech. Strzał!

Cięciwa, mimo wełnianego ochraniacza, boleśnie ukąsiła lewe przedramię.

Ojciec chciał się odezwać, ale chwycił go kaszel. Ciężki, suchy, bolesny kaszel. Kaszle coraz okropniej, pomyślała Maryjka Barring, opuszczając łuk. Coraz okropniej i coraz częściej. Wczoraj rozkaszlał się, gdy brał na cel kozła. I na obiad była przez to tylko gotowana lebioda. Ja nienawidzę gotowanej lebiody. Nienawidzę głodu. I nędzy.

Stary Barring wciągnął powietrze, rzężąc zgrzytliwie.

– Piędź od środka poszedł twój szyp, dziewko! Całą piędź! A przecieżem rzekał, cobyś tak nie drygała, cięciwę spuszczając! A ty skaczesz, jakby ci ślimak wpełzł między półdupki. I mierzysz za długo. Z umęczonej ręki strzelasz! Szypy tylko psowasz!

– Dyć żem trafiła! I nie piędź wcale, jeno pół piędzi od środka.

– Nie pyskuj! Jużci, bogowie mię pokarali, dziewkę niedojdę miasto syna zsyłając.

– Niedojdą nie jestem!

– Wnet okaże się. Strzel raziczek jeszcze. A pomnij na to, com rzekł. Masz stać, jako w ziemię wryta. Mierzyć i strzelać szybko. Czego krzywisz się?

– A bo wygadujecie na mnie.

– Moje ojcowskie prawo. Strzelaj.

Napięła łuk, nadąsana i bliska płaczu. Zauważył to.

– Kocham cię, Maryjko – powiedział głucho. – Zawżdy o tym pomnij.

Spuściła cięciwę, gdy tylko lotka dotknęła kącika ust.

– Dobrze – powiedział ojciec. – Dobrze, córko.

I rozkaszlał się okropnie, rzężąco.

•

Śniady łucznik z galerii zginął na miejscu. Strzała Milvy trafiła go pod lewą pachę i weszła głęboko, więcej niż do połowy brzechwy, druzgocąc żebra, rozwalając płuca i serce.

Wystrzelona o ułamek sekundy wcześniej czerwonopióra strzała śniadego strzelca trafiła Milvę nisko w brzuch i wyszła z tyłu, zdruzgotawszy miednicę, rozwaliwszy jelita i arterie. Łuczniczka padła na posadzkę jak uderzona taranem.

Geralt i Cahir krzyknęli jednym głosem. Nie bacząc, że na widok upadku Milvy strzelcy z galerii znowu wzięli się do łuków, wyskoczyli spod chroniącego ich portyku, chwycili łuczniczkę i wywlekli ją, gardząc gradem strzał. Jeden z grotów zadzwonił na hełmie Cahira. Drugi, Geralt przysiągłby, przeczesał mu włosy.

Milva zostawiała za sobą szeroką i lśniącą smugę krwi. W miejscu, w którym ją położyli, w mgnieniu oka wyrosła na posadzce olbrzymia kałuża. Cahir klął, ręce mu się trzęsły. Geralt czuł, jak ogarnia go rozpacz. I wściekłość.

– Ciotka! – zawyła Angoulême. – Ciotka, nie umieeeraaaj!

Maria Barring otworzyła usta, kaszlnęła makabrycznie, wypluwając krew na podbródek.

– Ja też cię kocham, tatku – powiedziała całkiem wyraźnie.

I umarła.

•

Ogoleni akolici nie mogli dać sobie rady z szamoczącą się i wrzeszczącą Ciri, na pomoc pospieszyli im pachołkowie. Jeden,

kopnięty celnie, odskoczył, zgiął się i padł na kolana, oburącz ściskając krocze i spazmatycznie łapiąc powietrze.

Ale to tylko rozwścieczyło pozostałych. Ciri dostała pięścią w kark, otwartą dłonią w twarz. Przewrócono ją, ktoś solidnie kopnął ją w biodro, ktoś usiadł na łydkach. Jeden z łysych akolitów, młody typ o złych zielonozłotych oczach, uklęknął jej na piersi, wczepił palce we włosy i mocno szarpnął. Ciri zawyła.

Akolita też zawył. I wybałuszył oczy. Ciri zobaczyła, jak z ogolonej głowy strumieniami siknęła mu krew, brudząc biały kitel makabrycznym deseniem.

W następnej sekundzie w laboratorium rozpętało się piekło.

Załomotały wywracane meble. Przenikliwy trzask i chrupot pękającego szkła zlał się z potępieńczym wyciem ludzi. Rozlewające się po stołach i podłodze dekokty, filtry, eliksiry, ekstrakty i inne magiczne substancje mieszały się i łączyły, niektóre w kontakcie syczały i buchały kłębami żółtego dymu. Pomieszczenie momentalnie wypełnił żrący fetor.

Wśród dymu, przez wyciśnięte swądem łzy Ciri ze zgrozą zobaczyła, jak po laboratorium miota się z niesamowitą prędkością czarny kształt przypominający olbrzymiego nietoperza. Widziała, jak nietoperz w locie zahacza o ludzi, widziała, jak zahaczeni padają z wrzaskiem. Na jej oczach usiłujący umykać pachołek został poderwany z podłogi i ciśnięty na stół, gdzie miotał się, bryzgał krwią i skrzeczał wśród tłuczonych retort, alembików, probówek i kolb.

Rozlewane mieszanki bryznęły na lampę. Zasyczało, zaśmierdziało, a w laboratorium nagle eksplodował ogień. Fala gorąca rozwiała dym. Ciri zacisnęła zęby, by nie krzyknąć.

Na stalowym fotelu, tym przeznaczonym dla niej, siedział szczupły, szpakowaty, odziany w elegancką czerń mężczyzna. Mężczyzna spokojnie gryzł i ssał szyję przewieszonego przez kolano ogolonego akolity. Akolita cieniutko pokwikiwał i drgał konwulsyjnie, wyprężone nogi i ręce podskakiwały mu rytmicznie.

Trupiosine płomienie tańczyły po blaszanym blacie stołu. Retorty i kolby eksplodowały z hukiem, jedna po drugiej.

Wampir oderwał kończyste kły od szyi ofiary, utkwił w Ciri oczy czarne jak gagaty.

– Bywają okazje – rzekł wyjaśniającym tonem, zlizując krew z warg – gdy zwyczajnie nie można się nie napić.

– Bez lęku – uśmiechnął się, widząc jej minę. – Bez lęku, Ciri. Cieszę się, że cię odnalazłem. Nazywam się Emiel Regis. Jestem, choć może wydać ci się to dziwne, druhem wiedźmina Geralta. Przybyłem tu wraz z nim, by cię ratować.

Do płonącego laboratorium wpadł uzbrojony najemnik. Druh Geralta odwrócił ku niemu głowę, zasyczał i wyszczerzył kły. Najemnik zawył przeraźliwie. Wycie długo cichło w oddali.

Emiel Regis zrzucił z kolana nieruchome i miękkie jak szmata ciało akolity, wstał i przeciągnął się zupełnie jak kot.

– Kto by pomyślał – powiedział. – Byle chmyz, a jakże zacna w nim krew. To się nazywa: ukryte walory. Pozwól, Cirillo, zaprowadzę cię do Geralta.

– Nie – wybąkała Ciri.

– Nie musisz się mnie bać.

– Nie boję się – zaprotestowała, dzielnie walcząc z zębami, które uwzięły się, żeby szczękać. – Nie w tym rzecz... Ale tu gdzieś więziona jest Yennefer. Ja ją muszę jak najszybciej uwolnić. Boję się, że Vilgefortz... Proszę, panie...

– Emiel Regis.

– Ostrzeżcie, dobry panie, Geralta, że jest tu Vilgefortz. To czarodziej. Potężny czarodziej. Niech Geralt ma się na baczności.

•

– Masz się mieć na baczności – powtórzył Regis, patrząc na ciało Milvy. – Bo Vilgefortz to potężny mag. Ona zaś uwalnia Yennefer.

Geralt zaklął.

– Dalej! – krzyknął, by krzykiem obudzić w kompanach upadłego ducha. – Idziemy!

– Idziemy. – Angoulême wstała, otarła łzy. – Idziemy! Pora, kurwa, skopać kilka dup!

– Czuję w sobie – zasyczał wampir, uśmiechając się koszmarnie – taką siłę, że mógłbym chyba cały ten zamek rozpieprzyć.

Wiedźmin spojrzał na niego podejrzliwie.

– Aż tak to może nie – powiedział. – Ale przebijcie się na górne piętro i zróbcie trochę rabanu, żeby odciągnąć uwagę ode mnie. Ja spróbuję

odnaleźć Ciri. Niedobrze, niedobrze się stało, wampirze, że zostawiłeś ją samą.

– Zażądała tego – wyjaśnił spokojnie Regis. – Tonem i postawą wykluczającą dyskusję. Przyznam, zaskoczyła mnie.

– Wiem. Idźcie na górne piętra. Trzymajcie się! Ja spróbuję ją odnaleźć. Ją, lub Yennefer.

•

Odnalazł, i to wcale szybko.

Wpadł na nich znienacka, zupełnie niespodziewanie wybiegając zza załomu korytarza. Zobaczył. A widok ten sprawił, że adrenalina aż zakłuła go w żyły na wierzchach dłoni.

Korytarzem kilku drabów wlokło Yennefer. Czarodziejka była potargana i zakuta w łańcuchy, co nie przeszkadzało jej wyrywać się, wierzgać i kląć jak tragarz portowy.

Geralt nie pozwolił drabom ochłonąć z zaskoczenia. Uderzył tylko raz, tylko jednego, krótkim ciosem z łokcia. Drab zaskowyczał po psiemu, zatoczył się, z brzękiem i hukiem wyciął głową o stojącą w niszy zbroję płytową, osunął się po niej, rozmazując krew na blachach.

Pozostali – było ich trzech – puścili Yennefer i odskoczyli. Oprócz czwartego, który chwycił czarodziejkę za włosy i przyłożył jej nóż do szyi, tuż ponad dwimerytową obrożą.

– Nie podchodź! – zawył. – Zarżnę ją! Ja nie żartuję!

– Ani ja. – Geralt zamłynkował mieczem i spojrzał drabowi w oczy. Drab nie wytrzymał. Puścił Yennefer i dołączył do kompanów. Wszyscy mieli już w rękach broń. Jeden zdarł ze ściennego panoplia zabytkową, ale groźnie wyglądającą halabardę. Wszyscy, zgarbieni, wahali się między atakiem a obroną.

– Wiedziałam, że przyjdziesz – powiedziała Yennefer, prostując się dumnie. – Pokaż, Geralt, tym huncwotom, co może wiedźmiński miecz.

Wysoko uniosła skute ręce, napinając łączący okowy łańcuch.

Geralt ujął sihill oburącz, przekrzywił lekko głowę, przymierzył się. I ciął. Tak szybko, że nikt nie dostrzegł ruchu klingi.

Okowy z brzękiem upadły na posadzkę. Któryś z drabów westchnął. Geralt mocniej ujął rękojeść, przełożył palec wskazujący ponad jelec.

– Stań pewnie, Yen. Głowę lekko w bok, proszę.

Czarodziejka nawet nie drgnęła. Dźwięk uderzonego mieczem metalu był bardzo nikły.

Dwimerytowa obroża upadła obok kajdan. Na szyi Yennefer wykwitła jedna, tylko jedna maleńka czerwona kropelka.

Zaśmiała się, masując nadgarstki. I odwróciła ku drabom. Żaden nie wytrzymał jej wzroku.

Ten z halabardą ostrożnie, jakby bojąc się, by nie zabrzękła, położył starożytną broń na posadzce.

– Z kimś takim – wybąkał – to niech się Puszczyk bije sam. Mnie tam żywot miły.

– Nam kazali – zamamrotał, cofając się, drugi. – Kazali nam... My po niewoli...

– Wżdy nie bylim – oblizał wargi trzeci – wam ciężcy, pani... W waszym uwięzieniu... Zaświadczcie za nami...

– Precz – powiedziała Yennefer. Wyzwolona z dwimerytowych okowów, wyprostowana, z dumnie uniesioną głową wyglądała jak tytanka. Czarną nieporządną grzywą zdawała się sięgać sklepienia.

Drabi zemknęli. Chyłkiem i nie oglądając się. Yennefer, zmalawszy do normalnych wymiarów, rzuciła się Geraltowi na szyję.

– Wiedziałam, że przyjdziesz po mnie – mruknęła, szukając ustami jego ust. – Że przyjdziesz, choćby nie wiem co.

– Chodźmy – powiedział po chwili, łapiąc powietrze. – Teraz Ciri.

– Ciri – potwierdziła. A za sekundę w jej oczach rozjarzył się budzący grozę fioletowy żar.

– I Vilgefortz.

•

Zza węgła wyskoczył drab z kuszą, wrzasnął, strzelił, celując w czarodziejkę. Geralt skoczył jak pchnięty sprężyną, machnął mieczem, odbity bełt przeleciał tuż nad głową kusznika, tak blisko, że kusznik aż się skurczył. Rozkurczyć się już nie zdążył, wiedźmin doskoczył i rozpłatał go jak karpia. Dalej w korytarzu stało jeszcze dwóch, też mieli kusze, też strzelili, ale zbyt trzęsły im się ręce, by mogli trafić. W następnej chwili wiedźmin był już przy nich i obaj umarli.

– Którędy, Yen?

Czarodziejka skupiła się, przymykając oczy.

– Tędy. Po tych schodach.

– Jesteś pewna, że to dobra droga?

– Tak.

Zbiry zaatakowały ich tuż za zakrętem korytarza, niedaleko zdobnego archiwoltą portalu. Było ich więcej niż dziesięciu, a uzbrojeni byli nawet we włócznie, partyzany i korseki. Byli też zdecydowani i zawzięci. Mimo tego poszło szybko. Jednego Yennefer od razu ugodziła w środek piersi wystrzelonym z dłoni ognistym grotem. Geralt zawirował w piruecie, wpadł między pozostałych, krasnoludzki sihill migał i syczał jak wąż. Gdy padło czterech, reszta uciekła, brzękiem i tupotem budząc echa w korytarzach.

– Wszystko w porządku, Yen?

– Nie może być lepiej.

Pod archiwoltą stanął Vilgefortz.

– Jestem pod wrażeniem – powiedział spokojnie i dźwięcznie. – Naprawdę jestem pod wrażeniem, wiedźminie. Jesteś naiwny i beznadziejnie głupi, ale techniką rzeczywiście możesz imponować.

– Twoi zbóje – odpowiedziała równie spokojnie Yennefer – właśnie zrejterowali, zostawiając cię na naszej łasce. Oddaj mi Ciri, a darujemy cię zdrowiem.

– Wiesz, Yennefer – wyszczerzył się czarodziej – że to już druga dzisiaj tak wspaniałomyślna oferta? Dziękuję, dziękuję. A oto moja odpowiedź.

– Uważaj! – wrzasnęła Yennefer, odskakując. Geralt odskoczył również. W samą porę. Bijący z wyciągniętych rąk czarodzieja słup ognia zamienił w czarną i syczącą maź miejsce, gdzie przed chwilą stali. Wiedźmin starł z twarzy sadzę i resztki brwi. Zobaczył, że Vilgefortz wyciąga rękę. Zanurkował w bok, przypadł do posadzki za bazą kolumny. Huknęło tak, że aż zakłuło w uszach, a cały zamek zatrząsł się w posadach.

•

Huk przetoczył się echem po zamku, ściany zadygotały, zadzwoniły żyrandole. Spadł z łoskotem wielki olejny portret w pociągniętej pozłotką ramie.

Najemnicy, który nadbiegli od strony westybulu, mieli w oczach dziki strach. Stefan Skellen ostudził ich groźnym spojrzeniem, przywołał do porządku marsową miną i głosem.

– Co tam? Gadać!

– Panie koroner... – wycharczał jeden. – Zgroza tam! To są demony i diabły... Z łuków szyją niechybnie... Rąbią strasznie... Śmierć tam... Czerwono wszędy od juchy!

– Z dziesięciu padło... Może więcej... A tam... Słyszycie?

Huknęło znowu, zamek zatrząsł się.

– Magia – mruknął Skellen. – Vilgefortz... No, zobaczymy. Przekonamy się, kto kogo.

Nadbiegł następny żołdak. Był blady i oprószony tynkiem. Przez dłuższą chwilę nie mógł wykrztusić słowa, gdy wreszcie przemówił, latały mu ręce i trząsł się głos.

– Tam... Tam... Potwór... Panie koroner... Jak wielki czarny gacek... Na mych oczach głowy ludziom urywał... Ino krew sikała! A on świszczał a śmiał się... O, takie miał zębiska!

– Głów nie uniesiem... – zaszeptał ktoś za plecami Puszczyka.

– Panie koroner – zdecydował się przemówić Boreas Mun. – To są upiory. Widziałem... młodego grafa Cahira aep Ceallach. A on przecie nie żyje.

Skellen spojrzał na niego, ale nic nie powiedział.

– Panie Stefanie... – wybełkotał Dacre Silifant. – Z kim nam tu wojować przyszło?

– To nie są ludzie – wyjęczał któryś z najemników. – Charakterniki to są i piekielne czarty! Nie wydoli przeciw takim ludzka moc...

Puszczyk skrzyżował ręce na piersi, powiódł po żołdakach wzrokiem śmiałym i władczym.

– Nie będziemy więc – oznajmił gromko i dobitnie – mieszać się do tego konfliktu sił piekielnych! Niech tam sobie demony walczą z demonami, czarownicy z czarownikami, a upiory z powstałymi z grobów umrzykami. Nie będziemy im przeszkadzać! My sobie tutaj spokojnie poczekamy na rezultat boju.

Twarze żołdaków pojaśniały. Morale wzrosło wyczuwalnie.

– Te schody – podjął mocnym głosem Skellen – to jedyna droga wyjścia. Poczekamy tu. Zobaczymy, kto spróbuje nimi zejść.

Z góry rozległ się straszliwy huk, ze sklepienia ze słyszalnym szelestem posypała się sztukateria. Zaśmierdziało siarką i spalenizną.

– Za ciemno tu! – zawołał Puszczyk, gromko i śmiało, by dodać ducha swemu wojsku. – Żywo, zapalić, co się da! Pochodnie, łuczywa! Musimy

dobrze widzieć, kto pojawi się na tych schodach! Napełnić jakimś paliwem te żelazne kosze!

– Jakim paliwem, panie?

Skellen bez słowa pokazał, jakim.

– Obrazami? – spytał z niedowierzaniem żołdak. – Malowidłami?

– Tak jest – parsknął Puszczyk. – Co tak patrzycie? Sztuka umarła!

W drzazgi poszły ramy, w strzępy obrazy. Dobrze wysuszone drewno i przesycone pokostem płótno zajęły się natychmiast, ożyły jasnym płomieniem.

Boreas Mun patrzył. Był już całkowicie zdecydowany.

•

Huknęło, błysnęło, kolumna, zza której w ostatnim niemal momencie zdążyli odskoczyć, rozpadła się. Trzon złamał się, zdobiona akantem głowica gruchnęła o posadzkę, miażdżąc terakotową mozaikę. W ich stronę poleciał z sykiem piorun kulisty. Yennefer odbiła go, krzycząc zaklęcia i gestykulując.

Vilgefortz szedł w ich stronę, jego płaszcz powiewał jak smocze skrzydła.

– Yennefer się nie dziwię – mówił, idąc. – Jest kobietą, a więc istotą ewolucyjnie niższą, rządzoną zamętem hormonalnym. Ty jednak, Geralt, jesteś przecież nie tylko mężczyzną z natury rozsądnym, ale i mutantem, na emocje niepodatnym.

Skinął ręką. Huknęło, błysnęło. Piorun odbił się od wyczarowanej przez Yennefer tarczy.

– Mimo twego rozsądku – przemawiał dalej Vilgefortz, przelewając ogień z dłoni do dłoni – w jednej sprawie wykazujesz zadziwiającą a niemądrą konsekwencję: niezmiennie pragniesz wiosłować pod prąd i sikać pod wiatr. To musiało skończyć się źle. Wiedz, że dziś, tu, na zamku Stygga, wysikałeś się pod huragan.

•

Gdzieś na dolnych kondygnacjach wrzała walka, ktoś krzyczał okropnie, zawodził, wył z bólu. Coś się tam paliło, Ciri węszyła dym i swąd spalenizny, czuła powiew ciepłego powietrza.

Coś huknęło z taką mocą, że aż zadygotały wspierające sklepienie kolumny, a ze ścian posypał się stiuk.

Ciri ostrożnie wyjrzała zza węgła. Korytarz był pusty. Poszła nim szybko i cicho, mając po prawej i po lewej rzędy ustawionych w niszach posągów. Widziała już kiedyś te posągi.

W snach.

Wyszła z korytarza. I wpakowała się prosto na człowieka z dzidą. Odskoczyła, gotowa do salt i uników. I wówczas zorientowała się, że to nie człowiek, ale siwa, chuda i zgarbiona kobieta. I że to nie dzida, ale miotła.

– Więziona jest gdzieś tutaj – odchrząknęła Ciri – czarodziejka o czarnych włosach. Gdzie?

Kobieta z miotłą milczała długo, poruszając ustami, jak gdyby coś żuła.

– A mnie skąd to wiedzieć, gołąbeczko? – wymamrotała wreszcie. – Dyć ja tu ino sprzątam.

– Nic, ino sprzątam po nich i sprzątam – powtórzyła, w ogóle nie patrząc na Ciri. – A oni nic, ino cięgiem brudzą. Pojrzyj sama, gołąbeczko.

Ciri spojrzała. Na posadzce widniała zygzakowato rozmazana smuga krwi. Smuga ciągnęła się kilka kroków i kończyła przy skurczonym pod ścianą trupie. Dalej leżały jeszcze dwa trupy, jeden zwinięty w kłębek, drugi nieprzyzwoicie wręcz rozkrzyżowany. Obok nich leżały kusze.

– Cięgiem brudzą. – Kobieta wzięła kubeł i szmatę, uklękła, zabrała się do wycierania. – Brud, nic więcej, ino brud, cięgiem brud. A ty sprzątaj i sprzątaj. Czy będzie kiedy koniec temu?

– Nie – powiedziała głucho Ciri. – Nigdy. Taki już jest ten świat.

Kobieta przestała wycierać. Ale głowy nie podniosła.

– Ja sprzątam – powiedziała. – Nic więcej. Ale tobie, gołąbeczko, powiem, że trza ci prosto, a potem zaś na lewo.

– Dziękuję.

Kobieta niżej opuściła głowę i wznowiła wycieranie.

•

Była sama. Sama i zabłąkana w plątaninie korytarzy.

– Pani Yeneeefeeer!

Do tej pory zachowywała ciszę, obawiając się ściągnąć sobie na kark ludzi Vilgefortza. Ale teraz...

– Yeeneeeefeeer!

Zdawało się jej, że coś usłyszała. Tak, na pewno!

Wbiegła na galerię, a stamtąd do dużej halli, między smukłe filary. Do jej nozdrzy znowu dobiegł odór spalenizny.

Bonhart jak duch wychynął z niszy i uderzył ją pięścią w twarz. Zatoczyła się, a on skoczył na nią jak jastrząb, chwycił za gardło, przedramieniem przydusił do muru. Ciri spojrzała w jego rybie oczy i poczuła, jak serce zjeżdża jej w dół, do podbrzusza.

– Nie odnalazłbym cię, gdybyś nie wołała – wycharczał. – Aleś wołała, na domiar tęsknie! To za mną tak tążyłaś? Kochaneczko?

Wciąż przypierając ją do muru, wsunął dłoń we włosy na karku. Ciri zaszarpała głową. Łowca wyszczerzył zęby. Przejechał dłonią po jej ramieniu, ścisnął pierś, brutalnie złapał za krocze. Potem puścił ją, pchnął, aż osunęła się po ścianie.

I rzucił jej pod nogi miecz. Jej Jaskółkę. A ona momentalnie wiedziała, czego chce.

– Wolałbym na arenie – wycedził. – Jako ukoronowanie, jako finał wielu pięknych przedstawień. Wiedźminka kontra Leo Bonhart! Ech, płaciliby ludzie, by coś takiego zobaczyć! Dalej! Podnieś żelazo i dobądź go z jaszczura.

Usłuchała. Ale nie wyciągnęła klingi z pochwy, przewiesiła tylko pas przez plecy tak, by rękojeść była w zasięgu ręki.

Bonhart cofnął się o krok.

– Myślałem – powiedział – że wystarczy mi, jeśli ucieszę oczy widokiem tych zabiegów, jakie szykuje dla ciebie Vilgefortz. Myliłem się. Ja muszę poczuć, jak twoje życie spływa po mojej klindze. Plugawię na czary i czarowników, na przeznaczenie, na przepowiednie, na losy świata, plugawię na starszą i na młodszą krew. Cóż znaczą dla mnie te wszystkie wróżby i czary? Co mi z nich przyjdzie? Nic! Nic nie da się porównać z przyjemnością...

Urwał. Widziała, jak zaciął usta, jak złowrogo błysnęły mu oczy.

– Wypuszczę ci krew z żył, wiedźminko – zasyczał. – A potem, zanim ostygniesz, odświętujemy zaślubiny. Jesteś moja. I umrzesz moja. Dobądź broni.

Rozległ się daleki huk, zamek zadygotał.

– Vilgefortz – wyjaśnił z kamienną twarzą Bonhart – robi tam miazgę z twoich wiedźmińskich ratowników. Dalej, dziewczyno, dobądź miecza.

Uciekać, pomyślała, ziębnąc z trwogi, uciekać w inne miejsca, w inne czasy, byle dalej od niego, byle dalej. Czuła wstyd: jakże to tak, uciekać? Zostawić na ich łaskę Yennefer i Geralta? Ale rozsądek podpowiadał: martwa nie na wiele im się przydam...

Skupiła się, przyciskając pięści do skroni. Bonhart momentalnie pojął, co się święci, rzucił się ku niej. Ale było za późno. W uszach Ciri zaszumiało, coś błysnęło. Udało się, pomyślała z triumfem.

I od razu pojęła, że triumf był przedwczesny. Pojęła to, słysząc wściekłe wrzaski i klątwy. Fiasku winna była chyba zła, wroga i paraliżująca aura tego miejsca. Przeniosła się, ale niedaleko. Nawet nie poza zasięg wzroku – w przeciwny koniec galerii. Niedaleko od Bonharta. Ale poza zasięg jego rąk i jego miecza. Przynajmniej chwilowo.

Ścigana jego rykiem, Ciri odwróciła się i pobiegła.

•

Przebiegła długim i szerokim korytarzem, śledzona martwymi spojrzeniami alabastrowych kanefor podtrzymujących arkady. Skręciła raz, potem drugi raz. Chciała zgubić i zmylić Bonharta, nadto kierowała się ku odgłosom walki. Tam, gdzie walczono, byli jej przyjaciele.

Wpadła do wielkiego okrągłego pomieszczenia, pośrodku którego stała na marmurowym cokole rzeźba przedstawiająca kobietę z zakrytą twarzą, najpewniej boginię. Z pomieszczenia wychodziły dwa korytarze, oba dość wąskie. Wybrała na chybił trafił. Oczywiście wybrała źle.

– Dziewka! – ryknął jeden ze zbirów. – Mamy ją!

Było ich zbyt dużo, by mogła ryzykować walkę, nawet w wąskim korytarzu. A Bonhart był już pewnie blisko. Ciri zawróciła i rzuciła się do ucieczki. Wpadła do sali z marmurową boginią. I zmartwiała.

Przed nią stał rycerz z wielkim mieczem, w czarnym płaszczu i hełmie ozdobionym skrzydłami drapieżnego ptaka.

Miasto płonęło. Słyszała ryk ognia, widziała trzepoczące płomienie, czuła gorąco pożaru. W uszach miała rżenie koni, wrzask mordowanych... Skrzydła czarnego ptaka załopotały nagle, zakryły sobą wszystko... Na pomoc!

Cintra, pomyślała, przytomniejąc. Wyspa Thanedd. Doścignął mnie aż tu. To demon. Jestem osaczona przez demony, przez koszmary z moich snów. Za mną Bonhart, przede mną on.

Słychać było krzyki i tupot nadbiegających pachołków.

Rycerz w hełmie z piórami zrobił nagle krok. Ciri przełamała strach. Wyszarpnęła Jaskółkę z pochwy.

– Nie dotkniesz mnie!

Rycerz znowu postąpił, a Ciri ze zdumieniem spostrzegła, że za jego płaszczem kryje się jasnowłosa dziewczyna uzbrojona w krzywą szablę. Dziewczyna jak ryś przemknęła obok Ciri, ciosem szabli rozciągnęła na posadzce jednego z pachołków. A czarny rycerz, o dziwo, zamiast zaatakować Ciri, potężnym cięciem rozpłatał drugiego zbira. Pozostali cofnęli się w korytarz.

Jasnowłosa dziewczyna rzuciła się ku drzwiom, ale nie zdążyła ich zamknąć. Choć groźnie wywijała szablą i wrzeszczała, pachołkowie wypchnęli ją spod portalu. Ciri spostrzegła, jak jeden dźgnął ją sulicą, zobaczyła, jak dziewczyna pada na klęczki. Skoczyła, od ucha tnąc Jaskółką, z drugiej strony, straszliwie siekąc długim mieczem, podbiegł Czarny Rycerz. Jasnowłosa dziewczyna, wciąż na kolanach, dobyła zza pasa siekierkę i cisnęła nią, trafiając jednego z drabów prosto w twarz. Potem dopadła drzwi, zatrzasnęła je, a rycerz spuścił zasuwę.

– Uff – powiedziała dziewczyna. – Dąb i żelazo! Trochę potrwa, zanim się przez to przerąbią!

– Nie będą tracić czasu, poszukają innej drogi – ocenił rzeczowo Czarny Rycerz, po czym spochmurniał nagle, widząc przesiąkającą krwią nogawkę dziewczyny. Dziewczyna machnęła ręką, że to nic.

– Umykajmy stąd. – Rycerz zdjął hełm, spojrzał na Ciri. – Jestem Cahir Mawr Dyffryn, syn Ceallacha. Przybyłem tu razem z Geraltem. Tobie na ratunek, Ciri. Wiem, że to niewiarygodne.

– Widziałam niewiarygodniejsze – burknęła Ciri. – Daleką drogę przebyłeś... Cahirze... Gdzie jest Geralt?

Patrzył na nią. Pamiętała jego oczy z Thanedd. Ciemnobłękitne i miękkie jak atłas. Ładne.

– Ratuje czarodziejkę – odpowiedział. – Tę...

– Yennefer. Idziemy.

– Tak! – powiedziała jasnowłosa, improwizując opatrunek na udzie. – Trzeba skopać jeszcze kilka dup! Za ciotkę!

– Idziemy – powtórzył rycerz.

Ale było za późno.

– Uciekajcie – szepnęła Ciri, widząc, kto nadchodzi korytarzem. – To jest diabeł wcielony. Ale on chce tylko mnie. Was nie będzie ścigał... Biegnijcie... Pomóżcie Geraltowi...

Cahir pokręcił głową.

– Ciri – powiedział łagodnie. – Dziwię się temu, co mówisz. Jechałem tu z końca świata, by cię odnaleźć, ocalić i obronić. A ty chciałabyś, bym teraz uciekł?

– Nie wiesz, z kim masz do czynienia.

Cahir podciągnął rękawice, zdarł płaszcz, owinął go wokół lewego ramienia. Machnął mieczem, zakręcił nim, aż zafurczało.

– Zaraz będę wiedział.

Bonhart, dostrzegłszy trójkę, zatrzymał się. Ale tylko na chwilę.

– Aha! – powiedział. – Odsiecz przybyła? Twoi kompani, wiedźminko? Dobrze. Dwoje mniej, dwoje więcej. Różnicy to nie uczyni.

Ciri nagle doznała olśnienia.

– Pożegnaj się z życiem, Bonhart! – wrzasnęła. – To twój koniec! Trafiła kosa na kamień!

Przesadziła chyba, złowił fałsz w jej głosie. Zatrzymał się, spojrzał podejrzliwie.

– Wiedźmin? Doprawdy?

Cahir zawinął mieczem, stając w pozycji. Bonhart nie drgnął.

– W młodszych, niż myślałem, czarownica gustuje – zasyczał. – Spójrz no, junaku, tutaj.

Rozchełstał koszulę. W jego pięści błysnęły srebrne medaliony. Kot, gryf i wilk.

– Jeśliś naprawdę wiedźminem – zgrzytnął zębami – to wiedz, że twój własny znachorski amulet zaraz ozdobi moją kolekcję. Jeśli wiedźminem nie jesteś, będziesz trupem, nim zdołasz oczami zamrugać. Mądrze byłoby tedy zejść mi z drogi i umykać, gdzie pieprz rośnie. Ja chcę tej dziewki, do ciebie rankoru nie mam.

– Mocnyś w gębie – rzekł spokojnie Cahir, młynkując ostrzem. – Sprawdzimy, czy nie tylko. Angoulême, Ciri. Uciekajcie!

– Cahir...

– Biegnijcie – poprawił się – na pomoc Geraltowi.

Pobiegły. Ciri podtrzymywała utykającą Angoulême.

– Sam tego chciałeś. – Bonhart zmrużył blade oczy, postąpił, obracając mieczem.

– Sam tego chciałem? – powtórzył głucho Cahir Mawr Dyffryn aep Ceallach. – Nie. Tak chce przeznaczenie!

Skoczyli ku sobie, ścięli się szybko, otoczyli dziką migotaniną kling. Korytarz napełnił się szczękiem żelaza, od którego, zdawało się, drży i kołysze się marmurowa rzeźba.

– Niezłyś – charknął Bonhart, gdy się rozłączyli. – Niezłyś, junaku. Ale żaden z ciebie wiedźmin, mała żmija oszukała mnie. Już po tobie. Szykuj się na śmierć.

– Mocnyś w gębie.

Cahir odetchnął głęboko. Starcie przekonało go, że z rybiookim ma nikłe szanse. Typ był dla niego za szybki i za silny. Jedyną szansą było to, że się spieszył, by ścigać Ciri. I wyraźnie się denerwował.

Bonhart zaatakował znowu. Cahir sparował cięcie, zgarbił się, skoczył, chwycił przeciwnika w pasie, pchnął na ścianę, łupnął kolanem w krocze. Bonhart złapał go za twarz, z mocą grzmotnął w bok głowy głowicą miecza, raz, drugi, trzeci. Trzecie uderzenie odrzuciło Cahira. Zobaczył błysk klingi. Sparował odruchowo.

Zbyt wolno.

•

Było ściśle przestrzeganą tradycją rodu Dyffrynów, że nad złożonym w zamkowej zbrojowni ciałem poległego krewniaka wszyscy mężczyźni z rodu odprawiali całodzienną i całonocną milczącą wigilię. Kobiety, zebrane w odległym skrzydle zamku, by nie przeszkadzać mężczyznom, nie rozpraszać ich i nie zakłócać ich przemyśleń, szlochały, spazmowały i mdlały. Ocucone, zaczynały szlochać i spazmować. I *da capo*.

Spazmy i łzy nawet u kobiet, szlachcianek vicovarskich, były niemile widzianym nietaktem i wielkim dyshonorem. Ale u Dyffrynów taka, nie inna była tradycja i nikt jej nie zmieniał. Ani zmieniać nie zamierzał.

Dziesięcioletni Cahir, najmłodszy brat poległego w Nazairze i leżącego właśnie w zamkowej zbrojowni Aillila, w myśl zwyczaju i tradycji nie był jeszcze mężczyzną. Nie dopuszczono go do zebranego nad otwartą trumną grona mężczyzn, nie pozwolono, by siedział i milczał wraz z dziadem Gruffydem, ojcem Ceallachem, bratem Dheranem oraz całą gromadą wujów, stryjów i kuzynów. Spazmować i mdleć wraz z babką, matką, trzema siostrami oraz całą gromadą stryjenek, wujenek i kuzynek nie pozwolono mu, ma się rozumieć, również. Wraz z resztą

małoletnich krewniaków, przybyłych do Darn Dyffra na egzekwie, pogrzeb i tryznę, Cahir błaznował i psocił na murach. I bił się na kułaki z tymi, którzy uważali, że najmężniejszymi z mężnych byli w walkach o Nazair ich właśni ojcowie i starsi bracia, nie zaś Aillil aep Ceallach.

– Cahirek! Chodź tu do mnie, syneczku!

Na krużganku stała Mawr, matka Cahira, i jej siostra, ciotka Cinead var Anahid. Twarz matki była czerwona i tak opuchła od płaczu, że Cahir aż się przeraził. Wstrząsnęło nim, że nawet z tak urodziwej kobiety, jak jego matka, płacz mógł zrobić podobną maszkarę. Mocno postanowił sobie nie płakać nigdy, przenigdy.

– Pamiętaj, synku – załkała Mawr, przyciskając chłopca do podołka tak, że tchu mu zabrakło. – Zapamiętaj ten dzień. Pamiętaj, kto pozbawił życia twego braciszka Aillila. Zrobili to przeklęci Nordlingowie. Twoi wrogowie, syneczku. Masz ich zawsze nienawidzić. Masz nienawidzić tej przeklętej zbrodniczej nacji!

– Będę ich nienawidził, pani matko – obiecał Cahir, nieco zdziwiony. Po pierwsze, jego brat Aillil padł w boju, z honorem, chwalebną i godną pozazdroszczenia śmiercią wojownika, nad czym więc ronić łzy? Po drugie, nie było tajemnicą, że babka Eviva, matka Mawr, pochodziła z Nordlingów. Tata w gniewie nie raz potrafił nazwać babkę „wilczycą z Północy". Ma się rozumieć, za jej plecami.

No, ale jeśli teraz matka każe...

– Będę ich nienawidził – przyrzekł z zapałem. – Już ich nienawidzę! A gdy będę duży i będę miał prawdziwy miecz, to pójdę na wojnę i głowy im poucinam! Zobaczysz, pani matko!

Mama nabrała powietrza w płuca i zaczęła spazmować. Ciotka Cinead podtrzymała ją.

Cahir zaciskał piąstki i dygotał z nienawiści. Z nienawiści do tych, którzy skrzywdzili jego mamę, sprawiając, że aż tak zbrzydła.

•

Cios Bonharta rozwalił mu skroń, policzek i usta. Cahir upuścił miecz i zatoczył się, a łowca z półobrotu ciął go między szyję a obojczyk. Cahir runął pod stopy marmurowej bogini, jego krew, niczym pogańska ofiara, zbryzgała cokół posągu.

•

Huknęło, podłoga zadrżała pod stopami, ze ściennego panoplia z łomotem spadła tarcza. Korytarzem snuł się i płoził gryzący dym. Ciri otarła twarz. Podtrzymywana jasnowłosa dziewczyna ciążyła jej jak młyński kamień.

– Szybciej... Biegnijmy szybciej...

– Ja nie mogę szybciej – powiedziała dziewczyna. I nagle ciężko siadła na posadzce. Ciri z przerażeniem zobaczyła, jak spod siedzącej, spod jej przesiąkniętej nogawki, zaczyna wylewać się i wzbierać czerwona kałuża.

Dziewczyna była blada jak trup.

Ciri rzuciła się na kolana obok niej, ściągnęła dziewczynie szal, potem pasek, spróbowała zrobić opaski uciskowe. Ale rana była zbyt wielka. I zbyt blisko pachwiny. Krew nie przestawała ciec.

Dziewczyna chwyciła ją za rękę. Palce miała zimne jak lód.

– Ciri...

– Tak.

– Ja jestem Angoulême. Nie wierzyłam... Nie wierzyłam, że cię odnajdziemy. Ale poszłam za Geraltem... Bo za nim nie można nie iść. Wiesz?

– Wiem. On już taki jest.

– Odnaleźliśmy cię. I uratowaliśmy. A Fringilla kpiła z nas... Powiedz mi...

– Nie mów nic. Proszę.

– Powiedz... – Angoulême poruszała wargami coraz wolniej i z coraz większym trudem. – Powiedz, jesteś przecież królową... W Cintrze... Będziemy u ciebie w łaskach, prawda? Zrobisz ze mnie... hrabinę? Powiedz. Ale nie kłam... Zdołasz? Powiedz!

– Nie mów nic. Oszczędzaj siły.

Angoulême westchnęła, nagle pochyliła się do przodu i oparła czołem o ramię Ciri.

– Wiedziałam... – powiedziała całkiem wyraźnie. – Wiedziałam, kurwa, że bordel w Toussaint był lepszym pomysłem na życie.

Minęła długa, bardzo długa chwila, zanim Ciri zorientowała się, że trzyma w objęciach nieżywą dziewczynę.

•

Zobaczyła go, jak nadchodzi prowadzony martwymi spojrzeniami podtrzymujących arkady alabastrowych kanefor. I nagle zrozumiała, że ucieczka jest niemożliwa, że przed nim nie da się uciec. Że będzie musiała stawić mu czoło. Wiedziała o tym.

Ale wciąż zbyt się go bała.

Dobyła broni. Ostrze Jaskółki zaśpiewało cicho. Znała ten śpiew.

Cofała się szerokim korytarzem, a on szedł za nią, trzymając miecz oburącz. Krew ściekała po ostrzu, ciężkimi kroplami kapała z jelca.

– Trup – ocenił, przestępując nad ciałem Angoulême. – I dobrze. Tamten junak też już ziemię gryzie.

Ciri poczuła, jak ogarnia ją desperacja. Jak palce do bólu zaciskają się na rękojeści. Cofała się.

– Oszukałaś mnie – cedził Bonhart, idąc za nią. – Junak nie miał medalionu. Ale coś mi mówi, że znajdzie się tu, w zamku, ktoś medalion noszący. Znajdzie się ktoś taki, stary Leo Bonhart głowę stawi, gdzieś w pobliżu wiedźmy Yennefer. Ale pierwsza rzecz pierwej, żmijo. Najsampierw my. Ty i ja. I nasze zaślubiny.

Ciri zdecydowała się. Zatoczywszy Jaskółką krótki łuk, przyjęła pozycję. Zaczęła iść półkolem, coraz szybciej, zmuszając łowcę do obracania się w miejscu.

– Ostatnim razem – wycedził – nie na wiele ci się zdała ta sztuczka. Co to? Nie umiesz uczyć się na błędach?

Ciri przyspieszyła krok. Płynnymi, łagodnymi ruchami klingi myliła i zwodziła, mamiła i hipnotyzowała.

Bonhart wywinął mieczem syczącego młyńca.

– Nie działa to na mnie – warknął. – I nudzi mnie to!

Dwoma szybkimi krokami skrócił dystans.

– Graj, muzyko!

Skoczył, ciął ostro, Ciri zwinęła się w piruecie, poderwała, pewnie wylądowała na lewą nogę, uderzyła od razu, bez przybierania pozycji, zanim jeszcze klinga zadzwoniła o paradę Bonharta, już wirowała wokół, gładko wchodząc pod świszczące cięcia. Uderzyła jeszcze raz, bez zamachu, z nienaturalnego, zaskakującego wygięcia łokcia. Bonhart sparował, impet parady wykorzystał do natychmiastowego cięcia od lewej. Spodziewała się tego, wystarczyło jej lekkiego ugięcia kolan i zakołysania korpusu, by o ułamek cala usunąć się spod ostrza. Skontrowała natychmiast, cięła krótko. Ale tym razem czekał na nią,

zmylił ją fintą. Nie napotkawszy parady, o mało nie straciła równowagi, uratowała się błyskawicznym odskokiem, ale i tak jego miecz zawadził o jej ramię. Zrazu myślała, że ostrze przecięło tylko watowany rękaw, ale za chwilę poczuła pod pachą i na ręce ciepłą ciecz.

Alabastrowe kanefory obserwowały ich obojętnymi oczami.

Cofała się, a on szedł za nią zgarbiony, wykonując mieczem szerokie koszące ruchy. Jak koścista śmierć, którą Ciri widziała na malowidłach w świątyni. Taniec szkieletów, pomyślała. Idzie kostucha.

Cofała się. Ciepła ciecz ciekła jej już po przedramieniu i dłoni.

– Pierwsza krew dla mnie – powiedział na widok gwiaździście rozpryśniętych kropelek na posadzce. – Dla kogo będzie druga? Moja oblubienico?

Cofała się.

– Obejrzyj się. To koniec.

Miał rację. Korytarz kończył się nicością, przepaścią, na dnie której widać było zakurzone, brudne i porozwalane deski podłogi niższej kondygnacji. Ta część zamku była zrujnowana, w ogóle nie miała podłogi. Została tylko ażurowa konstrukcja nośna – słupy, kalenice i łącząca wszystko krata belek.

Nie wahała się długo. Wstąpiła na belkę, cofała się po niej, nie spuszczając Bonharta z oczu, śledząc każdy jego ruch. To ją ocaliło. Bo nagle runął na nią, biegnąc po belce, tnąc szybkimi krzyżującymi się uderzeniami, wywijając mieczem w błyskawicznych fintach. Wiedziała, na co liczył. Zła parada lub pomyłka na fincie pozbawiłaby ją równowagi, a wówczas spadłaby z belki w dół, na porozwalany parkiet dolnego piętra.

Ciri tym razem nie dała się oszukać fintami. Wręcz przeciwnie. Wywinęła się zgrabnie i sama zamarkowała cios od prawej, a gdy na ułamek sekundy zawahał się, cięła sekundą dexter, tak szybką i mocną, że Bonhart zakołysał się po paradzie. I byłby spadł, gdyby nie jego wzrost. Wyciągniętą w górę lewą ręką zdołał przytrzymać się kalenicy i utrzymać równowagę. Ale na ułamek sekundy utracił koncentrację. A Ciri ten ułamek wystarczył. Cięła z wypadu, mocno, na pełną długość ramienia i klingi.

Nawet nie drgnął, gdy ostrze Jaskółki z sykiem przejechało mu przez pierś i lewe ramię. Skontrował natychmiast tak strasznie, że gdyby Ciri

nie wywinęła salta w tył, cios przeciąłby ją chyba na pół. Skoczyła na sąsiednią belkę, padając w przyklęk z mieczem poziomo ponad głową.

Bonhart spojrzał na swoje ramię, uniósł lewą dłoń, już oznaczoną deseniem karminowych wężyków. Popatrzył na gęste krople kapiące w dół, w przepaść.

– No, no – powiedział. – Jednak umiesz uczyć się na błędach.

Jego głos drżał wściekłością. Ale Ciri znała go zbyt dobrze. Był spokojny, opanowany i gotów do mordu.

Skoczył na jej belkę, kosząc mieczem, szedł na nią jak burza, stąpał pewnie, bez zachwiania, nawet nie patrząc pod nogi. Belka trzeszczała, siała kurzem i próchnem.

Parł, tnąc krzyżowo. Zmusił ją, by szła tyłem. Atakował tak szybko, że nie mogła zaryzykować skoku ani salta, musiała cały czas parować i robić uniki.

Zobaczyła błysk w jego rybich oczach. Wiedziała, w czym rzecz. Przypierał ją do słupa, do krzyżaka pod kalenicą. Pchał ją w miejsce, z którego nie było ucieczki.

Musiała coś zrobić. I nagle wiedziała, co.

Kaer Morhen. Wahadło.

Odbijasz się od wahadła, przejmujesz jego impet, jego energię. Przejmujesz impet przez odbicie się. Rozumiesz?

Rozumiem, Geralt.

Znienacka, z szybkością atakującej żmii przeszła od parady do ciosu. Klinga Jaskółki jęknęła, zderzając się z brzeszczotem Bonharta. W tym samym momencie Ciri odbiła się i skoczyła na sąsiednią belkę. Wylądowała, cudem utrzymując równowagę. Przebiegła parę lekkich kroków i skoczyła znowu, z powrotem na belkę Bonharta, lądując za jego plecami. Obrócił się w porę, ciął szeroko, na ślepo niemal, w miejsce, gdzie powinien wnieść ją skok. Chybił o włos, siła ciosu zachwiała nim. Ciri zaatakowała jak piorun. Cięła z wypadu, padając w przyklęk. Cięła mocno i pewnie.

I zamarła z mieczem wyciągniętym w bok. Spokojnie patrząc, jak długie, skośne i gładziutkie rozcięcie na jego kaftanie zaczyna wzbierać i kipieć gęstą czerwienią.

– Ty... – Bonhart zachwiał się. – Ty...

Rzucił się na nią. Był już wolny i niemrawy. Uciekła mu skokiem w tył, a on nie utrzymał równowagi. Padł na kolano, ale i kolanem nie trafił w

belkę. A drewno było już mokre i śliskie. Przez sekundę patrzył na Ciri. Potem spadł.

Widziała, jak runął na parkiet w gejzerze pyłu, tynku i krwi, jak jego miecz poleciał na dobre kilka sążni w bok. Leżał nieruchomo, rozkrzyżowany, wielki, chudy. Zraniony i całkiem bezbronny. Ale nadal straszny.

Trochę potrwało, ale wreszcie drgnął. Jęknął. Spróbował unieść głowę. Poruszył rękami. Poruszył nogami. Podsunął się do słupa, wsparł oń plecami. Zajęczał znowu, oburącz macając zakrwawioną pierś i brzuch.

Ciri skoczyła. Spadła obok niego w przyklęk. Miękko jak kot. Widziała, jak jego rybie oczy rozszerzyły się ze strachu.

– Wygrałaś... – wycharczał, patrząc na ostrze Jaskółki. – Wygrałaś, wiedźminko. Szkoda, że to nie na arenie... Byłoby widowisko...

Nie odpowiedziała.

– To ja dałem ci ten miecz, pamiętasz?

– Ja wszystko pamiętam.

– Chyba mnie... – stęknął. – Chyba mnie nie dorżniesz, co? Nie zrobisz tego... Nie dobijesz powalonego i bezbronnego... Ja cię przecież znam, Ciri. Jesteś na to... za szlachetna.

Patrzyła na niego długo. Bardzo długo. Potem pochyliła się. Oczy Bonharta rozszerzyły się jeszcze bardziej. Ale ona tylko zerwała mu z szyi medaliony – wilka, kota i gryfa. Potem odwróciła się i poszła w stronę wyjścia.

Rzucił się na nią z nożem, skoczył wrednie i zdradliwie. I cicho jak nietoperz. Dopiero w ostatnim momencie, gdy puginał już, już miał pogrążyć się aż po gardę w jej plecach, zaryczał, wkładając w ten ryk całą nienawiść.

Uniknęła zdradzieckiego pchnięcia szybkim półobrotem i odskokiem, odwinęła się i uderzyła, uderzyła szybko i szeroko, mocno, z całego ramienia, wzmagając siłę ciosu skrętem bioder. Jaskółka świsnęła i cięła, cięła samym koniuszkiem klingi. Syknęło i mlasnęło, Bonhart chwycił się za gardło. Rybie oczy wylazły mu z orbit.

– Mówiłam ci przecież – rzekła Ciri zimno – że ja wszystko pamiętam.

Bonhart wybałuszył oczy jeszcze bardziej. A potem upadł. Przechylił się i runął w tył, wzbijając kurz. I leżał tak, wielki, chudy jak kostucha, na brudnej podłodze, wśród połamanych klepek. Wciąż ściskał się za

gardło, kurczowo, ze wszystkich sił. Ale choć trzymał mocno, życie i tak wartko uchodziło spomiędzy jego palców, rozlewało się wokół głowy wielką czarną aureolą.

Ciri stanęła nad nim. Bez słowa. Ale tak, by dobrze ją widział. By to jej, tylko jej obraz zabrał z sobą tam, dokąd szedł.

Bonhart spojrzał na nią mętniejącym i rozpływającym się wzrokiem. Zadygotał konwulsyjnie, chrobotnął po deskach obcasami. Potem wydał z siebie bulgot taki, jaki wydaje lejek, gdy już wszystko przez niego przeleci.

I to był ostatni dźwięk, jaki wydał.

•

Gruchnęło, z hukiem i brzękiem wyleciały witraże.

– Uważaj, Geralt!

Odskoczyli, w samą porę. Oślepiająca błyskawica przeorała posadzkę, w powietrzu zawyły odłamki terakoty i ostre kawałeczki mozaiki. Druga błyskawica trafiła w kolumnę, za którą skrył się wiedźmin. Kolumna rozpadła się na trzy części. Od sklepienia urwało się pół arkady i runęło na posadzkę z ogłuszającym łoskotem. Geralt, leżąc płasko na podłodze, osłonił głowę dłońmi, świadom, jak nędzna to osłona przed spadającymi na niego kilkunastoma pudami gruzu. Przygotował się na najgorsze, ale wcale nie było najgorzej. Zerwał się, zdążył zobaczyć nad sobą poświatę magicznej tarczy, pojął, że uratowała go magia Yennefer.

Vilgefortz zwrócił się ku czarodziejce, rozwalił w drobny mak filar, za którym się schroniła. Ryknął wściekle, fastrygując chmurę dymu i kurzu nitkami ognia. Yennefer zdążyła odskoczyć, zrewanżowała się, wystrzeliwując w czarodzieja własną błyskawicę, którą jednak Vilgefortz odbił bez wysiłku i wręcz lekceważąco. Odpowiedział uderzeniem, które cisnęło Yennefer o posadzkę.

Geralt rzucił się na niego, ocierając twarz z tynku. Vilgefortz zwrócił ku niemu oczy i rękę, z której z rykiem buchnęły płomienie. Wiedźmin odruchowo zasłonił się mieczem. Pokryta runami krasnoludzka klinga, o dziwo, osłoniła go, rozcięła strugę ognia na pół.

– Ha! – ryknął Vilgefortz. – Imponujące, wiedźminie! A co powiesz na to?

Wiedźmin nic nie powiedział. Poleciał jak uderzony taranem, padł na posadzkę i pojechał po niej, zatrzymując się dopiero na bazie kolumny.

Kolumna rozpękła się i rozleciała w gruzy, znowu zabierając ze sobą znaczną część sklepienia. Tym razem Yennefer nie zdołała dać mu magicznej osłony. Wielki odłupany z arkady złom trafił go w bark, zwalając z nóg. Ból sparaliżował go na moment.

Yennefer, skandując zaklęcia, słała w stronę Vilgefortza błyskawicę po błyskawicy. Żadna nie sięgnęła celu, wszystkie bezsilnie odbijały się od chroniącej czarodzieja magicznej sfery. Vilgefortz wyciągnął nagle ręce, rozpostarł je gwałtownie. Yennefer wrzasnęła z bólu, uniosła się w górę, lewitując. Vilgefortz skręcił dłonie, zupełnie jakby wyżymał mokrą szmatę. Czarodziejka zawyła przeszywająco. I zaczęła się skręcać.

Geralt zerwał się, pokonując ból. Ale uprzedził go Regis.

Wampir pojawił się nie wiadomo skąd w postaci olbrzymiego nietoperza, spadł na Vilgefortza bezszelestnym lotem. Nim czarodziej zdołał osłonić się czarem, Regis chlasnął go szponami po twarzy, chybiając oko wyłącznie dlatego, że było nienormalnie małe. Vilgefortz zaryczał, zamachał rękami. Uwolniona Yennefer runęła na kupę gruzu z rozdzierającym jękiem, krew z nosa buchnęła jej na twarz i pierś.

Geralt już był blisko, już wznosił do cięcia sihill. Ale Vilgefortz nie był jeszcze pokonany i kapitulować nie myślał. Wiedźmina odrzucił potężną falą mocy, w atakującego wampira strzelił oślepiająco białym promieniem, który przeciął kolumnę jak gorący nóż masło. Regis zwinnie uniknął promienia, zmaterializował się w normalną postać tuż obok Geralta.

– Uważaj – stęknął wiedźmin, starając się zobaczyć, co z Yennefer. – Uważaj, Regis...

– Uważać? – krzyknął wampir. – Ja? Nie po to tu przybyłem!

Nieprawdopodobnym, błyskawicznym, iście tygrysim skokiem rzucił się na czarodzieja i złapał go za gardło. Błysnęły kły.

Vilgefortz zawył ze zgrozy i wściekłości. Przez moment zdawało się, że koniec z nim. Ale była to złuda. Czarodziej miał w arsenale oręż na każdą okazję. I na każdego przeciwnika. Nawet na wampira.

Dłonie, którymi chwycił Regisa, rozjarzyły się jak rozpalone żelazo. Wampir krzyknął. Geralt też krzyknął, widząc, że czarodziej dosłownie rozdziera Regisa. Skoczył na pomoc, ale nie zdążył. Vilgefortz pchnął rozdartego wampira na kolumnę, z bliska, z obu rąk wypalił białym ogniem. Regis zakrzyczał, zakrzyczał tak, że wiedźmin zakrył uszy dłońmi. Z hukiem i brzękiem wyleciała reszta witraży. A kolumna po

prostu stopiła się. Wampir stopił się wraz z nią, rozlał w bezkształtny bałwan.

Geralt zaklął, wkładając w klątwę całą wściekłość i rozpacz. Doskoczył, wzniósł sihill do ciosu. Nie zdążył ciąć. Vilgefortz odwrócił się i uderzył go magiczną energią. Wiedźmin przeleciał przez całą długość halli, z impetem walnął o ścianę, osunął się po niej. Leżał, jak ryba łapiąc powietrze, zastanawiając się nie nad tym, co ma złamane, lecz nad tym, co ma całe. Vilgefortz szedł ku niemu. W jego ręku zmaterializował się długi na sześć stóp żelazny drąg.

– Mógłbym cię spopielić zaklęciem – powiedział. – Mógłbym cię roztopić na szkliwo, jak tego potwora przed chwilą. Ale ty, wiedźminie, powinieneś umrzeć inaczej. W walce. Może niezbyt uczciwej, ale zawsze.

Geralt nie wierzył, że uda mu się wstać. Ale wstał. Wypluł krew z przeciętej wargi. Mocniej uchwycił miecz.

– Na Thanedd – Vilgefortz podszedł bliżej, zakręcił drągiem młyńca – nadłamałem cię tylko ociupinkę, oszczędnie, bo to miała być nauczka. Ponieważ poszła w las, tym razem połamię cię dokładnie, na drobniutkie kosteczki. Tak, by już nikt nigdy nie zdołał cię skleić.

Zaatakował. Geralt nie uciekał. Przyjął walkę.

Drąg migał i świszczał, czarodziej krążył wokół tańczącego wiedźmina. Geralt unikał ciosów i sam je zadawał, ale Vilgefortz zręcznie parował, a wówczas żałobnie jęczała zderzająca się ze stalą stal.

Czarodziej był szybki i zwinny jak demon.

Zmylił Geralta skrętem tułowia i markowanym uderzeniem od lewej, walnął z dołu w żebra. Nim wiedźmin odzyskał równowagę i oddech, dostał w bark tak mocno, że aż przyklęknął. Odskokiem ocalił czaszkę od ciosu z góry, ale nie uniknął odwrotnego pchnięcia z dołu, nad biodro. Zachwiał się i uderzył plecami w ścianę. Miał jeszcze na tyle przytomności umysłu, by paść na posadzkę. W samą porę, bo żelazny drąg otarł się o jego włosy i walnął w mur, aż iskry poszły.

Geralt przetoczył się, drąg skrzesał iskry na posadzce tuż obok jego głowy. Drugi cios trafił w łopatkę. Był wstrząs, paraliżujący ból, spływająca do nóg słabość. Czarodziej wzniósł drąg. W jego oczach palił się triumf.

Geralt ścisnął w pięści medalion Fringilli.

Drąg spadł, aż zadzwoniło. Uderzając w posadzkę o stopę od głowy wiedźmina. Geralt odturlał się i szybko podniósł na jedno kolano. Vilgefortz doskoczył, uderzył. Drąg znowu minął cel o kilka cali. Czarodziej pokręcił głową z niedowierzaniem, zawahał się na moment.

Westchnął, rozumiejąc nagle. Oczy mu błysnęły. Skoczył, biorąc zamach. Za późno.

Geralt ciął go ostro przez brzuch. Vilgefortz wrzasnął, upuścił drąg, zgięty podreptał do tyłu. Wiedźmin już był przy nim. Pchnął go butem na kikut rozwalonej kolumny, ciął zamaszyście, skośnie, od obojczyka po biodro. Krew siknęła na posadzkę, malując na niej falujący deseń. Czarodziej zakrzyczał, padł na kolana. Opuścił głowę, popatrzył na brzuch i pierś. Długo nie mógł oderwać wzroku od tego, co widział.

Geralt czekał spokojnie, w pozycji, z sihillem gotowym do cięcia.

Vilgefortz zajęczał rozdzierająco i uniósł głowę.

– Geraaalt...

Wiedźmin nie dał mu dokończyć.

Długi czas było bardzo cicho.

– Nie wiedziałam... – powiedziała wreszcie Yennefer, gramoląc się z kupy gruzu. Wyglądała strasznie. Krew cieknąca z nosa zalała jej cały podbródek i dekolt. – Nie wiedziałam – powtórzyła, widząc nie rozumiejący wzrok Geralta – że znasz czary iluzyjne. I to zdolne zmylić Vilgefortza...

– To mój medalion.

– Aha – spojrzała podejrzliwie. – Ciekawa rzecz. Ale i tak żyjemy dzięki Ciri.

– Słucham?

– Jego oko. Nie odzyskał pełnej koordynacji. Nie zawsze trafiał. Ja jednak życie zawdzięczam głównie...

Zamilkła, spojrzała na resztki stopionej kolumny, w której można było rozpoznać zarysy postaci.

– Kto to był, Geralt?

– Druh. Będzie mi go bardzo brak.

– Był człowiekiem?

– Uosobieniem człowieczeństwa. Co z tobą, Yen?

– Parę złamanych żeber, wstrząśnienie mózgu, staw biodrowy, kręgosłup. Poza tym świetnie. A u ciebie?

– Mniej więcej to samo.

Beznamiętnie popatrzyła na głowę Vilgefortza leżącą dokładnie pośrodku podłogowej mozaiki. Małe, zeszklone już oczko czarodzieja spoglądało na nich z niemym wyrzutem.

– Ładny to widok – powiedziała.

– Fakt – przyznał po chwili. – Ale ja się już napatrzyłem. Będziesz mogła iść?

– Z twoją pomocą, tak.

•

I spotkali się, wszyscy troje, w miejscu, gdzie schodziły się korytarze, pod arkadami. Spotkali się pod martwymi spojrzeniami alabastrowych kanefor.

– Ciri – powiedział wiedźmin. I przetarł oczy.

– Ciri – powiedziała podtrzymywana przez wiedźmina Yennefer.

– Geralt – powiedziała Ciri.

– Ciri – odpowiedział, pokonując gwałtowny skurcz gardła. – Dobrze cię znowu widzieć.

– Pani Yennefer.

Czarodziejka wyzwoliła się spod ramienia wiedźmina i z najwyższym wysiłkiem wyprostowała.

– Jak ty wyglądasz, dziewczyno – powiedziała surowo. – Spójrz tylko na siebie, jak ty wyglądasz! Popraw włosy! Nie garb się. Pozwól no tu.

Ciri podeszła, sztywna jak automat. Yennefer poprawiła i wygładziła jej kołnierzyk, spróbowała zetrzeć zaschniętą już krew z rękawa. Dotknęła włosów. Odsłoniła bliznę na policzku. Objęła mocno. Bardzo mocno. Geralt widział jej ręce na plecach Ciri. Widział zdeformowane palce. Nie czuł gniewu, żalu ani nienawiści. Czuł tylko zmęczenie. I ogromne pragnienie, by skończyć z tym wszystkim.

– Mamusiu.

– Córeczko.

– Chodźmy – zdecydował się przerwać. Ale dopiero po dłuższej chwili.

Ciri głośno pociągnęła nosem, otarła go wierzchem dłoni. Yennefer zgromiła ją spojrzeniem, otarła oko, zapewne czymś zaprószone. Wiedźmin patrzył w korytarz, z którego wyszła Ciri, jak gdyby w oczekiwaniu, że wyjdzie stamtąd ktoś jeszcze. Ciri pokręciła głową. Zrozumiał.

– Chodźmy stąd – powtórzył.

– Tak – powiedziała Yennefer. – Chcę widzieć niebo.

– Nigdy was już nie opuszczę – powiedziała głucho Ciri. – Nigdy.

– Chodźmy stąd – powtórzył. – Ciri, podtrzymaj Yen.

– Nie trzeba mnie podtrzymywać!

– Pozwól mi, mamusiu.

Przed nimi były schody, wielkie schody tonące w dymie, w migotliwej poświacie pochodni i ognia w żelaznych koszach. Ciri drgnęła. Widziała już te schody. W snach i wizjach.

Na dole, daleko, czekali uzbrojeni ludzie.

– Jestem zmęczona – szepnęła.

– Ja też – przyznał Geralt, dobywając sihilla.

– Mam już dość zabijania.

– Ja też.

– Nie ma stąd innego wyjścia?

– Nie. Nie ma. Tylko te schody. Tak trzeba, dziewczyno. Yen chce widzieć niebo. A ja chcę widzieć niebo, Yen i ciebie.

Ciri obejrzała się, spojrzała na Yennefer, która, by nie upaść, oparła się o balustradę. Wyciągnęła odebrane Bonhartowi medaliony. Kota zawiesiła sobie na szyi, wilka dała Geraltowi.

– Mam nadzieję – rzekł – że wiesz, że to tylko symbol?

– Wszystko to tylko symbol.

Wyciągnęła Jaskółkę z pochwy.

– Chodźmy, Geralt.

– Chodźmy. Trzymaj się blisko mnie.

W dole schodów czekali na nich najemnicy Skellena, ściskający broń w spotniałych pięściach. Puszczyk szybkim gestem posłał na schody pierwszy rzut. Podkute buty żołdaków załomotały na stopniach.

– Powoli, Ciri. Nie spiesz się. Blisko mnie.

– Tak, Geralt.

– I spokojnie, dziewczyno, spokojnie. Pamiętaj, bez złości, bez nienawiści. My musimy wyjść i zobaczyć niebo. A ci, którzy staną nam na drodze, muszą umrzeć. Nie wahaj się.

– Nie zawaham się. Chcę zobaczyć niebo.

Do pierwszego podestu doszli bez przeszkód. Najemnicy cofnęli się przed nimi, zaskoczeni i zdziwieni ich spokojem. Ale po chwili trzech skoczyło ku nim z wrzaskiem, wywijając mieczami. Umarli natychmiast.

– Kupą! – darł się z dołu Puszczyk. – Zabić ich!

Skoczyło następnych trzech. Geralt szybko wykroczył naprzeciw, zmylił fintą, ciął jednego z dołu w gardło. Obrócił się, przepuścił Ciri spod prawego ramienia, Ciri gładko chlasnęła drugiego draba pod pachę. Trzeci chciał ratować życie skokiem przez balustradę. Nie zdążył.

Geralt starł z twarzy bryzgi krwi.

– Spokojniej, Ciri.

– Jestem spokojna.

Następnych trzech. Błysk kling, krzyk, śmierć.

Gęsta krew spełzała w dół, ściekała po stopniach.

Drab w nabijanej mosiądzem brygantynie skoczył ku nim z długą spisą. Oczy miał dzikie od narkotyków. Ciri szybką skośną paradą odsunęła drzewce, Geralt ciął. Otarł twarz. Szli, nie oglądając się.

Drugi podest był już blisko.

– Zabić! – wrzeszczał Skellen. – Na nich! Zaaabiiić!

Na schodach tupot, krzyk. Błysk kling, wrzask. Śmierć.

– Dobrze, Ciri. Ale spokojniej. Bez euforii. I blisko mnie.

– Zawsze już będę blisko ciebie.

– Nie tnij z ramienia, jeśli można z łokcia. Uważaj.

– Uważam.

Błysk klingi. Wrzask, krew. Śmierć.

– Dobrze, Ciri.

– Chcę zobaczyć niebo.

– Bardzo cię kocham.

– Ja ciebie też.

– Uważaj. Robi się ślisko.

Błysk kling, wycie. Szli, doganiając lejącą się po stopniach krew. Szli w dół, wciąż w dół, schodami zamczyska Stygga.

Atakujący ich drab pośliznął się na zakrwawionym stopniu, padł im plackiem wprost pod nogi, zawył o litość, oburącz zakrywając głowę. Przeszli obok, nie patrząc.

Aż do trzeciego podestu nikt już nie odważył się zastąpić im drogi.

– Łuki! – darł się z dołu Stefan Skellen. – Dawajcie kusze! Boreas Mun miał przynieść kusze! Gdzie on jest?

Boreas Mun – o czym Puszczyk wiedzieć nie mógł – był już dość daleko. Jechał prosto na wschód, z czołem przy końskiej grzywie wyciskał z wierzchowca tyle galopu, ile się dało.

Z pozostałych, wysłanych po łuki i kusze, wrócił tylko jeden.

Temu, który zdecydował się strzelać, lekko trzęsły się ręce i łzawiły od fisstechu oczy. Pierwszy bełt ledwie drasnął balustradę. Drugi nie trafił nawet w schody.

– Wyżej! – rozdarł się Puszczyk. – Wejdź wyżej, durniu! Strzelaj z bliska!

Kusznik udał, że nie słyszy. Skellen zaklął sążniście, wyrwał mu kuszę, skoczył na schody, przyklęknął i wycelował. Geralt szybko zasłonił sobą Ciri. Ale dziewczyna błyskawicznie wywinęła się zza niego, gdy szczęknęła cięciwa, była już w pozycji. Wykręciła miecz do górnej kwarty, odbiła bełt tak mocno, że długo koziołkował, nim spadł.

– Bardzo dobrze – mruknął Geralt. – Bardzo dobrze, Ciri. Ale jeśli jeszcze raz zrobisz coś takiego, spuszczę ci lanie.

Skellen rzucił kuszę. I nagle zorientował się, że jest sam.

Wszyscy jego ludzie, zbici w gromadkę, byli na samym dole. Żaden nie kwapił się, by wejść na schody. Było ich jakby mniej, znowu kilku gdzieś pobiegło. Po kusze zapewne.

A wiedźmin i wiedźminka spokojnie, nie przyspieszając, ale i nie zwalniając kroku, szli w dół, w dół po zalanych krwią schodach zamczyska Stygga. Blisko siebie, ramię przy ramieniu, mamiąc i tumaniąc szybkimi poruszeniami kling.

Skellen cofnął się. I już nie przestał się cofać. Aż do samego dołu. Gdy znalazł się w grupie swych ludzi, spostrzegł, że cofanie trwa. Zaklął bezsilnie.

– Chłopcy! – krzyknął, a głos złamał mu się fałszywie. – Śmiało! Hajże na nich! Kupą! Dalej, śmiało! Za mną!

– Sami se idźcie – bąknął któryś, podnosząc do nosa dłoń z fisstechem. Puszczyk ciosem pięści zbielił mu narkotykiem twarz, rękaw i przód kaftana.

Wiedźmin i wiedźminka minęli drugi podest.

– Gdy zejdą na sam dół – zaryczał Skellen – da się ich otoczyć! Hajże, chłopcy! Śmiało! Do broni!

Geralt spojrzał na Ciri. I omal nie zawył z wściekłości, widząc w jej szarych włosach bielutkie i lśniące jak srebro pasemka. Opanował się. To nie był czas na złość.

– Uważaj – powiedział głucho. – Bądź blisko mnie.

– Zawsze będę blisko ciebie.

– Na dole będzie gorąco.

– Wiem. Ale jesteśmy razem.

– Jesteśmy razem.

– Jestem z wami – powiedziała Yennefer, schodząc za nimi po schodach czerwonych i śliskich od krwi.

– Do kupy! Do kupy! – ryczał Puszczyk.

Kilku z tych, którzy pobiegli po kusze, wracało. Bez kusz. Bardzo przerażonych.

Ze wszystkich trzech wiodących ku schodom korytarzy rozległ się huk wywalanych berdyszami drzwi, łomot, szczęk żelaza i odgłos ciężkich kroków. I nagle ze wszystkich trzech korytarzy wymaszerowali żołnierze w czarnych hełmach, zbrojach i płaszczach ze znakiem srebrnej salamandry. Okrzyknięci gromko i groźnie najemnicy Skellena z brzękiem rzucali na posadzkę broń, jeden po drugim. W tych mniej zdecydowanych wymierzono kusze, ostrza glewi i rohatyn, ponaglono jeszcze groźniejszym krzykiem. Teraz usłuchali wszyscy, widać bowiem było, że czarni żołnierze aż palą się, by kogoś zakatrupić i tylko czekają na pretekst. Puszczyk stanął pod kolumną, skrzyżowawszy ręce na piersi.

– Cudowna odsiecz? – mruknęła Ciri. Geralt przecząco pokręcił głową.

Kusze i żeleźca wycelowano także w nich.

– *Glaeddyvan vort!*

Opór nie miał sensu. Od czarnych żołnierzy roiło się w dole schodów jak od mrówek, a oni byli już bardzo, bardzo zmęczeni. Ale nie rzucili mieczów. Pieczołowicie położyli je na stopniach. A potem usiedli. Geralt czuł ciepłe ramię Ciri, słyszał jej oddech.

Z góry, wymijając trupy i kałuże krwi, pokazując czarnym żołnierzom nie uzbrojone ręce, zeszła Yennefer. Ciężko usiadła obok, na stopniu. Geralt poczuł ciepło także i przy drugim ramieniu. Szkoda, że tak nie może być zawsze, pomyślał. A wiedział, że nie może.

Ludzi Puszczyka wiązano i po kolei wyprowadzano. Czarnych żołnierzy w płaszczach z salamandrą robiło się coraz więcej. Nagle pojawili się wśród nich wysocy rangą oficerowie, rozpoznawalni po białych pióropuszach i srebrnych olamowaniach na zbrojach. I po szacunku, z jakim rozstępowano się przed nimi.

Przed jednym z oficerów, którego hełm szczególnie bogato zdobiony był srebrem, rozstępowano się z wyjątkowym szacunkiem. Z ukłonami wręcz.

Ten właśnie zatrzymał się przed stojącym pod kolumną Skellenem. Puszczyk – widać to było wyraźnie nawet w migotliwym świetle łuczyw i dopalających się w żelaznych koszach obrazów – zbladł, zrobił się biały jak papier.

– Stefanie Skellen – powiedział oficer dźwięcznym głosem, głosem, który zadzwonił aż pod sklepieniem halli. – Staniesz przed sądem. Poniesiesz karę za zdradę.

Puszczyka wyprowadzono, ale nie wiązano mu rąk jak gemajnom.

Oficer odwrócił się. Z arrasu na górze urwała się płonąca szmata, spadła, wirując jak wielki ognisty ptak. Blask zalśnił na srebrnym olamowaniu zbroi, na sięgającej do połowy policzków zasłonie hełmu, mającej – jak u wszystkich Czarnych Żołnierzy – kształt potwornej zębatej szczęki.

Kolej na nas, pomyślał Geralt. Nie pomylił się.

Oficer patrzył na Ciri, a jego oczy paliły się w otworach hełmu, zauważały i rejestrowały wszystko. Bladość. Bliznę na policzku. Krew na rękawie i dłoni. Białe pasemka we włosach.

Potem Nilfgaardczyk obrócił oczy na wiedźmina.

– Vilgefortz? – spytał swym dźwięcznym głosem. Geralt przecząco pokręcił głową.

– Cahir aep Ceallach?

Znowu przeczący ruch głowy.

– Jatki – powiedział oficer, patrząc na schody. – Krwawe jatki. Ale cóż, kto mieczem wojuje... Nadto, oszczędziłeś katom roboty. Daleką przebyłeś drogę, wiedźminie.

Geralt nie skomentował. Ciri głośno pociągnęła nosem i obtarła go nadgarstkiem. Yennefer skarciła ją spojrzeniem. Nilfgaardczyk zauważył i to, uśmiechnął się.

– Daleką przebyłeś drogę – powtórzył. – Przyszedłeś tu z końca świata. Za nią i dla niej. Już choćby tylko z tego tytułu coś ci się należy. Panie de Rideaux!

– Na rozkaz, Wasza Cesarska Mość!

Wiedźmin nie zdziwił się.

– Proszę wyszukać tu dyskretną komnatę, w której będę mógł w nie zakłócanym przez nikogo spokoju porozmawiać z panem Geraltem z Rivii. W tym czasie proszę zapewnić wszelkie wygody i usługi obu paniom. Rzecz jasna, pod czujną i nieustającą strażą.

– Tak jest, Wasza Cesarska Mość.

– Panie Geralcie, proszę ze mną.

Wiedźmin wstał. Spojrzał na Yennefer i Ciri, chcąc je uspokoić, przestrzec, by nie robiły głupstw. Ale to nie było potrzebne. Obie były potwornie zmęczone. I zrezygnowane.

•

– Daleką przebyłeś drogę – powtórzył, zdejmując hełm, Emhyr var Emreis, Deithwen Addan yn Carn aep Morvudd, Biały Płomień Tańczący na Kurhanach Wrogów.

– Nie wiem – odrzekł spokojnie Geralt – czy ty, Duny, nie przebyłeś dalszej.

– Poznałeś mnie, proszę – uśmiechnął się cesarz. – A podobno brak brody i sposób zachowania odmieniły mnie zupełnie. Z ludzi, którzy przedtem widywali mnie w Cintrze, wielu przybywało potem do Nilfgaardu i widziało mnie podczas audiencji. I nie rozpoznał mnie nikt. A tyś widział mnie przecież tylko raz, i to przed szesnastu laty. Aż tak zapadłem ci w pamięć?

– Nie rozpoznałbym cię, faktycznie bardzo się zmieniłeś. Domyśliłem się po prostu, kim jesteś. Już jakiś czas temu. Nie bez obcej pomocy i wskazówki odgadłem, jaką rolę odegrał incest w rodzinie Ciri. W jej krwi. W którymś z koszmarnych snów przyśnił mi się incest najstraszniejszy, najohydniejszy z możliwych. I proszę, oto jesteś, we własnej osobie.

– Ledwo trzymasz się na nogach – powiedział zimno Emhyr. – A czynione na siłę impertynencje powodują, że chwiejesz się jeszcze bardziej. Możesz usiąść w przytomności cesarza. Tego przywileju udzielam ci... dożywotnio.

Geralt z ulgą usiadł. Emhyr nadal stał oparty o rzeźbioną szafę.

– Uratowałeś życie mojej córce – powiedział. – Kilkakrotnie. Dzięki ci za to. W imieniu moim własnym i potomności.

– Rozbrajasz mnie.

– Cirilla – Emhyr nie przejął się kpiną – pojedzie do Nilfgaardu. W stosownym czasie zostanie imperatorową. W dokładnie taki sam sposób, w jaki zostawały i zostają królowymi dziesiątki dziewcząt. To znaczy, prawie nie znając swego małżonka. Często nie mając o nim dobrego mniemania na podstawie pierwszego spotkania. Często

rozczarowane pierwszymi dniami i... nocami małżeństwa. Cirilla nie będzie pierwsza.

Geralt powstrzymał się od komentarza.

– Cirilla – ciągnął cesarz – będzie szczęśliwa, tak jak większość królowych, o których mówiłem. To przyjdzie z czasem. Miłość, której od niej wcale nie wymagam, Cirilla przeleje na syna, którego z nią spłodzę. Arcyksięcia, a potem cesarza. Cesarza, który spłodzi syna. Syna, który będzie władcą świata i który ocali świat przed zniszczeniem. Tak mówi przepowiednia, której dokładną treść znam tylko ja.

– Rzecz jasna – podjął Biały Płomień – Cirilla nigdy nie dowie się, kim jestem. Tajemnica ta umrze. Wraz z tymi, którzy ją znają.

– Jasne – kiwnął głową Geralt. – Nie może być jaśniej.

– Nie możesz nie dostrzegać – odezwał się po jakimś czasie Emhyr – ręki przeznaczenia, która była w tym wszystkim. We wszystkim. Także w twoich działaniach. Od samego początku.

– Widzę w tym raczej rękę Vilgefortza. Bo to przecież on skierował cię wówczas do Cintry, prawda? Gdy byłeś Zaklętym Jeżem? On sprawił, że Pavetta...

– Błądzisz we mgle – przerwał gwałtownie Emhyr, odrzucając na ramię płaszcz z salamandrą. – Nie wiesz nic. I nie musisz wiedzieć. Nie poprosiłem cię tu, by ci opowiadać historię mego życia. Ani by się przed tobą tłumaczyć. Jedyne, na co zasłużyłeś, to zapewnienie, że dziewczyny nie spotka krzywda. Nie mam wobec ciebie żadnych długów, wiedźminie. Żadnych...

– Masz! – Geralt przerwał równie gwałtownie. – Zerwałeś zawartą umowę. Skłamałeś z danego słowa. To są długi, Duny. Złamałeś przysięgę jako książątko, masz dług jako cesarz. Z cesarskimi odsetkami. Za dziesięć lat!

– Tylko tyle?

– Tylko tyle. Bo tylko tyle mi się należy, nie więcej. Ale i nie mniej! Miałem zgłosić się po dziecko, gdy skończy lat sześć. Nie czekałeś na przyrzeczony termin. Chciałeś mi je ukraść, nim minął. Przeznaczenie, o którym wciąż mówisz, zadrwiło z ciebie jednak. Przez następne dziesięć lat próbowałeś z tym przeznaczeniem walczyć. Teraz ją masz, masz Ciri, własną córkę, którą kiedyś niegodziwie i podle pozbawiłeś rodziców, a z którą teraz chcesz niegodziwie i podle płodzić kazirodcze dzieci. Nie

wymagając od niej miłości. Słusznie zresztą. Nie zasługujesz na jej miłość. Między nami, Duny, nie wiem, jak ty zdołasz patrzeć jej w oczy.

– Cel uświęca środki – powiedział głucho Emhyr. – To, co robię, robię dla potomności. Dla ocalenia świata.

– Jeśli tym sposobem świat ma ocaleć – poderwał głowę wiedźmin – to niech ten świat lepiej zginie. Wierz mi, Duny, lepiej, żeby zginął.

– Jesteś blady – powiedział niemal łagodnie Emhyr var Emreis. – Nie podniecaj się tak, bo gotoweś zemdleć.

Odszedł od szafy, odsunął krzesło, usiadł. Wiedźminowi faktycznie kręciło się w głowie.

– Żelazny Jeż – zaczął spokojnie i cicho cesarz – to miał być sposób na zmuszenie mojego ojca do współpracy z uzurpatorem. Było to po przewrocie, ojciec, obalony cesarz, był więziony i torturowany. Nie dawał się jednak złamać, więc spróbowano innego sposobu. Na oczach ojca wynajęty przez uzurpatora czarownik zmienił mnie w maszkarę. Czarownik dołożył nieco z własnej inicjatywy. Humoru mianowicie. *Eimyr* to w naszym języku „jeż".

– Ojciec nie dał się złamać i zamordowano go. Mnie zaś, wśród drwin i szyderstw, wypuszczono w lesie i poszczuto psami. Życie ocaliłem, nie ścigano mnie zbyt zawzięcie, albowiem nie wiedziano, że czarownik robotę spartaczył, że w nocy wraca mi postać ludzka. Na szczęście znałem kilka osób, których wierności mogłem być pewien. A miałem wówczas, dla twojej wiadomości, trzynaście lat.

– Z kraju musiałem uchodzić. To zaś, że ratunku na urok powinienem szukać na Północy, za Schodami Marnadalu, wyczytał w gwiazdach pewien trochę zwariowany astrolog o imieniu Xarthisius. Potem, gdy już byłem cesarzem, podarowałem mu za to wieżę i sprzęt. Podówczas musiał pracować na pożyczonym.

– O tym, co zdarzyło się w Cintrze, wiesz, szkoda czasu, by w rzecz tę się wgrążać. Przeczę jednak, jakoby miał z tym coś wspólnego Vilgefortz. Po pierwsze, nie znałem go wówczas jeszcze, po drugie, miałem silną awersję do magików. Do dziś ich zresztą nie lubię. Ach, za pamięci: gdy odzyskałem tron, dopadłem tamtego czarownika, który wysługiwał się uzurpatorowi i katował mnie na oczach ojca. Też popisałem się poczuciem humoru. Magik nazywał się Braathens, a w naszym języku brzmi to niemal tak samo, jak „smażony".

– Dość jednak dygresji, wróćmy do rzeczy. Vilgefortz potajemnie odwiedził mnie w Cintrze krótko po narodzinach Ciri. Podał się za konfidenta ludzi, którzy w Nilfgaardzie byli mi wciąż wierni i konspirowali przeciw uzurpatorowi. Zaoferował pomoc i wkrótce dowiódł, że pomóc potrafi. Gdy, wciąż nieufny, spytałem o motywy, bez żadnego owijania w bawełnę oświadczył, że liczy na wdzięczność. Na łaski, przywileje i władzę, jaką obdarzy go wielki cesarz Nilfgaardu. Czyli ja. Potężny władca, który władał będzie połową świata. Który spłodzi potomka, który władał będzie światem całym. Przy boku owych wielkich władców, oświadczył bez skrępowania czarownik, sam ma zamiar wysoko wyrosnąć. Tu wyciągnął związane wężową skórą zwoje i polecił mojej uwadze ich treść.

– Tym sposobem poznałem przepowiednię. Dowiedziałem się o losie świata i wszechświata. Dowiedziałem się, co muszę zrobić. I doszedłem do wniosku, że cel uświęca środki.

– No jasne.

– W Nilfgaardzie tymczasem – Emhyr puścił ironię mimo uszu – moje sprawy miały się coraz lepiej. Moi partyzanci zdobywali coraz większe wpływy, wreszcie, mając za sobą grupę oficerów liniowych i korpus kadetów, zdecydowali się na zamach stanu. Do tego potrzebny byłem jednak ja. Własną osobą. Prawy dziedzic tronu i korony Cesarstwa, prawy Emreis z krwi Emreisów. Miałem być czymś w rodzaju sztandaru rewolucji. Między nami mówiąc, sporo rewolucjonistów żywiło nadzieję, że nie będę niczym ponadto. Ci z nich, którzy jeszcze żyją, do dziś nie mogą odżałować.

– Ale, jak się rzekło, zostawmy dygresje. Musiałem wrócić do domu. Przyszedł czas, by Duny, fałszywy królewicz z Maecht i lipny cintryjski diuk, upomniał się o swe dziedzictwo. Nie zapominałem jednak o przepowiedni. Musiałem wrócić razem z Ciri. A Calanthe uważnie, bardzo uważnie patrzyła mi na ręce.

– Ona nigdy ci nie ufała.

– Wiem. Sądzę, że coś wiedziała o tej wróżbie. I zrobiłaby wszystko, by mi przeszkodzić, a w Cintrze byłem w jej mocy. Było jasne: musiałem wrócić do Nilfgaardu, ale tak, by nikt nie mógł odgadnąć, że ja jestem Duny, a Ciri to moja córka. Sposób podsunął mi Vilgefortz. Duny, Pavetta i ich dziecko mieli umrzeć. Zginąć bez śladu.

– W upozorowanej katastrofie statku.

– Tak jest. Podczas rejsu ze Skellige do Cintry, na Głębi Sedny, Vilgefortz miał wciągnąć okręt w magiczny wsysacz. Ja, Pavetta i Ciri mieliśmy zamknąć się przedtem w specjalnie zabezpieczonej kajucie i przeżyć. A załoga...

– Miała nie przeżyć – dokończył wiedźmin. – I tak zaczęła się twoja droga po trupach.

Emhyr var Emreis milczał czas jakiś.

– Zaczęła się wcześniej – powiedział wreszcie, a jego głos brzmiał głucho. – Niestety. W momencie, kiedy okazało się, że Ciri nie ma na pokładzie.

Geralt uniósł brwi.

– Niestety – twarz cesarza nie wyrażała niczego – w moich planach nie doceniłem Pavetty. To melancholijne dziewczę o wiecznie spuszczonych oczach przejrzało mnie i moje zamiary. Przed podniesieniem kotwicy tajemnie odesłała dziecko na ląd. Wpadłem w szał. Ona też. Dostała ataku histerii. Podczas szarpaniny... wypadła za burtę. Nim zdążyłem skoczyć za nią, Vilgefortz wciągnął okręt w ten swój wsysacz. Walnąłem w coś głową i straciłem przytomność. Przeżyłem cudem, zaplątany w liny. Ocknąłem się cały w bandażach. Miałem złamaną rękę...

– Ciekawi mnie – spytał zimno wiedźmin – jak czuje się człowiek, który zamordował własną żonę?

– Parszywie – odparł bez zwłoki Emhyr. – Czuł i czuje się parszywie i cholernie podle. Nie zmienia tego nawet fakt, że ja nigdy jej nie kochałem. Cel uświęcał środki. Żal mi jednak prawdziwie jej śmierci. Nie chciałem tego i nie planowałem. Pavetta zginęła przypadkiem.

– Łżesz – powiedział sucho Geralt – a to cesarzom nie przystoi. Pavetta nie mogła żyć. Demaskowała by cię. I nigdy nie pozwoliłaby na to, co chciałeś zrobić Ciri.

– Żyłaby – zaprzeczył Emhyr. – Gdzieś... daleko. Jest dość zamków... Choćby Darn Rowan... Nie mógłbym jej zabić.

– Nawet dla celu, który uświęca środki?

– Zawsze – cesarz potarł twarz – można znaleźć jakiś mniej drastyczny środek. Zawsze jest ich wiele.

– Nie zawsze – powiedział wiedźmin, patrząc mu w oczy. Emhyr uciekł przed jego spojrzeniem.

– To właśnie miałem na myśli – kiwnął głową Geralt. – Dokończ opowieści. Czas bieży.

– Calanthe strzegła małej jak źrenicy oka. O tym, by ją porwać, nawet marzyć nie mogłem... Moje stosunki z Vilgefortzem znacznie ochłodły, do innych magików wciąż miałem awersję... Ale moi wojskowi i arystokracja ostro pchali mnie do wojny, do ataku na Cintrę. Ręczyli, że lud tego żąda, że lud pragnie przestrzeni życiowej, że pójście za *vox populi* to będzie taki mój cesarski egzamin. Postanowiłem upiec dwie pieczenie przy jednym ogniu. Zdobyć za jednym zamachem i Cintrę, i Ciri. Resztę wiesz.

– Wiem – kiwnął głową Geralt. – Dziękuję ci za tę rozmowę, Duny. Jestem ci wdzięczny, że zechciałeś poświęcić mi czas. Ale dłużej zwlekać nie podobna. Jestem bardzo zmęczony. Patrzyłem na śmierć przyjaciół, który szli tutaj za mną z końca świata. Szli, by ratować twoją córkę. Nawet jej nie znali. Oprócz Cahira, żadne Ciri nawet nie znało. A poszli, by ją ratować. Bo było w nich coś, co jest porządne i szlachetne. I co? Znaleźli śmierć. Uważam, że to jest niesprawiedliwe. I jeśli ktoś chce wiedzieć, nie zgadzam się z tym. Bo do dupy jest taka historia, gdy umierają ci porządni, a łotry żyją i dalej robią swoje. Nie mam już sił, cesarzu. Wezwij ludzi.

– Wiedźminie...

– Tajemnica musi umrzeć wraz z tymi, którzy ją znają. Sam to powiedziałeś. Nie masz innego wyjścia. Nieprawdą jest, jakobyś miał ich wiele. Ucieknę ci z każdego więzienia. Odbiorę ci Ciri, nie ma takiej ceny, której nie zapłacę, by ci ją odebrać. Dobrze wiesz.

– Dobrze wiem.

– Yennefer możesz pozwolić żyć. Ona tajemnicy nie zna.

– Ona – powiedział poważnie Emhyr – zapłaci każdą cenę, by ratować Ciri. I mścić twoją śmierć.

– Fakt – kiwnął głową wiedźmin. – W rzeczy samej, zapomniałem, jak bardzo ona kocha Ciri. Masz rację, Duny. Cóż, przed przeznaczeniem nie da się uciec. Mam prośbę.

– Słucham.

– Pozwól mi się z nimi obiema pożegnać. Potem jestem do twojej dyspozycji.

Emhyr stanął przy oknie, zapatrzony w szczyty gór.

– Nie mogę ci odmówić. Ale...

– Nie obawiaj się. Nie powiem Ciri nic. Skrzywdziłbym ją, mówiąc, kim jesteś. A ja nie potrafiłbym jej skrzywdzić.

Emhyr milczał długo, wciąż odwrócony ku oknu.

– Może i mam wobec ciebie jakiś dług. – Wykręcił się na pięcie. – Posłuchaj więc, co mam ci do zaoferowania w ramach spłaty. Dawno, dawno temu, bardzo dawnymi czasy, gdy ludzie mieli jeszcze cześć, dumę i godność, gdy cenili swoje słowo, a lękali się wyłącznie wstydu, zdarzało się, że skazany na śmierć człowiek honoru, by ujść przed hańbiącą ręką kata lub siepacza, wchodził do wanny z gorącą wodą i otwierał sobie żyły. Czy wchodzi w rachubę...

– Rozkaż napełnić wannę.

– Czy wchodzi w rachubę – podjął spokojnie cesarz – by Yennefer zechciała towarzyszyć ci w tej kąpieli?

– Jestem tego prawie pewien. Ale trzeba zapytać. To dość buntownicza natura.

– Wiem.

•

Yennefer zgodziła się od razu.

– Koło się zamknęło – dodała, patrząc na swe przeguby. – Wąż Uroboros zatopił zęby we własnym ogonie.

•

– Ja nie rozumiem! – Ciri zaparskała jak rozwścieczony kot. – Ja nie pojmuję, dlaczego mam z nim iść? Dokąd? Po co?

– Córeczko – powiedziała łagodnie Yennefer. – Takie, nie inne jest twoje przeznaczenie. Zrozum, po prostu nie może być inaczej.

– A wy?

– Na nas – Yennefer spojrzała na Geralta – czeka nasze przeznaczenie. Po prostu tak musi być. Chodź tu, córeczko. Obejmij mnie mocno.

– Oni chcą was zamordować, prawda? Ja się nie zgadzam! Ja ledwo was odzyskałam! To niesprawiedliwe!

– Kto mieczem wojuje – odezwał się głucho Emhyr var Emreis – ten od miecza ginie. Walczyli ze mną i przegrali. Ale przegrali godnie.

Ciri w trzech krokach stanęła przed nim, a Geralt bezgłośnie wciągnął powietrze. Usłyszał westchnienie Yennefer. Jasna cholera, pomyślał, przecież wszyscy to widzą! Przecież całe jego czarne wojsko widzi to, czego nie da się ukryć! Te same postawy, te same roziskrzone oczy, ten

sam grymas ust. Identycznie skrzyżowane na piersi ręce. Na szczęście, na wielkie szczęście, szare włosy odziedziczyła po matce. Ale i tak, gdy się przypatrzeć, widać, czyja to krew...

– Ty zaś – powiedziała Ciri, mierząc Emhyra płomiennym spojrzeniem. – Ty zaś wygrałeś. I myślisz, że godnie?

Emhyr var Emreis nie odpowiedział. Uśmiechnął się tylko, mierząc dziewczynę wyraźnie zadowolonym spojrzeniem. Ciri zacisnęła zęby.

– Tylu umarło. Tylu ludzi umarło przez to wszystko. Przegrali godnie? Śmierć jest godna? Tylko bestia może tak myśleć. Ze mnie, choć na śmierć patrzyłam z bliska, bestii zrobić ci się nie udało. I nie uda.

Nie odpowiedział. Patrzył na nią, wydawało się, że chłonie ją wzrokiem.

– Ja wiem – zasyczała – co ty knujesz. Co chcesz ze mną zrobić. I powiem ci już teraz: nie pozwolę ci się tknąć. A jeśli mnie... Jeśli mnie... To cię zabiję. Nawet związana. Gdy zaśniesz, gardło ci przegryzę.

Imperator szybkim gestem uciszył pomruk, wzbierający wśród otaczających ich oficerów.

– Stanie się to – wycedził, nie spuszczając z Ciri wzroku – co przeznaczone. Pożegnaj się z przyjaciółmi, Cirillo Fiono Elen Riannon.

Ciri spojrzała na wiedźmina. Geralt zaprzeczył ruchem głowy. Dziewczyna westchnęła.

Obie z Yennefer objęły się i szeptały długo. Potem Ciri podeszła do Geralta.

– Szkoda – powiedziała cicho. – Zapowiadało się lepiej.

– Znacznie lepiej – potwierdził.

Objęli się.

– Bądź mężna.

– On mnie nie będzie miał – szepnęła. – Nie bój się. Ucieknę mu. Mam sposób...

– Nie wolno ci go zabić. Pamiętaj, Ciri. Nie wolno.

– Nie bój się. Wcale nie myślałam o zabijaniu. Wiesz, Geralt, ja zabijania mam dość. Za dużo tego było.

– Za dużo. Żegnaj, wiedźminko.

– Żegnaj, wiedźminie.

– Tylko mi nie płacz.

– Łatwo ci mówić.

•

Emhyr var Emreis, imperator Nilfgaardu, towarzyszył Yennefer i Geraltowi aż do łazienki. Niemal aż do cembrowiny wielkiego, marmurowego basenu, pełnego parującej i pachnącej wody.

– Żegnajcie – powiedział. – Nie musicie się spieszyć. Odjeżdżam, ale zostawiam tu ludzi, których poinstruuję i którym wydam rozkazy. Gdy będziecie gotowi, zawołajcie, a lejtnant poda wam nóż. Ale powtarzam: spieszyć się nie musicie.

– Doceniamy łaskę – poważnie kiwnęła głową Yennefer. – Wasza Cesarska Mość?

– Słucham?

– Proszę, w miarę możliwości, nie krzywdzić mojej córki. Nie chciałabym umierać z myślą, że ona płacze.

Emhyr milczał długo. Nawet bardzo długo. Oparty o ościeżnicę. Z odwróconą głową.

– Pani Yennefer – odpowiedział wreszcie, a twarz miał bardzo dziwną. – Może być pani pewna, że nie skrzywdzę córki pani i wiedźmina Geralta. Deptałem trupy ludzi i tańczyłem na kurhanach wrogów. I myślałem, że stać mnie na wszystko. Ale tego, o co mnie pani podejrzewa, zrobić zwyczajnie nie potrafiłbym. Teraz to wiem. Także dzięki wam obojgu. Żegnajcie.

Wyszedł, cicho zamykając za sobą drzwi. Geralt westchnął.

– Rozbierzemy się? – spojrzał na parujący basen. – Niezbyt raduje mnie myśl, że wywloką mnie stąd jako nagiego trupa...

– A mnie, wyobraź sobie, wszystko jedno, jaką mnie wywloką. – Yennefer zrzuciła trzewiczki i szybkimi ruchami rozpięła suknię. – Nawet jeśli to moja ostatnia kąpiel, nie będę się kąpać w ubraniu.

Ściągnęła koszulę przez głowę i weszła do basenu, energicznie rozbryzgując wodę.

– No, Geralt? Czemu stoisz jak wmurowany?

– Zapomniałem, jaka jesteś piękna.

– Łatwo zapominasz. Dalej, do wody.

Gdy usiadł przy niej, natychmiast zarzuciła mu ręce na szyję. Pocałował ją, głaszcząc jej talię, nad wodą i pod wodą.

– Czy to – spytał dla porządku – jest aby właściwy czas?

– Na to – zamruczała, zanurzając jedną rękę i dotykając go – każdy czas jest właściwy. Emhyr dwukrotnie powtórzył, że nie musimy się spieszyć. Na czym wolałbyś spędzić ostatnie minuty, które nam dano?

Na płaczach i żalach? Przecież to niegodne. Na rachunku sumienia? Przecież to banalne i głupie.

– Nie o to mi chodziło.

– O co więc?

– Jeśli woda wystygnie – wymruczał, pieszcząc jej piersi – cięcia będą bolesne.

– Za rozkosz – Yennefer zanurzyła drugą rękę – warto zapłacić bólem. Boisz się bólu?

– Nie.

– Ja też nie. Usiądź na brzegu basenu. Kocham cię, ale nie będę, cholera jasna, nurkować.

•

– Jejku, jej – powiedziała Yennefer, odchylając głowę tak, że jej wilgotne od pary włosy rozpłynęły się po cembrowinie jak małe czarne żmijki. – Jejku... jej.

•

– Kocham cię, Yen.

– Kocham cię, Geralt.

– Już czas. Zawołajmy.

– Zawołajmy.

Zawołali. Najpierw zawołał wiedźmin, potem zawołała Yennefer. Potem, nie doczekawszy się żadnej reakcji, wrzasnęli chórem.

– Juuuuż! Jesteśmy gotowi! Dajcie nam ten nóż! Heeej! Cholera! Woda stygnie!

– To z niej wyjdźcie – powiedziała Ciri, zaglądając do łazienki. – Oni wszyscy sobie poszli.

– Coooo?

– Przecież mówię. Poszli sobie. Oprócz nas trojga nie ma tu żywej duszy. Ubierzcie się. Na golasa wyglądacie strasznie śmiesznie.

•

Gdy się ubierali, zaczęły im drżeć ręce. Obojgu. Z najwyższą trudnością radzili sobie z haftkami, sprzączkami i guzikami. Ciri paplała.

– Odjechali. Zwyczajnie. Wszyscy, ilu ich było. Zabrali stąd wszystkich, wsiedli na konie i odjechali. Aż się kurzyło.

– Nie zostawili nikogo?

– Nikogutko.
– Niepojęte – szepnął Geralt. – To jest niepojęte.
– Czy stało się coś – odchrząknęła Yennefer – co by to tłumaczyło?
– Nie – odrzekła szybko Ciri. – Nic.
Kłamała.

•

Z początku nadrabiała miną. Wyprostowana, z hardo zadartą głową i kamienną twarzą odepchnęła od siebie urękawiczone ręce czarnych rycerzy, śmiało i wyzywająco spojrzała na budzące grozę nosale i zasłony ich hełmów. Nie dotknęli jej już więcej, tym bardziej, że powstrzymało ich przed tym warknięcie oficera, barczystego draba ze srebrnymi galonami i białym czaplim pióropuszem.

Poszła ku wyjściu, eskortowana z obu stron. Z dumnie uniesioną głową. Dudniły ciężkie buty, chrzęszczały kolczugi, dzwoniła broń.

Po kilkunastu krokach obejrzała się po raz pierwszy. Po następnych kilku po raz drugi. Przecież ja ich już nigdy, nigdy nie zobaczę, przeraźliwą i chłodną jasnością zapłonęła jej pod ciemieniem myśl. Ani Geralta, ani Yennefer. Nigdy.

Świadomość momentalnie, za jednym zamachem starła maskę udawanej odwagi. Twarz Ciri skurczyła się i wykrzywiła, oczy wypełniły się łzami, z nosa pociekło. Dziewczyna walczyła ze wszystkich sił, ale na próżno. Fala łez przerwała tamę pozorów.

Nilfgaardczycy z salamandrami na płaszczach patrzyli na nią w ciszy. I w zdumieniu. Niektórzy widzieli ją na zakrwawionych schodach, wszyscy widzieli ją w rozmowie z cesarzem. Wiedźminkę z mieczem, wiedźminkę niepokonaną, butnie skaczącą do oczu samemu imperatorowi. I dziwili się teraz, widząc pochlipujące i łkające dziecko.

Była tego świadoma. Ich spojrzenia paliły ją jak ogień, kłuły jak szpilki. Walczyła, ale bez skutku. Im mocniej wstrzymywała płacz, tym silniej wybuchał.

Zwolniła kroku, potem zatrzymała się. Eskorta stanęła również. Ale tylko na moment. Na warkliwą komendę oficera żelazne ręce chwyciły ją pod pachy i za przeguby. Ciri, szlochając i łykając łzy, obejrzała się po raz ostatni. Potem powleczono ją. Nie stawiała oporu. Ale szlochała coraz głośniej i coraz rozpaczliwiej.

Zatrzymał ich cesarz Emhyr var Emreis, ten ciemnowłosy człowiek o twarzy, która budziła w niej dziwne, niejasne wspomnienia. Puścili ją na jego ostry rozkaz. Ciri pociągnęła nosem, otarła oczy rękawem. Widząc, że podchodzi, wstrzymała szloch, hardo zadarła głowę. Ale teraz – była tego świadoma – wyglądało to już tylko śmiesznie.

Emhyr patrzył na nią długo. Bez słowa. Potem podszedł. I wyciągnął ręce. Ciri, która na takie gesty zawsze reagowała odruchowym cofnięciem się, teraz, ku swemu najwyższemu zdumieniu, nie zareagowała. Z jeszcze większym zdumieniem stwierdziła, że jego dotyk wcale nie jest przykry.

Dotknął jej włosów, jakby licząc bielutkie jak śnieg pasemka. Dotknął zdeformowanego blizną policzka. Potem przytulił, gładził po głowie i plecach. A ona, wstrząsana płaczem, pozwalała mu na to, a ręce trzymała sztywno niczym strach na wróble.

– Dziwna to rzecz, przeznaczenie – usłyszała szept. – Żegnaj, córko.

•

– Jak powiedział?

Twarz Ciri skurczyła się lekko.

– Powiedział: *va faill, luned*. W Starszej Mowie: żegnaj, dziewczyno.

– Wiem – kiwnęła głową Yennefer. – Co było potem?

– Potem... Potem puścił mnie, odwrócił się i odszedł. Krzyknął rozkazy. I wszyscy poszli sobie. Mijali mnie, całkiem obojętnie, tupiąc, łomocząc i brzęcząc zbrojami, aż echo szło po korytarzu. Wsiedli na konie i odjechali, słyszałam rżenie i tętent. W życiu tego nie pojmę. Bo gdy się zastanowić...

– Ciri.

– Co?

– Nie zastanawiaj się.

•

– Zamek Stygga – powtórzyła Filippa Eilhart, patrząc spod rzęs na Fringillę Vigo. Fringilla nie zaczerwieniła się. W ciągu minionych trzech miesięcy udało jej się wyprodukować magiczny krem działający kurcząco na naczynia krwionośne. Dzięki kremowi rumieńce nie biły na twarz, choćby nie wiedzieć, jaki był wstyd.

– Kryjówka Vilgefortza była w zamku Stygga – potwierdziła Assire var Anahid. – W Ebbing, nad górskim jeziorem, którego nazwy mój

informator, prosty żołnierz, nie był w stanie zapamiętać.

– Powiedziała pani: „była” – zwróciła uwagę Francesca Findabair.

– Była – wpadła w słowo Filippa. – Bo Vilgefortz nie żyje, moje drogie panie. On i jego wspólnicy, cała szajka gryzie już ziemię. Przysługę tę wyświadczył nam nie kto inny, a dobry nasz znajomy wiedźmin Geralt z Rivii. Którego nie doceniłyśmy. Żadna z nas. Względem którego popełniłyśmy błąd. Wszystkie z nas. Jedne mniejszy, drugie większy.

Wszystkie czarodziejki jak na komendę spojrzały na Fringillę, ale krem działał naprawdę niezawodnie. Assire var Anahid westchnęła. Filippa pacnęła dłonią o stół.

– Choć tłumaczy nas – powiedziała sucho – nawał zajęć związany z wojną i przygotowaniem rokowań pokojowych, za porażkę loży uznać należy fakt, że w sprawie Vilgefortza zostałyśmy wyprzedzone i wyręczone. Nie powinno się nam to już więcej zdarzać, drogie panie.

Loża – za wyjątkiem bladej jak trup Fringilli Vigo – pokiwała głowami.

– W tej chwili – podjęła Filippa – wiedźmin Geralt jest gdzieś w Ebbing. Wraz z Yennefer i Ciri, które uwolnił. Trzeba się będzie zastanowić, jak ich odszukać...

– A ów zamek? – przerwała Sabrina Glevissig. – Nie zapomniałaś aby o czymś, Filippo?

– Nie, nie zapomniałam. Legenda, o ile powstanie, powinna mieć wersję jedną i prawomyślną. Chciałam prosić o to właśnie ciebie, Sabrino. Weź ze sobą Keirę i Triss. Załatwcie tę sprawę. Tak, żeby śladu nie pozostało.

•

Huk eksplozji słyszano aż w Maecht, błysk – albowiem miało to miejsce nocą – widoczny był nawet w Metinnie i Geso. Seria wywołanych wybuchem wstrząsów tektonicznych wyczuwalna była jeszcze dalej. Na naprawdę odległych krańcach świata.

***Congreve**, Estella vel Stella, córka barona Ottona de Congreve, poślubiona staremu hrabiemu na Liddertalu, po rychłej śmierci tegoż nader roztropnie dobrami zarządzała, przez co do niemałego przyszła majątku. Dużą estymą cesarza Emhyra var Emreisa (ob.) się ciesząca, wielce znaczną osobą była u dworu. Choć stanowisk nie piastowała żadnych, wiadomem było, że głos jej i zdanie cesarz zawsze atencją i konsyderacją zwykł był zaszczycać. Dzięki wielkiemu afektowi ku młodej cesarzowej Cirilli Fionie (ob.), którą jak córkę własną kochała, żartobliwie „cesarzową matką" zwana była. Przeżywszy oboje, tak cesarza, jak i cesarzową, † 1331, a ogromny jej majątek w spadku dalszym przypadł krewnym, bocznej gałęzi Liddertalów, Białymi zwanym, ci zaś, ludźmi letkimi i szaławiłami będąc, doszczętnie go przeputali.*

Effenberg i Talbot,
Encyclopaedia Maxima Mundi, tom II

Rozdział dziesiąty

Podkradający się do biwaku człowiek, trzeba było oddać mu honor, był zręczny i lisio przebiegły. Zmieniał pozycję szybko, a poruszał się tak zwinnie i cicho, że każdy dałby się podejść. Każdy. Ale nie Boreas Mun. Boreas Mun zbyt duże miał doświadczenie w kwestii podchodów.

– Wyłaź, człowieku! – zawołał, starając się zabarwić głos dufną i pewną siebie arogancją. – Nadaremne są te twoje sztuczki! Widzę cię. Tam jesteś.

Jeden z megalitów, grzebieniem których najeżone było zbocze wzgórza, drgnął na tle ugwieżdżonego, granatowego nieba. Poruszył się. I przybrał postać ludzką.

Boreas obrócił rożen z pieczenią, bo zaleciało spalenizną. Udając, że niedbale się podpiera, położył dłoń na majdanie łuku.

– Mizerny jest mój dobytek – w pozornie spokojny ton wplótł szorstką, metalizowaną nitkę ostrzeżenia. – Niewiele w nim mam. Ale jestem do niego przywiązany. Będę go bronił na śmierć i życie.

– Nie jestem bandytą – powiedział głębokim głosem mężczyzna, który podkradał się, udając menhiry. – Jestem pielgrzymem.

Pielgrzym był wysoki i potężnie zbudowany, mierzył jak nic siedem stóp, a żeby go przeważyć na szali wagi, Boreas szedł o każdy zakład, potrzebny byłby ciężar co najmniej dziesięciu pudów. Pielgrzymi kij, drąg gruby jak hołobla, wyglądał w jego ręku jak laseczka. Boreas Mun dziwił się zaiste, jakim sposobem taki wielki ciołek zdołał się tak zwinnie podkradać. Zaniepokoił się też nieco. Jego łuk, kompozytowa siedemdziesięciofuntówka, z której z pół setki kroków kładł łosia, wydała mu się nagle mała i delikatna jak dziecięca zabawka.

– Jestem pielgrzymem – powtórzył potężny mężczyzna. – Nie mam złych...

– Ten drugi – przerwał ostro Boreas – też niech wyjdzie.

– Jaki dru... – zająknął się pielgrzym i urwał, widząc, jak z mroku z przeciwnej strony wyłania się smukła sylwetka, bezszelestna jak cień. Tym razem Boreas Mun nie dziwił się niczemu. Drugi z mężczyzn – sposób poruszania się zdradzał to momentalnie wyćwiczonemu oku tropiciela – był elfem. A dać się podejść przez elfa to nie hańba.

– Proszę wybaczenia – powiedział dziwnie nieelfim, lekko chrapliwym głosem elf. – Kryłem się przed obu panami nie ze złych intencji, lecz ze strachu. Obróciłbym ten rożen.

– Prawda – powiedział pielgrzym, opierając się na kiju i węsząc słyszalnie. – Mięso ma po tej stronie więcej niż dość.

Boreas obrócił rożen, westchnął, chrząknął. I znowu westchnął.

– Panowie raczą siadać – zdecydował się. – I zaczekać. Zwierzak tylko patrzeć, jak się dopiecze. Ha, wierę, kiep ten, co skąpi poczęstunku wędrowcom na szlaku.

Tłuszcz z sykiem ściekł w ogień, ogień strzelił, zrobiło się jaśniej.

Pielgrzym nosił filcowy kapelusz z szerokim rondem, którego cień dość skutecznie krył twarz. Elfowi nakrycie głowy zastępował zawój z kolorowej chusty, twarzy nie kryjący. Gdy w blasku ogniska zobaczyli tę twarz, drgnęli obaj, Boreas i pielgrzym. Ale nie wydali z siebie nawet westchnienia. Nawet cichego westchnienia na widok tego oblicza, niegdyś zapewne elfio pięknego, teraz zniekształconego paskudną szramą biegnącą skośnie przez czoło, brew, nos i policzek aż do podbródka.

Boreas Mun chrząknął, znowu obrócił rożen.

– Onże zapaszek – stwierdził, nie zapytał – zwabił panów ku memu biwakowi, czyż nie tak?

– W rzeczy samej. – Pielgrzym kiwnął rondem kapelusza, a głos zmienił mu się lekko. – Wywęszyłem, nie chwaląc się, pieczyste z oddali. Zachowałem jednak ostrożność. Na ognisku, do którego zbliżyłem się przed dwoma dniami, pieczono kobietę.

– To prawda – potwierdził elf. – Byłem tam następnego ranka, widziałem ludzkie kości w popiele.

– Następnego ranka – powtórzył przeciągle pielgrzym, a Boreas szedł o każdy zakład, że na jego skrytej cieniem kapelusza twarzy zjawił się niełady uśmiech. – Dawno idziesz skrycie mym tropem, mości elfie?

– Dawno.

– A co wzbraniało ci się ujawnić?

– Rozsądek.

– Przełęcz Elskerdeg – Boreas Mun obrócił rożen i przerwał niezręczną ciszę – to miejsce iście nie cieszące się najlepszą sławą. Ja też widziałem kości w ogniskach, szkielety na palach. Wisielców na drzewach. Pełno tu dzikich wyznawców okrutnych kultów. I istot, które tylko patrzą, jak cię zjeść. Podobno.

– Nie podobno – poprawił elf. – Na pewno. A im dalej w góry, na wschód, tym będzie gorzej.

– Waszmościom też na wschód droga? Za Elskerdeg? Do Zerrikanii? A może jeszcze dalej, do Haklandu?

Nie odpowiedzieli, ani pielgrzym, ani elf. Boreas raczej nie oczekiwał odpowiedzi. Po pierwsze, pytanie było niedyskretne. Po drugie, było głupie. Z miejsca, w którym się znajdowali, można było iść tylko na wschód. Przez Elskerdeg. Tam, dokąd zmierzał i on.

– Pieczyste gotowe. – Boreas zręcznym i nie pozbawionym cech demonstracji ruchem otworzył motylkowy nóż. – Proszę, panowie. Bez krępacji.

Pielgrzym miał kordelas, a elf sztylet, z wyglądu też bynajmniej nie kuchenny. Ale wszystkie trzy wywecowane do groźniejszych celów ostrza dziś posłużyły do krajania mięsa. Przez jakiś czas słychać było tylko chrzęst i chrupotanie szczęk. I skwierczenie wrzucanych do żaru ogryzionych kości.

Pielgrzym beknął dystyngowanie.

– Dziwne stworzonko – rzekł, oglądając łopatkę, którą objadł i oblizał tak, że wyglądała jak trzymana trzy dni w mrowisku. – Smakowało trochę jak kozioł, a kruchutkie jak królik... Nie przypominam sobie, bym kiedyś coś takiego jadł.

– To był skrekk – powiedział elf, z trzaskiem miażdżąc zębami chrząstki. – Ja też nie przypominam sobie, bym go kiedykolwiek jadł.

Boreas chrząknął cicho. Ledwo słyszalna nutka sarkastycznej wesołości w głosie elfa dowodziła, iż wiedział, że pieczyste pochodziło z olbrzymiego szczura o krwawych oczach i wielkich zębiskach, którego sam ogon mierzył trzy łokcie. Tropiciel bynajmniej nie upolował gigantycznego gryzonia. Zastrzelił go w obronie własnej. Postanowił go jednak upiec. Był człowiekiem rozsądnym i trzeźwo myślącym. Nie zjadłby szczura żerującego na śmietniskach i odpadkach. Ale od gardzieli przełęczy Elskerdeg do najbliższej zdolnej produkować odpadki społeczności było dobre trzysta mil. Szczur – czy też, jak chciał elf, skrekk – musiał być czysty i zdrowy. Nie miał styczności z cywilizacją. Nie miał się więc ani czym powalać, ani czym zakazić.

Wkrótce ostatnia, najmniejsza, do czysta ogryziona i wyssana kosteczka wylądowała w żarze. Księżyc wypłynął nad zębaty łańcuch Gór Ognistych. Z podsyconego wiatrem ognia sypnęły się iskry, zamierające i gasnące wśród mrowia mrugających gwiazd.

– Waszmościowie – zaryzykował kolejne mało dyskretne pytanie Boreas Mun – od dawna na szlaku? Tu, na Pustkowiach? Dawnoż to, ośmielę się zapytać, zostawiliście za sobą Bramę Solveigi?

– Dawno, niedawno – powiedział pielgrzym – rzecz to względna. Przeszedłem Solveigę drugiego dnia po wrześniowej pełni.

– Ja zaś – rzekł elf – szóstego dnia.

– Ha – kontynuował Boreas, zachęcony reakcją. – Dziw, żeśmy się już tam nie zeszli, bom i ja tamtędy wówczas szedł, a właściwie jechał, bom wówczas jeszcze konia miał.

Zamilkł, odpędzając niemiłe myśli i wspomnienia wiążące się z koniem i jego utratą. Pewien był, że i jego towarzysze z przypadku musieli mieć podobne przygody. Wędrując cały czas piechotą, nigdy nie dogoniliby go tu, pod Elskerdeg.

– Wnoszę zatem – podjął – że ruszyli waszmościowie w drogę już po wojnie, po zawarciu pokoju cintryjskiego. Nic mi, rzecz jasna, do tego,

ale ośmielę się suponować, że nie spodobał się waszmościom porządek i obraz świata stworzony i ustalony w Cintrze.

Ciszę, która na dość długi czas zapadła przy ognisku, przerwało odległe wycie. Wilka zapewne. Choć w okolicach przełęczy Elskerdeg nigdy nie można było mieć pewności.

– Jeśli mam być szczery – odezwał się niespodziewanie elf – to nie miałem podstaw, by po pokoju cintryjskim lubić świat i jego obraz. O porządku nie wspominając.

– W moim przypadku – powiedział pielgrzym, krzyżując potężne przedramiona na piersi – było podobnie. Choć przekonałem się o tym, jakby powiedział jeden mój znajomy, *post factum*.

Długo panowała cisza. Umilkło nawet to coś, co wyło na przełęczy.

– Początkowo – podjął pielgrzym, choć Boreas i elf gotowi byli iść o zakład, że nie podejmie. – Początkowo wszystko wskazywało na to, że pokój cintryjski przyniesie korzystne zmiany, stworzy całkiem znośny porządek świata. Jeśli nie dla wszystkich, to przynajmniej dla mnie...

– Królowie – chrząknął Boreas – zjechali do Cintry, jeśli dobrze pomnę, w kwietniu?

– Dokładnie drugiego kwietnia – poprawił pielgrzym. – Był, pamiętam, nów księżyca.

•

Wzdłuż ścian, umieszczone poniżej ciemnych belek wspierających galeryjki, wisiały przytwierdzone rzędy tarcz z kolorowymi malunkami godeł heraldycznych, herbów cintryjskiej szlachty. Pierwszy rzut oka ujawniał różnice między spłowiałymi już nieco klejnotami rodów starodawnych a herbami szlachty zasłużonej w czasach nowszych, za rządów Dagorada i Calanthe. Te nowsze miały żywe i nie spękane jeszcze barwy, nie znać też było na nich maczku dziurek po kornikach.

Najżywsze kolory miały zaś dodane całkiem niedawno tarcze z herbami szlachty nilfgaardzkiej. Wyróżnionej podczas zdobywania grodu i pięcioletniej cesarskiej administracji.

Gdy już odzyskamy Cintrę, pomyślał król Foltest, trzeba będzie dopilnować, by Cintryjczycy nie zniszczyli tych tarcz w świętym ferworze odnowy. Polityka to jedno, wystrój sali to drugie. Zmiany ustrojowe nie mogą być usprawiedliwieniem dla wandalizmu.

Więc to tu się wszystko zaczęło, pomyślał Dijkstra, rozglądając się po wielkiej halli. Słynna uczta zaręczynowa, podczas której zjawił się Stalowy Jeż i zażądał ręki królewny Pavetty... A królowa Calanthe najęła wiedźmina...

Jak też to się przedziwnie ludzkie losy plotą, pomyślał szpieg, sam dziwiąc się trywialności swoich myśli.

Pięć lat temu, pomyślała królowa Meve, pięć lat temu mózg Calanthe, Lwicy z krwi Cerbinów, rozprysnął się na posadzkach dziedzińca, właśnie tego, który widać z okien. Calanthe, której dumny portret widzieliśmy w korytarzu, była przedostatnią z królewskiej krwi. Po tym, jak utonęła jej córka, Pavetta, została tylko wnuczka. Cirilla. Chyba że prawdziwa jest wiadomość, że Cirilla również nie żyje.

– Proszę – skinął drżącą dłonią Cyrus Engelkind Hemmelfart, hierarcha Novigradu, z racji wieku, urzędu i powszechnego szacunku *per acclamationem* zaakceptowany jako przewodniczący obrad. – Proszę zajmować miejsca.

Zasiedli, odnajdując oznakowane mahoniowymi tabliczkami krzesła za okrągłym stołem. Meve, królowa Rivii i Lyrii. Foltest, król Temerii i jego lennik, król Venzlav z Brugge. Demawend, król Aedirn. Henselt, król Kaedwen. Król Ethain z Cidaris. Młody król Kistrin z Verden. Książę Nitert, głowa redańskiej Rady Regencyjnej. I hrabia Dijkstra.

Tego szpiega trzeba będzie spróbować się pozbyć, odsunąć od stołu obrad, pomyślał hierarcha. Król Henselt i król Foltest, ba, nawet młody Kistrin pozwolili już sobie na kwaśne uwagi, tylko patrzeć *demarche* ze strony przedstawicieli Nilfgaardu. Ten Sigismund Dijkstra to człowiek nieodpowiedni stanem, a nadto osoba o brzydkiej przeszłości i złej sławie, *persona turpis*. Nie można pozwolić, by obecność *persony turpis* kaziła atmosferę rokowań.

Przewodniczący delegacji nilfgaardzkiej, baron Shilard Fitz-Oesterlen, któremu wypadło za okrągłym stołem miejsce akuratnie na wprost Dijkstry, pozdrowił szpiega grzecznym dyplomatycznym ukłonem.

Widząc, że wszyscy już siedzą, hierarcha Novigradu siadł również. Nie bez pomocy paziów podtrzymujących go za trzęsące się ręce. Hierarcha zasiadł na krześle wykonanym przed laty dla królowej Calanthe. Krzesło to miało imponująco wysokie i pięknie zdobione oparcie, dzięki czemu wyróżniało się spośród innych krzeseł.

Okrągły stół okrągłym stołem, ale musi być widać, kto jest najważniejszy.

•

Więc to tu, pomyślała Triss Merigold, rozglądając się po komnacie, patrząc na arrasy, malowidła i liczne trofea łowieckie, poroża zupełnie nie znanego czarodziejce rogatego zwierza. Tutaj, po osławionej demolce halli tronowej, odbyła się słynna prywatna rozmowa Calanthe, wiedźmina, Pavetty i Zaklętego Jeża. Kiedy to Calanthe wyraziła zgodę na ów dziwaczny mariaż. A Pavetta była już w ciąży. Ciri urodziła się po niecałych ośmiu miesiącach... Ciri, dziedziczka tronu... Lwiątko z krwi Lwicy... Ciri, moja mała siostrzyczka. Która teraz jest gdzieś daleko, na południu. Na szczęście nie jest już sama. Jest razem z Geraltem i Yennefer. Jest bezpieczna.

Chyba że one znowu mnie okłamały.

– Siadajcie, drogie panie – ponagliła Filippa Eilhart, od jakiegoś czasu przypatrująca się Triss uważnie. – Władcy świata zaczną za chwilę kolejno wygłaszać mowy inauguracyjne, nie chciałabym uronić ani słowa.

Czarodziejki, przerywając kuluarowe ploteczki, szybko zajęły miejsca. Sheala de Tancarville w boa ze srebrnych lisów, nadającym kobiecy akcent jej surowemu męskiemu strojowi. Assire var Anahid w sukni z fioletowego jedwabiu, niezwykle wdzięcznie łączącej skromną prostotę i szykowną elegancję. Francesca Findabair, jak zwykle królewska. Ida Emean aep Sivney, jak zwykle tajemnicza. Margarita Laux-Antille, dostojna i poważna. Sabrina Glevissig w turkusach. Keira Metz w zieleni i żonkilowej żółci. I Fringilla Vigo. Przygnębiona. Smutna. I blada iście śmiertelną, chorą, upiorną wręcz bladością.

Triss Merigold siedziała obok Keiry, naprzeciw Fringilli. Nad głową nilfgaardzkiej czarodziejki wisiał obraz przedstawiający jeźdźca pędzącego w karkołomnym cwale drogą wśród szpaleru olch. Olchy wyciągały ku jeźdźcowi monstrualne ramiona konarów, szyderczo śmiały się potwornymi paszczami dziupli. Triss wzdrygnęła się mimowolnie.

Ustawiony pośrodku stołu trójwymiarowy telekomunikator był czynny. Filippa Eilhart wyostrzyła zaklęciem obraz i dźwięk.

– Jak panie widzą i słyszą – powiedziała nie bez przekąsu – w halli tronowej Cintry, dokładnie pod nami, piętro niżej, władcy świata zabierają się właśnie do decydowania o jego losach. A my, tutaj, piętro nad nimi, przypilnujemy, by się nam chłopcy zanadto nie rozfiglowali.

•

Do wyjącego na Elskerdeg wyjca dołączyły inne wyjce. Boreas nie miał wątpliwości. To nie były wilki.

– Ja również – powiedział, by ponownie ożywić zamarłą konwersację – nie spodziewałem się wiele po tych cintryjskich rokowaniach. Ba, nikt, kogom znał, nie liczył na to, że te rokowania przyniosą co dobrego.

– Ważny był – zaprotestował spokojnie pielgrzym – sam fakt, że rokowania się zaczęły. Człowiek prosty, a ja takim właśnie, jeśli panowie pozwolą, jestem człowiekiem, myśli prosto. Człowiek prosty wie, że wojujący królowie i cesarze są na się wzajem tak zawzięci, że gdyby mogli, gdyby mieli siły, toby się pozabijali. Przestali się zabijać, zamiast tego siedli do okrągłego stołu? Znaczy, nie mają już sił. Są, prosto mówiąc, bezsilni. A z bezsiły tej wypływa, że żadni zbrojni nie napadną na zagrodę prostego człowieka, nie zabiją, nie okaleczą, nie spalą zabudowań, nie zarżną dzieci, nie zgwałcą żony, nie popędzą w niewolę. Nie. Zamiast tego, zgromadzili się w Cintrze i rokują. Radujmy się!

Elf, poprawiwszy kijem tryskające iskrami polano w ognisku, spojrzał na pielgrzyma z ukosa.

– Nawet człowiek prosty – powiedział, nie kryjąc sarkazmu – nawet uradowany, ba, nawet w euforii, powinien rozumieć, że polityka to też wojna, tylko trochę inaczej prowadzona. Powinien pojmować i to, że rokowania są jak handel. Mają podobny samonapędzający się mechanizm. Wynegocjowane sukcesy okupuje się ustępstwami. Tu się zyska, tam się straci. Innymi słowy, żeby jedni mogli zostać kupieni, inni muszą być sprzedani.

– Zaiste – powiedział po chwili pielgrzym – jest to tak proste i oczywiste, że rozumie to każdy człowiek. Nawet bardzo prosty.

•

– Nie, nie i jeszcze raz nie! – zaryczał król Henselt, waląc obydwiema pięściami w blat stołu, aż obalił się puchar i podskoczyły kałamarze. – Żadnej dyskusji na ten temat! Żadnych przetargów w tej sprawie! Koniec, szlus, deireadh!

– Henselt – przemówił spokojnie, trzeźwo i bardzo pojednawczo Foltest. – Nie utrudniaj. I nie kompromituj nas twymi wrzaskami przed jego ekscelencją.

Shilard Fitz-Oesterlen, negocjator z ramienia Cesarstwa Nilfgaardu, ukłonił się z fałszywym uśmiechem mającym sugerować, że wybryki króla Kaedwen ani go bulwersują, ani zajmują.

– Dogadujemy się z Cesarstwem – ciągnął Foltest – a między sobą zaczynamy nagle gryźć się jak psy? Wstyd, Henselt.

– Dogadaliśmy się z Nilfgaardem w sprawach tak trudnych, jak Dol Angra i Zarzecze – odezwał się pozornie od niechcenia Dijkstra. – Głupio byłoby...

– Wypraszam sobie takie uwagi! – zaryczał Henselt, tym razem tak, że nie każdy bawół poszedłby z nim w paragon. – Wypraszam sobie takie uwagi zwłaszcza od różnej maści szpiegów! Jestem, kurwa, królem!

– To nawet widać – parsknęła Meve. Demawend, odwrócony, patrzył na tarcze herbowe na ścianie halli, uśmiechając się lekceważąco, zupełnie jakby to nie o jego królestwo toczyła się właśnie gra.

– Dość – sapnął Henselt, tocząc dookoła dzikim wzrokiem. – Dość, dość, na bogów, bo mnie krew zaleje. Powiedziałem: ani piędzi ziemi. Żadnych, ale to żadnych rewindykacji! Nie zgodzę się na uszczuplenie mojego królestwa nawet o piędź, nawet o pół piędzi ziemi! Bogowie powierzyli mi honor Kaedwen i bogom go tylko oddam! Dolna Marchia to ziemie nasze... Tego... Ety... Et... Etnicznie. Dolna Marchia od wieków należy do Kaedwen...

– Górne Aedirn – odezwał się znowu Dijkstra – należy do Kaedwen od ubiegłego lata. Dokładniej, od dwudziestego czwartego lipca ubiegłego roku. Od chwili, gdy wkroczył tam kaedweński korpus okupacyjny.

– Upraszam – powiedział nie pytany Shilard Fitz-Oesterlen – by zostało zaprotokołowane *ad futuram rei memoriam*, że Cesarstwo Nilfgaardu nie miało nic wspólnego z tą aneksją.

– Oprócz tego, że właśnie w tym czasie grabiło Vengerberg.

– *Nihil ad rem!*

– Doprawdy?

– Panowie! – upomniał Foltest.

– Kaedweńska armia – charknął Henselt – wkroczyła do Dolnej Marchii jako wyzwolicielka! Moich żołnierzy witano tam kwiatami! Moi żołnierze...

– Twoi bandyci – głos króla Demawenda był spokojny, ale na jego twarzy znać było, ile wysiłku kosztuje go zachowanie spokoju. – Twoi zbóje, którzy wpadli do mojego królestwa z rozbójniczą hassą, mordowali, gwałcili i rabowali. Moi panowie! Zebraliśmy się tu i radzimy od tygodnia, radzimy nad tym, jak ma wyglądać przyszłe oblicze świata. Na bogów, czyż ma być to oblicze zbrodni i grabieży? Czy ma być utrzymane bandyckie *status quo*? Czy zagrabione dobro ma pozostać w rękach zbira i rabusia?

Henselt chwycił ze stołu mapę, rozdarł ją gwałtownym ruchem i cisnął w stronę Demawenda. Król Aedirn nie poruszył się nawet.

– Moje wojsko – wycharczał Henselt, a jego twarz nabrała koloru dobrego, starego wina – zdobyło Marchię na Nilfgaardczykach. Twoje pożałowania godne królestwo już wtedy nie istniało, Demawend. Więcej powiem: gdyby nie moje wojsko, nie miałbyś żadnego królestwa nawet dzisiaj. Chciałbym cię widzieć, jak bez mojej pomocy przepędzasz Czarnych za Jarugę i Dol Angra. Niewiele będzie zatem przesady w twierdzeniu, że jesteś królem z mojej łaski. Ale tu kończy się moja łaskawość! Rzekłem, nie oddam nawet piędzi mojej ziemi. Nie pozwolę na uszczuplenie mojego królestwa.

– Ani ja mojego! – Demawend wstał. – Nie dogadamy się więc!

– Panowie – rzekł nagle pojednawczo podrzemujący dotąd Cyrus Hemmelfart, hierarcha Novigradu. – Z pewnością możliwy jest jakiś kompromis...

– Cesarstwo Nilfgaardu – odezwał się znowu Shilard Fitz-Oesterlen, lubiący wtrącać się ni z gruszki, ni z pietruszki – nie zaakceptuje żadnego układu, który byłby ze szkodą dla Kraju Elfów w Dol Blathanna. Jeśli to konieczne, odczytam panom ponownie treść memorandum...

Henselt, Foltest i Dijkstra parsknęli, ale Demawend spojrzał na cesarskiego ambasadora spokojnie i prawie życzliwie.

– Dla dobra powszechnego – oświadczył – i dla pokoju uznam autonomię Dol Blathanna. Ale nie jako królestwa, lecz jako księstwa. Warunkiem jest, by księżna Enid an Gleanna złożyła mi hołd lenny i zobowiązała się do zrównania ludzi i elfów w prawach i przywilejach. Gotów jestem na to, jak rzekłem, *pro publico bono*.

– Oto – rzekła Meve – słowa prawdziwego króla.

– *Salus publica lex suprema est* – powiedział hierarcha Hemmelfart, od dłuższego czasu szukający sposobności, by też popisać się

znajomością dyplomatycznego żargonu.

– Dodam jednak – kontynuował Demawend, patrząc na nadętego Henselta – że koncesja względem Dol Blathanna to nie precedens. To jest jedyne naruszenie integralności moich ziem, na jakie się godzę. Żadnego innego rozbioru ani zaboru nie uznam. Armia kaedweńska, która wtargnęła w moje granice jako agresor i zaborca, ma w ciągu tygodnia opuścić bezprawnie okupowane fortalicje i zamki Górnego Aedirn. To jest warunek mojego dalszego udziału w obradach. A ponieważ *verba volant*, mój sekretarz przedłoży do protokołu oficjalne *demarche* w tej sprawie.

– Henselt? – Foltest spojrzał na brodacza wyczekująco.

– Nigdy! – zaryczał król Kaedwen, przewracając krzesło i skacząc niczym żądlony przez szerszenie szympans. – Nigdy nie oddam Marchii! Po moim trupie! Nie dam! Nic mnie do tego nie zmusi! Żadna siła! Żadna, kurwa, siła!

A żeby dowieść, że też pobierał nauki i nie wypadł sroce spod ogona, zawył:

– *Non possumus!*

•

– Już ja mu dam *non possumus*, staremu durniowi! – parsknęła Sabrina Glevissig w komnacie piętro wyżej. – Mogą się panie nie obawiać, zmuszę tego bałwana, by uznał żądania rewindykacyjne w sprawie Górnego Aedirn. Wojska kaedweńskie wyjdą stamtąd w ciągu dziesięciu dni. Rzecz to oczywista. Nie ma dwóch zdań. Jeśli któraś z pań w to wątpiła, zaiste, mam prawo czuć się urażona.

Filippa Eilhart i Sheala de Tancarville wyraziły swe uznanie ukłonami. Assire var Anahid podziękowała uśmiechem.

– Została nam na dziś – powiedziała Sabrina – do rozstrzygnięcia sprawa Dol Blathanna. Treść memorandum cesarza Emhyra znamy. Królowie na dole jeszcze nie zdążyli przedyskutować tej kwestii, ale już zasygnalizowali swe opcje. Stanowisko zajął też najbardziej, powiedziałabym, zainteresowany. Król Demawend.

– Stanowisko Demawenda – rzekła Sheala de Tancarville, otulając szyję boa ze srebrnych lisów – nosi cechy daleko idącego kompromisu. Jest to stanowisko pozytywne, przemyślane i wyważone. Shilard Fitz-

Oesterlen będzie w niemałym kłopocie, chcąc argumentować w kierunku większych koncesji. Nie wiem, czy będzie chciał.

– Będzie chciał – stwierdziła spokojnie Assire var Anahid. – Bo takie ma instrukcje z Nilfgaardu. Będzie inwokował *ad referendum* i składał noty. Będzie się kłócił przynajmniej dobę. Po upływie tego czasu zacznie iść na ustępstwa.

– Normalne – ucięła Sabrina Glevissig. – Normalne jest i to, że wreszcie gdzieś się spotkają, coś uzgodnią. Nie będziemy jednak na to czekać, zaraz ustalimy, na co im się ostatecznie pozwoli. Francesca! Odezwij się! Przecież to o twój kraj idzie.

– Właśnie dlatego – uśmiechnęła się przepięknie Stokrotka z Dolin. – Właśnie dlatego milczę, Sabrino.

– Zwalcz dumę – powiedziała poważnie Margarita Laux-Antille. – Musimy wiedzieć, na co mamy pozwolić królom.

Francesca Findabair uśmiechnęła się jeszcze piękniej.

– Dla sprawy pokoju i *pro bono publico* – rzekła – godzę się na propozycję króla Demawenda. Możecie, drogie dziewczęta, od tej chwili już przestać tytułować mnie najjaśniejszą panią, wystarczy zwykła „jaśnie oświecona".

– Elfie żarty – skrzywiła się Sabrina – w ogóle mnie nie śmieszą, pewnie dlatego, że ich nie rozumiem. Co z innymi warunkami Demawenda?

Francesca strzepnęła rzęsami.

– Godzę się na reemigrację ludzkich osadników i zwrot ich majątków – powiedziała poważnie. – Gwarantuję równouprawnienie wszystkich ras...

– Bój się bogów, Enid – zaśmiała się Filippa Eilhart. – Nie gódźże się na wszystko! Postaw jakieś warunki!

– Postawię. – Elfka spoważniała nagle. – Nie zgadzam się na hołd lenny. Chcę Dol Blathanna jako alodium. Żadnych powinności wasalnych oprócz obietnicy lojalności i niedziałania na szkodę suzerena.

– Demawend się nie zgodzi – oceniła krótko Filippa. – Nie zrezygnuje z dochodów i rent, jakie dawała mu Dolina Kwiatów.

– W tej kwestii – Francesca uniosła brwi – gotowa jestem do rokowań dwustronnych, pewna jestem osiągnięcia konsensusu. Alodium nie zmusza do płacenia, ale przecież płacenia nie zabrania ani nie wyklucza.

– A co z fideikomisem? – nie rezygnowała Filippa Eilhart. – Co z primogeniturą? Godząc się na alodium, Foltest będzie chciał gwarancji niepodzielności księstwa.

– Foltesta – uśmiechnęła się znowu Francesca – rzeczywiście mogły zwieść moja cera i figura, ale tobie dziwię się, Filippo. Daleko, bardzo daleko za sobą mam już wiek, który czynił możliwym zajście w ciążę. Względem primogenitury i fideikomisu Demawend nie powinien mieć obaw. To ja będę *ultimus familiae* rodu władców Dol Blathanna. Ale pomimo pozornie korzystnej dla Demawenda różnicy wieku, kwestię spadku po mnie rozważać będziemy nie z nim, lecz raczej z jego wnukami. Zapewniam panie, w tej sprawie nie będzie punktów spornych.

– W tej nie – zgodziła się Assire var Anahid, patrząc w oczy elfiej czarodziejki. – A co ze sprawą bojowych komand Wiewiórek? Co z elfami, które walczyły po stronie Cesarstwa? Jeśli się nie mylę, chodzi tu w większości o twoich poddanych, pani Francesco?

Stokrotka z Dolin przestała się uśmiechać. Spojrzała na Idę Emean, ale milcząca elfka z Gór Sinych unikała jej wzroku.

– *Pro publico bono*... – zaczęła i urwała. Assire, też bardzo poważna, kiwnęła głową na znak, że rozumie.

– Cóż zrobić – powiedziała wolno. – Wszystko ma swoją cenę. Wojna wymaga ofiar. Pokój, jak się okazuje, również.

•

– Tak, to ze wszech miar prawda – powtórzył w zamyśleniu pielgrzym, patrząc na elfa siedzącego z opuszczoną głową. – Rokowania pokojowe to targ. Jarmark. Żeby jedni mogli być kupieni, inni muszą być sprzedani. Taką koleją toczy się świat. Rzecz w tym, by nie kupić za drogo...

– I nie sprzedać się za tanio – dokończył elf, nie unosząc głowy.

•

– Zdrajcy! Nikczemne łajdaki!

– Skurwysyny!

– *An'badraigh aen cuach!*

– Psy nilfgaardzkie!

– Cisza! – ryknął Hamilcar Danza, waląc pancerną pięścią w balustradę krużganka. Strzelcy z galerii wycelowali kusze w stłoczonych

w *cul de sac* elfów.

– Spokój! – ryknął jeszcze głośniej Danza. – Dość! Uciszcie się, panowie oficerowie! Więcej godności!

– Masz czelność mówić o godności, szubrawcze? – krzyknął Coinneach D Reo. – Przelewaliśmy za was krew, przeklęci Dh'oine! Za was, za waszego cesarza, który przyjął od nas przysięgę wierności! Tak się odwdzięczacie? Wydajecie nas tym oprawcom z Północy! Jak przestępców! Jak zbrodniarzy!

– Powiedziałem, dość! – Danza znowu łupnął pięścią w balustradę, aż echo poszło. – Przyjmijcie do wiadomości fakt dokonany, panowie elfy! Zawarte w Cintrze ugody, będące warunkami zawarcia pokoju, nakładają na Cesarstwo obowiązek wydania Nordlingom przestępców wojennych...

– Przestępców? – krzyknął Riordain. – Przestępców? Ty plugawy Dh'oine!

– Przestępców wojennych – powtórzył Danza, zupełnie nie zwracając uwagi na tumult w dole. – Tych oficerów, na których ciążą udowodnione zarzuty terroryzmu, mordów na ludności cywilnej, zabijania i torturowania jeńców, masakrowania rannych w lazaretach...

– Wy skurwysyny! – wrzasnął Angus Bri Cri. – Zabijaliśmy, bo była wojna!

– Zabijaliśmy z waszego rozkazu!

– *Cuach'te aep arse, bloede Dh'oine!*

– To rzecz postanowiona! – powtórzył Danza. – Wasze obelgi i krzyki nie zmienią niczego. Proszę pojedynczo podchodzić do kordegardy, proszę nie stawiać oporu podczas zakuwania w kajdany.

– Trzeba było zostać, gdy oni uciekali za Jarugę – zgrzytnął zębami Riordain. – Trzeba było zostać i bić się dalej w komandach. A my, durnie, głupcy, idioci, dotrzymaliśmy żołnierskiej przysięgi! Dobrze nam tak!

Isengrim Faoiltiarna, Żelazny Wilk, najsławniejszy, legendarny już niemal dowódca Wiewiórek, teraz pułkownik cesarski, z kamienną twarzą zdarł z rękawa i naramienników srebrne błyskawice brygady „Vrihedd", cisnął je na płyty dziedzińca. Inni oficerowie szli za jego przykładem. Patrzący na to z galerii Hamilcar Danza zmarszczył brwi.

– Demonstracja jest niepoważna – powiedział. – Nadto, na miejscu panów nie pozbywałbym się tak lekkomyślnie cesarskich insygniów.

Czuję się w obowiązku poinformować panów, że jako cesarskim oficerom podczas negocjowania warunków pokoju zagwarantowano panom sprawiedliwe procesy, łagodne wyroki i rychłą amnestię...

Stłoczone w *cul de sac* elfy zaryczały zgodnym, gromkim, dudniącym wśród murów śmiechem.

– Zwracam też uwagę panów – dodał spokojnie Hamilcar Danza – na fakt, że wydajemy Nordlingom tylko was. Trzydziestu dwóch oficerów. Nie wydajemy ani jednego z żołnierzy, którymi dowodziliście. Ani jednego.

Śmiech w *cul de sac* ścichł, jak ucięty nożem.

•

Wiatr dmuchnął w ognisko, miotnął gradem iskier, uderzył w oczy dymem. Z przełęczy znowu rozległo się wycie.

– Kupczyli wszystkim – przerwał milczenie elf. – Wszystko było na sprzedaż. Honor, wierność, słowo szlacheckie, przysięga, zwykła przyzwoitość... To były po prostu towary, mające wartość tak długo, jak długo był na nie popyt i koniunktura. A gdy nie było, nie warte były funta kłaków i szły w kąt. Na śmietnik.

– Na śmietnik historii – skinął głową pielgrzym. – Macie rację, panie elfie. Tak to wyglądało tam, wtedy w Cintrze. Wszystko miało swoją cenę. I było warte tyle, ile można było dostać jako ekwiwalent. Co rano zaczynała się giełda. I jak na prawdziwej giełdzie, co i rusz trafiały się niespodziewane hossy i bessy. I jak na prawdziwej giełdzie, trudno było oprzeć się wrażeniu, że ktoś pociąga za nitki.

•

– Czy ja dobrze słyszę? – spytał przeciągle Shilard Fitz-Oesterlen, dając tonem i miną wyraz niedowierzaniu. – Czy mnie słuch myli?

Berengar Leuvaarden, specjalny wysłannik cesarski, nie zadał sobie trudu, by odpowiadać. Rozparty w fotelu, nadal kontemplował falowanie wina w kołysanym pucharze.

Shilard napuszył się, po czym przywołał na twarz maskę pogardy i wyższości. Mówiącą: „Albo łżesz, psi synu, albo chcesz mnie podejść, wypróbować. W obu wypadkach rozgryzłem cię".

– Mam więc rozumieć – powiedział, zadarłszy nos – że po daleko idących ustępstwach w sprawach granic, w sprawie jeńców wojennych i zwrotów zdobyczy, w sprawie oficerów brygady „Vrihedd" i komand

Scoia'tael, cesarz rozkazuje mi, bym poszedł na ugodę i zaakceptował niemożliwe roszczenia Nordlingów względem repatriacji osadników?

– Zrozumiał pan doskonale, baronie – odrzekł Berengar Leuvaarden, charakterystycznie przeciągając sylaby. – Zaiste, pełen jestem podziwu dla pańskiej lotności.

– Na Wielkie Słońce, panie Leuvaarden, czy wy tam, w stolicy, zastanawiacie się czasem nad skutkami waszych decyzji? Nordlingowie już teraz szepczą, że nasze Cesarstwo to kolos na glinianych nogach! Już teraz krzyczą, że nas zwyciężyli, pobili, przepędzili! Czy cesarz pojmuje, że pójść na dalsze ustępstwa to znaczy zaakceptować ich aroganckie i wygórowane ultimatum? Czy cesarz rozumie, że oni potraktują to jako przejaw słabości, co może mieć w przyszłości opłakane skutki? Czy cesarz rozumie wreszcie, jaki los spotka kilka tysięcy naszych osadników w Brugge i Lyrii?

Berengar Leuvaarden przestał kołysać pucharem i wpił w Shilarda oczy, czarne jak węgielki.

– Przekazałem panu baronowi rozkaz cesarski – wycedził. – Gdy pan baron wykona go i wróci do Nilfgaardu, zechce sam wypytać cesarza o to, czemu taki nierozumny. Może zechcieć też udzielić cesarzowi reprymendy. Ofukać go. Złajać. Czemu nie? Ale sam. Bez mojego pośrednictwa.

Aha, pomyślał Shilard. Już wiem. Siedzi przede mną nowy Stefan Skellen. I trzeba z nim tak, jak ze Skellenem.

Ale przecież jasne jest, że nie przybył tu bez celu. Rozkaz mógł przywieźć zwykły kurier.

– Cóż – zaczął, pozornie swobodnie, a nawet konfidencjonalnie. – Biada zwyciężonym! Ale rozkaz cesarski jest jasny i konkretny, w taki sam sposób będzie więc wykonany. Postaram się też o to, by wyglądało to na wynik negocjacji, nie na zupełne kapitulanctwo. Znam się na tym. Jestem dyplomatą od trzydziestu lat. I czterech pokoleń. Mój ród to jedna ze znaczniejszych, bogatszych... i bardziej wpływowych rodzin...

– Wiem, wiem, a jakże – przerwał z lekkim uśmieszkiem Leuvaarden. – Dlatego tu jestem.

Shilard ukłonił się lekko. Czekał cierpliwie.

– Trudności w porozumieniu – zaczął wysłannik, kołysząc pucharem – wystąpiły dlatego, że pan, drogi baronie, raczy mniemać, że zwycięstwo i podbój polegają na bezsensownym ludobójstwie. Na tym,

by gdzieś tam w skrwawioną ziemię wbić drzewce sztandaru, krzycząc: „Dotąd moje, zdobyłem!” Podobne mniemanie jest, niestety, dość szeroko rozpowszechnione. Dla mnie jednak, panie baronie, jak również dla ludzi, którzy dali mi pełnomocnictwa, zwycięstwo i podbój polegają na rzeczach krańcowo odmiennych. Zwycięstwo ma wyglądać tak: pokonani zmuszeni są do kupowania dóbr produkowanych przez zwycięzców, ba, czynią to z chęcią, bo dobra zwycięzców są lepsze i tańsze. Waluta zwycięzców jest mocniejsza niż waluta pokonanych i pokonani mają do niej znacznie większe zaufanie niż do swojej własnej. Czy mnie pan rozumie, panie baronie Fitz-Oesterlen? Czy zaczyna pan pomału odróżniać zwycięzców od zwyciężonych? Czy pojmuje pan, komu naprawdę biada?

Ambasador skinieniem głowy potwierdził, że tak.

– Ale żeby zwycięstwo umocnić i uprawomocnić – podjął po chwili Leuvaarden, przeciągając sylaby – musi zostać zawarty pokój. Szybko i za każdą cenę. Nie jakieś tam zawieszenie broni czy rozejm, ale pokój. Twórczy kompromis. Zgoda, która buduje. I nie wprowadza blokad gospodarczych, retorsji celnych i protekcjonizmu w handlu.

Shilard i tym razem skinieniem głowy potwierdził, że wie, w czym rzecz.

– Zniszczyliśmy ich rolnictwo i zrujnowaliśmy przemysł nie bez kozery – ciągnął spokojnym, przeciągłym i beznamiętnym głosem Leuvaarden. – Zrobiliśmy to po to, by z niedostatku własnych towarów musieli kupować nasze. Ale przez nieprzyjazne i zamknięte granice nasi kupcy i nasze towary nie przejdą. I co się wówczas stanie? Powiem panu, co się wówczas stanie, drogi baronie. Nastąpi kryzys nadprodukcji, bo nasze manufaktury pracują pełną parą, licząc na eksport. Duże straty poniosłyby też spółki handlu morskiego zawarte w kooperacji z Novigradem i Kovirem. Pana wpływowa rodzina, drogi baronie, ma w tych spółkach znaczne udziały. A rodzina, jak pewnie panu wiadomo, to podstawowa komórka społeczna. Wiadomo panu?

– Wiadomo. – Shilard Fitz-Oesterlen zniżył głos, choć komnata była absolutnie szczelnie zabezpieczona przed podsłuchem. – Rozumiem, pojąłem. Chciałbym mieć jednak pewność, że wykonuję rozkaz cesarza... Nie zaś jakiejś... Korporacji...

– Cesarze przemijają – wycedził Leuvaarden. – A korporacje trwają. I przetrwają. Ale to truizm. Obawy pana barona rozumiem. Pan baron

może być pewny, że wykonuje rozkaz wydany przez cesarza. Mający na celu dobro i interes Cesarstwa. Wydany, nie przeczę, skutkiem rad, jakich udzieliła cesarzowi pewna korporacja.

Wysłannik rozchylił kołnierz i koszulę, demonstrując złoty medalion, na którym wyobrażona była otoczona płomieniami gwiazda wpisana w trójkąt.

– Ładna ozdoba. – Shilard uśmiechem i lekkim ukłonem potwierdził, że pojął. – Mam świadomość, że bardzo droga... I elitarna... Czy można ją gdzieś kupić?

– Nie – zaprzeczył z naciskiem Berengar Leuvaarden. – Trzeba sobie na nią zasłużyć.

•

– Jeśli panowie i pani pozwolą... – Głos Shilarda Fitz-Oesterlena nabrał specyficznego, znanego już obradującym tonu, który świadczył, że to, co ambasador zaraz powie, uważa za niezmiernie ważne. – Jeśli panowie i pani pozwolą, odczytam treść przesłanej mi *aide memoire* Jego Imperatorskiej Mości Emhyra var Emreisa, z łaski Wielkiego Słońca cesarza Nilfgaardu...

– No nie. Nie znowu – zgrzytnął zębami Demawend, a Dijkstra tylko jęknął. Uwagi Shilarda to nie uszło, bo ujść nie mogło.

– Nota jest długa – przyznał. – Streszczę ją więc, miast czytać. Jego Imperatorska Mość wyraża wielkie zadowolenie z przebiegu rokowań, a jako człowiek usposobiony pokojowo z radością przyjmuje osiągnięte kompromisy i pojednania. Jego Imperatorska Mość życzy dalszych postępów w rokowaniach i zakończenia ich ku obopólnej korzyści...

– Bierzmy się tedy do dzieła – wpadł w słowo Foltest. – A żywo! Zakończmy ku obopólnej korzyści i wracajmy do domów.

– Słusznie – rzekł Henselt, który do domu miał najdalej. – Kończmy, bo jak będziemy mitrężyć, to nas tu gotowa zima zaskoczyć!

– Czeka nas jeszcze jeden kompromis – przypomniała Meve. – I sprawa, której kilka razy ledwo tknęliśmy. Chyba z lęku, że nas gotowa poróżnić. Czas przełamać ten lęk. Problem nie zniknie tylko dlatego, że się go boimy.

– Tak jest – potwierdził Foltest. – Do dzieła zatem. Rozstrzygnijmy status Cintry, problem dziedzictwa tronu, sukcesji po Calanthe. To

problem trudny, ale nie wątpię, że poradzimy sobie z nim. Prawda, ekscelencjo?

– Och – uśmiechnął się dyplomatycznie i tajemniczo Shilard Fitz-Oesterlen. – Ze sprawą sukcesji tronu Cintry pójdzie nam, jestem pewien, jak z płatka. To sprawa łatwiejsza, niż panowie i pani przypuszczają.

•

– Poddaję pod dyskusję – ogłosiła Filippa Eilhart tonem dość bezdyskusyjnym – projekt następujący: uczyńmy z Cintry terytorium powiernicze. Przyznajmy mandat Foltestowi z Temerii.

– Zbyt nam ten Foltest rośnie – skrzywiła się Sabrina Glevissig. – Zbyt duże ma apetyty. Brugge, Sodden, Angren...

– Potrzebne nam – ucięła Filippa – silne państwo w ujściu Jarugi. I na Schodach Marnadalu.

– Nie przeczę – kiwnęła głową Sheala de Tancarville. – Potrzebne jest to nam. Ale nie Emhyrowi var Emreisowi. A naszym celem jest kompromis, nie konflikt.

– Kilka dni temu Shilard proponował – przypomniała Francesca Findabair – by przeprowadzić linię demarkacyjną, podzielić Cintrę na strefy wpływów, na Zonę Północną i Zonę Południową...

– Bzdura i dziecinada – żachnęła się Margarita Laux-Antille. – Takie podziały nie mają żadnego sensu, są wyłącznie zarzewiem konfliktów.

– Myślę – powiedziała Sheala – że Cintra winna być zamieniona w kondominium. Władza sprawowana komisarycznie przez przedstawicieli królestw północnych i Cesarstwa Nilfgaardu. Gród i port Cintra otrzymają status wolnego miasta... Czy chciała pani coś powiedzieć, droga pani Assire? Proszę bardzo. Przyznam, że zazwyczaj przedkładam dyskursy składające się z pełnych, dokończonych wypowiedzi, ale proszę. Słuchamy.

Wszystkie magiczki, nie wyłączając bladej jak upiór Fringilli Vigo, wpiły oczy w Assire var Anahid. Nilfgaardzka czarodziejka nie speszyła się.

– Proponuję – oświadczyła swym miłym i łagodnym głosem – by skupić się na innych problemach. Cintrę zostawmy w spokoju. O pewnych sprawach, o których mi doniesiono, po prostu jeszcze nie

zdążyłam pań poinformować. Sprawa Cintry, szanowne konfraterki, jest już rozwiązana i załatwiona.

– Słucham? – oczy Filippy zwęziły się. – Co to ma, jeśli wolno spytać, oznaczać?

Triss Merigold westchnęła głośno. Ona już domyśliła się, już wiedziała, co to miało oznaczać.

•

Vattier de Rideaux był smutny i przybity. Jego urocza i wspaniała w miłości kochanka, złotowłosa Cantarella, rzuciła go, nagle i niespodziewanie, bez dania racji i bez wytłumaczenia. Dla Vattiera był to cios, cios straszliwy, po którym chodził jak struty, był nerwowy, roztargniony i ogłupiały. Musiał bardzo uważać, pilnie się strzec, by nie podpaść, by nie palnąć jakiegoś głupstwa w rozmowie z cesarzem. Czasy wielkich zmian nie sprzyjały nerwowym i niekompetentnym.

– Gildii Kupieckiej – podjął, zmarszczywszy czoło, Emhyr var Emreis – odpłaciliśmy już za nieocenioną pomoc. Daliśmy im dość przywilejów, więcej niż dostali od poprzednich trzech cesarzy razem wziętych. Co do Berengara Leuvaardena, to też jesteśmy mu zobowiązani za pomoc w wykryciu spisku. Dostał wysokie i intratne stanowisko. Ale jeśli okaże się niekompetentny, mimo jego zasług wyleci jak z procy. Dobrze, żeby o tym wiedział.

– Postaram się o to, Wasza Wysokość. A co z Dijkstrą? I z tym jego tajemniczym informatorem?

– Dijkstra prędzej umrze, niż zdradzi mi swego informatora. Jemu samemu, owszem, warto by się odwdzięczyć za tę spadającą jak z nieba wiadomość... Ale jak? Dijkstra niczego ode mnie nie przyjmie.

– Jeśli wolno, Wasza Cesarska Mość...

– Mów.

– Dijkstra przyjmie informację. Coś, czego nie wie, a wiedzieć chciałby. Wasza Wysokość może mu się odwdzięczyć informacją.

– Brawo, Vattier.

Vattier de Rideaux odetchnął z ulgą. By odetchnąć, odwrócił głowę. Dlatego pierwszy dostrzegł zbliżające się damy. Hrabinę Liddertal, Stellę Congreve, i powierzoną jej pieczy jasnowłosą dziewczynę.

– Nadchodzą – wskazał ruchem brwi. – Wasza Cesarska Mość, pozwolę sobie przypomnieć... Racja stanu... Interes Cesarstwa...

– Przestań – uciął niechętnie Emhyr var Emreis. – Powiedziałem, zastanowię się. Przemyślę sprawę i podejmę decyzję. A po podjęciu poinformuję cię, jaka to była decyzja.

– Tak jest, Wasza Cesarska Mość.

– Co jeszcze? – Biały Płomień Nilfgaardu niecierpliwie trzepnął rękawicą o biodro marmurowej nereidy zdobiącej cokół fontanny. – Dlaczego się nie oddalasz, Vattier?

– Sprawa Stefana Skellena...

– Nie okażę łaski. Śmierć zdrajcy. Ale po uczciwym i dokładnym procesie.

– Tak jest, Wasza Cesarska Mość.

Emhyr nawet nie spojrzał na kłaniającego i oddalającego się. Patrzył na Stellę Congreve. I na jasnowłosą dziewczynę.

Oto nadchodzi interes Cesarstwa, pomyślał. Fałszywa princessa, fałszywa królowa Cintry. Fałszywa władczyni ujścia rzeki Yarry, na której tak zależy Cesarstwu. Oto zbliża się, spuściwszy oczy, przerażona, w białej jedwabnej sukni z zielonymi rękawkami i perydotową kolijką na znikomym dekolciku. Wówczas, w Darn Rowan, skomplementowałem tę suknię, pochwaliłem dobór biżuterii. Stella zna mój gust. Ponownie wystroiła więc laleczkę wedle mego gustu. Ale co ja mam z laleczką zrobić? Postawić na kominku?

– Szlachetne panie – skłonił się pierwszy. Poza salą tronową dworny szacunek i uprzejmość względem kobiet obowiązywały w Nilfgaardzie nawet cesarza.

Odpowiedziały głębokimi dygnięciami i pochyleniem głów. Stały przed uprzejmym, ale jednak cesarzem.

Emhyr miał dość protokołu.

– Zostań tu, Stella – rozkazał sucho. – A ty, dziewczyno, potowarzyszysz mi w przechadzce. Oto moje ramię. Głowa do góry. Dość, dość mi tych dygów. To tylko spacer.

Poszli alejką, wśród ledwo zazielenionych krzewów i żywopłotów. Cesarska ochrona, żołnierze z elitarnej gwardyjskiej brygady „Impera”, słynne Salamandry, trzymali się na uboczu, ale zawsze w pogotowiu. Wiedzieli, kiedy nie należy cesarzowi przeszkadzać.

Minęli sadzawkę, opustoszałą i smutną. Wiekowy karp, wpuszczony przez cesarza Torresa, zdechł przed dwoma dniami. Wpuszczę nowego, młodego, silnego, pięknego lustrzenia, pomyślał Emhyr var Emreis, każę

przypiąć mu medal z moją podobizną i datą. *Vaesse deireadh aep eigean*. Coś się skończyło, coś się zaczyna. To nowa era. Nowe czasy. Nowe życie. Niechże więc, cholera, będzie i nowy karp.

Zatopiony w myślach, niemal zapomniał o dziewczynie, którą trzymał pod ramię. Przypomniały mu o niej jej ciepło, jej konwaliowy zapach, interes Cesarstwa. W tej, nie innej, kolejności.

Stali przy sadzawce, pośrodku której wyrastała z wody sztuczna wyspa, a na niej ogródek skalny, fontanna i marmurowa rzeźba.

– Czy wiesz, co wyobraża ta figura?

– Tak, Wasza Cesarska Mość – odpowiedziała nie od razu. – To pelikan, który rozdziera dziobem własną pierś, by krwią wykarmić dzieci. Jest to alegoria szlachetnego poświęcenia. A także...

– Słucham cię pilnie.

– Także wielkiej miłości.

– Sądzisz – obrócił ją ku sobie, zaciął usta – że rozdzierana pierś boli przez to mniej?

– Nie wiem... – zająknęła się. – Wasza Cesarska Mość... Ja...

Ujął jej rękę. Poczuł, jak drgnęła, drgnienie przebiegło po jego dłoni, ramieniu, barku.

– Mój ojciec – powiedział – był wielkim władcą, ale nigdy nie miał głowy do legend i mitów, nigdy nie miał na nie czasu. I zawsze je plątał. Zawsze, pamiętam to jak dziś, ilekroć przyprowadzał mnie tu, do parku, mówił, że rzeźba przedstawia pelikana powstającego z popiołów. No, dziewczyno, uśmiechnij się chociaż, gdy cesarz opowiada facecje. Dziękuję. Dużo lepiej. Przykra byłaby dla mnie myśl, że nierada jesteś spacerować tu ze mną. Spójrz mi w oczy.

– Rada jestem... mogąc tu być... z Waszą Cesarską Mością. To dla mnie zaszczyt, wiem... Ale i wielka radość. Cieszę się...

– Rzeczywiście? Czy też to może tylko dworackie pochlebstwo? Etykieta, dobra szkoła Stelli Congreve? Kwestia, którą Stella kazała ci wykuć na pamięć? Przyznaj się, dziewczyno.

Milczała, spuściwszy wzrok.

– Twój cesarz zadał ci pytanie – powtórzył Emhyr var Emreis. – A gdy cesarz pyta, nikt nie ośmiela się milczeć. Kłamać, ma się rozumieć, też nikt się nie waży.

– Naprawdę – powiedziała melodyjnie. – Naprawdę się cieszę, Wasza Cesarska Mość.

– Wierzę ci – powiedział po chwili Emhyr. – Wierzę. Choć się dziwię.

– Ja też... – odszepnęła. – Ja też się dziwię.

– Słucham? Odważniej, proszę.

– Chciałabym móc częściej... spacerować. I rozmawiać. Ale ja rozumiem... Rozumiem, że to niemożliwe.

– Rozumiesz dobrze – zagryzł wargi. – Cesarze władają imperium, ale dwiema rzeczami rządzić nie mogą: swoim sercem i swoim czasem. Jedno i drugie należy do Cesarstwa.

– Wiem o tym – szepnęła – aż nadto dobrze.

– Nie zabawię tu długo – powiedział po chwili ciężkiego milczenia. – Muszę pojechać do Cintry, zaszczycić własną osobą uroczystość podpisania pokoju. Ty wrócisz do Darn Rowan... Unieś głowę, dziewczyno. No, nie. Już drugi raz pociągasz nosem w mojej obecności. A w oczach co? Łzy? O, to są poważne wykroczenia wobec etykiety. Będę musiał okazać hrabinie Liddertal moje najwyższe niezadowolenie. Unieś głowę, prosiłem.

– Proszę... darować pani Stelli... Wasza Cesarska Mość. To moja wina. Tylko moja. Pani Stella uczyła mnie... I przygotowała dobrze.

– Zauważyłem i doceniam. Nie obawiaj się, Stelli Congreve nie grozi moja niełaska. Nigdy nie groziła. Zażartowałem sobie z ciebie. Niecnie.

– Zauważyłam – szepnęła dziewczyna, blednąc, przerażona własną śmiałością. Ale Emhyr tylko się roześmiał. Sztucznie nieco.

– Taką cię wolę – stwierdził. – Wierz mi. Odważną. Taką jak...

Urwał. Taką jak moja córka, pomyślał. Poczucie winy targnęło nim jak ugryzienie psa.

Dziewczyna nie spuszczała wzroku. To nie tylko dzieło Stelli, pomyślał Emhyr. To jest naprawdę jej natura. Wbrew pozorom to diament, który trudno zarysować. Nie. Nie pozwolę Vattierowi zamordować tego dziecka. Cintra Cintrą, interes Cesarstwa interesem Cesarstwa, ale ta sprawa wydaje się mieć tylko jedno sensowne i honorowe rozwiązanie.

– Daj mi rękę.

To był rozkaz wygłoszony srogim głosem i tonem. Ale mimo tego nie mógł oprzeć się wrażeniu, że został wykonany chętnie. Bez przymusu.

Jej ręka była mała i chłodna. Ale nie drżała już.

– Jak masz na imię? Tylko nie mów, proszę, że Cirilla Fiona.

– Cirilla Fiona.

– Mam ochotę cię ukarać, dziewczyno. Surowo.

– Wiem, Wasza Cesarska Mość. Zasłużyłam. Ale ja... Ja muszę być Cirillą Fioną.

– Pomyśleć by można – powiedział, nie puszczając jej dłoni – że żałujesz, że nią nie jesteś.

– Żałuję – szepnęła. – Żałuję, że nią nie jestem.

– Doprawdy?

– Gdybym była... prawdziwą Cirillą... cesarz patrzyłby na mnie łaskawiej. Ale ja jestem tylko falsyfikatem. Imitacją. Sobowtórem, który niczego nie jest godzien. Niczego...

Odwrócił się gwałtownie, chwycił ją za ramiona. I natychmiast puścił. Cofnął się o krok.

– Pragnienie korony? Władzy? – mówił cicho, ale szybko, udając, że nie widzi, jak zaprzecza gwałtownymi ruchami głowy. – Zaszczytów? Splendorów? Luksusów?

Urwał, odetchnął ciężko. Udając, że nie widzi, jak dziewczyna wciąż kręci opuszczoną głową, wciąż zaprzeczając dalszym krzywdzącym zarzutom, może nawet bardziej krzywdzącym przez to, że nie wypowiedziane.

Odetchnął głęboko i głośno.

– Czy wiesz, mała ćmo, że to, co przed sobą widzisz, to jest płomień?

– Wiem, Wasza Cesarska Mość.

Milczeli długo. Zapach wiosny nagle zakręcił im w głowach. Obydwojgu.

– Być cesarzową – powiedział wreszcie głucho Emhyr – to wbrew pozorom niełatwy kawałek chleba. Nie wiem, czy będę zdolny cię pokochać.

Kiwnęła głową na znak, że i to wie. Zobaczył łzę na jej policzku. Jak wtedy, w zamczysku Stygga, poczuł, jak poruszył się utkwiony w jego sercu okruszek zimnego szkła.

Objął ją, mocno przycisnął do piersi, pogładził po włosach pachnących konwalią.

– Moja ty biedna... – powiedział nieswoim głosem. – Moja ty mała, biedna racjo stanu.

•

W całej Cintrze dzwoniły dzwony. Dostojnie, głęboko, uroczyście. Ale jakoś dziwnie żałobnie.

Niecodzienna uroda, myślał hierarcha Hemmelfart, patrząc, jak wszyscy, na wieszany portret rozmiarów, jak pozostałe, co najmniej pół sążnia na sążeń. Dziwna uroda. Głowę dam, że to jakaś metyska. Głowę stawię, że ma w żyłach przeklętą krew elfów.

Ładna, myślał Foltest, ładniejsza niż na miniaturce, którą pokazywali mi ludzie z wywiadu. Ale cóż, portrety zwykle pochlebiają.

Zupełnie niepodobna do Calanthe, myślała Meve. Zupełnie niepodobna do Roegnera. Zupełnie niepodobna do Pavetty... Hmmm... Plotkowano... Ale nie, to niemożliwe. To musi być krew królewska, prawowita władczyni Cintry. Musi. Wymaga tego racja stanu. I historia.

To nie jest ta, którą widywałem w snach, myślał niedawno przybyły do Cintry Esterad Thyssen, król Koviru. To z całą pewnością nie ta. Ale nie powiem tego nikomu. Zachowam to dla siebie i dla mojej Zuleyki. Razem z moją Zuleyką zdecydujemy, w jaki sposób wykorzystamy wiedzę, którą dały nam sny.

Mało brakowało, a ona byłaby moją żoną, ta Ciri, myślał Kistrin z Verden. Byłbym wtedy księciem Cintry, wedle zwyczaju następcą tronu... I zginąłbym pewnie jak Calanthe. Dobrze, oj, dobrze się stało, że ona wtedy przede mną uciekła.

Nawet przez chwilę nie wierzyłem w opowieść o wielkiej miłości od pierwszego wejrzenia, myślał Shilard Fitz-Oesterlen. Nawet przez chwilę. A jednak Emhyr żeni się z tą dziewczyną. Odrzuca możliwość pojednania z książętami, zamiast którejś z nilfgaardzkich księżniczek, bierze za żonę Cirillę z Cintry. Dlaczego? By zawładnąć tym małym, nędznym kraikiem, którego połowę, jeśli nie więcej, i tak uzyskałbym dla Cesarstwa w negocjacjach? By zawładnąć ujściem Jarugi, które i tak jest już we władaniu nilfgaardzko-novigradzko-kovirskich spółek handlu morskiego?

Nic nie rozumiem z tej racji stanu, nic.

Podejrzewam, że nie wszystko mi mówią.

Czarodziejki, myślał Dijkstra. To robota czarodziejek. Ale niech tak będzie. Widocznie było pisane, że Ciri zostanie królową Cintry, żoną Emhyra i cesarzową Nilfgaardu. Widocznie tak chciało przeznaczenie. Los.

Niech tak będzie, myślała Triss Merigold. Niech tak zostanie. Bardzo dobrze się stało. Ciri będzie teraz bezpieczna. Zapomną o niej. Pozwolą jej żyć.

Portret znalazł się wreszcie na swoim miejscu, wieszający go pachołkowie odstąpili, zabrali drabiny.

W długim rzędzie pociemniałych i zakurzonych nieco konterfektów władców Cintry, za kolekcją Cerbinów i Coramów, za Corbettem, Dagoradem i Roegnerem, za dumną Calanthe, za melancholijną Pavettą, wisiał portret ostatni. Przedstawiający obecnie łaskawie panującą monarchinię. Sukcesorkę tronu i królewskiej krwi.

Portret szczupłej dziewczyny o jasnych włosach i smutnym spojrzeniu. Ubranej w białą sukienkę z zielonymi rękawkami.

Cirilla Fiona Elen Riannon.

Królowa Cintry i cesarzowa Nilfgaardu.

Przeznaczenie, myślała Filippa Eilhart, czując na sobie wzrok Dijkstry.

Biedne dziecko, myślał Dijkstra, patrząc na portret. Myśli pewnie, że to już koniec jej strapień i nieszczęść. Biedne dziecko.

Dzwony Cintry dzwoniły, płosząc mewy.

•

– Krótko po zakończeniu rokowań i podpisaniu pokoju cintryjskiego – wznowił swą opowieść pielgrzym – w Novigradzie wyprawiono huczne kilkudniowe święto, festyn, którego ukoronowaniem była wielka i uroczysta defilada wojsk. Dzień, jak przystało na pierwszy dzień nowej ery, był prawdziwie piękny...

– Mamy rozumieć – spytał sarkastycznie elf – że waszmość byłeś tam przytomny? Na owej defiladzie?

– Po prawdzie, to trochę się spóźniłem. – Pielgrzym ewidentnie nie należał do takich, których sarkazm peszy. – Dzień, jak rzekłem, był piękny. Od samego świtu zapowiadał się taki.

•

Vascoigne, komendant fortu Drakenborg, do niedawna zastępca komendanta do spraw politycznych, niecierpliwie uderzył się pejczem po cholewie.

– Szybciej tam, szybciej – ponaglił. – Następni czekają! Po tym zawartym w Cintrze pokoju mamy tu huk roboty!

Kaci, założywszy skazańcom stryczki, odstąpili. Vascoigne trzasnął pejczem o cholewę.

– Jeżeli któryś ma coś do powiedzenia – rzekł sucho – to teraz właśnie jest ostatnia chwila.

– Niech żyje wolność – powiedział Cairbre aep Diared.

– Sąd był tendencyjny – powiedział Orestes Kopps, maruder, rabuś i morderca.

– Pocałujcie mnie w dupę – powiedział Robert Pilch, dezerter.

– Przekażcie panu Dijkstrze, że żałuję – powiedział Jan Lennep, agent skazany za łapownictwo i złodziejstwo.

– Nie chciałem... Ja naprawdę nie chciałem – załkał, chwiejąc się na brzozowym pieńku, Istvan Igalffy, były komendant fortu, zdjęty ze stanowiska i postawiony przed trybunałem za czyny, których dopuszczał się wobec więźniarek.

Słońce, oślepiające jak roztopione złoto, eksplodowało nad palisadą fortu. Słupy szubieniczne rzuciły długie cienie. Nad Drakenborgiem wstawał nowy, piękny, słoneczny dzień.

Pierwszy dzień nowej ery.

Vascoigne uderzył się pejczem po cholewie. Wzniósł i opuścił rękę.

Pieńki wykopnięto spod nóg.

•

Wszystkie dzwony Novigradu biły, ich głębokie i jękliwe dźwięki obijały się o dachy i mansardy kupieckich kamienic, rozpływały się echem wśród uliczek. Wysoko strzelały race i sztuczne ognie. Tłum ryczał, wiwatował, rzucał kwiaty, podrzucał czapki, machał chusteczkami, nałęczkami, chorągiewkami, ba, nawet spodniami.

– Niech żyje Wolna Kompania!

– Niech żyyy-jeee!

– Niech żyją kondotierzy!

Lorenzo Molla zasalutował tłumowi, przesłał całus pięknym mieszczkom.

– Jeśli płacić premię będą równie wylewnie, jak wiwatują – przekrzyczał zgiełk – to jesteśmy bogaci!

– Szkoda – powiedziała przez ściśnięte gardło Julia Abatemarco. – Szkoda, że Frontino nie doczekał...

Jechali stępa główną ulicą miasta, Julia, Adam „Adieu" Pangratt i Lorenzo Molla, na czele Kompanii, odświętnie odzianej, uformowanej w równiutkie czwórki tak, że żaden z wypucowanych i wyszczotkowanych do połysku koni nie wysuwał z szyku nosa nawet na cal. Kondotierskie konie były jak ich jeźdźcy – spokojne i dumne, nie płoszyły się wiwatami

i wrzaskiem tłumu, lekkimi zaledwie, niemal niezauważalnymi szarpnięciami głów reagowały na lecące ku nim wieńce i kwiaty.

– Niech żyją kondotierzy!

– Niech żyje „Adieu" Pangratt! Niech żyje „Słodka Trzpiotka"!

Julia ukradkiem otarła łzę, łapiąc w locie rzucony z tłumu goździk.

– Nawet nie marzyłam... – powiedziała. – Taki triumf... Szkoda, że Frontino...

– Tyś romantyczka jest – uśmiechnął się Lorenzo Molla. – Ty się wzruszasz, Julia.

– Wzruszam. Baczność, wiara! Na lewooo! Patrz!

Wyprężyli się w siodłach, zwracając głowy ku trybunie i ustawionym na niej tronom i stolcom. Widzę Foltesta, pomyślała Julia. Ten brodaty to chyba Henselt z Kaedwen, a ten przystojny to Demawend z Aedirn... Ta matrona to musi być królowa Hedwig... A ten szczeniak obok niej to królewicz Radowid, syn tego zamordowanego króla... Biedny smarkacz...

•

– Niech żyją kondotierzy! Niech żyje Julia Abatemarco! Wiwat „Adieu" Pangratt! Wiwat Lorenzo Molla!

– Niech żyje konetabl Natalis!

– Niech żyją królowie! Foltest, Demawend, Henselt, niech żyją!

– Niech żyje pan Dijkstra! – ryknął jakiś wazeliniarz.

– Niech żyje Jego Świątobliwość! – wrzasnęło z tłumu kilku opłaconych krzykaczy. Cyrus Engelkind Hemmelfart, hierarcha Novigradu, wstał, pozdrowił tłum i defilujące wojsko wzniesieniem rąk, mało wytwornie obracając się zadkiem do królowej Hedwig i nieletniego Radowida, zasłaniając ich połami swej obszernej szaty.

Nikt nie krzyknie: „Niech żyje Radowid", pomyślał zasłonięty opasłym tyłkiem hierarchy królewicz. Nikt nawet nie spojrzy w moją stronę. Nikt nie wzniesie okrzyku na cześć mojej matki. Ani nawet nie wspomni mojego ojca, nie ogłosi okrzykiem jego sławy. Dziś, w dniu triumfu, w dniu zgody, przymierza, do którego ojciec wszakże się przyczynił. Dlatego go zamordowano.

Poczuł na karku spojrzenie. Delikatne jak coś, czego nie znał – lub znał, ale tylko z marzeń. Coś, co było jak muśnięcie miękkich i gorących

kobiecych ust. Odwrócił głowę. Zobaczył wpite w siebie ciemne, bezdenne oczy Filippy Eilhart.

Poczekajcie, pomyślał królewicz, odwracając wzrok. Tylko poczekajcie.

Nikt nie mógł wówczas przewidzieć i zgadnąć, że z tego trzynastolatka, teraz osoby bez żadnego znaczenia w kraju rządzonym przez Radę Regencyjną i Dijkstrę, wyrośnie król. Król, który – odpłaciwszy wszystkim doznane przez siebie i matkę zniewagi – przejdzie do historii jako Radowid V Srogi.

Tłum wiwatował. Pod kopyta defilujących kondotierskich koni sypało się kwiecie.

•

– Julia?

– Słucham, Adieu.

– Wyjdź za mnie. Zostań moją żoną.

Słodka Trzpiotka długo nie odpowiadała, dochodząc do siebie po zaskoczeniu. Tłum wiwatował. Hierarcha Novigradu, spocony, łapiący powietrze jak wielki tłusty sum, błogosławił z trybuny mieszczan i defiladę, miasto i świat.

– Przecież ty jesteś żonaty, Adamie Pangratt!

– Jestem w separacji. Rozwiodę się.

Julia Abatemarco nie odpowiedziała. Odwróciła głowę. Zaskoczona. Speszona. I bardzo szczęśliwa. Nie wiedzieć czemu.

Tłum wiwatował i rzucał kwiaty. Nad dachami z trzaskiem i dymem eksplodowały race i fajerwerki.

Dzwony Novigradu zanosiły się jękiem.

•

Kobieta, pomyślała Nenneke. Gdy wysyłałam ją na tę wojnę, była dziewczynką. Wróciła kobietą. Jest pewna siebie. Świadoma siebie. Spokojna. Opanowana. Kobieca.

Wygrała tę wojnę. Nie pozwalając, by wojna ją zniszczyła.

– Debora – kontynuowała wyliczanie cichym, ale pewnym głosem Eurneid – umarła na tyfus w obozie pod Mayeną. Prune utonęła w Jarudze, gdy wywróciła się łódź z rannymi. Myrrhę zabiły elfy, Wiewiórki, podczas napadu na lazaret pod Armerią... Katje...

– Mów, dziecko – ponagliła łagodnie Nenneke.

– Katje – odchrząknęła Eurneid – poznała w szpitalu rannego Nilfgaardczyka. Po zawarciu pokoju, gdy wymieniano jeńców, poszła razem z nim do Nilfgaardu.

– Zawsze twierdziłam – westchnęła tęga kapłanka – że miłość nie zna granic ni kordonów. A co z Iolą Drugą?

– Żyje – pospieszyła z zapewnieniem Eurneid. – Jest w Mariborze.

– Dlaczego nie wraca?

Adeptka pochyliła głowę.

– Ona nie wróci do świątyni, matko – powiedziała cicho. – Jest w szpitalu pana Milo Vanderbecka, tego chirurga, niziołka. Powiedziała, że chce leczyć. Że tylko temu się poświęci. Wybacz jej, matko Nenneke.

– Wybaczyć? – parsknęła kapłanka. – Ja jestem z niej dumna.

•

– Spóźniłeś się – syknęła Filippa Eilhart. – Spóźniłeś się na uroczystość z udziałem królów. Do krocset diabłów, Sigismund, twoja arogancja względem protokołu jest na tyle dobrze znana, byś nie musiał się z nią nachalnie obnosić. Zwłaszcza dziś, w takim dniu...

– Miałem powody. – Dijkstra ukłonem odpowiedział na spojrzenie królowej Hedwig i uniesienie brwi hierarchy Novigradu. Złowił okiem skrzywienie na twarzy kapłana Willemera i grymas pogardy na godnym bicia na monetach obliczu króla Foltesta.

– Muszę z tobą porozmawiać, Fil.

Filippa zmarszczyła brew.

– W cztery oczy zapewne?

– Najlepiej by było. – Dijkstra uśmiechnął się lekko. – Jeśli jednak uznasz za stosowne, zgodzę się na kilka dodatkowych par oczu. Dajmy na to, pięknych oczu pań z Montecalvo.

– Ciszej – zasyczała czarodziejka zza uśmiechniętych warg.

– Kiedy mogę spodziewać się audiencji?

– Zastanowię się i dam ci znać. Teraz zostaw mnie w spokoju. To jest podniosła uroczystość. To jest wielkie święto. Przypominam ci o tym, jeśli sam nie zauważyłeś.

– Wielkie święto?

– Stoimy u progu nowej ery, Dijkstra.

Szpieg wzruszył ramionami.

Tłum wiwatował. Strzelały w niebo fajerwerki. Dzwony Novigradu biły, biły na triumf, na chwałę. Ale brzmiały jakoś dziwnie żałobnie.

•

– Potrzymaj no lejce, Jarre – powiedziała Lucienne. – Zgłodniałam, przegryzę cosiczek. Daj, zamotam ci rzemień na rękę. Ja wiem, tobie jedną nijak.

Jarre czuł bijące na twarz rumieńce wstydu i upokorzenia. Nie przyzwyczaił się jeszcze. Wciąż miał wrażenie, że cały świat nie ma nic lepszego do roboty, jak tylko gapić się na kikut, na założony i zaszyty rękaw. Że cały świat nie myśli o niczym innym, tylko by widzieć kalectwo, by współczuć kalece obłudnie i żałować nieszczerze, a w skrytości ducha pogardzać nim i mieć go za coś, co niełądnie zakłóca ładny ład tym, że brzydko i nachalnie istnieje. Że ośmiela się istnieć.

Lucienne, musiał jej to przyznać, trochę różniła się pod tym względem od całego świata. Ani nie udawała, że nie widzi, ani nie popadała w manierę upokarzającego pomagania i jeszcze bardziej upokarzającej litości. Jarre był bliski myśli, że jasnowłosa wozaczka traktuje go naturalnie i normalnie. Ale odpędzał od siebie tę myśl. Nie akceptował jej.

Bo wciąż nie mógł zdobyć się na to, by sam siebie traktować normalnie.

Wiozący inwalidów wojennych wóz skrzypiał i turkotał. Po krótkim okresie deszczów przyszły upały, rozjeżdżone przez wojskowe tabory wyboje zaschły i zastygły w grzebienie, granie i garby o fantastycznych kształtach, przez które musiał toczyć się ciągnięty przez czwórkę koni wehikuł. Na co większych wybojach wóz aż skakał, trzeszczał, pudło kołysało się jak okręt w czasie sztormu. Kalecy – głównie beznodzy – żołnierze klęli wówczas równie wyszukanie, co plugawie, a Lucienne – by nie spaść – przytulała się do Jarre i obejmowała go, obdzielając chłopca szczodrze swym magicznym ciepłem, przedziwną miękkością i podniecającą mieszanką zapachów koni, rzemieni, siana, owsa i młodego, intensywnego, dziewczęcego potu.

Wóz zeskoczył z kolejnego wyboju, Jarre zebrał luz okręconych wokół przegubu lejcy. Lucienne, gryząc na przemian chleb i kiełbasę, przytuliła się do jego boku.

– No, no – zauważyła jego mosiężny medalion i niecnie wykorzystała fakt, że jedyną rękę miał zajętą lejcami. – I ciebie też nabrali? Amulet niezapominajka? Oj, przechera iście ten, co tę fidryguszkę wymyślił. Wielki był na nią popyt czasu tej wojny, większy jeno na wódkę chyba. A jakież to w środeczku imię dziewczęce, obaczmy...

– Lucienne. – Jarre spłonął jak alkiermes, czuł, że za chwilę krew tryśnie mu z jagód. – Muszę cię prosić... byś nie otwierała... Wybacz, ale to rzecz osobista. Nie chciałbym cię urazić, ale...

Wóz podskoczył, Lucienne przytuliła się, a Jarre się zamknął.

– Ci... ril... la – wysylabizowała wozaczka z trudem, ale i tak zaskakując Jarre, który nie podejrzewał wiejskiej dziewczyny o tak daleko sięgające zdolności.

– Nie zapomni o tobie. – Zatrzasnęła medalion, puściła łańcuszek, spojrzała na chłopca. – Owa Cirilla, znaczy się. Jeśli prawdziwie kochała. Furda czary i amulety. Jeśli prawdziwie kochała, to nie zapomniała, była wierna. Czeka.

– Na to? – Jarre uniósł kikut.

Dziewczyna zmrużyła lekko oczy, niebieściutkie jak bławatki.

– Jeśli prawdziwie kochała – powtórzyła twardo – to czeka, a reszta furda. Wiem to.

– Aż tak wielką masz w tym względzie eksperiencję?

– Nie twoja rzecz – teraz na Lucienne wypadła kolej zarumienić się lekko – z kim i co miałam. A nie dumaj aby, że ja z tych, co to ino skiń na nie, a one już gotowe spermiencje jakieś na sianie wyczyniać. Ale co wiem, to wiem. Jeśli się chłopa kocha, to całego, a nie we fragmentach. Tedy furda, jeśli nawet który fragment ubył.

Wóz podskoczył.

– Upraszczasz mocno – rzekł przez zaciśnięte zęby Jarre, chciwie wdychając zapach dziewczyny. – Mocno upraszczasz i mocno idealizujesz, Lucienne. Raczysz nie zauważać choćby detalu tak drobnego, że to, czy mężczyzna jest cały, przesądza o jego zdolności do utrzymania żony i rodziny. Kaleka nie jest zdolny...

– No, no, no! – przerwała mu obcesowo. – Nie wypłakuj mi się tu aby na kieckę. Głowy ci Czarni nie urwali, a tyś przecie głowacz, głową robotasz. Co się tak gapisz? Ja ze wsi jestem, ale oczy mam i uszy. Dość na to bystre, by przesądzały o uważeniu detalu tako drobnego, jak czyjsiś sposób gadania, iście pański i uczony. A do tego...

Pochyliła głowę, kaszlnęła. Jarre też kaszlnął. Wóz podskoczył.

– A do tego – dokończyła dziewczyna – słyszałam, co inni mówili. Żeś pisarz. I kapłan ze świątyni. Tedy sam widzisz, że ta ręka... Tfu, furda i tyle.

Wóz nie podskakiwał od jakiegoś czasu, ale Jarre i Lucienne, wydawało się, wcale tego nie zauważyli. I wcale im to nie przeszkadzało.

– Coś ja – rzekła po dłuższej chwili dziewczyna – do uczonych szczęście mam. Był taki jeden... Kiedyś... Cholewki do mnie smalił... Uczony był i w akademiach kształcony. Z imienia samego dało się to miarkować.

– A jak miał na imię?

– Semester.

– Hejże, panna – zawołał zza ich pleców gefrejter Derkacz, złośliwiec i ponurak, okaleczony podczas walk o Mayenę. – Strzel no, panna, wałachom z bicza nad zadami, pełznie ta twoja fura niby smark po ścianie!

– Jako żywo – dodał drugi kaleka, drapiąc się w widoczny spod odwiniętej nogawki kikut pokryty połyskliwą tkanką blizny. – Dojadło już to pustkowie! Za karczmą zatążyłem, albowiem zaprawdę powiadam wam, napiłbym się piwa. Nie można raźniej jechać?

– Można – Lucienne odwróciła się na koźle. – Ale jak się na grudzie oje albo piasta złomi, to niedzielę albo i dwie nie piwo, jeno deszczówkę i sok brzozowy pili będziecie, podwody czekając. Sami nie ujdziecie, a ja was przecie na plecy nie wezmę.

– Iście żal – wyszczerzył zęby Derkacz. – Bo mnie po nocach się śni, że mię na się bierzesz. Plecowo, to znaczy się: od tylca. Ja tak lubię. A ty, panna?

– Ty kapcanie kulawy! – wrzasnęła Lucienne. – Ty capie śmierdzący! Ty...

Urwała, widząc, jak twarze wszystkich siedzących na wozie inwalidów pokrywają się nagle śmiertelną, trupią bladością.

– Matko – załkał któryś. – A tak niedaleczko było do domu...

– Przepadlim – powiedział Derkacz cicho i całkiem bez emocji. Po prostu stwierdzając fakt.

A mówili, przemknęło przez głowę Jarre, że już nie ma Wiewiórek. Że już ich wszystkich zabili. Że już, jak się wyrazili, rozwiązana została

kwestia elfia.

Było sześciu konnych. Ale po uważniejszym spojrzeniu okazało się, że sześć było koni, a konnych ośmiu. Dwa wierzchowce niosły po parze jeźdźców. Wszystkie stąpały sztywno i arytmicznie, nisko opuszczały łby. Wyglądały marnie.

Lucienne westchnęła głośno.

Elfy zbliżyły się. Wyglądały jeszcze marniej niż konie.

Nic nie zostało z ich dumy, z ich wypracowanej, wyniosłej, charyzmatycznej inności. Odzienie, zazwyczaj nawet u gerylasów z komand eleganckie i piękne, było brudne, podarte, pokryte plamami. Włosy, ich duma i chluba, były zmierzwione, sfilcowane lepkim brudem i zakrzepłą krwią. Ich wielkie oczy, zwykle pysznie pozbawione jakiegokolwiek wyrazu, były teraz otchłaniami paniki i rozpaczy.

Nic nie zostało z ich inności. Śmierć, przerażenie, głód i poniewierka sprawiły, że stali się zwykli. Bardzo zwykli.

Przestali nawet budzić strach.

Przez chwilę Jarre sądził, że miną ich, że po prostu przetną trakt i znikną w lesie po drugiej stronie, nie zaszczycając wozu i jego pasażerów nawet spojrzeniem. Że pozostanie po nich tylko ten zupełnie nieelfi, brzydki, paskudny zapach, zapach, który Jarre znał aż nadto dobrze z lazaretów – zapach nędzy, moczu, brudu i jątrzących się ran.

Mijali ich, nie patrząc.

Nie wszyscy.

Elfka o ciemnych, długich, zlepionych skrzepłą krwią włosach zatrzymała konia tuż przy wozie. Siedziała w siodle niezgrabnie przechylona, chroniąc rękę na przesiąkniętym temblaku, wokół którego brzęczały i kłębiły się muchy.

– Toruviel – powiedział, odwracając się, jeden z elfów. – *En'ca digne, luned.*

Lucienne momentalnie zorientowała się, zrozumiała, w czym rzecz. Pojęła, na co elfka patrzy. Wieśniaczka, od dziecka obyta była z czającym się za węgłem chałupy sinym i spuchłym upiorem, widmem głodu. Zareagowała więc instynktownie i bezbłędnie. Wyciągnęła w stronę elfki chleb.

– *En'ca digne*, Toruviel – powtórzył elf. On jeden z całego komanda miał na podartym rękawie zakurzonej kurtki srebrne błyskawice brygady „Vrihedd”.

Inwalidzi na wozie, do tej chwili skamieniali i zastygli w bezruchu, drgnęli nagle, jakby ożywieni magicznym zaklęciem. W ich dłoniach, które wyciągnęli w stronę elfów, znalazły się, jak wyczarowane, ćwiartki chleba, gomółeczki sera, kawałki słoniny i kiełbasy.

A elfy, po raz pierwszy od tysiąca lat, wyciągnęły ręce w stronę ludzi.

A Lucienne i Jarre byli pierwszymi ludźmi, którzy widzieli, jak elfka płacze. Jak krztusi się szlochem, nawet nie próbując ocierać płynących po brudnej twarzy łez. Zadających kłam twierdzeniu, jakoby elfy w ogóle nie miały gruczołów łzowych.

– *En'ca... digne* – powtórzył łamiącym się głosem elf z błyskawicami na rękawie.

A potem wyciągnął rękę i wziął chleb od Derkacza.

– Dziękuję ci – powiedział chrapliwie, z wysiłkiem dopasowując język i wargi do obcego języka. – Dziękuję ci, człowieku.

Po jakimś czasie, zauważywszy, że już po wszystkim, Lucienne cmoknęła na konie, trzepnęła lejcami. Wóz skrzypiał i turkotał. Wszyscy milczeli.

Było już dobrze na odwieczerz, gdy gościniec zaroił się od zbrojnych jeźdźców. Dowodziła nimi kobieta o zupełnie białych, krótko ostrzyżonych włosach, o złej, zaciętej twarzy zeszpeconej szramami, z których jedna przekreślała policzek od skroni po kącik ust, a druga podkówką obejmowała oczodół. Kobieta nie miała też dużej części prawej małżowiny usznej, a jej lewa ręka poniżej łokcia kończyła się skórzaną tuleją i mosiężnym hakiem, o który zaczepione były wodze.

Kobieta, mierząc ich złym, pełnym zapiekłej mściwości spojrzeniem, pytała o elfy. O Scoia'tael. O terrorystów. O zbiegów, niedobitków komanda rozniesionego dwa dni temu nazad.

Jarre, Lucienne i inwalidzi, unikając wzroku białowłosej i jednorękiej kobiety, mówili, mamrocząc niewyraźnie, że nie, nikogo nie spotkali i nikogo nie widzieli.

Łżecie, myślała Biała Rayla, ta, która niegdyś była Czarną Raylą. Łżecie, wiem to. Łżecie z litości.

Ale to i tak nie ma znaczenia.

Bo ja, Biała Rayla, litości nie znam.

•

– Hurraaaa, górą krasnoludy! Wiwat Barclay Els!

– Niech żyyyy-jąąąaą!

Novigradzki bruk huczał pod podkutymi buciorami wiarusów z Ochotniczego Hufu. Krasnoludy maszerowały typowym dla nich szykiem, w piątkach, sztandar z młotami powiewał nad kolumną.

– Niech żyje Mahakam! *Vivant* krasnoludy!

– Chwała im! Sława!

Nagle ktoś z tłumu zaśmiał się. Kilka osób zawtórowało. A za chwilę ze śmiechu ryczeli już wszyscy.

– To afront... – złapał powietrze hierarcha Hemmelfart. – To skandal... To niewybaczalne...

– Plugawi nieludzie – syknął kapłan Willemer.

– Udawajcie, że nie widzicie – poradził spokojnie Foltest.

– Nie trzeba było skąpić im wiwendy – rzekła kwaśno Meve. – Ani odmawiać oprowiantowania.

Krasnoludzcy oficerowie zachowali powagę i formę, przed trybuną wyprężyli się i zasalutowali. Podoficerowie i żołnierze Ochotniczego Hufu wyrazili natomiast swą dezaprobatę wobec zastosowanych przez królów i hierarchę cięć budżetowych. Jedni, mijając trybunę, pokazywali królom zgięty łokieć, inni demonstrowali drugi ze swych ulubionych gestów – pięść ze sztywno wyprostowanym w górę środkowym palcem. Gest ten w kręgach akademickich nosił nazwę *digitus infamis*. Plebs zwał go dosadniej.

Pąsy na twarzach królów i hierarchy dowodziły, że znają obie nazwy.

– Nie trzeba było obrażać ich skąpstwem – powtórzyła Meve. – To ambitny narodek.

•

Wyjec na Elskerdeg zawył, wycie przeszło w makabryczny zaśpiew. Nikt z siedzących przy ognisku nie odwrócił głowy.

Tym, kto po długim milczeniu odezwał się pierwszy, był Boreas Mun.

– Świat się zmienił. Sprawiedliwości stało się zadość.

– No, z tą sprawiedliwością to może przesada – uśmiechnął się lekko pielgrzym. – Zgodziłbym się jednak z tym, że świat dostosował się jakby do podstawowego prawa fizyki.

– Ciekawe – powiedział przeciągle elf – czy o tym samym prawie myślimy.

– Każda akcja – powiedział pielgrzym – powoduje reakcję.

Elf parsknął, ale było to parsknięcie dość życzliwe.

– Punkt dla ciebie, człowieku.

•

– Stefanie Skellen, synu Bertrama Skellena, ty, który byłeś cesarskim koronerem, wstań. Najwyższy Trybunał Wiecznego z łaski Wielkiego Słońca Imperium uznał cię winnym zarzucanych ci przestępstw i czynów nieprawych, a to: zdrady stanu i udziału w spisku mającym na celu zbrodniczy zamach na porządek ustawowy Imperium, a także na własną osobę Cesarskiego Majestatu. Wina twa, Stefanie Skellen, została potwierdzona i udowodniona, a Trybunał nie dopatrzył się okoliczności łagodzących. Jego Najjaśniejszy Majestat Imperatorski nie skorzystał zaś z prawa łaski.

– Stefanie Skellen, synu Bertrama Skellena. Z sali rozpraw zostaniesz przewieziony do Cytadeli, skąd, gdy czas stosowny nadejdzie, zostaniesz wyprowadzony. Jako że zdrajcą będąc, niegodzien jesteś stąpać po ziemi Cesarstwa, będziesz położony na włóczydło drewniane i na włóczydle tym końmi będziesz zawleczony na plac Tysiąclecia. Jako że zdrajcą będąc, niegodzien jesteś oddychać powietrzem Cesarstwa, będziesz na placu Tysiąclecia ręką kata powieszony za szyję na szubienicy, między niebem a ziemią. I będziesz tam wisiał dopóty, dopóki nie umrzesz. Ciało twoje zostanie spalone, a popiół na cztery rozrzucony wiatry.

– Stefanie Skellen, synu Bertrama, zdrajco. Ja, przewodniczący Najwyższego Trybunału Imperium, skazując cię, po raz ostatni wypowiadam twoje imię. Od tej chwili niech będzie ono zapomniane.

•

– Udało się! Udało! – krzyknął, wpadając do dziekanatu, profesor Oppenhauser. – Udało się, panowie! Nareszcie! Nareszcie! A jednak to funkcjonuje! A jednak się kręci! Działa! To działa!

– Doprawdy? – spytał obcesowo i dość sceptycznie Jean La Voisier, profesor chemii, przez studentów nazywany Węglosmrodorem. – To być nie może! A co, ciekawość, działa?

– Wieczyste ruchadło!

– *Perpetuum mobile*? – zaciekawił się Edmund Bumbler, sędziwy wykładowca zoologii. – W rzeczy samej? Nie przesadzacie, panie kolego?

– Ani trochę! – wrzasnął Oppenhauser i podskoczył po koźlemu. – Ani krztyny! Działa! Ruchadło działa! Uruchomiłem i działa! Działa bez przerwy! Bez ustanku! Wieczyście! Na wieki wieków! Tego się nie da opowiedzieć, koledzy, to trzeba zobaczyć! Chodźcie do mej pracowni, żywo!

– Jem śniadanie – zaprotestował Węglosmrodór, ale jego protest utonął w gwarze i ogólnym podnieconym rozgardiaszu. Profesorowie, magistrowie i bakałarze w pośpiechu narzucali na togi płaszcze i delie, biegli ku wyjściu, wiedzeni przez wciąż wykrzykującego i gestykulującego Oppenhausera. Węglosmrodór pokazał im w ślad digitus infamis i wrócił do bułki z pasztetem.

Grupka uczonych, w marszu zasilana coraz to nowymi żądnymi ujrzenia owocu trzydziestoletnich wysiłków Oppenhausera, żywo pokonała dystans dzielący ich od pracowni słynnego fizyka. Już, już mieli otworzyć drzwi, gdy grunt drgnął nagle. Wyczuwalnie. Ba, silnie. Ba, bardzo silnie.

Był to wstrząs sejsmiczny, jeden z serii wstrząsów spowodowanych zniszczeniem przez czarodziejki warowni Stygga, kryjówki Vilgefortza. Fala sejsmiczna dotarła z dalekiego Ebbing aż tu, do Oxenfurtu.

Z brzękiem wyleciało kilkanaście szkiełek z witrażu na frontonie Katedry Sztuk Pięknych. Spadło z zabazgranego brzydkimi słowy cokołu popiersie Nicodemusa de Boot, pierwszego rektora uczelni. Spadł ze stołu kubek ziółek, którymi Węglosmrodór popijał bułkę z pasztetem. Spadł z parkowego platana student pierwszego roku fizyki, Albert Solpietra, który wlazł był na ów platan, by zaimponować studentkom medycyny.

A *perpetuum mobile* profesora Oppenhausera, jego legendarne wieczyste ruchadło, ruchnęło się jeszcze raz i stanęło. Na amen.

I nigdy już nie udało się go ponownie uruchomić.

•

– Niech żyją krasnoludy! Niech żyje Mahakam!

Co to za zbieranina jakaś, co to za szajki, myślał hierarcha Hemmelfart, drżącą ręką błogosławiąc defiladę. Komu tu się wiwatuje? Przekupni kondotierzy, obsceniczne krasnoludy, co to za autorament dziwaczny? Kto w końcu wygrał tę wojnę, oni czy my? Na bogów, trzeba zwrócić królom na to uwagę. Gdy historycy i pisarze wezmą się do

roboty, należy poddać ich wypociny cenzurze. Najemnicy, wiedźmini, płatni zbóje, nieludzie i wszelki inny podejrzany element ma zniknąć z kronik ludzkości. Ma zostać wykreślony, wymazany. Ani słowa o nich. Ani słowa.

I ani słowa też o nim, pomyślał, zaciskając wargi i patrząc na Dijkstrę, obserwującego defiladę z wyraźnie znudzoną miną.

Trzeba będzie, pomyślał hierarcha, wydać królom polecenia w sprawie tego Dijkstry. Jego obecność jest obelgą dla przyzwoitych ludzi.

To bezbożnik i łotr. Niech zniknie bez śladu. I niech będzie zapomniany.

•

Niedoczekanie twoje, purpurowy świętoszkowaty wieprzu, myślała Filippa Eilhart, bez wysiłku czytając intensywne myśli hierarchy. Chciałbyś rządzić, chciałbyś dyktować i wywierać wpływ? Chciałbyś rozstrzygać? Niedoczekanie. Rozstrzygać możesz wyłącznie w sprawach własnych hemoroidów, a i tam, we własnej twej dupie, twe rozstrzygnięcia niewiele będą znaczyły.

A Dijkstra zostanie. Tak długo, jak będzie mi potrzebny.

•

Kiedyś popełnisz błąd, myślał kapłan Willemer, patrząc na lśniące, karminowe wargi Filippy. Kiedyś któraś z was popełni błąd. Zgubi was zadufanie, arogancja i pycha. Spiski, które knujecie. Niemoralność. Ohyda i perwersja, której się oddajecie, w której żyjecie. Wszystko wylezie na jaw, rozejdzie się smród grzechów waszych, gdy popełnicie błąd. Musi przyjść taka chwila.

A nawet jeśli błędu nie popełnicie, znajdzie się sposobność, by was czymś obarczyć. Spadnie na ludzkość jakieś nieszczęście, jakaś klęska, jakaś plaga, może zaraza albo epidemia... Wtedy winę zwali się na was. Was obarczy się winą za to, że nie zdołałyście pladze zapobiec, za to, że nie zdołałyście usunąć jej skutków.

Wy będziecie wszystkiemu winne.

I wtedy rozpali się stosy.

•

Stary pręgowany kocur, z racji umaszczenia zwany przez ludzi Rudzielcem, umierał. Umierał paskudnie. Tarzał się, prężył, drapał

ziemię, wymiotował krwią i śluzem, wstrząsany konwulsjami. Miał do tego krwawą biegunkę. Miauczał, choć było to poniżej jego godności. Miauczał żałośnie, cicho. Szybko opadał z sił.

Rudzielec wiedział, dlaczego umiera. A przynajmniej domyślał się, co go zabiło.

Kilka dni temu do cintryjskiego portu zawinął dziwny frachtowiec, stary i bardzo brudny holk, zaniedbana krypa, wrak niemal. „Catriona", głosiły ledwie widoczne litery na dziobie holku. Liter tych Rudzielec – rzecz jasna – przeczytać nie umiał. Z dziwnej krypy, wykorzystując cumę, zlazł na keję szczur. Tylko jeden. Szczur był wyliniały, oparszywiały, nieruchawy. I nie miał jednego ucha.

Rudzielec zagryzł szczura. Był głodny, ale instynkt powstrzymał go przed zjedzeniem paskudy. Ale kilka pcheł, wielkich, błyszczących pcheł, od których roiła się sierść gryzonia, zdołało przeleźć na Rudzielca i zadomowić się w jego futerku.

– Co jest z tym zatraconym kotem?

– Struł go ktoś pewnie. Albo zauroczył!

– Tfu, obrzydliwość! Ależ cuchnie, swołocz! Zabierz go precz od schodów, kobieto!

Rudzielec wyprężył się i bezgłośnie otworzył zakrwawiony pyszczek. Nie czuł już kopnięć ani szturchnięć miotły, którymi gospodyni dziękowała mu właśnie za jedenaście lat łowienia myszy. Wykopany z podwórka, dogorywał w spienionym od mydlin i uryny rynsztoku. Dogorywał, życząc tym niewdzięcznym ludziom, by też zachorowali. By cierpieli tak samo jak on.

Jego życzenie miało spełnić się niebawem. I to na wielką skalę. Na naprawdę wielką skalę.

Kobieta, która wykopała i wymiotła Rudzielca z podwórka, zatrzymała się, zadarła kieckę i podrapała się w łydkę pod kolanem. Swędziało.

Ugryzła ją pchła.

•

Gwiazdy nad Elskerdeg mrugały intensywnie. Iskry z ogniska gasły na ich tle.

– Ani pokój cintryjski – powiedział elf – ani tym bardziej pompatyczna novigradzka defilada nie mogą być uważane za cezury i kamienie milowe. Cóż to bowiem są za pojęcia? Władza polityczna nie może

tworzyć historii za pomocą aktów czy dekretów. Władza polityczna nie może również historii oceniać, wystawiać not ani szufladkować, chociaż w swej pysze żadna władza tej prawdy nie uzna. Jednym z jaskrawszych przejawów waszej ludzkiej arogancji jest tak zwana historiografia, próby wydawania opinii i ferowania wyroków o, jak wy to mówicie: „dziejach minionych". Jest to dla was, ludzi, typowe i wynika z faktu, że natura obdarzyła was efemerycznym, owadzim, mrówczym życiem, śmieszną średnią wieku poniżej setki. Wy zaś do swej owadziej egzystencji usiłujecie dopasowywać świat. A tymczasem historia jest procesem, który zachodzi nieprzerwanie i nigdy się nie kończy. Nie da się podzielić historii na odcinki, stąd dotąd, stąd dotąd, od daty do daty. Nie da się historii określić ani tym bardziej zmienić królewskim orędziem. Nawet jeśli wygrało się wojnę.

– Nie podejmę dysputy filozoficznej – rzekł pielgrzym. – Jak się rzekło, człek ze mnie prosty i mało elokwentny. Ośmielę się jednak zauważyć dwie rzeczy. Po pierwsze, krótkie jak u insektów życie chroni nas, ludzi, przed dekadencją, skłania do tego, by szanując życie, żyć intensywnie i twórczo, by wykorzystywać każdą chwilę życia i cieszyć się nią. A gdy trzeba, życie to oddać bez żalu za sprawę. Mówię i myślę jak człowiek, ale przecież tak samo myślały długowieczne elfy, idąc bić się i umierać w komandach Scoia'tael. Jeśli nie mam racji, proszę, by mnie poprawiono.

Pielgrzym odczekał stosowną chwilę, ale nikt go nie poprawił.

– Po drugie – podjął – wydaje mi się, że władza polityczna, choć niezdolna do zmieniania historii, może swymi działaniami wytworzyć całkiem niezłe złudzenie i pozór takiej zdolności. Władza ma po temu metody i instrumenty.

– O, tak – odrzekł elf, odwracając twarz. – Tu trafiliście w sedno, panie pielgrzymie. Władza ma metody i instrumenty. Takie, z którymi nie sposób dyskutować.

•

Galera stuknęła burtą o obrośnięte glonami i muszlami pale. Rzucono cumy. Rozbrzmiały krzyki, przekleństwa i komendy.

Darły się mewy łowiące odpadki, pływające po zielonej, brudnej wodzie portu. Nabrzeże roiło się od ludzi. Głównie umundurowanych.

– Koniec rejsu, panowie elfy – powiedział nilfgaardzki dowódca konwoju. – Jesteśmy w Dillingen. Wysiadka! Czekają tu już na was.

Fakt. Czekano na nich.

Żaden z elfów – a już z pewnością nie Faoiltiarna – nie dawał za grosz wiary zapewnieniom o sprawiedliwych sądach i amnestiach. Scoia'tael i oficerowie brygady „Vrihedd" nie mieli żadnych złudnych nadziei co do losu, jaki czeka ich za Jarugą. W większości pogodzili się z tym, przyjmowali to stoicko, z rezygnacją nawet. Nic, jak sądzili, nie mogło już ich zaskoczyć.

Mylili się.

Spędzono ich z galery, dzwoniących i brzęczących kajdanami, pognano na molo, potem na nabrzeże, w szpaler uzbrojonych żołdaków. Byli tam też i cywile, tacy, których bystre oczka migały szybko, skacząc od twarzy do twarzy, od sylwetki do sylwetki.

Selekcjonerzy, pomyślał Faoiltiarna. Nie pomylił się.

Na to, by jego pokiereszowana twarz została przegapiona, liczyć oczywiście nie mógł. I nie liczył.

– Pan Isengrim Faoiltiarna? Żelazny Wilk? Cóż za miła niespodzianka! Prosimy, prosimy!

Żołdacy wywlekli go ze szpaleru.

– *Va faill!* – krzyknął do niego Coinneach D Reo, rozpoznany i wyciągany przez innych, noszących ryngrafy z redańskim orłem. – *Se'ved, se caerme dea!*

– Zobaczycie się – syknął cywil, który wyselekcjonował Faoiltiarnę – ale chyba w piekle. Na niego już tam czekają, w Drakenborgu. Hola, stać! Czy to przypadkiem nie pan Riordain? Brać go!

Łącznie wyciągnięto ich trzech. Tylko trzech. Faoiltiarna zrozumiał i nagle – ku swemu zaskoczeniu – zaczął się bać.

– *Va faill!* – krzyknął do towarzyszy wyciągnięty z szeregu Angus Bri Cri, dzwoniąc okowami. – *Va faill, fraeren!*

Żołdak popchnął go brutalnie.

Nie poprowadzono ich daleko. Doszli tylko do jednej z szop blisko przystani. Tuż przy basenie portowym, nad którym kołysał się las masztów.

Cywil dał znak. Faoiltiarnę popchnięto pod słup, pod belkę, na którą zarzucono powróz. Do powroza zaczęto przywiązywać żelazny hak.

Riordaina i Angusa posadzono na dwóch ustawionych na polepie zydlach.

– Panie Riordain, panie Bri Cri – powiedział zimno cywil. – Zostaliście objęci amnestią. Sąd postanowił okazać łaskę.

– Sprawiedliwości musi jednak stać się zadość – dodał, nie doczekawszy się reakcji. – A za to, by tak się stało, zapłaciły rodziny tych, których zamordowaliście, panowie. Wyrok zapadł.

Riordain i Angus nie zdążyli nawet krzyknąć. Od tyłu zarzucono im na szyje pętle, zdławiono, obalono razem z zydlami, powleczono po klepisku. Gdy skutymi rękami nadaremnie próbowali zerwać wrzynające się w ciało stryki, oprawcy uklękli im na piersiach. Noże błysnęły i spadły, trysnęła krew. Teraz nawet pętle nie były w stanie zdusić ich krzyku, wizgu, który podnosił włosy na głowie.

Trwało to długo. Jak zawsze.

– Pański wyrok, panie Faoiltiarna – powiedział cywil, wolno odwracając głowę – został wyposażony w klauzulę dodatkową. Takie coś ekstra...

Faoiltiarna nie zamierzał czekać na coś ekstra. Klamra kajdan, nad którą elf pracował już od dwóch dni i nocy, teraz spadła z jego przegubu jak za dotknięciem magicznej różdżki. Straszliwy cios ciężkiego łańcucha obalił obu pilnujących go żołdaków. Faoiltiarna w skoku kopnął następnego w twarz, smagnął kajdanami cywila, runął wprost w zasnute pajęczyną okienko szopy, przeleciał przez nie razem z ramą i futryną, zostawiając na gwoździach krew i strzępy odzienia. Z hukiem wylądował na deskach mola. Przekoziołkował, przeturlał się i chlupnął w wodę, pomiędzy rybackie czółna i barkasy. Wciąż przykuty do prawego przegubu ciężki łańcuch ciągnął na dno. Faoiltiarna walczył. Ze wszystkich sił walczył o życie, na którym, jak jeszcze niedawno sądził, nie zależało mu w ogóle.

– Łap! – darli się wypadający z szopy żołdacy. – Łap! Zabij!

– Tam! – wrzeszczeli inni, nadbiegający molem. – Tam, tam wypłynął!

– Do łodzi!

– Strzelać! – zaryczał cywil, obiema dłońmi próbując zatrzymać krew, wartko płynącą z oczodołu. – Zabić!

Szczęknęły cięciwy kusz. Mewy poderwały się z wrzaskiem. Brudna zielona woda między barkasami zakipiała od bełtów.

•

– *Vivant!* – defilada przeciągała się, tłum mieszkańców Novigradu zdradzał już objawy znużenia i chrypki. – *Vivant!* Niech żyją!

– Hurra!

– Sława królom! Sława!

Filippa Eilhart rozejrzała się, upewniła, czy nikt nie nadstawia uszu, pochyliła się w stronę Dijkstry.

– O czym chcesz ze mną rozmawiać?

Szpieg też się rozejrzał.

– O zamachu na króla Vizimira dokonanym w lipcu ubiegłego roku.

– Słucham?

– Półelf, który dokonał tego morderstwa – Dijkstra jeszcze bardziej zniżył głos – bynajmniej nie był szaleńcem, Fil. I nie działał sam.

– Co ty mówisz?

– Ciszej – uśmiechnął się Dijkstra. – Ciszej, Fil.

– Nie nazywaj mnie Fil. Masz dowody? Jakie? Skąd?

– Zdziwiłabyś się, Fil, gdybym ci powiedział, skąd. Kiedy mogę spodziewać się audiencji, jaśnie wielmożna pani?

Oczy Filippy Eilhart były jak dwa czarne, bezdenne jeziora.

– Wkrótce, Dijkstra.

Dzwony biły. Tłum wiwatował ochryple. Wojsko defilowało. Płatki kwiatów, niby śnieg, pokrywały novigradzki bruk.

•

– Wciąż piszesz?

Ori Reuven drgnął i zrobił kleks. Służył Dijkstrze od dziewiętnastu lat, ale nadal nie przyzwyczaił się do bezszelestnego poruszania się szefa, do jego zjawiania się nie wiadomo skąd i jakim sposobem.

– Dobry wieczór, khe, khe, wasza wielmoż...

– *Ludzie z cienia* – Dijkstra przeczytał stronę tytułową rękopisu, którą bezceremonialnie podniósł ze stołu. – *Historia tajnych służb królewskich, spisana przez Oribasiusa Gianfranco Paolo Reuvena, magistra...* Oj, Ori, Ori. Stary chłop, a takie głupstwa...

– Khe, khe...

– Przyszedłem się pożegnać, Ori.

Reuven popatrzył na niego zdziwiony.

– Widzisz, wierny druhu – ciągnął szpieg, nie czekając, aż sekretarz coś wykaszle – ja też jestem stary, a wychodzi na to, że też głupi.

Powiedziałem jedno słowo do jednej osoby. Tylko jednej. I tylko jedno słowo. Było to jedno słowo za dużo i jedna osoba za dużo. Nadstaw uszu, Ori. Słyszysz ich?

Ori Reuven, szeroko rozwierając zdumione oczy, przecząco pokręcił głową. Dijkstra milczał przez chwilę.

– Nie słyszysz – stwierdził po chwili. – A ja ich słyszę. We wszystkich korytarzach. Szczury biegają po tretogorskim grodzie, Ori. Idą tu. Nadchodzą na miękkich szczurzych łapkach.

•

Zjawili się z cienia, z ciemności. Czarni, zamaskowani, zwinni jak szczury. Strażnicy i ochroniarze z anteszambrów padli bez jęków pod szybkimi ciosami sztyletów o wąskich, graniastych klingach. Krew ciekła po podłogach tretogorskiego zamku, rozlewała się po posadzkach, plamiła parkiety, wsiąkała w drogie vengerberskie dywany.

Nadchodzili wszystkimi korytarzami, a za nimi zostawały trupy.

– Jest tam – powiedział jeden, wskazując. Głos tłumił czarny szal spowijający twarz aż po oczy. – Tam wszedł. Przez kancelarię, w której urzęduje Reuven, ten kaszlący dziad.

– Stamtąd nie ma wyjścia. – Oczy drugiego, będącego dowódcą, płonęły w otworach czarnej aksamitnej maski. – Komnata za kancelarią jest ślepa. Nie ma nawet okien.

– Wszystkie inne korytarze obstawione. Wszystkie drzwi i wszystkie okna. Nie może nam ujść. Jest w matni.

– Naprzód!

Drzwi ustąpiły pod kopnięciami. Błysnęły sztylety.

– Śmierć!!! Śmierć krwawemu katu!

– Khe, khe? – Ori Reuven podniósł znad papierów krótkowzroczne, załzawione oczy. – Słucham? Czym mogę, khe, khe, panom służyć?

Mordercy z rozpędu rozwalili drzwi do prywatnych komnat Dijkstry, obiegli je niczym szczury, penetrując wszystkie zakamarki. Poleciały na podłogę zrywane arrasy, obrazy i panele, sztylety pruły zasłony i tapiserie.

– Nie ma go! – wrzasnął jeden, wpadając do kancelarii. – Nie ma go!

– Gdzie? – charknął herszt, schylając się nad Orim, wiercąc go spojrzeniem z otworów czarnej maski. – Gdzie jest ten krwawy pies?

– Nie ma go – odrzekł spokojnie Ori Reuven. – Przecież sami widzicie.

– Gdzie on jest? Mów! Gdzie Dijkstra?

– Azali – kaszlnął Ori – jestem, khe, khe, stróżem brata mego?

– Zginiesz, starcze!

– Jestem stary. Chory. I bardzo zmęczony. Khe, khe. Nie boję się ani was, ani waszych noży.

Mordercy wybiegli z komnaty. Znikli równie szybko, jak się pojawili.

Nie zabili Oriego Reuvena. Byli mordercami na rozkaz. A w ich rozkazach nie było o Orim Reuvenie najmniejszej wzmianki.

Oribasius Gianfranco Paolo Reuven, magister praw, spędził sześć lat w różnych więzieniach, bezustannie przesłuchiwany przez zmieniających się śledczych, pytany o przeróżne, często pozornie nie mające sensu rzeczy i sprawy.

Po sześciu latach zwolniono go. Był wówczas bardzo chory. Szkorbut odebrał mu wszystkie zęby, anemia włosy, jaskra wzrok, astma oddech. Palce obu rąk połamano mu na przesłuchaniach.

Na wolności żył niecały rok. Umarł w świątynnym przytułku. W nędzy. Zapomniany.

Rękopis księgi *Ludzie z cienia, czyli historia tajnych służb królewskich* zaginął bez śladu.

•

Niebo na wschodzie pojaśniało, nad wzgórzami wykwitła blada aureola, zapowiedź brzasku.

Przy ognisku od dłuższej chwili panowała cisza. Pielgrzym, elf i tropiciel w milczeniu patrzyli w dogorywający ogień.

Cisza panowała na Elskerdeg. Wyjący upiór poszedł sobie, znudziwszy się daremnym wyciem. Wyjący upiór musiał wreszcie zrozumieć, że trzej siedzący przy ognisku mężczyźni ostatnimi czasy widzieli zbyt wiele okropności, by przejmować się byle upiorem.

– Jeśli mamy razem wędrować – powiedział nagle Boreas Mun, patrząc w rubinowy żar ogniska – to porzućmy nieufność. Zostawmy za nami to, co było. Świat się odmienił. Przed nami nowe życie. Coś się skończyło, coś się zaczyna. Przed nami...

Urwał, kaszlnął. Nie był zwyczajny takich mów, bał się śmieszności. Ale jego towarzysze z przypadku nie śmiali się. Ba, Boreas wyczuwał wręcz emanującą od nich życzliwość.

– Przed nami przełęcz Elskerdeg – dokończył pewniejszym już głosem – a za przełęczą Zerrikania i Hakland. Przed nami daleka i niebezpieczna droga. Jeżeli mamy iść nią razem... Porzućmy nieufność. Jestem Boreas Mun.

Pielgrzym w kapeluszu z szerokim rondem wstał, prostując swą potężną postać, uścisnął wyciągniętą ku niemu rękę. Elf wstał również. Jego makabrycznie zniekształcona twarz skrzywiła się dziwnie.

Uścisnąwszy dłoń tropiciela, pielgrzym i elf wyciągnęli prawice ku sobie.

– Świat się odmienił – powiedział pielgrzym. – Coś się skończyło. Jestem... Sigi Reuven.

– Coś się zaczyna. – Elf skrzywił pobliźnioną twarz w czymś, co wedle wszelkich przesłanek było uśmiechem. – Jestem... Wolf Isengrim.

Uścisnęli sobie ręce, szybko, mocno, gwałtownie wręcz, przez moment wyglądało to bardziej na wstęp do walki niż na gest zgody. Ale tylko przez moment.

Polano w ognisku strzeliło iskrami, fetując zdarzenie radosnym fajerwerkiem.

– Niech mnie diabli – Boreas Mun uśmiechnął się szeroko – jeśli nie jest to początek pięknej przyjaźni.

...jako i inne Wierne, tak i Ś. Filipę spotwarzono, że przychodzi na zdradę królestwa, że judzi do tumultów i sedycyi, że lud burzy i przewrót knuje. Wilmeryusz, heretyk i sekciarz, arcykapłanem samozwańczo się mianujący, Ś. ująć kazał, do więzienia ciemnego i przykrego wtrącił i tam trapił chłodem i smrodem, wołając, by one grzechy na się kładła i by te wydała, które uczyła. I pokazał Ś. Filipie naczynia różne do męczenia Wilmeryusz i groził barzo, Ś. zaś jeno w gębę mu plunęła i w sodomii go obwiniła.

Kazał ją heretyk z szat zwlec i nagą wołowymi żyłami siec bez zmiłowania i pod paznokcie trzaski bić. I zasię pytał i wzywał, by wiary swej i Bogini się wyrzekła. Ale jeno rozśmiała się Ś. i poradziła jemu, aby się oddalił.

Dał ów tedy Ś. na katowni ciągnąć, po wszystkim ciele żelaznemi osękami i haki ostremi drapać i boki jej świecami smalić. Ale choć tak mordowana, Ś. w ciele śmiertelnem nieśmiertelną cierpliwość pokazowała. Aż kaci oni osłabli i z wielkim strachem odstąpili, ale Wilmeryusz groźnie onych upominał i kazał, by dalej męczyli a rąk mocno przykładali. Jęli tedy Ś. Filipę blachami rozpalonemi palić, członki ze stawów wybijać i piersi niewieście targać kleszczami. I w tych mękach ona, nic nie wyznawszy, dokonała.

A Wilmeryusza kacerza sprosnika, o czym u Ojców ŚŚ. czytaj, taka kara później spotkała, że wszy go i robacy żywego roztaczali i morzyli, aż cały pognił i od tego zdechł. A śmierdział jak pies, tak że go bez pogrzebu w rzekę wrzucić musiano.

Z czego Ś. Filipie chwała i męczeńska korona, Matce Bogini Wielkiej na wieki gloria, a nam nauka i przestroga, Amen.

Żywot Ś. Filipy Męczenniczki z Mons Calvus pisany z starodawna od pisarzów męczeńskich, w Tretogorskim Brewiarzu summowany, wyjęty z wielu Ojców ŚŚ., którzy ją w pismach swoich sławią

Rozdział jedenasty

Lecieli w skok, jak szaleni, na złamanie karku. Jechali przez tętniące wiosną dni. Konie niosły lotnym cwałem, a ludzie, prostując zgięte nad rolą karki i plecy, spoglądali za nimi, niepewni, co widzieli – jeźdźców czy zjawy?

Jechali przez noce, ciemne i mokre od ciepłego deszczu, a przebudzeni, siadający na posłaniach ludzie rozglądali się, przerażeni, walcząc z duszącym bólem, który rósł im w gardłach i piersiach. Ludzie zrywali się, nasłuchując łomotania okiennic, płaczu zbudzonych dzieci, wycia psów. Przywierali twarzami do błon w oknach, niepewni, co widzieli – jeźdźców, czy zjawy?

Po Ebbing zaczęły krążyć opowieści o trzech demonach.

•

Trójka konnych pojawiła się nie wiadomo jak, nie wiadomo skąd i nie wiadomo jakim cudem, całkowicie zaskakując Kulasa i nie dając mu żadnej szansy ucieczki. Pomocy też nie było co wzywać. Od skrajnych zabudowań miasteczka dzieliło kalekę dobre pięćset kroków. A nawet gdyby było bliżej, marna była szansa, by ktoś z mieszkańców Zazdrości przejął się wołaniem o pomoc. Była pora sjesty, trwającej w Zazdrości zwykle od wczesnego przedpołudnia do wczesnego wieczora. Arystoteles Bobeck, przezwiskiem Kulas, miejscowy żebrak i filozof, wiedział aż nadto dobrze, że w porze sjesty Zazdroszczanie nie reagują na nic.

Konnych było troje. Dwie kobiety i mężczyzna. Mężczyzna miał białe włosy i nosił miecz przerzucony przez plecy. Jedna z kobiet, dojrzalsza, odziana w czerń i biel, miała włosy krucze, skręcone w loki. Młodsza, której proste włosy miały kolor popiołu, miała na lewym policzku paskudną szramę. Siedziała na przepięknej karej klaczy. Kulas miał wrażenie, że już kiedyś widział taką klacz.

To właśnie ta młodsza odezwała się pierwsza.

– Jesteś tutejszy?

– Ja nie winien! – zaszczękał zębami Kulas. – Ja aby piestrzenice tu zbieram! Darujcie, nie krzywdźcie ułomnego...

– Jesteś tutejszy? – powtórzyła, a zielone oczy błysnęły jej groźnie. Kulas skurczył się.

– Ano, jaśnie pani – wybełkotał. – Tutejszy, jako żywo. Tu żem się rodził, w Birce, znaczy się: we Zazdrości. I tu pewnikiem zemrzeć

przyjdzie...

– Zeszłego roku, latem i jesienią, byłeś tu?

– A gdzie żem miał być?

– Odpowiadaj, gdy pytam.

– Byłem, wielmożna.

Kara klacz potrząsała głową, strzygła uszami. Kulas czuł na sobie kłujące jak jeżowe igły spojrzenia tych dwojga pozostałych – czarnowłosej i białowłosego. Tego białowłosego bał się najbardziej.

– Rok temu – podjęła dziewczyna z blizną – w miesiącu wrześniu, dokładnie zaś dziewiątego września, w pierwszej kwadrze księżyca, zamordowano tutaj szóstkę młodych ludzi. Czterech chłopaków... i dwie dziewczyny. Przypominasz sobie?

Kulas przełknął ślinę. Od jakiegoś czasu podejrzewał, teraz już wiedział, teraz był pewien.

Dziewczyna zmieniła się. I szło nie tylko o tę szramę na twarzy. Była całkiem inna niż wtedy, gdy wyła przywiązana do drąga koniowiązu, patrząc, jak Bonhart urzyna głowy zabitym Szczurom. Rychtyk inna niż wtedy, gdy w oberży „Pod Głową Chimery" rozebrał ją i bił. Tylko te oczy... Te oczy się nie zmieniły.

– Odpowiadaj – ponagliła ostro druga kobieta, ta czarnowłosa. – Zadano ci pytanie.

– Pamiętam, wielmożne państwo – potwierdził Kulas. – Co bym nie miał pamiętać. Sześcioro młodziaków ubito. Prawie, łońskiego to było roku. We wrześniu.

Dziewczyna milczała długo, patrząc nie na niego, lecz gdzieś w dal, nad jego ramieniem.

– Musisz więc wiedzieć... – rzekła wreszcie z wysiłkiem. – Musisz znać miejsce, gdzie tych chłopców i te dziewczyny zakopano. Pod jakim płotem... Na jakim śmietniku czy gnojowisku... A jeśli ich ciała spalono... Jeśli wywieziono je w las, rzucono lisom i wilkom... To ty pokażesz mi to miejsce. Zaprowadzisz mnie tam. Zrozumiałeś?

– Zrozumiałem, jaśnie pani. Pozwólcie. Bo to też i całkiem niedaleko.

Pokusztykał, czując na karku gorące oddechy ich koni. Nie oglądał się. Coś mu mówiło, że nie należy.

– O, tu – wskazał wreszcie. – To nasz żalnik zazdroski, w tym gaju. A ci, o których pytaliście, jaśnie panienko Falko, to o, tamój leżą.

Dziewczyna westchnęła głośno. Kulas spojrzał ukradkiem, zobaczył, jak zmieniła się jej twarz. Białowłosy i czarnowłosa milczeli, a ich oblicza były jak z kamienia.

Dziewczyna długo patrzyła na kurhanik, ładny, równy, zadbany, obmurowany bryłami piaskowca, płytami szpatu i łupka. Jedlina, którą kiedyś kurhan przybrano, zrudziała. Kwiaty, które tu kiedyś położono, wyschły i zżółkły.

Dziewczyna zeskoczyła z konia.

– Kto? – spytała głucho, wciąż patrząc, nie odwracając głowy.

– Ano – odchrząknął Kulas – wielu z Zazdrości pomagało. Ale większą miarą wdowa Goulue. I młody Nycklar. Wdowa zawsze była dobra i sercowa kobita... A Nycklar... Jego sny straszne dręczyły. Spokoju nie dawały. Dopokąd tym ubitym porządnego pochówku nie sprawił...

– Gdzie ich znajdę? Wdowę i tego Nycklara?

Kulas milczał długo.

– Wdowa leży tam, za ową krzywą brzózką – powiedział wreszcie, patrząc bez strachu w zielone oczy dziewczyny. – Na pneumonię pomarła zimową porą. A Nycklar zaciągnął się i gdzieś w obcej stronie... Bają, na wojnie legł.

– Zapomniałam – szepnęła. – Zapomniałam, że przecież oboje los zetknął ze mną.

Podeszła do kurhanika, uklękła, a raczej padła na kolana. Pochyliła się nisko, bardzo nisko, niemal dotykając czołem kamieni u podstawy. Kulas widział, jak białowłosy uczynił ruch, jak gdyby chciał zsiąść z konia, ale czarnowłosa kobieta chwyciła go za rękę, powstrzymała gestem i spojrzeniem.

Konie pochrapywały, trzęsły łbami, podzwaniały kółkami munsztuków.

Dziewczyna długo, bardzo długo klęczała pod kurhanem, pochylona mocno, a usta poruszały się jej w jakiejś bezgłośnej litanii.

Gdy wstawała, zachwiała się. Kulas odruchowo podtrzymał ją. Drgnęła mocno, wyszarpnęła łokieć, spojrzała na niego złowrogo przez łzy. Ale nie powiedziała słowa. Podziękowała nawet skinieniem głowy, gdy przytrzymał dla niej strzemię.

– Tak, jaśnie panienko Falko – odważył się. – Dziwną się koleją los potoczył. Wyście w okrutnej wonczas byli opresji, w srogich terminach... Mało kto z nas tu w Zazdrości dumał, że z tego cała

wyjdziecie... A wżdy wy dziś w zdrowiu, a Goulue i Nycklar na tamtym świecie... Nie ma nawet komu podziękować, hę? Odwdzięczyć się za kurhanik...

– Nie nazywam się Falka – powiedziała ostro. – Nazywam się Ciri. A co się tyczy podzięki...

– Czujcie się nią uhonorowani – wtrąciła zimno czarnowłosa, a w jej głosie było coś takiego, że Kulas zadygotał.

– Za ten kurhanik – powiedziała czarnowłosa kobieta, wolno wymawiając słowa. – Za wasze człowieczeństwo, za waszą ludzką godność i przyzwoitość, spotkała was, całą waszą osadę, łaska, podzięka i nagroda. Nawet nie wiecie, jak wielka.

•

Dziewiątego kwietnia, krótko po północy, pierwszych mieszkańców Claremont zbudziła migotliwa jasność, czerwony blask, który uderzył i wdarł się w okna ich domostw. Resztę mieszkańców miasteczka wyrwały z łóżek wrzaski, rwetes i dzikie dźwięki bijącego na trwogę dzwonu.

Płonął tylko jeden budynek. Wielki drewniany gmach dawnej świątyni, niegdyś poświęconej bóstwu, którego imienia nie pamiętał już nikt oprócz najstarszych bab. Świątyni, obecnie zamienionej w amfiteatr, w którym od czasu do czasu wyprawiano hece, walki i inne rozrywkowe imprezy, zdolne wydobyć miasteczko Claremont z nudy, chandry i sennego otępienia.

Ten to właśnie amfiteatr stał teraz w morzu ryczącego ognia, trząsł się od eksplozji. Ze wszystkich okien strzelały postrzępione, długie na kilka sążni jęzory płomieni.

– Gaaasiiić! – ryczał właściciel amfiteatru, kupiec Houvenaghel, biegając i wywijając rękami, trzęsąc potężnym brzuszyskiem. Był w szlafmycy i ciężkiej delii z wyporków, którą narzucił na koszulę nocną. Bosymi stopami miesił gnój i błoto uliczki.

– Gasiiiiić! Ludzieee! Wooooodyyyyy!

– To kara boska – orzekła autorytatywnie jedna z najstarszych bab. – Za te brewerie, co się w tym przybytku wyprawiały...

– Tak, tak, moja pani. Niezawodnie za to!

Od ryczącego ogniem teatru bił żar, w kałużach parował i śmierdział koński mocz, syczały iskry. Nie wiadomo skąd zerwał się wiatr.

– Gaaaasiiiiiić! – zawył dziko Houvenaghel, widząc, że ogień przerzuca się na browar i spichlerz. – Ludzieeee! Do wiader! Do wiadeeeer!

Nie brakowało ochotników. Ba, Claremont miało nawet własną straż ogniową, wyposażoną i utrzymywaną przez Houvenaghela. Gaszono wytrwale i z poświęceniem. Ale daremnie.

– Nie damy rady... – stęknął komendant straży ogniowej, ocierając pokrywającą się bąblami twarz. – To nie jest zwyczajny ogień... To ogień diabelski!

– Czarna magia... – drugi strażak krztusił się od dymu.

Z wnętrza amfiteatru dał się słyszeć straszliwy trzask łamiących się krokwi, kalenic i słupów. Huknęło, gruchnęło, urżnęło, buchnął w niebo potężny słup ognia i iskier, dach załamał się i wpadł do środka, na arenę. Zaś cały budynek pochylił się – rzec by można, kłaniał się publice, którą po raz ostatni zabawił i rozerwał, ucieszył efektownym, iście ognistym benefisem.

A potem runęły ściany.

Wysiłki strażaków i ratowników pozwoliły ocalić połowę spichlerza i jakąś ćwierć browaru.

Wstał śmierdzący świt.

Houvenaghel siedział w błocie i popiele, w osmolonej szlafmycy i delii z wyporków. Siedział i żałośnie płakał, kwilił jak dziecko.

Należące do niego teatr, browar i spichlerz były, ma się rozumieć, ubezpieczone. Problem polegał na tym, że towarzystwo ubezpieczeniowe też było własnością Houvenaghela. Nic, nawet szwindel podatkowy, nie było w stanie choćby w znikomej części zrekompensować strat.

•

– Dokąd teraz? – spytał Geralt, patrząc na słup dymu, rozmazaną wstęgą paprzący różowiejące jutrzenką niebo. – Komu jeszcze chcesz się odwdzięczyć, Ciri?

Spojrzała na niego, a on momentalnie pożałował pytania. Nagle zapragnął ją objąć, zamarzył, by trzymać ją w objęciach, tulić, głaskać po włosach. Chronić. Nigdy, przenigdy nie pozwolić, by była sama. By spotkało ją zło. By spotkało ją coś, co sprawi, że będzie pragnęła zemsty.

Yennefer milczała. Yennefer ostatnio dużo milczała.

– Teraz – powiedziała bardzo spokojnie Ciri – pojedziemy do osady noszącej nazwę Goworożec. Nazwa ta pochodzi od opiekującego się miejscowością słomianego jednorożca, śmiesznej, biednej, ubogiej kukiełki. Chcę, by na pamiątkę tego, co się tam stało, mieszkańcy mieli... No, jeśli nie cenniejszy, to choćby gustowniejszy totem. Liczę na twoją pomoc, Yennefer, bo bez magii...

– Wiem, Ciri. Co dalej?

– Bagna Pereplutu. Mam nadzieję, że trafię... Do chaty wśród moczarów. W chacie znajdziemy resztki człowieka. Chcę, by te resztki spoczęły w przyzwoitym grobie.

Geralt wciąż milczał. I nie spuszczał wzroku.

– Potem – podjęła Ciri, bez najmniejszego trudu wytrzymując jego spojrzenie – zawadzimy o osadę Dun D[illegible]re. Tamtejszą karczmę prawdopodobnie spalono, nie wykluczam, że karczmarza zamordowano. Z mojej winy. Zaślepiły mnie nienawiść i mściwość. Spróbuję jakoś odwdzięczyć się jego rodzinie.

– Na to – przemówił, wciąż patrząc – sposobu nie ma.

– Wiem – odparła od razu, twardo, z gniewem niemal. – Ale stanę przed nimi z pokorą. Zapamiętam wyraz ich oczu. Mam nadzieję, że pamięć tych oczu ustrzeże mnie przed podobnym błędem. Czy rozumiesz to, Geralt?

– Rozumie, Ciri – powiedziała Yennefer. – Oboje, wierz nam, rozumiemy cię bardzo dobrze, córeczko. Jedźmy.

•

Konie niosły jak wiatr. Jak magiczny wicher. Zaalarmowany przemknięciem trójki jeźdźców, podnosił głowę wędrowiec na szlaku. Podnosili głowy kupiec na wozie z towarem, złoczyńca uchodzący przed prawem, tułacz osadnik wypędzony przez polityków z ziem, na których osiadł, wierząc innym politykom. Podnosili głowy wagabunda, dezerter i pielgrzym z kosturem. Podnosili głowy, zdumieni, przestraszeni. Niepewni, co widzieli.

Po Ebbing i Geso zaczęły krążyć opowieści. O Dzikim Gonie. O Trzech Jeźdźcach Upiorach.

Opowieści wymyślano i snuto wieczorami w pachnących topionym smalcem i smażoną cebulą izbach, w świetlicach, zadymionych karczmach, traktierniach, chutorach, smolarniach, leśnych sadybach i

granicznych strażnicach. Opowiadano, zmyślano, bajano. O wojnie. O bohaterstwie i rycerskości. O przyjaźni i prawości. O podłości i zdradzie. O kochaniu wiernym i prawdziwym, o miłości, która zawżdy triumfuje. O zbrodni i o karze, która zawżdy spotyka zbrodniarzy. O sprawiedliwości, zawżdy sprawiedliwej.

O prawdzie, co jak oliwa zawsze na wierzch wypływa.

Bajano, radując się baśniami. Ciesząc się bajeczną fikcją. Bo wszakże dookoła, w życiu, działo się wszystko całkiem na odwyrtkę.

Legenda rosła. Słuchacze w istnym transie chłonęli pełne emfazy słowa bajarza opowiadającego o wiedźminie i czarodziejce. O Wieży Jaskółki. O Ciri, wiedźmince z blizną na twarzy. O Kelpie, zaczarowanej karej klaczy.

O Pani Jeziora.

To przyszło później, po latach. Po wielu, wielu latach.

Ale już teraz, niby napęczniałe po ciepłym deszczu nasionko, legenda kiełkowała i wzrastała w ludziach.

•

Nie wiedzieć kiedy, przyszedł maj. Najpierw nocami, które rozbłysły i roziskrzyły się dalekimi ogniami Belleteyn. Gdy Ciri, dziwnie podniecona, wskoczyła na Kelpie i pocwałowała ku ogniskom, Geralt i Yennefer wykorzystali sposobność, chwilę samotności. Rozebrawszy się tylko na tyle, ile było bezwzględnie konieczne, kochali się na ciśniętym na ziemię kożuchu. Kochali się w pośpiechu i zapamiętaniu, w milczeniu, bez słowa. Kochali się szybko i byle jak. Byle więcej i więcej.

A gdy przyszło uspokojenie, oboje, drżąc i scałowując sobie wzajem łzy, dziwili się wielce, ile szczęścia dało im takie byle jakie kochanie.

•

– Geralt?
– Słucham cię, Yen.
– Gdy ja... Gdy nie byliśmy razem, byłeś z innymi kobietami?
– Nie.
– Ani razu?
– Ani razu.
– Głos ci nawet nie drgnął. Nie wiem więc, dlaczego ci nie wierzę.
– Myślałem zawsze tylko o tobie, Yen.
– Teraz wierzę.

•

Nie wiedzieć kiedy, przyszedł maj. Również za dnia. Mlecze na żółto zbryzgały i upstrzyły łąki, drzewa w sadach zrobiły się puchate i ciężkie od kwiecia. Dąbrowy, zbyt dostojne, by się spieszyć, wciąż pozostawały ciemne i gołe, ale już zieleniły się zieloną mgłą, a na skrajach jaskrawiły zieloniutkimi plamami brzóz.

•

Którejś nocy, gdy biwakowali w zarośniętej wierzbami kotlince, wiedźmina zbudził sen. Koszmar, w którym był sparaliżowany i bezbronny, a wielka szara sowa orała mu pazurami twarz, szukała oczu ostrym krzywym dziobem. Obudził się. I nie był pewien, czy z jednego koszmaru nie przeniósł się w drugi.

Nad ich biwakiem kłębiła się jasność, na którą boczyły się parskające konie. W jasności widać było coś w rodzaju wnętrza, coś na kształt podpartej czarną kolumnadą sali zamkowej. Geralt widział wielki stół, wokół którego siedziało dziesięć postaci. Dziesięć kobiet.

Słyszał słowa. Urywki słów.

...ją do nas przyprowadzić, Yennefer. Rozkazujemy ci.

Nie możecie mi rozkazywać. Nie możecie rozkazywać jej! Nie macie nad nią żadnej władzy!

Ja się ich nie boję, mamo. Nic mi nie mogą zrobić. Jeśli chcą, stanę przed nimi.

...zbiera się pierwszego czerwca, w nów księżyca. Rozkazujemy wam obu, byście się stawiły. Ostrzegamy, że ukarzemy nieposłuszeństwo.

Ja przybędę zaraz, Filippo. Niech ona jeszcze z nim pobędzie. Niech on nie będzie sam. Tylko parę dni. Ja przybędę natychmiast. Jako zakładniczka dobrej woli.

Spełnij moją prośbę, Filippo. Proszę.

Jasność zapulsowała. Konie zachrapały dziko, załomotały kopytami.

Wiedźmin obudził się. Tym razem naprawdę.

•

Nazajutrz Yennefer potwierdziła jego obawy. Po długiej i przeprowadzonej na uboczu rozmowie z Ciri.

– Odchodzę – powiedziała sucho i bez wstępów. – Muszę. Ciri zostaje z tobą. Jeszcze jakiś czas. Potem zawezwę ją i ona także odejdzie. A

potem wszyscy spotkamy się znowu.

Kiwnął głową. Niechętnie. Miał dość milczącego potakiwania. Godzenia się ze wszystkim, co mu komunikowała, ze wszystkim, o czym decydowała. Ale kiwnął. Kochał ją, bądź co bądź.

– To jest imperatyw – powiedziała łagodniej – któremu przeciwstawić się nie sposób. Odkładać także tego nie można. To trzeba po prostu załatwić. Robię to zresztą również dla ciebie. Dla twojego dobra. A zwłaszcza dla dobra Ciri.

Kiwnął głową.

– Gdy się już spotkamy – powiedziała jeszcze łagodniej – wynagrodzę ci wszystko, Geralt. Także milczenie. Za dużo milczenia, za dużo ciszy było między nami. A teraz, zamiast kiwać głową, obejmij mnie i pocałuj.

Usłuchał. Kochał ją, bądź co bądź.

•

– Dokąd teraz? – spytała sucho Ciri, krótko po tym, jak Yennefer znikła w rozbłysku owalnego teleportu.

– Rzeka... – Geralt odchrząknął, przemagając odbierający oddech ból za mostkiem. – Rzeka, w górę której jedziemy, to Sansretour. Wiedzie ona do kraju, który koniecznie chcę ci pokazać. Bo to jest kraj z bajki.

Ciri spochmurniała. Widział, jak zacisnęła pięści.

– Wszystkie bajki – wycedziła – kończą się źle. A krain z bajki w ogóle nie ma.

– Są. Zobaczysz.

•

Był dzień po pełni, gdy zobaczyli Toussaint, skąpane w zieleni i słońcu. Gdy zobaczyli wzgórza, stoki, winnice. Dachy wież kaszteli, lśniące po porannym deszczyku.

Widok nie zawiódł. Zrobił wrażenie. Zawsze robił.

– Ależ to piękne – powiedziała w zachwyceniu Ciri. – Jejku! Te zamki są jak zabawki... Jak lukrowe dekoracje na torcie... Aż korci, żeby polizać!

– Architektura samego Faramonda – pouczył mądrze Geralt. – Poczekaj, aż zobaczysz z bliska pałac i ogrody Beauclair.

– Pałac? Jedziemy do pałacu? Znasz tutejszego króla?

– Księżną.

– Ta księżna – spytała kwaśno, obserwując go bacznie spod grzywki – ma może zielone oczy? Krótkie czarne włosy?

– Nie – uciął, odwracając wzrok. – Wygląda zupełnie inaczej. Nie wiem, skąd przyszło ci do głowy...

– Zostaw to, Geralt, dobrze? Jak to więc jest z tą tutejszą księżną?

– Jak mówiłem, znam ją. Trochę. Niezbyt dobrze i... niezbyt blisko, jeśli chcesz wiedzieć. Bardzo dobrze znam natomiast tutejszego księcia małżonka lub kandydata na księcia małżonka. Ty też go znasz, Ciri.

Ciri trąciła Kelpie ostrogą, zmusiła ją do tańczenia po gościńcu.

– Nie męcz mnie dłużej!

– Jaskier.

– Jaskier? Z tutejszą księżną? Jakim cudem?

– To długa historia. Zostawiliśmy go tutaj, u boku jego ukochanej. Obiecaliśmy, że go odwiedzimy, wracając, gdy...

Zamilkł i spochmurniał.

– Nic na to nie poradzisz – powiedziała cicho Ciri. – Nie męcz się, Geralt. To nie twoja wina.

Moja, pomyślał. Moja. Jaskier zapyta. A ja będę musiał odpowiedzieć.

Milva. Cahir. Regis. Angoulême.

Miecz to obosieczna broń.

Och, na bogów, dość tego. Dość tego. Skończyć z tym wreszcie!

– Jedźmy, Ciri.

– W tych ubraniach? – chrząknęła. – Do pałacu?

– Nie widzę nic zdrożnego w naszych ubraniach – uciął. – Nie jedziemy tam składać listów uwierzytelniających. Ani na bal. Z Jaskrem możemy się spotkać choćby w stajniach.

– Zresztą – dodał, widząc, że się nadąsała – jadę najpierw do miasteczka, do banku. Podejmę trochę gotówki, a w rynku, w sukiennicach, jest bez liku krawców i modystek. Kupisz sobie, co zechcesz i ustroisz się wedle woli.

– Tak dużo – figlarnie przekrzywiła głowę – masz tej gotówki?

– Kupisz sobie, co zechcesz – powtórzył. – Choćby gronostaje. I trzewiczki z bazyliszka. Znam szewca, który powinien mieć jeszcze takie na składzie.

– Na czym tyle zarobiłeś?

– Na zabijaniu. Jedźmy, Ciri, szkoda czasu.

•

W filii banku Cianfanellich Geralt zlecił przelew i otwarcie akredytywy, pobrał czek bankierski i nieco gotówki. Napisał listy, które miały zostać dołączone do szybkiej poczty kurierskiej, idącej za Jarugę. Grzecznie wymówił się od obiadu, którym chciał go podjąć usłużny i gościnny bankier.

Ciri czekała na ulicy, pilnując koni. Ulica, jeszcze przed chwilą pusta, roiła się od ludzi.

– Trafiliśmy chyba na jakieś święto – Ciri ruchem głowy wskazała tłum ciągnący w stronę rynku. – Jarmark może...

Geralt spojrzał bystro.

– To nie jarmark.

– Ach... – też spojrzała, stając w strzemionach. – Czyżby to znowu...

– Egzekucja – potwierdził. – Najpopularniejsza z powojennych rozrywek. Co myśmy już widzieli, Ciri?

– Dezercję, zdradę, tchórzostwo w obliczu wroga – wyrecytowała szybko. – I sprawy ekonomiczne.

– Dostawy spleśniałych sucharów dla wojska – kiwnął głową wiedźmin. – Ciężka jest w wojennych czasach dola przedsiębiorczego kupca.

– Tutaj nie będą tracić kupczyka. – Ciri ściągnęła wodze Kelpie, zanurzonej już w tłumie jak w falującym łanie zboża. – Popatrz tylko, rusztowanie nakryte jest suknem, a kat ma nowy i czyściutki kaptur. Będą tracić kogoś znacznego, co najmniej barona. A więc to jednak chyba tchórzostwo w obliczu wroga.

– Toussaint – pokręcił głową Geralt – nie miało wojsk w obliczu żadnego wroga. Nie, Ciri, myślę, że to znowu ekonomia. Tracą kogoś za przekręty w handlu ich słynnym winem, podstawą tutejszej gospodarki. Jedźmy, Ciri. Nie będziemy się przyglądać.

– Jedźmy? A jak?

Rzeczywiście, dalsza jazda była niemożliwa. Ani się obejrzeli, jak utknęli w zgromadzonym na placu tłumie, ugrzęźli w ciżbie, nie było mowy o tym, by przedostać się na drugą stronę rynku. Geralt zaklął szpetnie, obejrzał się. Niestety, odwrót też był niemożliwy, wlewająca się na placyk fala ludzi totalnie zaczopowała uliczkę za nimi. Tłum przez moment niósł ich, jak rzeka, ale ruch ustał, gdy pospólstwo odbiło się od otaczającego szafot zwartego muru halabardników.

– Jadą! – krzyknął ktoś, a tłum zaszumiał, zafalował i podchwycił krzyk. – Jadą!

Stuk kopyt i turkot wozu utonął i zniknął wśród trzmielego buczenia ciżby. Całkiem niespodziewanie zobaczyli więc wytaczający się z zaułka zaprzężony w dwójkę koni drabiniasty wóz, na którym, z trudem utrzymując równowagę, stał...

– Jaskier... – jęknęła Ciri.

Geralt nagle poczuł się źle. Bardzo źle.

– To jest Jaskier – powtórzyła nieswoim głosem Ciri. – Tak, to on.

To niesprawiedliwe, pomyślał wiedźmin. To wielka i cholerna niesprawiedliwość. Tak nie może być. Tak nie powinno być. Ja wiem, że głupie i naiwne było mniemanie, że cokolwiek i kiedykolwiek ode mnie zależało, że jakoś wpłynąłem na losy tego świata, że ten świat coś mi zawdzięcza. Ja wiem, było to mniemanie naiwne, ba, aroganckie... Ale ja o tym wiem! Nie trzeba mnie o tym przekonywać! Nie trzeba mi tego udowadniać! Zwłaszcza w taki sposób...

To niesprawiedliwe!

– To nie może być Jaskier – powiedział głucho, patrząc na grzywę Płotki.

– To jest Jaskier – powtórzyła Ciri. – Geralt, musimy coś zrobić.

– Co? – spytał z goryczą. – Powiedz mi, co?

Knechci ściągnęli Jaskra z wozu, traktując go wszakże nad podziw grzecznie, bez brutalności, wręcz z rewerencją, najwyższą, na jaką ich było stać. Przed wiodącymi na szafot schodkami rozwiązali mu ręce. Poeta nonszalancko podrapał się w tyłek i bez ponaglania wstąpił na schodki.

Jeden ze stopni zatrzeszczał nagle, a sporządzona z okorowanego drąga poręcz wygięła się. Jaskier z trudem utrzymał równowagę.

– Cholera! – wrzasnął. – To trzeba naprawić! Zobaczycie, ktoś się kiedyś zabije na tych schodkach! I będzie nieszczęście!

Na rusztowaniu Jaskra przejęło dwóch pomocników katowskich w skórzanych kubrakach bez rękawów. Kat, szeroki w barach jak zamkowa baszta, patrzył na skazańca przez wycięcia w kapturze. Obok stał typek w bogatym, choć żałobnie czarnym odzieniu. Minę też miał żałobną.

– Zacni panowie i mieszczanie z Beauclair i okolic! – przeczytał gromko i żałobnie z rozwiniętego pergaminu. – Wiadomym się czyni,

jako Julian Alfred Pankratz wicehrabia de Lettenhove, *alias* Jaskier...

– Pankrac co? – zapytała szeptem Ciri.

– ...wyrokiem wyższego sądu książęcego uznany został winnym wszystkich zarzucanych mu zbrodni, przewin i występków, a to: obrazy majestatu, zdrady stanu, a nadto splugawienia godności stanu szlacheckiego poprzez krzywoprzysięstwo, paszkwilanctwo, potwarz i oszczerstwo, jak również birbanctwo, nieprzystojność tudzież debosz, znaczy się kurwiarstwo. Trybunał zasądził tedy, żeby wicehrabiego Juliana *et cetera, et cetera* pokarać, *primo*: uszczerbieniem herbu, a to przez rzucenie na tarczę kresy czarnej skosem. *Secundo*: konfiskatą mienia, ziem, dóbr, gajów, borów, zamków...

– Zamków – jęknął wiedźmin. – Jakich zamków?

Jaskier parsknął bezczelnie. Wyraz jego twarzy świadczył dobitnie, że serdecznie go bawi orzeczona przez trybunał konfiskata.

– *Tertio*: karą główną. Przewidzianą za wymienione zbrodnie karę włóczenia końmi, łamania kołem i ćwiartowania najmiłościwiej nam panująca Anna Henrietta, Jaśnie Oświecona księżna Toussaint i pani na Beauclair, raczyła złagodzić na ścięcie głowy toporem. Niechaj sprawiedliwości stanie się zadość!

Tłum wzniósł kilka nieskładnych okrzyków. Stojące w pierwszym rzędzie baby jęły obłudnie zawodzić i nieszczerze lamentować. Dzieci wzięto na ręce lub na barana, by nie uroniły niczego ze spektaklu. Pomocnicy kata wytoczyli na środek szafotu pień i nakryli go serwetką. Było trochę zamieszania, albowiem okazało się, że ktoś świsnął wiklinowy kosz na uciętą głowę, ale rychło znaleziono drugi.

Pod szafotem czterej obdarci ulicznicy rozwinęli chustę, by złapać na nią krew. Był wielki popyt na tego typu suweniry, można było na tym nieźle zarobić.

– Geralt – Ciri nie podnosiła opuszczonej głowy. – Musimy coś zrobić...

Nie odpowiedział.

– Chcę przemówić do ludu – oświadczył dumnie Jaskier.

– Byle krótko, wicehrabio.

Poeta stanął na skraju rusztowania, uniósł ręce. Tłum zaszemrał i uciszył się.

– Hej, ludu! – zawołał Jaskier. – Co słychać? Jak się macie?

– Ano, jakoś się żyje – bąknął po długiej ciszy ktoś z dalszych rzędów.

– To i dobrze – kiwnął głową poeta. – Wielcem rad. No, teraz już możemy zaczynać.

– Mistrzu małodobry – rzekł ze sztuczną emfazą żałobny. – Czyń twą powinność!

Kat zbliżył się, zgodnie ze starodawnym obyczajem przyklęknął przed skazańcem, schylił zakapturzoną głowę.

– Odpuść mi, dobry człowieku – poprosił grobowo.

– Ja? – zdziwił się Jaskier. – Tobie?

– Ehe.

– W życiu.

– Eee?

– W życiu nie odpuszczę. Niby z jakiej racji? Widzieliście go, figlarza! Za chwilę głowę mi utnie, a ja mam mu to wybaczyć? Kpicie sobie ze mnie czy co? W takiej chwili?

– Jakże to tak, panie? – zafrasował się małodobry. – Przecie takie prawo... I zwyczaj taki... Skazaniec winien najsamprzód wybaczyć katu. Dobry panie! Odpuść winę, wybacz grzech...

– Nie.

– Nie?

– Nie!

– Nie będę go tracił – oświadczył ponuro kat, wstając z klęczek. – Niech odpuści, taki syn, inaczej nie będzie z tego nic.

– Panie wicehrabia... – Żałobny urzędnik ujął Jaskra za łokieć. – Nie utrudniajcie. Ludzie się zebrali, czekają... Odpuśćcie mu, przecie grzecznie prosi...

– Nie odpuszczę i już!

– Mistrzu małodobry... – Żałobny zbliżył się do kata. – Zetnijcie go bez odpuszczania, co? Ja wam to wynagrodzę...

Kat bez słowa wyciągnął garść wielką jak patelnia. Żałobny westchnął, sięgnął do kalety i nasypał do garści monet. Małodobry patrzył na nie przez chwilę, potem zacisnął pięść. Oczy w otworach kaptura zabłysły mu złowrogo.

– Dobra – powiedział, chowając pieniądze i zwracając się ku poecie. – Klęknijcie no, panie uparty. Złóżcie no głowę na pień, panie złośliwy. Ja też, jak chcem, potrafiem być złośliwy. Będę was ścinał na dwa razy. Jak mi się uda, to na trzy.

– Odpuszczam! – zawył Jaskier. – Wybaczam!

– Dziękuję.

– Skoro odpuścił – rzekł ponuro żałobny urzędnik – tedy oddajcie pieniądze.

Kat odwrócił się i podniósł topór.

– Odsuńcie się, wielgomożny panie – powiedział złowróżbnie głuchym głosem. – Nie plączcie się wedle narzędzia. Wiecie wszak, gdzie głowy rąbią, tam uszy lecą.

Urzędnik cofnął się gwałtownie, tak że o mały włos nie spadł z szafotu.

– Tak dobrze? – Jaskier uklęknął i wyciągnął szyję na pniu. – Mistrzu? Hej, mistrzu?

– Czego?

– Żartowaliście, prawda? Zetniecie na jeden raz? Od jednego machu? Co?

Kat błysnął oczami.

– Niespodzianka – warknął złowieszczo.

Tłum zafalował nagle, ustępując przed wdzierającym się na plac jeźdźcem na spienionym koniu.

– Stać! – krzyknął jeździec, wymachując wielkim, obwieszonym czerwonymi pieczęciami rulonem pergaminu. – Wstrzymać kaźń! Rozkaz książęcy! Z drogi! Wstrzymać kaźń! Wiozę łaskę skazańcowi!

– Znowu? – warknął kat, opuszczając wzniesiony już topór. – Znowu ułaskawienie? To już się robi nudne.

– Łaska! Łaska! – zaryczał tłum. Baby z pierwszego rzędu zaczęły lamentować jeszcze głośniej. Sporo osób, głównie małolatów, gwizdało i wyło z dezaprobatą.

– Uciszcie się, zacni panowie i mieszczanie! – wrzasnął żałobny, rozwijając pergamin. – Oto wola jej miłości Anny Henrietty! W swej niezmierzonej dobroci, dla uczczenia zawarcia pokoju, któren, jak wieść niesie, został zawarty w mieście Cintra, Jej Miłość darowuje wicehrabiemu Julianowi Alfredowi Pankratzowi de Lettenhove, alias Jaskrowi, jego przewiny i ułaskawia go od kaźni...

– Kochana Łasiczka – powiedział Jaskier, uśmiechając się szeroko.

– ...rozkazując jednocześnie, by pomieniony wicehrabia Julian Pankratz *et cetera* bez zwłoki opuścił stolicę i granice księstwa Toussaint i nigdy tu nie powracał, albowiem niemiły jest Jej Miłości i patrzeć na niego Jej Miłość nie może! Jesteście wolni, wicehrabio.

– A moja majętność? – wrzasnął Jaskier. – Hę? Moje dobra, gaje, bory i zamki możecie sobie zatrzymać, ale oddajcie, cholera na wasze głowy, lutnię, konia Pegaza, sto czterdzieści talarów i osiemdziesiąt halerzy, płaszcz podbity szopami, pierścień...

– Zamknij się! – krzyknął Geralt, roztrącając koniem pomstujący i niechętnie rozstępujący się tłum. – Zamknij się, złaź i chodź tu, bałwanie! Ciri, toruj drogę! Jaskier! Słyszysz, co do ciebie mówię?

– Geralt? To ty?

– Nie pytaj, tylko złaź! Do mnie! Skacz na konia!

Przedarli się przez ciżbę, cwałem popędzili wąską uliczką. Ciri przodem, za nią Geralt i Jaskier na Płotce.

– Po co ten pośpiech? – odezwał się bard zza pleców wiedźmina. – Nikt nas nie goni.

– Na razie. Twoja księżna lubi zmieniać zdanie i znienacka odwoływać, co wcześniej postanowiła. Przyznaj się, wiedziałeś o tym ułaskawieniu?

– Nie, nie wiedziałem – wymruczał Jaskier. – Ale, przyznam, liczyłem na nie. Łasiczka jest kochana i ma dobre serduszko.

– Przestań z tą Łasiczką, do cholery. Wykręciłeś się dopiero co sianem z obrazy majestatu, chcesz podpaść pod recydywę?

Trubadur zamilkł. Ciri wstrzymała Kelpie, zaczekała na nich. Gdy się zrównali, spojrzała na Jaskra i otarła łzy.

– Ech, ty... – powiedziała. – Ty... Pankracu...

– W drogę – ponaglił wiedźmin. – Opuśćmy to miasto i granice tego uroczego księstwa. Póki jeszcze możemy.

•

Niemal na samej granicy Toussaint, w miejscu, skąd widać już było górę Gorgonę, dogonił ich goniec książęcy. Ciągnął za sobą osiodłanego Pegaza, wiózł lutnię, płaszcz i pierścień Jaskra. Pytanie o sto czterdzieści talarów i osiemdziesiąt halerzy zlekceważył. Prośby barda, by przekazał księżnej pani całuski, wysłuchał z kamienną twarzą.

Pojechali w górę Sansretour, teraz już będącej malutkim i żwawym strumieniem. Ominęli Belhaven.

Obozowali w dolinie Newi. W miejscu, które wiedźmin i bard pamiętali.

Jaskier bardzo długo wytrzymał. Nie zadawał pytań.

Ale wreszcie trzeba było mu o wszystkim opowiedzieć.

I potowarzyszyć mu w milczeniu. W paskudnej, ciężkiej, zropiałej jak wrzód ciszy, jaka zapadła po opowieści.

•

W południe następnego dnia byli na Stokach, pod Riedbrune. W całej okolicy panowały spokój, ład i porządek. Ludzie byli ufni i uczynni. Czuło się bezpieczeństwo.

Wszędzie stały ciężkie od wisielców szubienice.

Ominęli miasto, kierując się ku Dol Angra.

– Jaskier! – Geralt dopiero teraz zauważył to, co powinien był zauważyć już dawno. – Twój bezcenny tubus! Twoje wieki poezji! Goniec ich nie miał! Zostały w Toussaint!

– Zostały – przytaknął obojętnie bard. – W garderobie Łasiczki, pod stertą sukien, majtek i gorsetów. I niech tam sobie leżą po wieczne czasy.

– Zechcesz wyjaśnić?

– Co tu jest do wyjaśniania? W Toussaint miałem dość czasu, by dokładnie przeczytać, co napisałem.

– I co?

– Napiszę jeszcze raz. Od nowa.

– Rozumiem – kiwnął głową Geralt. – Krótko mówiąc, okazałeś się równie marnym pisarzem, jak faworytem. Dosadniej mówiąc: czego się dotkniesz, spieprzysz. No, ale jeśli twoje *Pół wieku* masz jeszcze szanse poprawić i napisać na nowo, to u księżnej Anarietty masz przesrane równo. Tfu, miłośnik z hańbą przepędzony. Tak, tak, nie ma co robić min! Być księciem małżonkiem w Toussaint nie było ci pisane, Jaskier.

– To się jeszcze zobaczy.

– Na mnie nie licz. Ja na to patrzeć nie zamierzam.

– I nikt cię nie prosi. Powiadam ci jednak, że Łasiczka ma dobre i wyrozumiałe serduszko. Prawda, poniosło ją trochę, gdy przyłapała mnie z młodą baronówną Nique... Ale teraz już z pewnością ochłonęła! Zrozumiała, że mężczyzna nie jest stworzony do monogamii. Wybaczyła mi i czeka pewnie...

– Jesteś beznadziejnie głupi – stwierdził Geralt, a Ciri energicznym kiwnięciem głowy potwierdziła, że uważa tak samo.

– Nie będę z wami dyskutował – nadął się Jaskier. – Tym bardziej, że to sprawa intymna. Powiadam wam jeszcze raz: Łasiczka mi wybaczy. Napiszę stosowną balladę lub sonet, prześlę jej, a ona...

– Zlituj się, Jaskier.

– Ach, naprawdę nie ma co z wami gadać. Dalej, jedźmy! Pędź, Pegazie! Pędź, latawcze białonogi!

Jechali.

Był maj.

•

– Przez ciebie – powiedział z wyrzutem wiedźmin – przez ciebie, przepędzony miłośniku, ja też musiałem uciekać z Toussaint jak jakiś banita czy wywołaniec. Nie zdążyłem nawet zobaczyć się...

– Z Fringillą Vigo? Nie zobaczyłbyś się. Ona krótko po waszym wyruszeniu, jeszcze w styczniu, wyjechała. Po prostu zniknęła.

– Nie o nią mi szło. – Geralt chrząknął, widząc, jak Ciri z zainteresowaniem strzyże uszami. – Chciałem spotkać się z Reynartem. Poznać go z Ciri...

Jaskier wbił oczy w grzywę Pegaza.

– Reynart de Bois-Fresnes – wymamrotał – gdzieś tak pod koniec lutego poległ w utarczce z grasantami na przełęczy Cervantesa, w okolicach strażnicy Vedette. Anarietta uhonorowała go pośmiertnie orderem...

– Zamknij się, Jaskier.

Jaskier zamknął się, posłuszny nad podziw.

•

Maj trwał i rozwijał się. Z łąk znikła jaskrawa żółć mleczy, zastąpiona puchatą, przybrudzoną i ulotną bielą dmuchawców.

Było zielono i bardzo ciepło. Powietrze, jeśli nie odświeżyła go króciutka burza, było gęste, gorące i lepkie jak krupnik.

•

Dwudziestego szóstego maja przekroczyli Jarugę po nowiutkim, bielutkim i pachnącym żywicą moście. Resztki starego mostu, czarne, osmolone, zwęglone bale, widać było w wodzie i na brzegu.

Ciri zrobiła się niespokojna.

Geralt wiedział. Znał jej zamiary, wiedział o planach, o umowie z Yennefer. Był przygotowany. Ale pomimo tego myśl o rozstaniu ukłuła go boleśnie. Jakby tam, w piersi, w środku, za żebrami, spał i nagle obudził się mały wredny skorpion.

•

Na rozstaju dróg za wsią Koprzywnica, za ruinami spalonej karczmy stał – od przynajmniej stu lat zresztą – rozłożysty dąb szypułkowy, teraz, wiosną, obwieszony drobniutkimi pajączkami kwiatu. Ludność całej okolicy, nawet z odległej Spalli, zwykła była wykorzystywać olbrzymie, a dość niskie konary dębu do wieszania na nich deszczułek i tabliczek zawierających przeróżne informacje. Służący łączności międzyludzkiej dąb zwany był z tej przyczyny Drzewem Wiadomości Złego i Dobrego.

– Ciri, zacznij od tamtej strony – skomenderował Geralt, zsiadając z konia. – Jaskier, ty przeglądasz od tej.

Zawieszone na konarach deszczułki poruszały się na wietrze, zderzały z klekotem.

Dominowały zwykłe po wojnie poszukiwania zaginionych i rozłączonych rodzin. Sporo było ogłoszeń typu: WRÓĆ, WYBACZAM CI WINY, sporo ofert masażu erotycznego i zbliżonych usług w okolicznych wsiach i miasteczkach, sporo ogłoszeń i reklam handlowych. Była korespondencja miłosna, były podpisane przez życzliwych donosy i anonimy. Zdarzały się też deszczułki zawierające poglądy filozoficzne ich autorów – w przeważającej mierze kretyńsko bezsensowne lub obrzydliwie obsceniczne.

– Ha! – zawołał Jaskier. – Na zamku Rastburg pilnie potrzebny wiedźmin, piszą, że zapłata wysoka, luksusowe noclegi i ekstraordynaryjnie smaczny wikt zapewnione. Skorzystasz, Geralt?

– Absolutnie nie.

Wiadomość, której szukali, znalazła Ciri.

I wówczas oznajmiła mu to, czego wiedźmin spodziewał się od dawna.

•

– Jadę do Vengerbergu, Geralt – powtórzyła. – Nie rób takiej miny. Wiesz przecież, że muszę. Yennefer mnie wezwała. Ona czeka tam na mnie.

– Wiem.

– Ty jedziesz do Rivii, na to spotkanie, z którego wciąż robisz sekret...

– Niespodziankę – przerwał. – Niespodziankę, nie sekret.

– Niespodziankę, zgoda. Ja zaś załatwię w Vengerbergu, co należy, zabiorę Yennefer i będziemy obie w Rivii za sześć dni. Nie rób takiej miny, prosiłam cię. I nie żegnajmy się, jakby to było na wieki. To tylko sześć dni! Do zobaczenia.

– Do zobaczenia, Ciri.

– Rivia, za sześć dni – powtórzyła raz jeszcze, obracając Kelpie.

Od razu poszła w cwał. Znikła bardzo szybko, a Geralt czuł, jak jakaś straszna, zimna, szponiasta łapa ściska mu żołądek.

– Sześć dni – powtórzył w zamyśleniu Jaskier. – Stąd do Vengerbergu i z powrotem do Rivii... Łącznie będzie blisko dwieście pięćdziesiąt mil... To jest niemożliwe, Geralt. Owszem, na tej jej czartowskiej klaczy, na której dziewczyna może podróżować z szybkością kuriera, trzy razy szybciej od nas, teoretycznie, bardzo teoretycznie, można w sześć dni pokonać taki dystans. Ale nawet ta diabelska klacz musi odpoczywać. A ta tajemnicza sprawa, którą Ciri ma do załatwienia, też przecież zajmie jakiś czas. A zatem niewykonalne jest...

– Dla Ciri – zacisnął usta wiedźmin – nie ma rzeczy niewykonalnych.

– Czyżby...

– To już nie jest ta dziewczyna, którą znałeś – przerwał mu ostro. – Nie ta.

Jaskier milczał długo.

– Mam dziwne uczucie...

– Zamilknij. Nic nie mów. Bardzo cię proszę.

•

Maj się kończył. Zbliżał się nów, księżyc malał, był już bardzo wąziutki. Jechali ku górom widocznym na horyzoncie.

•

Krajobraz był typowo powojenny. Wśród pól wyrastały ni z tego, ni z owego mogiły i kurhany, wśród bujnej wiosennej trawy bielały czerepy i szkielety. Na przydrożnych drzewach wisieli wisielcy, przy drogach, czekając na śmierć głodową, siedzieli nędzarze. Pod lasem, czekając, aż nędzarze osłabną, siedziały wilki.

Trawa nie rosła na czarnych połaciach, tam, którędy przeszły pożary.

Wsie i osady, po których zostały tylko okopcone kominy, odbudowywały się, rozbrzmiewały stukiem młotków i rzężeniem pił. Opodal ruin baby dziurawiły spaloną ziemię motykami. Niektóre, potykając się, ciągnęły brony i pługi, a parciane szleje wrzynały im się w wychudłe ramiona. W wyoranych bruzdach dzieci polowały na pędraki i glisty.

– Mam niejasne odczucie – rzekł Jaskier – że coś tu jest nie tak, jak powinno być. Czegoś tu brakuje... Nie odnosisz takiego wrażenia, Geralt?

– Hę?

– Coś tu nie jest normalne.

– Nic tu nie jest normalne, Jaskier. Nic.

•

Nocą, ciepłą, czarną i bezwietrzną, rozjaśnianą dalekimi migotnięciami błyskawic i niespokojną pomrukami gromów, biwakujący Geralt i Jaskier zobaczyli, jak horyzont na zachodzie zakwita czerwoną łuną pożaru. Nie było to daleko – wiatr, który się zerwał, przyniósł swąd dymu. Wiatr przyniósł też strzępy dźwięków. Słyszeli – chcąc nie chcąc – ryk mordowanych, wycie kobiet, zuchwały i triumfalny wrzask bandy.

Jaskier nic nie mówił, ale co i rusz ze strachem rzucał na wiedźmina okiem.

Ale wiedźmin nawet nie drgnął, nawet nie odwrócił głowy. A twarz miał jak ze spiżu.

Rano ruszyli w dalszą drogę. Na wznoszącą się nad lasem smużkę dymu nawet nie patrzyli.

A później napotkali kolumnę osadników.

•

Szli długim szeregiem. Wolno. Nieśli malutkie tobołeczki. Szli w zupełnej ciszy. Mężczyźni, chłopcy, kobiety, dzieci. Szli bez sarkania, bez płaczu, bez słowa skargi. Bez krzyków, bez rozpaczliwego zawodzenia.

Krzyk i rozpacz były w ich oczach. Pustych oczach ludzi skrzywdzonych. Ograbionych, zbitych, wypędzonych.

– Kto to? – Jaskier nie przejął się wrogością wyzierającą z oczu nadzorującego przemarsz oficera. – Kogo tak pędzicie?

– To Nilfgaardczycy – odburknął z wysokości swego siodła podnamiestnik, rumiany szczeniak liczący sobie góra osiemnaście wiosen. – Nilfgaardzcy osadnicy. Przyleźli na nasze ziemie jak karaluchy! To ich jak karaluchy wymiatamy. Tak w Cintrze postanowiono i tak w traktacie pokojowym zapisano.

Pochylił się, splunął.

– A ja – podjął, patrząc na Jaskra i wiedźmina wyzywająco – gdyby to ode mnie zależało, to bym ich stąd żywymi nie wypuścił, padalców.

– A ja – odezwał się przeciągle podoficer z siwym wąsem, spoglądając na swego dowódcę wzrokiem dziwnie wypranym z szacunku – gdyby to ode mnie zależało, to bym ich w pokoju zostawił na ich farmach. Nie wypędzałbym z kraju dobrych rolników. Cieszyłbym się, że mi rolnictwo prosperuje. Że jest co żreć.

– Głupiście, wachmistrzu, jak but – warknął podnamiestnik. – To Nilfgaard! Nie nasz język, nie nasza kultura, nie nasza krew. Rolnictwem byśmy się cieszyli, a żmiję na sercu hodowali. Zdrajców, cios w plecy zadać gotowych. Myślicie może, że między nami i Czarnymi już na wieki zgoda? Nie, niechże idą, skąd przyszli... Hej, żołnierze! Tam jeden ma wózek! Odebrać mu, żywo!

Rozkaz wykonano nader gorliwie. Przy użyciu nie tylko pałek i pięści, ale i obcasów.

Jaskier chrząknął.

– A wam co, coś nie w smak może? – smarkacz podnamiestnik zmierzył go spojrzeniem. – Możeście nilfgaardofil?

– Bogowie uchowajcie – przełknął ślinę Jaskier.

Wiele mijających ich pustookich, idących jak automaty kobiet i dziewcząt miało podartą przyodziewę, opuchłe i posiniaczone twarze, uda i łydki poznaczone wężykami krwi. Wiele trzeba było podtrzymywać, by mogły iść. Jaskier spojrzał na twarz Geralta i zaczął się bać.

– Czas nam w drogę – wymamrotał. – Bywajcie, panowie żołnierze.

– Bywajcie, panowie podróżni – pozdrowił wachmistrz. Podnamiestnik nawet nie odwrócił głowy, pochłonięty wypatrywaniem, czy aby któryś z osadników nie niesie bagażu większego niż ustalony pokojem cintryjskim.

Kolumna osadników szła.

Usłyszeli wysokie, rozpaczliwe, pełne bólu krzyki kobiety.

– Geralt, nie – jęknął Jaskier. – Nic nie rób, błagam... Nie mieszaj się...

Wiedźmin odwrócił ku niemu twarz, a Jaskier tej twarzy nie znał.

– Mieszać się? – powtórzył. – Interweniować? Ratować kogoś? Nadstawiać karku dla jakichś szlachetnych pryncypiów czy idei? O nie, Jaskier. Już nie.

•

Którejś nocy, niespokojnej, rozjaśnianej dalekimi błyskawicami, wiedźmina znowu rozbudził sen. Tym razem też nie był pewien, czy z jednego koszmaru nie trafił wprost w drugi.

Znowu nad resztkami ogniska unosiła się pulsująca jasność, płosząca konie, znowu w jasności było zamczysko, czarne kolumnady, stół, zasiadające za nim kobiety.

Dwie kobiety nie siedziały, lecz stały. Czarno-biała i czarno-szara.

Yennefer i Ciri.

Wiedźmin jęknął przez sen.

•

Yennefer miała rację, gdy dość kategorycznie odradzała jej strój męski. Ubrana jak chłopak, Ciri czułaby się głupio teraz, tu, na tej sali, wobec tych szykownych i skrzących się od biżuterii kobiet. Była rada, że dała się ustroić w kombinację czerni i szarości, pochlebiało jej, gdy czuła pełne aprobaty spojrzenia na swoich porozcinanych bufiastych rękawkach i wysokiej talii, na aksamitce z małą brylantową broszką w kształcie róży.

– Prosimy bliżej.

Ciri wzdrygnęła się lekko. Wcale nie tylko na dźwięk tego głosu. Yennefer, jak się okazywało, miała rację jeszcze w jednym – odradzała dekolt. Ciri uparła się jednak i teraz miała wrażenie, że przeciąg wręcz hula jej po piersiach, a cały biust, aż po pępek niemal, pokryty ma gęsią skórką.

– Jeszcze bliżej – powtórzyła ciemnowłosa i ciemnooka kobieta, którą Ciri znała, pamiętała z wyspy Thanedd. I choć Yennefer powiedziała jej, kogo zastaną w Montecalvo, opisała je wszystkie i nauczyła wszystkich imion, tę kobietę Ciri momentalnie zaczęła w myślach tytułować Panią Sową.

– Witamy – powiedziała Pani Sowa – w Loży Montecalvo. Panno Ciri.

Ciri skłoniła się tak, jak poleciła Yennefer, grzecznie, ale bardziej po męsku, bez panieńskiego dygu, bez skromnego i poddańczego spuszczania oczu. Uśmiechem odpowiedziała na szczery i miły uśmiech Triss Merigold, nieco głębszym skinieniem głowy na przyjazne spojrzenie Margarity Laux-Antille. Wytrzymała pozostałych osiem spojrzeń, choć były jak wiercące świdry. Jak kłujące ostrza dzid.

– Proszę siadać – skinęła monarszym iście gestem Pani Sowa. – Nie, nie ty, Yennefer! Tylko ona. Ty, Yennefer, nie jesteś zaproszonym gościem, lecz wezwaną do osądzenia i ukarania winowajczynią. Dopóki Loża nie zadecyduje o twym losie, będziesz stać.

Dla Ciri w okamgnieniu skończył się protokół.

– Wobec tego ja również będę stać – powiedziała bynajmniej nie cicho. – Ja również nie jestem tu żadnym gościem. Mnie też wezwano, by oznajmić mi mój los. To po pierwsze. A po drugie, los Yennefer to mój los. Co ona, to i ja. Tego się nie da rozerwać. Z całym szacunkiem.

Margarita Laux-Antille uśmiechnęła się, patrząc jej w oczy. Skromna, elegancka, o lekko haczykowatym nosie, mogąca być tylko Nilfgaardką, Assire var Anahid pokiwała głową, bębniąc lekko palcami po blacie stołu.

– Filippo – odezwała się kobieta z szyją okręconą boa ze srebrnych lisów. – Nie musimy, jak mi się zdaje, być aż tak pryncypialne. Przynajmniej nie dziś, nie w tej chwili. To jest okrągły stół Loży. Przy nim zasiadamy jako równe. Nawet jeśli ma się nas sądzić. Sądzę, że możemy wszystkie zgodzić się co do tego, by...

Nie dokończyła, powiodła wzrokiem po pozostałych czarodziejkach. Te zaś po kolei, skinieniami głów wyrażały zgodę – Margarita, Assire, Triss, Sabrina Glevissig, Keira Metz, obie piękne elfki. Tylko druga Nilfgaardka, kruczowłosa Fringilla Vigo, siedziała nieruchomo, blada bardzo, nie odrywając oczu od Yennefer.

– Niech i tak będzie – machnęła upierścienioną ręką Filippa Eilhart. – Siadajcie więc obie. Przy moim sprzeciwie. Ale jedność Loży przede wszystkim. Interes Loży przede wszystkim. I ponad wszystkim. Loża jest wszystkim, reszta niczym. Mam nadzieję, że to rozumiesz, Ciri?

– Bardzo dobrze. – Ciri ani myślała spuszczać wzroku. – Zwłaszcza, że to ja jestem tym niczym.

Francesca Findabair, przepiękna elfka, zaśmiała się perliście i dźwięcznie.

– Gratuluję, Yennefer – powiedziała hipnotyzująco melodyjnym głosem. – Rozpoznaję wybitą cechę, próbę tego złota. Rozpoznaję szkołę.

– Nietrudno rozpoznać. – Yennefer powiodła dokoła płomiennym wzrokiem. – Bo to jest szkoła Tissai de Vries.

– Tissaia de Vries nie żyje – powiedziała spokojnie Pani Sowa. – Nie ma jej za tym stołem. Tissaia de Vries umarła, rzecz to odżałowana i odpłakana. Będąca jednocześnie cezurą i punktem zwrotnym. Nastał bowiem nowy czas, przyszła nowa era, idą wielkie przemiany. A tobie, Ciri, która niegdyś byłaś Cirillą z Cintry, los wyznaczył w tych przemianach ważną rolę. Zapewne już wiesz, jaką.

– Wiem – szczeknęła Ciri, nie reagując na mitygujące syknięcie Yennefer. – Wytłumaczył mi to Vilgefortz! Szykując się do wsadzenia mi szklanej szprycy między nogi. Jeśli to ma być moje przeznaczenie, to pięknie dziękuję.

Ciemne oczy Filippy zapłonęły zimnym gniewem. Ale tą, która się odezwała, była Sheala de Tancarville.

– Wiele się jeszcze musisz nauczyć, dziecko – powiedziała, otulając szyję boa ze srebrnych lisów. – Wielu rzeczy, jak widzę i słyszę, będziesz się też musiała oduczyć, sama lub z czyjąś pomocą. Ostatnimi czasy posiadłaś, da się to miarkować, wiele wiedzy złej, niezawodnie doznałaś też i doświadczyłaś zła. Teraz, w swym dziecięcym zacietrzewieniu, odmawiasz zauważania dobra, negujesz dobro i dobre intencje. Stroszysz kolce jak jeż, niezdolna rozpoznać tych, którym właśnie o twoje dobro idzie. Fukasz i wysuwasz pazury jak dziki kotek, nie pozostawiając nam wyboru: trzeba cię będzie wziąć za karczek. I zrobimy to, dziecko, bez sekundy zastanowienia. Bo jesteśmy od ciebie starsze, mądrzejsze, wiemy wszystko o tym, co było i o tym, co jest, wiemy wiele o tym, co będzie. Weźmiemy cię za karczek, kotku, po to, byś kiedyś, wkrótce, jako doświadczona i mądra kocica, zasiadła tutaj, za tym stołem, wśród nas. Jedna z nas. Nie! Ani słowa! Nie odważ się otwierać ust, gdy mówi Sheala de Tancarville!

Głos kovirskiej czarodziejki, ostry i przenikliwy jak drapiący żelazo nóż, zawisł nagle nad stołem. Nie tylko Ciri się skurczyła; lekko drgnęły i wciągnęły głowy w ramiona nawet inne magiczki z Loży, no, może z wyjątkiem Filippy, Franceski i Assire. I Yennefer.

– Miałaś rację – podjęła Sheala, otulając szyję boa – mniemając, że wezwano cię do Montecalvo, by ci oznajmić twój los. Nie miałaś racji mniemając, że jesteś niczym. Jesteś bowiem wszystkim, jesteś przyszłością świata. W tej chwili, rzecz jasna, nie wiesz tego i nie rozumiesz tego, w tej chwili jesteś nastroszonym i parskającym kotkiem, dzieckiem po traumatycznych przejściach, które w każdym widzi Emhyra var Emreisa lub Vilgefortza z inseminatorem w ręku. I nie ma sensu teraz, w tej chwili, wyjaśnianie ci, że się mylisz, że idzie o twoje dobro i o dobro świata. Przyjdzie czas na takie wyjaśnienia. Kiedyś. Teraz, zaperzona, i tak nie zechcesz usłuchać głosu rozsądku, teraz na każdy argument będziesz miała ripostę w postaci dziecięcego uporu i krzykliwego zacietrzewienia. Teraz będziesz więc zwyczajnie wzięta za karczek. Skończyłam. Oznajmij dziewczynie jej los, Filippo.

Ciri siedziała sztywno, gładząc głowy sfinksów, którymi zakończone były poręcze krzesła.

– Pojedziesz – przerwała ciężką i martwą ciszę Pani Sowa – ze mną i z Shealą do Koviru, do Pont Vanis, letniej stolicy królewskiej. Ponieważ nie jesteś już żadną Cirillą z Cintry, na audiencji zostaniesz przedstawiona jako adeptka magii, nasza podopieczna. Na audiencji poznasz bardzo mądrego króla, Esterada Thyssena, krew prawdziwie królewską. Poznasz jego małżonkę, królową Zuleykę, osobę niezwykłej szlachetności i dobroci. Poznasz też syna królewskiej pary, królewicza Tankreda.

Ciri, zaczynając rozumieć, szeroko otworzyła oczy. Pani Sowa spostrzegła to.

– Tak – potwierdziła. – Przede wszystkim na królewiczu Tankredzie musisz zrobić wrażenie. Zostaniesz bowiem jego kochanką i urodzisz jego dziecko.

– Gdybyś nadal była Cirillą z Cintry – podjęła po długiej chwili Filippa – gdybyś nadal była córką Pavetty i wnuczką Calanthe, uczyniłybyśmy cię ślubną żoną Tankreda. Księżną, a potem królową Koviru i Poviss. Niestety, mówię to z prawdziwym żalem, los wyzuł cię ze wszystkiego. Także z przyszłości. Będziesz tylko miłośnicą. Faworytą.

– Z nazwy – wtrąciła Sheala – i formalnie. W praktyce postaramy się bowiem, byś u boku Tankreda miała status księżnej, a potem nawet królowej. Rzecz jasna, konieczna będzie twoja pomoc. Tankred musi pragnąć, byś była u jego boku. W dzień i w nocy. Nauczymy cię, jak

podsyca się takie pragnienie. Ale od ciebie zależy, czy nauka nie pójdzie w las.

– To są w sumie drobiazgi – powiedziała Pani Sowa. – Ważne jest, byś jak najszybciej zaszła z Tankredem w ciążę.

– No, jasne – bąknęła Ciri.

– Dziecku twojemu i Tankreda – Filippa nie spuszczała z niej swych ciemnych oczu – przyszłość i pozycję zapewni Loża. Należy ci się informacja, że myślimy tu o rzeczach naprawdę dużych. Będziesz zresztą w tym uczestniczyć, albowiem zaraz po urodzeniu dziecka zaczniesz brać udział w naszych zebraniach. Będziesz się uczyć. Jesteś bowiem, choć dziś to może być dla ciebie niepojęte, jedną z nas.

– Na wyspie Thanedd – Ciri pokonała opór ściśniętego gardła – nazwała mnie pani potworem, Pani Sowo. A dziś mi pani mówi, że jestem jedną z was.

– Nie ma w tym sprzeczności – rozległ się melodyjny jak szum strumyka głos Enid an Gleanna, Stokrotki z Dolin. – My, *me luned*, wszystkie jesteśmy potworami. Każda na swój sposób. Nieprawdaż, Pani Sowo?

Filippa wzruszyła ramionami.

– Tę szpetną szramę na twarzy – odezwała się znowu Sheala, pozornie obojętnie skubiąc boa – zamaskujemy ci iluzją. Będziesz piękna i tajemnicza, a Tankred Thyssen, zapewniam cię, po prostu zwariuje na twym punkcie. Trzeba będzie wymyślić ci personalia. Cirilla to imię ładne i wcale nie aż tak rzadkie, byś musiała z niego rezygnować dla zachowania incognito. Ale trzeba dać ci nazwisko. Nie będę protestować, jeśli wybierzesz moje.

– Albo moje – powiedziała Pani Sowa, uśmiechając się kącikiem ust. – Cirilla Eilhart też brzmi ładnie.

– To imię – w sali znowu zadzwoniły srebrne dzwoneczki głosu Stokrotki z Dolin – brzmi ładnie w każdym zestawieniu. I każda z nas, jak tu siedzimy, pragnęłaby mieć taką córkę jak ty, Zireael, jaskółko o oczach sokoła, ty, która jesteś krwią z krwi i kością z kości Lary Dorren. Każda z nas oddałaby wszystko, nawet tę Lożę, nawet los królestw i całego świata, żeby tylko mieć taką córkę jak ty. Ale to niemożliwe. Wiemy, że to niemożliwe. Dlatego tak zazdrościmy Yennefer.

– Dziękuję pani Filippie – przemówiła po chwili Ciri, zaciskając dłonie na głowach sfinksów. – Zaszczycona też jestem propozycją noszenia

nazwiska de Tancarville. Ponieważ jednak wygląda, że nazwisko to jedyna rzecz, jaka w tej całej sprawie zależna jest ode mnie i od mego wyboru, jedyna rzecz, jakiej mi się nie narzuca, muszę obu paniom podziękować i wybrać sama. Nazywać chcę się Ciri z Vengerbergu, córka Yennefer.

– Ha! – błysnęła zębami czarnowłosa czarodziejka, będąca, jak odgadywała Ciri, Sabriną Glevissig z Kaedwen. – Tankred Thyssen okaże się durniem, jeśli nie poślubi jej morganatycznie. Jeżeli zamiast niej da sobie wcisnąć na żonę jakąś mydlaną princessę, okaże się durniem i ślepcem, nie umiejącym rozpoznać brylantu wśród szkiełek. Gratuluję, Yenna. I zazdroszczę. A ty wiesz, jak szczera potrafię być w zazdrości.

Yennefer podziękowała skinieniem głowy. Bez choćby cienia uśmiechu.

– A zatem – powiedziała Filippa – wszystko załatwione.

– Nie – powiedziała Ciri.

Francesca Findabair parsknęła z cicha. Sheala de Tancarville uniosła głowę, a rysy twarzy stwardniały jej nieładnie.

– Ja muszę rzecz przemyśleć – oświadczyła Ciri. – Zastanowić się. Poukładać wszystko w sobie. Na spokojnie. Gdy to uczynię, wrócę tu, do Montecalvo. Stanę przed paniami. Powiem paniom, co postanowiłam.

Sheala poruszyła wargami, jakby znalazła w ustach coś, co należy natychmiast wypluć. Ale nie odezwała się.

– Jestem – zadarła głowę Ciri – umówiona z wiedźminem Geraltem w mieście Rivia. Przyrzekłam mu, że się tam z nim spotkam, że przyjadę tam razem z Yennefer. Dotrzymam tej obietnicy, z waszą zgodą lub bez niej. Obecna tu pani Rita wie, że ja, gdy idę do Geralta, zawsze znajdę dziurę w murze.

Margarita Laux-Antille z uśmiechem kiwnęła głową.

– Z Geraltem muszę porozmawiać. Pożegnać się z nim. I przyznać mu rację. Bo o jednej rzeczy trzeba paniom wiedzieć. Gdyśmy odjeżdżali z zamku Stygga, zostawiając za sobą trupy, spytałam Geralta, czy to już koniec, czy zwyciężyliśmy, czy zło zostało pokonane, a dobro zatriumfowało. A on tylko uśmiechnął się tak jakoś dziwnie i smutno. Myślałam, że to ze zmęczenia, przez to, że wszystkich jego przyjaciół pochowaliśmy tam, pod zamkiem Stygga. Ale dziś już wiem, co znaczył ten uśmiech. To był uśmiech politowania nad naiwnością dziecka, które sądziło, że poderżnięte gardła Vilgefortza i Bonharta oznaczają triumf

dobra nad złem. Muszę mu koniecznie powiedzieć, że zmądrzałam, że zrozumiałam. Muszę mu to koniecznie powiedzieć.

– Muszę też spróbować przekonać go, że to, co panie chcą mi zrobić, różni się jednak zasadniczo od tego, co chciał zrobić mi szklaną szprycką Vilgefortz. Muszę spróbować wyjaśnić mu, że jest różnica miedzy zamkiem Montecalvo a zamkiem Stygga, chociaż Vilgefortzowi szło o dobro świata i paniom też idzie o dobro świata.

– Wiem, że nie będzie mi łatwo przekonać takiego starego wilka jak Geralt. Geralt powie, że jestem smarkula, że łatwo mnie omamić pozorami szlachetności, że całe to przeznaczenie i dobro świata to głupie frazesy. Ale muszę spróbować. To ważne, żeby on to zrozumiał i żeby to zaakceptował. To bardzo ważne. Także dla pań.

– Nic nie zrozumiałaś – powiedziała ostro Sheala de Tancarville. – Nadal jesteś dzieciakiem, które od etapu smarkatego ryku i tupania nóżkami przechodzi do smarkatej arogancji. Jedno, co budzi nadzieje, to żywość twego umysłu. Będziesz uczyć się prędko, wkrótce, wierz mi, będziesz śmiać się, wspominając głupstwa, które tu wygadywałaś. Względem twego wyjazdu do Rivii, proszę, niechaj wypowie się Loża. Ja wyrażam zdecydowany sprzeciw. Z powodów pryncypialnych. By ci dowieść, że ja, Sheala de Tancarville, nigdy nie rzucam słów na wiatr. I że potrafię przygiąć ci twój hardy karczek. Trzeba, dla twego własnego dobra, nauczyć cię dyscypliny.

– Rozstrzygnijmy więc tę kwestię – Filippa Eilhart położyła dłonie na stole. – Proszę, by panie wypowiedziały swoje zdania. Czy mamy pozwolić, aby harda panienka Ciri pojechała do Rivii? Na spotkanie z jakimś wiedźminem, dla którego wkrótce w jej życiu nie będzie miejsca? Czy mamy dopuścić, by rósł w niej sentymentalizm, którego wkrótce będzie musiała się wyzbyć do cna? Sheala jest przeciw. A pozostałe panie?

– I ja jestem przeciw – oświadczyła Sabrina Glevissig. – Też z powodów pryncypialnych. Dziewczyna mi się podoba, podoba mi się, co tu gadać, jej impertynencja i krewka zuchwałość, wolę to niż ciepłe kluchy. Nie miałabym nic przeciw jej prośbie, zwłaszcza że wróciłaby tu niezawodnie, takie jak ona słowa nie łamią. Ale pannica odważyła się grozić nam. Niech wie, że drwimy sobie z takich gróźb!

– Jestem przeciwna – powiedziała Keira Metz. – Z powodów praktycznych. Dziewczyna i mnie się podoba, a ten Geralt niósł mnie na

Thanedd na rękach. Nie ma we mnie krztyny sentymentalizmu, ale było mi wówczas strasznie przyjemnie. Byłby sposób się odwdzięczyć. Ale nie! Bo mylisz się, Sabrino. Dziewczyna jest wiedźminką i próbuje nas po wiedźmińsku przechytrzyć. Krótko mówiąc, zwiać.

– Czy ktoś tu – spytała Yennefer, złowrogo przeciągając słowa – ośmiela się wątpić w słowo mojej córki?

– Ty, Yennefer, milcz – syknęła Filippa. – Nie odzywaj się, bym nie straciła cierpliwości. Mamy dwa głosy na nie. Słuchamy dalszych.

– Głosuję za tym, by pozwolić jej jechać – powiedziała Triss Merigold. – Znam ją i ręczę za nią. Chciałabym też, o ile się zgodzi, towarzyszyć jej w tej podróży. Wspomóc ją, jeśli się zgodzi, w rozważaniach i przemyśleniach. I, jeśli się zgodzi, w rozmowie z Geraltem.

– Także głosuję za – uśmiechnęła się Margarita Laux-Antille. – Zdziwi panie to, co powiem, ale robię to dla Tissai de Vries. Tissaia, gdyby tu była, żachnęłaby się na sugestię, że dla utrzymania jedności Loży trzeba stosować przymus i ograniczenie wolności osobistej.

– Głosuję za – powiedziała Francesca Findabair, poprawiając koronki na dekolcie. – Powodów jest wiele, wyjawiać ich nie muszę i nie będę.

– Głosuję za – powiedziała równie lakonicznie Ida Emean aep Sivney. – Bo tak każe mi moje serce.

– A ja jestem przeciwna – oznajmiła sucho Assire var Anahid. – Nie kierują mną żadne sympatie, antypatie ani kwestie pryncypialne. Lękam się o życie Ciri. Pod opieką Loży jest bezpieczna, na prowadzących do Rivii gościńcach będzie łatwym celem. A ja obawiam się, że są tacy, którzy, odebrawszy jej nawet imię i tożsamość, wciąż uważają, że to za mało.

– Pozostało nam – powiedziała dość zjadliwie Sabrina Glevissig – poznać stanowisko pani Fringilli Vigo. Chociaż powinno być ono oczywiste. Pozwolę sobie przypomnieć bowiem wszystkim paniom zamek Rhys-Rhun.

– Wdzięczna za przypomnienie – Fringilla Vigo dumnie uniosła głowę – oddam głos za Ciri. By dowieść szacunku i sympatii, jaką mam dla tej dziewczyny. A nade wszystko robię to dla Geralta z Rivii, wiedźmina, bez którego tej dziewczyny nie byłoby dziś tutaj. Który, by ratować Ciri, szedł na koniec świata, walcząc ze wszystkim, co stanęło mu na drodze, nawet ze sobą samym. Byłoby podłością odmawiać mu teraz spotkania z nią.

– Za mało było jednak podłości – powiedziała cynicznie Sabrina – a za dużo naiwnego sentymentalizmu, tego samego sentymentalizmu, który mamy zamiar wykorzeniać z tej panny. Ba, nawet o sercu była tu mowa. A rezultat jest taki, że szale wagi stanęły w równowadze. Pięć głosów za, pięć, wliczywszy Filippę, przeciw. A więc martwy punkt. Niczego nie zdecydowałyśmy. Trzeba głosować jeszcze raz. Proponuję tajnie.

– A po co?

Wszyscy spojrzeli na tę, która się odezwała. Na Yennefer.

– Ciągle jestem członkinią tej Loży – powiedziała Yennefer. – Nikt nie pozbawił mnie członkostwa. Nie przyjęto nikogo na moje miejsce. Formalnie mam prawo głosu. Chyba jasne jest, za czym głosuję. Głosy za przeważają więc i sprawa jest załatwiona.

– Twoja bezczelność – powiedziała Sabrina, splatając uzbrojone onyksowymi pierścieniami palce – ociera się o granice dobrego smaku, Yennefer.

– Na pani miejscu milczałabym z pokorą – dodała poważnie Sheala. – Myśląc o głosowaniu, którego wkrótce sama będzie pani przedmiotem.

– Poparłam Ciri – powiedziała Francesca – ale ciebie, Yennefer, muszę przywołać do porządku. Wystąpiłaś z Loży, uciekając z niej i odmawiając współpracy. Nie masz żadnych praw. Masz natomiast zobowiązania, długi do zapłacenia, wyrok do wysłuchania. Gdyby nie to, nie byłabyś wpuszczona za próg Montecalvo.

Yennefer przytrzymała Ciri, rwącą się, by wstać i krzyczeć. Ciri bez oporu i w ciszy opadła na krzesło z oparciami wyrzeźbionymi w sfinksy. Widząc, jak ze swego fotela wstaje, górując nagle nad stołem, Pani Sowa. Filippa Eilhart.

– Yennefer – oświadczyła dźwięcznie – nie ma prawa głosu, to jasne. Ale ja mam. Wysłuchałam głosów wszystkich tu obecnych pań, mogę wreszcie, jak sądzę, sama zagłosować?

– Jak to? – zmarszczyła brwi Sabrina. – Co chcesz przez to powiedzieć, Filippo? Że jeszcze nie głosowałaś? Byłam pewna...

Filippa Eilhart spojrzała przez stół. Napotkała oczy Ciri i zajrzała w nie.

•

Dno basenu jest z różnokolorowej mozaiki, płytki mienią się i zdają poruszać. Cała woda drga, migocze światłocieniem. Pod wielkimi jak talerze liśćmi nenufarów, wśród zielonych glonów migają karasie i orfy.

W wodzie odbijają się wielkie ciemne oczy dziewczynki, jej długie włosy sięgają powierzchni, pływają po niej.

Dziewczynka, zapomniawszy o całym świecie, wodzi rączkami wśród łodyg grążeli, przewieszona przez krawędź basenu fontanny. Chce koniecznie dotknąć którejś z tych złotych i czerwonych rybek. Rybki podpływają do rączek dziewczynki, krążą wokół nich ciekawie, ale schwytać się nie dają, nieuchwytne jak zjawy, jak sama woda. Palce ciemnookiej dziewczynki zaciskają się na nicości.

– Filippa!

To najukochańszy głos. Mimo tego dziewczynka nie reaguje natychmiast. Nadal patrzy w wodę, na rybki, na nenufary, na swoje odbicie.

– Filippa!

•

– Filippo – ostry głos Sheali de Tancarville wyrwał ją z zamyślenia. – Czekamy.

Z otwartego okna powiało zimnym, wiosennym wiatrem. Filippa Eilhart wzdrygnęła się. Śmierć, pomyślała. Śmierć przeszła obok mnie.

– Ta Loża – przemówiła wreszcie pewnie, głośno i dobitnie – będzie decydować o losach świata. Dlatego ta Loża jest jak świat, jest jego zwierciadłem. W równowadze stają tu rozsądek, który nie zawsze oznacza zimną podłość i wyrachowanie, i sentymentalizm, który nie zawsze jest naiwny. Odpowiedzialność, żelazna, narzucana choćby siłą dyscyplina i niechęć do przemocy, łagodność i zaufanie. Rzeczowy chłód omnipotencji... i serce.

– Ja – podjęła w ciszy, jaka zapadła w sali kolumnowej zamku Montecalvo – oddając mój głos jako ostatnia z głosujących, biorę pod uwagę jeszcze jedną rzecz. Taką, która, nie równoważąc się z niczym, równoważy wszystko.

Idąc za jej wzrokiem, wszystkie spojrzały na ścianę, na mozaikę, na której ułożony z maleńkich różnobarwnych płytek wąż Uroboros chwytał zębami własny ogon.

– Tą rzeczą – podjęła, wpijając w Ciri swe ciemne oczy – jest przeznaczenie. W które ja, Filippa Eilhart, od niedawna zaczęłam wierzyć. Które ja, Filippa Eilhart, od niedawna zaczęłam rozumieć. Przeznaczenie to nie wyroki opatrzności, to nie zwoje zapisane ręką

demiurga, to nie fatalizm. Przeznaczenie to nadzieja. Będąc pełna nadziei, wierząc, że to, co ma się stać, stanie się, oddaję mój głos. Oddaję mój głos Ciri. Dziecku przeznaczenia. Dziecku nadziei.

Długo trwała cisza w pogrążonej w subtelnym światłocieniu sali kolumnowej zamczyska Montecalvo. Zza okna dobiegł krzyk krążącego nad jeziorem orła rybołowa.

– Pani Yennefer – szepnęła Ciri. – Czy to znaczy...

– Chodźmy, córeczko – odpowiedziała cichym głosem Yennefer. – Geralt czeka na nas, a droga przed nami daleka.

•

Geralt przebudził się i poderwał, mając w uszach krzyk nocnego ptaka.

Potem czarodziejka i wiedźmin pobrali się i huczne wyprawili weselisko. Ja też tam byłem, miód i wino piłem. A oni później żyli szczęśliwie, ale bardzo krótko. On umarł zwyczajnie, na atak serca. Ona umarła niedługo po nim, a na co, o tym bajka nie wspomina. Mówią, że z żalu i tęsknoty, ale któżby tam bajkom wiarę dawał.

Flourens Delannoy, *Bajki i klechdy*

Rozdział dwunasty

Był szósty dzień po czerwcowym nowiu, gdy dotarli do Rivii.

Wyjechali z lasów na zbocza wzgórz i wówczas pod nimi, w dole, nagle i bez ostrzeżenia błysnęła lustrzanie tafla jeziora Loc Eskalott kształtem runy, od której wzięło nazwę, wypełniającego kotlinę. W tafli przeglądały się porośnięte jodłą i modrzewiem wzgórza Craag Ros, wysunięta rubież masywu Mahakam. I czerwone dachówki wież stojącego na jeziornym cyplu pękatego zamku Rivia, zimowej siedziby królów Lyrii. A u zatoki przy południowym krańcu Loc Eskalott leżał gród rivski, jaśniejący słomianym podgrodziem, ciemniejący domami niczym opieńki porastającymi brzeg jeziora.

– No, to jakby dojechaliśmy – stwierdził fakt Jaskier, osłaniając oczy dłonią. – Oto zatoczyliśmy krąg, jesteśmy w Rivii. Dziwnie, oj, dziwnie się te losy plotą... Na żadnej z zamkowych wież nie widzę biało-błękitnego proporca, a zatem królowa Meve na zamku nie gości. Nie sądzę zresztą, by ci jeszcze pamiętała tamtą dezercję...

– Wierz mi, Jaskier – przerwał Geralt, kierując konia w dół po zboczu. – Jest mi głęboko obojętne, kto i co mi pamięta.

Pod miastem, niedaleko rogatek, stał kolorowy namiot przypominający babkę z ciasta. Przed namiotem, na kiju, wisiała biała tarcza z czerwoną krokwią. Pod podniesioną połą namiotu stał rycerz w pełnej zbroi i białej jace ozdobionej takimże godłem co tarcza. Rycerz przenikliwym i dość zaczepnym spojrzeniem mierzył mijające go baby z chrustem, maziarzy i dziegciarzy z łagwiami towaru, pastuchów,

domokrążców i proszalnych dziadów. Na widok jadących stępa Geralta i Jaskra oczy rozbłysły mu z nadzieją.

– Dama waszego serca – Geralt lodowatym głosem rozwiał nadzieje rycerza – kimkolwiek jest, jest najpiękniejszą i najcnotliwszą dziewicą od Jarugi po Buinę.

– Na honor – odwarknął rycerz. – Prawiście, panie.

•

Jasnowłosa dziewczyna w skórzanej, gęsto nabijanej srebrnymi ćwiekami kurtce wymiotowała na środku ulicy, zgięta w pół, przytrzymując się strzemienia hreczkowatej klaczy. Dwaj koledzy dziewczyny, identycznie umundurowani, noszący miecze na plecach i opaski na czołach, plugawie klęli przechodniów bełkotliwymi nieco głosami. Obaj byli bardziej niż nietrzeźwi, chwiali się na nogach, obijali o boki koni i belkę ustawionego przed zajazdem koniowiązu.

– Naprawdę musimy tam wejść? – spytał Jaskier. – Wewnątrz tego przybytku może być więcej takich miłych pacholąt.

– Umówiłem się tutaj. Zapomniałeś? To jest właśnie zajazd „Pod Kogutem i Kwoczką", o którym traktowała tabliczka na dębie.

Jasnowłosa dziewczyna zgięła się znowu, rzygnęła spazmatycznie i nader obficie. Klacz prychnęła głośno i szarpnęła się, obalając dziewczynę i przeciągając ją przez wymiociny.

– No i czego się wytrzeszczasz, palancie? – bełkotnął jeden z chłopaków. – Dziadu siwy?

– Geralt – mruknął Jaskier, zsiadając. – Proszę cię, nie rób głupstw.

– Bez obaw. Nie zrobię.

Przywiązali konie do koniowiązu po drugiej stronie schodków. Młodzieńcy przestali zwracać na nich uwagę, zajęli się lżeniem i opluwaniem przechodzącej uliczką mieszczki z dzieckiem. Jaskier rzucił okiem na twarz wiedźmina. Nie spodobało mu się to, co zobaczył.

Pierwszą rzeczą, która rzucała się w oczy po wejściu do zajazdu, był napis: KUCHARZA ZATRUDNIĘ. Drugą był wielki malunek na zbitym z desek szyldzie, przedstawiający brodatą poczwarę z ociekającym krwią toporem. Podpis głosił: KRASNOLUD – ZAPLUTY KARZEŁ ZDRADY.

Jaskier słusznie się obawiał. Jedynymi praktycznie gośćmi zajazdu – oprócz kilku dostojnie pijanych pijaków i dwóch chudych prostytutek o podkrążonych oczach – były dalsze ustrojone w skrzącą się od ćwieków

skórę „pacholęta” z mieczami na plecach. Było ich ośmioro, płci obojga, ale rwetesu czynili za osiemnastu, przekrzykując się wzajem i bluźniąc.

– Poznaję i wiem, ktoście są, panowie – zaskoczył ich oberżysta, ledwo ich zoczył. – I wiadomość dla was mam. Udać się wam trzeba na Wiązowo, do gospody „U Wirsinga”.

– Ooo – poweselał Jaskier. – To dobrze...

– Komu dobrze, temu dobrze – oberżysta wznowił wycieranie kufla w fartuch. – Gardzicie moim lokalem, wola wasza. Ale ja wam powiem, że Wiązowo to krasnoludzki kwartał, nieludzie tam bytują.

– I co z tego? – zmrużył oczy Geralt.

– Ano, wam pewnie nic z tego – wzruszył ramionami oberżysta. – Przeca ten, co dla was wiadomość zostawił, krasnolud był. Skoro się z takim zadajecie... wasza rzecz. Wasza rzecz, czyja wam kompanija milsza.

– Nie jesteśmy szczególnie wybredni, jeśli idzie o kompanię – oświadczył Jaskier, ruchem głowy wskazując wrzeszczących i szarpiących się przy stole smarkaczy w czarnych kurtkach i przepaskach na pokrytych trądzikiem czołach. – Ale w takiej, jak owa, jako żywo nie gustujemy.

Karczmarz odstawił wytarty kufel i zmierzył ich brzydkim spojrzeniem.

– Wyrozumialszym trza być – pouczył z naciskiem. – Młodzież musi się wyszumieć. Jest dane powiedzenie, młodzież musi się wyszumieć. Wojna jeich ukrzywdziła. Ojce polegli...

– A matki się puszczały – dokończył Geralt głosem lodowatym jak górskie jezioro. – Rozumiem i pełen jestem wyrozumiałości. Przynajmniej staram się być pełen. Idziemy, Jaskier.

– A idźcie, z szacunkiem – powiedział bez szacunku oberżysta. – Ale żebyśta potem nie skarżyli, com was nie przestrzegał. W niniejszy czas łatwo w krasnoludzkiej dzielnicy guza złapać. Przy okazji.

– Przy okazji czego?

– A bo ja tam wiem? A bo to moja rzecz?

– Chodźmy, Geralt – ponaglił Jaskier, widząc kątem oka, że ukrzywdzona przez wojnę młodzież, ta jeszcze w miarę przytomna, przygląda im się wzrokiem błyszczącym od fisstechu.

– Do widzenia, panie oberżysto. Kto wie, może jeszcze kiedyś odwiedzimy twój lokal, za czas jakiś. Gdy już nie będzie przy wejściu

tych napisów.

– A któryż to nie podoba się waszmościom? – karczmarz zmarszczył czoło i zaczepnie wziął się pod boki. – Hę? Może ten o krasnoludzie?

– Nie. Ten o kucharzu.

Troje młodzieży wstało od stołu, lekko chwiejąc się na nogach, ewidentnie z zamiarem zastąpienia im drogi. Dziewczyna i dwóch chłopaków w czarnych kurtkach. Z mieczami na plecach.

Geralt nie zwolnił kroku, szedł, a twarz i wzrok miał zimne i całkowicie obojętne.

Gówniarze w ostatniej niemal chwili rozstąpili się, cofnęli. Jaskier poczuł od nich piwo. Pot. I strach.

– Trzeba się przyzwyczajać – powiedział wiedźmin, gdy wyszli. – Trzeba się dostosowywać.

– Czasem trudno.

– To nie jest argument. To nie jest argument, Jaskier.

Powietrze było gorące, gęste i kleiste. Jak zupa.

•

Na zewnątrz, przed zajazdem, dwaj chłopcy w czarnych kurtkach pomagali jasnowłosej dziewczynie umyć się w korycie. Dziewczyna parskała, bełkotliwie dowodziła, że już jej lepiej, i ogłaszała, że musi się napić. Że owszem, pójdzie na bazar, by dla krotochwili przewracać stragany, ale wcześniej musi się napić.

Dziewczyna nazywała się Nadia Esposito. Imię to zostało odnotowane w annałach. Przeszło do historii.

Ale o tym Geralt i Jaskier wiedzieć jeszcze nie mogli.

Dziewczyna też nie.

•

Uliczki rivskiego grodu tętniły życiem, a tym, co zdawało się bez reszty pochłaniać mieszkańców i przybyszów, był handel. Wyglądało, że wszyscy handlują tu wszystkim i wszystko próbują zamienić na coś więcej. Zewsząd rozbrzmiewała kakofonia krzyków – towar reklamowano, targowano się zajadle, lżono wzajemnie, gromko obwiniano o oszustwo, złodziejstwo i szwindel, jak również inne grzeszki, zgoła z handlem nie związane.

Nim Geralt i Jaskier dotarli na Wiązowo, złożono im mnóstwo atrakcyjnych propozycji. Zaoferowano im między innymi: astrolabię,

blaszaną trąbkę, komplet sztućców zdobionych herbem rodziny Frangipanich, akcje kopalni miedzi, słój pijawek, obszarpaną księgę o tytule *Cud mniemany albo Głowa Meduzy*, parkę tchórzofretek, eliksir wzmagający potencję oraz – w ramach transakcji wiązanej – niezbyt młodą, niezbyt szczupłą i niezbyt świeżą niewiastę.

Czarnobrody krasnolud nad wyraz nachalnie chciał ich przekonać do kupna tandetnego lusterka w ramce z tombaku, dowodząc, że to magiczne zwierciadło Cambuscana, gdy naraz celnie ciśnięty kamień wytrącił mu towar z ręki.

– Parszywy kobold! – zawył, uciekając, bosy i brudny ulicznik. – Nieludź! Brodaty cap!

– A żeby ci flaki wygniły, ludzka mendo! – zaryczał krasnolud. – Żeby ci wygniły i dupą wyciekły!

Ludzie przyglądali się w ponurym milczeniu.

•

Kwartał Wiązowo leżał nad samym jeziorem, w zatoce wśród olch, płaczących wierzb i – ma się rozumieć – wiązów. Tu było znacznie ciszej i spokojniej, nikt niczego nie kupował ani nie chciał sprzedać. Od jeziora powiewał wiaterek, szczególnie miły po wydostaniu się z dusznego i pełnego much smrodu miasta.

Karczmy „U Wirsinga" nie szukali długo. Pierwszy napotkany przechodzień wskazał im ją bez wahania.

Na schodkach spowitego pnącym groszkiem i dziką różą ganku, pod daszkiem obrośniętym zieloniutkim mchem i gniazdami jaskółek siedziało dwóch brodatych krasnoludów, pociągając piwo z tulonych do brzuchów kufli.

– Geralt i Jaskier – powiedział jeden z krasnoludów i beknął wdzięcznie. – Długo daliście na siebie czekać, nicponie.

Geralt zsiadł z konia.

– Witaj, Yarpenie Zigrin. Cieszę się, że cię widzę, Zoltanie Chivay.

•

Byli jedynymi gośćmi zajazdu, intensywnie pachnącego pieczystym, czosnkiem, ziołami i czymś jeszcze, czymś nieuchwytnym, ale bardzo miłym. Siedzieli przy ciężkim stole z widokiem na jezioro, które przez podbarwiane szybki w ołowianych ramkach wyglądało tajemniczo, urocznie i romantycznie.

– Gdzie Ciri? – spytał bez ogródek Yarpen Zigrin. – Chyba nie...

– Nie – przerwał szybko Geralt. – Przyjedzie tu. Tylko jej patrzeć. No, brodacze, opowiadajcie, co tam u was słychać.

– Nie mówiłem? – rzucił z przekąsem Yarpen. – Nie mówiłem, Zoltan? Wraca z końca świata, gdzie, jeśli wierzyć plotkom, brodził we krwi, zabijał smoki i obalał cesarstwa. A nas pyta, co u nas słychać. Cały wiedźmin.

– Czym tu tak – wtrącił się Jaskier, węsząc – smakowicie niesie?

– Obiadem – powiedział Yarpen Zigrin. – Mięskiem. Zapytaj, Jaskier, skąd mamy mięsko.

– Nie zapytam, bo znam ten dowcip.

– Nie bądź świnia.

– Skąd macie mięsko?

– Samo przypełzło.

– A teraz poważnie – Yarpen otarł łzy, które uronił był ze śmiechu, choć dowcip, prawdę powiedziawszy, był dość leciwy. – Z żarciem jest sytuacja kryzysowa, jak to po wojnie. Mięsa nie uświadczysz, nawet drobiu, o rybę też trudno... Źle jest z mąką i kartoflem, strączkowymi... Farmy popalone, składy pograbione, stawy spuszczone, pola ugorem...

– Obrót leży – dodał Zoltan. – Nie ma przywozu. Funkcjonuje tylko lichwa i handel zamienny. Widzieliście bazar? Obok nędzarzy, wyprzedających i wymieniających resztki dobytku, zbijają fortuny spekulanci...

– Jeżeli do tego wszystkiego nadarzy się nieurodzaj, zimą ludzie zaczną mrzeć z głodu.

– Naprawdę tak źle?

– Jadąc z południa, musiałeś mijać wsie i osady. Przypomnij sobie, w ilu słyszałeś szczekanie psów.

– Jasna cholera. – Jaskier palnął się w czoło. – Wiedziałem... Mówiłem ci, Geralt, że to nie było normalne! Że czegoś brakowało! Ha! Teraz kojarzę! Nie było słychać psów! Nigdzie nie było...

Urwał nagle, spojrzał w stronę pachnącej czosnkiem i ziołami kuchni, a w jego oczach zjawił się przestrach.

– Bez obaw – parsknął Yarpen. – Nasze mięsko nie z tych, co szczeka, miauczy albo woła: „Litości!” Nasze mięsko jest całkiem inne. Godne królów!

– Zdradź wreszcie, krasnoludzie!

– Gdyśmy dostali wasz list i jasne się stało, że spotkamy się właśnie w Rivii, kombinowaliśmy z Zoltanem, czym by tu was podjąć. Kombinowaliśmy, kombinowaliśmy, aż nam się od tego kombinowania sikać zachciało, zaszliśmy tedy do nadjeziornej olszynki. Patrzymy, a tam zatrzęsienie wręcz ślimaków winniczków. Wzięliśmy więc wór i nałapaliśmy milutkich mięczaków, ile tylko w ten wór wlazło...

– Dużo nam uciekło – pokiwał głową Zoltan Chivay. – Myśmy byli krzynkę pijani, a one diablo szybkie.

Oba krasnoludy znowu popłakały się ze śmiechu z kolejnego niemłodego dowcipu.

– Wirsing – Yarpen wskazał krzątającego się przy piecu karczmarza – zna się na przyrządzaniu ślimaków, a rzecz ta, wiedzieć wam trzeba, niemałych wymaga arkanów. Onże jednak zawołanym jest kuchmistrzem. Zanim owdowiał, prowadził z żoną traktiernię w Mariborze z taką kuchnią, że sam król podejmował u niego gości. Zaraz pojemy, mówię wam!

– A wcześniej – skinął Zoltan – zakąsimy świeżo uwędzoną sieją schwytaną na szarpaka w bezdennej otchłani tutejszego jeziora. I popijemy siwuchą z otchłani tutejszej piwnicy.

– I opowieść, panowie – przypomniał Yarpen, nalewając. – Opowieść!

•

Sieja była jeszcze ciepła, tłusta, pachnąca dymem olchowych trocin. Wódka była zimna, aż zęby rwały.

Najpierw opowiadał Jaskier, kwieciście, potoczyście, kolorowo i ze swadą, strojąc opowieść w ornamenty tak kraśne i fantazyjne, że niemal przysłaniające bujdę i konfabulację. Potem opowiadał wiedźmin. Opowiadał samą prawdę, a mówił tak sucho, drętwo i bezbarwnie, że Jaskier nie wytrzymywał i wtrącał się co i rusz, za co zbierał od krasnoludów reprymendy.

A później opowieść skończyła się i zapadła długa cisza.

– Za Milvę łuczniczkę! – Zoltan Chivay odchrząknął, zasalutował kubkiem. – Za Nilfgaardczyka. Za Regisa zielarza, który w swej chacie ugościł wędrowców bimbrem z mandragory. I za ową Angoulême, której żem nie znał. Niech im będzie lekką ziemia, wszystkim. Niechaj mają tam, w zaświatach, grubo wszystkiego, czego na tym świecie było

im szczupło. I niechaj po wsze czasy żyją ich imiona w pieśniach i opowieściach. Wypijmy.

– Wypijmy – powtórzyli głucho Jaskier i Yarpen Zigrin.

Wypijmy, pomyślał wiedźmin.

•

Wirsing, chłopisko szpakowate, blade i chude jak szczapa, istne zaprzeczenie stereotypu karczmarza i mistrza arkanów kuchennych, wniósł na stół koszyk bielutkiego i pachnącego chleba, a po nim ogromny drewniany talerz, na którym na podściółce z liści chrzanu leżały ślimaki, skwierczące i pryskające czosnkowym masłem. Jaskier, Geralt i krasnoludy ostro wzięli się za jedzenie. Posiłek był wykwintnie smaczny i przy tym niezwykle zabawny, zważywszy konieczność żonglerki dziwacznymi kleszczykami i widełkami.

Jedli, mlaskali, chwytali na chleb wyciekające masło. Klęli pogodnie, gdy jeden z drugim ślimak wypsnął się z kleszczyków. Dwa młode kotki miały dziką uciechę, turlając i goniąc po podłodze puste skorupki.

Zapach płynący z kuchni dowodził, że Wirsing piecze drugą porcję.

•

Yarpen Zigrin niechętnie machnął ręką, ale zdawał sobie sprawę, że wiedźmin nie odpuści.

– U mnie – powiedział, wysysając skorupkę – w zasadzie nic nowego. Trochę się powojowało... Trochę się porządziło, bo mnie podstarościm wybrali. Będę robił karierę w polityce. W każdym innym interesie duża konkurencja. A w polityce dureń na łapowniku i złodziejem pogania. Łatwo się wybić.

– Ja tam – rzekł Zoltan Chivay, gestykulując trzymanym w szczypcach ślimakiem – do polityki smykałki nie mam. Ja hamernię parowo-wodną zakładam, do spółki z Figgisem Merluzzo i Munro Bruysem. Pamiętasz ich, wiedźminie, Figgisa i Bruysa?

– Nie tylko ich.

– Yazon Varda poległ nad Jarugą – poinformował sucho Zoltan. – Całkiem głupio, w jednej z ostatnich potyczek.

– Szkoda chłopa. A Percival Schuttenbach?

– Gnom? O, ten ma się dobrze. Chytrek, od zaciągu się wykręcił, jakimiś prastarymi gnomimi prawami się zasłaniając, niby że mu religia wojować zabrania. I udało mu się, choć wszyscy przecie wiedzieli, że on

cały panteon bogów i bogiń oddałby za marynowanego śledzia. Teraz ma warsztat jubilerski w Novigradzie. Wiesz, odkupił ode mnie papugę, Feldmarszałka Dudę, i zrobił z ptaka żywą reklamę, wyuczywszy wołać: „Brrrylanty, brrrylanty". I wyobraź sobie, że to działa. Gnom ma klienteli od cholery, pełne ręce roboty i nabitą kiesę. Tak, tak, to jest Novigrad! Tam pieniądz na ulicach leży. Dlatego też i my naszą hamernię zamierzamy w Novigradzie uruchomić.

– Będą ci ludzie drzwi gównem mazać – powiedział Yarpen. – Kamieniami w okna miotać. I zaplutym karłem nazywać. Nic ci nie pomoże, żeś kombatant, żeś się za nich bił. Będziesz pariasem w tym twoim Novigradzie.

– Jakoś to będzie – rzekł wesoło Zoltan. – W Mahakamie za duża konkurencja. I za dużo polityków. Napijmy się, chłopaki. Za Caleba Strattona. Za Yazona Vardę.

– Za Regana Dahlberga – dodał Yarpen, pochmurniejąc. Geralt pokręcił głową.

– Regan też...

– Też. Pod Mayeną. Sama została stara Dahlbergowa. Ach, do diaska, dość, dość o tym, napijmy się! I pospieszmy się z tymi ślimakami, bo Wirsing już niesie drugą michę!

•

Krasnoludy, popuściwszy pasów, wysłuchały opowieści Geralta o tym, jak to książęcy romans Jaskra skończył się na szafocie. Poeta udawał urażonego i nie komentował. Yarpen i Zoltan ryczeli ze śmiechu.

– Tak, tak – rzekł na koniec Yarpen Zigrin, wyszczerzywszy zęby. – Jak mówi stara piosnka: chłop, co w ręku łamie sztaby, nie oprze się woli baby. Kilka świetnych przykładów słuszności tego porzekadła zebrało się dziś za jednym stołem. Zoltan Chivay, żeby daleko nie szukać. Opowiadając, co tam u niego nowego, zapomniał dodać, że się żeni. Wkrótce, bo we wrześniu. Szczęśliwa wybranka nazywa się Eudora Brekekeks.

– Breckenriggs! – skorygował dobitnie Zoltan, marszcząc brew. – Zaczynam mieć dość poprawiania ci wymowy, Zigrin. Bacz, albowiem ja, gdy mam czegoś dość, potrafię przypieprzyć!

– Gdzie ślub? I kiedy dokładnie? – pojednawczo wpadł w słowo Jaskier. – Pytam, bo może zajrzymy. Jeśli zaprosisz, rozumie się.

– Nie ustalono jeszcze, co, gdzie, jak i czy w ogóle – bąknął Zoltan, najwyraźniej skonfundowany. – Yarpen uprzedza fakty. Niby jesteśmy z Eudorą po słowie, ale czy to można wiedzieć, co będzie? W takich, kurwa, czasach?

– Drugi przykład babskiej wszechmocy – kontynuował Yarpen Zigrin – to Geralt z Rivii, wiedźmin.

Geralt udawał zajętego ślimakiem. Yarpen parsknął.

– Odzyskawszy oto cudem swoją Ciri – podjął – pozwala jej odjechać, godzi się na ponowne rozstanie. Zostawia ją znowu samą, chociaż, jak tu słusznie ktoś zauważył, czasy nie są, kurwa, najspokojniejsze. A wszystko to dany wiedźmin robi dlatego, że tak chce pewna kobieta. Wiedźmin wszystko i zawsze robi tak, jak chce tego owa kobieta, znana ogółowi jako Yennefer z Vengerbergu. I żeby to jeszcze dany wiedźmin coś z tego miał. Ale on nie ma. Zaiste, jak mawiał król Dezmod, zaglądnąwszy po skończonej potrzebie do nocnika: „Rozum nie jest w stanie tego ogarnąć".

– Proponuję – Geralt z przemiłym uśmiechem wzniósł kubek – napić się i zmienić temat.

– O, to, to – powiedzieli w duecie Jaskier i Zoltan.

•

Wirsing wniósł na stół trzecią, a potem czwartą michę ślimaków winniczków. Nie zapominał też, ma się rozumieć, o chlebie i gorzałce. Biesiadnicy nasycili się już nieco jadłem, nic tedy dziwnego, że toasty wznoszono nieco częściej. Nic też dziwnego, że do dyskursu coraz częściej i gęściej zakradała się filozofia.

•

– Zło, z którym walczyłem – powtórzył wiedźmin – było przejawem działań Chaosu, działań obliczonych na to, by zakłócać Ład. Tam bowiem, gdzie szerzy się Zło, Ład zapanować nie może, wszystko, co Ład zbuduje, runie, nie ostoi się. Światełko mądrości i płomyk nadziei, żar ciepła, miast rozbłyskiwać, zgasną. Będzie ciemno. A w ciemności będą kły, pazury i krew.

Yarpen Zigrin pogładził brodę zatłuszczoną wyciekłym ze ślimaków czosnkowoziołowym masłem.

– Bardzo to ładnie powiedziane, wiedźminie – przyznał. – Ale, jak rzekła młodziutka Cerro do króla Vridanka na ich pierwszej schadzce:

„Niebrzydka rzecz, ale czy ma jakieś zastosowanie praktyczne?”

– Racja istnienia – wiedźmin nie uśmiechnął się – i racja bytu wiedźminów zostały zachwiane, albowiem walka Dobra ze Złem toczy się teraz na innym polu bitwy i zupełnie inaczej jest prowadzona. Zło przestało być chaotyczne. Przestało być ślepą i żywiołową siłą, przeciw której wystąpić musiał wiedźmin, mutant równie morderczy i równie chaotyczny jak samo Zło. Dziś Zło rządzi się prawami – bo prawa mu przysługują. Działa w myśl zawartych traktatów pokojowych, bo pomyślano o nim, owe traktaty zawierając...

– Widział pędzonych na południe osadników – domyślił się Zoltan Chivay.

– I nie tylko – dodał poważnie Jaskier. – Nie tylko.

– I co z tego? – Yarpen Zigrin siadł wygodniej, splótł dłonie na brzuchu. – Każdy coś widział. Każdego coś kiedyś wkurzyło, każdy kiedyś na krócej lub dłużej stracił apetyt. Albo sen. Tak bywa. Tak bywało. I tak bywać będzie. Więcej filozofii, jak i z tych skorup tutaj, jako żywo z tego nie wyciśniesz. Bo i nie ma więcej. Co tobie nie w smak, wiedźminie, co tobie nie po myśli? Zmiany, którym ulega świat? Rozwój? Postęp?

– Może.

Yarpen milczał długo, patrząc na wiedźmina spod krzaczastych brwi.

– Postęp – rzekł wreszcie – jest jak stado świń. I tak należy na ów postęp patrzeć, tak go należy oceniać. Jak stado świń łażących po gumnie i obejściu. Z faktu istnienia tego stada wypływają rozliczne korzyści. Jest golonka. Jest kiełbasa, jest słonina, są nóżki w galarecie. Słowem, są korzyści! Nie ma co tedy nosem kręcić, że wszędzie nasrane.

Wszyscy milczeli czas jakiś, rozważając w duszach i sumieniach różne ważne rzeczy i sprawy.

– Trzeba się napić – rzekł wreszcie Jaskier.

Nikt nie zaprotestował.

•

– Postęp – powiedział wśród ciszy Yarpen Zigrin – będzie, na dłuższą metę, rozjaśniał mroki. Ciemność ustąpi przed światłem. Ale nie od razu. I na pewno nie bez walki.

Geralt, zapatrzony w okno, uśmiechnął się do własnych myśli i marzeń.

– Ciemność, o której mówisz – powiedział – to stan ducha, nie materii. Do walki z czymś takim trzeba wyszkolić całkiem innych wiedźminów. Najwyższy czas zacząć.

– Zacząć się przekwalifikowywać? To miałeś na myśli?

– Całkiem nie to. Mnie wiedźmiństwo już nie interesuje. Przechodzę w stan spoczynku.

– Akurat!

– Mówię najzupełniej poważnie. Skończyłem z wiedźmiństwem.

Zapadła długa cisza, przerywana wściekłym miauczeniem kotków, które pod stołem drapały się i gryzły, wierne obyczajowi swego gatunku, dla którego zabawa bez bólu to żadna zabawa.

– Skończył z wiedźmiństwem – powtórzył wreszcie przeciągle Yarpen Zigrin. – Ha! Sam nie wiem, co o tym myśleć, jak powiedział król Dezmod, gdy przyłapano go na oszukiwaniu w karty. Ale podejrzewać można najgorsze. Jaskier, ty z nim podróżujesz, dużo z nim przestajesz. Zdradza inne objawy paranoi?

– Dobra, dobra. – Geralt miał twarz kamienną. – Żarty na bok, jak powiedział król Dezmod, gdy wśród uczty goście nagle zaczęli sinieć i umierać. Powiedziałem, co miałem do powiedzenia. A teraz do czynów.

Zdjął miecz z oparcia krzesła.

– Oto twój sihill, Zoltanie Chivay. Zwracam ci go z podziękowaniem i pokłonem. Posłużył. Pomógł. Ratował życie. I odbierał życie.

– Wiedźminie... – krasnolud uniósł ręce w obronnym geście. – Miecz jest twój. Nie pożyczałem ci go, lecz podarowałem. Podarunki...

– Milcz, Chivay. Zwracam ci twój miecz. Nie będzie mi już potrzebny.

– Akurat – powtórzył Yarpen. – Nalej mu wódki, Jaskier, bo gada jak stary Schrader, gdy mu w szybie kopalni oskard spadł na głowę. Geralt, ja wiem, że ty jesteś natura głęboka i dusza wzniosła, ale nie pieprz, bardzo cię proszę, takich głodnych kawałków, bo w audytorium, jak łatwo zauważyć, nie siedzi ani Yennefer, ani żadna inna z twoich czarodziejskich konkubin, jeno my, stare wilki. Nie nam, starym wilkom, bajać o tym, że miecz niepotrzebny, wiedźmin niepotrzebny, że świat jest be, że to, że sio. Jesteś wiedźminem i będziesz nim...

– Nie, nie będę – zaprzeczył łagodnie Geralt. – Pewnie zdziwi to was, stare wilki, ale doszedłem do wniosku, że głupotą jest sikanie pod wiatr. Że głupotą jest nadstawiać karku za kogoś. Nawet jeśli ten ktoś płaci. I nic do tego nie ma filozofia egzystencjalna. Nie uwierzycie, ale własna

skóra stała mi się nagle nad wyraz miła. Doszedłem do wniosku, że głupotą byłoby narażać ją w cudzej obronie.

– Zauważyłem – kiwnął głową Jaskier. – Z jednej strony, to mądre. Z drugiej...

– Nie ma drugiej.

– Yennefer i Ciri – spytał po małej chwili Yarpen – mają coś wspólnego z twoją decyzją?

– Wiele.

– Tedy wszystko jasne – westchnął krasnolud. – Nie bardzo wiem, co prawda, jak ty, profesjonał od miecza, zamierzasz się sustentować, jak masz zamiar urządzić sobie byt doczesny. Choć nijak, choćbyś zęby rwał, nie widzę cię w roli, weźmy, takiego plantatora kapusty, cóż jednak, wybór trzeba uszanować. Gospodarzu, pozwól! Oto miecz, mahakamski sihill z kuźni samego Rhundurina. Był to podarek. Obdarowany go nie chce, darowującemu przyjąć zwrotu nie wolno. Weź go więc ty, przymocuj nad kominem. Przemianuj karczmę na „Pod Wiedźmińskim Mieczem". Niech tu w zimowe wieczory płyną opowieści o skarbach i potworach, o krwawej wojnie i zaciekłych walkach, o śmierci. O wielkiej miłości i o niezłomnej przyjaźni. O odwadze i o honorze. Niechaj ten miecz nastraja słuchaczy i zsyła natchnienie bajarzom. A teraz nalejcie mi, panowie, w to oto naczynie wódki, albowiem będę mówił dalej, będę wygłaszał głębokie prawdy i różne filozofie, w tym egzystencjalne.

Gorzałkę rozlano do kubków w ciszy i dostojeństwie. Spojrzano sobie szczerze w oczy i wypito. Z nie mniejszym dostojeństwem. Yarpen Zigrin odchrząknął, powiódł wzrokiem po słuchaczach, upewnił się, czy aby są dostatecznie skupieni i dostojni.

– Postęp – przemówił z namaszczeniem – będzie rozjaśniał mroki, bo od tego ów postęp jest, jak ta, nie przymierzając, dupa od srania. Będzie coraz jaśniej, coraz mniej będziemy bali się ciemności i zaczajonego w niej Zła. Przyjdzie, być może, i taki dzień, kiedy w ogóle przestaniemy wierzyć, że w tej ciemności coś czyha. Będziemy takie lęki wyśmiewać. Nazywać dziecinnymi. Wstydzić się ich! Ale zawsze, zawsze będzie istniała ciemność. I zawsze będzie w ciemności Zło, zawsze będą w ciemności kły i pazury, mord i krew. I zawsze będą potrzebni wiedźmini.

•

Siedzieli w zadumie i milczeniu, pogrążeni w myślach tak głęboko, że ich uwadze umknął rosnący nagle szum i hałas miasta, gniewny, złowrogi, przybierający na sile jak buczenie rozdrażnionych os.

Ledwo zauważyli, jak cichutkim i pustym nadjeziornym bulwarem przemknęła jedna, druga, trzecia postać.

W momencie, gdy nad miastem eksplodował ryk, drzwi zajazdu „U Wirsinga" rozwarły się z trzaskiem i do wnętrza wpadł młody krasnolud, czerwony z wysiłku i z trudem łapiący powietrze.

– Co jest? – uniósł głowę Yarpen Zigrin.

Krasnolud, nadal nie mogąc złapać tchu, wskazał ręką w stronę śródmieścia. Oczy miał dzikie.

– Weź głęboki wdech – poradził Zoltan Chivay. – I gadaj, w czym rzecz.

•

Potem mówiono, że tragiczne wypadki w Rivii były wydarzeniem absolutnie przypadkowym, że była to reakcja spontaniczna, nagła i niemożliwa do przewidzenia eksplozja słusznego gniewu, zrodzona przez wzajemną wrogość i niechęć ludzi, krasnoludów i elfów. Mówiono, że to nie ludzie, lecz krasnoludy zaatakowały pierwsze, że z ich strony wyszła agresja. Że krasnoludzki przekupień obraził młodą szlachciankę Nadię Esposito, sierotę wojenną, że użył wobec niej przemocy. Gdy zaś w obronie szlachcianki stanęli jej przyjaciele, krasnolud skrzyknął swych rodaków. Doszło do bitki, a potem walki, która w mgnieniu oka objęła cały bazar. Walka przerodziła się w rzeź, w zmasowany atak ludności na zajmowaną przez nieludzi część podgrodzia i dzielnicę Wiązowo. W ciągu niecałej godziny, od incydentu na bazarze do interwencji magów, zabite zostały sto osiemdziesiąt cztery osoby, a blisko połowę ofiar stanowiły kobiety i dzieci.

Taką też wersję wypadków podaje w swej pracy profesor Emmerich Gottschalk z Oxenfurtu.

Ale byli tacy, którzy mówili co innego. Gdzie tu spontaniczność, gdzie tu raptowna i nieprzewidywalna eksplozja, pytali, jeżeli w ciągu kilku minut od zajść na bazarze zjawiły się na ulicach wozy, z których ludziom zaczęto rozdawać broń? Gdzie tu nagły a słuszny gniew, jeżeli prowodyrami motłochu, tymi najbardziej widocznymi i aktywnymi w czasie masakry, byli ludzie, których nikt nie znał, a którzy przybyli do

Rivii na kilka dni przed zajściami, nie wiedzieć skąd? I zniknęli potem nie wiadomo gdzie? Dlaczego wojsko interweniowało tak późno? I z początku tak opieszale?

Jeszcze inni naukowcy doszukiwali się w rivskich zajściach nilfgaardzkiej prowokacji, a byli i tacy, którzy twierdzili, że wszystko to uknuły same krasnoludy do spółki z elfami. Że same się pozabijały, by oczernić ludzi.

Wśród poważnych naukowych głosów zupełnie zagubiła się nader śmiała teoria pewnego młodego i ekscentrycznego magistra, który – dopóki go nie uciszono – twierdził, że w Rivii do głosu doszły nie żadne spiski i tajemne sprzysiężenia, lecz zwyczajne i jakże powszechne cechy miejscowej ludności: ciemnota, ksenofobia, brutalne chamstwo i dogłębne zbydlęcenie.

A potem sprawa znudziła się wszystkim i przestano o niej mówić w ogóle.

•

– Do piwnicy! – powtórzył wiedźmin, z niepokojem nasłuchując zbliżającego się szybko ryku i wrzasku tłuszczy. – Krasnoludy do piwnicy! Bez głupiej bohaterszczyzny!

– Wiedźminie – stęknął Zoltan, ściskając stylisko topora. – Ja nie mogę... Tam giną moi bracia...

– Do piwnicy. Pomyśl o Eudorze Brekekeks. Chcesz, by owdowiała przed ślubem?

Argument podziałał. Krasnoludy zeszły do loszku. Geralt i Jaskier zakryli wejście słomianą rogóżką. Wirsing, zwykle blady, teraz był biały. Jak twaróg.

– Widziałem pogrom w Mariborze – wydukał, patrząc na wejście do piwnicy. – Jeśli ich tam znajdą...

– Idź do kuchni.

Jaskier też był blady. Geralt niespecjalnie mu się dziwił. W bezforemnym i jednostajnym do niedawna ryku, jaki ich dolatywał, zabrzmiały indywidualne nuty. Takie, na dźwięk których włosy podnosiły się na głowie.

– Geralt – wyjęczał poeta. – Ja jestem trochę podobny do elfa...

– Nie bądź głupi.

Nad dachami wykwitły kłęby dymu. A z uliczki wypadli zbiegowie. Krasnoludy. Płci obojga.

Dwóch bez zastanowienia skoczyło do jeziora i zaczęło płynąć, ostro kotłując wodę, na wprost, na ploso. Reszta się rozbiegła. Część skręciła w stronę oberży.

Z uliczki wypadła tłuszcza. Była szybsza od krasnoludów. W tym wyścigu żądza mordu wygrywała.

Wrzask mordowanych zaświdrował w uszach, zadzwonił kolorowanymi szybkami w oknach zajazdu. Geralt poczuł, jak zaczynają drżeć mu ręce.

Jednego krasnoluda dosłownie rozszarpano, rozerwano na sztuki. Drugiego, przewróconego na ziemię, w kilka chwil zamieniono w krwawą bezkształtną masę. Kobietę zadźgano widłami i spisami, dziecko, którego broniła do końca, zwyczajnie rozdeptano, zmiażdżono uderzeniami obcasów.

Troje – krasnolud i dwie kobiety – uciekało prosto ku oberży. Za nimi gnał ryczący tłum.

Geralt wziął głęboki wdech. Wstał. Czując na sobie przerażone oczy Jaskra i Wirsinga, zdjął z półki nad kominem sihill, miecz kuty w Mahakamie, w kuźni samego Rhundurina.

– Geralt... – zajęczał rozdzierająco poeta.

– Dobra – powiedział wiedźmin, idąc ku wyjściu. – Ale to już ostatni raz! Niech mnie szlag, to już naprawdę ostatni raz!

Wyszedł na ganek, a z ganku już skoczył, szybkim cięciem rozpłatał draba w murarskim kitlu, zamierzającego się na kobietę kielnią. Następnemu odrąbał rękę wczepioną we włosy drugiej niewiasty. Kopiących przewróconego krasnoluda zasiekł dwoma szybkimi, skośnymi cięciami.

I poszedł w tłum. Szybko, zwijając się w półobrotach. Ciął celowo szeroko, pozornie bezładnie – wiedząc, że takie cięcia są bardziej krwawe i bardziej spektakularne. Nie chciał ich zabijać. Chciał ich tylko porządnie pokaleczyć.

– Elf! Elf! – rozdarł się dziko ktoś z tłuszczy. – Zabić elfa!

Przesada, pomyślał, Jaskier może, ale ja elfa nie przypominam z żadnej strony.

Wypatrzył tego, który krzyczał, żołnierza chyba, bo w brygantynie i wysokich butach. Wkręcił się w tłum jak węgorz. Żołnierz zastawił się

trzymanym oburącz oszczepem. Geralt ciął wzdłuż drzewca, odrąbując mu palce. Zawirował, kolejnym szerokim cięciem wywołując wrzaski bólu i fontanny krwi.

– Pomiłuj! – rozczochrany młodzik o oszalałych oczach padł przed nim na kolana. – Oszczędź!

Geralt oszczędził, wstrzymał rękę i miecz, przeznaczony do ciosu impet wykorzystując na obrót. Kątem oka zobaczył, jak rozczochrany się zrywa, zobaczył, co trzyma w rękach. Złamał obrót, by wywinąć się w odwrotny unik. Ale ugrzązł w tłumie. Na ułamek sekundy ugrzązł w tłumie.

Mógł tylko spojrzeć na lecące ku niemu trójzębne ostrze wideł.

•

Ogień w palenisku ogromnego komina przygasł, w halli zrobiło się ciemno. Wiejący od gór wicher świszczał w szczelinach murów, wył, wdzierając się przez nieszczelne okiennice Kaer Morhen, Wiedźmińskiego Siedliszcza.

– Psiakrew! – Eskel nie wytrzymał, wstał, otworzył kredens. – „Mewa" czy wódka?

– Wódka – powiedzieli jednym głosem Coën i Geralt.

– No pewnie – odezwał się skryty w cieniu Vesemir. – No pewnie, jasne! Utopcie waszą głupotę w gorzale. Głupcy cholerni!

– To był wypadek... – bąknął Lambert. – Radziła już sobie na grzebieniu...

– Zamknij jadaczkę, durniu! Nie chcę słyszeć twego głosu! Powiadam ci, jeśli dziewczynie coś się stało...

– Ma się już dobrze – przerwał miękko Coën. – Śpi spokojnie. Głęboko i zdrowo. Obudzi się trochę obolała, i to wszystko. O transie, o tym, co się stało, nie będzie w ogóle pamiętała.

– Byleście wy pamiętali – sapnął Vesemir. – Kapuściane łby! Nalej i mnie, Eskel.

Milczeli długo, zasłuchani w wycie wichury.

– Trzeba kogoś wezwać – powiedział wreszcie Eskel. – Trzeba tu ściągnąć jakąś magiczkę. To, co dzieje się z tą dziewczyną, nie jest normalne.

– To już trzeci taki trans.

– Ale po raz pierwszy mówiła artykułowanie...

– Powtórzcie mi jeszcze raz, co mówiła – rozkazał Vesemir, jednym zamachem wychylając pucharek. – Słowo w słowo.

– Nie da się słowo w słowo – powiedział Geralt, zapatrzony w żar. – A sens, jeśli ma sens szukanie w tym sensu, był taki: ja i Coën umrzemy. Zęby będą naszą zgubą. Obu nas zabiją zęby. Jego dwa. Mnie trzy.

– Jest dość prawdopodobne – prychnął Lambert – że zostaniemy zagryzieni. Każdego z nas mogą w każdej chwili zgubić zęby. Was dwu jednak, jeśli ta wieszczba jest prawdziwie wieszcza, wykończą jakieś wyjątkowo szczerbate monstra.

– Albo ropna zgorzel od zepsutych zębów – kiwnął głową Eskel, pozornie poważny. – Tyle że nam przecież nie psują się zęby.

– A ja – powiedział Vesemir – nie kpiłbym sobie z tej sprawy.

Wiedźmini milczeli.

Wicher wył i gwizdał w murach Kaer Morhen.

•

Rozczochrany młodzik, jak gdyby przerażony tym, co zrobił, puścił stylisko, wiedźmin wbrew woli zakrzyczał z bólu, zgiął się, wbite w jego brzuch trójzębne widły przeważyły go, a gdy upadł na kolana, same wysunęły się z ciała, upadły na bruk. Krew polała się z szumem i pluskiem godnym wodospadu.

Geralt chciał wstać z kolan. Zamiast tego przewrócił się na bok.

Otaczające go dźwięki nabrały pogłosu i echa, słyszał je tak, jak gdyby miał głowę pod wodą. Widział też niewyraźnie, z zakłóconą perspektywą i zupełnie fałszywą geometrią.

Ale widział, jak tłum pierzcha. Widział, jak czmycha przed odsieczą. Przed Zoltanem i Yarpenem z toporami, Wirsingiem z tasakiem do mięsa i Jaskrem zbrojnym w miotłę.

Stójcie, chciał krzyknąć, dokąd? Wystarczy, że to ja zawsze sikam pod wiatr.

Ale nie mógł krzyknąć. Głos zdławiła fala krwi.

•

Miało się na południe, gdy czarodziejki dotarły do Rivii, gdy w dole, w perspektywie gościńca, lustrzanie zabłysła tafla jeziora Loc Eskalott, czerwone dachówki zamku i dachy grodu.

– No, to dojechałyśmy – stwierdziła fakt Yennefer. – Rivia! Ha, jak to się przedziwnie losy plotą.

Ciri, od dłuższego czasu bardzo podniecona, zmusiła Kelpie do tańczenia i drobienia kopytami. Triss Merigold westchnęła niezauważalnie. To znaczy, myślała, że to było niezauważalnie.

– Proszę, proszę. – Yennefer pokosiła na nią oczy. – Jakież to dziwne dźwięki unoszą twą pierś dziewiczą, Triss. Ciri, pojedź do przodu, sprawdź, czy cię tam nie ma.

Triss odwróciła twarz, zdecydowana nie prowokować i nie dawać pretekstu. Nie liczyła na efekt. Od dłuższego czasu wyczuwała w Yennefer złość i agresję, tym silniejsze, im bardziej zbliżały się do Rivii.

– Ty, Triss – powtórzyła zjadliwie Yennefer – nie rumień się, nie wzdychaj, nie śliń i nie wierć pupką w siodle. Myślisz, że dlaczego uległam twojej prośbie, zgodziłam się, byś pojechała z nami? Na omdlewająco rozkoszne spotkanie z niegdysiejszym ukochanym? Ciri, prosiłam, pojedź nieco do przodu! Daj nam porozmawiać!

– To jest monolog, nie rozmowa – powiedziała butnie Ciri, ale pod groźnym fiołkowym spojrzeniem skapitulowała natychmiast, gwizdnęła na Kelpie i pogalopowała gościńcem.

– Nie jedziesz na spotkanie z kochankiem, Triss – podjęła Yennefer. – Nie jestem ani tak szlachetna, ani tak głupia, by tobie dawać sposobność, a jemu pokusę. Tylko ten jeden raz, dzisiaj, później zadbam, byście oboje nie mieli pokus ni okazji. Ale dzisiaj nie odmówię sobie słodkiej i perwersyjnej przyjemności. On wie o roli, którą odegrałaś. I podziękuje ci za to swoim słynnym spojrzeniem. A ja będę patrzyła na twoje drżące wargi i dygocące dłonie, będę słuchała twoich kulawych przeprosin i usprawiedliwień. I wiesz co, Triss? Będę omdlewała z rozkoszy.

– Wiedziałam – burknęła Triss – że nie zapomnisz mi, że będziesz się mścić. Godzę się na to, bo faktycznie zawiniłam. Ale jedno muszę ci powiedzieć, Yennefer. Nie licz za bardzo na to omdlewanie. On umie wybaczać.

– Za to, co zrobiono jemu, owszem – zmrużyła oczy Yennefer. – Ale on nigdy nie wybaczy ci tego, co zrobiono Ciri. I mnie.

– Może. – Triss przełknęła ślinę. – Może i nie wybaczy. Zwłaszcza jeśli ty się o to postarasz. Ale na pewno nie będzie się znęcał. Do tego się nie zniży.

Yennefer chlasnęła konia nahajką. Koń zarżał, skoczył, zapląsał tak gwałtownie, że czarodziejka zachwiała się w siodle.

– Dość tej dyskusji! – warknęła. – Więcej pokory, ty arogancka szantrapo! To jest mój mężczyzna, mój i tylko mój! Rozumiesz? Masz przestać o nim mówić, masz przestać o nim myśleć, masz przestać zachwycać się jego szlachetnym charakterem... Od zaraz, od natychmiast! Och, mam ochotę chwycić cię za te ryże kudły...

– Spróbuj tylko! – wrzasnęła Triss. – Tylko spróbuj, małpo, a oczy ci wydrapię! Ja...

Umilkły, widząc Ciri, pędzącą ku nim na złamanie karku, w chmurze i kurzawie. I od razu wiedziały, że coś się święci. I od razu zobaczyły, co. Zanim jeszcze Ciri do nich dojechała.

Ponad strzechy bliskiego już podgrodzia, ponad dachówki i kominy grodu strzeliły nagle czerwone jęzory płomienia, kłębami buchnął dym. Uszu czarodziejek dobiegł krzyk, daleki jak brzęczenie natrętnych much, jak buczenie rozzłoszczonych trzmieli. Krzyk rósł, wzmagał się, kontrapunktowany pojedynczymi wysokimi wrzaskami.

– Co się tam, cholera, dzieje? – Yennefer stanęła w strzemionach. – Najazd? Pożar?

– Geralt... – jęknęła nagle Ciri, robiąc się biała jak welinowy papier. – Geralt!

– Ciri? Co z tobą?

Ciri uniosła rękę, a czarodziejki zobaczyły krew, ściekającą po jej dłoni. Linią życia.

– Koło się zamknęło – powiedziała dziewczyna, zamykając oczy. – Zranił mnie cierń róży z Shaerrawedd, a wąż Uroboros zatopił zęby we własnym ogonie. Jadę, Geralt! Jadę do ciebie! Nie zostawię cię samego!

Nim którakolwiek z czarodziejek zdołała zaprotestować, dziewczyna obróciła Kelpie i momentalnie poszła w cwał.

Miały dość przytomności umysłu, by natychmiast własne konie zmusić do galopu. Ale ich wierzchowce z Kelpie mierzyć się nie mogły.

– Co jest? – krzyknęła Yennefer, łykając wiatr. – Co się dzieje?

– Przecież wiesz! – załkała Triss, cwałująca u jej boku. – Pędź, Yennefer!

Nim wpadły między budy podgrodzia, nim minęli ich pierwsi uciekający z miasta zbiegowie, Yennefer miała już na tyle jasny obraz sytuacji, by wiedzieć, że to, co dzieje się w Rivii, to nie pożar i nie najazd wrażych wojsk, lecz pogrom. Wiedziała też, co przeczuła Ciri, ku czemu – i komu – tak gna. Wiedziała również, że nie dogoni jej. Nie było szans.

Spanikowanych, zbitych w tłum ludzi, przed którymi ona i Triss musiały wryć wierzchowce tak, że o mało nie fiknęły przez końskie łby, Kelpie po prostu przeskoczyła, kopyta klaczy strąciły kilka kapeluszy i czapek.

– Ciri! Stój!

Nie wiedzieć kiedy, były już wśród uliczek pełnych rozbieganej i wyjącej tłuszczy. Yennefer w przelocie dostrzegła leżące w rynsztokach ciała, widziała trupy powieszone za nogi na słupach i belkach. Widziała leżącego na ziemi krasnoluda, którego kopano i bito kijami, widziała drugiego, którego masakrowano szyjkami stłuczonych butelek. Słyszała ryki katujących, krzyki i wycie katowanych. Widziała, jak nad wyrzuconą z okna kobietą zwarła się ciżba, jak zamigotały wznoszące się i opadające drągi.

Tłum gęstniał, ryk rósł. Czarodziejkom wydało się, że dystans między nimi a Ciri zmalał. Następną przeszkodą na drodze Kelpie była grupka zdezorientowanych halabardników, których kara klacz potraktowała jak parkan i przeskoczyła, jednemu strącając płaski kapalin. Pozostali aż przysiedli ze strachu.

W pełnym galopie wpadły na plac. Tu było aż czarno od ludzi. I dymu. Yennefer zorientowała się, że Ciri, niechybnie wiedziona proroczą wizją, zmierza ku samemu jądru, samemu centrum wydarzeń. W sam ogień pożarów, tam, gdzie szalał mord.

Bo w ulicy, ku której skręciła, wrzała walka. Krasnoludy i elfy zaciekle broniły zaimprowizowanej barykady, broniły straconej pozycji, padając już i ginąc pod naporem walącego się na nich wyjącego motłochu. Ciri wrzasnęła, przywarła do końskiej szyi. Kelpie wzbiła się i przeleciała nad barykadą nie jak koń, ale jak wielki czarny ptak.

Yennefer wpadła w tłum, wryła konia, przewracając kilka osób. Ściągnięto ją z siodła, nim zdołała wrzasnąć. Dostała czymś w plecy, w krzyże, w tył głowy. Upadła na kolana, zobaczyła zarośniętego typa w szewskim fartuchu szykującego się, by ją kopnąć.

Yennefer miała dosyć takich, którzy kopią.

Z jej rozcapierzonych palców strzelił siny i syczący ogień, tnący jak bicz twarze, torsy i ręce otaczających ją ludzi. Zaśmierdziało palonym mięsem, ryki i wizgi bólu wybiły się na moment ponad ogólny rwetes i harmider.

– Wiedźma! Elfia wiedźma! Czarownica!

Następny typ skoczył ku niej ze wzniesioną siekierą. Yennefer strzeliła mu ogniem prosto w twarz, gałki oczne typa pękły, zakipiały i z sykiem wylały się na policzki.

Przeluźniło się. Ktoś chwycił ją za ramię, szarpnęła się, gotowa palić, ale to była Triss.

– Uciekajmy stąd... Yenna... Ucie... kajmy...

Słyszałam ją mówiącą takim głosem, przemknęło przez głowę Yennefer. Wargami, które są jak z drewna, których nie zwilża nawet kropelka śliny. Wargami, które paraliżuje lęk, którymi trzęsie panika.

Słyszałam ją, mówiącą takim głosem. Na wzgórzu pod Sodden.

Gdy umierała ze strachu.

Teraz też umiera ze strachu. Do końca życia będzie umierać ze strachu. Bo ten, kto raz nie złamie w sobie tchórzostwa, będzie umierał ze strachu do końca swoich dni.

Palce, które Triss wczepiła jej w rękaw, były jak ze stali, Yennefer wyzwoliła się z ich chwytu z najwyższym wysiłkiem.

– Chcesz, to uciekaj! – krzyknęła. – Schowaj się za kiecką twojej Loży! Ja mam czego bronić! Ja Ciri samej nie zostawię! Ani Geralta! Precz, hołoto! Z drogi, jeśli wam skóra miła!

Tłum, odgradzający ją od konia, cofnął się przed błyskawicami, sypiącymi się z oczu i rąk czarodziejki. Yennefer szarpnęła głową, rozburzając czarne loki. Wyglądała jak wcielona furia, jak anioł zagłady, karzący anioł zagłady z ognistym mieczem.

– Won, precz do domów, chamy! – wrzasnęła, smagając motłoch płomiennym biczem. – Precz! Bo pocechuję was ogniem jak bydło!

– To tylko jedna wiedźma, ludzie! – rozległ się z tłumu dźwięczny i metaliczny głos. – Jedna zatracona elfia guślarka!

– Jest sama! Ta druga uciekła! Hej, dziatki, a do kamieni!

– Śmierć nieludziom! Gorze czarownicy!

– Na pohybel!

Pierwszy kamień świsnął jej koło ucha. Drugi rąbnął w ramię, aż się zatoczyła. Trzeci uderzył prosto w twarz. Ból najpierw ogniście eksplodował w oczach, potem owinął wszystko czarnym aksamitem.

•

Ocknęła się, jęknęła z bólu. Oba przedramiona i przeguby rwały bólem. Sięgnęła odruchowo, namacała grube warstwy bandaża. Jęknęła

znowu, głucho, rozpaczliwie. Z żalu, że to nie sen. I z żalu, że się nie udało.

– Nie udało się – powiedziała siedząca obok łóżka Tissaia de Vries.

Yennefer chciało się pić. Pragnęła, by ktoś choćby zwilżył jej pokryte lepkim nalotem wargi. Ale nie prosiła. Duma jej nie pozwalała.

– Nie udało się – powtórzyła Tissaia de Vries. – Ale nie dlatego, że się nie starałaś. Cięłaś dobrze i głęboko. Dlatego jestem tu teraz przy tobie. Gdyby to były tylko jasełki, gdyby to była głupia, niepoważna demonstracja, miałabym dla ciebie wyłącznie pogardę. Ale ty cięłaś głęboko. Poważnie.

Yennefer tępo patrzyła w sufit.

– Zajmę się tobą, dziewczyno. Bo chyba warto. A będzie trzeba nad tobą popracować, oj, trzeba będzie. Będę musiała nie tylko wyprostować ci kręgosłup i łopatkę, ale i wyleczyć ręce. Tnąc żyły, poprzecinałaś sobie ścięgna. A ręce czarodziejki to ważne instrumenty, Yennefer.

Wilgoć na ustach. Woda.

– Będziesz żyła. – Głos Tissai był rzeczowy, poważny, surowy nawet. – Jeszcze nie nadszedł twój czas. Gdy nadejdzie, przypomnisz sobie ten dzień.

Yennefer chciwie ssała wilgoć z owiniętego mokrym bandażem patyczka.

– Zajmę się tobą – powtórzyła Tissaia de Vries, delikatnie dotykając jej włosów. – A teraz... Jesteśmy tu same. Bez świadków. Nikt nie zobaczy, a ja nikomu nie powiem. Płacz, dziewczyno. Wypłacz się. Wypłacz się ostatni raz. Potem już nie wolno ci będzie płakać. Nie ma paskudniejszego widoku niż płacząca czarodziejka.

•

Oprzytomniała, charknęła, wypluła krew. Ktoś ciągnął ją po ziemi, była to Triss, poznała po zapachu jej perfum. Niedaleko nich po bruku dzwoniły podkute kopyta, wibrował wrzask. Yennefer zobaczyła jeźdźca w pełnej zbroi, w białej jace z czerwoną krokwią, z wysokości kopijniczego siodła okładającego tłum bykowcem. Ciskane przez motłoch kamienie bezsilnie odbijały się od zbroi i przyłbicy. Koń rżał, ciskał się, wierzgał.

Yennefer czuła, że zamiast górnej wargi ma wielki kartofel. Przynajmniej jeden przedni ząb był ułamany lub wybity, boleśnie kaleczył język.

– Triss... – wybełkotała. – Teleportuj nas stąd!

– Nie, Yennefer. – Głos Triss był bardzo spokojny. I bardzo zimny.

– Zabiją nas...

– Nie, Yennefer. Ja nie ucieknę. Nie schowam się za kiecką Loży. I nie bój się, nie zemdleję ze strachu jak pod Sodden. Ja złamię to w sobie. Ja już złamałam!

Blisko wylotu uliczki, w załomie omszałych murów piętrzyła się wielka kupa kompostu, gnoju i odpadków. Była to okazała kupa. Można powiedzieć, wzgórze.

Tłumowi udało się wreszcie ścisnąć i unieruchomić rycerza i jego konia. Zwalono go na ziemię ze straszliwym hukiem, motłoch wpełznął na niego jak wszy, zakrył ruchliwą warstwą.

Triss, wciągnąwszy Yennefer, stanęła na szczycie kupy śmieci, wzniosła do góry ręce. Wykrzyknęła zaklęcie, a wykrzyknęła je z prawdziwą wściekłością. Tak przenikliwie, że tłum ścichł na ułamek sekundy.

– Zabiją nas. – Yennefer splunęła krwią. – Jak amen...

– Pomóż mi. – Triss na moment przerwała inkantację. – Pomóż mi, Yennefer. Rzucimy na nich Piorun Alzura...

I zabijemy z pięciu, pomyślała Yennefer. Po czym reszta nas rozszarpie. Ale dobrze, Triss, jak chcesz. Jeśli ty nie uciekasz, nie zobaczysz, jak uciekam ja.

Włączyła się do inkantacji. Krzyczały teraz we dwie.

Tłum przez chwilę gapił się na nie, ale rychło ochłonął. Wokół czarodziejek znowu zaświszczały kamienie. Tuż obok skroni Triss przeleciał ciśnięty oszczep. Triss nawet nie drgnęła.

To w ogóle nie działa, pomyślała Yennefer, nasz czar w ogóle nie działa. Nie mamy szans, by wyskandować coś tak skomplikowanego, jak Piorun Alzura. Alzur, jak się twierdzi, miał głos jak dzwon i dykcję oratora. A my piszczymy i bełkoczemy, plączemy słowa i melodykę...

Była gotowa przerwać zaśpiew, skoncentrować resztkę sił na jakimś innym zaklęciu, zdolnym albo teleportować je obie, albo poczęstować szarżujący motłoch – choćby tylko na ułamek sekundy – czymś nieprzyjemnym. Ale okazało się, że nie ma potrzeby.

Niebo ściemniało nagle, nad miastem zakłębiły się chmury. Zrobiło się diabelnie mroczno. I powiało zimnem.

– Jej – stęknęła Yennefer. – Zdaje się, żeśmy narozrabiały.

•

– Niszczące Gradobicie Merigold – powtórzyła Nimue. – W zasadzie nielegalnie używa się tej nazwy, czar nigdy nie był zarejestrowany, bo po Triss Merigold nikomu nie udało się go powtórzyć. Z prozaicznych powodów. Triss miała wówczas skaleczone usta i mówiła niewyraźnie. Złośliwcy twierdzą nadto, że język plątał się jej ze strachu.

– W to – wydęła wargi Condwiramurs – trudno akurat uwierzyć, przykładów męstwa i odwagi czcigodnej Triss nie brakuje, niektóre kroniki nazywają ją nawet Nieulękłą. Ale ja chciałam zapytać o coś innego. Jedna z wersji legendy głosi, że Triss nie była sama na Rivijskim Wzgórzu. Że była tam z nią Yennefer.

Nimue patrzyła na akwarelę przedstawiającą czarne, strome, ostre jak nóż wzgórze na tle podświetlonych, granatowych chmur. Na szczycie wzgórza widniała smukła sylwetka kobiety z rozpostartymi rękoma i rozburzonymi włosami.

Z pokrywającej powierzchnię wody mgły dobiegał rytmiczny stukot wioseł łodzi Króla Rybaka.

– Jeśli ktokolwiek był tam z Triss – powiedziała Pani Jeziora – to nie przetrwał w wizji artysty.

•

– Oj, narobiło się – powtórzyła Yennefer. – Uważaj, Triss!

Z kłębiącej się nad Rivią czarnej chmury momentalnie runął na miasto grad, graniaste lodowe kulki wielkości kurzego jaja. Biły tak mocno, że z hukiem rozwalały dachówki domów. Biły tak gęsto, że cały placyk momentalnie pokryła gruba ich warstwa. Ciżba zakotłowała się, ludzie padali, zakrywając głowy, wpełzali jedni pod drugich, uciekali, przewracając się, tłoczyli się w bramach i podsieniach, kulili pod murami. Nie wszystkim się to udawało. Niektórzy zostawali, leżeli jak ryby na lodzie, który gęsto farbowała krew.

Grad walił tak, że dygotała i groziła pęknięciem magiczna tarcza, którą Yennefer w ostatniej niemal chwili zdołała wyczarować im nad głowami. Innych zaklęć nawet nie próbowała. Wiedziała, że tego, co narobiły, zatrzymać się nie da, że przypadkiem rozpętały żywioł, który

musi się wyszaleć, że wyzwoliły siłę, która musi się przesilić. I wkrótce się przesili.

Taką miała przynajmniej nadzieję.

Łysnęło, raptownie huknął grom, przeciągle, z trzaskiem. Aż zadygotała ziemia. Grad prał o dachy i bruk, wokół leciały drobiny rozpryskujących się gradzin.

Niebo pojaśniało nieco. Błysnęło słońce, przebijający się przez chmurę promień chlasnął miasto jak kańczug. Z gardła Triss wyrwało się coś, ni to jęk, ni to szloch.

Grad padał wciąż jeszcze, tłukł, pokrywał placyk grubą warstwą lodowych kulek lśniących jak brylanty. Ale gradziny padały już rzadziej i słabiej, Yennefer poznała to po zmianie odgłosu łomotu o magiczną tarczę. A potem grad przestał padać. Od razu. Jak nożem uciął. Na placyk wpadli zbrojni, podkute kopyta zachrupotały na lodzie. Motłoch ryczał i uciekał, smagany nahajami, tłuczony drzewcami włóczni i płazami mieczy.

– Brawo, Triss – wychrypiała Yennefer. – Nie wiem, co to było... Ale ładnie ci to wyszło.

– Było czego bronić – wychrypiała Triss Merigold. Bohaterka ze wzgórza.

– Zawsze jest. Biegnijmy, Triss. Bo to chyba jeszcze nie koniec.

•

To był już koniec. Grad, który czarodziejki spuściły na miasto, ochłodził gorące głowy. Na tyle, by wojsko odważyło się uderzyć i zaprowadzić porządek. Wcześniej żołnierze bali się. Wiedzieli, czym grozi atak na rozbestwioną tłuszczę, na upojony krwią i mordem motłoch, który nie boi się niczego i nie cofa przed niczym. Eksplozja żywiołu poskromiła jednak okrutną wielogłową bestię, a szarża wojska dokonała reszty.

Grad poczynił w mieście straszliwe spustoszenia. I oto człowiek, który przed chwilą zatłukł krasnoludzką kobietę za pomocą orczyka, a głowę jej dziecka roztrzaskał o mur, teraz szlochał, teraz płakał, teraz łykał łzy i smarki, patrząc na to, co zostało z dachu jego domu.

W Rivii zapanował spokój. Gdyby nie blisko dwieście zmasakrowanych trupów i kilkanaście spalonych domostw, można by pomyśleć, że nic się nie stało. W dzielnicy Wiązowo, nad samym

jeziorem Loc Eskalott, nad którym niebo zapłonęło przepięknym łukiem tęczy, wierzby płaczące ślicznie odbijały się w gładkiej niczym lustro wodzie, ptaki wznowiły śpiew, pachniało mokrym listowiem. Wszystko tu wyglądało sielankowo.

Nawet leżący w kałuży krwi wiedźmin, nad którym klęczała Ciri.

•

Geralt był nieprzytomny i biały jak wapno. Leżał nieruchomo, ale gdy stanęły nad nim, zaczął kasłać, charczeć, pluć krwią. Zaczął się trząść, dygotać tak, że Ciri nie mogła go utrzymać. Yennefer uklękła obok. Triss widziała, że ręce jej drżą. Sama nagle poczuła się słaba jak dziecko, w oczach jej pociemniało. Ktoś podtrzymał ją, ocalił przed upadkiem. Poznała Jaskra.

– To wcale nie działa – usłyszała tchnący rozpaczą głos Ciri. – Twoja magia w ogóle go nie leczy, Yennefer.

– Przybyłyśmy... – Yennefer z trudem poruszała wargami. – Przybyłyśmy za późno.

– Twoja magia nie działa – powtórzyła Ciri, jak gdyby nie słysząc jej. – To co ona jest warta, ta cała wasza magia?

Masz rację, Ciri, pomyślała Triss, czując, jak coś ściska jej krtań. Umiemy wywoływać gradobicia, a nie umiemy odpędzić śmierci. Choć z pozoru to drugie jest łatwiejsze.

– Posłaliśmy po medyka – powiedział chrapliwie stojący obok Jaskra krasnolud. – Ale coś go nie widać...

– Jest za późno na medyka – powiedziała Triss, sama się dziwiąc spokojowi swego głosu. – On kona.

Geralt zadygotał raz jeszcze, wykaszlał krew, wyprężył się i znieruchomiał. Podtrzymujący Triss Jaskier westchnął z rozpaczą, krasnolud zaklął. Yennefer zajęczała, twarz zmieniła jej się nagle, skurczyła i zbrzydła.

– Nie ma nic bardziej żałosnego – powiedziała ostro Ciri – niż płacząca czarodziejka. Sama mnie tego uczyłaś. Ale ty teraz jesteś żałosna, naprawdę żałosna, Yennefer. Ty i twoja magia, która do niczego się nie nadaje.

Yennefer nie odpowiedziała. Trzymała oburącz bezwładną i lecącą przez ręce głowę Geralta, łamiącym się głosem powtarzała zaklęcia. Po jej dłoniach, po policzkach i czole wiedźmina tańczyły sine iskierki i

trzeszczące ogniki. Triss wiedziała, ile energii kosztują takie zaklęcia. Wiedziała też, że te zaklęcia w niczym tu nie pomogą. Była więcej niż pewna, że bezsilne okazałyby się nawet zaklęcia wyspecjalizowanych uzdrowicielek. Było za późno. Czary Yennefer tylko ją wyczerpywały. Triss dziwiła się nawet, że czarnowłosa czarodziejka tak długo to wytrzymuje.

Przestała się dziwić, bo Yennefer zamilkła w połowie kolejnej magicznej formuły i osunęła się na bruk obok wiedźmina.

Jeden z krasnoludów znowu zaklął. Drugi stał ze spuszczoną głową. Jaskier, wciąż trzymający Triss, pociągał nosem.

Zrobiło się nagle bardzo zimno. Powierzchnia jeziora zadymiła jak kocioł czarownic, zasnuła się oparem. Mgła rosła szybko, kłębiła się nad wodą, falami wychodziła na ląd, spowijając wszystko białym, gęstym mlekiem, w którym cichły i marły dźwięki, w którym ginęły kształty, rozmazywały się formy.

– A ja – powiedziała wolno Ciri, ciągle klęcząc na skrwawionym bruku – kiedyś wyrzekłam się mojej mocy. Gdybym się nie wyrzekła, tobym go teraz ocaliła. Wyleczyłabym go, wiem to. Ale jest za późno. Wyrzekłam się i teraz nic nie mogę zrobić. To jest tak, jakbym to ja go zabiła.

Ciszę przerwało najpierw głośne rżenie Kelpie. Potem zduszony okrzyk Jaskra.

Wszyscy osłupieli.

•

Z mgły wyłonił się biały jednorożec, biegnąc leciutko, zwiewnie i bezszelestnie, z wdziękiem unosząc kształtną głowę. W tym akurat nie było nic niecodziennego, wszyscy znali legendy, a te zgodne były co do tego, że jednorożce biegają leciutko, zwiewnie i bezszelestnie, a głowy unoszą z sobie tylko właściwym wdziękiem. Jeśli coś było dziwne, to to, że jednorożec biegł po powierzchni jeziora, a woda nawet się nie marszczyła.

Jaskier jęknął, tym razem w podziwie. Triss poczuła, jak ogarnia ją wzruszenie. Euforia.

Jednorożec zastukał kopytami po kamieniach bulwaru. Wstrząsnął grzywą. Zarżał przeciągle, melodyjnie.

– Ihuarraquax – powiedziała Ciri. – Miałam nadzieję, że przyjdziesz.

Jednorożec podszedł bliżej, zarżał znowu, grzebnął kopytem, silnie uderzył nim o bruk. Pochylił głowę. Sterczący z jego wyklepionego czoła róg zapłonął nagle ostrym światłem, blaskiem, który na moment rozproszył mgłę.

Ciri dotknęła rogu.

Triss krzyknęła głucho, widząc, jak oczy dziewczyny rozjarzają się nagle mlecznym żarem, jak całą ją otacza płomienna aureola. Ciri nie słyszała jej, nie słyszała nikogo. Jedną ręką wciąż trzymała róg jednorożca, drugą skierowała w stronę nieruchomego wiedźmina. Z jej palców popłynęła wstęga migotliwej i żarzącej się jak lawa jasności.

•

Nikt nie potrafił ocenić, jak długo to trwało. Bo to było nierealne.

Jak sen.

•

Jednorożec, rozmazując się niemal w gęstniejącej mgle, zarżał, uderzył kopytem, kilkakrotnie machnął głową i rogiem, jak gdyby wskazywał na coś. Triss spojrzała. Pod baldachimem zwisających nad jeziorem wierzbowych gałęzi zobaczyła na wodzie ciemny kształt. To była łódź.

Jednorożec wskazał rogiem raz jeszcze. I zaczął szybko znikać we mgle.

– Kelpie – powiedziała Ciri. – Idź z nim.

Kelpie zachrapała. Zatargała łbem. Posłusznie poszła za jednorożcem. Podkowy przez chwilę dzwoniły po bruku. Potem dźwięk ten urwał się raptownie. Jak gdyby klacz uleciała, znikła, zdematerializowała się.

Łódź była przy samym brzegu, w chwilach, gdy mgła rozwiewała się, Triss widziała ją już dokładnie. Była to prymitywnie sklecona barka, niezgrabna i kanciasta jak wielkie świńskie koryto.

– Pomóżcie mi – powiedziała Ciri. Głos miała pewny i zdecydowany.

Początkowo nikt nie wiedział, o co dziewczynie chodzi, jakiej pomocy oczekuje. Pierwszy połapał się Jaskier. Może dlatego, że znał tę legendę, że czytał kiedyś jedną z jej upoetycznionych wersji. Wziął na ręce wciąż nieprzytomną Yennefer. Zdziwił się, jak jest drobna i lekka. Przysiągłby, że ktoś pomaga mu ją dźwigać. Przysiągłby, że czuje obok swego ramienia bark Cahira. Kątem oka złowił mignięcie płowego warkocza

Milvy. Gdy składał czarodziejkę w łodzi, przysiągłby, że widział przytrzymujące burtę dłonie Angoulême.

Krasnoludy uniosły wiedźmina, pomogła im Triss, podtrzymując mu głowę. Yarpen Zigrin aż zamrugał oczami, przez sekundę widział bowiem obu braci Dahlbergów. Zoltan Chivay przysiągłby, że w złożeniu wiedźmina w łodzi pomagał Caleb Stratton. Triss Merigold głowę by dała, że czuje perfumy Lytty Neyd, nazywanej Koral. A przez moment widziała wśród oparu jasne, żółtozielone oczy Coëna z Kaer Morhen.

Takie to figle płatała zmysłom ta mgła, gęsta mgła znad jeziora Eskalott.

– Gotowe, Ciri – powiedziała głucho czarodziejka. – Twoja łódź czeka.

Ciri odgarnęła włosy z czoła, pociągnęła nosem.

– Przeproś panie z Montecalvo, Triss – powiedziała. – Ale nie może być inaczej. Ja nie mogę zostać, gdy Geralt i Yennefer odchodzą. Po prostu nie mogę. One powinny to zrozumieć.

– Powinny.

– Żegnaj więc, Triss Merigold. Bywaj, Jaskier. Bywajcie wszyscy.

– Ciri – szepnęła Triss. – Siostrzyczko... Pozwól mi popłynąć z wami...

– Sama nie wiesz, o co prosisz, Triss.

– Czy cię jeszcze kiedyś...

– Na pewno – przerwała zdecydowanie.

Weszła do łodzi, która zakołysała się i natychmiast zaczęła odpływać. Niknąć we mgle. Stojący na brzegu nie słyszeli najmniejszego plusku, nie widzieli fal ani ruchu wody. Jakby to nie była łódź, ale widmo.

Przez bardzo krótką chwilę widzieli jeszcze drobną i zwiewną sylwetkę Ciri, widzieli, jak długą tyką odpycha się od dna, jak jeszcze ponagla i tak już szybko sunącą barkę.

A potem była już tylko mgła.

Skłamała mi, pomyślała Triss. Nie zobaczę jej już nigdy. Nie zobaczę jej, bo... *Vaesse deireadh aep eigean*. Coś się kończy...

– Coś się skończyło – powiedział zmienionym głosem Jaskier.

– Coś się zaczyna – zawtórował Yarpen Zigrin.

Skądś od strony miasta głośno zapiał kogut.

Mgła szybko zaczęła się unosić.

•

Geralt otworzył oczy drażnione przez powieki grą światłocienia. Zobaczył nad sobą liście, kalejdoskop migoczących w słońcu liści. Zobaczył ciężkie od jabłek gałęzie.

Na skroni i policzku czuł delikatny dotyk palców. Palców, które znał. Które kochał tak, że aż bolało.

Bolał też brzuch, pierś, bolały żebra, a ciasny gorset bandaża dobitnie przekonywał, że miasto Rivia i trójzębne widły nie były sennym koszmarem.

– Leż spokojnie, mój ukochany – powiedziała łagodnie Yennefer. – Leż spokojnie. Nie ruszaj się.

– Gdzie jesteśmy, Yen?

– Czy to ważne? Jesteśmy razem. Ty i ja.

Śpiewały ptaki, dzwońce albo drozdy. Pachniały trawy, zioła, kwiaty. Jabłka.

– Gdzie jest Ciri?

– Odeszła.

Zmieniła pozycję, delikatnie wyzwoliła ramię spod jego głowy, położyła się obok na trawie tak, by móc patrzeć mu w oczy. Patrzyła na niego zachłannie, jak gdyby chciała się nasycić widokiem, jak gdyby chciała się napatrzeć na zapas, na całą wieczność. Patrzył również, a tęsknota dławiła mu gardło.

– Byliśmy z Ciri na łodzi – przypomniał sobie. – Na jeziorze. Potem na rzece. Na rzece o silnym nurcie. We mgle...

Jej palce odnalazły jego rękę, ścisnęły silnie.

– Leż spokojnie, mój ukochany. Leż spokojnie. Jestem przy tobie. To nieważne, co się wydarzyło, nieważne, gdzie byliśmy. Teraz jestem przy tobie. I nigdy już cię nie opuszczę. Nigdy.

– Kocham cię, Yen.

– Wiem.

– Tym niemniej – westchnął – chciałbym wiedzieć, gdzie jesteśmy.

– Ja też – powiedziała Yennefer, cicho i nie od razu.

•

– I to – spytał po chwili Galahad – jest koniec tej historii?

– Skądże znowu – zaprotestowała Ciri, pocierając stopą o stopę, ścierając wyschnięty piasek, który przywarł do jej palców i podeszew. – Chciałbyś, by opowieść tak się kończyła? Akurat! Ja bym nie chciała!

– Cóż więc było dalej?

– Normalnie – parsknęła. – Pobrali się.

– Opowiedz.

– Aaa, co tu jest do opowiadania? Było huczne weselisko. Wszyscy się zjechali, Jaskier, matka Nenneke, Iola i Eurneid, Yarpen Zigrin, Vesemir, Eskel... Coën, Milva, Angoulême... I moja Mistle... I ja tam byłam, miód i wino piłam. A oni, znaczy się Geralt i Yennefer, mieli później własny dom i byli szczęśliwi, bardzo, bardzo szczęśliwi. Jak to w bajce. Rozumiesz?

– Dlaczego płaczesz, o, Pani Jeziora?

– Wcale nie płaczę. Oczy łzawią mi od wiatru. I tyle! Milczeli długo, patrząc, jak rozpalona do czerwoności kula słońca dotyka szczytów gór.

– W samej rzeczy – przerwał wreszcie ciszę Galahad – wielce dziwna to była historia, oj, dziwna. Iście, pani Ciri, niesamowity jest świat, z którego przybyłaś.

Ciri głośno pociągnęła nosem.

– Taak – podjął Galahad, odchrząknąwszy kilka razy, trochę zdeprymowany jej milczeniem. – Ale i tutaj, u nas, też zdarzają się zadziwiające przygody. Weźmy choćby to, co przydarzyło się panu Gawainowi z Zielonym Rycerzem... Albo memu stryjowi, panu Borsowi, i panu Tristanowi... Uważasz otóż, pani Ciri, pan Bors i pan Tristan wyruszyli razu pewnego na zachód, ku Tintagelowi. Droga ich wiodła przez lasy dzikie i groźne. Jadą, jadą, patrzą, stoi biała łani, a obok pani, czarno odziana, iście, czarniejszej czerni i na marach nie ujrzysz. A piękna ta pani, że piękniejszej w całym świecie nie obaczysz, no, chyba żeby królowa Ginewra... Ujrzała rycerzy owa pani, stojąca podle łani, ręką skinęła i w takie do nich odezwała się...

– Galahad.

– Słucham?

– Zamilknij.

Zakasłał, zachrząkał, zamilkł. Milczeli oboje, patrząc na słońce. Milczeli bardzo długo.

– Pani Jeziora?

– Prosiłam, byś mnie tak nie nazywał.

– Pani Ciri?

– Słucham.

– Pojedź ze mną do Kamelotu, o, pani Ciri. Król Artur, zobaczysz, okaże ci honor i szacunek... Ja zaś... Ja będę cię zawsze kochał i czcił...

– Wstań z kolan, zaraz! Albo nie. Jeśli już tam jesteś, rozetrzyj mi stopy. Okropnie mi zziębły. Dziękuję. Milutki jesteś. Mówiłam: stopy! Stopy kończą się na kostkach!

– Pani Ciri?

– Cały czas tu jestem.

– Słońce ku zachodowi się chyli...

– Prawda. – Ciri dopięła klamry butów, wstała. – Kulbaczmy konie, Galahadzie. Jest w okolicy jakieś miejsce, gdzie można będzie przenocować? Ha, widzę po twojej minie, że znasz te tereny tak samo, jak i ja. Ale nic to, ruszajmy w drogę, jeśli nawet przyjdzie spać pod gołym niebem, to gdzieś dalej, w lesie. Od tego jeziora ciągnie... Czemu tak patrzysz?

– Aha – domyśliła się, widząc, jak pokraśniał. – Uśmiecha ci się nocleg pod krzakiem leszczyny, na kobiercu z mchów? W objęciach wróżki? Posłuchaj no, młodzieńcze, ja nie mam najmniejszej ochoty...

Urwała, patrząc na jego rumieniec i błyszczące oczy. Na w sumie całkiem niebrzydką twarz. Coś ścisnęło jej żołądek i podbrzusze, a nie był to głód.

Co się ze mną dzieje, pomyślała. Co się ze mną dzieje?

– Nie mitręż! – prawie krzyknęła. – Kulbacz ogiera!

Gdy byli już w siodłach, popatrzyła na niego i zaśmiała się głośno. Spojrzał na nią, a wzrok miał zdumiony i pytający.

– Nic, nic – powiedziała swobodnie. – Tak sobie tylko coś pomyślałam. W drogę, Galahadzie.

Kobierzec z mchów, pomyślała, powstrzymując chichot. Pod krzakiem leszczyny. A ja w roli wróżki. No, no.

– Pani Ciri...

– Słucham?

– Pojedziesz ze mną do Kamelotu?

Wyciągnęła rękę. I on wyciągnął rękę. Złączyli dłonie, jadąc bok w bok.

Do czarta, pomyślała, czemu nie? Założę się o każde pieniądze, że w tym świecie też znajdzie się zajęcie dla wiedźminki.

Bo nie ma takiego świata, w którym nie byłoby zajęcia dla wiedźminki.

– Pani Ciri...

– Nie mówmy o tym teraz. Jedźmy.

Jechali wprost w zachodzące słońce. Za nimi zostawała ciemniejąca dolina. Za nimi było jezioro, jezioro zaczarowane, jezioro niebieskie i gładkie jak oszlifowany szafir. Za nimi zostawały głazy na jeziornym brzegu. Sosny na zboczach.

To było za nimi.

A przed nimi było wszystko.

KONIEC